

Robbins Harold

Kamień dla Danny Fishera

"Kamień dla Danny Fishera" to wspaniała opowieść o młodzieńcu, który wchodzi w świat z zaciśniętymi pięściami i zgłodniałym sercem. Wykorzystuje jedno i drugie, aby wznieść się na wyżyny.

1

Istnieje wiele sposobów, żeby dostać się na Cmentarz Góra Syjonu. Możesz przyjechać tutaj samochodem pięknymi alejkami Long Island, metrem, autobusem albo tramwajem. Jest wiele sposobów, żeby dostać się na Cmentarz Góra Syjonu, ale podczas tego tygodnia nie znajdziesz drogi, która nie byłaby zatłoczona.

Dlaczego tak się dzieje? - zapytasz, ponieważ jest coś niepokojącego w odwiedzaniu cmentarza, gdy życie rozkwita w całej pełni - z wyjątkiem pewnych okresów. Ten tydzień przed Jom Kipur jest właśnie takim okresem. W owym tygodniu Jehowa wzywa anioły przed swoje oblicze i otwiera przed nimi Księgę Żywota. A twoje imię wyryte jest na jednej ze stron. Tak jak spisane są twoje losy w nadchodzącym roku.

Przez następnych sześć dni Księga pozostanie otwarta i będziesz mógł dowieść, że zasługujesz na Jego łaskę. W ciągu tych sześciu dni będziesz oddawał się modłom i miłosierdziu. I pójdziesz odwiedzić tych, którzy odeszli.

I żeby się upewnić, że twoje odwiedziny u zmarłych zostaną zauważone i właściwie ocenione, z ziemi u swoich stóp podniesiesz kamyk i położysz go na grobie, tak żeby widział go Anioł Pamięci, kiedy każdej nocy będzie przechodził przez cmentarz.

Spotkaliście się o umówionej godzinie przy bramie z białego kamienia. Napis Cmentarz Góra Syjonu wyryty jest nad

waszymi głowami. Jest was sześcioro. Spoglądacie na siebie niepewnie, słowa z trudem przechodzą wam przez gardło. Jesteście tutaj wszyscy. I jakby za głosem tajemnego porozumienia ruszacie jednocześnie bez słowa i przechodzicie pod łukiem bramy.

Po prawej ręce macie domek dozorczy, po lewej biuro rejestrów. W tym właśnie biurze spisane są, według numeru grobu i nazwy bractw pogrzebowych, obecne adresy ludzi, którzy żyli wśród was i odeszli przed waszym czasem. Ale nie przystaniecie, żeby o tym pomyśleć, bo dla was wszyscy, z wyjątkiem mnie, należą do dnia wczorajszego. Idźcie wzdłuż długiej alei szukając właściwej ścieżki. W końcu dostrzegacie jej białe numery na czarnej tablicy. Skręćcie, wasze oczy prześlizgują się po nazwach bractw pogrzebowych umieszczonych przy każdej kwaterze. Dostrzegacie już napis, którego szukaliście, błyszczące białe litery na szarym kamieniu. Wchodzicie między groby. Niski stary człowiek z białą brodą i wąsami pożółkłymi od tytoniu spieszy wam na spotkanie. Uśmiecha się niezobowiązująco, podczas gdy jego palce bawią się znaczkami w klapie marynarki. W bractwie pogrzebowym zajmuje się odmawianiem kadiszu. Odmówi za was modlitwę po hebrajsku, bo taki jest zwyczaj od wielu lat. Półgłosem wymawiacie imię. Człowiek kiwa głową z ptasią gorliwością; wie gdzie jest grób, którego szukacie. Odwraca się, a wy idźcie za nim stąpając ostrożnie między grobami, bo wolna przestrzeń jest tutaj w cenie. Mężczyzna staje i wyciąga przed siebie starą, trzęsącą się rękę. Kiwacie głową, tak, to jest grób, którego szukacie i wtedy on się cofa.

Nad waszymi głowami huczy schodzący do lądowania samolot, ale nie spoglądacie w górę. Odczytujecie słowa na pomniku. Ogarnia was spokój i cisza. Opada napięcie dnia. Podnosicie oczy i skinieniem głowy dajecie znak tamtemu człowiekowi.

Wysuwa się naprzód i staje przed wami. Pyta o wasze nazwiska, aby mógł je wymienić w modlitwie. Odpowiadacie po kolei.

Moja matka

Mój ojciec

Moja siostra Mój szwagier Moja żona Mój syn

Modlitwa jest śpiewną, niezrozumiałą zbitką dźwięków rozbrzmiewającą monotonnie między grobami. Nie słuchacie jej. Wypełniają was wspomnienia o mnie, dla każdego z was jestem kim innym.

W końcu modlitwa się kończy i stary człowiek odchodzi z otrzymaną zapłatą, żeby poszukać następnego klienta. Patrzycie w ziemię pod stopami w poszukiwaniu kamyka. Trzymacie go ostrożnie w dłoni, a potem czekacie na swoją kolej, żeby zrobić krok w stronę grobu.

Mimo że od czasu, kiedy byliście tutaj wszyscy razem, czułem już mrozy i śniegi zimy, słońce i deszcze lata, wasze uczucia są takie same jak wówczas. Żyję w pamięci każdego z was. Z jednym wyjątkiem.

Dla mojej matki jestem przestraszonym dzieckiem szukającym bezpieczeństwa w jej ramionach.

Dla mojego ojca jestem trudnym synem. I chociaż czasami ciężko było odnaleźć jego miłość, wiem, że była ona równie silna jak moja miłość do niego.

Dla siostry jestem szalonym młodszym bratem, którego odwaga była źródłem jej dumy i lęku.

Dla mojego szwagra jestem przyjacielem, który dzielił z nim marzenia o sławie.

Dla mojej żony jestem kochankiem, który leżąc przy niej nocą prowadził ją w krainę namiętności i stworzył z nią nowe życie.

Dla mojego syna..., nie wiem kim jestem dla mojego syna, ponieważ on mnie nie znał.

Na grobie leży pięć kamieni, a ty, synu, stoisz tam w zamyśleniu. Dla wszystkich pozostałych jestem kimś realnym, ale nie dla ciebie. Więc dlaczego musisz tutaj stać i opłakiwać kogoś, kogo nigdy nie znałeś? Odzywa się w tobie cienka, twarda nuta dziecięcego żalu. Zawiodłem cię. Nigdy nie mogłeś się mną chwalić, tak jak to robiły inne dzieci: mój tata jest najsilniejszy albo najmądrzejszy, albo najlepszy, albo najbardziej kochający. Nie miej mi tego za złe, synu, nie

potępiaj mnie. Byłem słabym człowiekiem, słabym i omylnym. I mimo że popełniłem w życiu wiele błędów i zawiodłem wielu ludzi, nigdy z własnej woli nie zawiódłbym ciebie. Chcę więc, żebyś mnie wysłuchał, proszę cię, posłuchaj synu, chcę, żebyś poznał swojego ojca. Wróc wraz ze mną do początku, do samego początku. Żebyśmy mogli stać się z jednej pamięci, tak jak jesteśmy z jednego ciała, z jednej krwi i serca.

Dzień przeprowadzki 1 czerwca 1925

Cofam się myślą do początków pamięci, do moich ósmych urodzin. Siedziałem w szoferce wozu meblowego śledząc w napięciu tablice z nazwami ulic. Przy jednej z nich samochód zwolnił.

- To ta ulica? - zapytał kierowca siedzącego obok mnie Murzyna.

Potężny czarnuch obrócił się w moją stronę.

- To ta ulica, chłopcze? - zapytał, w twarzy błysnęły mu duże białe zęby.

Prawie zaniemówiłem z emocji.

- To tu - wykrztusiłem z trudem. Skręcałem się z niecierpliwości, żeby zobaczyć ulicę. Rozpoznawałem domy, wszystkie jednakowe, ze smukłym, młodym drzewkiem rosnącym przed każdym z nich. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak w dniu, w którym przyjechałem tutaj z mamą i ojcem, w dniu, w którym kupili dla mnie dom na urodziny.

Wszyscy się wtedy uśmiechali, nawet pośrednik, który sprzedał ojcu dom. Ale ojciec nie żartował. Traktował sprawę serio. I powiedział pośrednikowi, że dom musi być gotowy do pierwszego czerwca, bo to są moje urodziny, a dom jest prezentem urodzinowym.

I był gotów pierwszego, tak jak chciał ojciec, był właśnie

pierwszy czerwca, moje ósme urodziny i właśnie się wprowadzaliśmy.

Ciężarówka skręciła wolno w ulicę. Słyszałem cichy chrzęst żwiru pod kołami, kiedy samochód zjechał z twardej nawierzchni. Moja nowa ulica nie była jeszcze wybrukowana. Była wysypana białoszarym żwirem. Kamienie wyrzucane spod kół grzechotały o błotniki.

Podskoczyłem we wnętrzu szoferki.

- To tutaj! - krzyknąłem, pokazując palcem. - To mój dom! Ten ostatni! Jedyny wolno stojący!

Ciężarówka potoczyła się w kierunku domu. Zobaczyłem nasz samochód stojący na podjeździe. Mama i moja siostra Miriam, starsza ode mnie o dwa lata, przyjechały przed nami, żeby przywieźć chleb, sól i wszystko przygotować.

Mama chciała, żebym przyjechał z nią, ale ja wolałem jechać ciężarówką i kierowca powiedział, że mogę.

Samochód toczył się jeszcze, kiedy usiłowałem otworzyć drzwi, ale Murzyn położył rękę na klamce.

- Poczekaj chwilę - powiedział uśmiechając się. - Będziesz miał mnóstwo czasu.

Puścił drzwi, kiedy samochód stanął. Gramoląc się z szoferki poślizgnąłem się na stopniu i rozciągnąłem jak długi na ulicy. Usłyszałem wymamrotane nade mną przekleństwo, a potem czyjeś silne dłonie postawiły mnie na nogi. Przy uchu słyszałem głęboki głos czarnego.

- Nie potłukłeś się, chłopcze?

Potrząsnąłem głową. Nie mogłbym się odezwać, nawet gdybym chciał; byłem zbyt pochłonięty patrzeniem na dom. Był w połowie z czerwono-brązowej cegły, a w połowie oszalowany brązowym gontem aż po dach. Na dachu gont był czarny, zaś przed domem znajdowało się coś w rodzaju werandy jakby taras. Był to najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałem. Odetchnąłem głęboko przepełniony dumą i zerknąłem w dół ulicy, sprawdzając czy ktoś patrzy. Nikogo nie było. Wprowadziliśmy się pierwsi.

Murzyn stał obok mnie.

- Nie ma co, ładna chałupa - powiedział. - Szczęściarz z ciebie.

Uśmiechnąłem się do niego z wdzięcznością, chociaż kiedy

powiedziałem mu, że tato dal mi go na urodziny, drwił tak samo jak inni.

Potem biegłem po schodach i waliłem w drzwi krzycząc:

- Mamo! Mamo! Już jestem!

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich mama, w chustce na głowie. Przepchnąłem się obok niej i zatrzymałem dopiero na środku pokoju. Wszystko tu pachniało nowością. Farba na ścianach, drewno na schodach, wszystko było nowe. Słyszałem, jak mama pyta kierowcę dlaczego trwało to tak długo. Przeoczyłem jego odpowiedź zajęty oglądaniem schodów. Mama wróciła do pokoju mówiąc coś o tym, że przeciągają robotę, bo płaci się im za godziny. Chwyliłem ją za rękę.

- Mamo, gdzie jest mój pokój?

Po raz pierwszy w życiu miałem dostać własny pokój. Przedtem dzieliłem go z siostrą. I pewnego ranka, zanim jeszcze tato zdecydował, że kupi dla mnie dom, mama weszła do naszego pokoju w chwili, gdy siedziałem na łóżku i patrzyłem, jak Mimi się ubiera. Mama spojrzała na mnie i jeszcze tego samego dnia przy śniadaniu powiedziała nam, że kupujemy dom i wtedy będę miał swój własny pokój.

Teraz oswobodziła rękę z uścisku.

- Pierwszy od schodów, Danny - odpowiedziała podekscytowana. - I nie płacz się pod nogami, mam mnóstwo roboty.

Popędziłem po schodach, bębniąc głośno obcasami. Na górze zatrzymałem się na chwilę niezdecydowany, rozglądając się dookoła.

Rodzice zajęli duży pokój naprzeciwko, dalej był pokój Mimi, a potem mój. Otworzyłem drzwi i ostrożnie wszedłem do środka. Pokój był mały, szeroki na trzy metry i długi na cztery. Miał dwa okna i mogłem zobaczyć przez nie okna domu stojącego po drugiej stronie ulicy. Odwróciłem się i zamknąłem drzwi. Przeszedłem przez pokój i przyłożyłem twarz do szyby próbując wyrzeć na zewnątrz. Niewiele mogłem zobaczyć, więc otworzyłem okno.

Wyrzależ na ulicę biegnącą między domami. Bezpośrednio pod sobą ujrzałem dach paige'a, nowego samochodu taty, dalej za domem - garaż. Za garażem nie było już nic, tylko pola. To była nowa dzielnica Flatbush. Jeszcze niedawno było

tu wysypisko śmieci, ale wchłonęło je miasto. Zaraz za rogiem budowały się następne domy, takie same jak nasz. Mógłbym je zobaczyć, gdybym wychylił się dostatecznie głęboko.

Wróciłem na środek pokoju. Powoli obracałem się wkoło, badając wzrokiem każdą ścianę.

- Mój pokój, to jest mój pokój - powtarzałem w kółko. Czułem jak coś ściska mnie za gardło. Było to dziwne uczucie. Podobnie czułem się przy trumnie dziadka, kiedy trzymając ojca za rękę, patrzyłem na małą czarną myckę na głowie i zastygłą białą, wstrząsającą twarz na tle białego prześcieradła. Głos ojca był bardzo cichy.

- Spójrz na niego, Danny - mówił bardziej do siebie niż do mnie. - To jest kres drogi każdego człowieka, patrzymy na niego po raz ostatni.

Potem ojciec pochylił się i pocałował zastygłą twarz w trumnie, a ja zrobiłem to samo. Wargi dziadka były lodowato zimne i nie drgnęły pod dotknięciem moich. Coś z ich zimna przeniknęło do mojego ciała.

Przy trumnie stał mężczyzna z nożyczkami. Tata rozchylił marynarkę i mężczyzna odciął kawałek jego krawata.

Potem pytająco spojrzał na mnie. Ojciec skinął głową.

- To jego krew - powiedział po hebrajsku. Więc mężczyzna odciął także kawałek mojego krawata i wtedy poczułem, że coś ściska mnie za gardło. To był nowy krawat, miałem go na sobie po raz pierwszy. Teraz nie nadawał się do niczego. Spojrzałem na tatę. Znowu wpatrywał się w trumnę, a jego usta poruszały się bezgłośnie. Nie mogłem usłyszeć ani jednego słowa. Pozwolił, żeby moja ręka wysunęła się z jego dłoni, a ja pobiegłem do mamy, ciągle z tym samym uczuciem ściskania w gardle. I w tej chwili czułem to samo.

Nagle rzuciłem się na podłogę i przycisnąłem do niej policzek. Podłoga wydawała się chłodna, zapach świeżego lakieru kręcił w nosie i szczypał w oczy. Przymknąłem powieki i leżałem tak przez jakiś czas. Potem uniosłem głowę i przycisnąłem usta do chłodnej podłogi.

- Kocham cię - wyszeptalem - jesteś najpiękniejszym domem na całym świecie, jesteś mój i kocham cię.

- Danny, co ty tam robisz na podłodze?

Zerwałem się na równe nogi i spojrzałem w stronę drzwi. Stała w nich Miriam. Podobnie jak mama, na głowie miała chustkę.

- Nic - odpowiedziałem niepewnie.

Patrzyła na mnie dziwnie. Wiedziałem, że nie rozumie, co mogłem robić na podłodze.

- Mama mówi, żebyś zszedł na dół i nie plątał się pod nogami - powiedziała z ważną miną. - Zaraz będą wnosić meble.

Zszedłem z nią do salonu.

Nowość domu zaczynała się zacierać. Na schodach widać było ślady zdartej butami farby. W salonie były już meble, a dywan zrolowany na bambusowym kiju oparty w kącie o ścianę gotowy do rozłożenia.

Mama stała na środku pokoju. Na twarzy miała rozmazane smugi kurzu.

- Mogę w czymś pomóc, mamó? - zapytałem.

Za plecami usłyszałem szydercze parsknięcie Miriam. Nie lubiła chłopców i uważała, że nie na wiele mogą się przydać. Doprowadzało mnie to do wściekłości.

- Mogę, mamó? - zapytałem jeszcze raz. - Uśmiechnęła się do mnie i jak zwykle, kiedy to robiła jej twarz nabrała miękkości. Lubilem, kiedy się uśmiechała. Położyła rękę na mojej głowie i pociągnęła mnie żartobliwie za włosy.

- Nie, blondasku. Dlaczego nie pójdziesz na dwór? Zawołam cię, jak będziesz mi potrzebny.

Oddałem jej uśmiech. Wiedziałem, że lubi mówić do mnie „blondasku”. Wiedziałem również, że doprowadza to Mimi do białej gorączki. Ja jeden w rodzinie miałem jasne włosy, wszyscy pozostali byli brunetami. Tato dokuczał tym mamie od czasu do czasu, a ją to bardzo gniewało, nie wiem dlaczego.

Pokazałem Mimi język i wyszedłem na dwór. Mężczyźni rozładowali ciężarówkę i meble stały na ulicy.

Przyglądałem się im przez chwilę. Był ciepły dzień i czarny zdjął koszulę. Patrzyłem jak mięśnie drgają pod jego czarną skórą. Pot ściekał mu po twarzy, bo odwalał sam całą robotę; biały albo ucinał sobie pogawędkę, albo mówił mu, co ma robić.

Gapienie się na nich szybko mi się znudziło i po chwili

przeniosłem wzrok na skrzyżowanie. Byłem ciekaw, jak wygląda okolica. Otwarte pola rozciągające się za domem, te same, które widziałem z okna swojego pokoju, budziły moją ciekawość. Tam gdzie dotąd mieszkaliśmy, nie było otwartych przestrzeni, tylko wielkie, brzydkie kamienice.

Przez otwarte drzwi naszego domu widziałem mamę, zapytałem czy mogę wyjść na ulicę, ale była bardzo zajęta i nie odpowiedziała. Zszedłem z werandy i skierowałem się w stronę skrzyżowania. Czułem zadowolenie i dumę, że dom jest taki piękny, a dzień taki ładny. Miałem nadzieję, że wszystkie moje urodziny będą równie przyjemne.

Szczekanie psa usłyszałem zaraz za rogiem. Spojrzałem w tamtą stronę, ale nie mogłem określić miejsca, skąd dochodziło.

Dzielnica była jeszcze w budowie, nazywali ją Hyde Park, była to wschodnia część Brooklynu. Szedłem wzdłuż szeregu na wpółwykończonych domów, ich nagie, drewniane szkielety błyszczały w popołudniowym słońcu.

Minąłem jeszcze jedną przecznice i domy zostały poza mną. Tutaj nie było już nic, z wyjątkiem otwartych pól.

Szczekanie psa stało się nieco głośniejsze, ale nadal nie wiedziałem, skąd dochodzi. To zadziwiające, jak daleko niosą się dźwięki na otwartej przestrzeni. Tam, gdzie mieszkaliśmy poprzednio, przy aptece taty, nie można było usłyszeć nawet tego, co działo się za najbliższym rogiem. Pola rozciągające się dalej nie były jeszcze wyrównane, pokrywała je sieć dołów biegnących od jednego skrzyżowania do drugiego. Pomyślałem, że tu także zaczną budować, jak tylko zasypią dziury.

Wiedziałem już, skąd pochodzi skowyt psa: zza następnej przecznicy. Zobaczyłem tam dwóch chłopców stojących nad jednym z dołów. Zaglądali do środka. Pies musiał wpaść do wykopu.

Przyspieszyłem kroku i po chwili stałem już przy nich. Mały brązowy pies skowyczał, próbując wydostać się na górę. Docierał do połowy ściany i spadał. Wtedy właśnie skowyczał najgłośniejsze, tocząc się w dół. A chłopcy wybuchali śmiechem. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego. Nie było w tym nic zabawnego.

- To wasz pies? - zapytałem.

Obejrzeni się na mnie, ale żaden się nie odezwał. Powtórzyłem pytanie.

- Co cię to obchodzi? - odpowiedział pytaniem starszy. Było coś w jego głosie, co sprawiło, że poczułem się nieswojo. Nie był przyjaźnie nastawiony, co do tego nie miałem wątpliwości.

- Tylko pytam - powiedziałem.

Podszedł do mnie lekko rozkołysanym krokiem. Był ode mnie większy.

- A ja pytam co cię to obchodzi - głos miał jeszcze twardszy niż poprzednio.

Cofnąłem się o krok. Żałowałem, że wyszedłem z domu. Mama powiedziała tylko, żebym nie plątał się pod nogami, dopóki robotnicy nie wniosą mebli.

- Czy to twój pies? - spróbowałem jeszcze raz, siląc się na uśmiech. Nie chciałem, aby drżał mi głos.

Przysunął do mnie twarz. Patrzyłem mu prosto w oczy.

- Nie - odpowiedział.

- Aha - popatrzyłem znów na psa. Nadal usiłował wydostać się z wykopu.

- Skąd jesteś? - zapytał chłopak. - Nigdy cię tutaj nie widziałem.

Spojrzałem na niego.

- Z Czterdziestej Ósmej Wschodniej. Właśnie się wprowadziliśmy. Do tych nowych domów. Jesteśmy pierwsi na całej ulicy.

Jego twarz była ciemna i groźna.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Danny Fisher. A ty?

- Paul, a to jest mój brat Eddy.

Milczeliśmy przez chwilę, patrząc na psa. Udało mu się wdrapać do połowy ściany, zanim spadł. Paul się roześmiał.

- Śmieszne, ten głupi kundel nie ma nawet tyle rozumu, żeby wyjść.

- To wcale nie jest śmieszne - powiedziałem. - A jeżeli on nigdy nie wyjdzie?

- No to co? - parsknął. - Należy mu się za to, że tam wlaźł.

Nie odpowiedziałem. Staliśmy na skraju dziury, patrząc w dół na psa.

Usłyszałem jakiś ruch za plecami. To był Eddie. Wyglądał na młodszego ode mnie. Uśmiechnąłem się do niego, a on odwzajemnił uśmiech. Paul obszedł mnie i stanął przy Eddie. Było coś w jego ruchach, co spowodowało, że obaj przestaliśmy się uśmiechać. Eddie robił wrażenie, jakby czuł się winny. Byłem ciekaw dlaczego.

- Do jakiej szkoły chodzisz? - zapytał Paul.

- Nie wiem, chyba do tej koło Utica, na Avenue D.

- Do której klasy?

- Czwartej.

- Ile masz lat?

- Osiem - odpowiedziałem z dumą. - Dzisiaj są moje urodziny. Dlatego się przeprowadziliśmy. Tato kupił mi dom w prezencie.

Paul parsknął pogardliwie. Było jasne, że nie zrobiłem na nim wrażenia.

- Bystry jesteś, co synek? Chodzę do tej samej klasy co ty, chociaż jestem o rok starszy.

- No, opuściłem trzecią - wyjaśniłem ze skruchą. Jego oczy zrobiły się zimne i czujne.

- Będiesz chodził do Świętego Serca? Byłem zaintrygowany.

- Co to jest?

- Kościół Świętego Serca.

- Nie - potrząsnąłem głową.

- Świętego Krzyża? - pytał dalej. - To ten duży kościół przy cmentarzu.

- Przy jakim cmentarzu?

Zaczynałem czuć się nieswojo. Nie chciałem odpowiadać na te pytania. Nie wiedziałem, dlaczego przywiązują do nich taką wagę.

Paul machnął ręką w stronę Charendan Road. Przecznicę dalej zobaczyłem płot z czarnych żelaznych prętów otaczający cmentarz.

- Nie - powiedziałem.

Milczał przez chwilę, próbując to sobie uświadomić.

- Czy ty nie wierzysz w Boga? - zapytał w końcu.

- Oczywiście, że wierzę - odparłem. - Ale nie chodzę do kościoła.

Przyjrzał mi się sceptycznie.

- Nie chodzisz do kościoła, więc nie wierzysz w Boga - stwierdził z naciskiem.

- Wierzę! - upierałem się. Czulem łyzy gniewu napływające do oczu. Nie miał prawa tak mówić. Podniosłem wysoko głowę.

- Jestem Żydem! - głos miałem piskliwy. - Chodzę do synagogi.

Bracia popatrzyli na siebie z nagłym błyskiem zrozumienia w oczach. Ich twarze zmieniły się we wrogie, nieprzeniknione maski.

Paul zrobił krok w moją stronę. Cofnąłem się odruchowo. Serce waliło mi jak młotem. Nie wiedziałem, co takiego powiedziałem, że się wściekli. Twarz Paula była tuż przy mojej.

- Dlaczego zabiłeś Chrystusa? - warknął. Byłem przerażony brutalnością jego głosu.

- Nie zabiłem - wykrztusiłem. - Nawet go nie znałem.

- Zabiłeś! - głos Eddiego był cieńszy niż głos jego brata, ale równie brutalny. - Ojciec nam mówił! Powiedział, że Żydzi Go zabili i ukrzyżowali. I mówił, że to Żydki wprowadzają się do nowych domów.

Próbowałem ich udobruchać.

- Może zabili Go jacyś inni Żydzi, których nie znam. Moja mama zawsze mówiła, że On był Królem Żydowskim - powiedziałem pojednawczo.

- A i tak Go zabili - upierał się Paul. Zastanawiałem się przez chwilę. Pies zaczął wyć, ale bałem się spojrzeć w tamtą stronę. Postanowiłem zmienić temat.

- Może powinniśmy go stamtąd wyciągnąć?

Nie odpowiedzieli. Nadal byli wściekli. Starąłem się wymyślić coś, co by ich zadowoliło.

- Może zabili Go, bo był złym królem? - zasugerowałem. Twarze im pobladły. Przeraziłem się i zrobiłem w tył zwrot szykując się do ucieczki, ale nie byłem dostatecznie szybki. Paul złapał mnie za rękę i przycisnął mi je do ciała.

Usiłowałem się wykręcić, ale było to beznadziejne. Zacząłem płakać.

Na twarzy Paula pojawił się pogardliwy uśmiech. Odsunął się ode mnie.

- Chcesz wyciągnąć psa? - zapytał.

Wytarłem twarz rękawem, usiłując powstrzymać łkanie.

- T-tak.

Wziął głęboki oddech, nadal się uśmiechał.

- W porządku, Żydku, więc idź po niego!

Ruszył na mnie znienacka z rękami wyciągniętymi przed siebie. W panice usiłowałem umknąć poza ich zasięg, ale uderzył mnie w pierś i straciłem oddech.

A potem spadałem, coraz niżej i niżej po ścianie wykopu. Chciałem uchwycić się czegoś i zatrzymać, ale ściana była gładka. Uderzyłem o ziemię i leżałem przez jakiś czas starając się odzyskać oddech. Gdzieś obok usłyszałem pełne szczęścia popiskiwanie, a potem ciepły język przejechał mi po twarzy. Usiadłem. Mały brązowy pies, właściwie szczeniak, lizał mnie po twarzy merdając ogonem i wydając z siebie radosne piski.

Podniosłem się na nogi i spojrzałem w górę. Byłem zły na siebie za to, że płakałem, ale pies wydawał się tak szczęśliwy, więc przestałem się bać.

Paul i Eddie patrzyli na mnie z góry. Pogroziłem im pięścią.

- Podłe bękarty! - krzyknąłem. Było to najgorsze przekleństwo, jakie znałem.

Widziałem jak schylają się, podnosząc coś z ziemi. W chwilę potem spadł na nas deszcz żwiru i kamieni. Pies zaskowyczał z bólu. Osłoniłem głowę ramionami, ale trafili mnie. Spojrzałem w górę.

- Dostanę was za to! - krzyknąłem. Roześmiali się drwiąco.

- Żydowski skurwysyn! - wrzasnął Paul.

Podniosłem kamień i rzuciłem w górę, ale nie doleciał. Za to spadła na nas następna seria kamieni. Tym razem nie zdążyłem zasłonić głowy i jeden z nich rozciął mi policzek. Podniosłem go z ziemi i cisnąłem w górę, ale znów za lekko. Widziałem, jak zbierają następną ładunek.

Uciekłem na środek wykopu, gdzie nie mogli mnie już dosięgnąć. Pies biegł przy mnie. Usiadłem na głazie. Pies

przyszedł do mnie, podrapałem go po łebku. Wytarłem twarz rękawem i spojrzałem w kierunku braci. Wrzeszczeli coś wygrażając pięściami, ale nie mogłem ich usłyszeć. Pies siedział przy moich nogach merdając ogonem i patrząc mi w oczy. Przytuliłem twarz do jego pyska.

- Wszystko w porządku, piesku - wyszeptałem. - Wydostaniemy się stąd, jak sobie pójdą.

Wstałem z kamienia i zagrałem im na nosie. Rozwścieczyło to ich jeszcze bardziej, ciągle rzucali kamieniami, ale tylko się śmiałem. Nie mogli mnie dosięgnąć.

Słońce zaczynało już zachodzić, kiedy w końcu zniknęli. Siedziałem na kamieniu czekając. Czekałem blisko pół godziny, zanim zdecydowałem, że naprawdę poszli. Przez ten czas zrobiło się prawie zupełnie ciemno.

Wróciłem pod ścianę i spojrzałem w górę. Była dosyć wysoka i stroma, ale nie przewidywałem większych trudności z wydostaniem się na zewnątrz. Było tam sporo kamieni i krzaków, które można było wykorzystać jako oparcie. Wybrałem sobie duży kamień i zacząłem wspinaczkę na rękach i kolanach, żeby się nie ześlizgnąć. Przebyłem w ten sposób może z półtora metra, kiedy usłyszałem dochodzące z dołu popiskiwanie. Spojrzałem w dół.

Pies siedział w dziurze spoglądając na mnie jasnymi, błyszczącymi oczyma. Kiedy zobaczył, że na niego patrzę, szczechnął ostro, radośnie.

- No włąź, na co czekasz! - zawołałem.

Skoczył na ścianę i ruszył w moim kierunku. Tak jak i ja posuwał się na brzuchu. Był już prawie przy mnie, kiedy zaczął się ześlizgiwać. Chwyciłem go za skórę na karku i przyciągnąłem do siebie. Zapamiętałem merdał ogonem.

- No, dalej! - powiedziałem. - Wychodzimy stąd. Ruszyłem znów w górę i udało mi się przebyć następny metr, ale kiedy obejrzałem się na psa, wisiał w tym samym miejscu, gdzie go zostawiłem. Patrzył na mnie kuląc ogon pod siebie. Zawołałem go. Machnął ogonem, ale się nie ruszył.

- Co jest? Boisz się?

Machnął ogonem. Nie miał zamiaru drapać się w górę, więc wróciłem do swojej wspinaczki.

Przebyłem następny metr, kiedy zaczął skowyczeć wysokim piskliwym głosem. Spojrzałem w dół. Uspokoił się natychmiast i machnął ogonem.

- No dobrze - zgodziłem się. - Zejdę po ciebie. Ześlizgnąłem się ostrożnie do miejsca, w którym leżał i chwyciłem go za kark. Trzymając go jedną ręką, wspinałem się w górę centymetr po centymetrze. Wejście do połowy zbocza zajęło mi prawie piętnaście minut. Po każdym kroku wciągałem za sobą psa. W połowie drogi przystanąłem, żeby złapać oddech. Ręce i twarz miałem umazane ziemią, spodnie i koszulę podarte. Obaj, pies i ja uczepiliśmy się zbocza bojąc się poruszyć.

Po paru minutach ruszyliśmy znowu w górę. Byliśmy już prawie na szczycie, kiedy obsunął się pode mną kamień i zacząłem spadać. Przerazony puściłem psa i wczepiłem się rękoma w zbocze. Obsunąłem się nie więcej niż metr, kiedy poczułem, że moje ręce znajdują oparcie. Pies skamlał. Kiedy się obróciłem, żeby zobaczyć co się z nim dzieje, już go nie było.

Spojrzałem na dno wykopu. Właśnie gramolił się na nogi. Popatrzył w górę na mnie i zaszczekał. Ale kiedy odwróciłem się od niego i ruszyłem naprzód, zaczął piszczeć. Starłem się nie słyszeć cichych, pełnych żalości nawoływań dobywających się gdzieś z głębi jego piersi. Biegał tam i z powrotem, przystając niemal co sekunda, żeby na mnie szczebrać. Wydawało mi się, że kuleje. Zawołałem go. Zatrzymał się i spojrzał na mnie przekrzywiając łeb.

- No dalej, bracie!

Zaatakował ścianę, próbując doczołgać się do mnie, ale się zsunął w dół. Zawołałem go jeszcze raz i znowu spadł. W końcu przysiadł na ziemi, wyciągnął do mnie łapę i zaszczekał.

Ześlizgnąłem się w dół. Rzucił się do mnie merdając ogonem. Podniosłem go, żeby obejrzeć mu łapę, zostawiła krwawy ślad na mojej koszuli. Poduszki były starte i pocięte kamieniami.

- W porządku, piesku - uspokoilem go. - Wyjdziemy stąd razem. Nie zostawię cię tutaj.

Chyba zrozumiał, bo jego ogon zataczał pełne szczęścia

kęgi, a mokry, delikatny język wylizywał mi twarz. Postawiłem go na ziemi i obszedłem wykop w poszukiwaniu łagodniejszego wejścia. Pies biegł tuż obok nie spuszczać ze mnie oczu. Miałem nadzieję, że mama pozwoli mi go zatrzymać.

Było już prawie ciemno. Zrobiliśmy jeszcze jedną próbę wdrapania się na górę, ale było to beznadziejne. Nie doszedłem nawet do połowy zbocza. Byłem bardzo zmęczony i głodny. Zdawałem sobie sprawę, że sami nie damy rady. Nie było sensu nawet próbować, dopóki nie wzejdzie księżyc.

Usiadłem na kamieniu pośrodku wykopu starając się coś wymyślić. Mama będzie zła, że nie przyszedłem na kolację. Zrobiło się chłodno. Drżałem z znużenia. Chciałem zapiąć koszulę pod szyję, ale guzik był urwany.

Jakiś szaroczarny kształt otarł się o mnie w ciemności. Pies warknął i kłapnął za nim zębami. Nagle zacząłem się bać. W dole były szczury. Przytuliłem się do psa i zacząłem płakać. Nigdy stąd nie wyjdziemy. Następny szczur przebiegł koło nas w ciemnościach.

Z krzykiem rzuciłem się na ziemię, zbyt wyczerpany, aby się poruszyć. Miałem mokre spodnie i było mi niewygodnie. Nabrałem powietrza i zacząłem krzyczeć.

- Mamo! Mamo!

Głos odbijał się głuchym echem o ściany wykopu. Krzyczałem, dopóki mój głos nie zmienił się w chrapliwy, ledwo słyszalny pisk. Nie było odpowiedzi.

Wszedł księżyc i jego białe światło rzucało głębokie cienie. Noc ożyła dziwnymi dźwiękami i niesprecyzowanym ruchem. Podnosiłem się właśnie z ziemi, kiedy nadbiegający szczur skoczył mi na pierś. Przewróciłem się krzycząc z przerażenia. Pies rzucił się za nim i chwycił go w powietrzu. Gniewnym podrzutem głowy skrzywił mu kark i odrzucił daleko od siebie.

Oparłem się plecami o ścianę wykopu, zbyt przerażony i zziębnięty, aby zrobić cokolwiek. Pies stał przede mną szczekając, sierść jeżyła mu się na grzbiecie. Echa rozbrzmiewały, jakby setki psów próbowały spłoszyć noc. Nie wiem, jak długo tak staliśmy. Oczy mi się kleiły,

walczyłem ze snem, ale na próżno. Osunąłem się na ziemię, półprzytomny ze zmęczenia.

Jednak mama nie powinna być na mnie zła. To nie była moja wina. Gdybym nie był Żydem, Paul i Eddie nie wpełnęliby mnie do wykopu. Kiedy wydostanę się stąd, zapytam mamę, czy nie moglibyśmy być kimś innym. Może wtedy przestaną się na mnie gniewać. Ale w głębi duszy wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Nawet gdyby mama się zgodziła, ojciec nigdy się nie zmieni. Znałem jego upór. Nigdy nie zmieniał zdania. Prawdopodobnie dlatego przez te wszystkie lata pozostał Żydem. Nie, nic z tego nie wyjdzie.

Mama będzie bardzo zła. Szkoda, myślałem zapadając w sen, szkoda, że to musiało się stać po tak miłym dniu.

Ujadanie psa nasiliło się, usłyszałem swoje imię wplecione w chrapliwe echo jego głosu. Chciałem zobaczyć, co się dzieje, ale nie mogłem otworzyć oczu, byłem zbyt zmęczony.

Głos stawał się wyraźniejszy, bardziej natarczywy.

- Danny! Danny!

Patrzyłem przed siebie, niesamowite światło księżycy rzucało na dno dołu zwariowane cienie. Czyjś głos nadal wołał mnie po imieniu. Wstałem z wysiłkiem, próbując odpowiedzieć, ale nie mogłem wydobyć głosu. Z gardła wydobywał się tylko słaby, ochryply szept. Pies czekał jak oszalały. Usłyszałem głosy na skraju wykopu. Ujadanie psa stało się jeszcze bardziej przenikliwe i zapamiętałe.

Do wykopu wpadł strumień światła, szukał mnie przesuwając się po dnie. Wiedziałem, że nie słyszą mojego szeptu, więc biegłem za światłem próbując dostać się w jego krąg. Pies deptał mi po piętach ujadając.

Potem zalało mnie światło, stałem nieruchomo osłaniając oczy przed jego blaskiem.

- Jest tutaj - krzyknął jakiś mężczyzna.

W ciemnościach nade mną usłyszałem jeszcze jeden głos.

- Danny! Danny! - To był głos mojego ojca. - Nic ci się nie stało?!

Słyszałem, jak ześlizguje się po zboczu. Biegłem do niego płacząc, chwycił mnie w ramiona. Drżał. Na twarzy czułem jego pocałunki.

- Danny, nic ci się nie stało?

Przytuliłem się do jego ramienia. Twarz miałem podrapaną, ale dotyk szorstkiej marynarki sprawił mi przyjemność.

- Nic mi nie jest, tato - mówiłem między jednym szlochem a drugim. - Ale mama będzie zła, zsiusiałem się w spodnie.

Coś jakby śmiech wydostało się z jego piersi.

- Nie będzie zła - zapewnił. Spojrzał w górę.

- Wszystko w porządku - zawołał - zrzućcie linę, wyciągamy go.

- Nie zapomnij o psie, tato. Musimy go zabrać. Ojciec pochylił się i podrapał psa między uszami.

- Oczywiście, że go zabierzemy - powiedział - gdyby nie on, nie wiedzielibyśmy, że tu jesteś.

Nagle obrócił się i spojrzał na mnie.

- Czy to on jest powodem, że się tu znalazłeś? - zapytał. Potrząsnąłem głową.

- Paul i Eddie wepchnęli mnie tutaj, bo jestem Żydem. Ojciec spojrzał na mnie dziwnie. Kiedy koniec liny uderzył o ziemię, pochylił się, żeby go podnieść. Z trudem rozróżniłem słowa, które wyszeptał pod nosem.

- Dzielnica inna, ale ludzie tacy sami.

Nie wiedziałem, co miał na myśli. Obwiązał się w pasie liną, jedną ręką podniósł mnie, drugą psa. Lina napreżyła się i ruszyliśmy w górę po ścianie wykopu.

- Tato, nie gniewasz się, prawda?

- Nie, Danny, nie gniewam się.

Milczałem przez chwilę, podczas gdy posuwaliśmy się w górę, cal po calu.

- Więc mogę zatrzymać psa? - zapytałem. - Jest taki miły. Musiał wiedzieć, że o nim mówię. Walił ojca ogonem po plecach.

- Nazwiemy go Rexie Fisher - dodałem.

Ojciec spojrzał na szczeniaka, a potem na mnie. Zaczął się śmiać.

- Chciałeś powiedzieć, że nazwiemy ją Rexie Fisher. To nie on, to ona.

Pokój był ciemny, leżałem w łóżku rozgrzany i oszołomio-

ny kąpielą. Noc rozbrzmiewała nowymi dźwiękami; płynęły zza okna, z nowego otoczenia nowe dźwięki, z którymi trzeba będzie żyć.

Słuchałem ich z szeroko otwartymi oczyma, ale nie napawały mnie lękiem. Nie miałem się czego bać. Byłem we własnym domu, i własnym pokoju. Nagle oczy zaczęły mi się kleić. Przewróciłem się na bok muskając ręką ścianę. Była szorstka od świeżej farby.

- Kocham cię, domie - wyszeptałem w półśnie.

Pod łóżkiem poruszyła się Rexie, opuściłem rękę i we wnętrzu dłoni poczułem jej wilgotny nos. Podrapałem ją między uszami. Sierść miała wilgotną i chłodną. Mama kazała tacie ją wykapać, zanim pozwoliła jej wejść do mojego pokoju.

Teraz Rexie lizała mnie po palcach.

- Ciebie też kocham, Rexie - wyszeptałem. Ogarnęło mnie uczucie ciepła, bezpieczeństwa i przynależności do tego miejsca. Czuję, jak ostatni ślad napięcia znika z mego ciała i pogrążyłem się w pustkę.

Byłem w domu. I tak, pierwszy zapamiętany przeze mnie dzień zamienił się w przeszłość, a wszystkie pozostałe stały się przyszłością.

Księga pierwsza

Wszystkie dni mojego życia

1

Na zamkniętych powiekach poczułem ciepłe dotknięcie słońca. Na wpółzirowany zasłoniłem oczy ramieniem i poruszyłem się niespokojnie na poduszce. Przez chwilę było mi przyjemnie; potem blask jakby wślizgnął się pod moje ramię i przeniknął mnie na wskroś. Przestałem się przed nim chować i usiadłem przecierając oczy. Byłem już przytomny.

Przeciągnąłem się. Ziewnąłem. Odgarnąłem włosy z czoła i spojrzałem sennie w stronę okna. Był jasny, pogodny poranek. Miałbym ochotę jeszcze pospać, ale okna mojego pokoju wychodziły na wschód i pierwsze promienie słoneczne padały mi na twarz.

Rozejrzałem się leniwie po pokoju. Moje ubranie leżało zmięte na krześle. Pozbawiona połowy strun rakietka tenisowa, której nie miałem jakoś okazji naprawić, stała oparta o toaletkę. Stary budzik umieszczony na toaletce obok grzebienia i szczotki wskazywał siódmą piętnaście. Czerwono-biały proporzec szkoły średniej imienia Erasmusa wisiał nad lustrem zasłaniając je częściowo.

Wychyliłem się z łóżka w poszukiwaniu rannych pantofli. Nie było ich. Uśmiechnąłem się do siebie. Wiedziałem gdzie mogą być. Rexie wpychała je zazwyczaj pod łóżko i robiła sobie z nich poduszkę. Sięgnąłem pod łóżko, żeby ją pogłaskać. Podniosła łeb i leniwie machnęła ogonem. Podrapałem ją jeszcze raz i odebrałem jej kaptcie. Potem wstałem i wsunąłem w nie stopy. Rexie zamknęła oczy i ponownie zasnęła.

Podchodząc do otwartego okna, usłyszałem niewyraźne odgłosy dobiegające z pokoju rodziców. Przypomniały mi, że dzisiaj jest ten wielki dzień: mój *bar-micwa*. Poczulem pełen podniecenia niepokój. Miałem nadzieję, że nie zapomnę żadnego z zawitych rytuałów hebrajskich wyuczonych specjalnie na tę okazję.

Stałem przy otwartym oknie oddychając głęboko. Liczyłem wolno, wdech - raz, dwa, trzy, cztery, wydech - raz, dwa, trzy, cztery. Po chwili poczułem, że zdenerwowanie mija. Wszystko będzie w porządku, niczego nie zapomnę. Nie odchodząc od okna, ściągnąłem przez głowę górę od piżamy i rzuciłem za siebie na łóżko. *Bar-micwa*, czy nie - i tak muszę zrobić ćwiczenia na rozwój mięśni, albo nigdy nie będę ważył dostatecznie dużo, aby jesienią ubiegać się o miejsce w drużynie futbolowej.

Wyciągnąłem się na podłodze, zrobiłem dziesięć pompek, potem podniosłem się i zacząłem wykonywać skłony. Popatrzyłem na siebie. Ostro odznaczały się wątle, napięte mięśnie. Mógłbym policzyć zebra. Przyjrzałem się badawczo klatce piersiowej, sprawdzając czy przez noc nie pojawiły się na niej prawdziwe włosy, ale rósł tam ciągle ten sam złoty meszek. Pragnąłem czasami, aby moje włosy nie były jasne, tylko czarne jak włosy Paula. Byłyby wtedy bardziej widoczne.

Skończyłem przysiady i z kąta pokoju wyciągnąłem parę maczug. Wróciłem do okna i zacząłem robić wymachy. Usłyszałem trzask kontaktu i powódź światła zalała pokój po drugiej stronie ulicy. Niemal instynktownie opadłem na kolana i ostrożnie zerknąłem znad parapetu.

Był to pokój Marjorie Ann Conlon. Najbliższej przyjaciółki Mimi. Czasami żaluzje w pokoju były podniesione i mogłem się jej dobrze przyjrzeć. Byłem zadowolony, że ich okna wychodzą na zachód, bo dzięki temu musiała rano zapalać światło. Wyjrzałem ostrożnie znad parapetu i wstrzymałem oddech. Żaluzje były podniesione. Zapomniała o nich już po raz trzeci w tym tygodniu. Ostatnio kiedy ją podglądałem, miałem wrażenie, że ona o tym wie, musiałem więc zachowywać tym większą ostrożność. Była dziwną dziewczyną, drażniła się ze mną, a kiedy z nią rozmawiałem, wytrzeszczała

na mnie oczy. W ciągu ostatnich paru tygodni mieliśmy kilkanaście gorących kłótni prawie o nic i nie chciałem zapraszać jej na przyjęcie, ale Mimi się uparła.

Drzwi szafy w jej pokoju poruszyły się lekko i wyszła z nich Marjorie Ann. Nie miała na sobie nic z wyjątkiem majtek. Przystanęła na chwilę pośrodku pokoju, szukając czegoś. W końcu znalazła i pochyliła się w stronę okna, żeby to podnieść. Czuję, jak wilgotny pot występuje mi na czoło. Widziałem ją jak na dłoni.

Paul twierdził, że Marjorie Ann ma najlepszą figurę w okolicy. Nie mogłem się z nim zgodzić. Mimi była dużo zgrabniejsza. W każdym razie nie osiągała tak nieprawdopodobnych rozmiarów w biuście.

Paul zaproponował, żebyśmy wciągnęli dziewczyny do piwnicy i sprawdzili, ale powiedziałem mu, że jeżeli kiedykolwiek zrobi coś takiego, spiorę go na kwaśne jabłko.

Tylko się roześmiał, odpychając moją rękę.

- Nie chcesz, bo się boisz, że Mimi cię sypnie - powiedział. Marjorie Ann stała teraz zwrócona twarzą do okna, jakby mnie wypatrywała. Jeszcze bardziej pochyliłem głowę. Uśmiechała się do siebie zapinając stanik i poczułem się niepewnie. To był bardzo wiele mówiący uśmiech. Zastanawiałem się, czy ona wie, że na nią patrzę. W jej ruchach, kiedy kręciła się po pokoju, był pewien specyficzny rodzaj świadomości własnego ciała.

Już prawie zapięła stanik, kiedy na jej twarzy ukazał się wyraz niezadowolenia. Poruszyła ramionami i stanik zsunął się po rękach. Ujęła piersi w dłonie i podeszła bliżej do okna, jakby chciała przyjrzeć im się w świetle.

Serce waliło mi z podniecenia. Paul miał rację. Były wspaniałe. Podniosła głowę, znowu z dumnym uśmiechem na twarzy i wróciła na środek pokoju. Ostrożnie wślizgnęła się w biustonosz i zapięła go na plecach.

Usłyszałem głos Mimi.

Odwrociłem się błyskawicznie i wskoczyłem z powrotem do łóżka. Nie chciałem, żeby Mimi przyłapała mnie na podglądaniu. Rzuciłem szybkie, ukradkowe spojrzenie na okno i zobaczyłem, że w pokoju Marjorie Ann gaśnie światło. Odetchnąłem. To przesądzało sprawę. Miałem rację;

wiedziała, że na nią patrzę. Usłyszałem kroki zbliżające się do drzwi i zamknąłem oczy, udając że śpię.

- Danny? Śpisz? - dobiegł mnie głos Mimi.

- Teraz już nie - odpowiedziałem, siadając na łóżku i trąc oczy. - Czego chcesz?

Prześlizgnęła się wzrokiem po mojej nagiej piersi i ramionach. W jej oczach pojawił się podejrzliwy błysk. - Gdzie masz górę od piżamy? - zapytała. Potem wzrok jej padł na bluzę leżącą koło łóżka.

- Wstawiałeś już? - patrzyła mi prosto w twarz.

- Aha.

- I co robiłeś? - zapytała podejrzliwie. Jej wzrok powędrował w kierunku pokoju Marjorie Ann po drugiej stronie ulicy.

Zrobiłem wielkie, niewinne oczy.

- Ćwiczyłem - powiedziałem. - A potem wskoczyłem jeszcze na trochę do łóżka.

Widziałem, że ta odpowiedź jej nie satysfakcjonuje, ale nic nie powiedziała. Schyliła się i podniosła górę od piżamy, leżącą na podłodze. Cienka, nylonowa koszula, którą miała na sobie, opinała ciasno jej piersi. Nie mogłem oderwać od nich wzroku.

Mimi zauważyła na co patrzę i jej twarz spłonęła rumieńcem. Ze złością rzuciła piżamę na łóżko i ruszyła ku drzwiom.

- Mama kazała cię obudzić i przypomnieć, żebyś wziął prysznic - rzuciła przez ramię. - Nie chce, żebyś był brudny w dniu *bar-micwa*.

Wyskoczyłem z łóżka w tej samej chwili, kiedy zamknęły się za nią drzwi i zrzuciłem spodnie od piżamy.

Spojrzałem w dół. Byłem w dobrej kondycji, bez dwóch zdań. Jeszcze trzy kilo i będę kwalifikował się do drużyny futbolowej. Wiedziałem także, jak sobie poradzić z mrowieniem. Tym się nie martwiłem.

- Zimne prysznice - mawiał nauczyciel wf. w szkole. - Zimne prysznice, chłopcy.

I to właśnie miałem zamiar sobie teraz zaaplikować.

Zarzuciłem szlafrok i wyrząłem do holu. Żywej duszy. Drzwi łazienki były uchylone, ruszyłem w ich kierunku.

Drzwi do pokoju Mimi były także otwarte, słała łóżko.

Mijając je, zagrałem jej na nosie, co spowodowało rozchylenie się szlafroka. Chwyciłem za poły otulając się ciasno. Do diabła! Będzie teraz wiedziała, co czułem, kiedy weszła do mojego pokoju. Trzeba ją udobruchać, albo gotowa mnie sypanąć. Trudno było ją rozgryźć. Zawróciłem do jej pokoju, przytrzymując poły szlafroka.

- Mimi!

Spojrzała na mnie.

- Czego chcesz? - zapytała zimno.

Patrzyłem na swoje kapcie. - Chcesz iść pierwsza do łazienki?

- Dlaczego? - zapytała podejrzliwie. Patrzyła na moje dłonie zaciśnięte na szlafroku.

Tym razem to ona spuściła wzrok.

- Chłopcy są wstrętnei - wymamrotała. - Z każdym dniem stajesz się bardziej podobny do swojego przyjaciela Paula.

On też tak patrzy.

- Ja nie patrzyłem - powiedziałem obronnym tonem.

- Patrzyłeś - odparła oskarżycielsko. - Założę się, że Marjorie Ann też podglądałaś.

Poczerwieniałem.

- Nie podglądałem! - podkreśliłem słowa stanowczym ruchem ręki. Szlafrok rozchylił się ponownie. Zobaczyłem, że Mimi spuszcza oczy i owinąłem się nim pospiesznie.

- Widzę, że ty też nie masz nic przeciwko podglądaniu, Panno Skromnisiu.

Nie zwracała na mnie uwagi.

- Powiem mamie co robiłeś - powiedziała. Podeszedłem do niej szybko i chwyciłem za rękę. - Nie powiesz!

- To boli!

- Nie powiesz! - powtórzyłem chrapliwie, ściskając mocniej jej nadgarstki.

Spojrzała mi w twarz, jej piwne oczy były szeroko otwarte i przerażone, ale na ich dnie kryła się ciekawość.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- W porządku - powiedziała. - Nie powiem mamie, ale powiem Marge, że miała rację. Mówiła, że ją podglądasz.

Zwróć jej uwagę, żeby pilnowała żaluzji.

Puściłem jej rękę. Przeniknęło mnie uczucie nieokreślonego triumfu. Nie myliłem się, Marge wiedziała przez cały czas, że na nią patrzę.

- Jeśli Marge trzyma podniesione żaluzje - powiedziałem z przebijającą w głosie pogardą - to wie, co robi.

Zostawiłem Mimi stojącą przy łóżku i poszedłem do łazienki. Pędzel do golenia taty stał jeszcze na umywalce schnąc. Schowałem go do apteczki i zamknąłem drzwi. Rzuciłem szlafrok na taboret i wszedłem pod prysznic.

Woda była lodowato zimna, ale zacisnąłem zęby. Po chwili zacząłem nimi dzwonić, ale nie ruszyłem się z miejsca.

Wiedziałem, co robię. Kiedy w końcu wyszedłem spod prysznica i spojrzałem w lustro, wargi miałem sine z zimna.

2

Zapiąłem ostatni guzik koszuli i przejrzałem się w lustrze. Jeszcze raz przejechałem szczotką po włosach. Mama będzie zadowolona. Byłem wypucowany do czysta, nawet włosy wydawały się jaśniejsze.

Schyliłem się zaglądając pod łóżko. - Obudź się, Rexie - powiedziałem. - Czas na spacer.

Poderwała się na nogi merdając ogonem. Podrapałem ją po łebku. Polizała mi rękę.

- Jak się masz, panienko? - spytałem, przytulając ją na chwilę. Jej ogon zataczał pełne kręgi, ocierała mi się o spodnie.

Wyszedłem z pokoju kierując się w stronę schodów. Słyszałem dobiegający z kuchni głos mamy. Sprawiała wrażenie bardzo podekscytowanej. Mówiła: „Znasz swoją szwagierkę Bessie. Będzie szukała tematu do plotek.

Myśli, że tylko ona potrafi urządzić *bar-micwa*. Jej Joel...”

Przerwał jej głos ojca.

- No, no, Mary - powiedział łagodząco. - Nie denerwuj się. Wszystko pójdzie dobrze. W końcu to ty sama zdecydowałaś, żeby zrobić przyjęcie w domu.

Odetchnąłem z ulgą. A więc nie rozmawiali o mnie. Mimi nic nie powiedziała. Ta dyskusja ciągnęła się od sześciu miesięcy, od chwili kiedy w ogóle pojawił się temat mojego *bar—miewa*.

Ojciec miał zamiar wynająć niewielką salę i zaprosić tam gości, ale mama nie chciała o tym słyszeć.

- Nie mamy pieniędzy do wyrzucenia - powiedziała.

- Wiesz dobrze, jak źle idą interesy, zresztą i bez tego masz wystarczająco dużo kłopotów ze spłatą procentów. A CORN EXCHANGE BANK nie będzie czekał na swoje trzy tysiące.

Tato ustąpił. Musiał; nie miał wyjścia. Interesy nie szły najlepiej. A sądząc po uwagach, jakie wymykały mu się w domu, raczej gorzej niż lepiej. W ostatnich miesiącach zrobił się bardzo nerwowy i łatwo się irtował.

Pchnąłem drzwi i znalazłem się w kuchni, Rexie deptała mi po piętach.

- Dzień dobry - powiedziałem do nich obojga. - Co chcesz ze sklepu? - zapytałem mamę.

Spojrzała na mnie przelotnie. - To co zwykle, Danny

- odpowiedziała.

- Mogę kupić parę donatów?

Uśmiechnęła się do mnie. - Możesz - wręczyła mi dolara wyjętego z kubka nad zlewem. - W końcu to twój *bar-micwa*.

Wziąłem pieniądze i ruszyłem do wyjścia. Za sobą usłyszałem głos mamy: - Nie zapomnij przeliczyć reszty, Danny!

- Nie zapomnę, mamó! - zawołałem przez ramię, otwierając drzwi, żeby wypuścić Rexie. Pognała w stronę rynsztoka nie czekając na mnie.

Wychodząc na ulicę, usłyszałem głosy dochodzące z werandy Conlonów. Kątem oka dostrzegłem Mimi i Marjorie Ann. Siedziały pochylone ku sobie głowami. Minąłem werandę nie spojrzawszy nawet w tamtą stronę, ale Rexie wybrała akurat to miejsce, żeby załatwić swoje potrzeby i chcąc nie chcąc musiałem na nią poczekać.

Marge spojrzała na mnie i zaczęła chichotać. Czułem, jak rumieniec zalewa mi twarz.

- Będę na twoim przyjęciu po południu - zawołała. Byłem wściekły na siebie za to, że się czerwienię.

- Nie rób mi łaski - powiedziałem obraźliwie. - Jeżeli chodzi o mnie, możesz nie przychodzić.

Zaśmiała się.

- Co ty powiesz, Danny! - powiedziała kpiąco. - Dobrze wiesz, że nie mógłbyś się beze mnie obejść. A poza tym, kiedy wrócisz z *bar-micwa*, będziesz już mężczyzną. Chcę zobaczyć jak się będziesz wtedy zachowywał.

Rexie pobiegła radośnie w dół ulicy. Poszedłem za nią pozostawiając Marge bez odpowiedzi.

Światło sączące się przez małe, umieszczone wysoko okienka synagogi było przyćmione i szare. Rozejrzałem się nerwowo. Stałem na niewielkim podwyższeniu górującym nad zgromadzonymi przed Torą ludźmi. Towarzyszący mi na podium trzej starcy mieli na głowach czarne mycki. Moja była z białego jedwabiu.

Twarze ludzi w dole zwracały się ku mnie wyczekująco. Rozpoznawałem większość z nich. Należały do naszych krewnych. Na tyłach synagogi znajdował się mały stolik zastawiony ciastem i połyskującymi w półmroku butelkami wina i whisky.

Rev Herzog, mój nauczyciel, otworzył Torę. Dał mi znak, żebym przesunął się bliżej balustrady, po czym przemówił po hebrajsku zwracając się do zebranych.

- W tych ciężkich czasach - powiedział cieniem, drżącym głosem - dobrze jest, gdy człowiek znajdzie chłopca, który nie wstydzi się być Żydem. I dobrze jest, gdy człowiek może nauczać takiego chłopca. To zaszczyt móc przygotować go do *bar-micwa* i powitać w żydowskiej społeczności mężczyzn.

Zwrócił się uroczyście w moją stronę.

- Taki chłopiec jest tutaj ze mną. - Odwrócił się z powrotem do zgromadzonych i mówił dalej.

Usiłowałem zachować powagę. Stary hipokryta! Zazwyczaj wrzeszczał na mnie przez całą lekcję. Byłem do niczego i nigdy nic nie miało ze mnie wyrosnąć, taki głupek jak ja nie mógł dojść do *bar-micwa*.

Zobaczyłem w przelocie wpatrzoną w Herzoga twarz siostry. Malował się na niej wyraz zachwytu i skupienia. Uśmiechnęła się do mnie szybko z błyskiem dumy w oczach, a ja odwzajemniłem jej uśmiech. Głos Reva Herzoga zamarł i starzec odwrócił się w moją stronę. Przeszedłem wolno na środek podium i położyłem dłonie na Torze. Odchrząknąłem nerwowo. Widziałem rodziców uśmiechających się do mnie wyczekująco. Przez chwilę miałem pustkę w głowie i ogarnęła mnie panika. Nie pamiętałem ani słowa z całego skomplikowanego rytuału, którego uczyłem się przez wiele miesięcy. Usłyszałem chrapliwy szept Reva Herzoga: *Borochu ess...* Podchwyciłem wypowiedź z wdzięcznością. - *Borochu ess...Adonae.....* Przeszedłem do siebie i reszta słów popłynęła z łatwością. Mama uśmiechała się dumnie do ludzi stojących wokół niej. Poczułem, że udziela mi się uroczysty nastrój panujący w świątyni. Szkoda, że nie poświęciłem więcej uwagi znaczeniu hebrajskich słów, które teraz tak płynnie recytowałem. Przypomniałem sobie niejasno, że proszę Boga, aby pomógł mi stać się prawym człowiekiem i przejść przez życie jako prawy Żyd. Ogarnęło mnie głębokie poczucie odpowiedzialności. Jednego dnia człowiek jest dzieckiem, następnego staje się mężczyzną. Za pośrednictwem tego obrzędu przyjmowałem na siebie tę odpowiedzialność. I w duchu przysięgłem moim krewnym i przyjaciołom, że zawsze będę wypełniał swoje obowiązki jako prawy Żyd. Nigdy przedtem nie zastanawiałem się nad tym specjalnie. W głębi duszy wiedziałem, że nie chcę być Żydem. Pamiętam, kiedy uświadomiłem to sobie po raz pierwszy: gdy Paul i jego młodszy brat Eddie wepchnęli mnie do wykopu na Clarenden i Troy, tego dnia, kiedy znalazłem Rexie. Teraz wykop był już zasypany, na jego miejscu stały domy, ale nie mogłem przejść tamtędy, żeby sobie tego nie przypomnieć. Pamiętam, jak następnego dnia zapytałem mamę, czy nie moglibyśmy przestać być Żydami i stać się kimś innym. Jakakolwiek była wtedy jej odpowiedź, w tej chwili nie miało to znaczenia. Właśnie stawałem się członkiem żydowskiej społeczności.

Przebrzmiały ostatnie słowa modlitwy i patrząc w dół na zebranych ludzi doznałem uczucia triumfu. Mama płakała, a tata wycierał nos wielką, białą chustką. Uśmiechnąłem się do nich.

Rev Herzog układał *tales* na moich ramionach, biały jedwabny *tales* z niebieską gwiazdą Dawida. Powiedział parę słów i było po wszystkim.

Zbiegłem ze schodów. Mama chwyciła mnie w ramiona i ucałowała, powtarzając w kółko moje imię. Poczułem się zawstydzony, wolałbym, żeby mnie puściła. Miałem być mężczyzną, a ona zachowywała się, jakbym nadal był dzieckiem.

Tato poklepał mnie po ramieniu.

- Dobry chłopak.

Uśmiechał się. Zwrócił się do Reva Herzoga, który zszedł za mną ze schodów.

- Dobrze mu poszło, Rev, prawda? - spytał.

Rev Herzog skinął krótko głową i przepchnął się obok ojca, torując sobie drogę do stołu z przekąskami. Pozostali mężczyźni na podium ruszyli pospiesznie w jego ślady.

Tato wziął mnie pod rękę i poprowadził w stronę stołu. Nalał ceremonialnie trochę whisky do papierowego kubka i podał mi drinka.

- Harry!

W głosie mamy brzmiało oburzenie. Uśmiechnąłem się do niej radośnie.

- Daj spokój, Mary - powiedział jowialnie. - Chłopak jest już mężczyzną.

Skinąłem głową. Tato miał rację. Wziąłem od niego kubek.

- *L'chaim* - powiedział tato.

- *L'chaim* - odparłem.

Tato odchylił głowę i wlał sobie whisky do gardła. Zrobiłem to samo. Paliła jak ogień w całym przełyku, aż do żołądka.

Zacząłem się krztusić.

- Widzisz, co narobiłeś, Harry? - powiedziała mama z wyrzutem. Popatrzyłem na ojca przez łzy. Śmiał się.

Ogarnął mnie następny paroksyzm kaszlu i mama przytuliła mnie do piersi.

3

Dom pękał w szwach. Musiałem zamknąć Rexie w swoim pokoju. Tłum zawsze ją denerwował. Przepychałem się przez salon w stronę schodów do piwnicy. Mama urządziła tam pokój do zabawy.

Zawołał mnie wujek Dawid. Stał w kącie pokoju i rozmawiał z ojcem. Podeszedłem do niego, a on wyciągnął rękę.

- *Mazel tow*, Danny!

- Dziękuję, wujku Dawidzie - uśmiechnąłem się do niego. Zwrócił się do taty, trzymając mnie za rękę.

- Wydaje się, Harry, że dopiero wczoraj byłem na jego obrzezaniu - powiedział.

Tato skinął potakująco głową.

Poczułem, jak z niecierpliwości dostaję wypieków. Wiedziałem, co zaraz powie, słyszałem to już dzisiaj dwadzieścia razy. I nie zawiodłem się.

- Ale ten czas leci, prawda? Wujek Dawid też pokiwał głową.

- Teraz jesteś już dużym chłopcem. Sięgnął do kieszeni i wyjął monetę.

- Masz tu, Danny, to dla ciebie.

Obróciłem pieniądz w palcach - dziesięć dolarów w złocie.

- Dzięki, wujku Dawidzie - powiedziałem. Uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Duży chłopak - powtórzył. Zwrócił się do taty: - Już wkrótce będzie mógł pomagać ci w aptece, tak jak mój Joel.

Tato pokręcił przecząco głową.

- Apteka to nie dla Dany'ego - powiedział stanowczo. - Mój Danny będzie miał dobry zawód. Może zostanie prawnikiem, może lekarzem, i jeżeli wszystko pójdzie dobrze, pewnego dnia otworzę mu wspaniały gabinet.

Spojrzałem na ojca ze zdumieniem. To była dla mnie nowość. Nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad tym, kim będę w przyszłości. Nie obchodziło mnie to specjalnie.

Wujek Dawid zrobił minę człowieka dobrze zorientowanego.

- Oczywiście, Harry, oczywiście - powiedział łagodząco. - Ale wiesz, jakie są czasy. Złe. A i bez tego masz wystarczająco dużo kłopotów. Otóż, gdyby twój Danny pomógł ci podczas wakacji, tak jak Joel pomaga mi, cóż by to szkodziło? Nic. A ty byś zaoszczędził pięć dolarów na chłopaka. Pięć dolarów to jest pięć dolarów.

Spojrzał na mnie.

- A Danny jest wspaniałym chłopcem. Jestem pewien, że chciałby pomóc, tak jak pomaga Joel. Chciałbyś, prawda, Danny?

Skinąłem głową. Nikt nie powie, że mój kuzyn Joel jest lepszym synem niż ja.

- Oczywiście, wujku Dawidzie - powiedziałem szybko. Tato spojrzał na mnie. W jego oczach pojawił się cień głębokiej troski. Trochę drżały mu usta.

- Będzie dużo czasu, żeby o tym pomówić, Danny - powiedział powoli. - Do wakacji jest jeszcze miesiąc. A teraz uciekaj na dół. Dzieci pewnie cię szukają.

Ruszyłem w stronę schodów, wsuwając pieniądze do kieszeni. Za sobą słyszałem głos wujka Dawida dowodzący, że jest to wspaniały pomysł, który nie wyrządzi mi żadnej szkody.

Zatrzymałem się na schodach, spoglądając w dół, na pokój do zabawy. Na ścianach i suficie mama zawiesiła papierowe serpentyny i pokój wyglądał barwnie i zaba-wow, ale dzieciaki sterczały cicho pod ścianami. Na górze dorośli gadali głośno, wszyscy naraz, usiłując przekrzyczeć się nawzajem, jakby to była ostatnia okazja do rozmowy w ich życiu, a echo głosów odbijało się głucho o ściany piwnicy. Chłopcy stali pod jedną ścianą, dziewczyny pod drugą. Ich głosy były stłumione i pełne rezerwy. Nie przypominało to w niczym atmosfery tam na górze. Kiedy szedłem w stronę męskiej połowy pokoju, Joel wysunął się naprzód, żeby się ze mną przywitać. Był półtora roku starszy ode mnie i miał twarz pokrytą pryszczami. Wiele o nich słyszałem. Miałem nadzieję, że nie będę pryszczaty.

- Cześć, Joel - powiedziałem z zakłopotaniem. - Dobrze się bawisz?

Skinął uprzejmie głową, z oczami utkwionymi w grupie dziewcząt po drugiej stronie pokoju.

- Jasne - odpowiedział szybko. Za szybko. Popatrzyłem w ślad za jego spojrzeniem. Gapił się na Marjorie Ann.

Zauważyła, że na nią patrzę i szepnęła coś do mojej siostry. Mimi zachichotała. Podeszedłem do nich z Joelem przy boku.

- Co cię tak bawi? - spytałem wojowniczo. Wiedziałem doskonale, że śmieją się ze mnie.

Mimi potrząsnęła głową i znowu zachichotała, nie mówiąc ani słowa. Marge zaśmiała się kpiąco.

- Czekaliśmy, żebyś zszedł i ożywił trochę to przyjęcie - powiedziała.

Zmusiłem się do uśmiechu i rozejrzałem wokół. Wszyscy patrzyli na mnie z powagą. Miała rację, przyjęcie było w stadium obumierania. Dorośli świetnie się bawili, a dzieciaki nie wiedziały, co ze sobą począć.

- Hej, dlaczego tu tak cicho? - zawołałem unosząc ręce. Zagrajmy w coś.

- W co? - W głosie Mimi brzmiało wyzwanie. Spojrzałem na nią tępo. O tym nie pomyślałem. Rozejrzałem się bezradnie.

- Może zaczniemy od zabawy w pocztę? - zaproponowała Marge.

Skrzywiłem się. Była to właśnie jedna z tych zabaw, na którą nie miałem ochoty. Dziewczyńskie głupoty.

- A ty co chcesz robić? - warknęła sarkastycznie, widząc moją minę. - Grać w baseball?

Zacząłem coś mówić, ale Joel mi przerwał.

- W porządku - powiedział z zapalem. - Jestem za. Odwróciłem się ku niemu z wyrazem niesmaku na twarzy.

Wiedziałem już dlaczego ma te pryszczki: dziewczyny. Chciałem zaprotestować, ale inni zapalili się do pomysłu.

Kiedy siedzieliśmy półkolem na podłodze, ja z oczami wbitymi w swoje skrzyżowane nogi, pożałowałem, że dałem się w to wrobić. Joel wywołał Marge do małej kotłowni, która miała służyć za pocztę i byłem pewien, że Marge wywoła mnie, kiedy przyjdzie jej kolej. I miałem rację. Drzwi do kotłowni otworzyły się i Joel stanął przede mną.

Ruchem

kciuka wskazał zamknięte drzwi za sobą. Wstałem czując, że się czerwienię.

- Co za dziewczucha! - szepnąłem przechodząc obok niego. Spojrzałem na Mimi. Obserwowała mnie z domyślną miną. Policzki paliły mnie jak ogniem. Przed wejściem do kotłowni zawahałem się chwilę, potem pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Oparłem się o futrynę próbując zobaczyć coś w półmroku. Małe okienko w rogu pomieszczenia było jedynym źródłem światła.

- Tutaj jestem, Danny.

Głos Mairge dochodził zza pieca. Nadal trzymałem rękę na klamce. Czułem, jak pulsują mi skronie.

- Czego... czego chcesz? - wyjąkałem chrapliwie. Nagle zacząłem się jej bać. - Po co mnie wywołałaś?

- A jak myślisz? - szepnęła. W jej głosie brzmiała nuta drwiny. - Chciałam się przekonać, czy rzeczywiście jesteś mężczyzną.

Nie widziałem jej. Stała za piecem.

- Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? - zapytałem z goryczą, nie ruszając się od drzwi.

Głos miała bezbarwny.

- Im prędzej tutaj przyjdiesz, tym prędzej będziesz miał to za sobą.

Usłyszałem jej prawie bezgłośny śmiech.

- Nie zrobię ci krzywdy, Danny, chłopczyku. Obszedłem piec. Stała uśmiechnięta, opierając się o niego plecami. Jej zęby połyskiwały w mroku. Ręce trzymała za sobą. Nie odezwałem się. Miała roześmiane oczy.

- Podglądałeś mnie przez okno dzisiaj rano - wypaliła znienacka.

- Nie! - zaprzeczyłem.

- Właśnie, że tak - rzuciła. - Widziałam cię i Mimi też mówi, że podglądałeś.

Gapilem się na nią. Mimi zapłaci mi za to.

- Jeżeli jesteś taka pewna, to dlaczego nie spuścisz żaluzji? - zapytałem ze złością.

Postąpiła krok w moją stronę.

- Może nie chciałam - powiedziała prowokująco.

Zajrzałem jej w twarz. Nie rozumiałem.

- Ale...

Uciszyła mnie kładąc palce na moich ustach. Miała nienaturalny, napięty wyraz twarzy.

- Może chciałam, żebyś patrzył? - Milczała przez chwilę, nie spuszczać ze mnie wzroku. - Nie podobało ci się to, co zobaczyłeś?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Zaczęła się cicho śmiać.

- Podobało ci się - wyszeptała. - Widziałam, że ci się podobało. Twój kuzyn Joel uważa, że jestem wspaniała, a on nie widział nawet połowy tego co ty.

Stała bardzo blisko. Objęła mnie za szyję i przyciągnęła do siebie. Byłem sztywny jak kołek. Poczułem na ustach jej oddech, a potem wargi. Zamknąłem oczy. Ten pocałunek był inny niż wszystkie znane mi dotychczas. Inny niż pocałunek matki, siostry czy kogokolwiek, kogo zdarzyło mi się całować. Odsunęła twarz. Na ustach nadal czułem jej przyspieszony oddech.

- Daj mi rękę - zażądała pospiesznie.

Odurzony wyciągnąłem dłoń. W głowie mi wirowało, a kotłownia wydawała się zamazana i odległa. Nagle w palcach poczułem wstrząs, jakby przeszył je prąd elektryczny. Zsunęła moją rękę w dół po sukience i poczułem pod palcami jej stwardniały sutek. Przestraszony wyszarpnąłem rękę. Zaczęła się cicho śmiać, patrząc na mnie promiennymi oczyma.

- Lubię cię, Danny - szepnęła.

Podeszła do drzwi i odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć.

- Kogo mam ci teraz przysłać? - spytała. - Twoją siostrę?

4

Przechodziłem przez salon z Rexie przy nodze. - Danny, chodź tu na chwilę.

Głos taty dochodził od strony kanapy, gdzie siedział wraz z mamą.

Mama wyglądała na zmęczoną. Właśnie skończyła sprzątać po gościach. Dom wydawał się teraz niewiarygodnie cichy.

- Tak, tato - stanąłem przed nim.

- Miałeś udany *bar-micwa*, Danny? - bardziej stwierdził niż zapytał tato.

- Bardzo udany, tato. Dziękuję. Machnął nieznacznie ręką.

- Dziękuj nie mnie, tylko swojej matce. To ona wszystko przygotowała.

Uśmiechnąłem się do niej. Odwzajemniła uśmiech ze znużeniem i poklepała ręką miejsce obok siebie. Usiadłem. Podniosła dłoń i zmierzwiła mi włosy.

- Mój mały blondasek - powiedziała ze smutkiem. - Taki już dorosły. Niedługo będziesz się żenił.

Ojciec roześmiał się.

- Jeszcze nie tak prędko, Mary. Jest ciągle bardzo młody.

- Dostatecznie prędko - powiedziała. - Spójrz, jak szybko zleciało te trzynaście lat.

Tato zachichotał. Wyjął z kieszeni cygaro i zapalił, twarz mu spoważniała.

- Dawid rzucił pomysł, żeby Danny poszedł pracować do mnie na lato.

Mama zerwała się z miejsca.

- Ależ Harry, to jeszcze dziecko! Tato roześmiał się w głos.

- Wkrótce się żeni, ale jest za młody, żeby latem pracować. Zwrócił się do mnie.

- Co o tym sądzisz, Danny? Popatrzyłem na niego.

- Zrobię tak, jak będziesz chciał, tato - odpowiedziałem. Potrząsnął głową.

- Nie o to mi chodzi! Pytałem, co ty chcesz robić. Kim chcesz być?

Wahałem się chwilę.

- Naprawdę nie wiem - wyznałem. - Nigdy o tym nie myślałem.

- Najwyższy czas, Danny, żebyś zaczął o tym myśleć - powiedział poważnie. - Jesteś mądrym chłopcem. Już rok w szkole średniej, a masz dopiero trzynaście lat. Ale cała ta

mądrość na nic się nie zda, jeżeli nie będziesz wiedział; dokąd dążysz. Jak statek bez steru.

- Latem będę pracował w aptece, tato - powiedziałem szybko. - Ostatecznie, jeżeli ma ci to pomóc, to tego właśnie chcę. Wiem, że interes nie idzie teraz najlepiej.

- Wystarczająco źle, ale nie na tyle, żebym zmuszał cię do robienia czegoś, na co nie masz ochoty - powiedział oglądając swoje cygaro. - Twoja mama i ja pokładamy w tobie wielkie nadzieje. Że pójdziesz na uniwersytet i będziesz lekarzem albo prawnikiem. Jeżeli będziesz pracował, to może się tak skończyć, że nie pójdziesz na studia. Tak właśnie stało się ze mną. Nigdy nie skończyłem szkoły. Nie chcę, żeby z tobą było tak samo.

Przeniosłem wzrok na mamę. Patrzyła na mnie ze smutkiem. Bali się, że stanie się ze mną to samo, co stało się z ojcem. A jednak interes szedł źle i ojciec potrzebował mojej pomocy.

Uśmiechnąłem się do nich.

- Pójście do pracy na wakacje jeszcze niczego nie przesądza, tato - powiedziałem. - Jesienią wrócę do szkoły.

Zwrócił się ku mamie. Długą chwilę patrzyli na siebie. Potem mama skinęła lekko głową i ojciec spojrział znowu na mnie.

- Dobrze, Danny - powiedział z wysiłkiem. - Na razie niech tak będzie. Zobaczymy.

Piłka szybowała nad siatką w tę i z powrotem, a towarzyszył temu nieprzerwany wrzask. W szkolnej sali gimnastycznej rozgrywano jednocześnie cztery mecze.

Kątem oka zobaczyłem pana Gottkina idącego w naszym kierunku. Skupiłem wzrok na piłce. Chciałem wypaść jak najlepiej w jego oczach. Był trenerem drużyny futbolowej. Piłka leciała w moją stronę wysoko nad głową, ale wyskoczyłem i zbiłem ją. Otarła się o siatkę, przetoczyła na drugą stronę i spadła na ziemię. Rozejrzałem się bardzo z siebie zadowolony. Czuję się wspaniale. To był ósmy

punkt zarobiony przeze mnie z czternastu dotychczas zdobytych. Pan Gottkin nie mógł tego nie zauważyć. Nawet nie patrzył w moją stronę. Rozmawiał z jakimś chłopcem na sąsiednim boisku. Piłka wróciła do gry. Opuściłem parę dość łatwych piłek, ale wszystkie zostały uratowane. W chwili gdy gra przeniosła się na drugą połowę boiska, rzuciłem jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie na pana Gott-kina. Nagle usłyszałem za sobą krzyk Paula:

- Danny, twoja piłka!

Odwrociłem się błyskawicznie. Piłka wisiała wysoko nad siatką, na wprost mnie. Ustawiłem się do niej i skoczyłem. Ciemna postać po drugiej stronie siatki wyprysnęła przede mną i ścieła. Odruchowo poderwałem ręce, żeby zasłonić twarz, ale nie byłem dość szybki. Rozciągnąłem się na podłodze jak długi.

Wściekły gramoliłem się na nogi z policzkiem czerwonym i piekącym od uderzenia. Ciemnoskóry chłopak po drugiej stronie siatki szczyrzył do mnie zęby w uśmiechu.

- Sfaulowałeś! - rzuciłem mu w twarz. Przestał się uśmiechać.

- O co chodzi, Danny? Jesteś jedynym bohaterem dozwolonym w tej grze? - zakpił.

Przechodziłem już do niego pod siatką, kiedy czyjaś dłoń spoczęła stanowczo na moim ramieniu.

- Wracaj do gry, Fisher - powiedział cicho pan Gottkin. - Żadnej rozróby.

Dałem nura pod siatką, wracając na własną połowę. Narastała we mnie złość. Z tego wszystkiego pan Gottkin zapamięta tylko, że się wściekłem.

- Policzymy się - szepnąłem do chłopaka.

Rzucił mi bezgłośnie prychnięcie poparte gestem pogardy.

Okazja nadarzyła się zaraz w następnym secie. Piłka zawisła nad nami, chłopak wyskoczył w górę, ale byłem szybszy i ściałem ją brutalnie oburącz. Trafiła go prosto w usta i zwinął się na parkiecie. Wygwizdałem go.

Podniósł się z podłogi i szarżując pod siatką chwycił mnie za nogi. Tarzaliśmy się po boisku okładając pięściami.

Przy uchu usłyszałem jego podniecony, wściekły głos.

- Ty skurwielu!

Rozdzielił nas Gottkin.

- Mówiłem: żadnych awantur.

Patrzyłem ponuro w podłogę nie odpowiadając.

- Kto zaczął?

Głos Gottkina był szorstki.

Spojrzałem na chłopaka, chłopak popatrzył na mnie groźnie, ale żaden z nas się nie odezwał. Nauczyciel nie czekał na odpowiedź.

- Grajcie dalej. - W jego głosie był niesmak. - I bez rozróby.

Odwrócił się od nas.

Rzuciliśmy się na siebie odruchowo, kiedy tylko pokazał nam plecy. Złapałem czarnego wpół i zanim Gottkin zdążył nas rozdzielić, byliśmy już na podłodze.

Trzymał nas po swoich obu bokach. Miał zmęczoną twarz. Zastanawiał się nad czymś.

- Chcecie się koniecznie bić?

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Żaden z nas się nie odezwał.

- No, cóż! - kontynuował. - Chcecie się bić, to będziecie się bić, ale na moich warunkach.

- Przynieś rękawice - zawołał przez ramię do zastępcy, trzymając nas ciągle po swoich obu stronach.

Zastępca przyniósł rękawice i Gottkin dał nam po parze.

- Włóżcie je - powiedział niemal łagodnie.

Odwrócił się do chłopaków, którzy zaczęli już tłoczyć się wokół nas.

- Lepiej zamknijcie drzwi, chłopcy - powiedział. - Nikt nie może nas tu nakryć.

Chłopcy śmiali się nerwowo, podczas gdy ja męczyłem się z rękawicami. Wiedziałem z czego się śmieją. Gdyby wszedł dyrektor, trzeba by za to piekielnie drogo zapłacić.

W rękawicach bokerskich czułem się niezdarnie. Nigdy przedtem nie miałem ich na rękach. Paul sznurował mi je w milczeniu. Przyjrzałem się swojemu przeciwnikowi. Pierwszy atak gniewu już minął. Nie miałem nic przeciwko temu chłopakowi. Nie wiedziałem nawet, jak się nazywa. Wf. to były nasze jedyne wspólne zajęcia. Wyglądało na to, że on też zaczyna dochodzić do tego samego wniosku.

Podszedłem do niego.

- To jest idiotyczne - powiedziałem.

Pan Gottkin odezwał się, zanim chłopak zdążył otworzyć usta.

- Pękasz, Fisher? - zadrwił. W oczach miał jakiś szczególny rodzaj podniecenia.

Poczułem ciepło zalewające mi policzki.

- Nie, ale...

Nauczyciel nie dał mi skończyć.

- To wracaj na miejsce i rób, co ci każę. Stajecie do walki. Kiedy jeden z was będzie liczony, drugi nie może atakować, dopóki nie pozwolę. Zrozumiano?

Przytaknąłem. Chłopak oblizał wargi i też skinął głową. Widziałem, że Gottkin poczuł się lepiej.

- No dobra, chłopaki. Do dzieła.

Ktoś wypchnął mnie do przodu. Chłopak szedł w moją stronę. Podniosłem ręce, próbując trzymać je tak, jak niektórzy bokserzy na filmach. Krążyłem ostrożnie wokół chłopaka. Był równie ostrożny jak ja, obserwował mnie uważnie. Przez prawie minutę nie podeszliśmy do siebie bliżej niż na pół metra.

- Chłopaki, myślałem, że chcecie się bić - powiedział Gottkin.

Zerknąłem na niego. Oczy nadal płonęły mu z podniecenia. W moich własnych eksplodowało światło. Słyszałem, jak chłopaki zaczynają wrzeszczeć. Wybuchło następne światło. Potem ostry piekący ból w prawym uchu, i zaraz na ustach. Czulem, że lecę w dół. W głowie brzęczało mi coś zgrzytliwie. Potrząsnąłem głową ze złością, żeby pozbyć się tego dźwięku i otworzyłem oczy. Byłem na czworakach. Spojrzałem w górę.

Chłopak tańczył mi przed oczyma. Śmiał się. Parszywiec uderzył mnie, kiedy nie patrzyłem. Podniosłem się na nogi. Narastał we mnie gniew. Widziałem jak Gottkin poklepuje tamtego po ramieniu, a potem pięści mojego przeciwnika spadły na mnie ze wszystkich stron.

Przebiłem się do niego desperacko, chwyciłem za ramiona i przytrzymałem. Miałem sucho w ustach, oddech palił mi gardło. Potrząsnąłem głową. Nie mogłem myśleć z tym brzę-

czącym dźwiękiem w uszach. Jeszcze raz potrząsnąłem głową. Nagle dźwięk ustał i mogłem lżej oddychać.

Czułem, jak Gottkin nas rozdziela. Jego głos brzmiał ochryple.

- *Break*, chłopcy!

Trzymałem się już pewnie na nogach. Uniosłem dłonie czekając, aż tamten do mnie przyjdzie. Zaatakował, machając rękami jakby to były cepy. Uskoczyłem i przeleciał obok mnie. Omal się nie roześmiałem. To było proste, należało po prostu chować głowę w ramiona.

Zawrócił i znów ruszył na mnie. Tym razem czekałem na niego. Widziałem jego wysoko uniesione ręce.

Wpakowałem mu prawą pięść w brzuch. Ramiona mu opadły i zgiął się wpół. Kolana pod nim drżały. Cofnąłem się i spojrzałem pytająco na pana Gottkina.

Popchnął mnie szorstko w stronę chłopaka. Uderzyłem go dwukrotnie, a on wyprostował się z zamroczoną twarzą. Stałem teraz pewnie na nogach. Czułem przypływ siły przenikający ciało i koncentrujący się w ramionach. Porderwałem prawą pięść prawie znad podłogi, trafiła go prosto w szczękę. Siła uderzenia wstrząsnęła moim ramieniem. Chłopak okręcił się i padł do przodu, płasko na twarz.

Cofnąłem się, spoglądając na pana Gottkina. Patrzył na chłopaka z wypiekami na twarzy. Oblizywał nerwowo wargi, dłonie miał zaciśnięte, a koszulę na plecach mokrą od potu, jakby to on walczył.

Na sali zapadła nagła cisza. Odwróciłem się do chłopca leżącego cicho, w zupełnym bezruchu. Pan Gottkin przykleknął przy nim powoli. Przewrócił go na plecy i uderzył w twarz. Był blady. Spojrzał na swojego zastępcę.

- Przynieś mi sole trzeźwiące! - krzyknął chrapliwie. Ręce mu się trzęsły, kiedy machał buteleczką pod nosem chłopaka.

- No dalej, chłopcze! - W jego głosie było błaganie. - Ocknij się.

Twarz miał zlaną potem.

Nie odrywałem od nich wzroku. Dlaczego chłopak nie wstawał? Nie powinienem był dać się podpuścić do walki.

- Może lepiej posłać po lekarza? - szepnął nerwowo zastępca do pana Gottkina.

Pochyliłem się, żeby lepiej słyszeć. Gottkin mówił ściszym głosem.

- Chyba, że ci się praca nie podoba.

- A jeżeli on umrze?

Na twarz leżącego zaczęły wracać kolory i pytanie zastępcy pozostało bez odpowiedzi. Chłopak próbował usiąść, ale Gottkin przytrzymał go na podłodze.

- Spokojnie, chłopcze - powiedział niemal łagodnie. - Za chwilę poczujesz się lepiej.

Wziął go na ręce i rozejrzał się dokoła.

- A wy, chłopaki, trzymajcie języki za zębami. Zrozumiano?

W jego głosie była groźba. Przytaknęli w milczeniu. Prześliznął się po nich wzrokiem, szukając mnie.

- Ty, Fisher - powiedział surowo - chodź ze mną. Reszta grać dalej.

Nie wypuszczając chłopaka z rąk szybkim krokiem skierował się do swojego pokoju. Poszedłem za nim. Kiedy zamykałem drzwi, kładł chłopaka na skórzanej kanapie.

- Daj mi dzbanek z wodą - rzucił przez ramię. Podałem mu dzbanek w milczeniu, wylał jego zawartość na twarz chłopaka. Ten zerwał się parskając.

- Jak się czujesz? - zapytał Gottkin.

Chłopak uśmiechnął się z wysiłkiem. Spojrzał na mnie nieśmiało.

- Jakby mnie muł kopnął - odparł.

Gottkin roześmiał się z ulgą. Potem jego wzrok spoczął na mnie i uśmiech zniknął.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że umiesz walczyć, Fisher? Mam dość rozumu, żeby...

- Nigdy przedtem nie walczyłem w rękawicach, panie Gottkin - powiedziałem szybko. - Słowo daję!

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem, ale chyba mi uwierzył, bo zwrócił się znowu do chłopaka.

- Zapomnimy o całej sprawie? - spytał.

Chłopak spojrział na mnie i znowu się uśmiechnął. Skinął głową.

- Nawet nie chcę o tym pamiętać - powiedział szczerze. Gottkin spojrzał jeszcze przez chwilę na mnie, w jego oczach malowało się głębokie zastanowienie.

- Więc podajcie sobie ręce i wynoście się stąd. Wymieniliśmy uścisk dłoni i ruszyliśmy w stronę drzwi.

Zamykając je za sobą zobaczyłem, jak pan Gottkin otwiera szufladę biurka i coś z niej wyjmuje. Zaczął podnosić to do ust. W tym momencie przepchnął się obok mnie wchodzący do pokoju zastępca.

- Daj mi tego trochę - powiedział i drzwi się zamknęły.

- Nigdy więcej nie chcę przeżyć nawet minuty czegoś takiego.

Głos Gottkina grzmiał zza zamkniętych drzwi.

- Ten chłopak, Fisher, to urodzony bokser. Widziałeś?... Podniosłem oczy z zażenowaniem. Mój były przeciwnik czekał na mnie. Zakłopotany wziąłem go pod rękę i razem poszliśmy grać w siatkówkę.

5

Stałem na rogu Bedford i Church Street czekając niecierpliwie na Paula. Zegar w oknie drogerii po drugiej stronie ulicy wskazywał kwadrans po trzeciej. Postanowiłem dać Paulowi jeszcze pięć minut, a potem wracać do domu sam.

Wciąż drżałem z nieznanego mi podniecenia. Wiadomość o walce obiegła szkołę lotem błyskawicy. Chłopcy traktowali mnie teraz z nowym szacunkiem, a dziewczęta patrzyły z dziwnie powściągliwą ciekawością. Parę razy wpadło mi w ucho własne nazwisko wymieniane w rozmowach.

Sportowy ford podjechał do krawężnika i zatrąbił. Podniosłem wzrok.

- Hej, Fisher, chodź no tutaj!

Pan Gottkin wychylił się z samochodu.

Ruszyłem wolno w jego stronę. Czego mógł chcieć tym razem?

Otworzył drzwiczki.

- Wskakuj! - zaprosił. - Podrzucę cię do domu. Spojrzałem szybko na zegarek i podjąłem decyzję. Paul będzie musiał iść sam. Wsiadłem do samochodu w milczeniu.

- W którą stronę? - zapytał Gottkin przyjaźnie, zjeżdżając z krawężnika.

- Do Clarendon.

Przejechaliśmy kilka przecznic w zupełnym milczeniu. Obserwowałem go kątem oka. Musiał mieć jakiś interes w tym, żeby mnie podwozić. Byłem ciekaw, kiedy zacznie mówić. Nagle zwolnił i skręcił w stronę chodnika. Szła tamtędy młoda kobieta. Gottkin wychylił się z samochodu.

- Hej, Ceil - zawołał za nią.

Stała i obejrzała się. Wtedy ją poznałem: panna Schindler, nauczycielka wychowania plastycznego. Jej zajęcia należały do najbardziej lubianych w szkole. Dziewczęta nie mogły pojąć, dlaczego nagle w trzecim semestrze wszyscy chłopcy zapisali się na zajęcia plastyczne, ale ja rozumiałem. Sam miałem zamiar się zapisać w przyszłym semestrze.

Panna Schindler miała ciemnobrązowe włosy, ciemne oczy i lekką opaleniznę. Studiowała w Paryżu i chłopcy twierdzili, że nigdy nie nosi stanika. Opowiadali sobie, jak to jest, kiedy pochyla się nad stolikami.

- A! To ty, Sam - powiedziała z uśmiechem, idąc w naszą stronę.

- Wskakuj, Ceil - ponaglił ją. - Podwiozę cię do domu. Zwrócił się do mnie.

- Posuń się, chłopcze - powiedział. - Zrób jej miejsce. Przysunąłem się do niego, panna Schindler usiadła obok mnie i zatrzęsła drzwiami. Trzy osoby mieściły się z trudem na przednim siedzeniu forda. Czulem jej biodro na swoim. Spojrzałem na nią ukradkiem. Chłopcy mieli rację. Poruszyłem się niespokojnie.

- Gdzie się podziewałaś, skarbie? - Gottkin mówił głośniejszym głosem niż zwykle.

- Tu i ówdzie - odparła wymijająco, patrząc na mnie. Gottkin podchwycił jej spojrzenie.

- Znasz pannę Schindler, Fisher? - zapytał. Potrząsnąłem głową.

- To jest Danny Fisher - powiedział. Spojrzała na mnie z ciekawością.
 - To ty walczyłeś dzisiaj w szkole? - stwierdziła na wpół-pytająco.
 - Wiesz o tym? - Gottkin wyglądał na zaskoczonego.
 - Cała szkoła o tym wie, Sam - odparła szczególnym tonem. - Twój chłopak jest bohaterem dnia.
- Powstrzymałem cisnący mi się na usta uśmiech dumy.
- Niczego nie da się ukryć w tej budzie - mruknął Gottkin.
 - Jeżeli stary coś wyniucha, jestem skończony. Panna Schindler spojrzała na niego.
 - Zawsze ci to mówiłam, Sam - powiedziała tym samym dziwnym tonem. - Nauczyciele nie mogą żyć tak, jak im się podoba.
- Zaintrygowany rzuciłem jej szybkie spojrzenie. Zauważyła je i oblała się rumieńcem.
- Słyszałam, że była to nie byle jak walka - powiedziała. Nie odpowiedziałem. Miałem wrażenie, że nie jest tym naprawdę zainteresowana.
- Gottkin odpowiedział za mnie.
- Była. Fisher podniósł się z podłogi i zwałił tego faceta z nóg. Nigdy nie widziałas czegoś podobnego.
- W jej ciemnych oczach pojawił się cień.
- Nie możesz zapomnieć o tym, kim kiedyś byłeś - stwierdziła z goryczą. - Prawda, Sam?
- Nie odpowiedział.
- Odezwała się znowu, tym samym tonem.
- Możesz mnie tutaj wyrzucić, Sam. Jestem na miejscu. Zatrzymał samochód bez słowa. Wysiadła i pochyliła się ku nam.
 - Miło było cię poznać, Danny - uśmiechnęła się łagodnie.
 - Spróbuj nie pakować się w następne walki. Na razie, Sam. Odwróciła się i odeszła. Chodziła też ładnie. Zerknąłem na Gottkina. Patrzył za nią w zamyśleniu, z zaciśniętymi ustami. Włączył bieg.
 - Jeżeli masz trochę czasu - powiedział - zapraszam cię do siebie. Mam coś, co chciałbym ci pokazać.
 - Chętnie, panie Gottkin - odparłem z rozbudzoną na nowo ciekawością.

Weszliśmy przez suterенę do małego, dwurodzinnego domku. Gottkin wskazał drzwi.

- Wejdz tam, chłopcze - powiedział. - Zaraz do ciebie przyjdę.

Patrzyłem jak wbiega na schody prowadzące na piętro potem odwróciłem się i poszedłem tam, gdzie mi kazał. Otwierając drzwi usłyszałem niewyraźne głosy dobiegające z gory. Stałem w progu i gapiłem się na pokój. Był wyposażony jak mała, ale kompletna sala gimnastyczna - poręcze, worki treningowe, koń, drążek do podciągania, ciężarki. Na małej skórzanej kanapie pod ścianą leżało kilka par rękawic bokserskich. Ściany pokoju pokryte były fotografiami. Podeszedłem bliżej, żeby im się przyjrzeć. Były to zdjęcia Gottkina, ale wyglądał na nich inaczej. Miał na sobie spodenki i rękawice bokserskie, a na twarzy groźny grymas. Nie wiedziałem, że był bokserem.

Zadzwonił telefon stojący na małym stolyczku koło kozetki. Potem jeszcze raz. Nie wiedziałem czy mam go odebrać, czy nie. Kiedy odezwał się po raz trzeci podniosłem słuchawkę. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, kiedy usłyszałem głos Gottkina. Na górze musiał być drugi aparat.

Słuchałem. Nigdy przedtem nie miałem do czynienia z takim telefonem i bałem się, że rozłączę rozmowę, jeżeli odłożę słuchawkę. Teraz mówiła kobieta.

- Sam! - powiedziała. - Trzeba być skończonym idiotą żeby mnie zabierać mając chłopaka w samochodzie.

Ten głos też rozpoznałem. Słuchałem dalej. W głosie Sama brzmiała nuta błagania.

- Ależ, kochanie, nie mogłem już dłużej tego znieść. Musze cię zobaczyć. Zwariuję, mówię ci.

Głos panny Schindler był twardy.

- Powiedziałam ci, że między nami wszystko skończone i mówiłam poważnie. Musiałam chyba zwariować, żeby w ogóle z tobą zaczynać. Jeżeli Jeff kiedykolwiek się dowie będzie z nami krucho.

- Dziecinko, nigdy się nie dowie. Jest zbyt zajęty szkołą. Nie wie nawet, jaki mamy dzień tygodnia. Nie rozumiem jak mogłaś wyjść za mąż za tego lunatyka.

- Nie jest tak zwariowany jak ty, Sam. Pewnego dnia Jeff

Rosen zostanie dyrektorem. Zajdzie wyżej niż ty - powiedziała obronnym tonem. - A ty doprowadzisz do tego, że cię wyrzucą.

Gottkin poczuł się pewniej.

- Ale, dziecinko, on o tobie nie myśli. Ze swoją szkołą wieczorową i tym wszystkim, nie ma czasu, żeby dać szczęście prawdziwej kobiecie.

- Sam! - zaprotestowała słabo. Jego głos w słuchawce nabrał mocy.

- Pamiętasz, co powiedziałaś ostatnim razem, Ceil? Jak nam razem było? Że nigdy nie czułaś nic podobnego. Pamiętasz, sama tak powiedziałaś. Ja pamiętam. Staje mi od samej myśli o tym. Przyjdź, kochanie, chcę cię.

- Nie mogę, Sam - teraz w jej głosie było błaganie.

- Powiedziałam...

- Nie obchodzi mnie, co powiedziałaś, Ceil - przerwał jej.

- Przyjdź do mnie. Zostawię na dole otwarte drzwi i będziesz mogła od razu dać nura do środka.

Zapadła chwila milczenia, potem zabrzmiał jej pełen napięcia głos.

- Kochasz mnie, Sam?

- Jak wariat, skarbie - w jego głosie brzmiała szorstka czułość. - Jak wariat. Przyjdziesz?

Niemal słyszałem jak się waha, potem powiedziała miękko.

- Będę za pół godziny, Sam.

- Czekam na ciebie, kochanie. - Gottkin zdawał się uśmiechać.

- Kocham cię, Sam - usłyszałem i połączenie zostało przerwane. Odłożyłem słuchawkę na widełki. Na schodach rozległy się kroki i wróciłem do oglądania fotografii na ścianach.

Odwróciłem się na dźwięk otwieranych drzwi.

- Panie Gottkin! - odezwałem się. - Nie wiedziałem, że był pan bokserem.

Twarz miał zaczerwienioną. Rzucił szybkie spojrzenie na telefon i z powrotem na mnie.

- Ano byłem - odpowiedział. - Chciałem pokazać ci parę rzeczy i jeżeli byś chciał, dać ci kilka lekcji. Sądzę, że masz zadatki na wspaniałego boksera, chłopcze.

- O rany, panie Gottkin, bardzo bym chciał - zawołałem szybko. - Moglibyśmy zacząć od zaraz?
- Chciałbym. - Sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Ale wynikła niespodziewanie pewna sprawa i nie mogę. Jutro na zajęciach powiem ci, kiedy będziemy mogli zacząć.
- O, kurczę, panie Gottkin - powiedziałem z rozczarowaniem.
Położył mi rękę na ramieniu i popchnął mnie ku drzwiom.
- Przykro mi, chłopcze, ale sprawy służbowe. Rozumiesz? Uśmiechnąłem się do niego od drzwi.
- Jasne, panie Gottkin. Rozumiem. Możemy to zrobić jutro.
- Tak, chłopcze. Jutro. - Zamknął szybko drzwi. Przebiegłem ulicę i podjazd. Ukryłem się w miejscu, skąd mogłem obserwować dom i czekałem. Minęło mniej więcej piętnaście minut, zanim nadeszła. Szła szybko, nie rozglądając się, dopóki nie znalazła się przy wejściu. Wtedy obrzuciła ulicę wzrokiem i dała nura do środka, zamykając drzwi za sobą.
Odczekałem jeszcze parę minut. Pan Gottkin byłby zaskoczony gdyby wiedział, jak wiele zrozumiałem. Co za dzień! Najpierw walka w szkole. A teraz to. I na dodatek panna Schindler była żoną pana Rosena z wydziału matematycznego. Czuję w sobie nowe poczucie władzy. Jedno moje słowo i wszyscy oni byliby skończeni. Na mojej drodze znalazł się słupek hydrantu. Przeskoczyłem przez niego z łatwością, jak przez konia. O rany, ale byłem zadowolony, że Paul się spóźnił!

6

W ramionach czułem zmęczenie. Oczy zalewał mi spływający z czoła pot i zaczynały piec. Przetarłem je wierzchem rękawicy i odwróciłem się w stronę nauczyciela.
Jego głos był szorstki, a ciało, podobnie jak moje, mokre od potu.

- Trzymaj lewą w górze, Danny. I wal! Ostro. Nie wymachuj nią jak baletnica. Wal, z całą siłą od ramion. Szybko! Patrz, o tak.

Stanął przed workiem treningowym i wpakował w niego lewą pięść. Ruch był tak szybki, że ręka zmieniła się w rozmazaną plamę. Worek obijał się o ścianę jak oszalały. Gottkin zwrócił się znowu do mnie.

- Teraz wal we mnie, szybko!

Znowu uniosłem ręce i zacząłem go ostrożnie obchodzić. Trenowaliśmy od dwóch tygodni i nauczyłem się już dość, by zachowywać czujność. Gottkin był ostry i jeżeli popełniłem błąd, zazwyczaj za niego płaciłem - bólem w szczęcie. Krążył razem ze mną, jego rękawice poruszały się nieznacznie. Zrobiłem zwód prawą. W ułamku sekundy zobaczyłem, jak jego oczy podążają za ruchem mojej ręki. Walnąłem go lewą pięścią w twarz, dokładnie tak, jak mnie uczył.

Głowa odskoczyła mu w tył pod uderzeniem, a kiedy wróciła do normalnej pozycji, policzek znaczyła czerwona plama.

Wyprostował się i opuścił ręce.

- W porządku, chłopcze - powiedział ze smutkiem. - Wystarczy na dzisiaj. Szybko się uczysz.

Odetchnąłem z ulgą. Byłem zmęczony. Szarpnąłem zębami sznurówki rękawic.

- Szkoła kończy się w przyszłym tygodniu. - Gottkin patrzył na mnie w zamyśleniu.

Udało mi się ściągnąć jedną rękawicę.

- Wiem - odparłem.

- Jedziesz na obóz? - zapytał.

- Nie. Będę pomagał ojcu w aptece.

- Dostałem posadę instruktora sportowego w hotelu w Cats-kills - powiedział. - Mógłbym załatwić ci robotę pikolaka. Chciałbym, żebyś dalej trenował.

- Ja też bym chciał, panie Gottkin - przyjrzałem się niezdeterminowanie swoim rękawicom. - Ale nie wiem, czy tato mi pozwoli.

Usiadł na kozetce. Przesunął wzrokiem po mojej postaci.

- Ile masz lat, Danny?

- Trzynaście - odpowiedziałem. - W tym miesiącu był mój *bar—miewa*.

- Dopiero trzynaście? - zapytał zaskoczony - Myślałem, że więcej. Wyglądasz na starszego. Przewyższasz wzrostem piętnastolatków.

- Mimo wszystko, zapytam tatę - powiedziałem szybko.

- Może pozwoli mi z panem pojechać. Gottkin uśmiechnął się

- W porządku, chłopcze, zapytaj. Może pozwoli.

Nieznacznie podrzuciłem Rexie kawałek mięsa pod stół i spojrzałem na ojca. Wszystko wskazywało na to, że jest w dobrym humorze. Właśnie czknał i popuścił pasa. Mieszał herbatę.

- Tato - zacząłem niepewnie. Podniósł na mnie wzrok.

- Tak?

- Mój nauczyciel wf. dostał pracę w hotelu na prowincji

- powiedziałem szybko - i mówi, że gdybym chciał, mógłby mi załatwić robotę pikolaka.

Patrzyłem na niego, kiedy w dalszym ciągu mieszał herbatę.

- Mówiłeś o tym mamie? - zapytał.

W tym momencie do pokoju weszła mama. Popatrzyła na mnie.

- O czym miałeś mi powiedzieć? Powtórzyłem jej to, co mówiłem tacie.

- I co mu odpowiedziałeś? - zapytała.

- Że będę pomagał tacie w aptece, ale on kazał jeszcze zapytać.

Przez chwilę patrzyła na ojca, potem odwróciła się do mnie.

- Nie pojedziesz - oznajmiła kategorycznie. Zabrała parę naczyń i ruszyła z powrotem do kuchni. Byłem rozczerowany, mimo że takiej właśnie odpowiedzi się spodziewałem. Patrzyłem w stół. Tato zawołał ją z powrotem.

- Mary - rzekł miękko. - To nie jest taki zły pomysł.

- Zdecydowaliśmy już, że będzie podczas wakacji pracował z tobą i tam właśnie będzie pracował. Nie pozwolę mu wyjechać samemu na całe lato. To "jeszcze dziecko.

Tato popijał wolno herbatę.

- Nie jest znów takim dzieckiem, skoro ma pracować w sklepie. A poza tym, lato na wsi dobrze mu zrobi.

Zwrócił się do mnie.

- Czy to dobry hotel?

- Nie wiem, tato - odparłem z nadzieją. - Nie pytałem.

- Dowiedz się wszystkiego, Danny - powiedział. - A potem zdecydujemy razem z mamą.

Siedziałem na werandzie, kiedy wyszli z domu. Tato zatrzymał się przy mnie.

- Jedziemy do Utica do kina z państwem Conlon - powiedział. - Pamiętaj żebyś poszedł do łóżka o dziewiątej.

- Dobrze, tato - obiecałem. Nie chciałem zrobić nic, co zniweczyłoby moje szanse wyjazdu na wieś z panem Gott-kinem. Tato przeszedł przez ulicę i zadzwonił do drzwi Conlonów.

Mimi wyszła na werandę ubrana w płaszcz. Spojrzałem na nią pytająco.

- Też jedziesz? - spytałem.

Prawdę mówiąc było mi to obojętne. Od czasu *bar-micwa* nasze stosunki układały się nie najlepiej. Chciała, żebym jej zdradził co robiliśmy z Marge w kotłowni, a ja powiedziałem, żeby zapytała swoją przyjaciółkę, skoro jest taka ciekawa.

- Idę z Marge - powiedziała z ważną miną. - Tato mi pozwolił. - Zeszła wyniośle ze schodów.

Państwo Conlon pojawili się na swojej werandzie. Nie było z nimi Marge.

- Marjorie Ann nie idzie? - zapytała Mimi.

- Nie, Mimi - odrzekła pani Conlon. - Była zmęczona i poszła wcześniej spać.

- Może też zostałabyś w domu, Mimi - spytała niepewnie mama.

- Przecież powiedziałaś, że mogę pójść - w głosie Mimi było błaganie.

- Pozwól jej iść, Mary - odezwał się ojciec. - Obiecaliśmy jej. Wrócimy o jedenastej.

Patrzyłem, jak wsiadają wszyscy do paige'a ojca. Samochód odjechał. Spojrzałem na zegar stojący na kominku w salonie. Była za piętnaście ósma. Miałem ochotę na papierosa. Podniosłem się, podszedłem do szafy w holu, gdzie w jednej z marynarek ojca znalazłem zmiętą paczkę lucky strike'ów. Potem wróciłem na werandę, usiadłem i zapaliłem.

Ulica była pusta i cicha. Słyszałem wiatr szeleszczący w liściach młodych drzew. Oparłem twarz o chłodny mur i zamknąłem oczy. Lubilem dotyk cegieł na policzku. Lubilem wszystko, co miało związek z moim domem.

- To ty, Danny? - Usłyszałem głos Marge. Otworzyłem oczy. Stała na swojej werandzie.

- Mhm - odpowiedziałem.

- Palisz! - zawołała z niedowierzaniem.

- No to co? - zaciągnąłem się wyzywająco. - Twoja mama mówiła, że jesteś w łóżku, tak mi się przynajmniej wydawało.

Podeszła pod moją werandę i stanęła u stóp schodów. Jej twarz śmiała się w świetle ulicznych lamp.

- Nie chciało mi się - powiedziała.

Zaciągnąłem się po raz ostatni i wyrzuciłem niedopałek. Wstałem, przeciągając się.

- Pójdę chyba spać - odezwałem się.

- Musisz? - spytała.

Spojrzałem na nią. Miała zdeterminowany wyraz twarzy.

- Nie - powiedziałem krótko. - Ale mogę. Nie mam tutaj nic do roboty.

- Możemy usiąść i porozmawiać - zaproponowała szybko. Sposób, w jaki to powiedziała, wzbudził moją ciekawość.

- O czym? - spytałem.

- O różnych rzeczach - odparła niejasno. - Jest mnóstwo spraw, o których możemy porozmawiać.

Poczułem przypływ dziwnego podniecenia. Usiadłem z powrotem na schodach.

- Okay - mruknąłem z udaną obojętnością. - A więc rozmawiajmy.

Usiadła stopień niżej. Miała na sobie bluzkę zapinaną z boku; kiedy się odwróciła, żeby na mnie spojrzeć, bluzka rozchyliła się lekko, ukazując ciemne zagłębienie między piersiami. Uśmiechnęła się.

- Z czego się śmiejesz? - spytałem, przybierając natychmiast wyzywający ton.

Zachnęła się.

- Wiesz, dlaczego zostałam w domu? - odbiła pytanie.

- Nie.

- Bo wiedziałam, że Mimi idzie.

- Myślałem, że lubisz Mimi - powiedziałem ze zdziwieniem.

- Lubię - odparła z przekonaniem. - Ale wiedziałam, że jeżeli Mimi pójdzie, ty będziesz w domu sam, więc zostałam.

- Popatrzyła na mnie tajemniczo.

Ogarnęła mnie nowa fala podniecenia. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc siedziałem cicho. Podskoczyłem, kiedy jej ręka dotknęła mojego kolana.

- Nie rób tego! - rzuciłem opryskliwie, cofając nogę. Zrobiła okrągłe, niewinne oczy.

- Nie lubisz? - zapytała.

- Nie - odrzekłem. - Ciarki mi chodzą od tego po plecach. Zaśmiała się cicho.

- To znaczy, że lubisz. Tak to właśnie powinno działać. Jej następne pytanie zupełnie mnie zaskoczyło.

- Dlaczego podglądasz mnie wciąż przez okno? Czułem, jak oblewam się rumieńcem.

- Już ci powiedziałem, że to nieprawda! Roześmiała się znowu podniecająco.

- Przyglądam ci się - powiedziała niemal szeptem. - Prawie każdego ranka, kiedy robisz swoje ćwiczenia. I jesteś bez ubrania. Dlatego zostawiam podniesione żaluzje - żebyś ty też mógł mnie widzieć.

Zapaliłem następnego papierosa. Palce mi drżały. W świetle zapalki zobaczyłem, że śmieje się ze mnie. Odrzuciłem zapalkę.

- No więc patrzyłem - powiedziałem wyzywająco. - I co masz zamiar z tym zrobić?

- Nic - odparła nadal uśmiechnięta. - Lubię, jak mi się przyglądasz.

Nie podobał mi się sposób, w jaki na mnie patrzyła.

- Idę do domu - powiedziałem wstając. Podniosła się ze śmiechem.

- Boisz się zostać tutaj ze mną! - rzuciła mi wyzwanie.

- Nie - odparowałem gwałtownie. - Obiecałem ojcu, że położę się wcześniej spać.

Zrobiła szybki ruch i złapała mnie za rękę. Wyrwałem się.

- Przestań! - krzyknąłem.

- Teraz już wiem, że się boisz - szydziła. - Inaczej byś jeszcze został. Jest wcześnie.

Nie mogłem już teraz odejść, więc usiadłem z powrotem na stopniu.

- W porządku - powiedziałem. - Zostanę do dziewiątej.

- Zabawny jesteś, Danny - powiedziała zaintrygowana.

- Inny niż większość chłopców. Zaciągnąłem się.

- Dlaczego? - spytałem.

- Nigdy nie próbujesz mnie obmacywać, ani nic. Spuściłem wzrok na trzymanego w ręku papierosa.

- A powinienem?

- Wszyscy inni chłopcy to robią - stwierdziła rzeczowo.

- Nawet mój brat Fred - roześmiała się. - Wiesz co? Potrząsnąłem głową w milczeniu. Nie ufałem już własnemu głosowi.

- Próbował nawet więcej, ale mu nie pozwoliłam. Zagroziłam, że powiem tacie. Tato by go zabił, gdyby się dowiedział.

Nie odezwałem się. Zaciągnąłem się papierosem. Dym wgrzył mi się w płuca. Zakaszlałem i wyrzuciłem peta.

Zniszczy mi kondycję. Spojrzałem na nią. Nie spuszczała ze mnie wzroku.

- Czego się gapisz? - zapytałem. Nie odpowiedziała.

- Idę napić się wody - powiedziałem. Wszedłem pospiesznie do domu, a potem przez ciemne pokoje do kuchni.

Odkręciłem kran, nalałem wody i wypilem duszkiem.

- A mnie nie dasz? - zapytała ponad moim ramieniem. Odwróciłem się. Stała tuż przy mnie. Nie słyszałem jej kroków.

- Jasne - odparłem. Ponownie napełniłem szklanę.

Trzymała ją przez chwilę w dłoni, potem odstawiła do zlewu nie tkniętą. Położyła dłonie na mojej twarzy. Były chłodne od szklanki. Stałem jak pień, z zeszywniałym, napiętym ciałem. Potem jej usta znalazły się na moich. Przechyliła mnie nad zlewem. Próbowałem ją odepchnąć, ale miałem zachwianą równowagę. Chwyciłem ją mocno za ramiona i usłyszałem jęk bólu. Ścisnąłem jeszcze mocniej a ona znów krzyknęła. Wyprostowałem się. Stała przede mną z oczami zamglonymi bólem. Roześmiałem się. Byłem od niej silniejszy. Jeszcze raz ścisnąłem jej ramiona. Wykrzywiła usta i dziko wczepiła się rękami w moje ręce. Miałem jej wargi tuż przy uchu.

- Nie broń się przede mną, Danny. Lubię cię. I wiem, że ty też mnie lubisz.

Odepchnąłem ją gwałtownie. Omal nie zleciała ze stopni i stanęła patrząc na mnie. Oczy jej błyszczały, fosforyzowały jak oczy kota w ciemnościach, piersi falowały z wysiłku. I wtedy patrząc na nią zrozumiałem: miała rację.

Dotarł do nas odgłos samochodu skręcającego w ulicę. Mój głos w ciemnościach tchnął przerażeniem.

- Wracają! Lepiej idź stąd!

Roześmiała się, robiąc krok w moją stronę. Gnany niewytłumaczalnym lękiem umknąłem na schody i stałem tam, wsłuchując się w jej głos.

Była taka pewna siebie, taka mądra. Wiedziała o tyle więcej ode mnie. Zrozumiałem, że opór jest bezcelowy, nie miałem szans. Nic nie mogło zatrzymać tego, co działo się we mnie.

Potem odeszła, dom ogarnęła cisza, a ja wolno ruszyłem po schodach do mojego pokoju.

7

Leżałem na łóżku gapiąc się w mrok. Nie mogłem spać. Jej pewny siebie, świadomy śmiech wciąż brzmiał mi w uszach.

Czułem się zbrukany i zhańbiony. Nigdy już nie spojrzę nikomu w twarz, z pewnością wszyscy będą wiedzieli, co się stało.

- Nigdy więcej - powiedziałem jej.

Zaśmiała się tym swoim dziwnym, wtajemniczonym śmiechem.

- To ty tak twierdzisz, Danny. Nigdy już nie będziesz mógł przestać.

- Nie ja! - Ale wiedziałem, że kłamię. - Nie ja! Czuję się za bardzo zbrukany.

Jej śmiech biegł za mną po schodach. Sprawiała wrażenie bardzo pewnej siebie.

- Nie możesz przestać, Danny. Jesteś teraz mężczyzną i nigdy nie przestaniesz.

Chciałem krzyknąć, że się myli, ale byłoby to bezcelowe. Zniknęła.

Poszedłem do swojego pokoju, zdjąłem ubranie i rzuciłem się po ciemku na łóżko.

Byłem osłabiony i bolały mnie nogi. Próbowałem zamknąć oczy, ale sen nie nadchodził. Czułem się wyczerpany i pusty w środku.

Usłyszałem trzask kontaktu w jej pokoju. Odruchowo zerknąłem w tamtą stronę. Stała patrząc z uśmiechem w moje okna. Zdjęła powoli bluzkę, jej naga skóra połyskiwała w świetle lampy. Głos dobiegający przez otwarte okno był ochryłym półszepem.

- Danny, nie śpisz?

Zacisnąłem powieki i odwróciłem się tyłem. Nie będę patrzył. I nie odpowiem.

- Nie próbuj mnie oszukać, Danny. Wiem, że nie śpisz. Jej głos nabrał twardego brzmienia, stał się jakby rozkazujący.

- Spójrz na mnie, Danny!

Nie mogłem już dłużej znieść tego głosu szarpiącego mi nerwy. Wściekły podszedłem do okna i drżąc przechyliłem się przez parapet.

- Zostaw mnie w spokoju! - błagałem. - Proszę, zostaw mnie w spokoju. Powiedziałem ci, nigdy więcej.

Śmiała się ze mnie.

- Spójrz na mnie, Danny - powiedziała miękko. - Nie lubisz na mnie patrzeć?

Wygięła się podnosząc wysoko ręce i odchylając głowę w tył.

Stałem wpatrując się w nią bez słowa. Nie chciałem patrzeć, ale nie mogłem przestać. Wyprostowała się ze śmiechem.

- Danny!

- Co? - zapytałem zamierającym głosem.

- Zapal światło, Danny. Chcę cię zobaczyć.

Przez chwilę nie rozumiałem o co jej chodzi, potem słowa przeniknęły do najdalszych zakamarków mojej świadomości. Zaparło mi dech w piersi i nagle uświadomiłem sobie istnienie własnego ciała. Zostałem zdradzony.

Zdradzony przez moje własne ciało.

- Nie! - krzyknąłem.

Uczucie wstydu i strachu przeszło mnie na wskroś. Odsunąłem się od okna.

- Zostaw mnie, mówię ci, zostaw mnie!

- Zapal światło, Danny.

Głos miała miękki i przekonujący.

- Zrób to dla mnie, Danny. Proszę.

Wahałem się chwilę z ręką na wpółwyciągniętą w stronę wyłącznika. Miała rację, nigdy się od niej nie uwolnię.

Byłem zgubiony.

- Nie! - krzyknąłem w odruchu płomiennego buntu. Wszystko to było mi nienawistne. Nienawidziłem swojej kielkującej męskości i sposobu, w jaki się objawiała.

- Nie! - zawołałem i wybiegłem, zatrzaskując drzwi i odzielając się nimi od pokoju i tego wszystkiego co mogłem zobaczyć.

Pobiegnąłem do łazienki i ściągnąłem pizamę. Spojrzałem w dół na swoje zdradzieckie ciało. Uderzyłem je z wściekłością. Ból przyniósł uczucie satysfakcji. Tak powinno być. Zapłacę mu za to, co mi uczyniło. Uderzyłem się raz jeszcze, poczułem przeszywający ból i zgiałem się wpół. Jedną ręką przytrzymałem się umywalki, drugą odkręciłem przysznic.

Odgłos wody bębniącej o dno brodzika działał uspokajająco. Stałem przez chwilę, potem wszedłem pod prysznic.

Strumień zimnej wody na rozpalonym ciele wywołał zimny dreszcz. Potem osunąłem się na dno brodzika i rozplakałem się.

Rano, kiedy się obudziłem, było tak, jakby w ogóle nic się nie stało. Jakby tamten wieczór był częścią snu, koszmarem zmytym przez sen.

Wyszorowałem zęby i przyczesalem włosy, a ubierając się nuciłem jakąś melodię. Zaskoczony przejrzałem się w lustrze. Z pewnym zdumieniem stwierdziłem, że nie stało się ze mną nic złego. Kłamstwem było to wszystko, co mi mówiono na ten temat. Oczy miałem niebieskie i przejrzyste, skórę błyszczącą i gładką, z warg zniknął bolesny wyraz.

Wyszedłem z pokoju podśpiewując. Nikt się o niczym nie dowie. W holu spotkałem idącą do łazienki Mimi.

- Dzień dobry - zaśpiewałem. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry - odparła. - Wczoraj tak twardo spałeś, że nawet się nie obudziłeś, kiedy wróciliśmy.

- Wiem - pokazałem w uśmiechu wszystkie zęby. Zrozumiałem, że nasza prywatna wojna dobiegła końca. Rexie szła za mną po schodach.

- Dzień dobry, mamusi! - zawołałem wchodząc do kuchni. - Będą dzisiaj donaty?

Mama uśmiechnęła się do mnie wyrozumiale.

- Nie zadawaj głupich pytań, Danny.

- W porządku, mamusiu.

Wziąłem pieniądze z kubka nad zlewem i ruszyłem w stronę drzwi.

- Chodź, Rexie.

Wyszła ze mną machając ogonem. Wyprzedziła mnie biegnąc alejką w stronę ulicy, gdzie przycupnęła nad rynsztokiem. Patrzyłem na nią z uśmiechem. Był piękny ranek i zapowiadał się piękny dzień. Świeciło słońce, a powietrze było czyste i rześkie.

Rexie ruszyła w dół ulicy, a ja poszedłem za nią. Ostatni wieczór był złym snem, tylko snem, nigdy nie zdarzył się

naprawdę. Wzięłem głęboki oddech. Czułem, że koszula napina mi się na piersiach w miarę jak nabieram powietrza w płuca.

- Danny!

Jej miękki, cichy głos sprawił, że stanąłem jak wryty. Odwróciłem się wolno i podniosłem oczy na jej werandę. Stała tam z uśmiechem w mądrych oczach.

- Dlaczego uciekłeś zeszłej nocy? - spytała niemal karcąco. Poczulem gorycz napływającą do ust. A więc to nie był sen, nie było ucieczki. Zacząłem ją nienawidzić. Splunąłem na chodnik.

- Dziwka!

Uśmiechała się ciągle schodząc z werandy i idąc w moją stronę. Z każdego jej ruchu emanowała pewność siebie. Patrząc na jej gibkie ciało przypomniałem sobie, jak wyglądała poprzedniej nocy stojąc w oknie. Była blisko mnie, jej usta uśmiechały się tuż przy moich.

- Lubisz mnie, Danny, więc nie walcz ze mną - powiedziała przymilnie. - Ja cię lubię.

Patrzyłem na nią zimno.

- Nienawidzę każdego skrawka twojego ciała.

Utkwiła we mnie wzrok. Uśmiech zniknął z jej twarzy i pojawiło się na niej podniecenie.

- Wydaje ci się, że tak jest, ale to nieprawda - powiedziała unosząc dłonie i robiąc dziwny gest. - Przejdzie ci to. I wrócisz po więcej.

Wpatrywałem się w jej dłonie, wsuwała wskazujący palec w skuloną dłoń drugiej ręki. Wiedziałem co ma na myśli. Miała rację. Wrócę po więcej.

Odwróciłem się szybko i pobiegłem w dół ulicy, wołając Rexie. Ale nie biegłem za psem. Uciekałem od niej. I wiedziałem, że nigdy nie będę biegł dostatecznie szybko, żeby uciec przed dorastaniem.

Nie mogłem się doczekać końca ostatniej lekcji. Pan Gott-kin udzielił mi wszystkich informacji, o które prosił ojciec i postanowiłem pobiec do apteki, żeby mu je przekazać. Ucieszy się; zawsze był zadowolony, kiedy wpadałem do niego. Pamiętam, że kiedy byłem młodszy, lubił posyłać mnie do innych kupców w dzielnicy, żeby się mną pochwalić. Dostarczało mi to sporo emocji, bo robili wokół mnie mnóstwo zamieszania.

^ Złapałem trolejbus do Church i Flatbush, pojechałem do śródmieścia i przesiadłem się do następnego, który jadąc wzdłuż Sands Street, zatrzymywał się w pobliżu Navy Yard. Wyrzucił mnie dwie ulice od apteki.

Miałem nadzieję, że tato pozwoli mi pojechać na wieś z panem Gottkinem. Teraz chciałem tego bardziej niż kiedykolwiek. Był to jedyny sposób ucieczki przed Marjorie Ann. Bałem się jej, bałem się uczuć, które we mnie budziła. Przyjdę do siebie, jeżeli będę mógł trzymać się od niej z daleka przez całe lato.

Wpadł mi w ucho dźwięk trąbki. Spojrzałem przez ulicę na Navy Yard. Była czwarta i mieli zmianę warty. Postanowiłem to zobaczyć - kilka minut nie stanowiło żadnej różnicy.

Nie było mnie tam, kiedy...

Ojciec podniósł przykrywkę kasy i zajrzał do środka. Dziewięć dolarów, czterdzieści centów. Pokiwał głową i spojrzał na wielki zegar ścienny. Już czwarta. W normalnych czasach w kasie byłoby dziesięć razy tyle. Nie wiedział, jak uda mu się spłacić procenty od pożyczki, jeśli tak dalej pójdzie. Usłyszał zatrzymujący się przed apteką samochód i wyjrzał na ulicę. Była to ciężarówka firmy Towns & James, pośredników, z którymi współpracował od samego początku. Kierowca wszedł do apteki z małą paczką pod pachą.

- Cześć, Top! - przywitał go ojciec z uśmiechem.

- Czołem, doktorze. Mam dla pana paczkę, dwanaście zero sześć.

Tato wyjął z kieszeni ołówek.

- W porządku. Podpiszę. Kierowca potrząsnął głową.

- Przykro mi, doktoru. Gotówką.

- Gotówką? - zapytał ojciec z wyrazem nagłego bólu w oczach. - Robię z nimi interesy prawie dwanaście lat i zawsze płaciłem swoje rachunki.

Kierowca poruszył ramionami ze współczuciem.

- Wiem, doktorze - powiedział łagodnie. - Ale nic na to nie poradzę. Oni są od rozkazywania. Na rachunku jest:

COD.*

Tato zaznaczył w kasie „bez sprzedaży” i wolno odliczył pieniądze na ladę. Kierowca zabrał je zostawiając paczkę.

Tato wstydił się spojrzeć mu w twarz. Zawsze był dumny, że udzielają mu kredytu.

Do apteki weszła kobieta i tato przywołał uśmiech na twarz.

- Słucham panią.

Położyła na ladzie dziesięć centów.

- Mogę dostać dwie pięciocentówki, doktorze? Muszę zadzwonić.

Wziął dziesięć centów i podsunął jej dwie monety. Patrzył za nią, kiedy szła do budki. Paczka wciąż leżała na ladzie, tam gdzie zostawił ją kierowca. Nie miał na razie ochoty jej otwierać. Nie chciał jej dotykać.

Skręciłem na rogu przed zakonspirowanym barem i spojrzałem w ulicę.

Biało-niebieskie litery w oknie zdawały się mnie przywoływać.

APTEKA FISHERA FARMACIA ITALIANA NOR ST APOTHEKE EX-LAX

***COD - płatne gotówką**

Minąłem w biegu otwarte drzwi baru. Dolatywały stamtąd gniewne okrzyki, ale nie zwolniłem kroku. Awantury były tu czymś zupełnie normalnym. Pchnąłem drzwi apteki.

Tato stał za ladą, mała ciemna postać w jasnobrązowym fartuchu. Zdawał się badać wzrokiem paczkę leżącą przed nim na ladzie. Wszedłem do środka.

- Cześć, tato!

Słowa odbijały się echem w pustym pomieszczeniu. Poczulem w nozdrzach znajomy zapach piżma. Apteki już zawsze będą mi się kojarzyć z tą wonią. Kiedy byłem mały miałem zwyczaj wachać ubranie ojca.

- Danny! - W głosie taty było przyjemne zaskoczenie Wszedł zza lady.

- Co tutaj robisz?

- Dostałem te informacje od pana Gottkina o hotelu na wsi - wyjaśniłem.

Uśmiechnął się ze znużeniem. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Powinienem wiedzieć, że będzie jakiś powód - rzekł ze smutkiem.

- I tak miałem przyjść - powiedziałem szybko. Popatrzył na mnie z powątpiewaniem. Nie dawał sobie mydlić oczu. Przesunął czule ręką po mojej głowie.

- W porządku - odezwał się łagodnie. - Chodź na zaplecze porozmawiamy.

Ruszyłem za nim na tył apteki. Mijałem właśnie ladę, kiedy od drzwi dobiegł czyjś krzyk. Odwróciłem się błyskawicznie przestraszony.

- Doktorze! - krzyknął znów mężczyzna.

Na ramionach poczułem ręce ojca, pchnął mnie za siebie Był bardzo blady.

Mężczyzna w drzwiach zalany był krwią. Na policzku miał długą, szarpaną ranę biegnącą aż do szyi. Spod tryskającej krwi widać było żywe mięso i białą kość.

Zrobił kilka niepewnych kroków w głąb apteki, a krew bryzgała mu na nogi. Poszukał rękoma lady i złapał się jej kurczowo, zwracając ku nam rozdartą bólem twarz. - Dostali mnie, doktorze.

Uchwyt rąk na ladzie zelżał i facet zaczął osuwać się na

podłogę. Upadł na kolana, nadal trzymając się krawędzi lady i nie odrywając od nas wzroku. Wyglądał jakby się modlił.

- Pomóż mi, doktorze! - Jego głos był słabym, ochrypłym szeptem. - Nie pozwól mi umrzeć!

Puścił ladę i rozciągnął się na podłodze u naszych stóp.

Widziałem powolne pulsowanie krwi w ranie. Spojrzałem na ojca. Był blady, a jego usta poruszały się bezgłośnie.

Wyglądał na chorego. Na czole zbierały mu się krople potu.

- Tato! - krzyknąłem.

Wpatrywał się we mnie pustym, udreńczonym wzrokiem.

- Tato, nie pomożesz mu?!

Nie mogłem uwierzyć, że pozwoli tak umrzeć człowiekowi. Zacisnął ponuro usta. Przyklęknął przy rannym.

Mężczyzna był nieprzytomny, dolna szczeka opadła mu bezwolnie. Ojciec podniósł głowę.

- Idź do telefonu, Danny - powiedział spokojnie - i zadzwoń po karetkę.

Pobiegłem do budki. Kiedy wróciłem, w aptecce było już pełno ludzi i musiałem torować sobie drogę przez tłum otaczający rannego.

- Odsuńcie się. Dajcie mu oddychać - prosił ojciec.

Nie zwracali na niego uwagi, ale wtedy włączył się policjant.

- Słyszeliście, co powiedział doktor?! - zachrypiał głosem nawykłym do rozkazywania. - Róbcie, co wam kazał!

Karetka przyjechała za późno. Mężczyzna już nie żył. Umarł, ponieważ pokłócił się z kimś o kufel piwa. Nie sądziłem, że kufel piwa może być aż tak ważny, ale ten był. Miał wartość ludzkiego życia.

Starłem ostatni ślad krwi z lady. Tato przyglądał mi się z pokoju na zapleczu. Całe to zdarzenie było podniecające.

Odwrociłem się do niego.

- O rany, tato - powiedziałem przepełniony podziwem. - Byłeś dzielny pomagając temu człowiekowi. - Nie mógłbym tak. Chyba bym zwymiotował.

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Było mi niedobrze, Danny - rzekł cicho - ale nic innego nie mogłem zrobić.

Uśmiechnąłem się do niego.

- Zmieniłem zdanie, tato - odezwałem się. - Nie chcę już wyjeżdżać na lato. Czy takie rzeczy często się zdarzają?

- Nie - odparł. Wziął paczkę papierosów leżącą za nim na ladzie, wyjął jednego i zapalił. - Wyjedziesz na wieś - powiedział.

- Ależ tato! - w moim głosie było prawdziwe rozczarowanie.

- Słyszałeś, Danny - rzekł stanowczo. - Wyjedziesz. Wyprostowałem się wolno. Coś było nie w porządku.

Czegoś jakby brakowało.

- Wzięłeś paczkę, tato? - zapytałem.

Spojrzał na ladę ze zdziwieniem. Cień pojawił się w jego oczach i szybko znikł. Odetchnął głęboko, usta wykrzywił mu grymas.

- Nie wzięłem - powiedział. Byłem zaintrygowany.

- Myślisz, że ktoś ją ściągnął?

Bruzdy zmęczenia pojawiły się na jego twarzy, kiedy mi odpowiadał kłamiąc.

- To naprawdę nie ma znaczenia, Danny. Nieważne. I tak nie chciałem tej paczki.

9

Siedziałem na werandzie, leniwie drapiąc Rexie po głowie. Była to moja ostatnia noc w domu. Jutro rano pan Gottkin przyjedzie po mnie swoim fordem i wyruszymy na wieś. Było mi smutno. Miał to być mój pierwszy wyjazd z domu.

Dookoła czerniła się spokojna noc. Dom był ciemny.

Świeciło się tylko w kuchni, gdzie rodzice ciągle rozmawiali. Pochyliłem się nad psem.

- Pamiętaj, że masz być grzeczna, kiedy mnie nie będzie - szepnąłem jej.

Machnęła wolno ogonem. Rozumiała wszystko, co do niej mówiłem, była najmądrzejszym psem, jakiego kiedykolwiek widziałem.

- Lato i tak jest krótkie - powiedziałem. - Ani się obejrzysz, a przyjdzie jesień i wrócę.

Wsadziła swój zimny nos w moją dłoń, a ja podrapałem ją pod brodą. Lubiła to.

Usłyszałem jak otwierają się drzwi Conlonów i uniosłem głowę.

Marjorie Ann wyszła na werandę. Wstałem czym prędzej, zawołałem Rexie i ruszyłem w dół ulicy. Nie chciałem z nią rozmawiać.

- Danny! - usłyszałem za sobą jej szybkie kroki. Odwróciłem się. Kiedy mnie dogoniła, brakowało jej tchu.

- Wyjeżdżasz jutro?

- Mhm - skinąłem głową.

- Mogę przejść się z tobą kawałek? - spytała cichym, pokornym głosem.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem. To było do niej zupełnie niepodobne.

- To jest wolny kraj - odparłem, ruszając dalej. Dostosowała swoje kroki do moich.

- Zdałeś wszystko? - zapytała tonem towarzyskiej rozmowy.

- Aha - odparłem z dumą.

- Wspaniale - powiedziała przypoehlebnie. - Ja omal nie zawałam matmy.

- Matma jest łatwa - odparłem.

- Nie dla mnie! - zawołała żywo.

Na rogu skręciliśmy w milczeniu, nasze kroki dudniły głucho na chodniku. Przeszliśmy następną przecnicę, zanim się znowu odezwała.

- Ciągle jeszcze jesteś na mnie wściekły, Danny? Zerknąłem na nią kątem oka. Na jej twarzy malował się ból. Nie odpowiedziałem.

Byliśmy już prawie przy końcu następnej przecznicy, kiedy usłyszałem, jak pociąga nosem. Zatrzymałem się i stanąłem twarzą do niej. Jeżeli czegoś nie znosiłem, to właśnie dziewczęcych pochlipowań.

- A teraz co znowu?! - zapytałem szorstko. Jej oczy lśniły od łez.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał wściekły - pociągnęła nosem. - Lubię cię.

Parsknąłem ironicznie.

- Masz dziwny sposób okazywania sympatii. Kpiąc ze mnie, albo zmuszając mnie do robienia czegoś, na co nie mam ochoty.

Płakała już na dobre.

- Ja... ja chciałam tylko robić to, co lubisz. Znowu ruszyłem przed siebie.

- No więc nie lubię tego - powiedziałem krótko. - Denerwuje mnie to.

- Danny, jeżeli obiecuję, że już nie będę, przestaniesz się złościć?

Chwyciła mnie za rękę. Spojrzałem na nią.

- Tak, jeżeli naprawdę obiecasz.

- W takim razie obiecuję - rzekła pośpiesznie, uśmiechając się przez łzy.

Odwzajemniłem uśmiech.

- No to już się nie złościę - powiedziałem.

Nagle pojąłem, że właściwie nigdy nie byłem na nią zły. Byłem wściekły na siebie. A to, co ona ze mną robiła, nawet mi się podobało.

Szliśmy obok siebie, trzymała mnie ciągle za rękę. Rexie wybiegła w pole i czekaliśmy aż wróci. Marjorie Ann zajrzała mi w twarz.

- Danny, czy mogę być twoją dziewczyną?

- Do jasnej Anielki! - wymknęło mi się.

W jednej chwili jej oczy wypełniły się znowu łzami. Odwróciła się i zaczęła uciekać ode mnie łkając. Przez chwilę stałem bez ruchu, gapiąc się za nią. Potem ruszyłem biegiem i złapałem ją za ramię.

- Marjorie Ann!

Odwróciła się, żeby spojrzeć mi w twarz, drżała jeszcze od płaczu.

- Przestań chlupać! - zawołałem. - Możesz być moją dziewczyną, jeżeli chcesz.

- Och, Danny! - zarzuciła mi ramiona na szyję, próbując mnie pocałować.

Uchyliłem się.

- Hej, przestań, Marge. Obiecałaś.

- Tylko cię pocałuję, Danny - powiedziała pędkiem. - Przecież jestem twoją dziewczyną.

Gapiałem się na nią. Logika jej rozumowania była nie do odparcia. A poza tym miałem ochotę ją pocałować.

- Dobrze - zgodziłem się łaskawie. - Ale nic więcej! Przyciągnęła do siebie moją twarz. Czułem na ustach jej ciepłe wargi. Przytuliłem ją mocniej, a ona ukryła twarz na moim ramieniu. Jej głos docierał do mnie stłumiony.

- Teraz, kiedy jestem twoją dziewczyną, zrobię wszystko co zechcesz, Danny.

Przycisnęła mi ręce do swoich piersi.

- Wszystko co zechcesz - powtórzyła. - Nie będę ci więcej dokuczać.

Oczy płonęły jej z przejęcia. W niczym nie przypominała dziewczyny, którą znałem przez wszystkie te lata. Było w niej ciepło, którego nigdy przedtem nie czułem. Pocałowałem ją jeszcze raz, powoli. Czułem jak przywiera do mnie, a w moich żyłach narasta gorączka. Tętno pulsowało mi w skroniach. Odsunąłem ją od siebie.

- Więc chodźmy do domu - powiedziałem ponuro. - Tylko tego chcę.

Tato zawołał mnie, kiedy byłem już na schodach. Podeszedłem do niego.

- Tak, tato?

Był zmieszany. Spojrzał na mamę, ale mama czytała wieczorną gazetę i nawet nie podniosła głowy. Utkwił wzrok w jakimś punkcie podłogi i odchrząknął.

- Danny, wyjeżdżasz z domu po raz pierwszy - powiedział niepewnie.

- Tak, tato.

Patrzył teraz w sufit unikając starannie mojego wzroku.

- Jesteś już dużym chłopcem, Danny, i wydaje nam się, że są pewne sprawy, o których powinniśmy ci powiedzieć.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- O dziewczynach, tato?

Spojrzał na mnie ze zdumieniem. Mama opuściła gazetę i też wlepiała we mnie oczy. Uśmiechnąłem się do nich.

- Trochę się spóźniłeś, tato. Uczą teraz o tym w szkołach.

- Uczą? - zapytał z niedowierzaniem.

Kiwnąłem głową, nadal pokazując zęby w uśmiechu.

- Jeżeli chciałbyś się czegoś dowiedzieć, tato, możesz mnie zawsze spytać.

Na jego ustach pojawił się uśmiech ulgi.

- Widzisz, Mary - powiedział. - Mówiłem ci, że nie musimy go uświadamiać.

Mama patrzyła na mnie z powątpiewaniem. Uśmiechnąłem się do niej uspokajająco.

- Nie musisz się martwić, mamó - zapewniłem ją. - Potrafię sam o siebie zadbać.

Poszedłem na górę uśmiechając się ciągle. Nie wiedzieli po prostu, z kim mają do czynienia. Byłem znawcą kobiet.

Czyż nie dowiodłem tego dzisiejszego wieczoru?

10

- Czy ona się pieprzy, Danny?

Spojrzałem na chłopaka z obrzydzeniem. Rumieniec na jego twarzy pogłębiał się w miarę jak odprowadzał wzrokiem idącą na taras dziewczynę.

Nie odpowiedziałem mu od razu; schyliłem się, żeby zamknąć bar. Odkąd tu przyjechałem, słyszałem to pytanie tysiące razy. Było to moje trzecie lato w „Hotelu Mont-Ferm” i „Klubie Wiejskim”.

- Wszystkie to robią - odpowiedziałem niedbale. - Do

diabła, jak myślisz, po co one tu przyjeżdżają? Po słońce i świeże powietrze?

Chłopcy przy ladzie wybuchnęli śmiechem, ale tamten ciągle patrzył w stronę tarasu.

- Człowieku! - powiedział ze zgrozą. - Niektóre kobiety w spodniach mają w sobie coś takiego.

- Kto patrzy na spodnie? - zapytałem niedbale. – Jeżeli o mnie chodzi, patrzę wyłącznie na bluzki. Śmiali się jeszcze, kiedy zamykałem bar.

Ci kelnerzy i posługacze nie wydawali nawet dziesięciu centów. Pracowali tutaj za parę dolarów i napiwek. I właściwie wszystko robili byle jak, a hotel miał to gdzieś. Przyjmował ich tylko po to, żeby uszczęśliwić gości, a ponieważ gośćmi były przeważnie panie, taki układ odpowiadał wszystkim.

Chłopcy odpłynęli na werandę; patrzyłem jak odchodzą. Większość z nich była starsza ode mnie, ale myślałem o nich jak o dzieciakach. Czułem się stary. Może była to sprawa wzrostu, mierzyłem pięć stóp i jednaście cali, a może po prostu tego, że po trzech spędzonych tu sezonach byłem weteranem. Sięgnąłem po wyciąg rachunków z całego dnia i zacząłem go wypełniać. Sam lubił mieć papiery w należyтым porządku.

Pamiętam swoje pierwsze lato tutaj, zaraz po *bar-micwa*. Byłem wtedy zupełnie zielony, kompletny gówniarz czepiający się Gottkina w nadziei, że zaprowadzi go to do drużyny futbolowej. Co za bzdura!

Gottkin nie wrócił już do szkoły. Pierwszego wieczoru oskubał właściciela koncesji przy grze w kości. Następnego był już w biznesie. Zanim minął pierwszy tydzień, wiedziałem, że nie ma mowy, by wrócił.

- To jest coś dla mnie - mówił. - Niech sobie znajdą innego durnia do niańczenia bachorów.

Pomagałem mu zamiast pracować w hotelu i nieźle nam szło. Zimą spróbował szczęścia w Miami Beach, a następnego lata przejął koncesję na jeszcze jeden hotel. Tego lata zatrudniał pięciu pracowników, po dwóch w każdym hotelu i jego zajęcia ograniczały się do zgarniania forsy. Ford poszedł w odstawkę, jeździł teraz sportowym piercem z opuszczanym dachem.

Ale to pierwsze lato było ciężkie. Brak doświadczenia wyłąził ze mnie wszystkimi porami. Byłem obiektem wszelkich możliwych żartów, które chłopakom strzeliły do głowy, a dziewczyny zadreślały mnie na śmierć. Sam musiał im w końcu powiedzieć, żeby dali mi spokój. Bał się, że stracę cierpliwość i kogoś znokautuję.

Nie chciałem tam wracać następnego roku, ale pojechałem, kiedy Sam przyszedł do nas do domu i powiedział, że ma drugi hotel i chce, żebym go prowadził. Potrzebowaliśmy pieniędzy. Interes taty szedł jak po grudzie. Pod koniec lata miałem już pięćset dolarów.

Pamiętam twarz mamy, kiedy położyłem forszę na kuchennym stole i powiedziałem, że ma ją zatrzymać. Miała łzy w oczach i odwróciła się do ojca, żeby je przede mną ukryć. Usta jej drżały, ale usłyszałem jak mówi:

- Mój blondasek.

To wszystko. Tato sam był bliski łez. Każdy kolejny dzień w aptece był bardziej stresujący od poprzedniego. Te pieniądze miały starczyć na długo. Ale zacisnął usta z wyrazem upartej dumy.

- Włóż pieniądze do banku - powiedział. - Będziesz ich potrzebował, kiedy pójdziesz na studia.

Uśmiechnąłem się. Nie bujał, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

- Możemy wydać tę forszę teraz - powiedziałem z nieodpartą logiką. - Dopiero za dwa lata uniwersytet zajrzy mi w oczy. Wtedy będziemy się martwić.

Tato patrzył na mnie, jak mi się zdawało, przez bardzo długą chwilę. Potem wyciągnął drżącą rękę i wziął pieniądze.

- Dobrze, Danny - powiedział. - Ale będziemy o tym pamiętać. Kiedy interes pójdzie lepiej, dostaniesz je z powrotem.

Nie skończył nawet mówić, a już wiedzieliśmy, że to nieprawda. Interes nie szedł ani trochę lepiej, szedł gorzej. A pieniądze poszły tam, gdzie wszystko inne - w błoto.

To było rok temu i dawno już pożegnałem się z tamtą forszą. Nastawiałem się teraz na zdobycie stu dolarów premii, które Sam obiecał mi za przebicie zeszłorocznego zysku.

Skończyłem raport i podsumowałem dotychczasowy do-

chód w sezonie. Wszystko, czego potrzebowałem, to łut szczęścia w ciągu tych paru ostatnich tygodni i byłbym ustawiony. Spojrzałem na zegarek. Miałem akurat tyle czasu, żeby skoczyć na basen przed lunchem.

Zamknąłem bar i wyszedłem na taras. Nowa panienka i wielkooki chłopak grali w ping-ponga. Dziewczyna miała dobry styl, jedynie jej backhand wymagał drobnych poprawek. Podeszedłem do niej od tyłu i wyjąłem jej raketkę z ręki.

- Luźniutko, dziecinko, luźniutko - powiedziałem z przekonaniem. - Jesteś za sztywna. Spójrz na mnie.

Wielkie Oko obrzucił mnie spojrzeniem pełnym jadu i cisnął we mnie piłeczką. Odebrałem z łatwością. Ściął ponownie. I znowu odebrałem. Byłem dobry i wiedziałem o tym. Następnym razem podciąłem lekko, facet rzucił się rozpaczliwie do piłeczki, ale uciekła mu spod raketki. Uśmiechnąłem się do dziewczyny.

- Widzisz, kotku, jakie to łatwe - powiedziałem.

- W twoim wykonaniu - odparła z uśmiechem. - Ale nie w moim.

- Jasne, że tak - rzekłem niedbale. - Pokażę ci. Ułożyłem jej dłonie na raketce i stanąłem za nią. Objąłem ją od tyłu, ujmując za ręce. Powoli przesunąłem jej prawe ramię jak najdalej do lewego boku. Kiedy nasze ramiona się skrzyżowały, oparła się o mnie plecami. Nie miała wyboru, była unieruchomiona. Czuję jej piersi pod swoim ramieniem. Uśmiechnąłem się porozumiewawczo do Wielkiego Oka. Płonął z gniewu, ale nie śmiał otworzyć jadaczki. Byłem dla niego za duży.

Wbiłem jej backhand do głowy i spojrzałem na nią z uśmiechem.

- I co, czy to nie jest łatwe? - zapytałem swobodnie.

Jej twarz robiła się coraz bardziej czerwona. Widziałem, jak rumieniec pełźnie w górę po szyi. Usiłowała uwolnić się dyskretnie z mojego uścisku. Równie dobrze mogłaby podjąć się próby latania. Nie miała szans. Byłem dla niej za silny. Nie śmiała zaprotestować, bo wszyscy na nas patrzyli i zrobiłaby z siebie idiotkę.

- No... może i tak... - odparła w końcu.

Puściłem ją, szczerząc zęby w uśmiechu. Tej lekcji

ping-ponga nie zapomni tak szybko. Chłopcy też nie. Patrzyli na mnie z zazdrością w oczach. Kobiety, nie dolary, były tutaj miernikiem wartości. Żaden z nich nie podejrzewał nawet, że forsa była jedyną rzeczą, jaką miałem z tych wakacji.

- Po prostu, trzeba poćwiczyć, dziecinko - powiedziałem i niespiesznie opuściłem taras, bardzo z siebie zadowolony. Przeciąłem boisko, kierując się w stronę kasyna. Mieszkaliśmy z Samem w bungalowie za salą gry. Pierwszego roku spaliśmy w pokoju nad kasynem, co uniemożliwiało jakikolwiek wypoczynek. Tego roku Sam zdecydował się na bungalow. Używaliśmy go jako połączenie sypialni z magazynem. Sam miał tam nawet podłączony telefon, żeby móc kontaktować się z innymi hotelami.

Otworzyłem drzwi domku, wszedłem do środka i rozejrzałem się ze wstrętem. W pokoju panował nieprawdopodobny bałagan. Kartony i pudła wały się po całej podłodze. Nie mogłem jakoś znaleźć czasu, żeby je posprzątać.

Ze sznura nad łóżkiem zdjąłem sprane, gabardynowe kąpielówki i wciągnąłem je. Stąpając ostrożnie między pudłami dotarłem do drzwi i wyszedłem na zewnątrz. Obiecałem sobie, że po południu posprzątam. Zamknąłem drzwi i skierowałem się w stronę basenu.

Był pusty, tak jak się tego spodziewałem. Lubiałem mieć trochę wolnej przestrzeni, żeby popływać. Dlatego przychodziłem tu rano, bo goście rzadko pokazywali się przed lunchem.

Wchodząc do wody rzuciłem okiem w górę na stary napis wiszący nad drzwiami. Robił na mnie potężne wrażenie.

Na początku lata jaskrawoczerwony, teraz był tylko wyblakłym, łagodnym szeptem.

**PAMIĘTAJCIE O GRZYBICY! WSZYSCY UŻYTKOWNICY OBOWIĄZANI SĄ WEJŚĆ DO
BRODZIKA PRZED KORZYSTANIEM Z BASENU**

ZARZ. MIN. ZDROWIA

Przestrzegalem tego zarządzenia z nabożną gorliwością. Grzybica była jedną z rzeczy, których nie chciałem mieć. Stałem w brodziku prawie dwie minuty, zanim ruszyłem do basenu zostawiając na cemencie ślady mokrych stóp.

Zerknąłem w stronę tarasu, żeby sprawdzić, czy ktoś nie patrzy. Wielkie Oko i jego babka zabawiali się ciągle przy stole pingpongowym. Poczulem się dziwnie rozczarowany.

Przeciąłem gładką tafłę wody i popłynąłem żwawo na drugi koniec basenu. Woda była zimna i musiałem pływać, żeby nie zmarznąć. I bardzo dobrze. Dopóki basen był pusty, mogłem popracować nad swoim crawllem. Czasami traciłem rozeznanie; robiłem wdech zamiast wydechu i w rezultacie miałem nos pełen wody. Wypływałem wtedy parskając, kaszląc i czując się jak idiota. Płynąłem teraz równo, kontrolując oddech.

Mniej więcej po kwadransie usłyszałem, że ktoś mnie woła. Straciłem rozeznanie i nabrałem pełne usta wody. Spojrzałem gniewnie.

Na skraju basenu stał jeden z gońców hotelowych.

- Jakaś babka czeka w recepcji na szefa. Podpłynąłem do krawędzi.

- Wiesz, że go nie ma - powiedziałem ze złością. - Więc po co zawracasz mi głowę? Powiedz jej, żeby poszła do diabła.

- To właśnie zrobiłem - odparł pospiesznie. - Wtedy zapytała o ciebie.

Kto mógł pytać o mnie?

- Nie wiesz, kto to jest? - spytałem. Wzruszył ramionami.

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć? Nie pytałem. Byłem zbyt zajęty gapieniem się na nią. Zobaczyłbym się z nią na twoim miejscu. Ma co trzeba.

Wywrócił oczami z uczuciem i cmoknął.

Uśmiechnąłem się i wyszedłem z basenu. Woda ściekała ze mnie, tworząc wokół nóg małe kałuże. Sięgnąłem po ręcznik i zacząłem się wycierać.

- No więc, na co czekasz? - spytałem. - Przyślij ją tutaj. Obrzucił mnie sprośnym spojrzeniem.

- Okay, Danny.

Odchodząc odwrócił się jeszcze ze śmiechem.

- Ale na twoim miejscu upewniłbym się, czy ptaszyna jest zwarta i gotowa, zanim ona tu przyjdzie.

Skończyłem się wycierać i usiadłem na ławce, żeby założyć sandały. Na moje stopy padł cień. Podniosłem głowę.

- Cześć, Danny - przede mną stała uśmiechając się panna Schindler.

Zerwałem się na nogi, nagle onieśmielony. Odkryłem ze zdumieniem, że jestem od niej wyższy o ponad głowę.

- Pa... panna Schindler - wyjąkałem.

Zadarła głowę, żeby na mnie spojrzeć: nadal się uśmiechała.

- Wyrosłeś, Danny. Nie poznałabym cię.

Patrzyłem na nią. Zabawne, jak silnie kojarzyła mi się z domem. Tutaj był jakby inny świat. Nagle przypomniałem sobie, że muszę odpisać na list mamy. Leżał na stole w bungalowie już prawie od tygodnia.

11

- Sama w tej chwili nie ma - rzekłem w odpowiedzi na jej pytanie. - Kontroluje drugi hotel. Wróci wieczorem.

Wyraz dziwnej ulgi pojawił się na jej twarzy.

- Byłam w bliskim sąsiedztwie - powiedziała szybko - i pomyślałam sobie, że wpadnę.

Stała w jasnym słońcu, zażenowana, patrząc na mnie z ukosa. Zachowałem obojętny, nieprzenikniony wyraz twarzy.

Bliskie sąsiedztwo. Dziewięćdziesiąt mil od miasta.

- Jasne - powiedziałem. Wpadł mi do głowy pewien pomysł. - Gdzie się pani zatrzymała? Powiem Samowi, żeby do pani zadzwonił, jak wróci.

- Och nie, nie może tego zrobić - odparła. Za szybko, pomyślałem. Jej mąż musiał być gdzieś w pobliżu; nie chciała, żeby się dowiedział. Chyba odgadła, co mi chodzi po głowie.

- Widzisz, kręcę się po okolicy i nie wiem, gdzie się dzisiaj zatrzymam.

- A może tutaj? - zaproponowałem bystro. - Ładnie i mogę załatwić pani zniżkę.

Potrząsnęła głową.

- Samowi będzie przykro, gdy się dowie, że pani odjechała nie zaczekawszy na niego - powiedziałem.

Spojrzała na mnie przenikliwie.

- Nie - rzekła stanowczo. - Lepiej nie.

Byłem rozczarowany. Nagle uświadomiłem sobie, że chcę, by została. W pewien sposób była częścią domu i cieszyłem się, że ją widzę.

W bungalowie zadzwonił telefon. Złapałem ręcznik i ruszyłem biegiem w tamtą stronę.

- Proszę poczekać! - zawołałem przez ramię. - To pewnie Sam. Powiem mu, że pani jest.

Pchnąłem drzwi i złapałem za słuchawkę.

- Halo, Sam?

- No - potwierdził chrapliwie. - Jak leci?

- W porządku, Sam - odparłem. W moim głosie słychać było podniecenie. - Jest tutaj panna Schindler. Chce się z tobą zobaczyć.

Głos Sama stał się jeszcze bardziej chrapliwy.

- Co ona tam robi?

- Mówi, że tędy przejeżdżała i postanowiła wpaść, żeby się z tobą zobaczyć.

- Powiedz jej, że nie mogę wrócić wcześniej niż późnym wieczorem - powiedział prędko. - Daj jej dobry pokój i zatrzymaj ją do mojego powrotu.

- Ależ, Sam - zaprotestowałem. - Już jej to mówiłem. Ona nie chce tu zostać.

- Słuchaj, chłopcze - powiedział konfidencjonalnie - liczę na ciebie. Gdybyś kiedykolwiek rwał się do dziewczyny jak ja do niej, wiedziałbyś, o co mi chodzi. Daj jej co tylko zechce, ale zatrzymaj ją. Wrócę przed pierwszą.

Została mi w ręku martwa słuchawka. Patrzyłem na nią w oszołomieniu. Co według niego miałem zrobić? Porwać ją? Wolno odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się w stronę drzwi. Sam rozmawiał ze mną jak z mężczyzną, jak z kimś, na kim można polegać. Idąc do wyjścia poczułem przypływ dumy, ale zanim dotarłem do drzwi, stanęła w nich ona.

Zajrzała ciekawie do środka.

- Mogę wejść? - zapytała.

Stałem bez ruchu pośrodku pokoju.

- Oczywiście, panno Schindler.

Odepchnąłem na bok parę pudeł, żeby mogła przejść.

- Powiniennem był tu posprzątać, ale nie miałem czasu - wyjaśniłem.

Zamknęła za sobą drzwi. Wyprostowałem się, żeby na nią spojrzeć. Czulem jak rumieniec zalewa mi twarz.

- To był Sam? - spytała.

Nasze spojrzenia się spotkały. Przytaknąłem w milczeniu.

- Co powiedział?

- Powiedział, żeby dać pani pokój i wszystko co pani zechce, byle panią zatrzymać do jego powrotu - rzekłem zuchwale.

- Wydaje się być pewny swego, prawda? - rzuciła wyzywająco. W jej głosie pojawiła się nuta podejrzliwości.

Czulem jak rumieniec na mojej twarzy pogłębia się i odwróciłem oczy pod jej świdrującym spojrzeniem. Nie odpowiedziałem.

Rozgniewała się. Przedobrzyłem. Domyśliła się jakoś, że wiem.

- Co mu powiesz, jeżeli nie zostanę? - spytała. Odwróciłem się od niej i pomajstrowałem coś przy paru kartonach. Nadal nie odpowiadałem.

Chwyła mnie za ramię i odwróciła do siebie. Teraz ona miała zarumienione policzki.

- Co mu powiesz? - powtórzyła z podnieceniem. Zajrzałem jej głęboko w oczy. Niech ją wszyscy diabli. Nic mi nie mogła zrobić. To nie była szkoła.

- Nic - odparłem drwiąco. Zdjąłem jej dłoń z mojego ramienia.

Spojrzała przelotnie na moją rękę, potem rozejrzała się wolno po pokoju. Widziałem, jak dojrzewa w niej decyzja. Wróciła do mnie spojrzeniem.

- W porządku - powiedziała niespodziewanie. - Zostanę. Posprzątaj dla mnie ten pokój.

Zaskoczyła mnie.

- Ale Sam mówił, żeby dać pani pokój w hotelu. W jej głosie pojawił się upór.

- Powiedziałam, że zostanę tutaj.

- Ale tu jest totalny burdel! - zaprotestowałem. - Będzie pani dużo wygodniej w hotelu.

Odwróciła się w stronę wyjścia i otworzyła drzwi.

- Sam powiedział, że masz zrobić wszystko, co będę chciała. Zostaję tutaj.

Przeszła przez próg i obejrzała się na mnie.

- Idę po samochód. Możesz posprzątać pokój, kiedy mnie nie będzie.

Patrzyłem jak zamyka drzwi. Tu mnie miała i wiedziała o tym. Zastanawiałem się, dlaczego była taka zła. Nie zdradziłem się aż tak bardzo. Podszedłem do okna, żeby na nią popatrzeć. Zniknęła koło basenu. Mogłem zrozumieć uczucia Sama. Idąc obnażała się bardziej niż tutejsze panienki w kostiumach kąpielowych.

Odwróciłem się od okna i rozejrzałem ze wstrętem po pokoju. List mamy błyskał do mnie ze stołu jasną plamą. Nie odpisałem jej od przeszło tygodnia. A teraz nie będę miał czasu.

Nie było mnie tam, kiedy...

Mama schodziła ze schodów, zawiązując fartuch. Powietrze stało w miejscu, wiedziała, że będzie to kolejny upalny dzień. Ledwo się zaczął, a ona już czuła się zmęczona. Ostatnio zawsze była zmęczona. Nie sypiała dobrze.

Tato dał jej środek wzmacniający. Brała go co rano przez tydzień, ale nie przyniósł poprawy. Rzecz jasna, powiedziała, że tak - tacie sprawiło to przyjemność. Mężczyzna musi czuć się potrzebny, a jego samopoczucie było wystarczająco paskudne z powodu złego stanu interesów.

Było jej go żal. Ostatniej nocy płakał przez sen. Obudził ją jego głos w ciemnościach i leżała bez ruchu nasłuchując cichych, bełkotliwych słów płynących z głębi jego serca. Wydawał się być tak zagubiony, że łzy napłynęły jej do oczu.

A potem nie mogła już zasnąć. Miała wrażenie, że noc ciągnie się w nieskończoność. Teraz czuła się znowu zmęczona i nie było na to lekarstwa. Parne powietrze nie poprawiało jej stanu. Podczas paru ostatnich tygodni sierpnia

było najgorzej. Czuła, że nie wytrzyma dłużej tej gorączki, pragnęła, żeby lato już minęło. Przeszła przez kuchnię, otworzyła drzwi lodówki i zajrzała do środka. Była prawie pusta. A ona zawsze czuła się dumna mając w domu trochę zapasów. Mówiła, że lubi mieć tyle, żeby nie biegać codziennie po zakupy. Teraz pustki w lodówce powodowały nowy, fizyczny ból. Mały kawałek lodu, pozostały z poprzedniego dnia, prawie pusty karton po jajkach, pół ćwiartki masła. Nawet butelka z resztką mleka na dnie zdawała się ją ranić. Powoli zamknęła drzwiczki. Te trzy jajka będą na śniadanie. Nagle ucieszyła się, że nie ma mnie w domu. Postanowiła zajrzeć do skrzynki i sprawdzić, czy nie przyszedł list. Dobiegł ją dzwonek wozu mleczarza. Odetchnęła z ulgą; kupi jajka i masło, nie mówiąc już o mleku. No i mleczarz dopisze to do rachunku, a ona będzie mogła wydać na kurę w rosole te parę dolarów, które miała w kubku nad zlewem. Poszła śpiesznie do drzwi frontowych i dopadła mleczarza, zanim zdążył odjechać. Kiedy otworzyła drzwi, klęczał przy pojemniku. Podźwignął się z dziwnie zmieszonym wyrazem twarzy.

- Dzień dobry, pani Fisher - powiedział spiętym, zakłopotanym głosem.
- Dzień dobry, Borden, dobrze, że pana złapałam - odparła mama. Mówiła bez tchu zmęczona tym niewielkim wysiłkiem. - Potrzebuję dzisiaj trochę jajek i masła.

Mleczarz przestępował niepewnie z nogi na nogę.

- Rany, pani Fisher, przykro mi, ale... - jego głos odpłynął w nicość.
- To znaczy, już pan nic nie ma? - na twarzy mamy odbiło się rozczarowanie.

Potrząsnął głową w milczeniu. Ruchem ręki wskazał pojemnik stojący przed nią na werandzie. Mama była zdezorientowana.

- Nic nie rozumiem - rzekła z wahaniem, idąc wzrokiem za jego ręką.

I nagle zrozumiała. W pojemniku była żółta kartka. Tylko kartka, nie mleko. Podniosła ją wolno i przeczytała. Wstrzymywali swoje usługi. Była im winna za trzy tygodnie.

W oczach, które podniosła na mleczarza, malowało się przerażenie. Twarz miała bladą jak ściana, wyglądała na chorą.

- Przykro mi, pani Fisher - szepnął współczująco.

Na trawnik przed domem opadał wodny pył. Nagle zdała sobie sprawę z obecności pana Conlona, który podlewał swój ogród. Patrzył na nich. Zauważył jej spojrzenie.

- Dzień dobry, pani Fisher - zagrział.

- Dzień dobry - odpowiedziała odruchowo. Będzie musiała coś zrobić. Była pewna, że wszystko widział i słyszał. Spojrzała ponownie na rachunek. Cztery dolary, osiemdziesiąt dwa centy. W kubku nad zlewem było tylko pięć dolarów.

Z trudem wydobyła głos z krtani i spróbowała się uśmiechnąć. Wargi miała prawie białe i uśmiech wyglądał raczej jak grymas na obliczu kamiennego posągu.

- Miałam panu właśnie zapłacić - powiedziała rozmyślnie spokojnym tonem. - Proszę chwilę poczekać.

Szybko zamknęła za sobą drzwi. Na chwilę oparła się o ścianę; rachunek wysunął się z jej drżącej dłoni i upadł na podłogę. Nie próbowała go podnieść; bała się, że zemdleje, jeśli to zrobi. Wróciła pospiesznie do kuchni i wyjęła pieniądze z kubka nad zlewem. Powoli przeliczyła banknoty, jakby powtórne liczenie mogło jakimś cudem podwoić ich wartość. Było pięć dolarów. Ogarnął ją chłód. Kiedy odwróciła się z powrotem do drzwi, poczuła nerwowy dreszcz przesywający ciało.

Mleczarz stał na werandzie, tam gdzie go zostawiła, ale teraz trzymał w ręku mały żelazny koszyk z mlekiem, masłem i jajkami. W milczeniu wręczyła mu pieniądze, schował je do portfela i odliczył jej na rękę osiemnaście centów reszty. Miała ochotę powiedzieć mu, żeby je zatrzymał, ale nie starczyło jej odwagi. Uczucie wstydu podchodziło jej do gardła, kiedy brała od niego koszyk. Nie odezwała się.

Mleczarz odchrząknął.

- To nie moja wina, pani Fisher. To ten facet od kredytów, z biura, rozumie pani?

Skinęła głową. Oczywiście, że rozumiała. Patrzyła za nim, kiedy zbiegał ze schodów. Dotarł do niej grzmiący głos pana Conlona.

- Będzie dziś upał, pani Fisher - uśmiechał się.

Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem. Myślami była daleko.

- Tak, na pewno - odparła łagodnie i wróciła do kuchni, zamykając za sobą drzwi.

Rozważnie schowała mleko, masło i jajka do lodówki. Nadal było w niej pusto. Czowała, że powinna się rozpłakać, ale oczy miała suche. Usłyszała hałas na schodach. Szybko zamknęła lodówkę. Rodzina schodziła na śniadanie.

Parę minut później mleko, masło i jajka były na stole a oni jedli śniadanie. Kiedy tak na nich patrzyła, przez jej ciało przepłynęła ledwo wyczuwalna fala ciepła.

Mimi była podekscytowana. We wczorajszej gazecie wieczornej ukazało się ogłoszenie. „A & S”, jeden z domów towarowych w centrum Brooklynu, poszukiwał ekspedientek na pół etatu i Mimi miała zamiar spróbować. Tato jadł w milczeniu. Twarz znaczyły mu bruzdy, jakie pojawiają się po nocy, która nie przynosi odpoczynku.

Potem kuchnia opustoszała i mama została sama. Nie spiesząc się zmyła naczynia. Potem zauważyła mleko, masło i jajka znajdujące się wciąż na stole. Ułożyła je sobie na przedramieniu. Wolną ręką otworzyła lodówkę i włożyła wszystko do środka. Z kawałka lodu nic nie pozostało, roztopił się. Zamknęła drzwiczki.

Usłyszała kroki na werandzie. Pomyślała, że to pewnie listonosz. Pobiegła do frontowego wejścia i otworzyła drzwi.

Listonosz był już przy następnym domu. Otworzyła pospiesznie skrzynkę, wyjęła kilka kopert i obróciła je w rękę.

Ode mnie nie było nic. Same rachunki. Gaz, telefon, elektryczność - wszystkie przeterminowane. Rzuciła je na stół, zatrzymując ostatnią, zamkniętą kopertę w rękę.

Otworzyła. Było to zawiadomienie z banku o przeterminowaniu płatności hipotecznych.

Osunęła się na krzesło przy stole. Drzwi lodówki poruszone wstrząsem otworzyły się powoli. Siedziała tak, wpatrując się w otwartą lodówkę. Powinna wstać i zamknąć ją. Ucieknie z niej ta resztką zimna, która tam jeszcze pozostała, ale jakoś straciło to teraz znaczenie. Wszystko straciło znaczenie. Nie miała nawet tyle siły, żeby płakać.

Czuła się straszliwie osłabiona. Spoglądała w prawie pustą lodówkę, dopóki jej

wnętrze nie zaczęło robić się coraz większe i większe i dopóki nie zagubiła się w jej na wpół/.imnym, na wpół pustym świecie.

12

Byłem zajęty gruchaniem z panienką, już po zamknięciu baru, kiedy zobaczyłem pannę Schindler wchodzącą do kasyna. Obserwowałem kątem oka, jak stoi w drzwiach rozglądając się dookoła.

Widziałem ją tylko raz tego wieczoru, kiedy pobiegłem do bungalowu po parę kartonów papierosów, które były mi potrzebne w barze. Była to jedna z tych nocy, kiedy się wydaje, że wystarczy wyciągnąć rękę, by sięgnąć gwiazd świecących jasno nad głową - jedna z tych nocy, których nie można zobaczyć w mieście. Panna Schindler siedziała na schodkach domku, z kasyna dochodziły stłumione odgłosy muzyki. Spojrzała na mnie i przez chwilę myślałem, że się odezwie, ale najwyraźniej zmieniła zamiar. Nie powiedziała nic - tylko w posepnym milczeniu patrzyła jak zabieram kartony i wychodzę. Ja też się nie odezwałem.

Spojrzałem na zegarek. Jedenasta trzydzieści. Noc musiała się jej dłużyć w bungalowie. Cały wieczór zastanawiałem się czy przyjdzie.

Zatrzymała na mnie wzrok i ruszyła w moją stronę. Spławiłem pospiesznie dziewczynę.

- Idzie żona szefa, kotku - skłamałem. - Muszę się zameldować.

Odszedłem, zostawiając ją z wściekłą miną, ale mało mnie to obchodziło. Spotkałem pannę Schindler, zanim zdążyła dojść do połowy sali.

- Cześć - powiedziałem, uśmiechając się do niej. - Zastanawiałem się, ile czasu zajmie pani przyjście tutaj.

Odpowiedziała uśmiechem. To był prawdziwy uśmiech i wiedziałem, że przestała się gniewać.

- Cześć, Danny.

Nasze oczy się spotkały.

- Przykro mi, że tak się zachowałam po południu. Spojrzałam jej w oczy. Mówiła szczerze. Odprężyłam się natychmiast, czując miłe ciepło w okolicy serca.

- Nie ma sprawy, panno Schindler - odpowiedziałem łagodnie. - Była pani zdenerwowana.

Sięgnęła po moją rękę.

- Czułam się samotna w bungalowie.

- Wiem, o co pani chodzi - odparłem wolno. Patrzyłem na dłoń spoczywającą na moim ramieniu. - Czasami też tak się tutaj czuję. W mieście się tego nie dostrzega, ale tutaj na wsi niebo wydaje się takie wielkie, że człowiek czuje się jakby pomniejszony.

Staliśmy przez chwilę milcząc zakłopotani. Wtem orkiestra zagrała rumbę. Uśmiechnąłem się.

- Zatańczy pani?

Skinęła głową i zaprowadziłem ją na parkiet. Wsunęła się w moje ramiona, złapaliśmy rytm. Tańczyło się z nią lekko i przyjemnie.

- Dobrze tańczysz, Danny - uśmiechnęła się do mnie. - Wszystko inne robisz równie dobrze?

- Obawiam się, że nie - potrząsnąłem głową ze smutkiem. Ale wiedziałem, że dobrze tańczę; po trzech miesiącach tutaj nie mogłem źle tańczyć.

- Sam mówi, że mam poczucie rytmu. Dlatego jestem dobrym bokserem.

- Nadal chcesz walczyć? - zapytała ciekawie.

- Nigdy nie chciałem - odparłem - ale Sam twierdzi, że mam wrodzone zdolności i mogę zarobić kupę forsy, jak dojdę do odpowiedniego wieku.

- A pieniądze są takie ważne?

Schodząc z nią w dół w skomplikowanej ewolucji rumby, czułem pod ręką pewny ruch jej biodra.

- Niech pani sama powie - odparowałem. - Nie są?

Nie znalazła na to odpowiedzi. Nikt nie znajdował odpowiedzi, kiedy mówiło się o pieniądzach. Popatrzyła na mnie.

- Nie musimy być tutaj aż tak oficjalni, Danny - rzekła z uśmiechem. - Mam na imię Ceil.

- Wiem - powiedziałem cicho.

Potem tańczyliśmy i nuciłem sobie pod nosem tę melodię. *Siboney* - tum tum, ti tum - tum tum, ti tum - *Siboney*. Jest coś takiego w rumbie, że jeżeli naprawdę się ją lubi, można tańcząc stracić poczucie czasu. Lubiłem to i czułem, że ona też. I w ten sposób muzyka zbliżyła nas do siebie. Tańczyło się nam ze sobą tak, jakbyśmy robili to już wiele razy przedtem.

Nagle orkiestra przeszła w *Aud Lang Syne* i poczuliśmy się zaskoczeni. Stanęliśmy zakłopotani, uśmiechając się do siebie. - To tyle na dzisiaj, Ceil - powiedziałem. - Musi być dwunasta.

Spojrzała na zegarek.

- Dokładnie.

- Dziękuję za taniec, panno Schindler.

Roześmiała się. Byłem zaskoczony słysząc jej śmiech. Roześmiała się po raz pierwszy, odkąd tu przyjechała.

- Mówiłam ci: Ceil! Też się roześmiałem.

- Miło się z tobą tańczyło, Ceil - powiedziałem pośpiesznie

- ale teraz muszę wykombinować dla siebie jakiś pokój, albo będę zmuszony spędzić noc na werandzie.

W jej głosie była konsternacja.

- Wyrzuciłam cię z pokoju? Uśmiechnąłem się do niej.

- Nic nie szkodzi, Ceil, przecież nie wiedziałaś.

- Naprawdę mi przykro, Danny - rzekła ze skruchą. - Uda ci się coś znaleźć?

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Bez problemu. - Odwróciłem się, żeby odejść. - Dobranoc, Ceil.

Przytrzymała mnie za ramię.

- Mam ochotę na drinka, Danny - powiedziała szybko.

- Mógłbyś mi przynieść?

Jej twarz wyrażała niepokój, jaki odczuwa się czekając na kogoś, kto, nie wiadomo, czy przyjdzie. Zrobiło mi się jej żal.

- Mam trochę zimnego piwa, które schowałem dla Sama, mogę ci przynieść - powiedziałem.

Wzdrygnęła się lekko.

- Nie, piwo nie. Nie masz nic innego?

- Sam trzyma w domu butelkę *Old Overholt*. Mogę ci przynieść trochę wody sodowej i lodu.

Uśmiechnęła się.

- Byłoby cudownie.

Otworzyłem małą lodówkę stojącą za ladą, wyjąłem butelkę wody sodowej, tackę z lodem i zamknąłem drzwiczki.

Kiedy do niej wróciłem, w kasynie było już prawie pusto.

- Proszę - uśmiechnąłem się. - Zaniosę ci to do bungalowu i pokażę, gdzie jest alkohol.

Wyszła za mną w noc. Kiedy opuszczaliśmy kasyno, ktoś pogasił światła i cały teren pogrążył się w ciemnościach.

Czułem za sobą jej niepewne ruchy.

- Weź mnie za ramię - zaproponowałem. - Znam tu każdy kamień.

Myślałem, że położy mi dłoń na ramieniu, ale ona wzięła mnie pod rękę i szła teraz tuż przy mnie. Odczuwałem jej bliskość tak silnie, że parę razy omal się nie wyłożyłem. Zaraz po wejściu do domku zapaliłem światło, czując jak pali mnie twarz.

Stałem patrząc na nią. Na dnie jej oczu czaił się śmiech. Miałem w głowie kompletny mętlik. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Nadal mam pragnienie, Danny - powiedziała prosto z mostu.

W zmieszaniu, potęgowanym jeszcze przez pośpiech, odwróciłem się do komody, otworzyłem szufladę i wyjąłem butelkę.

Była po trzecim, może czwartym drinku i siedzieliśmy na stopniach bungalowu, kiedy zadzwonił telefon. Śmiała się, próbując namówić mnie do picia.

Zerwałem się, wszedłem do środka i podniosłem słuchawkę. Poszła za mną, ale bez pośpiechu. Whisky zaczynała na nią działać i była lekko wstawiona, ale stała obok mnie przy telefonie, kiedy go odbierałem.

Głos Sama zagrzmiął w słuchawce i przetoczył się przez pokój. - Danny?

- Tak, Sam.

- Nie będę mógł przyjechać, jak obiecałem.

- Ależ, Sam - próbowałem zaprotestować. W słuchawce rozległ się kobiecy śmiech. Ceil wstrzymała gwałtownie oddech. W mroku jej twarz wydawała się bardzo blada.

Sam ostrożnie dobierał słowa.

- Powiedz temu facetowi, który na mnie czeka, że utknąłem tu i przyjadę jutro po lunchu, żeby dobić interesu, jasne?

- Jasne, Sam. - Rozumiałem, czemu nie. - Ale...

- No to w porządku, chłopcze! - krzyknął Sam. - Do zobaczenia jutro!

Połączenie zostało przerwane i odłożyłem słuchawkę. Odwróciłem się do Ceil.

- Interesy go zatrzymują - powiedziałem niezręcznie. - Nie może dzisiaj przyjechać.

Patrzyła na mnie chwiejąc się lekko. Ale nie była na tyle wstawiona, żeby nie wiedzieć, co się dzieje.

- Nie okłamuj mnie, Danny. - Głos miała ochryply z wściekłości. - Słyszałam go.

Spojrzałem na nią. Na jej twarzy malował się ból. Po raz drugi tego wieczoru zrobiło mi się jej żal. Ruszyłem w stronę drzwi.

- Lepiej już pójdę, Ceil.

Poczułem jak wpija palce w moje ramię - odwróciłem się zaskoczony. Zobaczyłem jak unosi drugą rękę i zrobiłem unik. Policzek zapiekł od uderzenia, ale to był dopiero początek; okładała mnie teraz jak szalona obiema rękami.

Chwyliłem ją w ciemnościach za przeguby i przytrzymałem.

- Co ty wyprawiasz, do cholery? - oddychałem ciężko. Próbowała wyszarpnąć rękę, ale była za słaba.

- Myślisz, że to zabawne, co? - rzuciła mi w twarz ochryplym, pełnym goryczy głosem. Niósł się echem przez noc.

Spróbowałem przytrzymać ją jedną ręką, a drugą zakryć jej usta. Zatopiła mi zęby w palcach, a ja wyszarpnąłem je z okrzykiem bólu.

Zaśmiała się dziko.

- Boli, prawda? Teraz przynajmniej wiesz, co ja czuję! Może nie będzie to już takie zabawne!

- Ceil! - wyszeptałem pospiesznie, z walącym sercem. - Proszę, uspokój się. Wyrzucą mnie stąd. Stróż nocny olewał wszystko co się działo, dopóki odbywało się to bez hałasu. Ale o to mogłem się już nie martwić, zwiślała teraz na mnie bezwładnie popłakując. Stałem spokojnie nie mając odwagi się ruszyć, żeby znowu nie zaczęła. W przerwach między łkaniami słyszałem jej głos stłumiony moją koszulą. - Podli, podli, wszyscy jesteście tacy sami! Podli!

Pogłaskałem ją po miękkich włosach.

- Biedna Ceil - powiedziałem łagodnie. Naprawdę było mi jej żal.

Podniosła na mnie rozbiegane oczy. Chwiała się lekko w moich ramionach.

- Tak - zgodziła się ze mną.

Wściekłość w połączeniu z alkoholem sprawiła, że była już nieźle podcięta.

- Biedna Ceil, tylko Danny wie, co ona czuje. Jej oczy zwięzły się, coś kombinowała.

- Danny wie, po co Ceil tu przyjechała?

Nie odpowiedziałem. Otoczyła ramionami moją szyję i uniosła ku mnie twarz.

- Danny żałuje Ceil - szepnęła. - Niech ją pocałuje. Stałem zesztywniały, bojąc się poruszyć. Nie miałem ochoty na żadne dodatkowe kłopoty.

Zacisnęła mi ramiona wokół szyi i przyciągnęła do siebie moją twarz. Poczulem, jak wgryza mi się w dolną wargę i podskoczyłem z bólu.

- Danny wie, po co Ceil tu przyjechała i nie pozwoli jej bez tego odjechać, prawda? - szepnęła mi w ucho.

Patrzyłem w ciemnościach na jej twarz. Oczy miała zamknięte, usta rozchylone. Nagle zacząłem się śmiać. To wszystko było dla mnie.

Objąłem ją mocno i pocałowałem, a potem jeszcze raz i znowu. Pod wargami czułem twardy ucisk jej zębów.

Wydawało się, że wiotczeje mi w ramionach. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do łóżka. Kiedy ją kładłem, gryzła mnie w szyję.

Stałem patrząc na nią z góry i szarpiąc niecierpliwie

ubranie. Pochyliłem się i zacisnąłem dłonie na jej piersiach. W ciemności wyciągnęła do mnie ręce. Opadając na nią, słyszałem chrzęst rozdzieranej sukienki.

Jej głos wydawał się huczącym szeptem, a mój będący z początku jego przytłumionym echem, z wolna nabierał siły, aby połączyć się z nim w narastającym krzyku.

- Danny!

- O Boże! Panno Schindler! Ceil!

Noc była cicha, nasłuchiwałem lekkiego oddechu kobiety, której głowa spoczywała mi na ramieniu. Dotknąłem delikatnie jej powiek, były zamknięte; policzki miała wilgotne, musiała płakać, usta poranione i lekko obrzmiałe poruszyły się pod dotknięciem moich palców. Pochyliłem się, żeby ją pocałować.

Odwróciła ode mnie twarz.

- Już nie, Danny. Już nie, proszę.

Uśmiechnąłem się do siebie i usiadłem na łóżku. Przeciągnąłem się czując pulsujące ciepło w całym ciele.

Wyszedłem z łóżka i otworzyłem drzwi. Nocne powietrze było chłodne, działało kojąco. Zszedłem z werandy i zatopiłem w trawie palce stóp, czując siłę płynącą ku mnie z ziemi.

Uniosłem ramiona w stronę nocnego nieba, próbując dotknąć błyszczących gwiazd. Wskoczyłem wysoko w górę, żeby ich sięgnąć i upadłem na ziemię, zachłystując się śmiechem.

Była we mnie radość odkrycia. To było właśnie to, do czego zostałem stworzony, cel mojego istnienia. Zaczepiłem garść ziemi i roztarłem ją w dłoniach. Przesypywała się przez palce. To była moja ziemia i mój świat. Byłem jego częścią, a on był częścią mnie.

Wróciłem do bungalowu i wyciągnąłem się obok nagiego ciała kobiety. Po chwili spałem już kamiennym snem.

Ktoś szarpnął mnie gwałtownie / a ramię i usiadłem na łóżku przecierając zaspane oczy. Głos Sama huczał mi w uszach.

- Gdzie ona jest?!

Natychmiast się obudziłem. Miejsce obok mnie było puste. Do bungalowu zaglądało szare światło poranka.

Przekrwione oczy Sama wpatrywały się we mnie z wściekłością.

- Gdzie ona jest?! - wrzasnął znowu.

Patrzyłem na niego oszołomiony. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Serce zaczęło mi walić ze strachu. W bungalowie nie było nikogo prócz nas, ale za bardzo się bałem, żeby wymyślić jakieś kłamstwo.

Zacisnął mi ręce na ramionach i wywłókł mnie z łóżka.

- Nie próbuj kłamać, Danny - powiedział porywczo, wymachując mi przed twarzą zaciśniętą pięścią. - Wiem, że tu była. Recepcjonista powiedział, że nie wzięła pokoju i nocuje w bungalowie. Spałeś z moją dziewczyną.

Otworzyłem usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nie było potrzeby. Przy drzwiach rozległ się głos Ceil.

- A kto jest twoją dziewczyną, Sam?

Obejrzelśmy się zaskoczeni. Kiedy tylko chwyt Sama zelżał, złapałem w pośpiechu prześcieradło i owinałem się nim.

Była w kostiumie kąpielowym, cała mokra po wyjściu z basenu. Szła w naszą stronę zostawiając na podłodze mokre ślady. Stała przed Samem i spojrzała mu w twarz.

- Kto jest twoją dziewczyną, Sam? - powtórzyła cicho. Teraz on był oszołomiony.

- Przyjechałaś tu dla mnie - powiedział niepewnie. Oczy jej się rozszerzyły.

- Tak mi się wydawało, Sam - odparła tym samym niskim głosem - ale okazało się, że jest inaczej.

Odeszła o krok i obejrzała się.

- Tak naprawdę, to nie wiesz, dlaczego przyjechałam, prawda Sam?

Potrząsnął głową i spojrzał na mnie. Wciągałem już spodnie. Odwrócił się znów do niej. Mówiła cichym, pełnym gorzkiego głosem, nie patrząc na żadnego z nas.

- Przyjechałam, aby ci powiedzieć, że uwierzyłam we wszystkie twoje obietnice. Że rozwiódę się z Jeffem i pójdę z tobą.

Zrobił krok w jej stronę. Wyciągnęła rękę i odepchnęła go. Patrzyła mu w oczy.

- Nie, Sam - powiedziała szybko. - To było wczoraj. A dzisiaj to już zupełnie inna historia. Stałam tuż przy telefonie, kiedy rozmawiałeś z Dannym. Słyszałam każde twoje słowo.

- Wykrzywiła usta w gorzkim uśmiechu. - Po raz pierwszy coś miało dla mnie sens. Ty. Ja. Nie chodziło o to, że cie pragnęłam, a ty pragnąłeś mnie. Po prostu czuliśmy to samo. Pragnęliśmy. Koniec. - Wzięła ze stołu papierosa i zapaliła.

- A teraz wynoście się obaj do wszystkich diabłów. Chcę się ubrać.

Odwróciłem się w drzwiach. Nie rozumiałem połowy z tego co mówiła, ale w pewien sposób byłem jej wdzięczny. Nie patrzyła na mnie, zaciągała się dymem.

Szliśmy z Samem w stronę hotelu w pełnym zakłopotania milczeniu, rozgniatając butami szeleszczącą trawę. Sam szedł z pochyloną głową, pogrążony w myślach.

- Sam, przykro mi - odezwałem się. Nie spojrzał na mnie.

- Nie mogłem nic zrobić. Zachowywała się jak szalona

- mówiłem dalej.

- Zamknij się, Danny! - powiedział szorstko.

Nasze kroki zadudniły na drewnianej werandzie hotelu, podeszliśmy do recepcji. Obszedłem ladę i wyjąłem raport wpływów.

- Wyniosę się, jak tylko uporządkuję papiery - powiedziałem sztywno.

Patrzył na mnie w zadumie.

- Dlaczego? - zapytał. Zaskoczył mnie tym.

- Wiesz dlaczego - odparłem.

Uśmiechnął się. Niespodziewanie wyciągnął rękę i zwichrzył mi włosy.

- Nie przejmuj się, mistrzu. Nikt nie mówi o twoim odejściu.
- Ale, Sam...
- Do diabła - roześmiał się głośno. - Nie mogłem się spodziewać, że pozostaniesz na zawsze dzieckiem. Zresztą, kto wie czy nie oddałeś mi przysługi.

Pojechałem do domu nazajutrz po Święcie Pracy z sześciuset dolarami w kieszeni. Położyłem pieniądze na kuchennym stole czując się niemal jak obcy człowiek. Lato zmieniło nas wszystkich.

Wyrosłem jeszcze bardziej. Górowałem nad rodzicami więcej niż o głowę. Skurczyli się w jakiś nieokreślony sposób. Oboje byli szczuplejsi niż na wiosnę. Okrągłe zazwyczaj policzki ojca zapadły się, a pod oczyma miał dziwne, niebieskawe kręgi. Włosy mamy zrobiły się prawie zupełnie siwe. Tym razem nie mieli obiekcji biorąc pieniądze. Za bardzo ich potrzebowali.

Podczas tej pierwszej wspólnej kolacji omówiliśmy wiele spraw a parę innych pominęliśmy milczeniem. Tak było lepiej. Nie było potrzeby mówić o czymś, o czym wszyscy wiedzieliśmy. Czytaliśmy to w swoich twarzach, w sposobie mówienia, w zachowaniu.

Po kolacji wyszedłem na dwór i usiadłem na stopniach werandy. Przybiegła REXIE i wyciągnęła się przy mnie. Poodrapałem ją za uchem.

- Tęskniłaś za mną, staruszko? - zapytałem cicho. Machnęła ogonem i położyła mi łeb na udzie. Pewnie, że tęskniła. Cieszyła się, że jestem w domu.

Rozejrzałem się po ulicy. Ona też zmieniła się tego lata. Została wyasfaltowana i przez to wydawała się jaśniejsza i świeższa.

Zjawiała się Mimi i usiadła obok mnie na schodach. Przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

Gruby Fredzio Conlon wyszedł z domu i na nasz widok zawołał „cześć”. Pomachałem mu ręką i patrzyłem jak idzie w dół ulicy. W końcu Mimi odezwała się.

- Marjorie Ann zaręczyła się tego lata. - Obserwowała mnie uważnie.
- Mhm - powiedziałem niedbale. Nic do niej nie czułem. Należała do mojego dzieciństwa.
- Z policjantem - ciągnęła Mimi. - Wyjdzie za niego w styczniu, jak zda maturę. Jest od niej dużo starszy. Po trzydziestce.

Odwrociłem głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Po co zawracasz mi tym głowę? - zapytałem wprost. Zaczerwieniła się.
- Mówię ci po prostu, co się tutaj działo w ciągu lata
- wycofała się.

Odwrociłem od niej wzrok i spojrzałem znowu na ulicę.

- I co z tego? - spytałem cicho.

To się przynajmniej nie zmieniło. Wróciłem zaledwie parę godzin temu, a już kłóciliśmy się z Mimi.

Głos jej stwardniał, nabierając paskudnej ostrości.

- Myślałam, że lubisz Marjorie Ann. Omal się nie roześmiałem.
- Z czego to wywnioskowałaś?

Spuściła wzrok na Rexie leżącą między nami i podrapała ją między uszami.

- Wydawało mi się, że zawsze byłeś dla niej miły. Powiedziała mi...
- Co ci powiedziała? - przerwałem jej.

Nasze oczy zwały się w milczącej walce. Pierwsza je spuściła. A ja nadal na nią patrzyłem bez zmrużenia powiek.

- Powiedziała... powiedziała, że robiłeś z nią różne rzeczy
- wyjąkała.
- Jakie rzeczy? - nalegałem.
- Takie, których nie powinieneś robić - odparła studiując lakier na paznokciach. - Kiedy wyjechałeś w czerwcu, powiedziała mi, że boi się, czy nie zaszła w ciążę.

Uśmiechnąłem się nagle.

- Zwariowała! - wybuchnąłem. - Nawet jej nie tknąłem. W oczach Mimi pojawiła się ulga.
- Słowo, Danny?

Nadal się uśmiechałem. Przypomniałem sobie, co zaszło na

wsi. Marjorie Ann była kopnięta. Jeszcze żadne dziecko nie zostało zrobione palcem.

- Słowo, Mimi - powiedziałem cicho. - Wiesz, że tobie bym nie skłamał.

Odwzajemniła mi uśmiech.

- Właściwie to jej nie uwierzyłam, Danny. Cały czas wymyśla jakieś historie. - Dotknęła lekko mojej ręki. - Cieszę się, że wychodzi za mąż i wyjeżdża stąd. Już jej nie lubię.

Patrzyliśmy w milczeniu na ulicę. Robiło się ciemno i latarnie rozbłysły nagle żółtym światłem.

- Dni znów stają się krótkie - odezwałem się.

Nie odpowiedziała. Spojrzałem na nią. Siedząc tak w świetle ulicznej latarni z falą ciemnych włosów, opadających na ramiona, wyglądała jak dziecko. Mimo że miała dwa lata więcej ode mnie, czułem się starszy. Może była to sprawa rysów jej twarzy. Miała drobne kości i delikatnie zarysowane usta. Zastanawiałem się, czy ktoś ją całował. Tak naprawdę całował. Odrzuciłem szybko tę myśl. Nie moją siostrę! Nie była dziewczyną tego rodzaju.

- Mama i tato wyglądają na zmęczonych - powiedziałem, zmieniając temat rozmowy. - Tu w mieście musiały być porządne upały.

- To nie tylko to, Danny - odparła. - Nie jest dobrze. Interes idzie źle i zalegamy z płaceniem wszystkich rachunków. Dosłownie dwa tygodnie temu mleczarnia wstrzymała nam dostawę mleka. Dobrze chociaż, że dostałam pół etatu w A&S. Inaczej byłoby jeszcze gorzej.

Otworzyłem szeroko oczy. Wiedziałem, że sprawy nie wyglądają najlepiej, ale nie zdawałem sobie sprawy, że jest aż tak źle.

- Nie wiedziałem. Mama mi nic nie pisała. Spojrzała na mnie z powagą.

- Znasz mamę. Nie napisała by o tym.

Nie wiedziałem co powiedzieć. Sięgnąłem do kieszeni po paczkę fajek. Wsadziłem papierosa w usta i miałem właśnie zapalić, kiedy odezwała się do mnie.

- Dla mnie też, Danny - powiedziała. Wyciągnąłem paczkę.

- Ja też nie wiedziałem, że palisz - powiedziałem zaskoczony.
- Nie wiedziałam, że ty palisz - odparowała. Zerknęła w stronę domu. - I lepiej uważajmy, żeby nas mama nie zobaczyła, bo oboje oberwiemy.
- Roześmialiśmy się, chowając papierosy w dłoniach.
- Cieszę się, że kończę szkołę w tym roku - odezwała się. - Może uda mi się dostać pracę i naprawdę pomóc.
- Jest aż tak źle? - zapytałem z troską.
- Tak - odpowiedziała po prostu. - Mama mówi nawet, że trzeba będzie zrezygnować z domu. Nie damy rady spłacić hipoteki.
- Tego nie możemy zrobić! - Dopiero teraz wpadłem w prawdziwe przerażenie. Nie oddadzą mojego domu! Po prostu nie mogłem w to uwierzyć.
- Wzruszyła wymownie ramionami.
- To co możemy, a czego nie, nie ma żadnego znaczenia. Kończą się pieniądze.
- Przez chwilę siedziałem w milczeniu. Nie byłem już dzieckiem i właściwie nigdy nie wierzyłem, że to jest mój dom, jak kiedyś powiedział tato, ale nie chciałem się wyprowadzać. Myśl o innych ludziach mieszkających tutaj, innej rodzinie jadającej w kuchni, innej osobie śpiącej w moim pokoju napełniała mnie niepokojem. Podobało mi się tutaj i nie chciałem się wyprowadzać.
- Może powinienem rzucić szkołę i iść do pracy - powiedziałem ostrożnie.
- Nie możesz tego zrobić, Danny - zaprotestowała. - Musisz skończyć szkołę. Mama i tato uparli się przy tym.
- Milczałem.
- Nie martw się, Danny - powiedziała kładąc mi pocieszająco rękę na ramieniu.
- Spojrzałem na nią z nadzieją.
- Naprawdę myślisz, że będzie dobrze? Uśmiechnęła się do mnie.
- Jasne.
- Podniosła się i wyrzuciła papierosa do ścieku.
- Lepiej pójde i pomogę przy zmywaniu, inaczej mama mnie pogoni.

Miałem nadzieję, że się nie myliła. Nie mogła się mylić. Po prostu nie mogliśmy się stąd wyprowadzić. Jeżeli o mnie chodzi, nie istniało żadne inne miejsce, gdzie chciałbym mieszkać.

14

Nazywam się Danny Fisher. Mam piętnaście lat i cztery miesiące. Chodzę na pierwszą zmianę do trzeciej klasy szkoły średniej imienia Erasmusa. Jest pierwsza po południu i na dzisiaj szkoła się skończyła. Stoję na rogu Flatbush i Church Avenue, patrząc na rzekę uczniów przepływającą obok mnie w drodze do domu.

Podobno w szkole jest ponad trzy tysiące uczniów i w tej chwili wydaje się, że wszyscy oni mijają róg Flatbush i Church Avenue. Śmieją się. Chłopaki podrywają dziewczyny. Kiedy tak na nich patrzę, w moich oczach maluje się zazdrość. Nie mają żadnych kłopotów.

Nic nie zakłóci tej ich beztroski aż do jutra, kiedy to trzeba będzie wrócić do szkoły. Nie to co ja. Mam dom, który chcę mieć bardziej niż cokolwiek na świecie. Więc muszę pracować. Spoglądam na zegar w oknie wystawowym. Jest już parę minut po pierwszej. Spieszę się, bo muszę być w pracy o wpół do drugiej.

Idę przez Flatbush Street. Jest późny październik i czuję, jak osacza mnie pierwszy zimowy chłód. Otulam się mocniej kurtką. Przed kinem zatrzymuję się na chwilę, żeby pooglądać plakaty. Film wydaje się dobry i kiedy tak stoję, paru chłopaków ze szkoły wchodzi do środka. Też chciałbym się załapać, ale nie mogę trwonić czasu. Ruszam dalej.

Jestem już poza wielkim centrum handlowym. Sklepy są tutaj mniejsze i wydają się lepiej dbać o potrzeby okolicznych klientów niż te w pobliżu szkoły. Przyspieszam kroku. Nie ma tu nic, co przyciągałoby moją uwagę i zachęcało do zatrzymania się.

Idę prawie pół godziny, zanim docieram do skrzyżowania sześciu ulic, gdzie spotykają się Flatbush i Nostrand. Jest to końcowa stacja metra Linii Flatbush.

Pełno tu sklepów spożywczych; A&P, Bohack's, Roul-son's, Daniel Reeves Fair-Mart. Wchodzę do tego ostatniego. Mijam długie, wąskie pomieszczenie.

Mężczyzna za ladą podnosi wzrok i wydziera się na mnie:

- Ruszaj się, Danny! Czeka całe mnóstwo zamówień!

Ruszam biegiem, dopadam pokoju na zapleczu, kładę książki na półce, chwytam fartuch i zawiązuję go biegnąc już z powrotem do sklepu. Paczki leżą na podłodze przy drzwiach, zaczynam przenosić je na ręczny wózek.

Wychodzi jeden ze sprzedawców i sprawdza rachunki. Wręcza dokładnie wyliczoną resztę, którą mam wydać w rozliczeniach gotówkowych i ruszam. Wózek i ja przewijamy się ulicami przez całe popołudnie, aż do zachodu słońca, do szóstej. Potem chwytam szczotkę i biorę się do sprzątania sklepu.

O siódmej zdejmuję fartuch i składam go porządnie na półce, żeby był gotów na jutro. Zabieram książki, wracam do sklepu i kierownik wypuszcza mnie, starannie zamykając za mną drzwi. Idę szybko ulicą Nostrand do Newkirk.

Przed stacją metra wsiadam w autobus. Stoję, ponieważ jest zatłoczony wracającymi z pracy.

Wysiadam na swoim przystanku i idę jeszcze kawałek. Pieką mnie stopy, kark i ramiona bołą od dźwigania kartonów, ale zapominam o bólu na widok Rexie, która pędzi, żeby się ze mną przywitać. Merda radośnie ogonem z podniecenia, a ja śmieję się i drapię ją po łbie. Wchodzę do domu wciąż jeszcze uśmiechnięty, rozgrzany tym powitaniem.

Kładę garść drobnych na kuchennym stole. Oddzielam wolno pięcio- i dziesięciocentówki. Osiemdziesiąt pięć centów. Napiwki są dzisiaj niezłe. Wkładam do kieszeni ćwierć dolara, resztę wsypuję do kubka nad zlewem.

Mama obserwuje mnie przez cały czas. Teraz mówi: Idź się umyć. Kolacja czeka.

Tato siedzi przy stole. Wyciąga rękę i poklepuje mnie po ramieniu, kiedy go mijam. Nic nie mówi, ja też milczę.

Nasze uczucia są nam dobrze znane. Jestem zadowolony z siebie.

Bo każdego dnia sączy się mały strumyczek drobnych, a w sobotę, kiedy pracuję od siódmej rano do jedenastej wieczorem, kierownik wręcza mi tygodniówkę. Trzy i pół dolara. Co razem z napiwkami daje sumę sięgającą nawet dziesięciu dolarów, jeżeli tydzień jest dobry.

Całe szczęście, że nauka przychodzi mi z łatwością, bo zazwyczaj zasypiam nad książką i muszę kończyć odrabianie lekcji następnego dnia w szkole podczas dużej przerwy. Walę się na łóżko i śpię snem człowieka wyczerpanego, ale następnego dnia wstaję rześki i wypoczęty. Mam po swojej stronie niezmordowane siły młodości.

Są chwile, kiedy patrzę na chłopaków grających w piłkę i mam ochotę przyłączyć się do nich. Czasem wpada mi w ręce piłka, której nie udało się komuś złapać. Podnoszę ją a palce odruchowo głaszczą miękką, gładką skórę.

Przypominam sobie jak bardzo chciałem grać w szkolnej drużynie futbolowej. Potem odrzucam piłkę. Patrzę jak wiruje leniwie w powietrzu i wpada w czyjeś ręce. Odwracam się i odchodzę. Nie mam czasu na zabawę. Jestem człowiekiem smutnym i zatroskanym. Gram o dużo poważniejszą stawkę. Pracuję, żeby ocalić swój dom.

15

Nie było mnie tam, kiedy...

Mama spojrzała na zegar. Za parę minut będzie pora na lunch. Zastanawiała się, gdzie podział się cały ranek. Obudziła się z tak silnym przeczuciem wiszącego nad nią nieszczęścia, że usiłowała wypełnić pracą każdą minutę.

Sprzątnęła i odkurzyła cały dom, zeszła nawet do piwnicy i przekopała się przez popiół w poszukiwaniu na wypośpalonych brył węgla, które spadły, kiedy osunęła się krata na palenisku. Ale mimo całego zaabsorbowania pracą nadal czuła to wokół siebie. Cały czas, gdzieś w zakamarkach świadomo-

ści. Pospieszyła do kuchni i postawiła na ogniu garnek z wodą. Coś szurnęło po podłodze. REXIE wyszła spod kuchennego stołu i stała przy drzwiach machając ogonem i oglądając się na nią.

- Chcesz wyjść? - zapytała, otwierając kuchenne drzwi. Pies wypadł na dwór poszczekując radośnie, a mama wróciła do pieca. Włożyła jajko do gotującej się wody.

Po lunchu sprzątnęła ze stołu i wstawiła naczynia do zlewu. Patrzyła na niego tępo. Była zbyt zmęczona, żeby pozmywać. Nagle serce zaczęło jej bić tak gwałtownie, że zdawało się wibrować w całym ciele.

Przestraszyła się. Słyszała wiele razy, że ludzie całkiem niespodziewanie umierają na serce. Poszła do salonu i usiadła na kanapie opierając się o poduszki. Dłonie miała wilgotne od potu. Zamknęła oczy i odpoczywała.

Serce uspokajało się powoli. Oddech stał się lżejszy i przestała się bać.

- Jestem po prostu zmęczona - powiedziała na głos. Słowa zabrzmiały głucho w pustym pokoju. Weźmie gorącą kąpiel, postanowiła, odpręży się i zaraz będzie lepiej.

- W końcu, to tylko nerwy - zdecydowała. Rozbierała się w łazience, podczas gdy wanna napełniała się wodą. Zebrała porządnie swoje rzeczy, powiesiła je na wieszaku i spojrzała w lustro. Zdumiona podniosła rękę i dotknęła włosów. Miała sporo siwych, zaś te, które były jeszcze czarne, wyblakły i zmatowiały. A wydaje się, nie dalej jak wczoraj, były żywe i błyszczące. Twarz miała poraną drobnymi, zmęczonymi bruzdami, a i skóra też nie była taka gładka i miękka jak niegdyś. To było prawie tak, jakby ktoś inny patrzył na nią z lustra.

Rozpięła stanik. Uwolnione piersi wysunęły się z biustonosza i zwisały bezkształtnie. Studiowała w lustrze swoje ciało. Zawsze była dumna z piersi. Przypomniała sobie jakie były piękne, sprężyste i pulsujące życiem, kiedy karmiła dzieci. Tato uwielbiał na nie patrzeć. Zwykł siadać pełen zachwytu, a po chwili mówił ze śmiechem do dziecka:

- Hej tam, *momzer*. Może już wystarczy? Mógłbyś zostawić coś dla taty?

Oblewała się rumieńcem, śmiała się i mówiła, żeby sobie

poszedł i nie był takim świntuchem, ale była dumna. A teraz, wystarczy na nie spojrzeć. Kogo podnieciłby widok, na który teraz patrzyła?

Odwróciła się w stronę wanny. Teraz i tak nie miało to większego znaczenia. Żadne z nich nie odczuwało już ochoty na te rzeczy. Pozbawiła ich tej ochoty walka toczona przez parę ostatnich lat. Wspomnienie rozkoszy wydawało jej się mgliste i dalekie. Lepiej zostawić to młodym i beztroskim.

Ostrożnie zanurzyła się w wannie. Ciepło wody przenikało w głąb jej ciała. Poczula się lekka, woda unosiła ją bez trudu. Jej łagodny szmer zdawał się odganiać strachy i poczula powracający spokój. Oparła się plecami o wannę, rozkoszując się dotykiem podchodzącej do ramion wody. Wsparła głowę o kafelki nad wanną. Była senna, ciążyły jej powieki. - Będę głupią, starą kobietą - pomyślała, przymykając oczy. Przysypiała.

Serce znowu zaczęło walić. Próbowwała poruszyć ramionami, ale były ciężkie i bezwładne. Muszę wstać, pomyślała z rozpaczą, muszę. Z trudem uniosła głowę i otworzyła oczy. Rozejrzała się z przerażeniem.

Wpadł jej w ucho dźwięk telefonu. Natychmiast oprzytomniała. Przypomniała sobie, że poszła na górę wziąć kąpiel. Musiałam długo drzemać, pomyślała, woda prawie ostygła. Telefon na dole dzwonił tak nagłaco, że nie mogła go zignorować. Wyszła pospiesznie z wanny, osuszyła stopy o dywanik i zbiegła na dół, owijając mokre ciało ręcznikiem.

Kiedy podniosła słuchawkę i usłyszała głos taty, wiedziała już, że stało się coś złego. W pewnym sensie czekała na to przez cały dzień.

- Mary - mówił ojciec drżącym głosem. - Bank ma orzeczenie i jutro je wyegzekwuje.

Próbowwała zachować spokój.

- Rozmawiałeś z nimi? - zapytała głosem, który był odbiciem wszystkich jego obaw.

- Tak - odpowiedział z rezygnacją. - Błagałem, prosiłem o więcej czasu, ale powiedzieli, że nic już nie mogą zrobić.

- Rozmawiałeś ze swoim bratem Dawidem? - zapytała. - Może on mógłby dać ci trochę pieniędzy?

- Z nim też - odparł. Milczał chwilę, potem w jego głosie pojawiła się nuta rozpacz. - Jesteśmy skończeni. Skończeni.

- Harry, co my teraz zrobimy? - Przed oczami mignęła jej wizja rodziny idącej ulicami w łachmanach. Stłumiła narastającą histerię.

- Wieczorem przyjedzie samochodem Dawid - rzekł ojciec.

- Spróbujemy zabrać z apteki, ile się da. On nam to przechowa, dopóki nie będę mógł otworzyć czegoś nowego.

- Ale jeżeli cię na tym przyłapią, pójdiesz do więzienia!

- krzyknęła.

- No to pójdę - odparł bezbarwnym, głuchym głosem.

- Gorzej już być nie może.

Potem przeszedł na jidisz, co mu się rzadko zdarzało.

- *Alles iss forloren* - powiedział. - Wszystko stracone.

To była ta noc, kiedy wróciłem do domu i zastałem mamę płaczącą przy kuchennym stole i Mimi, ze łzami w oczach, trzymającą ją za rękę.

To była ta noc, kiedy wyszedłem z domu bez kolacji i wynosiłem z apteki pośpiesznie pakowane kartony z towarem.

To była ta noc, kiedy stałem na ciemnej ulicy o drugiej nad ranem, a mój ojciec, gorzko płacząc, patrzył w okna apteki i szeptał: - dwadzieścia pięć lat, dwadzieścia pięć lat.

To była ta noc, kiedy widziałem, jak matka i ojciec padli sobie w ramiona łkając i zrozumiałem, że oni także ulegają emocjom, nad którymi nie mają kontroli. Po raz pierwszy zobaczyłem strach, rozpacz i bezradność malujące się otwarcie na ich twarzach.

Poszedłem cicho do swojego pokoju, zrzuciłem ubranie, wczółgałem się do łóżka i leżałem wpatrując się w ciemność. Z dołu dochodziły przytłumione głosy rodziców. Nie mogłem zasnąć, patrzyłem jak ranek wkrada się do pokoju i nic nie mogłem zrobić. Nic.

To była ta noc, kiedy po raz pierwszy przyznałem sam przed sobą, że to nie jest mój dom, że tak naprawdę należy do kogoś innego i nie było już we mnie miejsca na łzy.

Dzień przeprowadzki 1 grudnia 1932

Coś było nie tak. Wszystko było nie tak. Zrozumiałem to w chwili, kiedy zamiast iść do domu, wszedłem na stację metra przy Church Avenue. Rano obudziłem się z mdłym, dławiącym uczuciem w żołądku, jakbym otrzymał cios w splot słoneczny i uczucie to pogłębiało się przez cały dzień. Teraz czułem, jak ból rozchodzi się po całym ciele. Wracałem do domu ze szkoły, ale ten dom nie był moim domem.

Kiedy zszedłem na peron, stał tam pociąg pospieszny i podbiegłem do niego odruchowo. Wpadłem do środka w momencie, kiedy drzwi się zamykały. Nie było wolnych miejsc, więc oparłem się o drzwi po przeciwnej stronie. Otwierały się tylko raz na stacji Atlantic Avenue, co gwarantowało mi względny spokój.

W pociągu było zimno, podniosłem wysoko kołnierz kożuszka. Parę dni temu sypał śnieg, ale ulice były już w miarę oczyszczone. Trochę śniegu widać było jeszcze na ścieżkach, kiedy pociąg wjechał do Prospect Park. Tunel zamknął się wokół nas dławiąc światło dnia. Nabrałem głęboko powietrza, próbując zwalczyć nudności. Nie pomogło. A nawet pogorszyło sprawę.

Tego ranka pudła i kartony stojące w pustych już, obcych pokojach przypomniały mi, że dzisiaj jest dzień przeprowadzki. Opuściłem swój pokój nie oglądając się za siebie. Rexie deptała mi po piętach. Chciałem o nim zapomnieć, zapomnieć o tym, że byłem kiedyś tak mały, by uwierzyć, że ten dom należy do mnie. Teraz byłem wystarczająco dorosły, by wiedzieć, że była to tylko bajka dla dzieci.

Nagle dzień wśliznął się znów do pociągu. Wyjrzałem za okno: byliśmy na Manhattan Bridge. Wsiadałem na następnej stacji przy Canal Street. Miałem tam przesiadkę na pociąg Broadway - Brooklyn. Pociąg wjechał w następny tunel i po chwili drzwi się otworzyły. Musiałem czekać parę minut na połączenie, ale kiedy wyszedłem z metra,

na skrzyżowaniu Essex i Delancey Street, była dopiero za piętnaście czwarta.

Znalazłem się jakby w innym świecie. Ulice wypełniał poruszający się gorączkowo wielojęzyczny tłum. Byli tam uliczni handlarze z ręcznymi wózkami, wrzeszczący na rogach ulic straganiarze gotowi zwijać manatki i zniknąć, kiedy przegoni ich policjant. Mimo zimna wielu z nich było bez płaszczy i z gołymi głowami, kobiety zaś były okutane chustkami. I wszędzie dookoła słychać było cichy, stłumiony głos nędzy. Nikt się tu poza dziećmi nie śmiał, zresztą i wesołość dzieci też była powściągliwa.

Ruszyłem wzdłuż Delancey, minąłem tanie sklepy z jaskrawymi towarami, minąłem kino z wielkim szyldem reklamującym poranki - wstęp dziesięć centów. Skręciłem w lewo w Clinton Street i ze spuszczoną głową przeszedłem dwie przecznice do Stanton. Nie chciałem patrzeć; ucisk, jaki czułem w dołku przez cały dzień, narastał, aż wreszcie podszedł mi do gardła. Podniosłem szybko głowę. To było tutaj - stara, szara kamienica z ciemnymi, wąskimi oknami, pnąca się ku niebu ze swoimi pięcioma piętrami. Do wejścia prowadził niewielki ganek, a po obu jego stronach znajdowały się sklepy. Jeden był pracownią krawiecką z ciemnymi, zakurzonymi oknami, drugi stał pusty. Wolno, niechętnie wszedłem na stopnie. Potem odwróciłem się i spojrzałem z góry na ulicę. Tutaj będziemy mieszkać. Z domu wyszła kobieta, przycisnęła się obok mnie schodząc ze schodów. Jej oddech zalatywał czosnkiem. Patrzyłem, jak przecina ulicę kierując się w stronę ręcznego wózka, a potem przystaje i zaczyna się targować z handlarzem.

Odwróciłem się i wszedłem do środka. Klatka schodowa była ciemna i potknąłem się o coś. Z tłumionym przekleństwem pochyliłem się, żeby to podnieść. Była to papierowa torba ze śmieciami. Upuściłem ją czym prędzej tam, gdzie znalazłem i zacząłem wchodzić po schodach.

Trzy piętra w górę, a na każdym półpiętrze walały się papierowe torby czekające na śmieciarza. W powietrzu wisiała ciężka woń gotowanych potraw. Rozpoznałem nasze mieszkanie po kartonach piętrzących się przed drzwiami. Zapukałem.

Otworzyła mi mama. Staliśmy przez chwilę patrząc na siebie, zanim wszedłem do środka. Ojciec siedział przy stole. Gdzieś z głębi mieszkania dobiegał głos Mimi.

Stałem w kuchni, przyglądając się jednostajnie białym ścianom. Przez pokłady farby o niesprecyzowanym odcieniu przebijały smugi brudu. Żółte zasłony, które mama zdążyła powiesić na wąskim okienku, nadawały wnętrzu wygląd wymuszonej wesołości. Mama patrzyła na mnie niespokojnie. Nie wiedziałem co powiedzieć. W tym momencie z drugiego pokoju wybiegła rozradowana Rexie i pochyliłem się, żeby ją pogłaskać.

- Bardzo ładnie - powiedziałem, nie podnosząc głowy. Przez chwilę panowało milczenie, kątem oka widziałem, jak rodzice wymieniają spojrzenia. Potem odezwała się mama.

- Nie jest tak źle, Danny. Wystarczy na jakiś czas, dopóki ojciec się nie pozbiera. Chodź, pokażę ci resztę mieszkania.

Obszedłem z nią pokoje. Nie było wiele do oglądania, zresztą niczego się nie spodziewałem po tym małym czteropokojowym mieszkaniu. Mój pokój był o połowę mniejszy niż w domu, sypialnia rodziców niewiele większa. Mimi miała spać na kanapie w salonie.

Patrzyłem na nich bez słowa. Całe mieszkanie pomalowane było tą samą, odrażającą białą farbą. Cóż mogłem powiedzieć?

Czynsz był niski i o to głównie chodziło - dwadzieścia osiem dolarów miesięcznie z ogrzewaniem i ciepłą wodą. Wróciliśmy do kuchni, Rexie wciąż jeszcze deptała mi po piętach. Ojciec nie odzywał się ani słowem. Po prostu siedział przy stole paląc papierosa i wodził za mną wzrokiem.

Podrapałem psa za uchem.

- Rexie wam nie przeszkadzała? - spytałem. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie - powiedział prawie oficjalnie. Jego głos brzmiał inaczej, zupełnie nie jak jego własny, jakby wyprano go z wszelkiej pewności siebie.

- Lepiej ją wyprowadź, Danny - rzekła mama. - Nie była na dworze przez cały dzień. Myślę, że jest trochę zdenerwowana.

Byłem zadowolony, że mam coś do zrobienia. Ruszyłem ku drzwiom wołając psa.

- Weź ją na smycz, Danny, to jest nowa dzielnica i może się zgubić - powiedział ojciec.

- Racja - przyznałem biorąc od niego smycz. Wyszliśmy z Rexie na ciemną klatkę schodową i ruszyłem w dół po schodach. W połowie pierwszego piętra zorientowałem się, że Rexie nie idzie za mną. Stała na szczycie schodów i patrzyła w dół.

- No chodź, staruszek! - zawołałem. Ani drgnęła. Zawołałem jeszcze raz. Przysiadła na ziemi i patrzyła na mnie poruszając nerwowo ogonem.

Wróciłem na górę i przyczepiłem jej smycz do obroży.

- No dalej - powiedziałem. - Nie wygłupiaj się.

Kiedy ruszyłem znowu w dół, poszła za mną ostrożnie. Na każdym podeście musiałem ją poganiać, żeby szła dalej. W końcu znaleźliśmy się na ganku i Rexie zatrzymała się spoglądając na ulicę. Nagle postanowiła zawrócić na klatkę schodową. Smycz szarpnęła ją w przód, aż rozpląsała się na ziemi. Przyklękłem przy niej i ująłem jej łeb w dłonie. Czuję jak drży. Wziąłem ją na ręce i zniosłem z ganku. Na ulicy trochę się uspokoiła, ale kiedy szliśmy w stronę Clinton Street, rozglądała się z lękiem. Uliczny hałas nappełniał ją wyraźnym niepokojem.

Dalej ruch wydawał się mniejszy, więc postanowiłem przespacerować się z nią w tamtym kierunku. Przed cukiernią zatrzymaliśmy się, czekając na zmianę świateł.

Wielka ciężarówka przetoczyła się z łoskotem i Rexie szarpnęła się nerwowo. Obroża zacisnęła się i usłyszałem, jak coś rzezi jej w piersiach. Podkuliła ogon pod siebie. Była naprawdę przerażona. Kiedy pochyliłem się, żeby ją pocieszyć, usłyszałem za sobą czyjś chrapliwy śmiech. Obejrzałem się przez ramię.

Przed cukiernią stało trzech chłopaków, mniej więcej w moim wieku. Jeden z nich śmiał się z psiego strachu.

Zauważyli, że na nich patrzę.

- O co chodzi, kolego? - zapytał szyderczo ten, który się śmiał. - Piesek się boi?

- Nie bardziej niż ty, kolego - odpowiedziałem drwiąco, nadal próbując ją uspokoić.

Tamci dwaj umilkli, patrząc wyczekująco na swego pro-

wodyra. Rzucił im porozumiewawcze spojrzenie, po czym ruszył ku mnie rozkołysanym krokiem. Znałem ten scenariusz aż za dobrze. Będzie musiał wepchnąć mi te słowa z powrotem do gardła. Uśmiechnąłem się do siebie. Czekala go niespodzianka. Poczułem się trochę lepiej, jakby okazja do bójki zmniejszyła ucisk, który czułem w żołądku.

Stał nade mną. Spojrzałem w górę, nadal zajęty psem.

- Co powiedziałaś, koleś? - zapytał bardzo wolno.

- To co słyszałeś, koleś - odparłem naśladowując jego ton. Zacząłem się podnosić.

Widziałem jak jego but zbliża się do mojej twarzy, ale nie byłem dość szybki. Trafił mnie prosto w usta i poleciałem w tył do rynsztoka. Smycz wyprysnęła mi z ręki. Rzuciłem się za nią rozpaczliwie, ale była już poza moim zasięgiem. Potrząsnąłem głową próbując otrząsnąć się z zamroczenia; potem usłyszałem krzyk.

Pełen niepokoju gramoliłem się na nogi, nie myśląc już o walce. Rexie biegła po jezdni w tę i z powrotem jak oszalała.

- Rexie! - krzyknąłem.

Zawróciła i ruszyła w moją stronę. Usłyszałem jej skowyt, kiedy znikła pod kołami ciężarówki, która wyjechała z za rogu i gnała na pełnym gazie, żeby zdążyć na zielone światło. Biegłem w jej stronę. Rexie zaskowyczała jeszcze raz, dużo słabiej. Leżała w rynsztoku, dyszała a jej piękna, brązowa sierść pokryta była kurzem i krwią.

Przyklękąłem w rynsztoku obok niej.

- Rexie! - zawołałem zduszonym głosem. Kiedy ją podnosiłem, wydała z siebie cichy jęk, prawie westchnienie. Oczy miała łagodne, pełne cierpienia. Wysunęła język i polizała mnie delikatnie po ręce zostawiając na niej smugę krwi. Trzymałem ją blisko przy sobie, drżała teraz gwałtownie. Nagle zachłysnęła się oddechem i znieruchomiała. Łapy osunęły się bezwładnie po mojej kurtce. Światło w jej oczach zgasło.

- Rexie! - powiedziałem błagalnie.

Nie mogłem w to uwierzyć. Była taka pełna życia, taka piękna.

- Rexie, staruszko!

Przez otaczający nas tłum przepchnął się mężczyzna. Był blady.

- Chryste, chłopcze! Nawet jej nie widziałem.

Przez chwilę patrzyłem na niego niewidzącym wzrokiem. Kiedy później usiłowałem go sobie przypomnieć, wiedziałem tylko, że był blady - nic więcej.

Ruszyłem do domu, niosąc Rexie na rękach. Ludzie roz-stępowali się przede mną w milczeniu. Nie mogłem płakać.

Oczy mnie paliły, ale nie mogłem płakać. Byłem już na ganku, na ciemnej klatce schodowej, na obcych schodach pełnych ciężkich woni, przed drzwiami naszego mieszkania. Otworzyłem je kopnięciem. Mama podniosła się z krzesła ze zdławionym okrzykiem.

- Danny! Co się stało?

Spojrzałem na nią tępo. Przez chwilę nie mogłem wydobyć głosu. Na okrzyk mamy do pokoju wpadli ojciec i Mimi. Stali teraz wszyscy wlepiając we mnie oczy.

- Ona nie żyje - odezwałem się w końcu. Nie poznałem własnego głosu. Był gruby i ochrypły. - Samochód ją przejechał.

Na podłodze przede mną stało tekturowe pudło. Przyklęknąłem i włożyłem ją delikatnie do środka. Wolno zamknąłem nad nią wieko kartonu i wstałem.

Oczy Mimi były pełne łez.

- Jak... Jak to się stało?

Pozazdrościłem jej tych łez. Chciałem płakać, może wtedy poczułbym się lepiej. W gardle czułem narastającą gorycz.

- Stało się - powiedziałem bezbarwnie. - Co za różnica jak. Nad zlewem obmyłem ręce z krwi i wytarłem ścierką do naczyń. Potem wziąłem karton i ruszyłem ku drzwiom. Zatrzymał mnie głos ojca.

- Dokąd idziesz?

- Pochować ją - odpowiedziałem głucho. - Nie mogę jej tu trzymać.

Położył mi rękę na ramieniu i spojrzał w oczy.

- Przykro mi, Danny - powiedział głosem pełnym współczucia.

W jego oczach było zrozumienie, ale nie miało to żadnego znaczenia, teraz już nic nie miało znaczenia.

- Powinno ci być przykro - powiedziałem z goryczą, oskarżycielsko. - To wszystko twoja wina. Gdybyś nie stracił domu - nigdy by się to nie stało.

Zobaczyłem błysk bólu w jego oczach, kiedy zdejmował rękę z mojego ramienia. Wyszedłem na korytarz zatraskując za sobą drzwi. To była jego wina. Nikt mu nie kazał tracić domu.

Na placu pod mostem wsiadłem do trolejbusu linii Utica--Reid. Trzymałem karton na kolanach przez całą długą drogę przez most, Williamsburg, aż do Flatbush. Wsiadłem na Clarendon Road, karton ciążył mi w rękach, kiedy szedłem znajomymi ulicami. Wyobrażałem sobie, że Rexie za mną biegnie. Widziałem piękną, ciemnokasztanową sierść, pod palcami czułem jej jedwabistość, kiedy drapałem ją za uchem. Czułem jej chłodny, wilgotny język liżący mnie po twarzy, gdy się schylałem, by ją przywitać.

Kiedy dotarłem do domu, było już ciemno. Stałem na ulicy, zaglądając w okna. Były szeroko otwarte i puste. Wyprowadziliśmy się rano, a dom już nabral zaniechanego, opuszczonego wyglądu. Rozejrzałem się po ulicy, sprawdzając czy nikt mnie nie obserwuje. Było pusto. Idąc cicho alejką minąłem oświetlone okna domu Conlonów, ale nikt mnie nie usłyszał. Wszedłem na ciemne podwórko i postawiłem karton na ziemi. To, co chciałem zrobić, było słuszne. Tutaj spędziła życie i tutaj powinna być pochowana. Tu, gdzie była szczęśliwa. Nic innego nie mogłem dla niej zrobić.

Rozejrzałem się. Była mi potrzebna łopata do wykopania grobu. Zastanawiałem się, czy jest jeszcze w piwnicy ta, której używaliśmy do ładowania węgla. Poszedłem w stronę domu. Ale wróciłem po Rexie. Nigdy nie lubiła zostawać sama. Wciąż jeszcze miałem w kieszeni klucz. Otworzyłem drzwi, wniósłem karton do środka i postawiłem na kuchennych schodach. Dom był ciemny, ale nie potrzebowałem światła. Znałem tu każdy centymetr podłogi.

Zszedłem do piwnicy. Łopata stała oparta o skrzynię na węgiel, tam gdzie zawsze. Zabrałem ją i wróciłem na schody. Chciałem mieć Rexie przy sobie podczas kopania grobu, ale zmieniłem zdanie, zawsze bała się łopaty.

Kopałem tak cicho, jak tylko się dało, nie chciałem, żeby

ktoś mnie usłyszał. Zimny, wieczorny wiatr chłostał mi twarz, ale nie robiło to na mnie wrażenia. Pod skórzaną kurtką byłem mokry od potu. Kiedy dół był już dostatecznie głęboki, wróciłem do domu, zabrałem pudło i wyniosłem na zewnątrz. Ostrożnie postawiłem je na ziemi. Kiedy sięgałem po łopatę, coś przyszło mi do głowy: a jeżeli ona nie jest martwa? Jeżeli jeszcze żyje?

Przykucnąwszy podniosłem wieko, pochyliłem się nisko nad kartonem i nasłuchiwałem. Nie dobiegł mnie żaden dźwięk. Nadal sobie nie dowierzałem. Włożyłem rękę do środka i dotknąłem jej pyska. Zaczynała już stygnąć. Powoli zamknąłem pudło i dźwignąłem się na nogi.

Łzy napłynęły mi do oczu, kiedy sypałem na nią ziemię. Czy odmawia się modlitwę za psa? Nie wiedziałem, ale odmówiłem za nią modlitwę. Odmówiłem ją bezdźwięcznie w mroku nocy. W końcu ziemia pokryła karton równą warstwą. Udeptałem ją nogami. Wzeszedł księżyc i jego zimna poświata rzucała na pola niesamowite cienie. Rexie lubiła chłodne powietrze - ożywiało ją, pobudzało do zabawy i biegania. Miałem nadzieję, że spodoba jej się ta pogoda, gdziekolwiek teraz jest.

Nie wiem, jak długo tak stałem, z łopatą w ręku, ale kiedy stamtąd odchodziłem, byłem przemarznięty do szpiku kości. Łzy płynęły mi po policzkach, ale nie płakałem.

Wróciłem do domu i bez zastanowienia poszedłem na górę do mojego pokoju. Oparłem łopatę o ścianę i stanąłem w miejscu, gdzie było przedtem moje łóżko. W jasnym świetle księżycy wyraźnie widziałem ślady po legowisku Rexie. Położyłem się na podłodze i wybuchnąłem płaczem. Tłumiona dotąd rozpacz znalazła wreszcie ujście; gorzkie łzy spływały mi po twarzy do ust. W końcu podniosłem się wyczerpany. Opuściłem pokój nie oglądając się za siebie, zszedłem ze schodów i znalazłem się na ulicy.

Gruby Fredzio Conlon wracał do domu, kiedy wychodziłem z alejki. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Danny! Co ty tu robisz? Zostawiłeś coś?

Minąłem go bez słowa. Tak, zostawiłem coś. Więcej niż się spodziewałem.

Kiedy skręcałem na rogu Clinton i Delancey, zegar

w sklepie jubilerskim wskazywał dziewiątą. Poruszałem się jak we śnie. Ludzie tłoczyli się wokół mnie hałaśliwie i bezładnie, ale nie widziałem ich i nie słyszałem. Moje ciało zdawało się pulsować tęnym bólem, połowa twarzy piekła od kopniaka.

Oprzytomniałem dopiero na stopniach ganku. Dotarł do mnie uliczny hałas, usłyszałem ludzkie głosy. Rozejrzałem się ze zdziwieniem, jakbym widział to wszystko po raz pierwszy. Światło w cukierni zdawało się mnie przywoływać. Nadal wałęsała się tam banda chłopaków. Zszedłem ze stopni i ruszyłem w ich stronę.

Zatrzymałem się na rogu, obserwując bandę przed cukiernią. Nie było go. Przez parę minut przyglądałem się im w milczeniu i chciałem już odejść, kiedy go dostrzegłem. Był w cukierni, siedział przy barze i pił koktajl jajeczny.

Wszedłem wolno do środka. Był odwrócony plecami do drzwi i nie widział mnie. Poklepałem go delikatnie po ramieniu. Odwrócił się. Przez twarz przemknął mu błysk świadczący o tym, że mnie poznał.

- Na dwór - zrobiłem gest w stronę drzwi.

Spojrzał na mnie, potem na pozostałych chłopaków w sklepie. Nie dałem mu czasu do namysłu. Szturchnąłem go w ramię po raz drugi, tym razem brutalnie.

- Na dwór - powiedziałem beznamiętnym, chrapliwym głosem.

Odsunął szklankę i wstał.

- Moishe, schowaj to dla mnie - zwrócił się spokojnie do barmana. - Zaraz wracam.

Wziąłem szklankę i opróżniłem ją w zlewie za barem. Czekolada z koktajlu rozplynęła się w brudnej wodzie.

- Zapomnij o tym, Moishe - powiedziałem tym samym bezbarwnym tonem. - Nie będzie tego pił.

Odwróciłem się do niego plecami i wyszedłem na ulicę. Jego kroki dudniły za mną na betonowej podłodze. Stałem na chodniku i odwróciłem się twarzą do niego.

- Unieś ręce - powiedziałem prawie od niechcienia. Przez chwilę patrzył na mnie, potem podszedł bardzo blisko.

- Myślisz, że jesteś twardziel, co? - warknął odsłaniając zęby.

Niesamowite uczucie, które nosiłem w sobie przez cały dzień, zaczynało eksplodować.

- Racja, wystarczający twar... - zacząłem, kiedy nagle coś sobie przypomniałem. Zrobiłem błyskawiczny ruch w tył, ale nie dość szybko. Jego kolano trafiło mnie w pachwinę, a pięść wylądowała na twarzy. Znalazłem się na czworakach. Zobaczyłem, jak jego but zbliża się do mojej twarzy i spróbowałem zrobić unik. Trafił mnie czubkiem buta za uchem i osunąłem się bezwładnie na chodnik.

Wydawało mi się, że odgłosy ulicy dochodzą z bardzo daleka, czułem dziwne zawroty głowy. Otrząsnąłem się i podniosłem na kolana. Śmiał się ze mnie.

- Twardziel, co?

Chwyciłem się stojącego obok słupka hydrantu i podciągnąłem na nogi. Jeszcze raz potrząsnąłem głową. Zawroty ustępowały szybko i czułem już w ustach smak ciepłej krwi. Nadal śmiał się szyderczo.

- I co, ciągle jesteś twardziel, naiwniaczku? Obserwowałem go uważnie, trzymając się hydrantu. Niech mówi, robił mi przysługę. Dawał czas. Czułem jak wracają mi siły w nogach. Zbliżał się do mnie znowu, powoli, z rozmysłem, bez pośpiechu. Pewny siebie.

Obszedłem hydrant, nadal walcząc o czas. Wszystko, czego potrzebowałem, to jeszcze paru sekund. Sam nauczył mnie jak oceniać i oszczędzać siły. Pomyślałem o nim z wdzięcznością.

Chłopak przystanął.

- Miękniesz, co? Jak twój pies - warknął szyderczo.

Puściłem słupek. Czułem się już całkiem nieźle. Wyszedłem przed hydrant. Chłopak zbliżał się do mnie rozkołysanym krokiem, atakując prawą. Nie wiedział o tym, ale był to jego drugi błąd. Pierwszym było danie mi czasu.

Lewą ręką odparowałem cios, prawą wpakowałem mu w brzuch poniżej pasa. Pochylał się sięgając do krocza, kiedy trzasnąłem go lewym hakiem w szczękę. Skręciło go i zaczął osuwać się na ziemię. Zanim upadł na chodnik, walnąłem go jeszcze osiem razy w twarz.

Rozciągnął się u moich stóp. Pochyliłem się nad nim. Musiał być silny jak koń, bo próbował wstać. Kopnąłem go w skroń i opadł bezwładnie.

Obserwowałem go przez chwilę, potem odwróciłem się, żeby odejść. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z obecności ludzi. Bardziej wyczułem niż usłyszałem nagły ruch za plecami.

Odwróciłem się błyskawicznie. Był już na nogach i szedł na mnie. Kiedy uskakiwałem w bok, coś błysnęło w jego podniesionej ręce i spadło muskając mi rękę. Czułem jak rozdziera mi rękaw. Nóż sprężynowy. Facet przeleciał koło mnie pchany impetem, dołożyłem mu ciosem w kark. Tłum rozstępował się przed nim, kiedy zataczał się po ścianie budynku. Dopadłem go natychmiast. Nie mogłem ryzykować, że zdąży się odwrócić.

Chwyciłem go za rękę, w której miał nóż i wykręciłem ją. Krzyknął. Docisnąłem jeszcze raz i nóż wyleciał mu z ręki uderzając z brzękiem o chodnik. Wykopałem go daleko i odwróciłem faceta twarzą do siebie. Twarz wykrzywioną miał bólem i strachem. Oczy wychodziły mu z orbit. Przytrzymałem mu głowę na ścianie i zacząłem go tłuc wolną ręką po twarzy.

Zawładnęło mną dzikie pragnienie przemocy i jakaś brutalna radość. Po raz pierwszy w życiu czułem przyjemność walki.

Pierwsze uderzenie rozkwaśło mu nos. Poczulem kości pękające pod moją pięścią. Znowu krzyknął.

Roześmiałem się dziko i uderzyłem go w usta. Kiedy łapał powietrze zobaczyłem wyrwę po zębach. Byłem szczęśliwy. Szczęśliwy jak nigdy przedtem. Krew spływała mu po twarzy. Chciałem zamienić ją całą w krwawą miazgę, chciałem, żeby w ogóle nie miał twarzy. Oczy zasnuła mi czerwona mgła, śmiałem się, biłem go i krzyczałem z rozkoszy.

Potem poczułem, że szarpią mnie czyjeś ręce, odciągają od chłopaka. Walczyłem z nimi próbując się uwolnić. W tyle głowy poczułem nagły, ostry ból i zrobiło mi się dziwnie słabo. Puściłem chłopaka, poleciał w przód pod moje nogi. Ktoś przygwoździł mi ramiona do boków. Uniosłem głowę, żeby zobaczyć kto mnie trzyma. Kiedy czerwona mgła zaczęła się rozstępować, zobaczyłem ciemnoniebieskie mundury policjantów.

Zabrali mnie na posterunek zaraz za mostem Williamsburg

i wpakowali do celi. Przyszedł lekarz, zalepił mi plastrem ranę od noża i zostawił mnie samego. Siedziałem tam blisko cztery godziny, zanim ktoś pojawił się znów w pobliżu mojej celi. Byłem zmęczony, jednak nie mogłem spać. Powieki ciążyły mi, ale nie chciały się zamknąć. Mogłem jedynie myśleć. Przed oczyma miałem ciągle małego, kasztanowatego szczeniaka próbującego wdrapać się za mną po ścianie wykopu.

Zgrzytnęły drzwi celi. Stał w nich policjant.

- Przyszedł po ciebie ojciec, synu - powiedział łagodnie. Podniosłem się i z pryczy za sobą wziąłem kożuszek. Tak jakbym robił to wiele razy przedtem, ale wszelkie uczucia były poza mną. Szedłem wolno przez szare korytarze, a potem w górę po schodach. Policjant otworzył drzwi i przepuścił mnie przodem. W pomieszczeniu siedział tato i jeszcze jakiś mężczyzna. Tato zerwał się z krzesła.

- Przyszedłem zabrać cię do domu, Danny - powiedział. Przez chwilę tępo gapiłem się na niego. Dom. Tamto miejsce. Dla mnie nigdy nie będzie domem.

- Masz szczęście, chłopcze - odezwał się ten drugi mężczyzna, przyglądając mi się uważnie. - Wiemy już, co się stało. Chłopak, którego pobiłeś, poleży w szpitalu ładnych parę tygodni. To nicpoń i być może oddałeś nam przysługę.

Możesz iść, ale nie rób nam już więcej kłopotów.

Ruszyłem do drzwi bez słowa. Słyszałem, jak tato dziękuje facetowi za wszystko, co tamten zrobił. Wyszedłem na ulicę, gdzie po chwili dogonił mnie tato. Zrównał się ze mną i szliśmy dalej w milczeniu.

Na Delancey Street czekaliśmy na zielone światło.

- Baliśmy się o ciebie, Danny, twoja matka i ja. Nie wiedzieliśmy, co się z tobą stało.

Głos miał ochrypły, ale starał się nadać mu lekkie brzmienie. Jego zazwyczaj rumiana twarz wydawała się blada w świetle ulicznych latarni. Jakbym słyszał już kiedyś te słowa. W innym czasie i w innym miejscu. Nie odpowiedziałem.

Zmieniło się światło i przeszliśmy przez ulicę. Tato podjął następną próbę nawiązania rozmowy.

- Danny, dlaczego to zrobiłeś? - Na jego twarzy malowała

się udreka. Stało się coś, czego nie mógł zrozumieć. - To do ciebie niepodobne.
Być może dawniej, ale nie teraz. Znajdowałem się w innym świecie, może nawet stałem się innym Dannym Fisherem. Nie miałem pojęcia. Znowu nie odpowiedziałem.
Odezwał się jeszcze raz, a potem pogрузzył się w milczeniu. Przeszliśmy dwie przecznice i skręciliśmy w naszą ulicę.
Na rogu zawahaliśmy się na chwilę, nasze oczy spotkały się i natychmiast rozbiegły.
Ulica była pusta i brudna, wałyły się na niej odpadki z całego dnia. Nasze kroki dudniły na chodniku.
Zaczął padać śnieg. Podniosłem kołnierz kożuszka. Kątem oka widziałem ojca idącego obok mnie. Wtedy właśnie po raz pierwszy zrozumiałem, jak to będzie w przyszłości; mój ojciec i ja byliśmy obcymi sobie ludźmi, idącymi w milczeniu przez noc.

Księga druga
Wszystkie dni mojego życia

1

Kiedy wyszliśmy z ciemnej klatki schodowej, ojciec spojrział na zegarek. Szybko wsunął go z powrotem do kieszeni i rzucił mi niepewne spojrzenie.

- Za piętnaście trzecia - wymamrotał. - Muszę się spieszyć, bo się spóźnię.

Spojrzałem na niego obojętnie. Pięć miesięcy życia tutaj, a wydawało się, że minęły lata. Już od pierwszego dnia nic nie szło tak, jak powinno. Tato miał teraz pracę w drogerii na Delancey Street. Dwadzieścia trzy dolary tygodniowo.

- Idziesz w moją stronę? - zapytał.

Skinąłem głową w milczeniu. Mogłem iść, czemu nie? Miałem spotkać się ze swoją paczką na rogu, przy „5 & 10”.

Przyspieszyłem, żeby dotrzymać mu kroku.

Wspomnienia tych pięciu miesięcy były nadal żywe w naszej pamięci. Dni, kiedy wracałem ze szkoły i znajdowałem go siedzącego w kuchni obskurnego mieszkania, patrzącego w ścianę z wyrazem beznadziejności i rozpacz na twarzy.

Chciałem mu współczuć, ale nie mogłem. Sam sobie był winien. Gdyby okazał choć odrobinę więcej sprytu!

A jednak było coś w jego twarzy, tego wieczoru przed paroma dniami, kiedy przyszedł i powiedział nam o pracy, którą właśnie dostał. Coś co sięgnęło mi do wnętrza i złapało za bebechy. Dwadzieścia trzy dolary tygodniowo dla zarejestrowanego aptekarza z dwudziestotrzyletnim doświadczeniem! To nie było w porządku. Ta forsa nie starczała nawet na przeżycie.

Skręciliśmy w Delancey i znaleźliśmy się przed drogerią,

w której pracował. Zatrzymał się i spojrzał na mnie z wahaniem. Widziałem, że chce spytać, co mam zamiar robić przez resztę popołudnia, ale był na to za dumny. A ja nie zdradzałem ochoty do zwierzeń.

- Powiedz mamie, że będę w domu w nocy o wpół do trzeciej - odezwał się w końcu.

Skinałem głową.

Otworzył usta jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale potem zrezygnował. Skinął tylko lekko głową i wszedł do sklepu kuląc ramiona. Zegar wskazywał punktualnie trzecią.

Miałem trochę czasu do zabicia, więc oparłem się o szybę wystawową i gapiłem na przechodzących ludzi. Ze sklepu dobiegał czyjś głos, odwróciłem się i zajrzałem do środka.

Mężczyzna wychodzący zza lady ściągał z siebie fartuch.

- Jezus Maria, Fisher! - mówił cichym szeptem z rodzaju tych, które słyhać w obrębie dziesięciu metrów. - Jak ja się cieszę, że mogę stąd wyjść. Szef dostał szału, dawał mi w kość przez cały dzień.

Tato w milczeniu wziął od niego fartuch i spojrzał na zegar ścienny, sprawdzając czas. Po twarzy przemknął mu cień ulgi.

Z pokoju na zapleczu wyszedł mały, nadęty mężczyzna z twarzą wyrażającą wieczną gotowość do irytacji.

Zlustrował wzrokiem sklep, błyskając grubymi szklami okularów.

- To pan, Fisher? - zapytał ciekawym, irytującym głosem. Nie czekał na odpowiedź. - Bierz się pan do roboty - powiedział. - Recepty czekają.

W głosie taty brzmiała nuta strachu i pokory, której nie słyszałem nigdy przedtem.

- Dobrze, panie Gold - powiedział. Ruszył pospiesznie na zaplecze. Marynarkę i kapelusz trzymał już w ręku i zwracał się do małego człowieczka z wyrazem ubolewania na twarzy. - Przykro mi, że pan czekał, panie Gold.

Mały facet spojrzał na niego z pogardą.

- Mógłbyś pan przychodzić trochę wcześniej, Fisher. Nie zaszkodziłoby to panu.

- Przykro mi, panie Gold - powtórzył tato z rezygnacją.

- No, nie stój pan jak idiota, Fisher - powiedział pan Gold

wciskając ojcu w rękę dwie kartki papieru. - Wkładaj pan fartuch i do roboty! - Odwrócił się i wyszedł. Tato patrzył za nim przez chwilę z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu. Potem spojrzął na kartki trzymane w dłoni i podszedł wolno do stoiska realizacji recept. Odłożył marynarkę na krzesło i pospiesznie ubrał się w fartuch. Położył recepty na ladzie, wygładził je dłonią i ponownie obejrzał. Potem wziął z półki butelkę i miarkę. Słyszałem niemal ciche pobrząkiwanie butelki o szklaną ściankę miarki, kiedy drżącymi dłońmi wlewał do niej jakiś płyn. Podniósł nagle głowę i zobaczył, że na niego patrzę. W jego oczach pojawiło się zakłopotanie, przez twarz przemknęło coś jakby wstyd. Patrzyłem przed siebie pustym, nieobecny wzrokiem, jakbym go w ogóle nie widział, potem niedbale wykręciłem się na pięcie. Kiedy dotarłem na miejsce, chłopcy już czekali. Wynieśliśmy się cicho z rogu. Zwracanie na siebie uwagi nie leżało w naszych zamiarach. Nie traciłem czasu.

- Wiecie co robić - powiedziałem cichym, rozważnym głosem. - Wchodzimy na luzie. Po dwóch. Spokojnie. Kiedy już wszyscy będą w środku, daję sygnał. Spit i Solly zaczynają bójkę w głębi sklepu. Wszyscy patrzą w tamtą stronę, a wy zabieracie się do roboty. I zapamiętajcie sobie. Nie łapać chłamu, tylko to, co da się sprzedać. Nie czekać i nie oglądać się na innych. Kiedy tylko zrobicie swoje, spływać. Wychodzić natychmiast. Wszyscy wiecie, gdzie się potem spotykamy. Oczekajcie godzinę, zanim się pojawicie.

Przesunąłem wzrokiem po twarzach. Były poważne.

- Zrozumiano?

Nie było odpowiedzi. Pokazałem zęby w uśmiechu.

- No, to w porządku. Wchodzę. Patrzcie na mnie i nie róbcie nic, dopóki nie dam znaku. Rozproszyli się, a ja szybko odszedłem. Skreśliłem za róg i wkroczyłem do „5 & 10”. W sklepie było pełno ludzi. Dobrze, to powinno ułatwić sprawę.

Przeclisnąłem się wzdłuż stoiska z wodą sodową, aż do końca lady. Wdrapałem się na stołek i czekałem na kelnerkę. W lustrze nad kontuarem zobaczyłem Spita i Solly'ego. Minęli mnie bez słowa.

- Co ma być? - stanęła przede mną kelnerka.

- A co masz, kotku? - odparłem pytaniem. Grałem na czas. Nie wszystko było jeszcze gotowe.

Spojrzała na mnie zmęczonym wzrokiem, odgarniając z czoła kosmyki włosów.

- Wszystko jest napisane - odpowiedziała bezbarwnym, znudzonym głosem. - Możesz sobie przeczytać.

Udawałem, że czytam jadłospis naklejony na lustrze za jej plecami. Do lokalu wchodzili dwaj następni chłopcy.

- Podwójna woda sodowa z lodami czekoladowymi. Specjalna za dziesiątkę.

Kelnerka przeszła w głąb stoiska i z zawodową niedbałością spreparowała wodę sodową z lodami. Tyle a tyle syropu, tyle a tyle wody sodowej, potem dwie kulki lodów, wierzchem łyżki do klienta, aby nie widział, że są w połowie puste, potem znowu woda sodowa. Rozejrzałem się po sklepie.

Chłopcy byli na miejscach, gotowi do akcji. Czekałem na swoje lody myśląc, że dziewczyna mogłaby się pospieszyć. Nagle zapragnąłem, żeby już było po wszystkim. Pomysł wydawał się świetny, kiedy go omawialiśmy, teraz sytuacja robiła się nerwowa.

Dziewczyna wróciła z lodami i postawiła je przede mną na ladzie. Podsunąłem jej dziesięć centów, oddzwoniła je w kasie.

Chłopcy obserwowali mnie kątem oka. Wsadziłem słomkę do szklanki, zamieszałem i pociągnąłem łyk. Słodki smak wypełnił mi usta, kiedy za plecami usłyszałem odgłosy walki.

Odwracając się w tamtą stronę, uśmiechnąłem się do siebie. Solly lądował właśnie na ladzie z konserwami. Łoskot przetoczył się przez sklep i ludzie już tam biegli. Chłopcy działali sprawnie. Kelnerka powiedziała coś do mnie i podskoczyłem nerwowo. Patrzyła z zaciekawieniem na to, co działo się za moimi plecami.

- Co się tam dzieje?

- Nie mam pojęcia. Chyba jakaś rozróżba. - A potem dodała: - Wygląda mi to na zgryw.

Czułem jak mój puls przyspiesza nerwowo.

- Co masz na myśli? - zapytałem.

- Oni nie robią sobie krzywdy - powiedziała beznamiętnie.

- Założę się, że ich koledzy obrabiają w tej chwili sklep. To stary numer.

Zlustrowała spojrzeniem wnętrze.

- Spójrz tam, widzisz?

Przyuważyła jednego z chłopaków wypychającego sobie kieszenie przy stoisku z kosmetykami. W tym momencie chłopak odwrócił się i spojrzał na mnie. Zaczął się uśmiechać, ale potrząsnąłem szybko głową i ruszył do wyjścia.

Odróciłem się twarzą do lady. Dziewczyna patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma.

- Ty też w tym jesteś - wyszeptała.

Sięgnąłem nad kontuarem i złapałem ją za ramię, uśmiechając się zimno.

- Co masz zamiar z tym zrobić? - zapytałem cicho. Patrzyła na mnie przez chwilę, potem odwzajemniła uśmiech.

- Nic - odparła. - To nie mój interes. Barbara Hutton może sobie na to pozwolić.

Puściłem jej ramię i obejrzałem się znowu za siebie.

Chłopcy zniknęli, a paru facetów wywalało właśnie Sol-ly'ego za drzwi. Poczułem ulgę. Uśmiechając się ciągle, wróciłem do swojej szklanki i nabrałem pełną łyżkę lodów. Czułem jak czekolada rozpuszcza mi się w ustach. -

Bomba!

- powiedziałem.

Znów się uśmiechnęła. Miała gęste, czarne włosy i ciemnobrązowe oczy. Czerwona szminka odznaczała się ostro na tle bladej, drobnej twarzy.

- Miły jesteś - szepnęła.

Poczułem jak oblewa mnie żar. Miałem u niej punkty, to było jasne.

- Jak ci na imię, mała? - spytałem.

- Nellie - odparła.

- Ja jestem Danny - poinformowałem ją. - Mieszkasz gdzieś tutaj?

- Na Eldrige Street.
- O której kończysz?
- O dziewiątej, po zamknięciu sklepu - odparła. Wyprostowałem się dumnie. Byłem strasznie pewny siebie.
- Czekaj na rogu - powiedziałem. - Może wyskoczylibyśmy do Chińczyka?

Nie czekałem na odpowiedź. Wolnym krokiem podszedłem do miejsca, gdzie jacyś faceci ustawiali ladę, którą zdemolował Solly. Obserwowałem ich przez chwilę, potem wróciłem do stoiska z wodą sodową. Dziewczyna nadal patrzyła na mnie. Wyszczrzyłem do niej zęby w uśmiechu.

- Do zobaczenia o dziewiątej, Nellie. Błysnęła do mnie uśmiechem.

- Będę czekała na rogu, Danny.

Pomachałem jej ręką i ruszyłem do wyjścia. Czuję na sobie jej wzrok. Przechodząc obok stoiska z kosmetykami, zwinąłem grzebień i przejechałem nim leniwie po włosach. Potem wyszedłem, wrzucając go do kieszeni koszuli.

2

Handlarz spojrzał na mnie inteligentnymi oczyma.

- Skąd masz te rzeczy? - zapytał.

- Chcę je pan kupić - odparłem z sarkazmem - czy poznać ich rodowód?

Zajrzał do niewielkiego kartonu. Wyjął butelkę Mum i przerzucił ją nerwowo z ręki do ręki.

- Nie chcę, żeby nachodziły mnie gliny - powiedział. Sięgnąłem znacząco po karton.

- Wobec tego kupi to ktoś inny. Złapał mnie szybko za rękę.

- Poczekaj chwilę. Nie powiedziałem, że tego nie chcę. Puściłem pudło.

- Więc niech pan nie zadaje tylu pytań. Piętnaście dolców i do widzenia!

Rozchylił usta pokazując żółte zęby.

- Dziesięć.

- Czternaście - powiedziałem prędko.

Rozpoczął się rytuał. Na East Endzie człowiek targował się o wszystko. Spodziewano się tego.

- Jedenaście. Potrząsnąłem głową.

- Dwanaście - lustrował moją twarz.

- Nie - odpowiedziałem. Wziął gwałtowny oddech.

- Dwanaście pięćdziesiąt - niemal wyszeptał. - To góra. Przez chwilę patrzyłem mu w twarz, potem wyciągnąłem rękę.

- Płać pan - zgodziłem się.

Sięgnął do kieszeni, wyjął bardzo starą portmonetkę, otworzył ją szybkim ruchem, ukazując cienki zwitek banknotów. Uważnie odliczył mi pieniądze na rękę.

Przeliczyłem jeszcze raz, wsunąłem pieniądze do kieszeni

i odwróciłem się, żeby odejść, kiedy zawołał mnie z powrotem.

- Przynieś, jeżeli będziesz miał coś więcej - powiedział zachłannie. - Dogadamy się.

Spojrzałem na niego niewidzącym wzrokiem. Jedna jaskółka nie czyni wiosny. Dwanaście pięćdziesiąt podzielone na siedem dawało mniej niż dwa dolary na głowę. Rzecz nie warta zachodu.

- Jasne - powiedziałem odchodząc. - Będę pamiętał. Ten facet nie zobaczy mnie więcej na oczy. To żaden interes.

Przechodząc przez Rivington Street, spojrzałem na zegarek. Dochodziła szósta. Ze swoją paczką miałem spotkać się pod cukiernią dopiero przed siódmą. Postanowiłem wpaść do domu i zabrać kolację dla ojca. Mama co wieczór zanosila mu jedzenie do drogerii. To jej oszczędzi fatygi.

Na klatce schodowej śmierdziało. Spojrzałem ze wstrętem na walające się przed drzwiami torby. Parszywiec śmieciarz znowu się upił i nie zabrał ich rano. Mimo że widziałem to już tyle razy, ciągle nie mogłem przywyknąć. Potknąłem się na obluzowanym stopniu i zakląłem pod nosem. Nienawidziłem tego miejsca. Tak bym chciał mieć

dość pieniędzy, żeby stąd uciec! Któregoś dnia zbiorę tyle forsy, żeby odkupić nasz dom i wynieść się z tej cuchnącej dzielnicy.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do mieszkania. Mama stała pochylona nad piecem. Podniosła na mnie znużone oczy.

- Tato powiedział, że będzie w domu o wpół do trzeciej - poinformowałem ją.

Skinęła głową.

- Pomyślałem, że zaniosę mu kolację - zadeklarowałem się.

Spojrzała na mnie z pewnym zdziwieniem. Zaofiarowałem swoją pomoc po raz pierwszy, odkąd tato dostał pracę.

- Chcesz najpierw coś zjeść? - zapytała. Potrząsnąłem przecząco głową.

- Nie jestem głodny - skłamałem. - Facet zafundował mi hot doga u Katza.

- Może zjesz chociaż zupy? - upierała się.

- Nie, mam, jestem napchany.

Sądząc po zawartości garnka, już teraz było w nim za mało dla nas wszystkich.

Była zbyt zmęczona, żeby ze mną dyskutować. Wyjęła z szafki emaliowaną wazę i zaczęła nalewać zupę. Potem ostrożnie włożyła do papierowej torby i wręczyła mi. Ruszyłem ku drzwiom.

- Wróć dzisiaj wcześniej, Danny - dobiegł mnie zza drzwi jej głos.

- Jasne, mam! - odkrzyknąłem zbiegając ze schodów. Przed drogerią przystanąłem i zajrzałem do środka.

Przy ladzie stało paru klientów, obsługiwał ich ekspedient. Tato musiał być na zapleczu. Wszedłem do środka i stanąłem z boku.

Z pokoju na zapleczu doleciał czyjś piskliwy głos. Słuchałem bezwiednie uświadamiając sobie, że słyszałem go już dzisiajszego ranka.

- Ty głupi ośle! - wrzeszczał ten cienki, paskudny głos. - Nie mam pojęcia dlaczego przyjąłem cię do pracy. Z facetami, którzy mieli kiedyś własny interes, jest zawsze ten sam problem. Wydaje się wam, że wszystko wiecie najlepiej, i nikogo nie słuchacie!

Głos odpłynął, a jego miejsce zajął cichy szept ojca. Nie mogłem rozróżnić słów, więc zerknąłem przez oszkloną ścianę oddzielającą zaplecze od sklepu. Ojciec mówił coś do Golda. Gold rzucał mu gniewne spojrzenia, twarz miał czerwona z wściekłości. Zaczął wrzeszczeć, zanim jeszcze tato skończył.

- Nie chcę słyszeć żadnych wymówek, żadnych usprawiedliwień. Było mi cię żal, kiedy tu przyszedłeś skamłając o robotę, ale do cholery, albo będziesz pracował tak, jak ci każę, albo wylecisz stąd na zbity pysk. Słyszysz mnie, Fisher?! Albo jest tak, jak ja chcę, albo won! To wszystko!

Słyszałem teraz wyraźnie głos taty.

- Przykro mi, panie Gold - powiedział. W jego głosie brzmiała uniżona, służalcza nuta, która przyprawiła mnie o mdłości.

- To się już nigdy nie powtórzy, panie Gold. Obiecuję. Ogarnęło mnie przemożne pragnienie zabicia tego małego skurwiela, który zwracał się w ten sposób do mojego ojca, doprowadzając go do tego, że się płaszczyl. Nikt nie miał prawa traktować w taki sposób drugiego człowieka. Tato odwrócił się. Przez szklaną ścianę widziałem jego plecy, ciężko opuszczone ramiona i pochyloną z szacunkiem głowę. Z zamyślenia wyrwał mnie głos sprzedawcy.

- Czym mogę służyć?

Spojrzałem na niego nieprzytomnym wzrokiem. Nie czułem już gniewu, tylko mdłości. Potrząsnąłem głową i ruszyłem w stronę wyjścia. Wtedy przypomniałem sobie o wazie. Wróciłem i postawiłem ją na ladzie.

- To jest kolacja dla doktora Fishera - powiedziałem

i wybiegłem ze sklepu. Piskliwy głos Golda biegł za mną aż na ulicę.

- Półtora dolca na głowę? - zapytał Spit niezadowolonym tonem.

Spojrzałem na niego zimno.

- Opył to sam, jeżeli potrafisz lepiej - powiedziałem beznamiętnie.

Ślinił się, jak zawsze, kiedy był podekscytowany.

- W porządku, Danny, w porządku - powiedział pospiesznie. - Nie sprzeczam się.

Skończyłem podział pieniędzy i spojrzałem na nich. Obciąłem im dwa dolary, ale to była moja dola. To ja nadałem tę robotę.

- Co robimy dalej, Danny? - zapytał Spit, patrząc na mnie wyczekująco.

- Nie wiem - odparłem wyjmując papierosa. - Z tym już koniec. Nie ma w tym forsy. Ale nie martwcie się, coś wymyślę.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła siódma.

- Idę do garażu pograć w kości - powiedziałem. - Kto idzie ze mną?

- Ja nie - zapluł się Spit. - Mam nagrany panienkę. Przynajmniej coś będę miał z tych pieniędzy.

Rozeszli się, a jak skręciłem za róg. Spit przypomniał mi o czymś. Ja też miałem randkę, z tą dziewczyną ze sklepu. Wyglądała na bystrą osóbkę. Nie miałem nic przeciwko temu, lubiłem kiedy były bystre. Nie znosiłem idiotek. Kiedy przychodziło do obłapianek w bramach, umiały tylko protestować. Te mądrzejsze dawały się namówić, czasami.

Byłem już w pobliżu garażu. Przy wejściu poczułem się lepiej. Trzy i pół dolara, które miałem w kieszeni, to było tyle co nic. W najlepszym razie mógłbym zafundować panience kolację w chińskiej knajpie.

W drzwiach garażu stał na czatach młody Włoch z wy chudzoną twarzą. Minałem go. Wyciągnął rękę, żeby mnie zatrzymać.

- Dokąd to? - zapytał. Strząsnąłem jego rękę bez gniewu.

- Spokojnie, Italiano - uśmiechnąłem się. - Chcę tylko popróbować szczęścia.

Poznał mnie i uśmiechnął się szeroko.

- W porządku, Danny - powiedział, odwracając się z powrotem w stronę wejścia.

Przeszedłem przez ciemny garaż, kierując się ku światłu w głębi pomieszczenia. W miejscu osłoniętym przez samochody stała w ciasnym półkolu grupa mężczyzn i chłopców. Ich ściszone, niskie głosy przerywało jedynie metaliczne pobrzękiwanie kości. Kiedy podszedłem, kilku podniosło głowy i natychmiast wróciło do obserwowania gry. Ich uwaga skupiona była na toczących się ku ścianie kostkach.

Przez parę minut stałem spokojnie, wczuwając się w grę. Nie wierzyłem w stawianie na kości, zawsze starałem się raczej wyniuhać, który z graczy ma dobrą passę i obstawiałem tak jak on. Był tam mały czarniawy facet, któremu chyba nieźle szło. Obserwowałem go przez chwilę. Wygrał dwa zakłady, zanim się na niego zdecydowałem. W następnym rzucie zmąpowałem go i rzuciłem dolara na podłogę.

Gracz zdobył punkt a ja przegrałem. Ponownie poszedłem za przykładem śniadego. Tym razem wygrałem. A potem jeszcze raz. Poczulem ogarniające mnie podniecenie, bo postawiłem i znów wygrałem. Miałem już siedem dolców i zaczynałem czuć się jak szczęściarz.

Facet rzucający kości uniósł głowę.

- Wychodzę z gry - powiedział z rozgoryczeniem podnosząc się i otrzepując spodnie.

Krupier rozejrzał się dookoła.

- Kto następny? - zapytał.

Nikt się nie kwapił. Dla krupiera nie było to nic nowego. Według leksykonu małego hazardzisty rzucanie kości było pechowe. Mimo to gra musiała toczyć się dalej. Spojrzał na mnie.

- Bierz je, Danny - zrobił ruch ręką. - Pierwszy rzut gratis. Podszedłem niechętnie i podniosłem kości. Nie miałem wyboru. Wszedłem ostatni do gry, takie były zasady. Nie mogłem odmówić. Potrząsnąłem kośćmi. Nagle poczułem się bardzo pewny siebie. Serce zaczęło walić mi z podniecenia. Nie mogłem przegrać. Byłem w transie. Rzuciłem na podłogę dwa dolary, zobaczyłem, jak opada obok nich kolejny banknot, rzucony przez trzymającego pulę.

Chuchnąłem w dłonie obserwując, jak coraz więcej pieniędzy ląduje na podłodze. Rzuciłem kości. Odbiły się ostro od ściany i znieruchomiały. Siódemka! Podniosłem je i zacząłem potrząsać. Tym razem omówiłem z nimi całą sprawę. Językiem kości, niezrozumiałym dla nikogo z zewnątrz. Czulem jak rozgrzewają się w mojej dłoni i wiedziałem, że rozumiały. Postawiłem sześć papierów.

Wyszła czwórka. Podniosłem kości i znowu do nich poszeptałem. Kiedy były już miłe i uciszone, rzuciłem i wygrałem. Zabrałem dziewięć papierów, a resztę postawiłem.

Czułem jak pot występuje mi na twarz, kiedy grzechotały mi w dłoni. Miałem gorączkę. Kiedy się ocknąłem i spojrzałem na zegarek, była prawie za kwadrans dziewiąta. Oddałem kości i wycofałem się z gry. Byłem więcej niż dwadzieścia doliców do przodu. Kiedy wychodziłem z garażu czułem, jak wilgotna koszula lepi mi się do pleców.

Chłopak w drzwiach wyszczerzył do mnie zęby.

- Już się splukałeś, Danny? - zakpił. Uśmiechnąłem się do niego całą gębą i rzuciłem mu pół dolca.

- Idź i kup sobie hamburgera - powiedziałem. - Będziesz miał z tego więcej radości niż z tej całej fuchy tutaj.

3

Stałem na chodniku przed „5 & 10” i przyglądałem się wychodzącym dziewczętom. Zapaliłem papierosa. Było dziesięć po dziewiątej. Nie spieszyła się, to jasne. A może miała zamiar wystawić mnie rufą do wiatru? Postanowiłem, że poczekam jeszcze pięć minut, a potem do diabła z nią.

- Cześć, Danny! - powiedziała cicho. Stała obok mnie.

Widziałem jak wychodzi, ale jej nie poznałem. We własnym ubraniu wyglądała o wiele młodziej niż w sklepowym uniformie.

- Cześć, Nelly! - Patrzyłem na nią szeroko otwartymi oczyma. Była jeszcze dzieckiem. Co najwyżej w moim wieku.

- Głodna? - zapytałem po chwili wahania.

Skinęła głową bez słowa. Wydawała się lekko speszona, już nie tak pewna siebie jak za ladą.

Wziąłem ją pod rękę i ruszyłem z nią w stronę skrzyżowania, obserwując ją spod oka. Miała kruczoczarne włosy i światła okien wystawowych omiatające jej głowę wydobywały z nich migotliwe niebieskie tony. Usta były pomalowane, ale jaśniejszą niż przedtem szminką.

- Wyglądasz młodziej! - Wykrzyknąłem z pewnym zdumieniem.

Zwróciła ku mnie twarz.

- Wiele dziewcząt stara się wyglądać w sklepie na starsze niż są, żeby nie stracić pracy.

W jej oczach pojawił się nieśmiały ciepły błysk.

- A ty wyglądasz na starszego niż w sklepie. Uśmiechnąłem się do niej. Cieszyło mnie to. Byliśmy już przed restauracją, mrugało do nas blade światło żółto-niebieskiego neonu.

„CHOW MEIN 30 C, CHOP SUEY”

- Chodźmy jeść - powiedziałem, otwierając drzwi i puszczając ją przodem.

Zmęczony, stary Chińczyk o zasuszonej twarzy zaprowadził nas do stolika. Położył przed nami dwa jadłospisy i powlókł się z powrotem do drzwi. Restauracja była prawie pusta; oprócz naszego zajęte były jeszcze tylko dwa stoliki. Pobieżnie przejrzałem menu, wiedziałem już, na co mam ochotę. Potem spojrzałem na nią przez stół. Nasze oczy się spotkały.

- Dla mnie *Chow mein* - uśmiechnęła się.

- I smażony ryż. Wymieszamy - dodałem prędko. Nie chciałem, jej wprowadzać w błąd. Nie byłem synem króla smalcu.

Młody Chińczyk zmęczony nie mniej niż starzec, który wskazał nam stolik, postawił przed nami dzbanek herbaty i z senną miną czekał na zamówienie. Szybko powiedziałem mu, co ma nam podać i poszedł sobie. Wtedy zwróciłem się znowu do dziewczyny. Spuściła wzrok zmieszana. Blady rumieniec oblał jej policzki i nagle wkradło się między nas napięcie.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Nie powinnam była tu przyjść - odparła nerwowo. - Nie wiem nawet kim jesteś. Mój ojciec...

- Twojemu staremu by się to nie spodobało? - przerwałem jej, uśmiechając się spokojnie. Czujęm przypływ pewności siebie. - A tak w ogóle to ile masz lat?

Spojrzała mi prosto w oczy.

- Sie...nie, szesnaście - odpowiedziała z wahaniem.

- Długo tam pracujesz? - spytałem.

- Prawie rok. Myślą, że jestem starsza.

- Stary źle cię traktuje? - pytałem dalej.

W moim głosie dźwięczało współczucie, którego nie mogłem stłumić i które zdawało się rozpraszać wrażenie obcości między nami.

- Chyba jest w porządku. Znasz tych staroświeckich Włochów. W starym kraju to, w starym kraju tamto, i tak na okrągło - Spojrzała mi w oczy. - Muszę wracać do domu zaraz po pracy. Jestem wystarczająco dorosła, żeby dodawać sobie lat, żeby pracować i przynosić do domu pieniądze, ale nie na tyle, żeby spotykać się z chłopcami. Gdyby wiedział, że jestem tu z tobą, zrobiłby piekło.

Patrzyłem na nią w zamyśleniu, zastanawiając się, po co ten przydługi wstęp.

- W takim razie, dlaczego przyszłaś? - zapytałem. Uśmiechnęła się.

- Być może mam już dość życia w starym kraju. Może już czas, by tato zrozumiał, że tu jest inny świat. I że tu się inaczej żyje.

- To jedyny powód? - zapytałem, patrząc na nią badawczo. Zaczerwieniła się pod moim wzrokiem.

- Nie, nie jedyny - wyznała potrząsając lekko głową.

- Chciałam się z tobą spotkać. Chciałam zobaczyć, jaki jesteś.

- I podoba ci się to, co widzisz?

Skinęła głową bez słowa, twarz jej nadal płonęła. - A tobie? - zapytała cichym, nieśmiałym głosem.

Sięgnąłem przez stół i wziąłem ją za rękę. To będzie łatwe.

- Oczywiście, Nellie - powiedziałem z przekonaniem.

- Oczywiście.

Zatrzymała się na rogu pod latarnią.

- Lepiej nie odprowadzaj mnie dalej, Danny. Ojciec może czekać na schodach.

- Niezła metoda spławiania facetów - powiedziałem zimno. W jej oczach pojawił się cień.

- Danny, to nie tak - powiedziała poważnie. - Naprawdę. Nie znasz mojego starego. Wykiwała mnie i nic na to nie mogłem poradzić.

- Jasne. To stary numer, a ja kupuję go bez pudła. Prawie ci uwierzyłem.

Chwyciła mnie za rękę.

- Musisz mi uwierzyć, Danny! - zawołała z przejęciem. - Nie oszukiwałabym cię.

Nadal ścisnąłem jej dłoń.

- Jak się wytłumaczysz, że wróciłaś tak późno?

- Powiem, że zatrzymali nas w sklepie. Wie, że czasami musimy zostawać dłużej.

- Nie będzie wściekły?

- Nie - odparła. - To go nie obchodzi. Nie dba o to, jak długo pracuję.

Puściłem jej rękę i cofnąłem się do bramy poza krąg światła latarni.

- Chodź tu - powiedziałem.

Patrzyła na mnie przez chwilę, potem zrobiła niepewny krok w moją stronę. W jej głosie pojawiło się nagle zdenerwowanie.

- Po co?

Patrzyłem na nią nieruchomym wzrokiem.

- Wiesz po co - powiedziałem cicho. - Chodź tutaj. Zrobiła jeszcze pół kroku i stanęła. Na jej twarzy pojawił się wyraz dziwnego bólu.

- Nie, Danny. Ja nie jestem taka. Nadałem głosowi ostre, gorzkie brzmienie.

- Więc jednak mnie spławiasz. - Wyjąłem z kieszeni papierosa i wsadziłem go sobie w usta. - W porządku, dziecino. Spływasz! Już się zabawiłaś.

Potarłem zapałkę i przytknąłem do papierosa. Kiedy podniosłem wzrok, jeszcze na mnie patrzyła. W jej sylwetce było dziwne napięcie, jak u szykującej się do ucieczki sarny. Uliczne światło rzucało na jej włosy niebieskie, migotliwe błyski.

Dmuchałem w jej stronę chmurą dymu.

- No, na co czekasz? Leć do domu. Twój stary czeka. Zrobiła jeszcze jeden krok w moją stronę.

- Danny, nie chcę, żeby to się tak skończyło. Nie chcę, żebyś był na mnie wściekły.

Zaczynałem być zły. Dostawałem kosza, to dostawałem i już! Nigdy się nie spodziewałem, że moja średnia trafień będzie wynosiła tysiąc punktów. Ale dlaczego ta dziewczyna robi z tego aż tak wielki problem?

- Danny, nie chcę, żeby tak się skończyło - przedrzeźniałem ją. Roześmiałem się kwaśno. - Do diabła, myślisz, że po co ja się z tobą umówiłem? Żebyś splawiła mnie na rogu? Mogę mieć furę panienek, nie muszę tracić czasu z tobą. Miała łzy w oczach.

- Myślałam, że mnie lubisz, Danny - powiedziała cichutko. - Ja ciebie lubię.

Wyciągnąłem szybko rękę, złapałem ją za ramię i wciągnąłem do słabo oświetlonej bramy. Rzuciłem papierosa na ziemię i wziąłem ją w ramiona.

Czułem sztywność jej ciała, kiedy patrzyła na mnie rozszerzonymi strachem oczyma. Ale stała nieruchomo, zupełnie nieruchomo.

- Danny!

Pocałowałem ją szybko miażdżąc jej wargi i wyczuwając twardość jej zębów. Usta miała zimne. Pocałowałem ją jeszcze raz. Były już trochę cieplejsze i lekko rozchylone. Czułem jak się poruszają i znowu ją pocałowałem. Zrobiły się zupełnie ciepłe, przywierały do moich.

Spojrzałem na nią z lekkim uśmiechem.

- To takie nieprzyjemne, Nellie? Ukryła mi twarz na ramieniu.

- Teraz pomyślisz, że jestem łatwa! - zawołała. Zdumiałem się. Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewałem.

- To po co ze mną flirtowałaś w sklepie? Znasz chyba zasady gry. Chodzisz już trochę po tym świecie. - W moim głosie brzmiała konsternacja.

Podniosła na mnie oczy, w ciemnościach wydawały się łagodne i wielkie, ale nie było w nich strachu.

- Spodobałeś mi się, Danny, dlatego. Dlatego nie poszłam do domu, kiedy mi kazałeś.

Przyglądałem się jej przez chwilę, potem poszukałem zno-

wu jej ust. Czulem jak opuszcza ją napięcie, jak się rozluźnia oddając pocałunek. Tym razem pocałowaliśmy się naprawdę. Trzymałem ją blisko przy sobie.

- Mądrze się zachowałeś - szepnąłem. - Z tą bójką i tym wszystkim. Wiedziałaś, że Spit i Solly się zgrywają. Skąd możesz wiedzieć coś takiego, skoro jesteś zielona?

- Mój najstarszy brat, Giuseppe był bokserem - odparła, nie ruszając się z moich ramion. - Nauczył mnie, jak rozpoznawać, kiedy robi się to na niby.

Nasze oczy spotkały się w ciemnościach.

- Nie bujasz? - Ostatni ślad sceptycyzmu brzmiał w moim głosie.

- Nie, Danny - zapewniła mnie.

Znowu ją pocałowałem. Tym razem było to co innego. W tym pocałunku był nowy rodzaj rozluźnienia, jakiegoś przepełnione spokojem zrozumienie. Zniknął żarliwy pośpiech.

- Lubię cię - roześmiałem się nagle. Śmieszna jesteś, ale fajna.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Już się nie gniewasz? Potrząsnąłem głową. - Nie, mała.

Tym razem to ona uniosła twarz w oczekiwaniu na moje usta. Patrzyłem na nią nie ruszając się. Miała zamknięte oczy.

- Danny - szepnęła nieśmiało. - Danny, pocałuj mnie. Jej usta były teraz inne. Nagle rozchyliły się i dziewczyna przylgnęła do mnie rozpaczliwie. Objąłem ją mocno. Zsunąłem dłoń po jej plecach, przyciskając ją do siebie. Oczy miała nadal zamknięte. Płynęliśmy jak w gęstej mgle. Zniknęła ulica, zniknęła latarnia, zniknęła brama. Wszystko odpłynęło w nicość, wszystko oprócz naporu jej ust. Zamknąłem oczy, a moje dłonie szukały ciepła jej ciała.

Jej szept zabrzmiał mi w uszach jak krzyk.

- Danny! Danny, przestań!

Chwyciła nerwowo moje dłonie, odpychając je od siebie. Złapałem ją za przeguby i przytrzymałem. Drżała ze strachu.

- Spokojnie, mała, spokojnie - powiedziałem łagodnie. - Nie zrobię ci krzywdy.

Panika opuściła ją tak nagle, jak się pojawiła i Nellie ukryła mi twarz na ramieniu.

- Och, Danny, nigdy przedtem nie czułam nic podobnego Ująłem ją pod brodę i uniosłem jej twarz. W oczach miała łzy.

- Ja też nie - powiedziałem szczerze. I tak rzeczywiście było.

Jej oczy zrobiły się wielkie i okrągłe ze zdumienia.

- Danny, czy ty... - zawahała się. - Myślisz, że może się zakochaliśmy?

Zdumiałem się. Nie miałem pojęcia. Próbowałem się uśmiechnąć.

- Być może, Nellie. Być może.

Nie zdążyłem nawet dopowiedzieć tych słów do końca, kiedy ogarnęło nas zażenowanie i odsunęliśmy się od siebie' Spuściła oczy i zaczęła poprawiać ubranie. Kiedy skończyła paliłem już papierosa. Wyciągnęła dłoń, a ja zamknąłem ją w swojej. Staliśmy tak w milczeniu, ręka w rękę, dopóki nie wypalił się papieros. Wyrzuciłem go do ścieku, spadł rozsiewając iskierki, wtedy spojrzeliśmy na siebie.

Uśmiechnąłem się.

- Hej, Nellie.

- Hej, Danny - odszepnęła nieśmiało.

Patrzeliśmy na siebie przez chwilę, a potem zaczęliśmy się śmiać. Śmiech zdawał się rozpraszać nasze zakłopotanie Pochyliłem się i całowałem ją szybko, zaciskając i rozluźniając dłonie w miarę jak nasze usta spotykały się i znowu rozdzielały.

- Mam nadzieję, że twój ojciec nie będzie wściekły - odezwałem się.

- Nie będzie - uśmiechnęła się. - Powiem mu że byłam w pracy.

Wyszliśmy z bramy i stanęliśmy na rogu ulicy pod latarnią Twarz miała zarumienioną i jasną, w oczach jakieś nowe ciepło, a kiedy się uśmiechała, białe zęby lśniły między czerwonymi wargami.

- Mówiłem ci już, że jesteś śliczna? - spytałem żartobliwie

- Nie - odparła.

- Pewnie dlatego, że nie było czasu - uśmiechnąłem się szeroko. - Więc teraz ci to mówię. Jesteś bardzo ładna Jak gwiazda filmowa.

- Och, Danny! - Jej dłoń przywarła mocno do mojej.
- Chyba musisz iść - powiedziałem poważnie. Skinęła głową.
- No więc, w takim razie dobranoc - powiedziałem, puszczając jej rękę.
- Zobaczę cię jeszcze, Danny? - szepnęła.
- Pewnie - uśmiechnąłem się szybko. - Wpadnę jutro do sklepu.

Twarz jej pojaśniała.

- Zrobię ci lody ekstra. Trzy pełne łyżki.
- Trzy łyżki! - wykrzyknąłem. - Nigdy się mnie nie pozbędziesz.

Znowu była uśmiechnięta.

- Dobranoc, Danny!
- Dobranoc, mała!

Zacząła przechodzić przez ulicę, ale zawróciła. Jej twarz wyrażała niepokój.

- Nie przyprowadzisz swoich przyjaciół, prawda? Mogliby ich złapać.
- Martwisz się o nich, Nellie? - roześmiałem się.
- Jeżeli o nich chodzi, mogą iść do diabła - powiedziała z pasją. - Martwię się o ciebie.

Nadal miała poważny wyraz twarzy.

- Danny, musisz się z nimi zadawać? Mogą cię złapać. Nie możesz znaleźć sobie pracy?
- Nie - odpowiedziałem niechętnie. - Starzy nie pozwolą mi rzucić szkoły.

Sięgnęła po moją rękę i uścisnęła ją ze zrozumieniem. W oczach miała głęboką troskę.

- Bądź ostrożny, Danny - powiedziała miękko. Uśmiechnąłem się do niej.
- Będę - obiecałem.

Weszła na chodnik i pocałowała mnie szybko. - Dobranoc, Danny.

- Dobranoc, dziecinko.

Patrzyłem jak przebiega przez ulicę i skręca do bramy. Zatrzymała się na chwilę i pomachała mi ręką. Zrobiłem to samo. Potem zniknęła na klatce schodowej.

Zrobiłem w tył zwrot i ruszyłem w dół ulicy. Czułem się

wspaniale. Tak wspaniale, że prawie zapomniałem, jak bardzo nienawidzę tutejszego życia. Aż do chwili, kiedy przeszedłszy przez Delancey Street, znalazłem się naprzeciwko sklepu taty i zobaczyłem znowu pana Golda.

4

Stał przed sklepem upychając w kieszeni skórzano-płócienny woreczek. W jednej chwili uświadomiłem sobie, co to jest. Woreczek, w którym zanosił wieczorem depozyt do banku.

Odruchowo uskokczyłem w bramę i obserwowałem go dalej. Rzut oka na zegarek powiedział mi, że do dwunastej zostało parę minut. Facet spojrzął jeszcze raz w okna sklepu i ruszył Delancey Street w stronę Essex. Wlokłem się za nim bez pośpiechu trzymając się pół przecznicy w tyle.

Z początku nie wiedziałem dlaczego to robię, ale w miarę jak za nim szedłem, uświadamiałem sobie, że istnieje powód. Skręcił w Essex i przyspieszył kroku. Przeciąłem jezdnię wciąż dotrzymując mu kroku, a pomysł, który zrodził się w mojej głowie, nabierał szybko realnych kształtów.

Wszedł do banku na rogu Avenue i First Street. Wyjął z kieszeni woreczek i wrzucił go do trezora. Potem zawrócił i ruszył dalej Avenue.

Trzymałem się za rogiem patrząc jak odchodzi. Nie interesowały mnie jego dalsze poczynania. Zapaliłem papierosa i zamyśliłem się.

Kiedy się tu sprowadziłem, miałem wrażenie, że trafiłem do innego świata. I to był inny świat. Przynajmniej inny niż ten, który znałem. Tutaj obowiązywała tylko jedna zasada: albo będziesz walczył, albo przymierał głodem. Nie było żadnej pośredniej drogi.

Dzieci wiedziały o tym nawet lepiej niż dorośli. Wy chowywano je w taki sposób, żeby mogły zacząć walczyć o siebie, jak szybko się da. Były bardziej brutalne, twarde

i cyniczne niż można sobie było wyobrazić. Tylko jedno utrzymywało mnie przy życiu. Walczyłem lepiej niż oni i szybciej też myślałem.

Jednak zajęło mi to trochę czasu. Na początku patrzyli na mnie krzywo. Nie mogli mnie rozgryźć. Po walce, w dniu, kiedy Rexie wpadła pod samochód, zaczęli odnosić się do mnie z pewnym respektem. Ale poznaliśmy się dopiero wtedy, gdy praktycznie wprowadziłem się do cukierni na rogu.

Od tego momentu miałem wolne pole do popisu. Chłopak, którego skasowałem, był szefem gangu. Teraz banda objęła się bez celu. Spit i Solly próbowali przejąć dowodzenie, ale mieli za mały autorytet. Jedynym sposobem porozumiewania się jaki znali, było bicie.

I pewnego dnia, kiedy jadłem krem jajeczny, podszedł do mnie Spit. Zalewając mnie potokami śliny zaproponował, żebym do nich przystał. Słuchałem go z dużą dozą podejrzliwości, ale po pewnym czasie dołączyłem do nich.

Czułem się zbyt samotny, musiałem mieć kogoś, z kim mógłbym się identyfikować. Równie dobrze mogliby to być Chłopcy ze Stanton Street*.

Ale głównym problemem pozostawała forsa. Atmosfera braku pieniędzy unosiła się nad dolnym East Sidem jak chorobliwe wyziewy. Mogłeś wyczuć ją wszędzie, gdziekolwiek byś się obrócił, na brudnych ulicach, w oklejonych reklamami sklepach, w zaniedbanych kamienicach. I mogłeś ją też wszędzie usłyszeć, w krzykliwym zawodzeniu ulicznych handlarzy na Rivington, w zawziętych targach o każdy cent przy sklepowych ladach.

Miałeś w kieszeni dolara, to byłeś królem, nie miałeś - szukałeś kogoś, kto miał i chciał ci postawić. Ale królowie nie mieszkali już na East Endzie, a jeżeli nawet, to tylko tacy, którzy potrafili wycisnąć z powszechnej nędzy tyle grosza, żeby urządzić sobie wygodne życie.

Tych było wielu - bukmacherów, lichwiarzy, drobnych kryminalistów. To byli ci kuci na cztery nogi bohaterowie. Ci, którym zazdrozczono, twardziele, którym udało się prze

*** Chłopcy ze Stanton Street - największy gang młodzieżowy w Nowym Jorku w latach trzydziestych**

zyc Ich stawialiśmy sobie za wzór, oni byli dla nas jednostkami wybitnymi. Takimi ludźmi chcieliśmy być Nie pechowcami, jak nasi ojcowie, którzy wypadli z gry ponieważ me potrafili przystosować się do nowych czasów Nasi ojcowie byli ludźmi dolnego East Endu. Nie mieliśmy zamiaru upodabniać się do nich, jeśli można było tego uniknąć. Byliśmy od nich mądrzejsi. Szykowaliśmy się, by zostać Królami. Bo gdy już zostanę królem, odkupię dom w Brooklynie i wyniosę się z tego zakazanego miejsca

Szedłem spacerkiem w stronę domu. Spit pytał, co będziemy robie dalej. Wtedy jeszcze nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że cała robota w „5 & 10” nie była warta zachodu Ale teraz miałem pewien pomysł. W tym skoku mógłbym upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Postanowiłem wpaść do cukierni przed powrotem do domu i omówić pomysł ze Spitem i Sollym.

Wierciłem się niespokojnie na łóżku. Byłem zbyt podekscytowany żeby spać. Na ulicy pod oknem odezwał się hałaśliwie klakson. Wstałem cicho i usiadłem przy oknie Zapaliłem papierosa i wyjrzałem na ulicę.

Na dole stała śmieciarka. Dobiegł mnie cichy, metaliczny dźwięk pojemników na śmieci ocierających się o samochód przy opróżnianiu. Przypomniałem sobie wyraz twarzy Spita kiedy wyjaśniałem im na czym polegałaby robota '

Miał pietra. Ale Solly się napalił i to go przekonało. Mogliśmy załatwić to w trójkę. Najpierw jednak należało sprawdzić trasę Golda; to było ważne.

Przez parę nocy z rzędu jeden z nas będzie musiał śledzić go przez całą drogę, od momentu wyjścia ze sklepu żeby upewnić się co do jego zwyczajów. A potem wystarczy wybrać odpowiednią noc i wykonać skok.

Powiedziałem im, że jest w tym dla nas parę setek Wszystko, co należało zrobić, to ogłuszyć dziada i zgarnąć forszę Rzecz była pewna. Nie powiedziałem im, że mój ojciec pracuje w sklepie. Nie ich interes. Dziewczęcy głos dobiegający zza okna przypomniał mi

o Nellie. Była dziwna, jak na Włoszkę. Byli zazwyczaj krzykliwi, twardzi i od razu się wiedziało, skąd pochodzą już w momencie kiedy otwierali usta, ale ona była inna. Cicha, delikatna i miła.

Ona też mnie polubiła. Wiedziałem o tym. Dziwne, jak to się w życiu układa. Bierzesz panienkę na randkę w konkretnym celu i nagle okazuje się, że sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Panienka jest na poziomie i naprawdę ją lubisz. I nie chcesz zrobić nic, co mogłoby zniszczyć jej sympatię do ciebie.

To było dziwne. Nigdy przedtem nie czułem nic takiego wobec żadnej dziewczyny. Przypomniałem sobie jak powiedziała: „Może się zakochaliśmy”. Może i tak. Tego co czułem, nie dawało się wyjaśnić w żaden inny sposób. Nie spotkałem dotąd dziewczyny, którą wystarczyło trzymać w ramionach, rozmawiać z nią i być blisko niej, żeby czuć się wspaniale. Może miała rację.

Zza okna dobiegł znów tamten dziewczęcy głos. Wyciągnąłem szyję, żeby zobaczyć jego właścicielkę, ale ulica była pusta. Było w tym głosie coś znajomego, znałem go, ale słyszany z okna brzmiał dziwnie.

Znowu coś mówiła. Tym razem udało mi się umiejscowić dźwięk. Dochodził z dachu nad moją głową. Spojrzałem w górę. Zobaczyłem błysk papierosa nad parapetem. I wtedy poznałem właścicielkę głosu. To była Mimi. Zaciekało mnie, co może robić na dachu o tej porze. Minęła pierwsza. Potem przypomniałem sobie, że wspominała coś o randce z facetem ze swojego biura, na którego była napalona - Geor-gem jakimś tam. Robiłem jej wyrzuty, że umawia się z palantem, urzędasem i rozzłościła się na mnie.

- Jest lepszy od tych twoich meneli, z którymi się włóczysz - odcięła się.

Postanowiłem pójść na górę i zobaczyć co Jej Wysokość tam porabia. Doskonale wiedziałem, że jeżeli idzie się na dach w tej części miasta, to z pewnością nie po to, żeby oglądać gwiazdy. Wskoczyłem w spodnie i wyszedłem cicho z pokoju.

Drzwi na dach były otwarte, ukryłem się w ich cieniu

i spojrzałem na skraj dachu. Była tam, a jakże. Razem z facetem. W piekielnym zwarciu.

Oderwali się od siebie i w świetle księżycy zobaczyłem

twarz Mimi. Wstrzymałem oddech. Nie wyglądała teraz na świętoszkę. Facet mówił coś cicho. Nie rozróżniałem słów, ale wyglądało na to, że ją o coś błaga. Mimi potrząsnęła głową odmownie i facet zalał ją nowym potokiem słów. Znowu potrząsnęła głową i powiedziała:

- Nie, George, zapomnij o małżeństwie. Bardzo cię lubię, ale jestem już zmęczona ciągłym martwieniem się o pieniądze, a my mielibyśmy dokładnie to samo. Nie chcę tego.

Uśmiechnąłem się do siebie. Mimi nie była głupia. Dolar pozostawał dolarem. A przy tym, myśl o jej małżeństwie wydała mi się zabawna. To mi uświadomiło, że jest w pełni dorosła, i dzieciństwo ma za sobą.

Facet ją znowu przyciągnął. Powiedział coś, a potem ją pocałował. Patrzyłem na nich z uśmiechem. Mimo że zgrywała się na cnotkę, to kiedy przychodziło do padania w ramiona, wiedziała dokładnie jak się to robi. Miałem wrażenie, że nie jest to jej pierwszy wypad na dach. Odwróciłem się cicho i zszedłem do siebie.

Mniej więcej po piętnastu minutach usłyszałem odgłos otwieranych drzwi i wyszedłem na korytarz. Zamykała ostrożnie za facetem i na mój widok wzdrygnęła się gwałtownie.

- Co tu robisz, Danny? - zapytała zaskoczona.

Nie odpowiedziałem, stałem tam po prostu szczerząc do niej zęby w uśmiechu.

Popatrzyła na mnie z gniewem. - Co cię tak bawi?

- Masz rozmazaną szminkę - poinformowałem ją uśmiechając się jeszcze szerzej i bardziej znacząco.

Podniosła rękę do ust.

- Nie kładziesz się spać po to, żeby mnie szpiegować!

- E tam! - potrząsnąłem głową. - Ty i twój chłopak robiliście tyle hałasu na dachu, tuż nad moją głową, że nie mogłem spać.

- Masz brudne myśli - rzuciła mi w twarz.

- Doprawdy? - zapytałem, nie przestając się uśmiechać. Wskazałem palcem na jej sukienkę.

Spojrzała po sobie oczami rozszerzonymi zdumieniem. Cały przód sukienki pokrywały ślady po szmince. Podniosła na mnie oblaną rumieńcem twarz.

- Posłuchaj rady swojego małego braciszka, skarbie - powiedziałem. - Następnym razem, zanim weźmiesz się za poważny seks, zetrzyj szminkę. To się nie spiera i będziesz miała kieckę z głowy.

Zacisnęła usta z furią. Była zbyt wściekła, żeby się odciąć. Uśmiechnąłem się jeszcze raz i wróciłem do swojego pokoju.

- Dobranoc, Mimi - powiedziałem przez ramię. - Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem.

5

Siedzieliśmy już przy śniadaniu, kiedy do kuchni wszedł tato. Podniosłem na niego wzrok. Wyglądał na krańcowo wykończonego. Upokorzenia wryły na jego okrągłych niegdyś policzkach ostre bruzdy bólu i zniechęcenia.

Owładnęło mną bolesne poczucie solidarności z tym człowiekiem. Duma, którą nosiłem w sobie, została zraniona powolnym rozpadem jego własnej. Wstałem.

- Proszę, tato - powiedziałem szybko. - Usiądź tu, przy oknie. - Było to najwygodniejsze miejsce w kuchni.

Wolno osunął się na krzesło. Spojrzał na mnie z wdzięcznością.

- Dziękuję, że wczoraj wieczorem przyniosłeś mi kolację powiedział ze znużeniem. - Byłem zajęty i nie widziałem, jak przyszedłeś.

Skinąłem głową.

- Sprzedawca mi powiedział - odparłem nie chcąc ranić jego uczuć. Nie byłby zadowolony, gdybym się przyznał, że słyszałem piekłącego się Golda. Wiedziałem o tym.

Mama postawiła przed nim talerz płatków owsianych.

- Dlaczego sobie dłużej nie pośpisz, Harry? - zapytała zatroskana.

Podniósł na nią oczy. - Jak można spać w dzień? Nie mogę się do tego przyzwycząić.

- Mimo to powinienes odpocząć, Harry - stwierdziła mama. - Ciężko pracujesz.

Nie odpowiedział, wziął do ręki łyżkę i zaczął jeść, ale bez apetytu i po chwili odsunął talerz.

- Daj mi tylko kawy, Mary - poprosił zmęczonym głosem. Mama postawiła przed nim kubek z kawą.

- Miałeś wczoraj dużo roboty? - zapytała.

- Głównie z Goldem - odrzekł nie podnosząc głowy. Potem spojrzał na mnie uświadamiając sobie, co powiedział. Widziałem, że zastanawia się, jak dużo wiem.

Twarz miałem bez wyrazu. Jeżeli o niego chodziło, byłem ślepy, głuchy i niedorozwinięty.

- Co to za facet, ten Gold? - zapytałem patrząc w talerz. Czuję na sobie jego wzrok.

- Dlaczego pytasz?

Nie podniosłem głowy. - Po prostu z ciekawości - odparłem. Nie mogłem powiedzieć mu prawdy.

Tato zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział dobierając starannie słowa.

- Jest w porządku, tylko bardzo nerwowy. Ma kupę roboty, mnóstwo spraw na głowie.

Wsadziłem sobie do ust następną łyżkę płatków.

- Lubisz dla niego pracować, tato? - zapytałem tak zdawkowo jak tylko mogłem.

Nasze oczy się spotkały, spuścił wzrok na kubek z kawą.

- Robota jak robota - odpowiedział wymijająco.

- Jak to się stało, że został szefem? - spytałem.

- Facet, który był przed nim, zachorował i musiał odejść. Gold pracował wtedy na moim miejscu jako jedyny farmaceuta, więc naturalnie awansował.

Spojrzałem na niego z zaciekawieniem. To był interesujący aspekt sprawy.

- Jeżeli odejdzie, ty dostaniesz jego robotę? Tato roześmiał się niepewnie.

- Nie wiem, ale prawdopodobnie tak. Naczelny mnie lubi.

- Kto to jest?

- Szef całej sieci drogerii. Z głównego biura.

- To znaczy, że jest także szefem Golda? - pytałem dalej. Skinął głową twierdząco.

- Golda też - spojrział na mnie z zaciekawionym uśmiechem. - Stawiasz za dużo pytań - zbeształ mnie. - Myślisz o tym, żeby popracować latem w sklepie?

- Może - odparłem wymijająco.

- Nie będziesz pracował dla pana Gottkina na wsi? - zapytał.

- Nie wiem - wzruszyłem ramionami. - Nie mam jeszcze od niego żadnych wiadomości.

I byłem tym rozczarowany. Miałem nadzieję, że Sam odezwie się do tego czasu, chyba że ta historia z panną Schindler zeszłego lata dotknęła go bardziej, niż dał to po sobie poznać.

- Dlaczego sam do niego nie napiszesz? - zapytała mama.

- Dokąd? Nie wiem nawet gdzie on jest. Ciągle gdzieś jeździ. Jak go znam, mógł już zwinąć cały interes. - Nie mogłem im powiedzieć, jaki jest prawdziwy powód przerwy w korespondencji.

W tym momencie do kuchni wpadła Mimi.

- Mam czas tylko na kawę - zawołała. - Spóźnię się do pracy.

Mama pokiwała głową.

- Nie wiem co się z wami dzieje, siedzicie do późnej nocy, a potem nie możecie wstać.

- Ale ja wiem - powiedziałem, uśmiechając się szeroko na wspomnienie ostatniej nocy. - Mimi ma absztyfikanta.

Tato spojrział na nią z zaciekawieniem.

- Miły chłopak, Mimi? - zapytał. Odpowiedziałem, zanim miała szansę otworzyć usta.

- Cwok - powiedziałem szybko. - Świr z jej biura.

- Żaden świr! - odcięła się ze złością. - Naprawdę tato, to fajny chłopak. Studiuje wieczorowo.

- Aha - drażniłem się z nią. - Na Uniwersytecie Blaszanego Dachy.

Odwróciła się do mnie z furją.

- Zamknij się - warknęła. - Ma przynajmniej tyle rozumu, żeby nie sterczeć przed cukiernią przez całą dobę tak jak ty. Będzie kimś, nie ulicznym menelem.

Mama wyciągnęła rękę łagodzącym gestem.

- Nie mów tak do brata. To nieładnie.

Mirra zwróciła się do niej z gniewem. W jej głosie brzmiała furia.

- Dlaczego nie?! - zapytała prawie krzycząc. - Kim on jest?! Panem Bogiem? Za kogo on się uważa, że nikt nie ma odwagi powiedzieć mu, co myśli? Odkąd się tu wprowadziliśmy, jest tylko Danny to, Danny tamto. Kiedy on zmienił szkołę, wszyscy uważali, że to straszne, ale kiedy ja musiałam zrobić to samo, na dodatek w ostatniej klasie, nikt nie powiedział ani słowa. A może próbuje pracować po szkole albo robić cokolwiek? Wie, jak bardzo potrzebujemy pieniędzy, ale nawet palcem nie kiwnie, żeby trochę pomóc i nikt mu nic nie powie. Wszyscy się boją, żeby nie zranić jego uczuć. A on dniami i nocami wystaje przed cukiernią z bandą obiboków i przychodzi do domu tylko po to, żeby się najeść i wyspać, jak król. Jest obibokiem, niczym więcej i już czas najwyższy, żeby mu to ktoś powiedział.

- Mimi, zamknij się!

Tato zerwał się na nogi z pobladłą twarzą. W spojrzeniu którym mnie obrzucił, było poczucie winy.

Mimi utkwiała w nim wzrok, w oczach miała łzy gniewu-potem odwróciła się w moją stronę. Wpatrywała się we mnie przez chwilę, później wykręciła się na pięcie i wybiegła z kuchni płacząc.

Tato usiadł ciężko i spojrział na mnie. Mama też nie odrywała ode mnie wzroku. Czekali, aż się odezwę, ale ja nie miałem nic do powiedzenia.

W końcu przemówił tato, głos miał poważny.

- Tak zupełnie bez racji to ona nie jest, Danny - rzekł łagodnie.

Nie odpowiedziałem. Milczałem zawzięcie.

- Ci chłopcy z cukierni to nie są porządni koledzy - ciągnął tato. ¹

Odsunąłem talerz i wstałem od stołu.

- Nie wybierałem tej dzielnicy. To nie moja wina że przeprowadziliśmy się tutaj. Chcecie, żebym został pustelnikiem, ponieważ Mimi nie aprobuję moich przyjaciół¹?

Tato potrząsnął głową.

- Nie, ale czy nie mógłbyś znaleźć sobie innych kolegów'? Popatrzyłem na niego. To było bez sensu. On nigdy nie

zrozumie. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Przepaść między nami, którą odczułem w dniu przeprowadzki, jeszcze się pogłębiła. I było już za późno, by ją zasypać.

- Nie mam tu innych kolegów - powiedziałem apatycznie.

- Więc może jest coś, czym mógłbyś się zająć? - upierał się. - Musi być coś takiego.

Potrząsnąłem stanowczo głową.

- To nie jest coś, czym ja mógłbym się zająć, tato - powiedziałem zimno. - Tylko ty możesz to zrobić.

- Co takiego? - zapytał.

Mama podeszła do mnie. - Tak, co takiego? - powtórzyła za nim.

- Odzyskaj mój dom - powiedziałem wolno. - Ty go straciłeś, ty go odzyskaj. Może wtedy będziemy mogli zacząć wszystko od początku.

Patrzyłem, jak wzmagą się ból w ich oczach, aż poczułem, że nie zniosę tego ani chwili dłużej. Wtedy wyszedłem z domu.

Zauważyła mnie natychmiast, kiedy tylko stanąłem w drzwiach. Nie spiesząc się szedłem wzdłuż kontuaru do jej stanowiska. Widziałem jak zerka pospiesznie w lustro za sobą i poprawia włosy. Usadowiłem się na stołku, a ona odwróciła się do mnie z uśmiechem.

- Cześć, Danny - szepnęła nieśmiało. Widziałem jak rumieniec zalewa jej szyję i ogarnia twarz.

- Cześć, Nellie! - szepnąłem. - Ojciec był wściekły? Potrząsnęła głową.

- Uwierzył mi - odszepnęła. Nagle spojrzała w górę nad moją głową. W lustrze dostrzegłem idącego w naszą stronę kierownika.

- Lody czekoladowe z wodą sodową - powiedziała szybko urzędowym tonem. - Już, proszę pana.

Odwróciła się i wzięła szklankę z półki. Uśmiechnąłem się do niej w lustrze. Kierownik przeszedł nie obdarzywszy nas nawet spojrzaniem. Odetchnęła z ulgą i zajęła się szykowaniem lodów.

Potem postawiła je przede mną na ladzie.

- Twoje włosy są takie jasne, że prawie białe - wyszeptała. - Śniłam o tobie w nocy.

Spojrzałem na nią kpiąco. Nieźle ją wzięło. Ale czułem się mile połączony.

- Przyjemny sen? - zapytałem, zanurzając słomkę w wodzie sodowej.

Skinęła głową, w jej oczach czaiło się podniecenie.

- Myślałeś o mnie?

- Trochę - przyznałem.

- Chcę, żebyś o mnie myślał - powiedziała szybko. Gapilem się na nią. Miała pociągającą twarz, pełną ciepła. Makijaż delikatniejszy niż wczoraj. Dzisiaj wyglądała młodziej. Zaczynała się rumienić pod moim spojrzeniem.

- Spotkamy się dzisiaj? - zapytała z gotowością. Skinąłem głową.

- W tym samym miejscu.

Zobaczyłem kierownika idącego znowu w naszą stronę.

- To będzie dziesięć centów - powiedziała swoim urzędowym tonem.

Moja dziesięciocentówka zadzwoniła o kontuar, zgarnęła ją szybko. Nacisnęła klucz kasy, odezwał się dzwonek i wysunęła szufladka. Wrzuciła do niej monetę i zamknęła. Kierownika już nie było. Odwróciła się znowu do mnie.

- O dziewiątej - szepnęła.

Jeszcze raz skinąłem głową, a ona zwróciła się do następnego klienta. Skończyłem szybko swoje lody i opuściłem sklep.

Szliśmy w trójkę Delancey Street. Solly włókł się za nami ociężale, słuchając tego, co mówiłem do Spita. Przed drogerią kazałem im się zatrzymać.

- To tutaj - powiedziałem.

W głosie Spita było zdziwienie. - To jest ta nora, gdzie pracuje twój stary - powiedział.

Teraz ja z kolei poczułem się zaskoczony. Nie sądziłem,

że on wie. A powinienem był się tego spodziewać, w tej dzielnicy nie było tajemnic.

- Więc co z tego? - zapytałem wojowniczo.

- A leżeli on coś przewącha? - zapytał nerwowo Spit.

- Na jakiej podstawie? - odparowałem. - Nawet me przyjdzie mu to do głowy.

- Ale to jest prawdziwa robota - upierał się Spit. - I już nie są duperele. Jeżeli dostaną cię gliny, zamkną cię w ciupie, a klucz wyrzucą za okno.

Wolicie obrabiać „5 & 10” za darmo? - zapytałem sarkastycznie - czy szukacie prawdziwej forsy? W końcu odezwał się Solly.

_ Danny ma rację. Do diabła z partanią. Jeżeli o mnie chodzi, to się zgadzam.

Spojrzałem na niego z wdzięcznością. Zatrzymaliśmy się dopiero na następnym rogu. Odwróciłem się, żeby stanąć ze Siitem twarzą w twarz.

- Przestań chrząć. Wchodzisz, czy nie? – zapytałem beznamiętnie. Spit przeniósł wzrok ze mnie na Solly'ego.

Patrzyliśmy na niego nieruchomym wzrokiem. Zacerwienił się

_ W porządku - powiedział szybko. - Wchodzę.

Czułem jak twarz odpręża mi się w uśmiechu. Trzepnąłem Spita po ramieniu.

- Dobry chłopak - powiedziałem miękko. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. - Słuchajcie, rozpracujemy to w następujący sposób...

Staliśmy na rogu omawiając robotę. Wokół nas kłębił się dolny East End. Parę metrów dalej stał gliniarz, ale nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. My na niego też nie. Nie miał powodu, żeby nas niepokoić. W tej dzielnicy chłopaki zawsze wystawały na rogach ulic, tak miało być po wsze czasy. Nie był w stanie łączyć za każdym z nich. Nie starczyłoby mu czasu na nic innego.

Mżył deszcz i kuliliśmy się w bramie naprzeciwko domu Nelhe. Przywykliśmy uważać ten azyl za własny i oburzaliśmy się na każdego, kto podchodził za blisko naruszając nasze prawa. Czulem na ustach smak jej warg, ale teraz staliśmy spokojnie obejmując się ramionami, patrząc na mokre, ciemne ulice. Jej głos zdawał się odpływać w noc.

- W przyszłym tygodniu będzie już czerwiec. Skinąłem głową i spojrzałem jej w twarz.

- No tak - powiedziałem.

Popatrzyła na mnie z pewnym onieśmieleniem.

- Znam cię dopiero trzy tygodnie, a wydaje mi się, jakbym cię znała całe życie.

Uśmiechnąłem się do niej. Odnosiłem takie samo wrażenie. Dobrze się czulem, kiedy była blisko. Prawie tak, jakbym odzyskał dom.

- Lubisz mnie, Nellie? - szukałem potwierdzenia. Jej oczy były teraz pełne światła.

- Czy cię lubię? - szepnęła miękko. - Szaleję za tobą Kocham cię, Danny. Kocham cię tak bardzo, że aż się boję.

Pocałowałem ją.

- Ja też cię kocham – szepnąłem.

Wydała cichy okrzyk z głębi piersi i przyciągnęła mnie do siebie.

- Och, Danny! - zawołała. - Chciałabym, żebyśmy byli starsi i mogli się pobrać!

Nie mogłem się pohamować, w pierwszym momencie wydało mi się to takie zabawne. Usta zadrżały mi ze śmiechu. Odsunęła się.

- Śmiejesz się ze mnie! Potrząsnąłem głową tłumiąc śmiech.

- Nie śmieję się, laleczko. Naprawdę. Myślałem tylko co powiedziałaby na to twój stary.

Znowu mnie przyciągnęła.

- Kogo to obchodzi, co on powie, kiedy będziemy już po ślubie?! - szepnęła namiętnie.

Pocałowałem ją i mocno przytuliłem. Czułem jak drży w moich ramionach.

- Przytul mnie, Danny - zawołała bez tchu. - Przytul. Uwielbiam, kiedy trzymasz mnie w ramionach. Uwielbiam dotyk twoich rąk. Nie obchodzi mnie, że oni nazywają to grzechem.

Spojrzałem na nią zdumiony.

- Grzechem? - zapytałem. - Kto?

Podniosła na mnie wielkie, ciemne oczy przyciskając jednocześnie moje ręce do swoich piersi.

- Naprawdę nie dbam o to, Danny - odpowiedziała żarliwie. - Nawet jeżeli mówi to Ojciec Kelly. Przyjmę każdą pokutę, jaką mi wyznaczy, dopóki będziesz mnie kochał.

Byłem wstrząśnięty.

- Co Ojciec Kelly ma z tym wspólnego? - Po raz pierwszy pomyślałem o różnicy wyznań.

Spojrzała na mnie ufnie.

- Nie powinnam tego mówić, ale co tydzień, po spowiedzi robi mi wykład na twój temat.

- Mówisz mu o nas? - zapytałem ciekawie. - I co on na to? Oparła mi głowę na ramieniu.

- Mówi, że to jest złe i muszę z tym skończyć - odpowiedziała cicho. - I że z tobą to jest jeszcze większy grzech.

- Dlaczego ze mną? - zapytałem czując już lekki gniew.

- Ponieważ nie jesteś katolikiem. Mówi, że nigdy nie będziemy mogli się pobrać. Żaden kościół nas nie przyjmie.

Według niego nie powinnam zawracać sobie tobą głowy i znaleźć jakiegoś miłego, katolickiego chłopca.

- Sukinsyn - powiedziałem z goryczą. Spojrzałem w stronę jej domu. Czy nie powinno mu być wszystko jedno, co ona robi?

- A jeżeli on poskarży twojemu ojcu? - zapytałem z niepokojem. Wydawała się zaskoczona moim pytaniem.

- Nigdy by tego nie zrobił! - odparła szybko i wyglądała na zszokowaną. - Ksiądz nigdy by nie powiedział. To, co mu się mówi, jest przeznaczone tylko dla uszu Boga. On jedynie wysłuchuje spowiedzi. Myślałam, że wiesz o tym.

- Nie wiedziałem - mruknąłem. Jej stosunki z księdzem

nadal mnie ciekawiły. - Co on ci każe robić, kiedy mówisz mu o nas?

- Muszę się modlić i odprawiać pokutę przed Matką Boską. Potem jestem już w porządku.

- Nie karze cię? - zapytałem. Wyglądała na zakłopotaną.

- Nie rozumiesz, Danny - odparła. - On tylko próbuje uświadomić człowiekowi popełnione zła i nakłonić go do skruchy. Kiedy żałujesz, to znaczy, że już zostałeś ukarany.

Zacząłem się śmiać. To było głupie.

- Żałujesz? - zapytałem. Popatrzyła na mnie z poczuciem winy.

- Nie, wcale nie żałuję - powiedziała zmartwionym głosem. - Może dlatego wydaje mi się, że jest coś złego w tym wszystkim. Sądzę, że nigdy nie zostanie mi to odpuszczone.

Przyciągnąłem ją do siebie ze śmiechem.

- Wobec tego nie przejmuj się tym, skarbie - powiedziałem. - Nic nie może być złe, dopóki się kochamy.

Chciałem ją pocałować, ale usłyszałem zbliżające się kroki. Oderwaliśmy się od siebie pospiesznie.

Mężczyzna minął bramę nie rozglądając się na boki. Spojrzałem na zegarek.

- Jezus, Maria, już po jedenastej! Lepiej leć, bo twój stary rozsadzi dom.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Nie chcę iść, Danny. Chcę zostać tutaj z tobą na zawsze.

Odwzajemniłem uśmiech. Ja także nie chciałem, żeby odchodziła, ale na dzisiejszą noc miałem inne plany. Zdecydowaliśmy ostatecznie, że odwalimy robotę tej nocy. Spit i Solly mieli czekać na mnie przed sklepem o wpół do dwunastej.

- No, leć - powiedziałem lekko, co kosztowało mnie trochę wysiłku. - Muszę wracać do domu, nawet jeżeli ty nie musisz.

Przechyliła się do mnie.

- No dobrze, Danny - pocałowała mnie. - Jutro wieczorem?

Uśmiechnąłem się.

- Jutro wieczorem.

Przeszła przez ulicę. Patrzyłem jak wchodzi do domu

i zatrzymuje się w drzwiach, żeby mi pomachać. Też jej pomachałem i zniknęła we wnętrzu domu. Zerknąłem jeszcze raz na zegarek. Było dwadzieścia pięć po jedenastej. Będę musiał nieźle pedałować, żeby zdążyć na czas. Ruszyłem biegiem, ale zaraz zwolniłem. Facet biegnący ulicami w środku nocy wzbudza za duże zainteresowanie bliźnich.

Solly czekał na rogu, naprzeciwko drogerii.

- Gdzie Spit? - zapytałem lekko zdyszany. Solly wskazał ręką. - Tam.

Spit sterczał na przeciwległym rogu szczerząc do mnie zęby w uśmiechu. W drogerii po drugiej stronie ulicy widać było Golda, stał na środku i mówił coś do ojca. Tato słuchał z widocznym- przygnębieniem. Prawdopodobnie ten sukinsyn znowu robi staremu piekło, pomyślałem z goryczą. Zwróciłem się do Solly'ego.

- Mam nadzieję, że stary nie pójdzie z nim dzisiaj, bo musielibyśmy odłożyć robotę do przyszłego tygodnia.

To właśnie wstrzymywało nas tak długo. W niektóre noce ojciec odprowadzał Golda aż do banku. Już dwa razy byliśmy gotowi do akcji i w obu wypadkach musieliśmy ją odwołać.

Oczy Solly'ego były nieprzeniknione.

- Zobaczymy - powiedział zwięźle.

Popatrzyłem na niego. Solly był w porządku. Nie mówił wiele, ale mogłem na nim polegać. Odwróciłem się w stronę sklepu i czekaliśmy dalej w milczeniu.

Gold ciągle rozmawiał z ojcem. Mówiąc wymachiwał rękami. Robił to bez chwili przerwy, wskazując na przemian to w jedną, to w drugą stronę. Wyglądał na ogólnie zde gustowanego. Tato stał słuchając cierpliwie i w sposobie w jaki opuścił ramiona widać było rezygnację. Dostawało mu się. Nie było wątpliwości. Zacisnąłem usta z pasją. Panu Goldowi odechce się rozmów, kiedy załatwimy się z nim dzisiejszej nocy.

Solly dotknął mojego ramienia.

- Szykuje się do wyjścia!

Wyciągnąłem szyję, żeby zobaczyć, co robi. Zostawił ojca i zbliżył się do kasy. Pokazywał na nią palcem, mówiąc coś szybko. Tato podszedł do niego bez pośpiechu, zajrzał do środka i skinął głową. Gold wyszedł zza lady i ruszył w stronę drzwi, a ojciec został przy kasie z wyrazem zmęczenia na twarzy. Odwróciłem się szybko do Solly'ego.

- Pamiętasz, co ci mówiłem? - W moim głosie był tylko lekki ślad podniecenia.

Skinął głową.

- Pamiętam.

- Okay - powiedziałem pospiesznie. - Dawaj pałkę. Wyciągnąłem rękę i Solly podał mi szybko pałkę, a ja wsunąłem ją do kieszeni i przeszedłem na drugą stronę ulicy.

- Ruszamy, chłopcze - powiedziałem, zgarniając Spita na rogu.

Zrobiliśmy w tył zwrot, ruszając w stronę przeciwną niż Gold. Na rogu obejrzelśmy się za siebie.

Gold skręcał właśnie w Essex. Solly, tuż za nim, wyglądał, jakby wracał do domu z nocnego seansu w kinie.

Zauważył, że na niego patrzymy i zrobił nieznaczny gest dłonią; kciuk i wskazujący palec zamknęły się w literę O.

Okay. Przesłałem mu taki sam gest i po chwili szliśmy szybko Ludlow Street, równoległą do Essex. Spieszyliśmy się, oddychając ciężko z podniecenia. Spojrzałem na Spita.

- Wszystko jasne?

- Tak, Danny. Jasne.

Twarz Spita była kompletnie mokra, aż do podbródka. Idąc ocierał ją rękawem.

Skinąłem głową i jeszcze przyspieszyliśmy kroku. Nie było czasu do stracenia. Minęliśmy trzy, przecznice zanim wyszliśmy na otwartą przestrzeń przed Houston Street. Spojrzałem na Spita. To było tu. Plac rozciągał się aż do Essex. Zaczynałem się bać. Niejasno pożałowałem, że wdałem się w tę całą sprawę. Potem przypomniałem sobie, jak Gold traktował mojego ojca.

- To już mój teren - powiedziałem. Głos zdawał się dzwonić mi w uszach.

Spit uśmiechnął się szeroko.

- Powodzenia!

Poklepałem go po plecach i spróbowałem się uśmiechnąć. Nie wiem, jak mi to wyszło, w każdym razie Spit odwrócił się i ruszył dalej w stronę skrzyżowania. Patrzyłem jak niknie za rogiem, a potem zanurzyłem się w mrok zalegający plac.

Stałem w ciemnościach opierając się plecami o ścianę budynku. Serce waliło mi tak głośno, że jego łomot słychać było pół przecznic dalej. Wstrzymałem oddech, żeby je uciszyć. Ale to zdawało się tylko pogarszać sprawę. Sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem pałkę i poklepałem się nią lekko po ręce, żeby wyczuć jej ciężar. Wydawała przytłumiony, głuchy odgłos. Dłonie mi zwilgotniały, wytarłem je o spodnie.

Zaczynałem się poważnie niepokoić. A jeżeli coś nawali? Dlaczego ich jeszcze nie ma? Miałem ochotę wychylić głowę zza węgła, by zobaczyć czy nie nadchodzą, ale nie śmiałem ryzykować. Wziąłem głęboki oddech. Przestań się denerwować, powiedziałem do siebie ze złością. Nic nie miało prawa nawalić. Wszystko było zapięte na ostatni guzik.

Sprawa była prosta. Za prosta, żeby mogła się nie udać. Solly kroczy za Goldem. Widzi każdego, kto idzie z przeciwnej strony. Spit wychodzi im na spotkanie. Widzi każdego, kto znajduje się za nimi. W razie najmniejszego niebezpieczeństwa wpadki, zaczynają gwizdać i wtedy przepuszczam Golda. Tylko tyle. Nic nie miało prawa nawalić. Oparłem się o mur obserwując odległy narożnik, skąd miał przyjść pierwszy sygnał od Spita, że nadchodzą. Sekundy zdawały rozciągać się w nieskończoność. Znowu zacząłem się denerwować. Marzyłem o papierosie. Wbiłem wzrok w ciemność; ktoś szedł chodnikiem w moją stronę.

To był Spita, szedł po swojemu, powłócząc zabawnie nogami. Nagle przestałem się denerwować i ogarnął mnie spokój. Było już za późno na odwrót. Pozwoliłem, żeby pałka spoczęła luźno w mojej dłoni i czekałem uniesiony na palcach, gotowy ruszyć na sygnał.

Zacząłem wolno liczyć, jakbym chciał ustalić rytm uderzeń w worek treningowy; raz, dwa, trzy, cztery, raz, dwa... Spita podniósł dłoń do policzka. Przesunąłem się szybko na róg. Na linii muru ukazał się Gold. Wyśliznąłem się za nim bezszelestnie.

Opadająca pałka mignęła w ciemnościach rozmazaną smugą. Rozległ się głuchy, obrzydliwy dźwięk, Solly złapał osuwające się ciało i powłókł je w mrok placu.

Gold leżał cicho na ziemi, a my staliśmy patrząc na niego z góry. W głosie Spita był strach; opluł mi dokładnie twarz.

- Może wy ki to wał!

Czułem, jak serce skacze mi do gardła w nagłym przerażeniu; przyklęknąłem i wsunąłem rękę pod kamizelkę Golda. Z ulgą wyczułem bicie serca. Cofnąłem dłoń i delikatnie przesunąłem palcami po jego głowie. Nie było ran ani krwi.

Miałem szczęście. Żadnych wstrząsów mózgu, żadnych złamanych kości. Nad moją głową rozległ się głos Solly'ego.

- Przestań się wydurniać - powiedział beznamiętnie. - Zabieraj forszę. Nie będziemy tu sterczeli całą noc!

To rozproszyło mój niepokój. Solly miał rację. Nie po to robiliśmy skok, żebym mógł pobawić się w doktora.

Obmacałem szybko kieszenie Golda i znalazłem woreczek z pieniędzmi w momencie, kiedy Spit przyklękał obok mnie. Majstrował przy przegubie Golda.

- Co robisz? - warknąłem.

- Zabieram zegarek. Cacuszko!

Odepchnąłem jego rękę. Byłem znów sobą. I mogłem znowu myśleć, teraz, kiedy przestałem się bać.

- Idiota! Zostaw to! Chcesz, żeby cię gliny namierzyły, jak tylko się z tym pokażesz?

Spit podniósł się pomrukując. Jeszcze raz wsunąłem dłoń pod kamizelkę Golda. Serce biło już mocniej. Cofnąłem rękę i wstałem.

- W porządku - szepnąłem. - Spływamy.

Zanim zdążyłem zrobić krok, czyjaś ręka złapała mnie nagle za nogę. Głos Golda rozbrzmiewał na pustym placu z ostrością syreny alarmowej.

- Ratunku! Policja!

Spit i Solly ruszyli biegiem. Spojrzałem w dół dzikim wzrokiem. Gold trzymał mnie oburącz za nogę, wrzeszcząc ile sił w płucach. Powieki miał kurczowo zaciśnięte.

Rozejrzałem się w panice. Spit i Solly ginęli właśnie z pola widzenia na Essex. Teraz dopiero serce waliło mi naprawdę. Próbowałem się poruszyć, ale nie mogłem. Strach spara-

liżował mi nogi. Spojrzałem na pusty plac. Ktoś wyszedł z delikatesów Katza i biegł w naszą stronę. Musiałem stamtąd spadać. Z całej siły kopnąłem go w rękę i poczułem jak czubek buta trafia w ramię. Coś jakby trzasnęło pod moją stopą i Gold najpierw jęknął, potem rozwrzeszczał się z bólu, a ja byłem wolny i gnałem przed siebie.

Ulica za moimi plecami ożyła nagle dźwiękami, ale byłem już przy Stanton. Instynkt kazał mi się zatrzymać, więc stanąłem na rogu wahając się przez chwilę. Zdecydowałem się szybko. Musiałem dowiedzieć się, czy mnie widział. Przeciąłem ulicę. Na placu było już pełno ludzi.

Przecisnąłem się przez tłum. Policjanci też już tam byli, krzyczeli, żeby się odsunąć. Gold siedział na ziemi trzymając się za ramię i kołysał się z bólu.

- Co się stało? - zapytałem jednego z gapiów. Odpowiedział mi nie odwracając głowy. Był zbyt pochłonięty oglądaniem Golda.

- Napadli faceta.

Przepchnąłem się bliżej. Przy Goldzie klęczał policjant. Widziałem ruchy jego warg, ale nie słyszałem słów. Byłem już prawie przy nich, kiedy dobiegł mnie głos Golda. Słowa rozproszyły mój niepokój.

- Jak mogłem go zobaczyć? - krzyczał głosem piskliwym z bólu. - Byłem nieprzytomny, już mówiłem.

Znowu zajączał.

- Aaa, sprowadźcie lekarza. Sukinsyn złamał mi rękę. Wolno wycofywałem się z tłumy. Kiedy byłem już prawie na jego skraju, policjanci zaczęli rozganiać zbiegowisko.

- Dalej, ruszać się. Rozchodzić się do domów!

Tłum zaczął się rozpraszać i nie czekałem dłużej. Zrobiłem dokładnie to, co kazali: poszedłem do domu. Wśliznąłem się cicho do mieszkania i dopiero kiedy już zdjąłem spodnie, przypomniałem sobie, że nadal mam przy sobie woreczek z pieniędzmi.

Pognałem do łazienki zamykając za sobą drzwi. Otworzyłem woreczek rozcinając go scyzorykiem i przeliczyłem forszę. Majątek! Sto trzydzieści pięć papierów!

Schowałem pieniądze do kieszeni i rozejrzałem się po

łazience. Musiałem pozbyć się woreczka. Nad ubikacją było małe okienko wychodzące na nigdy nie czyszczony szyb wentylacyjny. Stałem na sedesie i wyrzuciłem woreczek przez okno. Słyszałem jak ociera się o ściany szybu spadając w dół, potem wróciłem do swojego pokoju i położyłem się do łóżka.

Zamknąłem oczy próbując zasnąć, ale myśli przelatywały mi przez głowę jak oszalałe. A jeżeli policjanci tylko udawali tępaków? A jeżeli Gold coś sobie przypomni, kiedy mu minie ból? Miał sporo czasu, żeby mi się przyjrzeć. Piżama zrobiła się wilgotna od potu, lepiła się do ciała. Zacisnąłem mocno powieki w ciemnościach w desperackiej próbie zapadnięcia w sen. Bezskutecznie. Każdy najmniejszy, rozbrzmiewający w mroku dźwięk szarpał mi nerwy. Trzasnęły drzwi i zeszywniałem. Przyszli po mnie.

Wyskoczyłem z łóżka, naciągnąłem spodnie i podszedłem do drzwi nasłuchując głosów rozlegających się tuż za nimi. To tylko rodzice. Tato przyszedł z roboty.

Zrzuciłem spodnie i wróciłem do łóżka. Zagłębiłem się w poduszkę z westchnieniem ulgi. Byłem idiotą. Nikt nie będzie mnie podejrzewał. Powoli zdenerwowanie zaczęło mijać, ale nadal nie mogłem zasnąć.

Noc zdawała się trwać tysiące godzin. W końcu odwróciłem się na bok i wepchałem do ust róg poduszki, żeby nie krzyczeć. Zacząłem się cicho modlić. Nigdy przedtem nie modliłem się świadomie. Błagałem Boga, żeby nie pozwolił mi złapać. Przysięgałem, że już nigdy więcej tego nie zrobię.

Do pokoju wciskało się już szare światło dnia, kiedy w końcu skrajnie wyczerpany zasnąłem. I nawet wtedy nie był to prawdziwy sen. Bo w głowie rozbrzmiewał mi ciągle, przyprawiający o mdłości, trzask ramienia pod moim butem, a w uszach dzwonił przeszywający krzyk Golda.

7

Ktoś mną potrząsał. Próbowałem uwolnić się od trzymających mnie dłoni. Uniosłem ręce, żeby je odepchnąć.

Dlaczego nie mogą zostawić mnie w spokoju? Jestem taki zmęczony.

Ktoś wrzeszczał mi w ucho. Powtarzał w kółko te same słowa.

- Obudź się, Danny. Obudź się! Przekreśliłem się na bok.

- Jestem zmęczony - wymamrotałem, zakopując twarz w poduszkę. - Odejdź!

Słyszałem czyjeś oddalające się kroki i drzemałem pełen napięcia. Czekałem na sygnał. Jest, dłoń Spita podnosi się do policzka. Poruszam się teraz szybko. Gold wychodzi właśnie zza węgła. Moja ręka unosi się w górę. Czuję w dłoni ciężar pałki. Zaczyna opadać. I właśnie wtedy Gold się odwraca. Miałem przed sobą jego białą, przerażoną twarz.

- Znam cię! - krzyknął. - Jesteś Danny Fisher!

W tym momencie pałka opadła na jego skroń i Gold zaczął się osuwać.

- Nie! - zajęczałem. - Nigdy więcej! - spróbowałem przedrzeć się do poduszki. Czyjaś ręka opadła mi na ramię i poderwałem się otwierając szeroko oczy.

- Danny! - w głosie mamy był przestrah.

Usiadłem szybko, próbując przystosować się do rzeczywistości. Oddychałem ciężko jak po biegu.

Mama nie spuszczała wzroku z mojej twarzy, bladej i mokrej od potu.

- Danny! Co ci jest? Źle się czujesz?

Patrzyłem na nią przez chwilę; potem osunąłem się wolno na poduszkę. Byłem straszliwie zmęczony. To był tylko sen, ale wydawał się bardzo prawdziwy.

- Nic mi nie jest, mamusiu - powiedziałem wolno.

Była wyraźnie zaniepokojona. Położyła chłodną dłoń na moim rozpalonym czole i przytrzymała mnie na poduszce.

- Pośpij jeszcze, Danny! - powiedziała łagodnie. - Całą noc krzyczałeś przez sen.

Kiedy znowu otworzyłem oczy, za oknem świeciło jasne słońce. Przeciagnałem się leniwie wyciągając nogi na całą długość łóżka.

- Lepiej się czujesz, blondasku?

Odwrociłem gwałtownie głowę. Przy łóżku siedziała mama.

- Tak - odparłem zawstydzony. - Nie mam pojęcia, co mi się stało.

Byłem zadowolony, że mama nie upiera się przy kontynuowaniu rozmowy. Podała mi tylko szklanekę z herbatą.

- No - powiedziała cicho - napij się herbaty.

Wszedłem do kuchni i spojrzałem na zegar. Było po drugiej.

- Gdzie tata? - spytałem.

- Musiał iść wcześniej do sklepu - odparła, nie odwracając się od pieca. - Coś się stało panu Goldowi.

- Aha - mruknąłem bez zainteresowania, idąc w stronę wyjścia. Otworzyłem drzwi.

Na ten odgłos odwróciła się od pieca.

- Gdzie ty się wybierasz? - zapytała z napięciem w głosie. - Chyba nigdzie nie pójdziesz w takim stanie?

- Muszę - odparłem. - Umówiłem się z chłopakami. Spit i Solly niepokoiłoby się o mnie.

- No to spotkasz się z nimi kiedy indziej. To nie jest takie ważne. Wracaj do łóżka i kładź się.

- Nie mogę, mam - powiedziałem prędko. - A poza tym trochę świeżego powietrza dobrze mi zrobi.

Zatrzasnąłem szybko drzwi i zbiegłem ze schodów.

Mijając cukiernię zwróciłem na siebie uwagę Solly'ego, dałem mu znak „chodź” i kontynuowałem przechadzkę. Parę bramy dalej dałem nura do budynku i czekałem na klatce schodowej. Nie musiałem długo czekać. Kiedy tam weszli, trzymałem w ręku pieniądze.

- Macie - wepchnąłem im forszę.

Solly wsadził ją szybko do kieszeni nie licząc, natomiast Spit przerzucił banknoty. Zerknął na mnie spod oka.

- Tylko trzydzieści papierów? - zapytał podejrzliwie. Spojrzałem mu w oczy.

- Masz szczęście, że dostajesz aż tyle - warknąłem. - Gównu powinienes dostać po tym, jak się ulotniłeś.

Spit spuścił oczy.

- Myślałem, że będzie tego więcej. Zacisnąłem pięści.

- Trzeba było zostać i przeliczyć - warknąłem.

Nagle podniósł wzrok i spojrzał na mnie przez niedomknięte powieki. Wiedziałem, że mi nie wierzy, ale boi się odezwać. Popatrzyłem na niego i to wystarczyło.

- Okay, Danny - powiedział uciszając mnie wspaniałym potokiem śliny. - Nie narzekam. - Odwrócił się i wymknął cicho za drzwi.

Zwróciłem się do Solly'ego. Obserwował nas.

- Tobie też coś chodzi po głowie? - zapytałem nieprzyjemnym tonem.

Rozciągnął usta w powolnym uśmiechu.

- Nie, Danny. Nie mam uwag.

Uśmiechnąłem się do niego, kładąc mu rękę na ramieniu i popychając go delikatnie do wyjścia.

- No już, wrywaj - powiedziałem łagodnie. - Nie chcę spędzić tu całego dnia.

Wysiedliśmy z trolejbusu i Nellie wzięła mnie pod rękę. Spojrzała mi w twarz.

- Dokąd idziemy? - zapytała ciekawie.

- Zobaczysz - uśmiechnąłem się. Ciągle jeszcze nie mogłem zebrać się na odwagę, żeby jej powiedzieć.

Tak było przez cały wieczór. Spotkałem się z nią przed sklepem, po zamknięciu.

- Chodź - powiedziałem. - Chcę ci coś pokazać. Ochocho poszła ze mną na plac i wsiedliśmy do trolejbusu obsługującego linię Utica - Reid. Przez całą drogę siedzieliśmy

w milczeniu, ze splecionymi ciasno dłońmi, patrząc w okno. Chciałem jej powiedzieć, dokąd jedziemy, ale się bałem. Bałem się, że mnie wyśmieje. Teraz jednak nie miałem już wyboru; byliśmy na miejscu. Staliśmy na ciemnym, pustym rogu, prawie o dziesiątej w nocy, w dzielnicy Brooklynu, o której dotąd nie wiedziała nawet, że istnieje. Podniosłem rękę i wskazałem na drugą stronę ulicy.

- Widzisz? - zapytałem.

Spojrzała we wskazanym kierunku, potem odwróciła się do mnie z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Nic tam nie ma. Tylko ten pusty dom. Uśmiechnąłem się do niej.

- No właśnie - przytaknąłem radośnie. - Piękny, prawda? Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego jeszcze raz.

- Nikt tam nie mieszka - powiedziała z rozczarowaniem w głosie.

Wpatrywałem się w dom.

- To właśnie przyszliśmy zobaczyć.

Na chwilę prawie o niej zapomniałem. Patrzyłem uważnie na dom. Teraz, kiedy tato dostanie miejsce Golda, nie powinno być żadnych trudności, by go odzyskać.

Rozmyślenia przerwał mi jej głos.

- To jest to, co przyszliśmy zobaczyć w środku nocy, Danny? Pusty dom?

- To nie jest pusty dom - powiedziałem. - To jest mój dom. Mieszkałem tu. I może już wkrótce będziemy mogli tu wrócić.

W jej oczach zabłysło nagle światło. Rzuciła szybkie spojrzenie na dom, potem znowu na mnie. Jej usta nabrały miękkości.

- To piękny dom, Danny - powiedziała tonem, w którym było zrozumienie.

Zacisnąłem dłoń na jej ramieniu.

- Dostałem go od taty na ósme urodziny - wyjaśniłem. - Tego dnia, kiedy się wprowadziliśmy, wpadłem do wykopu, gdzie znalazłem małego pieska, a rodzice musieli wzywać policję, żeby mnie znalazła. - Wziętem głęboki oddech.

Powietrze było tutaj świeże i pachnące. - Rexie zginęła, kiedy stąd odeszliśmy. Przejechał ją samochód na Stanton. Przyniosłem ją tutaj i pochowałem. To był jedyny dom, jaki znała,

a ja kochałem tego psiaka bardziej niż wszystko inne. Dlatego ją tu przyniosłem. To jedyne miejsce gdzie ona... gdzie my możemy być szczęśliwi.

Jej oczy jaśniały w mroku, pełne czułości.

- I teraz tu wrócisz - wyszeptała miękko, przyciskając twarz do mojego ramienia. - Och, Danny! Tak się cieszę! Spojrzałem na nią. Ogarnęło mnie uczucie ciepła. Wiedziałem, że zrozumie, kiedy jej powiem. Uniosłem jej dłoń i przycisnąłem do ust.

- Okay, Nellie. Teraz możemy wracać.

Powrót nie sprawiał mi już jakoś przykrości. Wiedziałem, że nie wracam tam na długo.

Stanąłem w drzwiach kuchni mrużąc oczy w jaskrawym świetle. Rodzice przyglądali mi się, kiedy zamykałem drzwi.

- Wcześniej wróciłeś - powiedziałem do ojca z uśmiechem. Być może miał już pomysły nowiny.

Jego twarz była spięta i gniewna.

- Ty za to wracasz późno - rzucił. - Gdzie byłeś? Zamknąłem drzwi i spojrzałem na niego. Nie zachowywał się tak, jak tego oczekiwałem. Może coś me wyszło, może Gold mnie rozpoznał.

- Tu i tam - odparłem ostrożnie. Lepiej jeszcze nic nie mówić.

Jego opanowanie prysło w ataku furi. Zaczął nagle wrzeszczeć.

- Tu i tam? Co to za odpowiedź?! Twoja matka przez całą noc zamartwia się na śmierć. Nie wracasz do domu, nie mówisz gdzie idziesz, jesteś po prostu „tu i tam ! Gdzie byłeś? Odpowiadaj!

Zacisnąłem usta z uporem. Coś tu się nie zgadzało.

- Powiedziałem mamie, że nic mi nie jest, nie miała się o co martwić.

- Więc dlaczego nie przyszedłeś na kolację? - krzyczał. - Twoja matka nie wiedziała, co się z tobą stało. Mogłeś pasc martwy na ulicy, a my nic byśmy nie wiedzieli. Rozchorowała się ze strachu o ciebie!

- Przykro mi - powiedziałem ponuro. - Nie myślałem że będzie się martwić.

- Niech ci nie będzie przykro! - krzyczał. - Tylko mi odpowiedz! Gdzie byłeś?

Przyglądałem mu się przez chwilę. Mówienie mu teraz czekokolwiek mijało się z celem. Był purpurowy z wściekłości Odwróciłem się i ruszyłem bez słowa w stronę drzwi

Nagle jego ręka opadła mi na ramię. Wykręcił mnie twarzą do siebie.

Wytrzeszczyłem oczy ze zdumienia. Trzymał w ręce swój skórzany pas i potrząsał mi nim ostrzegawczo przed nosem

- Nie waz się wychodzić, póki nie odpowiesz! - wrzeszczał. - Mam dość twoich wyniosłych manier. Odkąd się tu sprowadziłeś, wydaje ci się, że możesz wychodzić i wracać kiedy ci się podoba, nie opowiadając się nikomu.

Mam już tego dość! Zejdiesz na ziemię, choćbym miał cię sprowadzić pasem! Odpowiadaj!

Zacisnąłem twardo usta. Nigdy dotychczas nie uderzył mnie w gniewie. Nie mogłem uwierzyć, że zrobi to teraz. Nie teraz, kiedy byłem wyższy od niego i stałem w milczeniu patrząc na niego z góry.

Potrząsnął mną brutalnie.

- Gdzie byłeś?

Nie odpowiedziałem.

Pas świsnął w powietrzu. Trafił mnie w policzek. Światło wybuchło mi przed oczyma i usłyszałem krzyk matki.

Potrząsnąłem głową i otworzyłem oczy.

Mama uczepliła się jego ramienia błagając, żeby przestał Odepchnął ją.

- Mam dość, mówię ci, po uszy! - wrzeszczał. - Człowiek może wiele znieść, ale od swojego własnego syna ma prawo wymagać należytego szacunku! - zamachnął się i pas przeciął powietrze.

Wyrzuciłem dłonie, żeby odbić uderzenie, ale pas sięgnął twarzy. Sprzączka trafiła mnie w czoło i poczułem, że osuwam się zamoczony na podłogę. Przez morze bólu spojrzałem w górę na swojego ojca. Nie musiałem dawać się bić Mogłem zabrać mu pas w każdej chwili, kiedy tylko chciałem A jednak nie zrobiłem tego. Nie zrobiłem nic, żeby uniknąć

następnego uderzenia. Pas opadł ponownie i zacisnąłem zęby z bólu.

Mama chwyciła go za rękę.

- Przestań, Harry! Zabijesz go! - krzyczała. Potrząsnął ramieniem i zatoczyła się bezradnie na krzesło. Jego oczy patrzące na mnie z góry były zapuchnięte, w czerwonych obwódkach, jakby płakał. Pas podnosił się i opadał, podnosił się i opadał, aż wydało mi się, że przebywam w tym dziwnym świecie bólu od zawsze. Zamknąłem oczy.

Jego głos napływał ku mnie z góry.

- Odpowiesz mi?

Spojrzałem na niego. Wydawało mi się, że ma trzy głowy, wszystkie obracały się w kółko, pierwsza odpływała, a następne przechodziły jedna przez drugą. Potrząsnąłem głową, żeby przejaśnić obraz. Tato podnosił trzy ręce. Spadały na mnie trzy pasy. Zamknąłem szybko oczy, żeby ich nie widzieć.

- Byłem w domu!

Oczekiwany cios nie spadł i otworzyłem oczy. Trzy pasy tkwiły nad moją głową w zawieszeniu. Głos ojca dochodził z daleka.

- W jakim domu?

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że mu odpowiedziałem. Odetchnąłem powoli. Mój głos był zaledwie słabym piskiem, nie poznawałem go.

- W naszym domu - odpowiedziałem. - Pojechałem zobaczyć, czy ktoś tam mieszka. Myślałem, że teraz, kiedy nie ma już Golda, tato zostanie kierownikiem i będziemy mogli tam wrócić.

Cisza, która zaległa pokój, zdawała rozciągać się w nieskończoność. W uszach chrypiał mi tylko mój własny oddech, potem mama znalazła się obok mnie na podłodze, kołysząc moją głowę na piersi.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na tatę. Opadł wyczerpany na krzesło i patrzył na mnie wielkimi, przerażonymi oczyma. Jego wargi poruszały się prawie bezgłośnie. Ledwo go słyszałem.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - mówił. - Wczoraj Gold

powiedział mi, że zamykają sklep od przyszłego miesiąca. Mają straty i od pierwszego jestem bez pracy. Nie mogłem w to uwierzyć. Po prostu nie mogłem. Łzy spływały mi po policzkach. Potem stopniowo zacząłem pojmować. O tym właśnie mówił Gold, kiedy kazał tacie podejść do kasy wczoraj wieczorem. To dlatego tato wyglądał na tak przybitego. Wszystko stało się jasne. Gniew ojca, zmartwienie wypisane na twarzy matki dzisiejszego ranka, to, że była tak zajęta przy piecu. Przez chwilę czułem się znowu bardzo młody i odwróciłem głowę szukając pocieszającego ciepła jej piersi.

Wszystko na nic. Cała cholerna robota na nic. Jak długo jeszcze mogę udawać małego chłopca, snując dziecięce marzenia? Czas z tym skończyć. Żadna ludzka siła na tej ziemi nie zwróci mi domu.

8

Z łatwością wywinąłem się przed niemrawym ciosem jego prawej pięści i trzasnąłem ostro lewą. Czułem jak ręka przedziera się przez jego gardę, dostałem go. Zamachnąłem się prawą, kiedy odezwał się gong kończący rundę. Opuściłem szybko ręce i rozluźniony wróciłem do swojego narożnika. Opadłem na stołek i uśmiechnąłem się szeroko do faceta, który wdrapywał się na ring z ręcznikiem i wiadrem wody. Otworzyłem usta pozwalając wodzie z gąbki spływać do ust.

- Jak się czujesz? - zapytał niespokojnie. Znów się uśmiechnąłem.

- Okay, Gi'sep! - powiedziałem z przekonaniem. - Dostanę go w następnej rundzie. Już się wyprztykał.

- Oszczędzaj oddech, Danny - ostudził mnie Giuseppe Petito. Przejechał mi gąbką po szyi i ramionach. - Bądź ostrożny. Facet ma nadal paskudną prawą. Nie ryzykuj. Obiecałem Nellie, że nie pozwolę ci szarżować. Inaczej urwie mi głowę.

Pogłaskałem go czule rękawicą po głowie. Lubiłem faceta.

- Myślę, że tym razem nic ci nie grozi - pokazałem zęby w uśmiechu.

Giuseppe odwzajemnił uśmiech.

- Zadbaj o to - odciął się. - Może być twoją dziewczyną, ale jest moją siostrą i nie znasz jej tak jak ja. Ciągle jeszcze robi mi piekło, że cię w to wciągnąłem.

Miałem właśnie zamiar mu odpowiedzieć, kiedy rozległ się dzwonek. Poderwałem się na nogi, a Giuseppe wyśliznął się za liny. Wróciłem szybko na środek ringu i trąciłem się rękawicami ze swoim przeciwnikiem. Sędzia rozdzielił nam ręce i zrobiłem unik przed wyprowadzonym zniemacka lewym sierpowym.

Trzymałem pięści przed sobą wysoko i swobodnie, obchodziłem chłopaka ostrożnie, czekając na okazję do ataku. Opuściłem nieznacznie lewą rękę, próbując wmanewrować go w cios prawą. Szczeniak nie dał się zrobić, więc wróciłem do poprzedniej pozycji.

Znowu zacząłem go obchodzić. Tłum zgodnie gwizdał i tupał nogami. Czuję drżenie naprężonej, brezentowej podłogi ringu. Co jeszcze, ich zdaniem, mieliśmy zrobić za dzie-sięciodolarowy złoty zegarek? Pozabijać się? Zerknąłem niespokojnie w stronę swojego narożnika.

Szósty zmysł kazał mi zrobić unik. Kątem oka dostrzegłem prawą pięść lecącą w stronę mojej szczęki. Świsnęła mi koło ucha i wtedy przebiłem się przez jego gardę.

Wyprowadziłem prawy hak poparty impetem całego ciała. Wylądował dokładnie na policzku tamtego. Jego oczy zrobiły się nagle szkliste i zatoczył się na mnie próbując klinczować.

Tłum zawył. Szybko odskoczyłem i uderzyłem lewą. Trzasnęła w jego odsłoniętą szczękę, potknął się i padł płasko na twarz. Wykręciłem się na pięcie i pewnym krokiem wróciłem do swojego narożnika. Nikt nie musiał mi mówić, że walka była skończona.

Giuseppe był już na ringu, zarzucił mi ręcznik na ramiona.

- Chryste! - wyszczerzył zęby. - Chciałbym, żebyś miał już osiemnaście lat.

Roześmiałem się i wróciłem na środek ringu. Podszedł sędzia i uniósł mi rękę.

- Robisz się za dobry na tę budę, Fisher - wyszeptał kącikiem ust.

Znowu się roześmiałem i rozkołysanym krokiem wróciłem do swojego narożnika.

Giuseppe wsunął głowę do szatni.

- Ubrałeś się już, chłopcze? - zapytał.

- Zawiązuję buty, Zep - odkrzyknąłem.

- Pospiesz się. Szef chce cię widzieć u siebie w biurze. Wyprostowałem się i wyszedłem za nim na korytarz. Dobiegły nas niewyraźne odgłosy tłumu.

- Czego on chce, Zep? - spytałem.

Kiedy Skopas chciał się widzieć z którymś z amatorów, zazwyczaj nie oznaczało to nic dobrego. Wszyscy wiedzieli, że pracuje dla mafii bokserkiej, mimo że oficjalnie był managerem klubu.

Zep wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może chce ci dać medal, albo co! Wyczułem jednak, że jest zaniepokojony.

Spojrzałem na niego kpiąco. Mówiłem lekkim, uszczypliwym tonem, nie chciałem, by się połapał, że ja też od czuwam niepokój.

- Obojętne, co chce mi dać, byle można to było zastawić za dziesięć dolców.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami z napisem „służbowe”. Giuseppe nacisnął klamkę.

- Właż, chłopcze - powiedział.

Wszedłem rozglądając się ciekawie. Nigdy tu przedtem nie byłem. Ten przywilej zarezerwowany był dla zawodowców, którzy pracowali za forszę, nie dla gówniarzy walczących o zegarki. Rozczarował mnie widok małego pokoju z fotografiami bokserów na szarych, brudnych ścianach. Spodziewałem się czegoś bardziej okazałego.

Wewnątrz było paru facetów, rozmawiali paląc cygara. Kiedy wszedłem, przerwali rozmowę i odwrócili się w stronę drzwi. Patrzyli na mnie świdrującym wzrokiem, oceniając ile jestem wart.

Zerknąłem na nich przelotnie ignorując ich spojrzenia i zatrzymałem wzrok na mężczyźnie siedzącym przy małym, zaśmieconym biurku.

- Pan mnie wzywał, panie Skopas?

Podniósł na mnie oczy. Były szare i pozbawione wyrazu, jego łysa czaszka połyskiwała w świetle pojedynczej żarówki wiszącej u sufitu.

- Ty jesteś Danny Fisher? - głos był tak samo bezbarwny jak oczy.

Skinąłem głową.

Skopas odsłonił żółte zęby w pozbawionym wesołości uśmiechu.

- Moi chłopcy mówią mi, że masz zadatki. Słyszałem, że dorobiłeś się wielkiej kolekcji zegarków.

Uśmiechnąłem się do niego. Nie wyglądało na to, żeby chciał mi robić kłopoty.

- Miałbym - powiedziałem. - Gdybym mógł sobie pozwolić na ich zatrzymanie.

Giuseppe trącił mnie nerwowo łokciem.

- On chce powiedzieć, że oddaje wszystkie swojemu staremu, panie Skopas - wtrącił pospiesznie. Błysnął do mnie ostrzegawczo oczami. Wiedziałem o co mu chodzi, o tych facetów w pokoju. Mógł być wśród nich ktoś ze Związku Sportowego.

Skopas zwrócił się do Giuseppe.

- A ty kim jesteś? - zapytał z podejrzliwym błyskiem w oku.

Przyszła moja kolej, żeby się wtrącić.

- Moim managerem, panie Skopas. Walczył kiedyś pod nazwiskiem Peppy Petito.

Oczy Skopasa rozszerzyły się nieznacznie.

- Pamiętam. Entuzjasta ze szklaną szczęką - w jego głosie pojawiły się zimne nutki. - Więc tym się teraz zajmujesz? Trenowaniem gówniarzy?

Giuseppe kręcił się niespokojnie.

- Nie, panie Skopas, ja... Skopas przerwał mu w pół słowa.

- Spływaj, Petito - powiedział zimno. - Mam interes do twojego przyjaciela.

Giuseppe popatrzył najpierw na niego, potem na mnie. Jego smagła twarz pobladła. Wahał się chwilę, potem ruszył ku drzwiom z wyrazem udręki w oczach.

Zatrzymałem go kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Zaczekaj, Zep. Zwróciłem się do Skopasa.

- Pomylił się pan co do Zepa, panie Skopas - powiedziałem prędko. - To brat mojej dziewczyny. Zajmuje się mną tylko dlatego, że go o to prosiłem. Jeżeli on wyjdzie, to ja też.

Wyraz twarzy Skopasa zmienił się błyskawicznie. Uśmiechnął się.

- Dlaczego nie mówiłeś tak od razu? To zmienia postać rzeczy. - Wyjął z kieszeni cygaro i wyciągnął w stronę Zepa.

- No, Petite, bierz cygaro i bez urazy.

Zep wziął cygaro i włożył je sobie do kieszeni. Udręka zniknęła z jego oczu, uśmiechał się. Spojrzałem na Skopasa.

- Kazał mi pan tu przyjść - powiedziałem beznamiętnym tonem. - Po co?

Twarz Skopasa straciła jakikolwiek wyraz.

- Nieźle ci idzie w klubie i chciałem, żebyś o tym wiedział...

- O rany, dziękuję! - rzuciłem sarkastycznie. - A co z tym interesem, o którym wspomniał pan przed minutą?

Na sekundę w jego oczach zabłysło światło, potem zniknęło i stały się równie zimne i puste jak przedtem.

Mówił dalej, jakby w ogóle nie zauważył, że mu przerwałem.

- Chłopcy z górnego miasta wciąż poszukują młodych talentów, więc wspomniałem im o tobie. Chcę, byś wiedział, że obserwowali parę twoich ostatnich walk i spodobało im się to, co zobaczyli. - Przerwał dla większego wrażenia, wsadził w usta świeże cygaro i żuł je przez chwilę, zanim się znowu odezwał.

- Sądzimy, że marnujesz się w tej budzie, chłopcze, i przejmujemy cię od zaraz. Skończyłeś z walką za zegarki. -

Potał zapalną i przytknął ją do cygara.

Odczekałem, aż zapalka zgaśnie i dopiero wtedy odezwałem się.

- A za co będę teraz walczył? - zapytałem beznamiętnie. Nie było sensu pytać: dla kogo. To już wiedziałem.
 - Dla sławy, synku - odpowiedział Skopas. - Dla sławy. Postanowiliśmy, że będziesz walczył w „Złoty Rękawicach”, żeby wyrobić sobie markę.
 - Cudownie! - wybuchnąłem. - A co mam robić dla forsy? Tu przynajmniej mam dziesięć dolców za zegarek. Uśmiech Skopasa był równie zimny jak oczy. Dmuchał w moją stronę chmurą dymu.
 - Nie jesteśmy wyzyskiwaczami, chłopcze. Będziesz dostawał stówę miesięcznie, dopóki nie osiągniesz odpowiedniego wieku, by przejść na zawodowstwo. Wtedy odciągniemy ci to od zarobków.
 - Zaliczam więcej niż dziesięć zegarków miesięcznie w tej budzie - odparłem rozgorączkowany. Poczulem na ramieniu mitygującą mnie dłoń Giuseppe. Strząsnąłem ją gniewnie. To nie było to, na co czekałem. - Co będzie, jeśli na to nie pójde?
 - spytałem.
 - Nie dostaniesz nic - głos Skopasa był pozbawiony emocji
 - Ale wyglądasz na spryciarza. Masz dość rozumu, żeby nie sprzeciwiać się chłopcom. Mamy tu nawet trenera, który cię poprowadzi, kiedy będziesz walczył o „Złote Rękawice”.
 - Jesteście za pewni siebie - zadrwiłem. - Skąd w ogóle pomysł, że chcę być bokserem?
- Oczy Skopasa nabrały inteligentnego wyrazu.
- Potrzebujesz forsy, chłopcze - stwierdził z przekonaniem.
 - Dlatego zostaniesz bokserem. Dlatego wdałeś się w tę hecę z zegarkami.
- Nie mylił się. Potrzebowałem forsy. Tato nadal nie miał pracy i boks był jedynym, nie licząc rozboju, znanym mi sposobem zdobywania pieniędzy. Doświadczenie z panem Goldem dało mi wiele do myślenia. Nie nadawałem się do rozbijania ludziom głów. Boksowi także miałem serdecznie dość. Był niezły jako metoda podłapania paru dolców, ale nie wchodził w rachubę jako sposób na życie. Widziałem zbyt wielu facetów z rozkwaszonymi nosami. Nie, dziękuję, nie reflektuję. Odwróciłem się do Zepa.
- Chodź, zabieramy się! - powiedziałem nie marnując słów.

Obejrzałem się na faceta za biurkiem.

- Na razie, panie Skopas. Dzięki za nic. Miło było pana poznać - otworzyłem drzwi na oścież i wyszedłem krokiem pełnym godności.

Mężczyzna stojący za drzwiami wyciągnął rękę, żeby mnie zatrzymać. Odtrąciłem ją nie podnosząc głowy i miałem właśnie zamiar go wyminąć, gdy wpadł mi w ucho znajomy głos.

- Hej, Danny, nie chcesz się przywitać ze swoim nowym managerem?

Podniosłem raptownie głowę czując, jak na twarzy pojawia mi się uśmiech. Wyciągnąłem rękę i złapałem faceta za ramię.

- Sam! - wyrzuciłem z siebie. - Sam Gottkin! Powinienem być się domyślić!

Z głębi pokoju dobiegł głos Skopasa. Była w nim leciutka nuta przeprosin.

- Dzieciak w to nie wchodzi, panie Gottkin.

Sam popatrzył na mnie pytająco. Błyskawicznie podjąłem decyzję. Zwróciłem się do Skopasa z uśmiechem.

- Za przeproszeniem, panie Skopas - rzekłem - może pan powiedzieć swoim przyjaciołom z górnego miasta, że mają nowego chłopaka!

9

- Chodź, Danny - powiedział Sam parę minut później. - Pójdziemy coś zjeść.

Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

- W porządku, Sam - odparłem. - Jedną chwileczkę. Podeszedłem do biurka Skopasa i spojrzałem na niego z góry. Atmosfera uległa oczyszczeniu; nawet on się uśmiechał. Pozostali mężczyźni obserwowali mnie uważnie. Wiedzieli, że skoro wybrali mnie chłopcy z górnego miasta, byłem nie byle jakim nabytkiem.

- Panie Skopas - powiedziałem z uśmiechem. - Przykro mi, że tak się zachowałem. Dzięki za to, co pan zrobił. Uśmiechnął się do mnie.

- W porządku, chłopcze! Wyciągnąłem rękę.

- Tylko niech pan nie zapomni o moim zegarku. Wybuchnął głośnym śmiechem i zwracając się do pozostałych mężczyzn obwieścił:

- Chłopak jest w porządku. Wysoko zajdzie. Gdybym miał pięć patoli, sam bym go kupił.

Moja twarz musiała wyrażać zaskoczenie, bo mężczyźni wybuchnęli głośnym śmiechem. Spojrzałem na Sama, skinął głową. Pełen zdumienia odwróciłem się z powrotem do Skopasa. Samowi musiało się nieźle powodzić, skoro mógł za mnie wybulić pięć kawalków.

Skopas wygrzebał z kieszeni dwa banknoty i włożył mi je do ręki.

- Nie mam przy sobie żadnego zegarka, chłopcze, więc tym razem obejdziemy się bez lombardu.

Wsadziłem pieniądze do kieszeni.

- W porządku, panie Skopas - odparłem. Zwróciłem się do Sama z nowym szacunkiem. - Możemy iść.

Popatrzyłem z żalem na swój talerz. Rumuńskie mięsiwa z rusztu u Glucksterna miały jedną szczególną cechę. Jeżeli potrafiłeś zjeść całą porcję, mogłeś się uważać za wyczynowca. Odłożyłem widelec.

- Pękam - wyznałem. Spojrzałem na Giuseppe.

- A jak z tobą?

Uśmiechnął się szeroko z pełnymi ustami.

- W porządku, Danny.

Zerknąłem przez stół na Sama. On też nie dał rady. Patrzył na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Widzę, że ty też pękasz - powiedziałem.

- Za dużo tego - odparł. - Muszę dbać o swoją wagę.

Miał rację. Trochę przytył od czasu, kiedy widziałem go po raz ostatni.

- Dlaczego nie odpowiedziałeś na żaden z listów, które napisałem przez ostatni rok? - zapytał nagle.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

- Nigdy ich nie dostałem - odparłem po prostu.

- Szukałem cię. Byłem nawet w tym starym domu, ale nikt nie znał twojego adresu. - Zapalił papierosa. - Miałem dla ciebie robotę.

- Zeszłego lata? - zapytałem. Przytaknął.

Wysupłałem papierosa z paczki, którą położył na stole.

- I tak bym nie mógł - powiedziałem. - Sprawy wyglądały dość kiepsko.

- Skończyłeś już szkołę? Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- W czerwcu - odparłem. Spojrzałem na niego z zaciekawieniem. - Jak mnie znalazłeś? - zapytałem. - Ostatnie co wiem, to że pojechałeś na Florydę.

- Pojechałem - odpowiedział. - I nieźle mi poszło. Ale nie zapomniałem o tobie. Zawsze mówiłem, że pewnego dnia zrobisz z siebie mistrza, więc szepnąłem słówko przyjacielom, żeby mieli na ciebie oko. Wykombinowałem sobie, że prędzej czy później musisz wypłynąć. Facet, który walczy tak jak ty, nie może całkiem zniknąć. - Wyciągnął rękę i z uśmiechem wyjął mi papierosa z ust. - Z tym koniec, jeżeli chcesz dla mnie pracować.

- Chciałbym dla ciebie pracować - powiedziałem, patrząc jak rozgniata peta. - Ale nie jestem pewien, czy podoba mi się pomysł zostania bokserem.

- Więc co robiłeś w tych dziurach, walcząc o zegarki? - zapytał z przekąsem.

Ruchem głowy wskazałem Zepa.

- Potrzebowałem forsy i on wiedział, gdzie za trzy rundy z amatorami można zgarnąć trzy, cztery zegarki tygodniowo. To łatwa forsa, więc się za to wziąłem. Ale nigdy nie myślałem, żeby przejść na zawodowstwo, miałem walczyć tylko do końca szkoły.

- Więc co będziesz robił? - zapytał. - Przewrócisz świat

do góry nogami? Wezmiesz robotę za dziesięć papierów tygodniowo? Zakładając, że ci się poszczęści?
Zaczerwieniłem się.

- Nie myślałem o tym - przyznałem. Uśmiechnął się.

- Tak mi się wydawało - powiedział z przekonaniem. - Od tej chwili ja będę myślał za ciebie.

Zep zostawił nas na rogu. Odchodził już, kiedy go zwołałem.

- Poczekaj chwilę, Zep. Zapomniałeś o czymś - podałem mu banknot.

- Powiedz Nellie, żeby włożyła to na konto. Zep wsunął banknot do kieszeni.

- Dobrze, Danny.

- I powiedz jej, że przyjdę po nią do sklepu jutro wieczorem - zwołałem za nim, kiedy odchodził. Zwróciłem się znowu do Sama. - Fajny facet.

Popatrzył na mnie.

- Makaroniarz? - spytał. Spojrzałem na niego zimno.

- I co z tego?

Uniósł rękę w geście protestu.

- Nic mi do tego, chłopcze! - powiedział szybko. - Ale co na to twoi starzy, że chodzisz z Włoszką?

Patrzyłem na niego nieruchomym wzrokiem.

- Nie podoba im się ale, do diabła, jej starym też się nie podoba. Oni mówią „Żydziak”, a my „makaroniarz”. A tak w ogóle, to jest to sprawa wyłącznie moja i Nellie.

- Jasne, chłopcze! - powiedział pojednawczo Sam. - Nie wściekaj się.

- Nie jestem wściekły - odparłem cicho. Ale byłem. W domu ciągnęło się tak przez cały czas.

Wziął mnie pod ramię.

- Chodź do samochodu, wytłumaczę ci, o co chodzi w tym interesie.

Przyglądałem mu się, kiedy stał oparty o samochód.

Powiodło mu się, to było widoczne. Twarz miał zaokrągloną i dorobił się drugiego podbródka. Widocznie prowadził wygodne życie.

Wyjął cygaro, odgryzł koniuszek, wsadził je w usta i żuł w zadumie.

- No więc - zaczął stłumionym głosem - chcę, żebyś słuchał mnie uważnie i zapamiętał, co powiem. Bo od tej chwili, aż do momentu, kiedy zostaniesz zawodowcem, nie będziemy mogli się za często spotykać. Ale będę z tobą w kontakcie, rozumiesz?

Skinąłem głową. Rozumiałem. Takie były zasady w tej grze, w której amatorzy brali pieniądze.

Sam przytknął zapalną do cygara. Rozbłysła na krótko i to spowodowało, że jego twarz stała się nagle podobna do księżycy w pełni.

- Jutro pójdziesz do „Chłopięcego Klubu” na East Endzie. Zapytasz o Moe Spritzera, a kiedy go zobaczysz, powiesz mu, jak się nazywasz i że to ja cię przysyłam. Będzie wiedział, co robić. Ma już wejściówkę do „Złoty Rękawic” wystawioną na twoje nazwisko, musisz ją tylko podpisać. Odtąd, aż do momentu, kiedy przejdiesz na zawodowstwo będzie twoim trenerem. Masz robić to, co ci każe, rozumiesz?

- Rozumiem. - Zrobił na mnie wrażenie. Pomyślał o wszystkim.

- Za każdy miesiąc Moe wypłaci ci sto dolców. Jeżeli odpadniesz z turnieju, sprawa przestanie być aktualna. Sprawuj się dobrze, a zdobędziesz świat. Będę wpadał do klubu od czasu do czasu, żeby zobaczyć, jak ci idzie. Jak mnie tam zobaczysz, nie zwracaj uwagi. Jeżeli zechcę z tobą porozmawiać, zorganizuję to.

Otworzył drzwi samochodu i usiadł za kierownicą.

- Masz jakieś pytania, Danny?

Potrząsnąłem głową i nagle zmieniłem zdanie. Miałem pytanie.

- A jeżeli nie wypadnę dobrze w turnieju, Sam? Co wtedy? Przyglądał mi się przez chwilę, nim odpowiedział cichym, spokojnym głosem.

- Wtedy będę lżejszy o te pięć kawałków, które wyłożyłem, żeby cię dostać. Mafia też ostrzyła sobie na ciebie zęby, ale ich ubiegłem.

W świetle żarzącego się cygara jego oczy zrobiły się nagle jasne i twarde. - Będziesz tym, kim mnie nie udało się zostać, Danny. Postawiłem na ciebie kawał ciężko zarobionej forsy i nie spodziewam się jej stracić.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i uruchomił silnik. Podniósł trochę głos, żeby przekrzyczeć jego warkot.

- Nie jesteś już dzieckiem, Danny. Wchodzisz w brutalny interes. Nigdy nie będę oczekiwał od ciebie czegoś, czego nie będziesz mógł zrobić, ale nie zawieź mnie, kiedy już zaczniesz coś robić. To by mi się nie spodobało.

Samochód zjechał płynnie z krawężnika i czułem jak serce wali mi z podniecenia. Sam się nie wygłupiał, mówił serio. Czyjaś ręka opadła na moje ramię i odwróciłem się przestraszony. Za mną stał Zep.

- Słyszałeś? - zapytałem. Wiedziałem, że nie odejdzie zbyt daleko.

Skinął głową.

- I co o tym myślisz?

Jego ciemne oczy spotkały się z moimi, rozchylił usta w uśmiechu.

- Wywalił na ciebie kupę forsy, ale nie ryzykuje i wie o tym. Pewnego dnia będziesz mistrzem, chłopcze, wiem to już teraz. Wynik tego turnieju jest już przesądzony.

Patrzyłem w ślad za samochodem. Tylne światła znikają właśnie za rogiem. Ciągle jeszcze miałem wątpliwości.

- Myślisz, że powinienem to brać, Gi'sep? - zapytałem. Odpowiedział mi jego pełen podniecenia głos.

- Odrzuciłbyś milion dolców, Danny?!

10

Obejrzałem w lustrze swoją twarz. Z wyjątkiem małego zadraśnięcia wysoko na policzku żadne ślady nie zdradzały wczorajszej walki. Uśmiechnąłem się do swojego odbicia. Miałem szczęście.

Uczesałem się i wyszedłem z łazienki. Otwierając drzwi do kuchni, usłyszałem głos taty.

- Dzień dobry - powiedziałem z uśmiechem.

Ojciec przerwał w pół zdania i popatrzył na mnie. Nie odpowiedział.

- Siadaj, Danny - powiedziała szybko mama - i jedz śniadanie.

Usiadłem swobodnie na krześle. Tato nie odrywał ode mnie wzroku. Każdy dzień znaczył na jego twarzy, nowe bruzdy niepokoju i bezradności. Oczy zdawała się zasnuwać mgła rozpaczy, która rozpraszała się tylko w podnieceniu wywołanym irytacją i gniewem. Miałem wrażenie, że w miarę upływu czasu te wybuchy stają się coraz częstsze, jakby szukał w nich ulgi.

Wyjąłem z kieszeni dziesięciodolarowy banknot i rzuciłem go na stół.

- Zarobiłem parę dolców wczoraj wieczorem - powiedziałem niedbale.

Tato spojrział najpierw na pieniądze, potem na mnie. Oczy mu rozbłysły. Znałem ten objaw: tato doprowadzał się do wściekłości. Pochyliłem głowę nad talerzem i pospiesznie zacząłem opychać się owsianką. Chciałem uniknąć sceny która musiała nastąpić.

Przez chwilę tato siedział cicho, potem zgrzytnął mi w uszach jego dziwnie chrapliwy głos.

- Gdzie? Walczyłeś?

Przytaknąłem, nie podnosząc głowy znad talerza. Nadal pakowałem owsiankę do ust.

- Danny, chyba tego nie zrobiłeś! - Głos mamy był pełen niepokoju, na twarzy zastygł wyraz strapienia.

- Musiałem, mamuś - powiedziałem prędko. - Potrzebujemy forsy. Gdzie indziej możemy ją dostać?

Mama spojrzała na ojca. Był bardzo blady. Nadawało mu to niezdrowy, chorobliwy wygląd.

- Przecież ci mówiliśmy, że nie chcemy, byś to robił - zaprotestowała słabo mama. - Może ci się stać krzywda. W końcu jakoś sobie poradzimy.

Nie odrywałem wzroku od jej twarzy.

- Jak? - zapytałem rzeczowo. - Nie sposób znaleźć pracę. Musielibyśmy iść na zasiłek.

Miała zaciętą twarz.

- To i tak lepiej niż ryzyko, że cię zabiją.

- Ale, mamuś! - zaprotestowałem - Niczym nie ryzykuję. Mam już za sobą trzydzieści takich historii i największą raną, z jaką wyszedłem, było zadraśnięcie pod okiem, które zagoiło się w jeden dzień. Jestem ostrożny, a forsa sama wchodzi w ręce.

Spojrzała bezradnie na ojca. Dyskusja ze mną była pozbawiona sensu. Miałem rację.

Twarcz taty była teraz kompletnie biała, palce zaciśnięte na kubku z kawą drżały. Przyglądał mi się, ale nie zwracał się bezpośrednio do mnie, mówił do mamy.

- To ta jego dziewczyna - powiedział bezbarwnym, nieprzyjemnym tonem. - Ta *szikse*. To ona go namawia. Nie obchodzi jej, że on może zginąć, byle tylko miał w kieszeni dolara i mógł się z nią zabawić.

- Nieprawda! - wybuchnąłem. Od pierwszej chwili, kiedy go dzisiaj zobaczyłem, podświadomie wiedziałem, że coś takiego musi nastąpić. - Ona tego nie chce tak samo jak ty! Walczę, bo jest to jedyny znany mi sposób zdobycia paru dolców.

Zignorował mnie. Błyszczące, rozgorączkowane oczy zdawały się być jedynymi żyjącymi punktami w jego twarzy. Głos mroził pogardą.

- Włoska kurwa! - kontynuował z oczyma utkwionymi we mnie. - He musisz jej płacić za noce na klatkach schodowych i na rogach? Żydówka nie jest dla ciebie dość dobra?! Żydówka nie pozwoliłaby chłopakowi walczyć, żeby zdobywał dla niej pieniądze, nie pozwoliłaby, żeby syn stał się obcy dla swoich rodziców. Ile jej płacisz za to, co swojakom daje za darmo?

Poczułem, jak w miejsce palącego gniewu wstępuje we mnie zimna nienawiść. Wolno podniosłem się z miejsca i spojrzałem na niego z góry. Głos mi drżał.

- Nie mów tak, tato, nigdy więcej! Nie mów o niej takich rzeczy! Nie tam, gdzie mógłbym je usłyszeć!

Przed oczami mignęła mi blada, przerażona twarz Nellie, taka, jaką zobaczyłem, kiedy po raz pierwszy powiedziałem jej, że mam zamiar podłapać trochę forsy na boksie.

- To dobra dziewczyna - ciągnąłem z wysiłkiem. - Równie dobra jak którakolwiek z naszych dziewcząt, a lepsza niż większość. Nie zrzucaj na nią swoich własnych klęsk. To twoja wina, że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, nie jej. Pochyliłem się nad stołem z oczami utkwionymi w jego twarzy. Przez chwilę patrzył na mnie, potem spuścił wzrok i podniósł do ust kubek z kawą.

Mama położyła mi rękę na ramieniu.

- Siadaj i skończ śniadanie. Wystygnie.

Wolno opadłem z powrotem na krzesło. Nie byłem już głodny. Byłem zmęczony i piekły mnie oczy. Przejęty chłodem, pusty w środku, sięgnąłem po kawę i wypilem duszkiem, czując jak jej ciepło przepływa przez ciało rozgrzewając je od środka.

Mama przysiadła obok mnie. Przez jakiś czas w kuchni panowała napięta cisza. Wdarł się w nią głos mamy.

- Nie złość się na ojca, Danny - powiedziała miękko.

- Mówi tak dla twojego dobra. Martwi się o ciebie. Popatrzyłem na nią z uczuciem dziwnego bólu.

- To jest porządna dziewczyna, mamó - powiedziałem z goryczą. - Nie powinien tak o niej mówić.

- Ale w końcu to jednak *szikse* - mruknęła.

Nie zareagowałem. Po co?! Nigdy nie zrozumieją. Znałem mnóstwo Żydówek, które w najlepszym razie można było nazwać latawicami. Dlaczego miały być lepsze od Nellie?

- Może tato dostanie pracę i będziesz mógł skończyć z boksem - dodała z nadzieją.

Nagle poczułem się stary, straszliwie stary. To co mówiła, to były bajeczki dla grzecznych dzieci, już je słyszałem.

Równie dobrze mogli dowiedzieć się prawdy.

- Za późno, mamó - powiedziałem ze znużeniem. - Nie mogę się już wycofać.

- Co... co chcesz przez to powiedzieć? - głos jej drżał. Wstałem.

- Skończyłem z walkami w tych ruderach. Chłopcy z górnego miasta uważają, że jestem dobry. Ubiłem z nimi interes.

- Utkwiłem wzrok w twarzy ojca. - Wystartuję w „Złoty Rękawicach” i zacznę wyrabiać sobie nazwisko. Będą mi dawali stówę miesięcznie, a kiedy osiągnę odpowiedni wiek, przejdę na zawodowstwo.

Patrzyła na mnie z przerażeniem.

- Ale...

Było mi jej żal, jednak nic nie mogłem na to poradzić. Musieliśmy jeść.

- Żadnych ale, mamó! - przerwałem jej. - Ubiłem interes i już za późno, żeby się wycofać. Stowa miesięcznie to tyle, ile dostałby tato, gdyby pracował. Możemy z tego wyżyć.

Odwróciła się bezradnie w stronę ojca, z oczami pełnymi łez

- Harry, i co my teraz zrobimy?! - zawołała. - To jeszcze dziecko. A jeżeli coś mu się stanie? y

Tato nie spuszczał ze mnie wzroku, drgał mu mięsień w policzku. Wziął głęboki oddech.

- Niech walczy - rzekł ze wzrokiem utkwionym w mojej twarzy. - Mam nadzieję, że coś mu się stanie, to by mu dobrze zrobiło.

- Harry! - mama była wstrząśnięta. - To nasz syn! Jego oczy zwęziły się nieznacznie, palił mnie wzrokiem.

- Raczej jest synem czarta niż naszym - powiedział cichym, zawziętym głosem.

11

Wyszedłem z ciemnego korytarza mrużąc oczy w ostrym słońcu i przystanąłem na chwilę, rozkoszując się ciepłym, wiosennym powietrzem. Dom nie zdążył jeszcze otrząsnąć się z chłodu i wilgoci zimy, ale wiedziałem, że zanim się człowiek spostrzeże, zamieni się w cuchnący piec.

Czułem się wspaniale. Od czasu, kiedy zacząłem z Samem, minęły cztery miesiące. I to był dobry okres.

Przeszedłem przez eliminację do „Złotych Rękawic” i teraz do finałów w Gardens pozostała mi jedna walka, którą należało wygrać. A wygrywanie nie nastęczało mi żadnych trudności. , Nabrałem w płuca haust świeżego powietrza. Kołnierzyk

wpijał nu się w szyję, więc odpiąłem guzik. Spitzer miał bzika na punkcie treningu. Sam Gottkin zresztą też.

Wyciskali ze mnie siódme poty, ale mieli rację. Kondycja to była połowa zwycięstwa. ^

Gdyby tylko tato mógł zrozumieć, że jest to po prostu jeszcze jeden sposób zarabiania na życie, wszystko byłoby w idealnym porządku. Ale nie rozumiał, czepiał się bez przerwy zwalając winę na Nellie i powtarzając, że tylko męty zostają bokserami. Prawie już ze sobą nie rozmawialiśmy. Nie ustępował ani na krok. Był zbyt uparty, jak chociażby dziś rano, kiedy wychodziłem z domu.

Kiedy zjawiłem się w kuchni, czytał rozłożoną na stole gazetę. Nie podniósł głowy.

- Wrócę dzisiaj trochę później, mamusiu - powiedziałem

- Znow walczysz? - zapytała z niepokojem. Skinąłem głową.

- Półfinały. W Grove, w Brooklynie - w moim głosie brzmiała duma. - A potem finały w Gardens i koniec aż do przyszłego roku.

- Będiesz na siebie uważał, Danny? - zapytała z powątpiewaniem.

Uśmiechnąłem się ufnie.

- Nie martw się, mamusiu, nic mi się nie stanie

Na te słowa tato uniósł głowę znad gazety i odezwał się do mamy tak, jakby mnie tam nie było.

- Nie przejmuj się, Mary. Nic mu nie będzie. Posłuchaj co gazety mają o nim do powiedzenia.

I zaczął czytać cichym, zjadliwym głosem.

Oczekuje się, że Danny Fisher, niezwykle talent z East tndu chłopak z dynamitem w pięściach zrobi dziś następny krok w kierunku zdobycia mistrzostwa swojej grupy, spotykając się w półfinałach w Grove z Joeyem Passo. Fisher zwany z racji swojego rekordu czternastu czystych nokautów, „Zawadiaką ze Stanton Street” obserwowany jest uważnie przez cały bokerski świat '

Krążą pogłoski, że zdecydowany jest przejść na zawodowstwo, kiedy tylko osiągnie odpowiedni wiek.

Fisher, szczupły, jasnowłosy, mówiący cichym głosem

chłopak zmienia się w ringu w zimnego, bezlitosnego zabójcę, który obrabia przeciwników jak maszyna nie zdradzając litości ani żadnych innych uczuć.

Piszący te słowa nie ma cienia wątpliwości, że Fisher zapowiada się na najbardziej bezwzględnego amatora, jakiego kiedykolwiek widział. Możemy zapewnić kibiców, że jeżeli przyjdą dziś do Grove, nie pożałują tego. Zobaczą krew, posokę i gwałtowną śmierć, bo kiedy Fisher wprowadza do akcji pięści, to nie jest to nic innego jak „morderstwo”.

Tato pozwolił, żeby gazeta opadła z szelestem na stół i spojrzał na mamę.

- To wspaniałe uczucie, kiedy czyta się takie słowa o własnym synu: „zabójca, morderstwo, gwałtowna śmierć”.

Człowiek od razu zaczyna być dumny z takiego syna.

Mama spojrzała na mnie niepewnie. Widziałem, że jest wytrącona z równowagi.

- Danny, czy to prawda, co on o tobie pisze? Próbowałem ją uspokoić. Byłem zakłopotany.

- No co ty, mamó, wiesz jak to jest! Przecież ta gazeta sponsoruje turniej, więc chce to rozdmuchać, żeby sprzedać więcej biletów.

Nie wyglądała na przekonaną.

- Mimo wszystko, bądź ostrożny, Danny - nalegała. Tato roześmiał się krótko.

- Nie martw się, Mary - powiedział zjadliwie. - Nic mu nie będzie. Nie oberwie. Diabeł troszczy się o swoją własność. - Zwrócił się do mnie. - No dalej, zabójco!

- sztych. - Za dolca byłbyś gotów wymordować wszystkich swoich przyjaciół!

Były to jego pierwsze od tygodni słowa zwrócone bezpośrednio do mnie. Wysłuchałem już wystarczająco dużo wypowiedzianych na boku obelg i trzymałem język za zębami; nie miałem zamiaru znosić tego dłużej.

- Byłbym gotów, tato - powiedziałem przez zaciśnięte zęby

- ale tylko po to, żebyś mógł sobie tu siedzieć w kuchni na tłustej dupie i żreć za tego dolca.

Wypadłem z domu trzaskając drzwiami i pognałem w dół.

Teraz stojąc w ciepłych promieniach słońca poczułem się lepiej. Sprawdziłem godzinę. Obiecałem Spitzerowi, że będę na sali o czwartej. Zostało mi jeszcze dwadzieścia minut. Zbiegłem ze schodów i ruszyłem w stronę skrzyżowania.

Kiedy skręcałem za róg, ktoś zawołał mnie po imieniu. W bramie stał Spit i machał ku mnie ręką.

- Hej, Danny, chodź tu na chwilę!

- Nie mogę, Spit, jestem spóźniony - odkrzyknąłem nie zwalniając kroku.

Dogonił mnie i podniecony chwycił za ramię.

- Danny, mój szef chce cię zobaczyć. Spojrzałem na niego. - Kto? Fields?

- Właśnie. Pan Fields.

Głowa Spita podskakiwała w górę i w dół.

- Powiedziałem mu, że cię znam, a on na to - dostań go. Brama, z której wyszedł, była wejściem do sklepu. Na szlifowanej szybie wystawowej widniał napis:

REALIZACJA CZEKÓW - BIURO FIELDS A

- Okay - powiedziałem.

Na East Endzie nie lekceważyło się faceta takiego jak Maxie Fields. Chyba że komuś znudziło się życie.

Fields był w dzielnicy ważną personą. Polityka, hazard, lichwa - te rzeczy. Był na szczycie. Pamiętam, jak chłopcy z bandy zazdrościli Spitowi, kiedy powiedział nam, że jego wujek, księgowy, namówił Fieldsa, żeby zatrudnił Spita jako gońca. Z dumą pokazywał nam swoją kartę pracy i przechwalał się, że nie musi już chodzić do szkoły, że pewnego dnia będzie kimś jak Fields, podczas gdy my będziemy wypruwali sobie żyły próbując zarobić na życie. Odkąd dostał tę robotę, nie widywałem go często, a przy rzadkich spot-kanich nie mogłem dostrzec żadnych objawów dobrobytu. Wciąż nosił te same niechlujne ciuchy, koszule z plamami po ślinie, wyświechtane spodnie i brudne, zdarte buty.

Idąc za nim minąłem sklep, potem mały pokój podzielony na boksy niby sala bankowa. Kiedy szliśmy do drzwi w głębi pokoju, mężczyzna siedzący w jednym z boksów obrzucił nas obojętnym spojrzeniem. Minęliśmy pokój bukmacherów, gdzie paru facetów studiowało leniwie wielką tablicę. Nie

zwracali na nas uwagi. Spit otworzył następne drzwi, które prowadziły na schody. Zaprowadził mnie na pierwsze piętro, zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i cicho zapukał.

- Wejść! - zagrział czyjś głos.

Spit otworzył i wszedł do środka. Stałem w progu jak wryty, mrużąc oczy. Słyszałem o tym, ale właściwie nigdy nie wierzyłem. Pokój był jakby żywcem wyjęty z filmu, nie miał nic wspólnego z walącą się rudera.

Wyszedł nam na spotkanie potężny mężczyzna z czerwoną twarzą, wielkim brzuchem i największymi stopami, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać. Nikt nie musiał mi go przedstawiać; to był Maxie Fields. Nie spojrzał na mnie.

- Wydawało mi się, że ci mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać, Spit! - zagrział gniewnie.

- Ależ, panie Fields... - wyjąkał Spit. - Sam kazał mi pan przyprowadzić Danny'ego Fishera jak go zobaczę.

Odwrócił się do mnie. - To on?

Jego gniew zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Ty jesteś Danny Fisher? Skinąłem głową.

- A ja Maxie Fields - powiedział wyciągając rękę. Miał mocną, ciepłą dłoń. Za ciepłą. Nie spodobał mi się.

Odwrócił się do Spita.

- Okay, chłopcze. Spadaj. Uśmiech zniknął z twarzy Spita.

- Tak jest, panie Fields - rzucił pospiesznie i drzwi się za nim zamknęły.

- Chciałem się z tobą spotkać - rzekł Fields wracając na środek pokoju. - Dużo o tobie słyszałem.

Usiadł ciężko w fotelu.

- Masz ochotę na drinka? - zapytał niedbale.

- Nie, dzięki - odparłem. Może facet nie był taki zły, mimo wszystko. Przynajmniej nie traktował mnie jak śmiecia. -

Mam dzisiaj walkę - dodałem szybko.

Oczy mu rozbłyły.

- Widziałem cię w zeszłym tygodniu. Dobry jesteś. Sam to szczęściarz.

Byłem zaskoczony.

- Zna go pan?

- Znam wszystkich i wiem wszystko - odparł uśmiechając się. - Nie dzieje się tu nic, o czym bym nie wiedział. Nie ma tajemnic przed Maxie Fieldsem.

Słyszałem o tym. Teraz w to uwierzyłem. Skinął na mnie ręką.

- Siadaj, Danny, chcę z tobą porozmawiać. Nie ruszyłem się z miejsca.

- Muszę lecieć, panie Fields. Spóźnię się na salę.

- Powiedziałem: usiądź! - głos był przyjacielski, ale pojawił się w nim ton rozkazu.

Usiadłem. Przyglądał mi się przez chwilę, potem odwrócił głowę i krzyknął w stronę sąsiedniego pokoju:

- Ronnie! Przynies mi drinka! - znów na mnie popatrzył.

- Na pewno nie chcesz?

Potrząsnąłem głową i uśmiechnąłem się. Nie było sensu go drażnić. W tym momencie do pokoju weszła młoda kobieta z drinkiem. Znowu zamrugąłem oczami. Ta pani z pewnością nie wychowała się na East Endzie. Podobnie jak apartament, należała do górnego miasta.

Podeszła do fotela, w którym siedział Fields.

- Proszę, Maxie - i spojrzała na mnie z ciekawością. Fields opróżnił szklanekę prawie jednym haustem, odstawił ją i otarł usta rękawem.

- Chryste, ale mi się chciało pić - oświadczył.

Nie odezwałem się, patrzyłem na dziewczynę stojącą obok fotela. Roześmiał się. Wyciągnął rękę i klepnął ją w pośladek.

- Spływaj, Ronnie - powiedział jowialnie. - Rozpraszasz mojego przyjaciela, a ja chcę z nim porozmawiać.

Odwróciła się bez słowa i wyszła z pokoju. Czuję jak rumieniec oblewa mi twarz, ale nie mogłem oderwać od niej wzroku, dopóki nie zamknęły się za nią drzwi. Wtedy spojrzałem na Fieldsa.

Uśmiechał się.

- Masz dobry gust, chłopcze - rzekł serdecznie - ale na ten gatunek trzeba sporo pieniędzy. Przy tej kategorii stajesz się lżejszy o dwadzieścia dolarów z każdą mijającą godziną.

Otworzyłem szeroko oczy. Nie sądziłem, że bywają takie kosztowne panienki.

- Nawet, jeżeli serwuje tylko drinki? - zapytałem.

Ryknął śmiechem na cały pokój.

- Jesteś okay, Danny! Lubię cię - stwierdził, kiedy już przestał się śmiać.

- Dzięki, panie Fields. Pociągnął następny łyk ze szklanki.

- Wygrasz dzisiaj, chłopcze? - zapytał.

- Tak myślę, panie Fields - odparłem zastanawiając się, czego on chce.

- Ja też myślę, że wygrasz - powiedział. - I tak samo myśli mnóstwo osób. Wiesz, wielu ludzi tutaj uważa, że zdobędziesz mistrzostwo.

Uśmiechnąłem się. Być może, mój ojciec uważał, że nie jestem wiele wart, ale mnóstwo ludzi myślało inaczej.

- Mam nadzieję, że się nie mylą - powiedziałem skromnie.

- Nie sądzę. Chłopcy na dole mówią, że zebrali w dzielnicy coś koło czterech kawałków w zakładach na ciebie. To kawał forszy, nawet jak dla mnie, ale wyglądasz na właściwego faceta i teraz, kiedy cię poznałem, nie żałuję.

Jak na niego było to długie przemówienie i kończył je z zadyszką. Podniósł szklankę i opróżnił do dna.

- Nie sądziłem, że obstawia pan amatorów - odezwałem się.

- Obstawiamy wszystko. Na tym polega nasz interes. Fields bierze wszystko - zakończył śpiewnie śmiejąc się.

Zaczyznałem odczuwać oszołomienie. Do czego byłem mu potrzebny? Zastanawiałem się, o co mu chodzi.

Siedziałem w milczeniu.

Śmiech Fieldsa urwał się nagle. Pochylił się i klepnął mnie w kolano.

- Jesteś w porządku, chłopcze i lubię cię. Odwrócił głowę.

- Ronnie! Przynieś mi jeszcze drinka.

Dziewczyna wróciła do pokoju niosąc szklankę. Patrzyłem na nią. Postawiła drinka i ruszyła ku drzwiom.

- Nie odchodź, dziecinko - zawołał za nią Fields. Odwróciła się i spojrzała na nas.

Fields łyknął na mnie.

- Lubisz to, prawda, chłopcze?

Czułem, że twarz mi płonie. Uśmiechnąłem się szeroko.

- No więc, lubię cię, chłopcze i coś ci powiem. Wygrasz dzisiaj i potem tu wrócisz. To będzie na ciebie czekało i ja funduję. Co ty na to?

Przełknąłem głośno ślinę. Próbowałem coś powiedzieć, ale słowa uwieźły mi w gardle. Nie widziałem nic złego w tym, co proponował, ale jednocześnie coś mi mówiło, że to nie dla mnie. Nellie zmieniała wiele spraw.

Fields obserwował mnie uważnie.

- Nie wstydź się, chłopcze - pokazał zęby w uśmiechu. - Ona się nie wstydzi.

Odzyskałem głos.

- Dzięki, panie Fields, ale nie - wyjąkałem. - Mam dziewczynę, a poza tym trenuję.

- Nie bądź idiotą, chłopcze! - Oburzył się. - To cię nie zabije.

Zwrócił się do dziewczyny.

- Ściągaj sukienkę, Ronnie! Pokaż chłopakowi, co traci.

- Ależ, Max! - zaprotestowała. Jego głos był teraz zimny i ostry.

- Słyszałaś, co powiedziałem.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Sięgnęła do pleców, odpięła guzik i sukienka opadła na podłogę. Fields wydostał się ze swojego fotela i podszedł do niej. Wyciągnął ręce i położył dłonie na jej piersiach. Wykonał szybki ruch i biustonosz został mu w ręku.

Odwrócił się do mnie.

- Przypatrz się dobrze, chłopcze. To najlepszy kawałek ciała w mieście. I co powiesz?

Byłem już na nogach i przesuwałem się wolno ku drzwiom. Było w tym facecie coś, co napawało mnie lękiem.

- Nie, dzięki, panie Fields. Odnalazłem dłońią klamkę.

- Muszę lecieć. Spóźnię się na salę. Uśmiechnął się do mnie.

- Okay, chłopcze, jak sobie zyczysz. Ale pamiętaj, oferta jest aktualna w każdej chwili.

- Dzięki, panie Fields.

Spojrzałem na dziewczynę. Stała tam z twarzą jak maska. Nagle zrobiło mi się jej żal. Dwadzieścia papierów za godzinę

to kupa forsy, ale nie można kupić za nią godności. Albo się ją ma, albo się jej nie ma. Uśmiechnąłem się do niej niepewnie.

- Do widzenia, pani.

Twarz oblał jej nagły rumieniec i odwróciła się ode mnie. Byłem już za drzwiami i zaczynałem je zamykać.

- Do widzenia, panie Fields - rzekłem. Nie odpowiedział.

Zatrzasnąłem szybko drzwi i zbiegłem ze schodów. Ten facet to zboczeniec. Zupełny czubek. Cieszyłem się, że mogę wyjść na zewnątrz. Po paru minutach spędzonych z nim w tamtym pokoju nawet brudne ulice wydawały się czyste. Ale idąc w stronę sali gimnastycznej czułem, że nie jest to nasze ostatnie spotkanie.

Wróciłem do swego narożnika na sztywnych nogach. Czerwone jak befsztyk ciało pulsowało bólem. Wolno osunąłem się na stołek. Pochyliłem się do przodu, łapiąc chciwie powietrze szeroko otwartymi ustami.

Zep klęczał przede mną przykładając mi mokry ręcznik do czoła. Pan Spritzer masował mi boki, jego dłonie poruszały się powolnymi, okrężnymi ruchami.

Zep spojrzał mi w twarz.

- Dobrze się czujesz, Danny?

Skinąłem ostrożnie głową. Nie chciałem mówić, musiałem oszczędzać oddech. Coś nawaliło. Ta walka to miał być pewniak. Nie mogłem tego zrozumieć. Według tego, co pisały gazety, powinienem był go załatwić w drugiej rundzie, a tu zbliżała się trzecia, mnie zaś nie udało się zadać jednego porządnego ciosu.

- Nic mu nie jest, panie Spritzer? - w głosie Zepa brzmiał niepokój.

Głos Spritzera był oschły. Przenarł się przez mgłę, która wypełniała mi głowę.

- Nic. Naczytał się za dużo gazet, to wszystko. Poderwałem głowę. Wiedziałem, o co mu chodzi. I miał rację; byłem zbyt pewny siebie. Uwierzyłem we wszystko, co o sobie przeczytałem. Po drugiej stronie ringu siedział w swoim narożniku Passo, oddychał lekko i spokojnie, światła lśniły ostro na jego hebanowej skórze.

Rozległ się dzwonek, poderwałem się na nogi i wyszedłem na środek ringu. Passo zbliżał się do mnie pewny siebie, z czymś w rodzaju uśmiechu na ustach. Znałem ten uśmiech. Czulem go na własnej twarzy wiele razy, kiedy wiedziałem, że mam wygraną walkę. Wzbierała we mnie złość. Ten uśmiech gościł dzisiaj na niewłaściwej twarzy. Z pasją strzeliłem prawą.

W boku wybuchnął mi gejzer bólu. Nie trafiłem i Passo dołożył mi lewą po nerkach. Opuściłem ręce, żeby osłonić boki. W twarzy eksplodował mi flesz.

Potrząsałem głową, żeby odzyskać jasność widzenia. Przed oczyma latały mi ciemne plamy, jakbym przed chwilą wpatrywał się w słońce. Płynął ku mnie jakiś głuchy dźwięk.

- Pięć!

Odwróciłem głowę i spojrzałem w stronę źródła dźwięku.

Ręka sędziego szła znowu w górę, usta formułowały już następne słowo. Spojrzałem w dół i ogarnęło mnie tępe zdumienie. Co robiłem na czworakach? Przecież nie upadłem. Gapiłem się na biały, połyskujący brezent.

- Sześć!

Nagle doznałem szoku. Liczył mnie! Nie wolno mu tego robić. Niepewnie gramoliłem się na nogi.

Sędzia chwycił mnie za ręce i wytarł mi rękawice o swoją koszulę. Kiedy się odsunął, tłum zawył. To wycie brzmiało jakoś inaczej. Dzisiaj nie krzyczeli dla mnie, krzyczeli dla Passo. Krzyczeli do niego, żeby mnie wykończył.

Sklinczowałem. Ciało Passo było mokre od potu. Łapałem oddech, wdzięczny za chwilę wytchnienia. Sędzia nas rozdzielił.

Znowu ból rozdarł mi bok, potem drugi. Ciemna twarz Passo tańczyła mi przed oczyma. Uśmiechał się. Szedł ku

mnie. Jego rękawice połyskiwały, szarpały mi ciało. Musiałem od nich uciec, rozdzierały mnie do kości. Spojrzałem rozpaczliwie w stronę swojego narożnika.

Napotkałem wpatzone w siebie, szeroko otwarte, pełne przerażenia oczy Zepa. Odwróciłem szybko głowę w stronę Passo. Cios nadlatywał. Nokautujący. Widziałem go. Nadlatywał z dręczącą powolnością. Targnął mną szaleńczy strach. Musiałem go zatrzymać. Trzasnąłem dziko, desperacko w jego odkrytą szczękę.

Nagle Passo zaczął się osuwać. Szedłem na niego potykając się. Sędzia zawrócił mnie i pchnął w stronę narożnika. Po twarzy płynęły mi łzy bólu. Musiałem się stamtąd wydostać, nie mogłem dłużej tego znieść.

Zep przechodził przez liny śmiejąc się całą gębą. Spojrzałem na niego osłupiały. Co go tak cieszyło?! Było po wszystkim i przegrałem. Ogarnęło mnie uczucie ulgi, byłem szczęśliwy, że to się skończyło. Nic innego nie miało znaczenia.

Leżałem na stole do masażu z głową ukrytą w ramionach. Dłonie Spritzera przesuwają się wprawnie po moich plecach. Ból ustępował powoli i ogarnęło mnie uczucie komfortu. Byłem zmęczony. Zamknąłem oczy.

Słyszałem jak Zep stawia butelkę ze spirytusem do nacierania i dobiegł mnie jego głos.

- Nic mu nie będzie, panie Spritzer? Dłonie Spritzera ugniatały wciąż moje plecy.

- Nic mu nie będzie. Jest młody, twardy i z jajami.

Nie poruszyłem się. Przynajmniej nie miał do mnie żalu, że przegrałem. Ktoś zapukał i Zep otworzył drzwi. Usłyszałem czyjeś ciężkie kroki.

- Jak on się czuje, Moe? - w głosie Sama brzmiał niepokój.

- W porządku, nic poważnego - odparł flegmatycznie trener.

- Więc co się, do cholery, stało? - Głos Sama był ochrypły z wściekłości. - Był dziś do niczego. Dostał cholerne lanie.

- Uspokój się, Sam - powiedział cierpliwie Spritzer. - Chłopak zaczynał właśnie wierzyć w to, co pisały o nim gazety i tyle. Wyszedł na ring myśląc, że wystarczy mu spojrzeć na Passo i będzie po wszystkim.

- Ale to ty jesteś od tego, żeby go trzymać w formie. - Głos Sama był nadal ostry.
- Są rzeczy, których nawet ja nie mogę zrobić - odpowiedział Spritzer. - Spodziewałem się tego wcześniej, ale teraz chłopak będzie już w porządku. Dostał nauczkę.
Usłyszałem zbliżające się kroki Sama i poczułem na głowie lekki dotyk jego ręki. Zwichrzył mi delikatnie włosy. Nadal miałem zamknięte oczy. Poczulem się trochę lepiej; nie był na mnie zły.
Ostatni ślad szorstkości zniknął z jego głosu; była w nim teraz nuta dumy.
- Moe, widziałeś ten ostatni cios, którym dołożył czarnuchowi? Był morderczy!
- Prawie - odpowiedział trzeźwo Spritzer. - Chłopak ma szczękę złamaną w dwóch miejscach.
Odwróciłem się szybko na wznak i usiadłem. Wszyscy trzej wytrzeszczyli na mnie oczy.
- To prawda? - zapytałem. Zep skinał głową.
- Dostałem wiadomość parę minut temu, Danny.
- To znaczy ja... że wygrałem? - ciągle nie mogłem w to uwierzyć.
Sam się uśmiechnął.
- Tak, chłopcze, wygrałeś.
Osunąłem się z wolna na stół, ale nie było we mnie uczucia triumfu. W głowie rozbrzmiewały mi słowa mojego ojca:
- No dalej, zabójco. Za dolca byłbyś gotów wymordować wszystkich swoich przyjaciół.

Zatrzymaliśmy się na rogu Delancey i Clinton. Było parę minut po północy. Światła w oknach sklepów nadal płonęły jasno, a tłum ciągle jeszcze zapełniał chodniki.
- Możesz dojść do domu, Danny? - zapytał Zep.
- Jasne, że tak - roześmiałem się. Ból prawie minął pozostawiając po sobie jedynie dokuczliwe pieczenie pleców i boków. - Nie przesadzaj.
Spritzer przyjrzał mi się uważnie.

- Jesteś pewny, chłopcze?
- Nie mówiłbym, że mogę, gdybym nie mógł, panie Spritzer. Nic mi nie jest.
- Okay, skoro tak uważasz - powiedział szybko. - Ale zrób, jak ci mówiłem. Wyśpij się dobrze i zostań jutro w łóżku, jak długo będziesz mógł. Nie zwracaj sobie głowy przychodzeniem na salę, aż do pojutra.
- Tak zrobię, panie Spritzer - obiecałem. Zwróciłem się do Zepa. - Powiedz Nellie, że przyjdę jutro wieczorem.
- Okay, Danny, powiem.

Zostawiłem ich na rogu i ruszyłem ulicą Clinton w stronę domu. Odetchnąłem głęboko. Tym razem było blisko. A Spritzer miał rację. Czytałem za dużo gazet. Po tym, co się dzisiaj stało, już nie będę. Skręciłem za róg i szedłem w stronę domu.

Z ciemnej bramy wynurzyła się czyjaś postać.

- Danny! To był Spit.
- Czego chcesz? - zapytałem niecierpliwie. Marzyłem tylko o tym, by dostać się do łóżka.
- Pan Fields chce cię zobaczyć - odpowiedział.
- Powiedz mu, że jestem wykończony - odparłem prędko, próbując go wyminąć. - Powiedz mu, że spotkam się z nim innym razem.

Spit złapał mnie za ramię.

- Lepiej chodź, Danny - powiedział. - Fields to nie jest facet, którego można spławić. Może coś zrobić, żeby uprzykrzyć ci życie - mrugał gwałtownie powiekami, jak zawsze kiedy był podniecony. - Lepiej chodź ze mną - powtórzył. Namyślałem się przez chwilę. Nie należało się opierać, kiedy pan Fields wzywał. Musiałem iść, ale miałem zamiar spędzić tam tylko parę minut i wyjść.
- Okay - odburknąłem.

Ruszyłem w ślad za Spitem w stronę rogu. W bramie za sklepem Fieldsa Spit wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Wszedłem za nim na klatkę schodową. Odwrócił się i podał mi klucz.

- Idź na górę - powiedział. - Wiesz, które drzwi. Spojrzałem na klucz, potem na niego.

- Ty nie idziesz? Potrząsnął głową.

- Nie. Powiedział, że chce widzieć tylko ciebie. Nie dzwoń, otwórz sobie sam.

Wcisnął mi szybko klucz do ręki i zniknął na ulicy.

Gapilem się za nim, a potem spojrzałem na trzymany w rękę klucz. Migotał jasno w oświetlonym korytarzu. Wziąłem głęboki oddech i wolno ruszyłem schodami na górę.

13

Klucz obrócił się lekko w zamku i drzwi niemal bezszelestnie otworzyły się na oścież. Stałem w progu, rozglądając się po pokoju. Był pusty. Zawahałem się na chwilę. Coś tu wydawało się nie tak i nagle zrozumiałem co - zapalone światła.

Miałem zwyczaj gasić je za sobą - Edison zarabiał wystarczająco dużo pieniędzy. A w tym pokoju paliły się wszystkie światła, mimo że nikogo nie było. Wszedłem do środka zostawiając za sobą otwarte drzwi.

- Panie Fields! - zawołałem. - To ja, Danny Fisher! Chciał pan się ze mną widzieć?

Drzwi w głębi pokoju otworzyły się i stanęła w nich dziewczyna, którą widziałem wcześniej.

- Zamknij za sobą, Danny - rzekła cicho. - Pobudzisz sąsiadów.

Odruchowo zatrzęsłem drzwiami.

- Gdzie jest pan Fields? - zapytałem. - Spit mówił, że chce się ze mną widzieć.

- I dlatego przyszedłeś? - spytała tonem, w którym przebijało niedowierzenie.

Gapilem się na nią. Nagle przypomniałem sobie zaproszenie Fieldsa i oblałem się rumieńcem.

- Dlatego - odburknąłem. - Gdzie on jest? Chcę się z nim zobaczyć i iść spać. Jestem śmiertelnie zmęczony.

Uśmiech przemknął jej po twarzy.

- Mówisz serio?

- Oczywiście, że mówię serio - powiedziałem zimno. - Zaprowadź mnie do niego. Chcę to już mieć za sobą.

-- W porządku - zgodziła się. - Chodź ze mną.

Poprowadziła mnie przez małą kuchenkę, minęła drzwi łazienki i weszła do sypialni. Zapaliła światło i wskazała na łóżko.

- Jest tutaj. Wspaniały Maxie Fields w całej okazałości. Skurwiel! - W jej głosie była czysta, miazdząca nienawiść. Spojrzałem na łóżko. Leżał na nim rozwalony, głęboko uspiiony Fields. Rozpięta do pasa koszula ukazywała gęstwinę ciemnych włosów porastających pierś. Oddychał ciężko, z jednym ramieniem zarzuconym na twarz. W pokoju unosił się silny odór alkoholu. Spojrzałem na dziewczynę.

- Odpłynął? - stwierdziłem na wpółpytająco.

- Odpłynął - potwierdziła z zawziętością. - Tłusta świnia! Wycofałem się z sypialni oddając jej klucz.

- Daj mu to i powiedz, że nie mogłem czekać. Zobaczę się z nim kiedy indziej.

Szedłem już do wyjścia, kiedy mnie zawołała.

- Poczekaj chwilę - powiedziała szybko. - Nie odchodź. Kazał mi cię zatrzymać, aż się obudzi.

- Chryste! - wybuchnąłem. - On jest skończony na dzisiaj. Nie mogę czekać!

Skinęła głową.

- Wiem, ale mimo to poczekaj trochę, żeby to lepiej wyglądało. Jeżeli teraz odejdziesz, dowie się, że cię nie zatrzymałam i będzie wściekły.

- Skąd się dowie? - zapytałem. - Jest stracony dla świata.

- Wiem, co mówię - rzekła cicho. Podeszła do okna i uniosła listewkę drewnianej żaluzji.

- Chodź i zobacz.

Wyrząłem przez okno, ale nic nie zobaczyłem.

- Co? - zapytałem.

- Tam, w bramie sklepu po przeciwnej stronie.

Krył się tam niewyraźny cień i żarzył koniuszek papierosa. Wyjeżdżający zza rogu samochód omiótł światłami mroczną bramę i zobaczyłem stojącego w niej Spita.

Opuściłem żaluzję i odwróciłem się do dziewczyny.

- No więc, obserwuje - powiedziałem. - I co z tego?

- Powie Fieldsowi, jak długo tu byłeś.

- I co z tego? - pytałem zniecierpliwiony. - On i tak jest nieprzytomny. Nie mogę czekać aż otrzeźwieje. - Znowu ruszyłem ku drzwiom.

Złapała mnie za ramię, a na jej twarzy malował się strach.

- Chłopcze, zlituj się - poprosiła z nutą desperacji w głosie. - Posiedź chwilę. Żeby to jakoś wyglądało. Nie znasz tego faceta. Jeżeli się dowie, że cię nie zatrzymałam, będę miała ciężkie życie.

W szeroko otwartych oczach czaił się lęk, ręka na moim ramieniu drżała. Przypomniałem sobie, jak było mi jej żal, kiedy ją przedtem widziałem.

- Okay - powiedziałem. - Zostanę. Szybko opuściła rękę.

- Dzięki, Danny - powiedziała z ulgą.

Usiadłem na kanapie, opierając się ze znużeniem o poduszki. W ciele znów pulsował ból.

- Chryste, jaki ja jestem zmęczony - powiedziałem. Podeszła do kanapy i spojrzała na mnie ze współczuciem.

- Wiem, Danny - rzekła miękko. - Widziałam walkę. Może zrobić ci kawę?

Spojrzałem na nią z zaciekawieniem.

- Nie, dzięki. Widziałaś walkę? Skinęła głową.

- Maxie mnie tam zabrał.

Poczułem ukłucie bólu w plecach i poruszyłem się niespokojnie.

- Co on w tym ma? - zapytałem ze znużeniem. Nie odpowiedziała na moje pytanie.

- Jesteś zmęczony. Dlaczego się nie wyciągniesz? Byłoby ci wygodniej.

To była niezła myśl. Zapadłem się w miękkie poduszki i na chwilę zamknąłem oczy. Ta kanapa wydawała się bardziej miękka niż moje łóżko. Życie było piękne, kiedy miało się forszę. Usłyszałem trzask kontaktu i otworzyłem oczy. Zgasiła górne światło; teraz palił się tylko kinkiet na ścianie. Sadowiła się właśnie w fotelu naprzeciwko kanapy, w rękę trzymała drinka.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - odezwałem się. Podniosła szklankę i upiła łyk.

- Nie mogę - odpowiedziała. - Nie wiem.

- Musiał ci coś powiedzieć - upierałem się. Uniosłem się na łokciu. Nagły ból w plecach sprawił, że głośno jęknąłem. Klęczała już przy kanapie obejmując mnie ramieniem.

- Biedactwo - powiedziała miękko. - Jesteś pobity.

- Bolał mnie plecy - przyznałem siląc się na uśmiech. - Porządnie oberwałem.

Zsunęła mi dłoń na plecy masując je delikatnie. Spojrzała na zegarek.

- Połóż się - powiedziała łagodnie. - Jest wpół do pierwszej, jeszcze pół godziny i będziesz mógł iść. Pomasuję ci plecy.

Wyciągnąłem się na kanapie czując na sobie jej dłonie. Ich dotyk był lekki i kojący.

- Dzięki - odezwałem się. - Teraz mi dobrze. Klęczała ciągle z twarzą tuż przy mojej. Uśmiechnęła się nagle.

- Cieszę się - odparła.

Pochyliła się szybko i pocałowała mnie. Byłem zaskoczony i aż zeszywniałem z zakłopotania. Natychmiast się cofnęła.

- To mój sposób dziękowania - wyjaśniła. - Jesteś dobrym chłopcem, Danny.

Gapilem się na nią. W głowie miałem chaos.

- Nie powinnaś tego robić - powiedziałem. - Mam dziewczynę. A poza tym, to jest właśnie to, czego on chce, a ja nie lubię być do niczego zmuszany.

- Nie chcesz?

- Tego nie powiedziałem - zaprzeczyłem. - Powiedziałem tylko, że to jest to, czego on chce i że nie wiem, co on w tym ma.

Oczy miała szeroko otwarte.

- A jeżeli powiem ci, że to sprawa między nami? Że on się nigdy nie dowie?

Usiłowałem przeniknąć wyraz jej oczu.

- Nie uwierzyłbym.

- A uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała, że nienawidzę każdego skrawka jego ciała? - W jej głosie była szczerść.

- Płaci ci za twój czas - powiedziałem beznamiętnie. - Przy takiej forsie w nic nie wierzę.

Umilkła na chwilę, potem spuściła wzrok na podłogę.

- Uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała, czego on od ciebie chce?

Milczałem. Patrzyłem na nią obojętnie, czekając aż zacznie mówić.

- Chce, żebyś przegrał następną walkę. Straci mnóstwo pieniędzy, jeżeli wygrasz - odezwała się cicho.

Pokiwałem głową. Właśnie czegoś takiego się spodziewałem.

- Powinien mieć więcej oleju w głowie - mruknąłem. Chwyciła mnie za ramię.

- Nie znasz go - szepnęła z goryczą. - Jest zły i nikczemny. Nic go nie powstrzyma. Powinieneś był go widzieć podczas meczu, kiedy brałeś cięgi. Śmiał się, szczęśliwy jak nigdy. Świetnie się bawił, dopóki nie znokautowałeś tego chłopca. Gdybyś przegrał, nie zwracałby sobie tobą głowy.

Roześmiałem się krótko.

- Wygrałem i nic już nie może na to poradzić. Zacisnęła palce na moim ramieniu.

- Jesteś tylko chłopcem, Danny, i nie znasz go. Nic go nie powstrzyma. Jeżeli w taki czy inny sposób nie zdoła cię kupić, powie swoim chłopakom, żeby się tobą zajęli. Wtedy nie będziesz zdolny do walki.

Patrzyłem na nią zaciskając wargi.

- A w którym momencie ty wchodzisz?

Nie musiała odpowiadać. Nie różniła się niczym od innych ludzi. Nikt nie miał szans w walce z nadzianym facetem.

Ciągle ta sama historia, myślałem z goryczą. Teraz znałem już wszystkie odpowiedzi.

Trzymanie się Sama i boksu było dla mnie jedynym wyjściem, jedyną szansą ucieczki przed wyrośnięciem na jednego z tych przeciętnych anonimowych ludzi, którzy krążą po ulicach miasta, i na których brak nigdy się nie narzeka. To była moja jedyna szansa zdobycia forszy.

Usiadłem ostrożnie. Wśliznęła się na miejsce obok mnie z oczyma ożywionymi współczuciem. Wiedziała, o czym myślę.

- Teraz mi wierzysz? - zapytała. - Jedziemy oboje na tym samym wózku.

Skinąłem głową w milczeniu, podniosłem się z kanapy i podszedłem do okna. Uniosłem żaluzje i zerknąłem na ulicę. Spit stał ciągle w bramie pałac papierosa.

- Ciągle tam jest?

- Mhm - mruknąłem niemrawo. Spojrzała na zegarek.

- Jeszcze piętnaście minut i możesz iść. Równie dobrze możesz spędzić je siedząc.

Osunąłem się na fotel naprzeciwko niej czując zmęczenie w każdym skrawku ciała.

- Co masz zamiar zrobić, Danny? - zapytała.

- Nic - wzruszyłem ramionami. - Co mogę zrobić? Podeszła do mnie i przysiadła na poręczu fotela. Gładziła mnie dłonią po czole. Zamknąłem oczy ze znużeniem.

- Biedny Danny - powiedziała łagodnie. - Nic nie możesz zrobić, nikt nic nie może zrobić.

Nagle w jej głosie pojawiła się gorycz. - Ma ciebie, tak jak ma mnie, i wszystkich wokół siebie. Jak wampir wysysający krew, żyjący z tego co go otacza - łzy popłynęły jej z oczu.

- Płaczesz?! - zdziwiłem się.

- No więc, płaczę - patrzyła na mnie wyzywająco. - Znasz prawo zabraniające dziwce płakać? A może myślisz, że to także by mu się nie spodobało?

- Przepraszam - powiedziałem szybko. To nie była jej wina. Oboje byliśmy zgubieni, żadne z nas nie mogło uciec. Nie było sensu się oszukiwać. Nie mogliśmy wygrać.

Położyłem dłoń na jej ramieniu i przyciągnąłem ją do siebie. Pocałowałem ją. Wargi miała miękkie, czułem pod nimi jej zęby. Leżała teraz na moich kolanach patrząc mi w twarz. W jej szeroko otwartych oczach widać było zaskoczenie.

- Danny! - powiedziała łagodnie - Mówiłeś, że masz dziewczynę?

- Mam - roześmiałem się ponuro. - Ale to ty jesteś tutaj, nie ona. - Pocałowałem ją jeszcze raz. - Jak masz na imię? - zapytałem nagle.

- Ronnie - odparła. - Ale to nie jest moje prawdziwe imię. Nazywam się Sarah. Sarah Dorfman. Chcę, żebyś o tym wiedział.

- Co to za różnica? - roześmiałem się z goryczą. - Ważne jest tylko to, że skoro muszę zrobić to, czego on chce, równie dobrze mogę wziąć wszystko, co ma mi do zaoferowania.

Objęła mnie za szyję i przyciągnęła do siebie. Czulem jej usta przy uchu.

- Mogę ci dać coś takiego Danny, czego on nigdy nie dostanie, bez względu na cenę, jaką byłby gotów zapłacić.

Dotknęła wargami moich ust. Poszukałem dłońmi jej ciała. Płakała cicho.

Potem napięcie opadło, rozmyte w gorączcze pożądania. Leżeliśmy cicho, czując na policzkach swoje przyspieszone oddechy. Wpatrywała się w moją twarz. Wiedziałem, że zrozumiała.

- Weźmiesz od niego pieniądze? - zapytała z odcieniem rozczarowania w głosie.

Spojrzałem na nią.

- Nie wiem - odparłem z goryczą. - Nie wiem, co zrobię.

14

Zamknąłem za sobą drzwi i wyszedłem na ulicę. Czulem na twarzy chłód nocnego powietrza. Było świeże, pachnące i miało takie pozostać jeszcze przez parę krótkich godzin •- dopóki ulica nie zacznie się budzić. Wtedy znów stanie się lepkie, a jego smak w ustach - nie do zniesienia.

Wpadł mi w oko błysk tłącego się w bramie papierosa. Przeszedłem szybko przez jezdnię. Rozsadzała mnie wściekłość. Spit ciągle stał w bramie, ze stosem petów rozsianych wokół nóg. Patrzył na mnie z przerażeniem w oczach.

- Dasz mi fajkę, co, Spit? - Mój głos był zimny, rozbrzmiewał głucho na pustej ulicy.

- Jasne, Danny - odpowiedział podenerwowany, podsuwając mi paczkę.

Wziąłem jednego.

- Ogień.

- Jasne, Danny - drżącą ręką wyciągnął zapalną. Zamigotała, a potem rozbłysła płomieniem, rzucając tańczące cienie na jego twarz.

Zaciągnąłem się głęboko. Smakował mi, od ostatniego papierosa upłynęło już tyle czasu. Pan Spritzer, nalegał żebym nie palił, ale teraz nie miało to już znaczenia.

- Widziałeś się z nim, Danny? - w głosie Spita był niepokój.

Przyjrzałem mu się. Miał inteligentny, wszystkowiedzący wyraz twarzy. Nawet on wiedział, czego chce Fields.

Czułem, jak narasta we mnie wściekłość. Cały świat wiedział, czego chce Fields, a ja wiedziałem co zrobię. Nikt nie oczekiwał ode mnie niczego innego. Byłem po prostu jeszcze jednym nieudacznikiem. Nie miałem szans.

- Nie - odpowiedziałem z nagłym napięciem w głosie. - Był już zimny. Pijany w trupa.

- Byłeś tam przez cały czas sam z panienką? - W głosie Spita obok zrozumienia sytuacji, była i ciekawość.

Skinąłem głową w milczeniu. Ona także nienawidziła Fiel-dsa, ale nie mogła nic z tym zrobić. Byliśmy w potrzasku, dokładnie tak, jak powiedziała. Nie mogliśmy od niego uciec. Trzymał w ręku wszystkie karty.

Zgrzytnął mi w uszach podniecony głos Spita.

- Przespałeś się z nią, Danny?

Obrzuciłem go szybkim spojrzeniem. Ślina ciekła mu z kącików ust wartkim strumieniem, wyglądał obleśnie.

Jakbym widział Maxie Fieldsa płaczącego się w cieniu za jego plecami. Chwyciłem go za koszulę i przyciągnąłem do siebie.

- A jeżeli nawet? - zapytałem ostro, przypominając sobie co powiedziała Ronnie: „Mogę ci dać coś takiego, Danny, czego on nigdy nie dostanie, bez względu na cenę, jaką byłby gotów zapłacić”.

- A jeżeli nawet? - powtórzyłem z wściekłością. Nie jego interes.

Szamotał mi się w rękach.

- Nic, Danny, nic - patrzył na mnie z przerażeniem. Puść mnie!

Wpatrywałem się w niego zimno.

- Dlaczego? - spytałem, nie puszczając jego koszuli.

- Jestem twoim przyjacielem, Danny - wy stękał, kołnierzyk zacisnął mu się nagle wokół szyi i zaczął go dusić. - Czy nie przyprowadziłem cię do Fieldsa? Nie dałem ci okazji zarobienia szmalu?

Roześmiałem się. To było coś. Mój przyjaciel. Znowu się roześmiałem i puściłem go.

Odsunął się spoglądając na mnie nerwowo.

- Jezu! Danny! Przez chwilę myślałem, że mi przyłożysz - zaświszczał chrapliwie.

Roześmiałem się znowu. Nie mylił się. Moja pięść utonęła w jego miękkim brzuchu aż po nadgarstek. Zgiął się wpół i zaczął osuwać na kolana. Spojrzałem na niego z pogardą.

- Miałeś rację - powiedziałem.

Patrzył na mnie oczami zamglonymi osłupieniem.

- O co ci chodzi, Danny? - wychrypiał. - Chciałem ci tylko oddać przysługę.

Uderzyłem go w twarz otwartą dłonią, i runął na ziemię.

- Nie życzę sobie żadnych przysług - rzuciłem ostro. Przez chwilę leżał rozplaszczony u moich nóg, potem sięgnął do klamki i dźwignął się na nogi. Zmienił mu się wyraz oczu; była w nich teraz czysta nienawiść. Wolną ręką gmerał za koszulą.

Poczekalem, aż nóż sprężynowy otworzy mu się w rękę i uderzyłem go w pachwinę; nóż brzęknął o chodnik.

Patrzyłem jak wokół jego twarzy rozlewa się kałuża wymiocin. Ogarnęło mnie uczucie zimnej satysfakcji. Być może nie miałem szans z Maxie Fieldsem, ale mogłem to sobie zrekompensować gdzie indziej.

Podniósł ku mnie twarz.

- Dostanę cię za to, Danny - wyszeptał chrapliwie. - Na Boga, dostanę cię za to!

Znowu się roześmiałem.

- Nie próbowałbym, Spit - powiedziałem, pochylając się nad nim i wpychając go z powrotem w wymiociny. -
Twojemu szefowi może się to nie spodobać.

Odwróciłem się i odszedłem zostawiając go leżącego w brei.

Na korytarzu przystanąłem i spojrzałem na zegarek. Dochodziło wpół do trzeciej. Ruszyłem na górę. Kiedy stanąłem na podeście, zobaczyłem smugę światła sączącą się spod kuchennych drzwi. Miałem nadzieję, że to nie ojciec. Jak na jedną noc dość było wrażeń.

Wsadziłem klucz do zamka i otworzyłem drzwi. Wyjrzała do mnie mama. Uśmiechnąłem się do niej.

- Niepotrzebnie na mnie czekasz, mamusiu - powiedziałem zamykając za sobą drzwi.

Wstała z krzesła i podeszła do mnie omiatając wzrokiem moją twarz.

- Nic ci nie jest, Danny? - zapytała z niepokojem.

- Jasne, że nie - dobiegł od drzwi głos taty. - To jest Danny Fisher Dynamit. Nic go nie zmoże. Tak jest napisane w porannych gazetach - pomachał dziennikiem. - Mają dla niego nowy przydomek - ciągnął dalej zjadliwie. - Na cześć dzisiejszej walki i złamania jednym ciosem w dwóch miejscach czyjejś szczęki.

Gapilem się na niego zaskoczony.

- Jest już o tym w gazetach?

- A co myślałeś? Że to pozostanie tajemnicą? Co robiłeś całą noc. Oblewałeś to ze swoją *sziksą*?

Nie odpowiedziałem. Rozmowa z nim nie miała już sensu. Nigdy nie zrozumie, że to był wypadek.

Mama dotknęła mojego ramienia. Jej pomarszczona twarz wyrażała niepokój.

- Piszą w gazecie, że dostałeś straszne lanie w pierwszych dwóch rundach.

Ścisnąłem delikatnie jej dłoń.

- Nie było tak źle, mammo. Już się dobrze czuję.

- Ale tamten chłopak nie! - wybuchnął tato. - Może to cię

powstrzyma. Czy będziesz to nadal robił, dopóki kogoś nie zabijesz?

- Nie bądź idiotą, tato - rzuciłem. - To był wypadek. Takie rzeczy się zdarzają. Nie chciałem tego!

- Wypadek! - wykrzyknął z niedowierzaniem. - Jak można mówić o wypadku, skoro głównym celem całej imprezy jest pobicie drugiego człowieka? Bzdury! - zwrócił się do mamy.

- Pewnego dnia będziemy mieli w domu mordercę i wtedy też powie, że to był wypadek!

Chrapliwa monotonia jego krzyku szarpała mi nerwy.

- Daj mi spokój! - krzyknąłem histerycznie. - Zostaw mnie w spokoju! - Osunąłem się na krzesło kryjąc twarz w dłoniach.

Poczułem ręce mamy na ramionach. Jej głos rozbrzmiewał mi nad głową pełen spokojnej siły.

- Harry, idź do łóżka - powiedziała.

- Źle robisz, że go niańczysz - rzekł złowieszczo. - Pewnego dnia zabije kogoś i ty będziesz temu winna na równi z nim!

- Więc będę - odpowiedziała cicho bez zastanowienia.

- Jest naszym synem i cokolwiek zrobi, to my będziemy temu winni.

- Ty, nie ja - warknął gniewnie. - Już podjąłem decyzję. Rzuci boks albo go nie znam. Jeszcze jedna walka i może nie wracać do domu. Nie będę trzymał morderców pod swoim dachem.

Rozległy się jego ciężkie kroki oddalające się korytarzem w stronę sypialni.

Przez chwilę trwała cisza, którą przerwał łagodny głos mamy.

- Danny, mam trochę świeżego rosołu. Podgrzeję ci. - Głaskała mnie po włosach.

Uniosłem głowę i spojrzałem na nią. Jej oczy przepełnione były bolesnym współczuciem.

- Nie jestem głodny. - Byłem ospały i przygnębiony.

- Zjedz trochę - nalegała. - Dobrze ci to zrobi. Postawiła garnek na gazie.

Być może, tato miał rację, ale to nigdy by się nie stało, gdybyśmy nie byli tak splukani. Teraz nie było już innego wyjścia. Mama postawiła przede mną talerz zupy.

- Jedz - powiedziała osuwając się na krzesło obok mnie.

Przełknąłem łyżkę zupy. Była dobra, czułem jak odrętwienie ustępuje pod wpływem ciepła. Uśmiechnąłem się do mamy z wdzięcznością, a ona odpowiedziała mi uśmiechem.

Gorąca zupa sprawiła, że zachciało mi się spać. Czułem wkradające się w ciało zmęczenie, powracający ból w plecach i bokach. Podniosłem niemrawo gazetę, którą tato zostawił na stole i zacząłem przewracać kartki w poszukiwaniu rubryki sportowej. Na stół wypadły białe kartki wyrwane z zeszytu.

Obejrzałem je z zaciekawieniem. Pokryte były nabazg-ranymi ołówkiem cyframi.

- Co to jest? - zapytałem podsuwając je mamie. Wyjęła mi je z ręki.

- Nic - powiedziała. - Ojciec próbował coś obliczyć.

- Co?

- Jego znajomy chce sprzedać aptekę i tato próbował wykombinować, skąd wziąć na to pieniądze. - Spojrzała na trzymane w ręku kartki. - Ale to nie ma sensu - mówiła dalej głosem, w którym nie było nadziei. - Nie zdobędzie tyle pieniędzy. Ma dosyć towaru, który wywiózł do wujka Dawida tamtej nocy, kiedy likwidował aptekę, ale nie może zebrać dość pieniędzy na czynsz. Możemy zapomnieć o całej sprawie.

Ocknąłem się. Może gdybym zdobył te pieniądze, ojciec zrozumiałby, że nie jestem taki zły.

- Ile wam potrzeba? - zapytałem.

Mama podniosła się z krzesła i zabrała talerz. Podeszła do zlewu i puściła wodę.

- Pięćset dolarów - powiedziała przez ramię bezbarwnym głosem. - Ale równie dobrze mogłoby to być pięć milionów. Nie mamy tyle.

Wpatrywałem się w jej plecy. Po tym, jak się garbiła, widać było zmęczenie. Unosiła się wokół niej atmosfera beznadziejności i rezygnacji. Było po walce, pozostała jedynie troska o przeżycie z dnia na dzień.

Pięćset dolarów. Fields powinien dać się na to ustrzelić. Powiedział, że postawił na walkę cztery kawałki.

Podniosłem wzrok. Mama coś mówiła.

Zdawało się, że mówi do siebie, chociaż była odwrócona do mnie i spoglądała mi w twarz.

- Dobrze choć o tym pomarzyć, blondasku. Może wtedy wszystko byłoby tak jak dawniej. Ale to nie ma sensu. Wstałem. Podjąłem już decyzję.

- Jestem zmęczony, mamusiu. Położę się. Podeszła i wzięła mnie za rękę.

- Słuchaj ojca, Danny - powiedziała miękko patrząc na mnie błagalnie. - Zostaw ten boksinerski interes. On mówi poważnie. Zaklinał się przez całą noc.

Chciałem jej powiedzieć co się stało, ale nie mogłem. Nie zrozumiałyby. Teraz mogłem dać jej tylko jedną odpowiedź.

- Nie mogę, mammo.

- Zrób to dla mnie, blondasku - błagała. - Proszę cię. W czerwcu skończysz szkołę, dostaniesz pracę i wszystko się ułoży.

Potrząsnąłem głową. Spojrzałem na stół, gdzie leżały zapisane cyframi kartki. To nie było żadne rozwiązanie. Oboje o tym wiedzieliśmy.

- Nie mogę teraz zrezygnować, mammo. Nie mogę. Kiedy ruszyłem w stronę drzwi, chwyciła mnie za ramię i przyciągnęła do siebie. Ujęła moją twarz w dłonie i spojrzała mi w oczy. Malował się w nich strach.

- Może ci się coś stać, Danny. Tak jak dzisiaj temu chłopcu.

Uśmiechnąłem się do niej uspokajająco i przytuliłem jej głowę do piersi.

- Nie martw się, mammo - powiedziałem całując ją we włosy. - Nic mi nie będzie. Nic mi się nie stanie.

15

Zatrzymałem się na moment przed sklepem i zajrzałem do środka. Zza szyby zerknęła do mnie moja twarz, odbłask rzucany przez szkło połyskiwał we włosach; wydawały się prawie białe. Sklep był pusty, w boksie siedział tylko jeden

mężczyzna. Wszedłem do środka. Mężczyzna podniósł na mnie wzrok.

- Czego chcesz, chłopcze? - zapytał gburowato.

- Chcę się widzieć z panem Fieldsem - odparłem.

- Spadaj, mały - rzucił. - Pan Fields nie ma czasu dla gówniarzy.

Patrzyłem na niego zimno.

- Dla mnie będzie miał - powiedziałem spokojnie. - Jestem Danny Fisher.

Oczy mu się rozszerzyły.

- Ten bokser? - zapytał z nutą szacunku w głosie. Przytaknąłem. Podniósł słuchawkę telefonu i coś do niej poszeptał. Ludzie zaczynali kojarzyć moje nazwisko. Podobało mi się to. Oznaczało, że przestałem być nikim. Ale nie na długo. Po następnej walce będę znów tylko nazwiskiem, jeszcze jednym facetem, który próbował i któremu się nie udało. Zostanę zapomniany.

Facet odłożył słuchawkę i wskazał drzwi w głębi pomieszczenia.

- Fields kazał ci iść prosto na górę.

Odwróciłem się bez słowa i ruszyłem ku drzwiom. Pokój, bukmacherów świecił pustkami. Był wczesny ranek, nie pora na graczy. Wszedłem na pierwsze piętro i zapukałem do drzwi Fieldsa.

Otworzyły się na oścież, i stanęła w nich Ronnie. Oczy jej się rozszerzyły i cofnęła się o krok.

- Wchodź - powiedziała.

- Gdzie on jest, Ronnie? - zapytałem.

- Goli się, za chwilę wyjdzie. Podeszła do mnie szybko.

- Spit był tu dziś rano - szepnęła z twarzą tuż przy mojej. - Powiedział Maxiemu co zrobiłeś. Maxie był w stanie wrzenia.

Uśmiechnąłem się.

- Przejdzie mu, Ronnie. Chwyciła mnie za rękę.

- Zeszłej nocy mówiłeś do mnie: Sarah. Myślałam, że nie wrócisz.

- To było zeszłej nocy - powiedziałem cicho. - Zmieniłem zdanie.

Spojrzała mi w oczy.

- Danny - rzekła bez tchu - wróciłeś z mojego powodu? Zamknąłem oczy na przeszłość.

- Tak, Ronnie - odparłem bezbarwnie, strząsając jej rękę. - Po ciebie i po forszę.

- Dostaniesz i jedno, i drugie - zagrzemiał od drzwi głos Fieldsa. Odwróciłem się ku niemu.

- Mówiłem, że jesteś inteligentnym dzieckiem, Danny. Wiedziałem, że wrócisz.

Ubrany był w luźną szatę z naturalnego, czerwonego jedwabiu. Jego potężna talia przewiązana była szarfą w kontrastowym, niebieskim kolorze. Spod szaty wystawały nogawki żółtej piżamy. Sine policzki błyszcząły po goleniu, a wielkie cygaro tkwiło już w zębach. Wyglądał tak jak zawsze myślałem, że powinien wyglądać Maxie Fields.

- Słyszałem, że pan dobrze płaci, panie Fields - powiedziałem cicho. - Wróciłem, żeby się przekonać czy to, co mówią, jest prawdą.

Opadł na fotel naprzeciwko mnie i spojrzał mi w twarz. Uśmiechał się, ale jego oczy nie zmieniły wyrazu; były nadal przebiegłe.

- Załatwiłeś Spita - rzekł miękko, ignorując moją wypowiedź. - Nie lubię, kiedy tak się traktuje moich chłopców.

Zachowałem obojętny wyraz twarzy.

- Spit był niegdyś moim przyjacielem - powiedziałem wolno. - Załatwiliśmy razem parę spraw. Ale szpiegując mnie złamał umowę. Nie lubię, kiedy przyjaciel robi coś takiego.

- Robił to, co mu kazałem - odezwał się łagodnie Fields.

- Nie mam nic przeciwko temu... teraz - stwierdziłem równie łagodnym tonem. - Ale nie wtedy, kiedy powinien być moim przyjacielem.

W pokoju zapadła cisza przerywana jedynie odgłosem ssania cygara. Patrzyłem Fieldsowi w oczy zastanawiając się, co się w nich kryje. Nie był głupcem, wiedziałem o tym. Wiedziałem, że zrozumiał moje słowa. Ale nie wiedziałem, czy to kupi. W końcu wyjął z kieszeni zapałkę, potarł ją i przytknął do cygara.

- Ronnie, przynieś mi sok pomarańczowy - powiedział między jedynym pyknięciem a drugim.

Wolno wyszła z pokoju.

- I dla Danny'ego też - zawołał za nią. - To nie zrujnuje mu kondycji.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, odwrócił się do mnie chichocząc.

- Dobrze się tobą zajęła? - zapytał.

Pozwoliłem sobie na błysk uśmiechu, który miał ukryć zalewającą mnie falę ulgi.

- Nieźle.

Roześmiał się głośno.

- Powiedziałem jej, że ją spiorę na kwaśne jabłko, jeżeli tego nie zrobi. Zna się na swojej robocie.

Opadłem na fotel naprzeciwko niego. Na tym fotelu całowałem ją ostatniej nocy. Ona zaś całowała mnie i mówiła różne rzeczy. A ja jej wierzyłem. Nagle zapragnąłem z tym skończyć.

- Ile? - zapytałem.

Fields zrobił niewinną minę.

- Zależy za co?

- Za puszczenie walki - wypaliłem bez ogródek. Znowu zachichotał.

- Mądry chłopak - rzekł zgrzytliwym głosem. - Szybko łapiesz.

- Jasne! - odparłem zjadliwie, nabierając pewności siebie. - Pan Fields nie traci czasu, chyba że ma w tym interes. Nie pozostaje mi nic innego, jak pójść w jego ślady. Ile w tym interesie jest dla mnie?

Do pokoju wróciła Ronnie ze szklankami soku pomarańczowego. Podawała nam je w milczeniu. Spróbowałem.

Smakowało mi. Samkowało tak, jak może smakować świeżo wyciśnięta pomarańcza. Upłynęło sporo czasu od dnia kiedy piłem taki sok. Pomarańcze były dość drogie. Opróżniłem szklankę.

Fields sączył swój sok powoli, taksując mnie wzrokiem.

- Co powiesz na pięć setek? - odezwał się w końcu. Potrząsnąłem głową. Byłem w domu. Potrafiłem rozpoznać interes, kiedy miałem go przed sobą na talerzu. - Niech pan próbuje jeszcze raz.

Skończył sok i pochylił się w fotelu. - A według ciebie, ile to jest warte?

- Tysiąc - powiedziałem szybko. Co według jego własnych słów dawałoby mu trzy na czysto.

Pomachał mi cygarem.

- Siedemset pięćdziesiąt. I lalczka.

- Pozostajmy przy forsie - uśmiechnąłem się. - Lalczkę już miałem. Za gorąca dla mnie.

- Siedemset pięćdziesiąt to kupa forsy - warknął.

- Za mała - powiedziałem. - Walka musi wyglądać prawdopodobnie. A to oznacza, że zaliczę cholerne lanie, żeby zarobić dla pana te trzy patyki.

Nagle wstał, podszedł do fotela, na którym siedziałem i spojrzał na mnie z góry. Poklepał mnie ciężko po ramieniu.

- Okay, Danny - zagrzmiał. - Niech będzie tysiąc. Dostaniesz forszę zaraz po walce.

Potrząsnąłem głową.

- Terefero! Połowa przed i połowa po meczu. Wybuchnął głośnym śmiechem i zwrócił się do Ronnie.

- Mówiłem ci, że to bystry chłopak. - Znów spojrzał na mnie. - Stoi. Przyjdź po forszę na dzień przed walką. A po resztę możesz wpaść następnego dnia po meczu.

Podniosłem się wolno zachowując ostrożny, nieprzenikniony wyraz oczu. Nie chciałem, żeby wiedział, jak wspaniale się czułem.

- Kupił pan sobie nowego chłopaka, panie Fields - powiedziałem ruszając do drzwi. - Będziemy w kontakcie.

- Danny - głos Ronnie sprawił, że się odwróciłem. - Przyjdziesz?

Przeniósłem wzrok na Fieldsa i z powrotem na nią.

- Jasne, że przyjdę - powiedziałem ostrożnie. - Po forszę. Fields ryknął śmiechem.

- Nawet się szczeniak nie musi zastanawiać nad odpowiedzią.

Ronnie poczerwieniała z gniewu, zrobiła szybki, groźny krok w moją stronę i podniosła rękę do uderzenia. Schwyciłem ją w powietrzu i mocno przytrzymałem. Przez chwilę staliśmy patrząc sobie w oczy. Mój głos był bardzo cichy, tylko ona mogła go usłyszeć.

- Daj spokój, Sarah - powiedziałem. - Nie stać nas na marzenia.

Zwolniłem uścisk i jej ramię powoli opadło. Było coś w jej oczach, co wyglądało niemal jak łzy, ale nie byłem pewien. Odwróciła się do mnie plecami i podeszła do Fieldsa.

- Masz rację, Maxie - powiedziała ciągle odwrócona tyłem do mnie. - To mądry chłopak. Za mądry.

Zamknąłem za sobą drzwi i ruszyłem w dół po schodach. Ktoś wchodził na górę, stanąłem przy ścianie, żeby go przepuścić. To był Spit.

Kiedy mnie poznał, w jego oczach błysnął strach. Ręka skoczyła mu odruchowo do kieszeni i kiedy ją wyciągnął, ścisnął w niej nóż sprężynowy.

Uśmiechnąłem się lekko, obserwując go uważnie.

- Na twoim miejscu schowałbym ten majcher - powiedziałem miękko. - Szefowi może się to nie spodobać.

Rzucił szybkie spojrzenie na drzwi a potem na mnie. Na jego twarzy odbiło się wahanie. Nie odrywałem od niego oczu. Nagle na korytarz wdarł się ryk Fieldsa.

- Cholera! Spit, gdzie ty się, u diabła, podziewasz! Nóż zniknął w kieszeni Spita.

- Idę, szefie! - zawołał ruszając biegiem po schodach. Oczekałem, aż zniknie za drzwiami i dopiero wtedy zszedłem na dół.

Był jasny, bezchmurny dzień i postanowiłem wpaść do Nellie. Miałem akurat tyle czasu, żeby zobaczyć się z nią, zanim wyjdzie do pracy.

A biorąc pod uwagę to, jak się czułem, spotkanie z nią mogło mi wyjść tylko na dobre.

16

Tego dnia obudziłem się przy akompaniamencie skrzeczącego głosu ojca. Leżałem w łóżku nie do końca przytomny, próbując od niechcienia zrozumieć sens jego słów.

Nagle oprzytomniałem. To już dzisiaj. Jutro będzie po wszystkim i wrócę do normalności. Do bycia nikim.

Spuściłem nogi, znalazłem kaptcie i wstałem przeciągając się. Może to i lepiej. Stary będzie szczęśliwy. Dostanie swoją forszę, a ja skończę z boksem. Może wtedy wróci do domu spokoj. Ten ostatni tydzień między walkami był piekłem; tato czepiał się mnie przez cały czas.

Owinałem się szlafrokiem i poszedłem do łazienki. Spojrzałem w lustro i przejechałem ręką po twarzy. Nie było sensu się dzisiaj golić, skóra stałaby się tylko delikatniejsza i bardziej podatna na zranienia. Byłem gotów przegrać walkę, ale nie miałem zamiaru wykrwawić się przy tym na śmierć.

Umyłem twarz, zęby i przeczesalem włosy. Prysznic postanowiłem odłożyć na popołudnie, po treningu. Mieli tam gorącą wodę. Kiedy wracałem do pokoju, biegł za mną głos taty. Ubrałem się i poszedłem do kuchni.

Kiedy otwierałem drzwi, ojciec umilkł. Rzucił mi zimne spojrzenie znad filizanki.

Mama podeszła do mnie szybko.

- Siadaj i napij się kawy.

Usiadłem w milczeniu naprzeciwko ojca. Po dzisiejszym wieczorze nie będzie miał się o co wkurwiać, pomyślałem.

- Cześć, Mimi! - powiedziałam, kiedy weszła do kuchni. Sytuacja była tak okropna, że rozmawiałem nawet z nią.

Uśmiechnęła się ciepło i szczerze.

- Cześć, mistrzuniu - zażartowała. - Wygrasz dzisiaj? Tato grzmotnął pięścią w stół.

- Do ciężkiej cholery! - krzyknął. - Czy wszyscy w tym domu poszaleli? Nie chcę więcej słyszeć żadnego gadania o boksie, ostrzegam was!

Mimi podniosła na niego zaciętą twarz.

- To mój brat - rzekła cicho. - I mogę do niego mówić, co mi się podoba.

Widziałem jak tatę zamurowało. Chyba po raz pierwszy w życiu Mimi tak się do niego odezwała. Bełkotał coś próbując złapać oddech, kiedy dłoń mamy spoczęła łagodząco na jego ramieniu.

- Żadnych kłótni dzisiejszego ranka, Harry - rzekła stanowczo. - Proszę, żadnych kłótni!

- A... ale, słyszałaś co ona powiedziała - wydawał się zmieszany.

- Harry! - głos mamy był ostry i podenerwowany. - Zjedźmy śniadanie w spokoju.

W kuchni zapadła pełna napięcia cisza przerywana jedynie pobrzękiwaniem stawianych i zabieranych ze stołu naczyń

Jadłem szybko, w milczeniu, potem odsunąłem krzesło i wstałem.

- No więc - powiedziałem patrząc na nich. - Muszę iść na salę.

Nikt się nie odezwał. Uśmiechnąłem się z przymusem.

- Czy nikt tutaj nie pożyczy mi szczęścia? - zapytałem. Wiedziałem, że nie ma to żadnego znaczenia, ale byłoby miło zabrać ze sobą takie życzenia.

Mimi chwyciła mnie za rękę, wspięła się na palce i pocałowała w policzek. - Powodzenia, Danny - powiedziała.

Uśmiechnąłem się do niej z wdzięcznością i spojrzałem na ojca. Trzymał głowę nisko pochyloną nad talerzem. Nie patrzył na mnie.

Zwróciłem się do mamy. Oczy miała szeroko otwarte i pełne niepokoju.

- Będziesz ostrożny, Danny?

Skinąłem głową w milczeniu. Patrząc na nią poczułem ucisk w gardle. Nagle dostrzegłem wszystkie zmiany, jakie wyryły na niej ostatnie lata. Przyciągnęła moją twarz i pocałowała mnie w policzek. Płakała.

Pogrzebałem w kieszeni.

- Mam dla was dwa bilety - powiedziałem wyciągając rękę.

- Nie chcemy ich! - warknął ojciec. Patrzył na mnie z wściekłością. - Zabieraj je.

Nadal trzymałem bilety w ręku.

- Wziąłem je dla was - powiedziałem.

- Słyszałeś! Nie chcemy ich!

Rzuciłem okiem na mamę, potrząsnęła lekko głową. Wolno wsadziłem bilety z powrotem do kieszeni i ruszyłem w stronę drzwi.

- Danny! - zawołał ojciec.

Odwrociłem się pełen nadziei. Byłem pewien, że zmienił zdanie. Sięgałem już do kieszeni po bilety. Wtedy zobaczyłem jego twarz i zrozumiałem, że nic się nie zmieniło. Była blada i nieubłagana, a oczy wydawały się puste.

- Nadal chcesz dzisiaj walczyć? Skinąłem głową.
- Nawet po tym, co ci powiedziałem?
- Muszę, tato - odparłem bezbarwnie. W jego głosie był chłód.
- Oddaj mi swój klucz, Danny - wyciągnął rękę. Patrzyłem na niego przez chwilę, potem przeniósłem wzrok na mamę. Odwróciła się bezwiednie w stronę ojca.
- Nie teraz, Harry!
- Powiedziałem mu, że jeżeli znów wyjdzie na ring, już tutaj nie wróci. Mówiłem poważnie.
- Ależ, Harry! - zawołała błagalnie mama. - To jeszcze dziecko!

Wybuchnął wściekłością. Jego głos wypełniał małą kuchnię jak grzmot letniej burzy.

- Jest na tyle dorosły, żeby zabijać! Więc również, żeby zdecydować, czego chce! Dość się namęczyłem, żeby zrobić z niego człowieka! Nie będę już dłużej próbował! - Spojrzał na mnie. - To twoja ostatnia szansa.

Patrzyłem na niego przez jedną, pełną jasności chwilę. Myślałem o tym, że to jest mój ojciec, że z niego powstałem, z jego krwi, a teraz byłem mu obojętny. Prawie ze zdziwieniem zobaczyłem, jak klucz wylatuje mi z dłoni i z oszalałym brzękiem pada przed nim na stół. Przez chwilę przyglądałem się jego srebrzystemu blaskowi, potem wykręciłem się na pięcie i wyszedłem z domu.

Stałem przed biurkiem Fieldsa, kiedy liczył pieniądze i rzucał je na blat. Już się nie uśmiechał; jego oczy, prawie niewidoczne w fałdach tłuszczu, były zimne i przebiegłe. Pchnął banknoty grubym paluchem.

- Oto one, chłopcze - powiedział chrapliwie. - Zabieraj je.

Spojrzałem na blat biurka i pięć szeleszczących studolarówek. Zgarnąłem je. Były przyjemne w dotyku. Ojciec inaczej zaśpiewa, kiedy je zobaczy. Zwinąłem banknoty i wsunąłem do kieszeni.

- Dzięki - powiedziałem od niechcenia.

Uśmiechnął się.

- Nie dziękuj, Danny - rzekł cicho. - I nie staraj się mnie wyrolować.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

- Nie zrobiłbym tego - powiedziałem szybko.

- Też tak myślę - oznajmił robiąc ruch ręką – ale Spit myśli że mógłbyś.

Zerknąłem na Spita, stał pod ścianą i czyścił sobie paznokcie nożem sprężynowym. Wymieniliśmy spojrzenia. Oczy miał czujne i zimne.

- Skąd mu przyszło do głowy, że umie myśleć? – zapytałem drwiaco.

Fields roześmiał się hałaśliwie. Skrzypnęło krzesło, kiedy się podnosił. Obszedł biurko, zbliżył się i klepnął mnie ciężko po ramieniu.

- Mądry chłopak - w jego głosie pojawił się znowu dobrotliwy ton. - Tylko nie zapomnij, że to co masz przy sobie, to moja forsa.

- Nie zapomnę, panie Fields - odparłem ruszając w stronę drzwi.

Jest jeszcze jedna rzecz, o której nie chcę, żebyś zapomniał! - zawołał za mną.

Wydawał się nieprawdopodobnie gruby i masywny kiedy tak stał przed biurkiem. To był Maxie Fields, o którym słyszałem.

- Co takiego? - zapytałem.

Jego oczy jakby się nagle otworzyły, ukazując bezbarwne tęczówki i paciorkowate źrenice.

- Będę miał cię na oku - powiedział ciężkim głosem, w którym była groźba.

Kiedy stanąłem w drzwiach sali, wielkie pomieszczenie zaległa cisza. Przed chwilą był tam potworny hałas, teraz w Chłopcym Klubie East Endu panowała głucha cisza.

Pan Spritzer stał w rogu. Odwrócił wolno głowę w moją stronę. Podeszedłem do niego świadomy, że siedzą mnie wszystkie oczy. Wolałbym, żeby nie przyglądali mi się tak,

jakby byli ze mnie dumni. W kieszeni miałem pięćset dolców, które me były żadnym powodem do dumy.

- Je... jestem, panie Spritzer - powiedziałem nerwowo. Byłem pewien, że wszyscy obecni na sali zdążyli już mnie przejrzeć na wylot.

Radosny uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Cześć, mistrzu!

To było jak sygnał do wybuchu wrzawy. Chłopcy stłoczyli się wokół mnie. Krzyczeli wszyscy naraz próbując zwrócić na siebie moją uwagę. Chciałem się do nich uśmiechnąć, ale me mogłem. Twarz stężała mi w rodzaj dziwnej maski.

Wtem ręka Spritzera wsunęła mi się pod ramię i trener przez tłum szczeniaków uitorował mi drogę do swojego biura.

- Później, chłopaki, później - zawołał starając się ich przekrzyczeć. - Poczekajcie z wiwatami na koniec walki.

Odrętwiały, pozwoliłem poprowadzić się do biura.

17

Chrapliwy krzyk tłumu wdarł się do szatni uderzając boleśnie w moje uszy. Było to głębokie, monotonne morze dźwięku, krzyk stary jak świat. W ten sposób krzyczeli ludzie pierwotni patrząc na walkę zwierząt, krzyczeli tak w Kolosseum podczas igrzysk Cezara. Nie zmienili się od pięciu tysięcy lat.

Leżąc na stole do masażu odwróciłem głowę, żeby zakryć rękoma uszy i przytłumić ten dźwięk, ale nie zdołałem wyeliminować go całkowicie. Ciągłe go słyszałem, tyle że słabiej, wiedziałem jednak, że powróci z całą siłą, kiedy tylko uniosę głowę.

W pokoju zadźwięczał ostro dzwonek. Poczulem na plecach rękę Spritzera. - To na nas, chłopcze.

Usiadłem spuszczać nogi ze stołu. W żołądku czułem bryłę ołowiu. Z trudem przelykałem ślinę.

- Zdenerwowany? - uśmiechnął się Spritzer. Skinąłem głową.

- To minie - powiedział z przekonaniem. - Każdy bokser ma swoją pierwszą walkę w Gardens. To miejsce ma w sobie coś takiego.

Ciekawe co by powiedział, gdyby znał prawdę. Denerwowałem się nie z powodu miejsca, w którym się znajdowałem, ale walki, którą miałem przegrać. Wyszliśmy z szatni i stanęliśmy na skraju rampy, skąd mogłem widzieć całe Gardens. Miałem przed sobą morze anonimowych twarzy oczekujących na rozstrzygnięcie ostatniej walki. Gdzieś tam był Sam i także Fields. I Nellie, nawet ona przyszła. Nie przyszli tylko mój ojciec i moja matka.

- Chodź, Danny - powiedział Spitzer.

Ruszyliśmy rampą w dół ku białej powodzi światła, jaką był ring.

Słyszałem wrzaski kibiców. Niektórzy wykrzykiwali nawet moje nazwisko. Szedłem za Spritzerem otępiały, ze spuszczoną głową, z twarzą ujętą w ramy wielkiego białego ręcznika jak w końskie klapki. Tuż obok słyszałem przyspieszony oddech Zepa.

Jego głos wzbił się ponad ryk tłumu.

- Danny, spójrz! - zawołał z podnieceniem. - Tam jest Nellie!

Uniosłem głowę i zobaczyłem, jak uśmiecha się do mnie drżącym, pełnym niepokoju uśmiechem, potem zniknęła w morzu innych twarzy.

Przechodziłem już przez liny. Po półmroku rampy jaskrawe światła ringu oślepiły mnie na chwilę. Stałem mrużąc oczy. Spiker wywołał moje nazwisko i wyszedłem na środek.

- Na mój znak przerywacie walkę - powiedział sędzia. Nie słuchałem go. Znałem ten mały speech na pamięć. - W przypadku nokdaunu przechodźcie do najbliższego neutralnego narożnika... Wracajcie do swoich narożników, a kiedy staniecie do walki, niech wygra lepszy.

Ha ha! Niezły żart. Niech wygra lepszy! Zrzuciłem płaszcz. Ołów, który czułem w żołądku, to było te pięćset dolarów spoczywające w kieszeni moich spodni. Dotarł do mnie głos Spritzera.

- Przestań się martwić, chłopcze - mówił. - Najwyżej tym razem przegrasz.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Był bliższy prawdy niż mógł przypuszczać. Moim największym zmartwieniem w tej chwili był ktoś wyciągający mi pięć stów z kieszeni. Walką nie było się co przejmować; już wybrałem zwycięzcę.

Spojrzałem ciekawie w narożnik przeciwnika. Stojąc na ringu i słuchając sędziego nie przyjrzałem się chłopakowi, z którym miałem walczyć. Nie spuszczał ze mnie wzroku, a jego pełna niepokoju twarz wyrażała napięcie. Uśmiechnąłem się do niego. Gdyby znał prawdę, nie miałby najmniejszego powodu do niepokoju. Nazywał się Tony Gardella, był Włochem walczącym dla Bronxu.

Rozległ się gong. Wszedłem na środek czując się dziwnie lekko i pewnie. Świadomość, że przegram tę walkę, dawała mi pewność, że mógłbym ją wygrać, uczucie, którego tak naprawdę nigdy nie zaznałem. Przestałem myśleć o tym, co mogłoby się stać, znałem już odpowiedź.

Uderzyłem lewą na próbę, ot tak, żeby wyczuć faceta. Byłem ciekaw, czy naprawdę jest taki dobry. Był wolny w kontrowaniu i odruchowo wrzuciłem szybki prawy dokładnie pod jego zasłonę. Chłopak zachwiał się na nogach. Instynktownie ruszyłem, żeby go dobić. W uszach huczał mi ryk tłumu. Miałem faceta i wiedziałem o tym. I wtedy sobie przypomniałem: nie mogę go wykończyć. Miałem przegrać. Pozwoliłem mu sklinczować i przytrzymać. Zadałem parę lipnych, lekkich ciosów w plecy i nerki. Kiedy poczułem, że wracają mu siły, odepchnąłem go i trzymałem z dala od siebie do końca rundy. Nie mogłem ryzykować, że go uszkodzę.

Rozległ się dzwonek i wróciłem do swojego narożnika. Spritzer był w stanie wrzenia; wydierał się na mnie.

- Miałeś go, dlaczego nie skończyłeś?

- Nie mogłem się przyłożyć - odpowiedziałem szybko. Będę musiał uważać, albo zaczniesz się czegoś domyślać.

- Zamknij się! - warknął. - Oszczędzaj oddech.

Kiedy odezwał się dzwonek, Gardella wyszedł ostrożnie ze swojego narożnika. Opuściłem nieznacznie ręce i czekałem, żeby się przekradł. Ociągał się, zachowując ostrożność, ciągle poza zasięgiem moich pięści.

Wytrzeszczyłem na niego oczy

ze zdumieniem. Jak, do diabła, chciał wygrać tę walkę? Liczył na to, że sam się znokautuje? Podeszedłem do niego. Może udałoby mi się jakoś go naprowadzić. Cofnął się. Przegranie tej walki stawało się trudniejsze niż jej wygranie. Kiedy wracaliśmy do swoich narożników, tłum gwizdał. Usiadłem na stołku ze spuszczoną głową, z oczami wbitymi w podłogę ringu. Spritzer znowu krzyczał.

- Atakuj go! Idź za nim! Nie daj mu uciekać. Dostałeś go. Aż się zataczał.

Na gong wyszedłem szybko z narożnika i spotkałem go, zanim zdążył dojść do połowy ringu. Strzelał ciosami jak oszalały. Jemu też kazali walczyć. Zablokowałem go odruchowo. W jaki sposób facet doszedł do finałów, tego się nigdy nie dowiem; był słaby. Pozwolić takiemu patalchowi wygrać to skandal, ale nie miałem wyboru. Zawarłem umowę. Odsloniłem się na chwilę, umyślnie. Jego ciosy przedarły się przez moje ramię. Przyniosły dziwny, słodki ból, rodzaj rekompensaty. Jakby było we mnie dwóch ludzi i jeden z nich cieszył się, że drugi dostaje lanie.

Przyszła moja kolej na kontrę. To musiało wyglądać autentycznie. Strzeliłem zamasyście prawą, aż gwizdnęło. Zablokował z łatwością i przywalił mi w żołądek. Szczeniak uśmiechał się, pewny siebie. To mnie zapiekło. Nie miał prawa tak się czuć. Zadałem mu parę ciosów, żeby nauczyć go more-su. Pchnąłem lewą, próbując przedrzeć się prawym hakiem, ale uciekł bez trudu.

Czułem jak wzbiera we mnie złość. Szedłem za jego tańczącą sylwetką. Kąsał, ale strząsałem z siebie jego ciosy. Miałem zamiar zaaplikować mu jedno uderzenie, żeby wiedział, kto tu rządzi, a potem oddać mu tę cholerną walkę. Nagle w mojej głowie eksplodowało światło i poczułem jak osuwam się na kolana. Spróbowałem wstać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Potrząsnąłem wściekle głową i wtedy dobiegł mnie głos sędziego. Siedem. Czułem jak wracają mi siły w nogach. Osiem. Mogłem już wstać, głowę miałem znowu jasną. Wiedziałem, że mogę. Dziewięć. Ale po co? I tak miałem przegrać. Równie dobrze przez nokaut.

Ale zanim ręce sędziego poszły w górę, byłem już na nogach. Po jakiego diabła to zrobiłem? Powinienem był

zostać na podłodze. Sędzia odsunął się i Gardella wpadł na mnie jak burza. Odezwał się dzwonek, cofnąłem się szybko pod liny i wróciłem do narożnika.

Opadłem na stołek. Pragnąłem, żeby wrzeszczący mi w ucho Spritzer zamknął się wreszcie. Jego wrzaski były zupełnie niepotrzebne. Nagle dotarły do mnie jego słowa i wywróciły mi wnętrzności do góry nogami.

- Czym ty chcesz być? Gnojkiem przez całe życie? Zerem? Możesz załatwić tego dzieciaka. Otrząśnij się i bierz go!

Podniosłem głowę i spojrzałem w drugi koniec ringu. Gardella uśmiechał się spokojnie. Ja zerem? Nikim?!

Dokładnie to miało się stać za parę minut. Będę jeszcze jednym facetem bez nazwiska i twarzy, wtopionym w bezkształtny tłum, jak wszyscy inni na East Endzie.

Na dźwięk dzwonka poderwałem się na nogi i wyszedłem na środek. Gardella natarł jak burza, szeroko otwarty. Całą przezorność posłał do diabła. Omal się nie roześmiałem. Myślał, że ma mnie już w kieszeni. Do diabła z tobą Gardella, do diabła z tobą, Fields! Weź te swoje pięćset dolców i wsadź je sobie w tyłek.

Poczułem jak ostry ból przeszywa mi rękę prawie do łokcia. Ten cios miał parę. Jeszcze jeden. Jeśli ci się wydaje, że ten ostatni bolał, skurwielu, poczekaj na następny.

Niemal od niechcenia zablokowałem jego słabiutką kontrę i poderwałem pięść w prawym haku. Zdawała się pędzić w smudze światła. Nagle chłopak osunął się na mnie a ja cofnąłem się o krok.

Przewracał się. Patrzyłem, jak pada. Niemal w zwolnionym tempie. Rozciągnął się u moich nóg. Przyglądałem mu się przez chwilę, potem opuściłem rękę, podciągnąłem spodni i odszedłem do narożnika rozkołysanym krokiem.

Nie spieszyłem się. Miałem cholernie dużo czasu. Chłopak skończył na dziś z boksem.

Sędzia przywołał mnie ruchem ręki, wróciłem do niego tańcząc. Podniósł moją rękę. Tłum wrzeszczał, kiedy wracałem do narożnika z szerokim uśmiechem na twarzy. Mistrzostwo! Czuję, że unoszę się w powietrzu. To uczucie towarzyszyło mi przez całą drogę do szatni. Byłem pijany stąpałem nad ziemią.

Nagle to wszystko minęło, uniesienie uszło ze mnie jak powietrze z przekłutego balonika. Przed szatnią oparta o ścianę stała znajoma postać. Kiedy ją zobaczyłem, ryk tłumu zaczął zamierać.

To był Spit. Miał jakiś osobliwy uśmiech na twarzy. Czyścił sobie paznokcie nożem sprężynowym. Teraz podniósł go, nie przestając się uśmiechać i zrobił gest w moją stronę. Poczulem ucisk w gardle. Potem Spit wtopił się w tłum. Rozejrzałem się szybko sprawdzając, czy ktoś czegoś nie zauważył. Nikt go nie widział. Wszyscy gadali.

Pozwoliłem nieść się dalej z prądem.

Sam był w szatni i uśmiechał się.

Chwycił mnie za ramię.

- Wiedziałem, że ci się uda, chłopcze! Wiedziałem. Już wtedy, w szkole!

Patrzyłem na niego tępo, nie mogąc wykrztusić słowa. W tej chwili chciałem tylko jednego - wydostać się stamtąd. Szybko.

Dzień przeprowadzki 17 maja 1934

- Dobranoc, mistrzu - Zep zostawił nas w słabo oświetlonym korytarzu i ruszył po schodach na górę. Patrzyliśmy, jak mija podest i znika na zakręcie.

Spojrzeliliśmy na siebie. Uśmiechnęła się i objęła mnie za szyję.

- Po raz pierwszy dzisiaj jesteśmy sami - szepnęła z wyrzutem - a ty mnie nawet nie pocałujesz.

Pochyliłem głowę, żeby to zrobić, ale w chwili kiedy dotknąłem jej ust, coś skrzypnęło na schodach. Cofnąłem się i nasłuchiwałem w napięciu.

- Danny, coś nie w porządku? - zapytała przyciągając moją twarz. - Nigdy mnie nie pocałujesz?

- Ciągle jeszcze jestem podminowany - wyjaśniłem jej

mętnie. Nie mogłem powiedzieć, czego się boję, nikomu nie mogłem powiedzieć.

- Za bardzo, żeby mnie pocałować? - droczyła się z uśmiechem.

Próbowałem odwzajemnić jej uśmiech, ale mi się nie udało, więc ją pocałowałem. Przycisnąłem usta do jej warg, mocno. Czułem, że je miażdżę, a ona aż krzyknęła.

- Dalej tak myślisz? - zapytałem. Dotknęła obolałych warg.

- Sprawileś mi ból - powiedziała oskarżycielskim tonem. Roześmiałem się dziko.

- To jeszcze nie koniec! - Przyciągnąłem ją ponownie do siebie. Przywarłem ustami do jej szyi, przesuwając wargi w stronę karku i gniotąc ją w ramionach.

- Kocham cię, Danny! - krzyknęła.

- Kocham cię - szepnąłem trzymając ją ciągle blisko siebie. Czułem jak odpręża się w moich ramionach, jak do mnie przywiera. Nasze usta znów się spotkały, a w jej pocałunku był płomień, który ogarnął mnie całego.

-Nellie! - zawołałem chrapliwie, obracając ją tyłem do siebie. Cisnęła się do mnie plecami, pod ręką czułem kształt jej piersi. Przywarłem ustami do ramienia w miejscu, gdzie rozchylił się kołnierz bluzki.

Odwróciła ku mnie twarz. Głaskała mnie po policzku. Jej głos był bardzo cichy.

- Danny - wyszeptała. - Jest mi tak słabo, że ledwo mogę ustać na nogach.

Mocowałem się z zapięciem jej bluzki, potem poczułem, jak ciepłe ma piersi. Westchnęła głęboko opierając się o mnie plecami. Staliśmy tak chyba bardzo długo.

W końcu poruszyła się w moich ramionach, odwracając ku mnie twarz w półmroku. Oczy miała kochające i tkliwe.

- Bolał mnie plecy - powiedziała cichym, przepraszającym głosem.

Rozluźniłem uścisk, a ona odwróciła się do mnie, przytrzymując moje dłonie na piersiach. Uśmiechała się promiennie.

- Lepiej się teraz czujesz?

Skinąłem głową. Naprawdę czułem się lepiej. Na krótką chwilę zapomniałem o wszystkim innym.

Pocałowała mnie radośnie i zdjęła mi rękę z bluzki. Miała zarumienioną, rozpaloną twarz, ciemne oczy rzucały roztańczone spojrzenia, a na jej ustach osiadł łagodny uśmiech.

- Może teraz będziesz mógł iść do domu i trochę się przespać? - spytała. - Byłeś taki zdenerwowany przez cały wieczór.

Ponownie skinąłem głową. Miała rację, przez cały wieczór byłem rozdrażniony i podenerwowany. W restauracji, do której Sam zaprosił nas wszystkich, każdy dźwięk podrywał mnie na nogi. Sądziłem, że nikt tego nie zauważył.

Chwyciłem ją za rękę i pocałowałem wewnątrz dłoni.

- Bez względu na to, co się stanie, Nellie - powiedziałem szybko - nie zapomnij, że cię kocham.

- Ja kocham cię bez względu na to, co się stanie - odpowiedziała żarliwie.

Podsunęła mi twarz do pocałunku.

- Dobranoc, Danny. Pocałowałem ją.

- Dobranoc, kochanie.

Patrzyłem, jak znika na schodach, potem wyszedłem na ulicę.

Zrobiłem zaledwie kilka kroków, kiedy owładnęło mną uczucie, że jestem obserwowany. Stałem i obejrzałem się za siebie. Ulica była zupełnie pusta. Ruszyłem dalej, ale tamto dziwne wrażenie pozostało. Zatrzymałem się pod narożną latarnią i spojrzałem na zegarek. Było po drugiej. Nagle wydało mi się, że wśród cieni za sobą widzę jakiś ruch. Odwróciłem się błyskawicznie z walącym sercem. Stałem w rozkroku, gotów do walki.

Z cienia wychynął mały szary kot; ulga sprawiła, że omal się nie roześmiałem. Jeszcze trochę, a zacznę widzieć duchy. Poszedłem dalej.

Zamajaczyły przede mną światła Delancey Street. Wszedłem w tłum rozkoszując się bliskością ludzi. Tutaj nic mi nie groziło. Posuwałem się wolno razem z tłumem i po chwili poczułem się lepiej.

Na następnym rogu stał gazeciarsz. - Gazety poranne! Zwycięzcy z Gloves! - krzyczał. Rzuciłem mu dwa centy, wziąłem gazetę i zerknąłem na ostatnią stronę szukając

rubryki sportowej. Przyjrzałem się zdjęciom z walk. Moje było w prawym, górnym rogu. Fotograf uchwycił mnie w momencie, kiedy stoję nad Gardellą rozciągniętym u moich stóp. Przeszył mnie dreszcz dumy. Mistrzostwo! Tego mi nikt nie odbierze.

Byłem ciekaw, czy rozpoznał mnie ktoś z tych wszystkich ludzi na ulicy, czy wiedzą, że to ja, Danny Fisher, stoję tu wśród nich.

Uśmiech zamarł mi na ustach. Patrzyłem prosto w oczy kogoś, kto wiedział: Spit. Stał oparty o witrynę kawiarni „Paramount” i uśmiechał się. Gazeta wyśliznęła się z moich bezsilnych palców i wpadła do rynsztoka. Miałem rację; szli za mną, czekając na moment, kiedy będę sam.

Spit skinął głową komuś stojącemu przy krawężniku. Tego faceta także kojarzyłem. Był znany w okolicy pod przydomkiem Poborca. Fields nasyłał go na ludzi, którzy mieli w stosunku do niego zaległości finansowe. Po spotkaniu z Poborcą zazwyczaj ochoczo regulowali rachunki. Jeżeli byli w stanie.

Zawróciłem szybko w tłum walcząc z chęcią ucieczki. Nic mi nie groziło, dopóki byłem między ludźmi. Kiedy się obejrzałem, Spit i Poborca szli za mną niedbałym krokiem, jak dwaj przeciętni mężczyźni wracający do domu z nocnego seansu w kinie. Mimo iż zdawali się nie zwracać na mnie uwagi wiedziałem, że nawet na sekundę nie spuszczaają mnie z oczu.

Skręciłem w Clinton, ludzi było tu mniej, ale uznałem, że nadal jestem bezpieczny. Groźna będzie dopiero następna przecznica. O tej porze była zazwyczaj zupełnie wyludniona. Jeżeli uda mi się ją przejść, dom będę miał tuż za rogiem.

Przebiełem się wzrokiem przez tłum, czując jak zamiera we mnie serce. Następna ulica była kompletnie opustoszała. Zwolniłem rozważając możliwość zawrócenia na Delancey.

Rzut oka za siebie wybił mi ten pomysł z głowy. Byli za blisko. Odciełliby mnie. Jedyna możliwość, jaka mi pozostała, to iść prosto. Mój mózg pracował na najwyższych obrotach. Byłem prawie na rogu. Obraz ulicy przelatywał mi przed oczami. Mniej więcej na wysokości trzechczwartych przecznicy znajdowała się mała, biegnąca między domami alejka. Na tyle szeroka, by zmieścił się jeden człowiek.

Gdyby udało mi się dobiec tam przed nimi, miałbym szansę. Znikomą, ale jedyną.

Wielka ciężarówka z przyczepą wjechała na pasy w momencie zmiany świateł. Wyskoczyłem na jezdnię tuż przed nią. Dopadając chodnika, usłyszałem za sobą pisk hamulców, ale nawet się nie obejrzałem. Spit darł się na kierowcę, który ich odciął. Dopiero będąc już prawie w połowie przecznicy, ośmieliłem się rzucić nerwowe spojrzenie w tył. Spit i Poborca wbiegli właśnie na chodnik i ruszyli za mną. Strach poderwał mnie do biegu. W ciemnościachomal nie przeoczyłem alejki. Skręciłem w nią ostro, uderzając ramieniem o mur. Odbiłem się i czmychnąłem głębiej w mrok.

Było bardzo ciemno, tak ciemno, że nie widziałem drogi przed sobą. Poruszałem się teraz dużo wolniej, wodząc ręką po ścianie.

Alejka biegła przez całą długość dwóch budynków, prawie czterdzieści stóp od ulicy i kończyła się ślepą ścianą. Nagle trafiłem ręką na mur przed sobą. Stanałem badając jego powierzchnię. Parę stóp nad ziemią powinien być mały występ. Był. Wdrapałem się i odwróciłem w stronę ulicy. Wyciągnąłem przed siebie ręce szukając żelaznego pręta, który jak wiedziałem, łączył oba budynki.

Oczy zaczęły przyzwyczajać się do ciemności i w nikłym odbłasku ulicznych świateł zobaczyłem pręt. Zacisnąłem na nim palce i przyczałem się.

Usiłowałem przebić wzrokiem ciemności. Tylko jeden z nich mógł przyjść tutaj za mną. Serce rozsadzało mi pierś. Usiłowałem przytłumić oddech.

Od strony ulicy dobiegły ściszone głosy. Próbowałem wyodrębnić słowa, ale zlewały się w jeden niewyraźny dźwięk. Potem głosy ucichły i usłyszałem szmer zbliżających się kroków.

Na tle padającego z ulicy światła ukazała się sylwetka mężczyzny. Ostrożnie zagłębiał się w mrok wodząc ręką po murze, tak samo jak ja przed chwilą. U wylotu alejki majaczył drugi cień. Dobrze. Jeden z nich czekał na ulicy.

Byłem ciekaw, który tu za mną idzie.

Nie musiałem się długo nad tym zastanawiać. W ciemnościach usłyszałem jego chrapliwy głos.

- Wiemy, że tam jesteś, Fisher. Jeżeli pójdziesz z nami zobaczyć się z szefem, to masz szansę!

Wciągnąłem gwałtownie powietrze. To był Poborca. Nie odezwałem się. Wiedziałem, co ma na myśli mówiąc o szansie. Był już w połowie alejki.

Znowu się odezwał, tym razem z odległości dziesięciu stóp. - Słyszysz mnie, Fisher? Wychodź, a będziesz miał szansę!

Światło za nim podkreślało jego potężną sylwetkę. Wyprostowałem się ostrożnie, zaciskając dłonie na pręcie. Był już mniej więcej sześć stóp ode mnie. Pięć stóp. Cztery. Nie mógł mnie widzieć, za to ja go widziałem. Trzy stopy. Dwie. Teraz!

Odbiłem się nogami od występu zaciskając dłonie na pręcie. Wyskoczyłem w powietrze celując nogami w jego głowę. Za późno wyczuł niebezpieczeństwo. Próbował uskoczyć, ale nie miał gdzie. Ciężkie obuwie trafiło go prosto w twarz. Rozległ się głuchy łomot i coś ustąpiło pod moimi butami. Poborca osunął się na ziemię.

Wisiałem nad nim uczepony prętu starając się przebić wzrokiem ciemności pod sobą. Wszystkim, co udało mi się zobaczyć, był zarys jego skręconego na ziemi ciała. Wydał z siebie cichy, podobny do westchnienia jęk. Puściłem pręt i wylądowałem obok niego. Wyczułem jakiś ruch koło nogi i przywaliłem butem w tamto miejsce. Jego głowa chrupnęła dziwnie uderzając o mur i zapadła cisza.

Błyskawicznie dotknąłem jego twarzy. Leżał cicho, nie ruszając się. Miałem go z głowy.

Spojrzałem w stronę ulicy. Spit stał tam ciągle, w postawie wyrażającej intensywne nasłuchiwanie. Próbował zobaczyć coś w ciemnościach, a jego postać odznaczała się wyraźnie na tle światła. Dobiął mnie jego głos.

- Masz go?

Mruknąłem potwierdzająco. Musiałem dostać go tutaj, jeżeli chciałem wyjść z tego cało. To była moja jedyna szansa. Przykucnąłem.

Znowu usłyszałem jego głos.

- Trzymaj go! Chcę zostawić ślad na tym kurewskim zdrajcy.

Coś błysnęło na tle ściany, tuż przy jego ręce. Nóż!

Skuliłem się i wstrzymując oddech posuwałem się naprzód centymetr po centymetrze. Jeszcze parę kroków. Wyłoniłem się z ciemności celując pięścią w jego szczękę. Instynkt kazał mu cofnąć głowę i moja pięść musnęła mu policzek.

W świetle ulicznych lamp zobaczyłem błysk spadającego na mnie noża. Rzuciłem się rozpaczliwie i złapałem za ostrze. Spit próbował wyszarpnąć rękę, a drugą wydrapać mi oczy. Poczulem piekący ból, kiedy obrócił ostrze noża we wnętrzu mojej dłoni. Odruchowo cofnąłem rękę. Ramię Spita opadło błyskawicznie i zabolowało mnie w boku. Zachłysnąłem się od ciosu, ale znów udało mi się chwycić nóż i zacisnąć na nim palce. Spit zaczął obracać ostrze i nerwy w mojej dłoni skręciły się w agonii, ale nie ośmieliłem się go puścić. Wolną ręką Spit wpijał mi się w gardło. Walnąłem go w twarz. Poczulem ostry ból w kostkach dłoni, kiedy pięść grzmotnęła go w zęby, ale był to błogosławiony ból. Przyłożyłem mu ostro kolanem w krocze. Stęknął i zgiął się wpół.

Wykręciłem mu rękę z nożem tak, że musiał się wyprostować. Przygwoździłem go do ściany gniotąc mu ramieniem gardło. Wolną ręką waliłem go po twarzy, raz za razem. W końcu osunął się po murze.

Puściłem go cofając się o krok. Oddech rzeził mi w gardle, kiedy Spit leciał bezwładnie na ziemię. Rozciągnął się na brzuchu u moich nóg. Pochyliłem się nad nim szukając noża.

Znalazłem, był wbity na dwa cale w bok Spita. To musiało się stać, kiedy przycisnąłem go do ściany. Nie czułem nic. Ani zadowolenia, ani żalu. Któryś z nas musiał umrzeć, albo ja albo on.

Wyprostowałem się i wolno wyszedłem z alejki. Zastanawiałem się, czy Spit żyje. Było mi wszystko jedno. Nie miało to większego znaczenia. Nic nie miałoby znaczenia, gdybym tylko mógł dostać się do domu i położyć do łóżka. Wtedy wszystko będzie w porządku. Rano, kiedy się obudzę, okaże się, że to był tylko sen.

Stałem przed drzwiami przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu klucza. Nie znalazłem. W kieszeniach nie było nic z wyjątkiem pięciu studolarowych banknotów i kawałka ołówka. Zastanawiałem się tępo, co mogłem zrobić z kluczem.

Nagle sobie przypomniałem. Rano rzuciłem go ojcu na stół. Kłóciliśmy się. Teraz nie mogłem sobie nawet przypomnieć o co. Spod drzwi sączyło się światło. Ktoś jeszcze nie spał. Wpuści mnie. Zastukałem cicho.

Usłyszałem szuranie krzesła, potem zbliżające się kroki.

- Kto tam? - rozległo się ostrożne pytanie. To był głos taty. Kiedy szukałem klucza, miałem ściśnięte gardło. Teraz ulga sprawiła, że omal się nie rozplakałem.

- To ja, tato - powiedziałem. - Wpuść mnie.

Teraz już wszystko będzie dobrze. Chwilę panowała cisza, potem głos ojca przedarł się z trudem przez drzwi.

- Odejdź stąd.

Słowa docierały wolno do mojej świadomości. Potrząsnąłem głową, żeby przejaśnić umysł. Najwyraźniej zaczynałem mieć halucynacje. Mój ojciec tego nie powiedział, nie mógłby.

- To ja, Danny - powtórzyłem. - Wpuść mnie. Głos ojca nabrał mocy.

- Powiedziałem: odejdź!

Przeniknął mnie zimny strach. Walłem pięściami w drzwi, zostawiając na nich krwawe ślady.

- Wpuść mnie, tato! - krzychałem histerycznie. - Nie mam dokąd pójść!

Usłyszałem głos mamy. Brzmiało w nim. błaganie. Potem znów głos ojca. Był chrapliwy, ostry i tak niezmienny jak czas.

- Nie, Mary, to koniec! Mówiłem poważnie. Tym razem to ostateczne.

Zza drzwi dobiegł jej szloch, potem trzask kontaktu. Światło pod drzwiami zgasło. Szloch zamierał wolno w głębi mieszkania. Potem zapadła cisza.

Stałem tam chwilę w pełnym niedowierzania oszołomieniu.

i wtedy zrozumiałem. To był koniec. Koniec wszystkiego. Tato spełnił swą groźbę.

Zszedłem wolno ze schodów z uczuciem przygniatającej

puszki i samotności. Znalazłem się znów na werandzie i twarz owionął mi nocny chłód. Osunąwszy się na stopnie oparłem głowę o metalową barierkę. Po policzkach spływały mi łzy. Piekło mnie ramię, przesunąłem po nim ręką. Kiedy ją cofnąłem, palce miałem wilgotne i lepkie. Prawa dłoń krwawiła, a rękaw był szeroko rozcięty. Przez dziurę w rękawie zobaczyłem ranę na ramieniu. Sączyła się z niej krew, ale nie miało to znaczenia. Nic mnie to teraz nie obchodziło, byłem za bardzo zmęczony. Oparłem głowę o balustradę i zamknąłem oczy.

Tylko na moment, bo zaraz je otworzyłem. Owładnęło mną to samo uczucie, którego doznałem już wcześniej dzisiejszej nocy. Ktoś mnie obserwował. Spojrzałem na ulicę zapuchniętymi od płaczu oczami.

Po drugiej stronie stał samochód. Z wygaszonymi światłami i pracującym cicho silnikiem. Już mnie dopadli. Spit i Poborca stawili się z powrotem do pracy.

Nie wstając, przetoczyłem się na brzuch i wczołgałem z powrotem na klatkę schodową. Leżałem tam przez chwilę zastanawiając się, co robić. Może udałoby mi się ich zgubić, gdybym wymknął się tylnym wyjściem na dach sąsiedniego budynku.

Ogarnęło mnie uczucie beznadziejności. Jaki to miało sens? Będą mnie ścigać, dopóki nie złapią. Wszędzie mieli kumpli. Nie było takiego miejsca, gdzie mógłbym się ukryć.

Wsadziłem rękę do kieszeni. Ciągle miałem w niej pieniądze. Może gdybym je oddał, pozwoliliby mi odejść. Ale zanim jeszcze zdążyłem sformułować tę myśl do końca, już wiedziałem, że jest pozbawiona sensu. Sprawy zaszły za daleko. Tkwiłem w tym po uszy.

Jednak forsa nadal nadawała się do celu, dla którego została zdobyta. Stary będzie mógł kupić za nią sklep.

Przynajmniej mama i Mimi odetchną. Jeśli mnie z nią złapią, położą na niej łapy. Dlaczego miałbym darować im cały szmal?

Na podłodze obok mnie leżała reklamowa ulotka. Podniosłem ją i obejrzałem. „Wielka przecena w drogerii Bernera”. Odwróciłem kartkę na drugą stronę. Była czysta.

Sięgnąłem do kieszeni po ołówek. Przelewałem słowa na papier ołówkiem i krwią.

Kochana mamo, pieniądze są na sklep, nie pozwól ich znowu zmarnować. Kocham, Danny.

Zawinałem forszę w papier, wstałem i wrzuciłem do skrzynki. Po raz pierwszy ucieszyłem się, że rząd zmusił właścicieli domów do wymiany skrzynek. Stare były zdezelowane i mógł je otworzyć każdy, kto chciał. Mama znajdzie to jutro rano, kiedy zejdzie po pocztę.

Samochód ciągle stał na ulicy, pomrukując cicho silnikiem. Otrzeptałem spodnie. Schodząc wolno ze schodów czułem mdłości. Z rozmysłem odwróciłem się tyłem do auta i ruszyłem przed siebie. W połowie przecznicy usłyszałem odgłos włączanych biegów i opon ocierających się o krawężnik. Przewyciężając chęć ucieczki obejrzałem się przez ramię. Wóz skręcał w moją stronę.

Chęć ucieczki spotęgowała się. Zdławiłem ją. Do diabła z nimi! Zatrzymałem się i stanąłem przodem do nadjeżdżającego samochodu. Pozwoliłem łzom spływać po policzkach, mrozący strach zamieniał moje ciało w lód. Przekląłem rozpaczliwie ślinę próbując pokonać podchodzące mi do gardła mdłości.

Cofnąłem się parę kroków. Pod ręką poczułem zimny metal latarni i uwiesiłem się bezsilnie. W ustach czułem już gorzki smak wymiocin, przez głowę przelatywały miliony zwiario-wanych myśli.

W którym momencie dorosłeś, Danny?

W życiu każdego człowieka nadchodzi moment, kiedy musi odpowiedzieć sobie na to pytanie. Ja znalazłem odpowiedź tam, pod latarnią, w ciemnościach zimnego przedświtu.

Bąłem się śmierci. I kiedy ten nieokreślony strach ogarniał moje ciało wywołując bolesny skurcz żołądka, zamieniając nerki w skamieniałą bryłę, a pęcherz w ciekący, kłopotliwy kurek - nagle stałem się dorosły.

Dorosłem ze świadomością, że nie jestem nieśmiertelny, że jestem stworzony z ciała i krwi, która szernieje gdy umrę. Poza tym wiem, że będę musiał stanąć twarzą w twarz z moim

dniem sądu. Że matka i ojciec byli jedynie mechanizmami mojego stworzenia, a nie powiernikami mojej duszy. Byłem stworzonym przez nich zbiegiem okoliczności.

Byłem sam i we własnym samotnym świecie. W tym świecie umrę i nikt nigdy nie zapamięta mojego imienia. Śmierć zstąpi na mnie, pokryje mnie kurz i pył, i przestanę istnieć.

Nogi zamieniły mi się w wodnistą galaretę i osunąłem się na kolana, nadal obejmując kurczowo słup latarni.

Kiedy samochód stanął, zamknąłem powieki wyciskając spod nich łzy. Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi i szybko zbliżające się, głucho dudniące na bruku kroki.

Odwróciłem się ku latarni kryjąc twarz w zgięciu ramienia. Czulem, jak pod naciskiem zębów dolna warga pokrywa się krwią. Zacząłem się modlić. Nie o życie, ale o śmierć. Żeby była łagodna i żeby uwolniła mnie od tego koszmaru, w którym nie mogłem żyć.

Miękka dłoń dotknęła mojego ramienia, czyjś głos szepnął mi do ucha.

- Danny!

Próbowałem zagrzebać twarz jeszcze głębiej. Krzyk przerażenia uwiązł mi w gardle. Głos śmierci brzmiał łagodnie jak głos kobiety. Tylko po to, by mnie dręczyć.

- Danny! - nalegał głos. - Czekałam na ciebie. Musisz uciekać!

To nie był głos śmierci. To był głos kobiety przepełniony ciepłem i współczuciem. To był głos życia. Powoli, prawie nie śmiać spojrzeć, podniosłem głowę.

Jej twarz była blada w świetle latarni.

- Przyjechałam, żeby cię ostrzec - szepnęła pospiesznie. - Maxie wysłał Spita i Poborcę, żeby cię znaleźli.

Patrzyłem na nią przez chwilę, a sens jej słów przenikał do mojej świadomości. Nagle zacząłem się śmiać słabo i histerycznie. Nie mogłem się pohamować. To była Sarah, zwana Ronnie. Ciągle jeszcze byłem bezpieczny.

Gapiała się na mnie, jakbym nagle zwariował. Potrząsnęła mną.

- Musisz się ukryć! - szepnęła nagle. - Mogą tu być w każdej chwili.

Spojrzałem na nią, a łzy nadal płynęły mi po twarzy. Opanowałem atak śmiechu i wyciągnąłem do niej rękę.

- Pomóż mi wstać - poprosiłem. Głos, który wydobywał mi się z obolałego gardła, brzmiał ochryple. - Oni nie przyjdą.

Ujęła mnie pod pachy i dźwignęła na nogi.

- Co masz na myśli mówiąc, że nie przyjdą? - zapytała. Byłem już na nogach. Nagle cofnęła dłoń spod mojego ramienia. Oparłem się o słup, a ona wpatrywała się w swoją rękę.

- Ty krwawisz! - zawołała. Skinąłem głową.

- Już mnie dostali!

Na jej twarzy pojawił się strach.

- Co się stało? - szepnęła.

- Co się stało? - powtórzyłem za nią. Znowu zacząłem się śmiać. - Nie wiem co się stało. Zostawiłem ich w alejce. Myślę, że Spit nie żyje. Poborca chyba też. Wszystko to jest bardzo śmieszne. Przyszli mnie zabić, a to ja ich zabiłem!

Śmiech zbulgotał mi w gardle, kiedy opierałem głowę o słup i przymykałem oczy. Zrobiłem Maxiemu Fieldsowi paskudny kawał.

Szarpnęła mnie za ramię. Zachwiałem się i omal nie upadłem.

- Musisz uciekać! Fields cię zabije, jak się dowie! Gapiłem się na nią nie przestając się śmiać.

- Dokąd mam uciekać? - zapytałem. - Nie mam gdzie. Nawet własny ojciec zamknął mi drzwi przed nosem.

Wpatrywała się we mnie.

- Nie masz dokąd pójść? Nigdzie? Potrząsnąłem głową.

- Nigdzie - zacząłem osuwać się z powrotem na chodnik.

Nagle objęła mnie i pociągnęła w stronę samochodu. Szedłem za nią otępiały. Otworzyła drzwi, a ja zwałem się na tylne siedzenie. Zamknęła za mną i usiadła przy kierownicy. Czułem jak samochód rusza. Położyłem twarz na siedzeniu

i zamknąłem oczy.

Raz, kiedy je otworzyłem, byliśmy na moście. Wyglądał jak Manhattan Bridge, ale byłem zbyt zmęczony, żeby to

sprawdzić i znowu zamknąłem oczy. Kręciłem się niespokojnie. Zaczynało mi być bardzo gorąco. Znowu szarpała mnie za ramię. Obudziłem się. W nozdrzach czułem zapach morza. Niemrawo wygramoliłem się z samochodu, próbując skupić na czymś wzrok. Samochód stał w ciemnej ulicy. Parę metrów dalej zobaczyłem pomost, i biały piasek pod pomostem. Od strony plaży dochodził grzmiący głos oceanu. Poprowadziła mnie w stronę małego bungalowu tuż za pomostem. Widniał na nim szyld.

NAPOJE HOT DOGI HAMBURGERY SŁODYCZE.

U BENA

- Gdzie jesteśmy? - spytałem. Błysnęła ku mnie oczami.

- Na wyspie Coney - odparła lakonicznie.

Stukając do drzwi musiała trzymać mnie wpół, bo chwiałem się na wszystkie strony.

- Ben! Obudź się! - zawołała.

Wewnątrz bungalowu zapaliło się światło. Potem rozległo się postukiwanie. Zza zamkniętych drzwi dobiegł nas głos mężczyzny, gruby i zachrypnięty od snu.

- Kto tam?

- Sarah - odpowiedziała. - Pospiesz się, Ben, otwieraj! Drzwi otworzyły się szybko i zalało nas światło.

W drzwiach stał uśmiechnięty mężczyzna.

- Sarah! - wykrzyknął. - Nie spodziewałem się ciebie tak prędko! - Zobaczył mnie i uśmiech znikł z jego twarzy.

- Sarah, co to znaczy?

- Wpuść nas - powiedziała pomagając mi wejść. Odsunął się w milczeniu. Poprowadziła mnie do małej, stojącej pod ścianą pryczy. Upadłem na nią z wdzięcznością. Zwróciła się do mężczyzny.

- Przynies trochę gorącej wody - powiedziała szybko. Spojrzałem najpierw na nią, potem na niego. Kiedy szedł przez pokój, rozległo się postukiwanie. Z nogawki jego spodni wystawał drewniany kikut. Odwrócił się, i nie zdołałem ukryć zdziwienia. Jeden rękaw przypięty miał do kurtki pizamy. Zamknąłem oczy. To był sen. Kiedy je

znowu otworzyłem, ciągle tam byli, Sarah i mężczyzna bez ręki i nogi.

- On jest ranny, Ben - powiedziała. - Muszę mieć trochę gorącej wody, żeby doprowadzić go do ładu.

Dźwignąłem się na nogi. Było mi bardzo ciepło. Pokój rozmazywał mi się przed oczyma. Ten facet utrzymywał tu straszną temperaturę.

- Nic mi nie jest - powiedziałem. - Nie róbcie sobie kłopotu. Nic mi nie jest.

Nagle pokój zawirował. Oni oboje stanęli na głowach. Nic z tego nie rozumiałem. Może wcale nie wydostałem się z alejki. Gdzieś w dole, w kącie pokoju błyskał promień światła.

- Tato! Wpuść mnie! - krzyknąłem, rzucając się w światło głową naprzód. Przeciąłem je z łatwością, jak ryba wodę i wynurzyłem się w ciemnościach po drugiej stronie.

Księga trzecia
Wszystkie dni mojego życia

1

Kiedy wyszedłem spod pomostu, lipcowe słońce wychylało się z wody, jego złotoczerwone promienie muskały fale przydając im pachnącej świeżości. Piasek sprawiał wrażenie białego i czystego. Wiedziałem, że później zszarzeje z brudu, ale teraz był jeszcze świeży, chłodny i przyjemny w dotyku.

Promenada była zupełnie pusta. Dopiero za dwie godziny miała tu napłynąć pierwsza partia plażowiczów. Nabrałem w płuca haust świeżego, porannego powietrza i puściłem się pędem w stronę wody. To był jedyny moment w ciągu dnia, kiedy można było popływać. Miało się dla siebie cały Ocean Atlantycki.

Zrzuciłem ręcznik z ramion i przyjrzałem się sobie. Po ranie zadanej przez Spita została tylko niewyraźna, biała blizna biegnąca wzdłuż ramienia. Wszystko inne zniknęło pod niemal czarną opalenizną. Nie ma co gadać, miałem szczęście.

Przeciąłem tafłę wody i popłynąłem żwawo w stronę odległego pala. W ustach i nosie czułem gorzko-słony smak morskiej wody. Ostry i orzeźwiający. Plaża wydawała się daleka i mała. Przewróciłem się na plecy i pozwoliłem unosić się wodzie. Czułem się niemal tak, jakbym znalazł się we własnym świecie.

Trudno było w to uwierzyć, ale od tamtej nocy, kiedy Sarah mnie tu przywiozła, minęły już prawie dwa miesiące. Tak naprawdę to ta noc nie przydarzyła się mnie, przydarzyła się komuś innemu, komuś, kto żył w moim ciele, chłopakowi o moim nazwisku. Ale wszystko to miałem już za sobą.

Obmywając mi zranione ramię i bok z kurzu i zakrzepłej krwi, Sarah wymyśliła mi nowe nazwisko Danny White. Tak przedstawiła mnie swojemu bratu. Uśmiechnąłem się na to wspomnienie. Z początku byłem za słaby, żeby protestować, ale następnego dnia, kiedy zobaczyłem gazety i własne nazwisko pod zdjęciami z Gloves, przyznałem jej rację. Im mniej jej brat, czy ktokowiek inny o mnie wiedział, tym lepiej.

Przeglądaliśmy niecierpliwie gazety w poszukiwaniu informacji o Spicie i Poborcy, nie było. Wymienialiśmy zaintrygowane spojrzenia, ale nie mieliśmy odwagi o tym rozmawiać, aż do późnego popołudnia, kiedy Ben wyszedł kupić coś do zjedzenia.

- Myślisz, że już ich znaleźli? - zapytałem. Potrząsnęła głową, jej twarz wyrażała niepokój.

- Nie mam pojęcia. Dowiem się czegoś więcej wieczorem, kiedy tam wrócę.

- Wracasz tam? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Muszę - odparła cicho. - Jeżeli się nie zjawię, Maxie zorientuje się, że coś jest nie w porządku i będzie mnie szukał. To jedyny sposób, żebyśmy byli bezpieczni.

Spróbowałem usiąść, ale byłem za słaby i opadłem na poduszkę.

- Wyniosę się stąd - wymamrotałem. - Nie przyniosłem ci nic z wyjątkiem kłopotów.

Spojrzała na mnie ciekawie.

- Dokąd pójdziesz?

- Nie wiem - odparłem. - Znajdę coś. Nie mogę tutaj zostać. Prędzej czy później pójda po rozum do głowy. I wtedy ty też oberwiesz.

Pochyliła się i poklepała mnie lekko po policzku.

- Zostaniesz tutaj, Danny - powiedziała cicho. - Zostaniesz tutaj i będziesz pracował z Benem. On potrzebuje pomocy, nie jest w stanie sam prowadzić baru.

- A jeżeli ktoś mnie rozpozna? - zapytałem.

- Nikt cię nie rozpozna - odparła z przekonaniem. - Wyspa Coney to spory teren. W lecie zjeżdża się tu ponad półtora miliona ludzi, a tłum jest dla ciebie najbezpieczniejszą kryjówką. Zresztą, nigdy na to nie wpadną, że tu jesteś.

Nie odrywałem od niej wzroku. To co mówiła, miało sens.

- Ale co z tobą? - zapytałem. - Będzie chciał wiedzieć, gdzie spędziłaś ostatnią noc. Co mu powiesz?

- Nic - odparła beznamiętnie. - Pomoc domowa ma prawo do jednego wolnego dnia. Jeżeli zapyta, co robiłam, powiem, że pojechałam odwiedzić brata. Wie, że robię to co tydzień.

- Twój brat o nim wie? - zaciekawilem się. Skinęła głowę, odwracając wzrok.

- Ben myśli, że jestem jego osobistą sekretarką. A przedtem myślał, że pracuję jako modelka - spojrzała na mnie błagalnie. - Pięć lat temu, kiedy dowiedział się, że stracił w wypadku rękę i nogę, chciał umrzeć. Wydawało mu się, że nie będzie mógł pracować, że stanie się dla mnie ciężarem. Cała rodzina to tylko my dwoje. Kończyłam wtedy szkołę średnią. Powiedziałam mu, żeby się nie martwił, że będę pracowała i utrzymam nas, dopóki nie wydobrzeje na tyle, by znowu zarabiać. On też mnie utrzymywał po śmierci ojca. Powiedziałam, że pójdę i dostanę pracę.

Rzuciła mi niewesoły uśmiech.

- Byłam wtedy dzieckiem. Nie wiedziałam, ile pieniędzy potrzeba na lekarstwa i lekarzy, nie wiedziałem, jak mało płaci się stenografistkom i maszynistkom. Piętnaście dolarów tygodniowo nie mogło pokryć nawet drobnej części naszych wydatków. Pierwszą pracę dostałam u agenta sprzedającego bilety teatralne. Uczyłam się szybko i parę tygodni później poszłam do szefa po podwyżkę; roześmiał się tylko. Nie zrozumiałam, o co mu chodzi i zapytałam, z czego się śmieje.

- Jesteś inteligentną dziewczyną - powiedział - ale nie mogę ci więcej płacić.

- Ale ja potrzebuję więcej pieniędzy! - zawołałam. Stał przez chwilę za biurkiem, zanim do mnie podszedł.

- Jeżeli jesteś naprawdę taka napalona - powiedział - to mogę cię wsadzić w złoty interes.

- Jaki? - zapytałam. - Zrobię wszystko. Potrzebuję pieniędzy!

- Chodzi o przyjęcie dziś wieczorem - powiedział. - Znajomi przyjechali do miasta i prosili, żebym podesłał im parę dziewcząt na wieczór. Płacą dwadzieścia papierów.

Wytrzeszczyłam na niego oczy. Nie sądzę, żebym wiedziała,

o co mu naprawdę chodziło, a dwadzieścia dolarów to była kupa forsy, więc poszłam na to przyjęcie. Nigdy niczego podobnego nie widziałam i miałam właśnie zamiar wyjść, gdy zjawił się mój szef. Zobaczył mnie stojącą sztywno pod ścianą, uśmiechnął się ze zrozumieniem i przyniósł mi drinka. Zrobiło mi się po nim bardzo przyjemnie, odprężył mnie, więc wypiałam jeszcze parę. Potem pamiętam tylko, że szłam z nim po schodach.

Rano, kiedy się obudziłam z potwornym bólem głowy, byłam sama w dziwnym pokoju. Wygrzebałam się z łóżka szukając po omacku swoich rzeczy. Leżały na krześle z przypiętą do nich białą karteczką: „Możesz się trochę spóźnić” - przeczytałam. Pod karteczką znalazłam dwudziestodolarowy banknot. Byłam teraz profesjonalistką. Przyjrzałam się w lustrze swojej twarzy. Nie było na niej żadnych dostrzegalnych zmian, żadnego purpurowego znamienia na czole. Nic się nie zmieniło, poza tym, że znalazłam sposób na zarabianie dwudziestu dolców, kiedy mi były potrzebne. A w miarę upływu czasu potrzebowałam ich coraz częściej.

Wstała i popatrzyła na mnie z góry. Twarz miała obojętną, głos bezbarwny i pozbawiony emocji.

- I tak to było. Pracowałam i płaciłam rachunki za lekarzy

i lekarstwa, ale dopiero wtedy, gdy na jakimś przyjęciu wpadłam w oko Fieldsowi, mogłam zebrać dość pieniędzy na ten bar dla Bena.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. W ustach miałem sucho i chciało mi się palić. Sięgnąłem po fajki leżące przy łóżku. Domyśliła się, po co sięgam, nasze ręce spotkały się na paczce papierosów. Przytrzymałem jej dłoń, a ona spojrzała mi posepnie w oczy.

- Tak było, aż do tej nocy, kiedy ze mną zostałeś, ponieważ cię o to prosiłam i nie chciałeś, żeby on zrobił mi krzywdę. Nigdy dla miłości, zawsze dla pieniędzy. Nigdy dla siebie. Aż do tamtej nocy. Wtedy nagle zrozumiałam, co przehandlowałam. Ale było już za późno. Ustaliłam już cenę i nie mogłam wycofać się z transakcji.

Wysunęła rękę z mojej dłoni i dała mi papierosa. Włożyłem go do ust, a ona podała mi ogień.

- Musisz wracać, Sarah? - spytałem.

- Muszę - odparła głosem pozbawionym wyrazu. Uśmiechnęła się do mnie niepewnie.
- Zabawne, że nazywasz mnie Sarah. Od dawna nikt, z wyjątkiem Bena, tak do mnie nie mówi.
- Nie pamiętam, żebyś miała jakieś inne imię. Posępny wyraz zniknął z jej twarzy.
- Danny - powiedziała z miłym wyrazem w oczach.
- Niech tak będzie między nami... zawsze. Zostańmy przyjaciółmi.

Ująłem jej rękę.

- Jesteśmy przyjaciółmi, Sarah - rzekłem cicho.

Wtedy wrócił Ben z gorącym rosołem. Zjadłem trochę i przysnąłem. Kiedy się obudziłem, już jej nie było, a Ben siedział i patrzył na mnie.

- Pojechała? - zapytałem, rozglądając się po małym pokoju.

Skinął głową.

- Pan Fields oczekuje jej dziś po południu. Dbaj o to, żeby była zajęta.

Zgodziłem się z nim.

- To ważny gość.

Wahał się przez chwilę, potem odchrząknął.

- Sarah mówi, że chcesz tu popracować latem. Skinąłem głową.

- Nie mogę dużo płacić - rzekł na w półprzepraszająco.

- Nie wiem jeszcze jak nam pójdzie.

- Zostawmy na razie sprawę forsy - powiedziałem. - Ważne jest nie to, ile możesz mi płacić, tylko jak mogę się wam odwdziaczyć.

Uśmiechnął się niespodziewanie i wyciągnął rękę.

- Dogadamy się, Danny.

I dogadywaliśmy się. Już prawie dwa miesiące. Sarah przyjeżdżała raz w tygodniu i wszystko zaczynało się jakoś układać. Interes szedł tak sobie, ale Ben nie dokładał i to mu wystarczało. Ja też czułem się szczęśliwy, byłem poza zasięgiem Fieldsa.

Kiedy po tygodniu przyjechała Sarah, funkcjonowałem już normalnie. Poza bólem w ramieniu czułem się nieźle.

Pierwsze pytanie, jakie jej zadałem, kiedy tylko znaleźliśmy się

sami, dotyczyło Spita i Poborcy. Przez cały ten tydzień w gazetach nie pojawiła się nawet wzmianka na ich temat. Znajdowali się w prywatnej klinice, u znajomego lekarza Fieldsa. Po kontaktach z moim obuwiem Poborca miał złamaną szczękę, a Spit dziewięć szwów w miejscu, gdzie wbił mu się jego własny nóż. Jeszcze półtora cala i byłoby po nim; ostrze sięgnęłoby serca. Do pewnego stopnia byłem z tego zadowolony. Nie chciałbym, żeby ciążyło na mnie takie oskarżenie.

Fieldsowi nieźle to dopiekło. Przysięgał, że mnie dostanie i wtedy pożałuję. Szukając mnie tamtej nocy przeczesał całą dzielnicę tak dokładnie, że nie mógłby zrobić tego lepiej przy użyciu szczoteczki do zębów. W tydzień później jeszcze się pieklił.

Jednak w miarę jak mijały tygodnie, wspominał o mnie coraz rzadziej - twierdziła Sarah. Był przekonany, że zwałem z miasta z forszą. Z radością pozwoliłem mu tkwić w nieświadomości.

Wiele razy chciałem poprosić Sarah, żeby dowiedziała się czegoś o Nellie i mojej rodzinie, ale nie śmiałem. Nie próbowałem nawet do nich pisać, bo - jak twierdziła Sarah - Fields miał ich na oku przez dłuższy czas. Byłem ciekaw, czy tato dostał sklep za tamte pieniądze, czy Mimi pracuje, jak czuje się mama, czy za mną tęsknią i czy żałują, że odszedłem. W nocy leżałem na pryczy i myślałem o nich. Czasem, kiedy zamknąłem oczy, mogłem sobie wyobrazić, że jestem znów w domu i mama gotuje kolację, a powietrze przesyca zapach rosółu. Do domu wracał ojciec i budziło się we mnie uczucie rozgoryczenia. Otwierałem oczy i wszyscy znikali.

Wtedy myślałem o Nellie. Widziałem wyraźnie jej twarz w ciemnościach nocy, uśmiechała się do mnie, jej ciemne oczy błyszczały miłością i ciepłem. Zastanawiałem się, czy rozumiała, czy domyślała się, dlaczego odszedłem. Czy pamięta o tym, co jej powiedziałem: „Bez względu na to co się stanie pamiętaj, że cię kocham”. Kiwała do mnie głową w ciemnościach i niemal słyszałem jej szept: „Pamiętam, Danny”.

Wtedy zaciskałem mocno powieki, a chrapanie Bena kołysało mnie do snu. Rano, kiedy się budziłem, słońce świeciło mi jasno w twarz.

Tak jak teraz, kiedy leżałem na wodzie zwrócony twarzą ku niebu. Woda unosiła mnie bez wysiłku, przebierałem lekko nogami. Fale chlupotały cicho wokół mnie.

- Danny! - dobiegł od brzegu znajomy głos.

Zwracając się w stronę plaży nabrałem pełne usta wody. Na brzegu, machając do mnie ręką, stała Sarah.

Odmachałem jej z uśmiechem i popłynąłem ku plaży.

2

Znalazła mój ręcznik i kiedy do niej dopłynąłem, zrzuciła już aksamitny szlafrok.

Uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

- Co tu robisz? - zapytałem. - Nie spodziewaliśmy się ciebie aż do pojutra.

- Maxie musiał wyjechać z miasta - wyjaśniła. - Mam cały weekend dla siebie.

Byłem zaniepokojony.

- Co się stało?

Upychała włosy pod czepkiem kąpielowym.

- Skąd mam wiedzieć? - wzruszyła ramionami. - Nie mój interes. Obchodzi mnie tylko to, że mogę spędzić z tobą cały weekend, nic więcej.

Znaczenie tych słów dotarło do mnie dopiero wtedy, gdy byliśmy już w wodzie. Nie wspomniała nic o Benie. Tylko o mnie.

Odwróciłem twarz, żeby na nią spojrzeć. Dobrze pływała jak na dziewczynę. Miała dobre uderzenie w krawłu, niosło ją lekko przez wodę.

- Widziałas się z Benem? - zawołałem do niej.

- Tak! - odkrzyknęła. - Powiedział mi, gdzie jesteś. Przestała ruszać rękami zanurzona w pozycji pionowej.

- Woda jest cudowna! - zawołała. - Ale zupełnie brak mi tchu.

Podpłynąłem do niej i chwyciłem ją pod pachy.

- Odpocznij chwilę - powiedziałem. - Zaraz odzyskasz oddech.

W wodzie była lekka jak piórko. Czuję jedność jej ciała, kiedy fale pchały nas ku sobie i znowu rozdzielały.

Zaczął ogarniać mnie znajomy żar. Puściłem ją szybko.

Odwróciła się w wodzie i spojrzała na mnie. Ona też to czuła.

- Dlaczego mnie puściłeś, Danny? - zapytała.

- Fala robi się za wysoka jak dla mnie - wyjaśniłem zdawkowo.

Potrząsnęła głową.

- Dlaczego, Danny? Nie oszukuj mnie.

Patrzyłem na nią. Jej twarz pod żółtym czepkiem była drobna i wdzięczna, oczy czyste i młode, jakby woda zmyła z niej to wszystko, czego w życiu doświadczyła, całe cierpienie, całą wiedzę. Ukrywanie czegoś przed nią nie miało sensu. Była przyjacielem.

- Staram się nie komplikować sobie życia - powiedziałem szczerze.

- Co masz na myśli? - nalegała.

- Nie jestem z kamienia - odparłem - a ty jesteś piękna. Widziałem, że to co powiedziałem, sprawiło jej przyjemność.

- Nic poza tym? - zapytała.

- A co jeszcze mogłoby być? - zdziwiłem się. Wahala się przez chwilę.

- To, kim jestem? - zapytała wolno. Potrząsnąłem stanowczo głową.

- Jesteś moim kumplem - powiedziałem. - Nic innego nie ma znaczenia.

Jej dłonie spoczywały mi na ramionach, opierała się na mnie patrząc mi badawczo w twarz.

- Na pewno, Danny? Skinąłem głową.

- Na pewno. - Wzięłem głęboki oddech. - Po prostu nie chcę niczego schrzanić, to wszystko.

Patrzyła w wodę.

- I myślisz, że gdybyś mnie pocałował, to mógłbyś coś schrzanić, tak?

- Chyba tak. Podniosła na mnie oczy.

- Dlatego, że kochasz inną dziewczynę? Skinąłem głową bez słowa.

W jej oczach pojawił się dziwny ból.

- Ale skąd możesz wiedzieć, skoro nie chcesz nawet spróbować? - zapytała. - Są różne rodzaje miłości, także takie, o jakich możesz nie wiedzieć.

Usta jej drżały. Błyszcząca wilgoć oczu nie pochodziła jedynie od kontaktu z morską wodą. Przyciągnąłem ją bliżej i pocałowałem. Usta miała mokre i słone, a mimo to słodkie i ciepłe. Zamknęła oczy, kiedy ją całowałem, nagle osłabła w moich ramionach. Spojrzałem jej w twarz.

Odwróciła głowę patrząc w morze. Mówiła tak cicho, że musiałem pochylić głowę, żeby ją usłyszeć.

- Wiem, że nigdy nie będziesz mógł kochać mnie tak jak tamtą, Danny, i to jest w porządku. Ale jest coś, co możemy sobie dać. Może nie jest to dużo i nie będzie zbyt trwałe, jednak bez względu na to, możemy podarować sobie coś ważnego.

Nie odpowiedziałem. Nie było potrzeby. Uniosła ku mnie twarz. Wyglądała bardzo młodo.

- Pamiętasz, co ci powiedziałam, Danny? Że nigdy z miłości, zawsze dla pieniędzy. Nigdy dla siebie. Chcę, żeby raz było inaczej, żeby to było dla mnie. Żeby to było to, czego chcę, a nie za co mi płacą.

Przycisnąłem delikatnie usta do jej warg.

- Będzie, jak chcesz, Sarah - powiedziałem miękko. Jedno wiedziałem na pewno: nie odpłacasz przyjacielowi za jego serce odmawiając mu tego, czego od ciebie chce. A jeżeli gotów jest uznać namiastkę prawdziwego uczucia za jego pełnię, to nie ty go oszukujesz, oszukuje sam siebie.

Sarah musiała sobie wiele wynagrodzić, a droga do tego celu wiodła przeze mnie.

Wycierała mi plecy ręcznikiem.

- Dotąd nie zdawałam sobie z tego sprawy - powiedziała

- ale jesteś prawie czarny, a twoje włosy zrobiły się niemal białe od słońca. Nikt by cię teraz nie poznał.

Uśmiechnąłem się do niej przez ramię.

- Ty mnie poznałaś.

- Wiedziałaś, gdzie cię szukać - powiedziała szybko. Na jej twarzy ukazał się wyraz zaciekawienia.

- Coś mi się przypomniało. Znasz Sama Gottkina?

- Mhm - odparłem. - A bo co? Podniosła na mnie wzrok.

- Był wczoraj u Maxiego w twojej sprawie.

- Czego chciał? - zapytałem szybko.

- Dowiedzieć się gdzie jesteś. Był z nim pewien Włoch, który nazywa się chyba Zep. Znasz go?

Skinąłem głową.

- To brat mojej dziewczyny. Jak dotarli do Maxiego?

- Słyszeli, że szukał cię wszędzie tamtej nocy po walce, więc przyszli dowiedzieć się w czym rzecz. Sam i Maxie są starymi kumplami. Sam dowiedział się o tym, że zniknąłeś dopiero od twojej siostry. Dlaczego ona poszła właśnie do niego?

- Pracowałem kiedyś dla Sama - wyjaśniłem pośpiesznie.

- A poza tym wiedziała, że Sam ma być moim managerem po przejściu na zawodowstwo. Co mówili?

- Maxie powiedział im, co wie, czyli nic.

- Także, dlaczego mnie szukał? - zapytałem. Skinęła głową.

- Sam strasznie się tym zdenerwował. Powiedział Maxiemu, żeby trzymał łapy z daleka od ciebie. Sklął go na wszystkie możliwe sposoby.

Patrzyłem na nią w zdumieniu.

- I Maxie to przełknął?

- Niezupełnie - odparła. - Twierdził, że Sam powinien mu cię odstąpić, ponieważ jesteś z jego terytorium. Pokłócili się okropnie. Maxie powiedział, że niech no tylko dostanie cię w swoje ręce, to już on się tobą zajmie. A na to Sam, żeby nic nie robił bez porozumienia z nim, bo ma z tobą własne porachunki.

Gapiałem się na nią. To mnie dobiło. Nie było już nikogo, na kim mógłbym polegać.

- Maxie się na to zgodził? - zapytałem.

- Wtedy tak - rzekła. - Usiedli, wypili parę drinków i zaczęli ubijać interes. Później Sam zawołał twoją siostrę, umówił się z nią na wieczór i wyszli. Wtedy Maxie zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem i przysięgał, że najpierw cię dostanie, a dopiero potem powie o tym Samowi.

Mniej więcej tego się po nim spodziewałem. To była jego metoda działania. Jej następne pytanie zupełnie mnie zaskoczyło. .

- Czy twoja siostra jest zaręczona z Samem Gottkinem.' Otworzyłem usta ze zdumienia.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - wyjąkałem.

- Sam powiedział Maxiemu, że nie chce, by coś ci się stało zanim zdąży się z tobą zobaczyć, ponieważ jesteś bratem jego narzeczonej i jeżeli coś ci się przydarzy, diabli wezmą jego plany.

W jej głosie była ciekawość.

- Nie wiedziałeś o tym? Potrząsnąłem wolno głową.

- Nie, nie wiedziałem nawet, że się znają.

Byłem ciekaw jak do tego doszło. Z wszystkiego, co przed chwilą usłyszałem, to wydawało mi się najdziwniejsze.

Sam i Mimi - jakoś nie mogłem w to uwierzyć.

Spod pomostu dobiegł czyjś głos. Ben machał do nas ręką.

- Hej! - krzyczał. - Nie macie w ogóle zamiaru wracać do pracy? Myślicie, że co to jest - Boże Narodzenie?

3

Siedziałem pod ladą paczkując orzeszki. Nagle Ben zaklął. Podniosłem wzrok zaskoczony jego porywczością.

- Do cholery z tymi dzieciakami! - wrzasnął.

- O co chodzi? - zapytała Sarah.

Odrzucił się do niej, machając jednocześnie ręką w stronę plaży.

- Szedł klient, a te cholerne gnojki dopadły go pierwsze. To cud, że w ogóle zarabiamy na życie z tymi przeklętymi bachorami!

Sarah była tolerancyjna.

- Nie przejmuj się - odezwała się uspokajająco. - Nerwy mc tu nie pomogą.

W głosie Bena była wściekłość.

- Ale to my bulimy ładny kawał grosza na koncesję a te bachory nas rujnują. One nie płacą za branie skrzynek z lodami i handlowanie nimi na plaży. Powinno im się tego zabronić.

- Gliniarze gonią ich od czasu do czasu - powiedziała Sarah.

- Ale przeważnie są zbyt zajęci oglądaniem pańienek, żeby w ogóle ruszyć palcem - odparł z pasją.

- Tak czy owak - rzekła Sarah - nie chciałabym uganiać się cały dzień w tym słońcu po rozpalonym piasku tylko po to, żeby sprzedać skrzynkę lodów i podłapać parę dolców

Ben pokuśtykał bez słowa na zaplecze ciągnąc za sobą protezę.

Wstałem z trudem przeciągając się.

- Wygląda na wściekłego - powiedziałem. Oczy miała zatroskane.

-1 ma do tego prawo - odparła. - Ten bar jest jego wielkim marzeniem i chciałby coś z niego mieć. A wygląda na to że starczy mu jedynie na pokrycie letnich wydatków. Nie zarobi tyle, żeby przetrwać zimę. A to oznacza, że znów będzie musiał przyjść do mnie po pieniądze. Nie lubi tego. Jest bardzo niezależnym facetem.

Nie odpowiedziałem, zacząłem układać orzeszki na ladzie Chyba miała rację. Wiedziałem, co czuje Ben. W tej chwili było na plaży czterech chłopaków, przynajmniej tylu mogłem się doliczyć. Wiatr niósł w naszą stronę ich wrzaskliwe nawoływania.

Gorące pączki!

Lody!

Krem czekoladowy! Lody na patyku! W większości były to dzieci. I wyglądały sympatycznie. Od czasu do czasu zamieniałem z nimi parę słów. Ponieważ

pośrednicy, od których brali towar, zdzierali z nich siódmą skórę, większość z nich nie zarabiała nawet dolara dziennie. Facet, który dałby tym chłopakom naprawdę uczciwe warunki, zbiłby fortunę. Były ich na plaży setki. Nagle ogarnęło mnie podniecenie. Co za głupiec ze mnie, że nie pomyślałem o tym wcześniej. To była jedyna rzecz, jakiej nauczyłem się od Sama podczas pobytu na wsi. Sam zrobił forszę na swojej koncesji, ponieważ dopuszczał chłopaków do uczciwego zysku. Dlaczego Ben nie miałby tu zrobić tego samego?

Odwróciłem się do Sarah. Stała z Benem przy kasie i spoglądała na plażę. Ben odwrócił się, kiedy klepnałem go w ramię.

- Dzieciaki mogłyby równie dobrze pracować dla ciebie

- powiedziałem.

Nie zrozumiał. - Jakie dzieciaki? O czym ty mówisz? Pokazałem kciukiem w stronę plaży.

- Tamte. Dlaczego nie weźmiesz ich do spółki?

- Nie świruj - burknął. - Nie mam czasu za nimi latać, żeby wyciągać, co mi się należy.

- Nie musisz za nimi latać - powiedziałem. - Zapłacą za towar z góry.

- Tylko połowę - odparł. - Resztę trzeba z nich będzie wyciskać. A poza tym dlaczego mieliby robić interes ze mną? Mogą dostać to samo od kogokolwiek.

- Musi być sposób, żeby ich zachęcić - powiedziałem.

- Przypuśćmy, że nie bierzemy forsy z góry. Że zostawiają nam coś w zastaw. Na przykład zegarek albo rower.

Wtedy nie będą musieli wykładać forsy i przyjdą do nas.

- Zapomnij o tym - powiedział Ben z niesmakiem. Wziął szmatę i zaczął wycierać kontuar. - A poza tym mamy za mało miejsca.

Głos Sarah sprawił, że podniósł wzrok.

- Masz pokój na zapleczu, którego nie używasz - powiedziała. - Mógłbyś tam wstawić lodówkę.

- Ależ, Sarah! - zaprotestował. - Nie mogę po prostu kazać im tu przyjść tylko dlatego, że ja tak chcę.

- Ja się nimi zajmę - powiedziałem szybko. - Będziesz miał tyle dzieciaków, ile zechcesz.

Sarah spojrzała na mnie, potem zwróciła się do brata z nutą wyzwania w głosie. - No więc? - zapytała. Nie odpowiadał, wahał się. Uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- O co chodzi, Ben? - zapytała. - Zawsze mówiłeś, że chcesz zbić prawdziwą forszę. To pierwszy dobry interes, jaki możesz zrobić na tym barze. A może nie lubisz już pieniędzy?

Na jego twarzy pojawił się zażenowany uśmiech. Zwrócił się do mnie z wdzięcznością.

- Okay, Danny - powiedział. - Spróbujemy. Czasem zapominam, że nie muszę już robić wszystkiego sam.

Spojrzałem na zegarek. Już prawie zmierzchało. Najwyższy czas, żeby pogadać z dziećmi. Przez ostatnie pół godziny siedziałem na ławce obserwując, jak nieprzerwany strumień chłopaków znika pod pomostem.

Zapaliłem papierosa, wstałem i zszedłem po kamiennych schodach prowadzących na plażę. Kiedy dawałem nura pod pomost, dobiegł mnie szmer rozmów i uśmiechnąłem się do siebie.

Nie myliłem się. Najszybszą metodą dotarcia do bandy dzieciaków było odnalezienie miejsca, gdzie grali w kości. Na kawałku betonowej płyty, tuż za toaletami grało mniej więcej dwudziestu chłopaków. Tylko paru z nich było w moim wieku, reszta wydawała się młodsza. Przecisnąłem się do wewnętrznego kręgu graczy. Jeden z chłopaków szykował się do rzutu. Wokół niego leżało na betonie mnóstwo srebrnych monet. Niedbale rzuciłem na płytę pięciodolarowy banknot.

- Przebijam każdy zakład - oznajmiłem.

Zwróciły się ku mnie wszystkie twarze. Obserwowałem je uważnie. Nie było w nich wrogości, jedynie ciekawość.

Jak dotąd wszystko grało. Bez kłopotów. Po prostu piątak to było mnóstwo forsy dla tych dzieciaków.

Chłopak trzymający kości podniósł się na nogi.

- A kim ty jesteś? - zapytał z lekką urazą w głosie. Uśmiechnąłem się do niego z papierosem zwisającym luźno z kącika ust.

- Amatorem gry w kości - odparłem swobodnie.

Gapił się na mnie przez chwilę, potem przeniósł wzrok na pozostałych. Zwracając się znowu do mnie, powiedział uprzejmie:

- Pan zabiera swoją forszę. Nie damy rady tak wysoko. Schylając się po pieniądze spojrzałem na niego spod oka.

- Jaki macie pułap?

- Piętnaście centoli - odpowiedział. Wyjąłem z kieszeni garść drobnych.

- Rzucaj - powiedziałem. - Nie jestem snobem. Przykucnął ponownie i rzucił kości. Odbiły się ostro od ściany, przetoczyły po płycie i znieruchomiały.

- Siódemka! - odetchnął. Wyciągnął rękę i zabrał część leżących przed nim drobniaków.

Zrobiłem parę zakładów i zacząłem rozmawiać ze stojącym obok chłopakiem.

- Handlujecie na plaży? - zapytałem.

Chłopak skinął głową nie odrywając wzroku od kości.

- Zarabiacie coś? - pytałem dalej przyjaznym tonem. Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Kpisz? - zapytał. Potrząsnął głową.

- Nie - odparłem poważnie. - Wiem, że jest w tym kupa forsy i byłem ciekaw czy wy też coś z niej dostajecie.

- O czym ty mówisz? - zapytał. - Wszystko, co dostajemy, to dwadzieścia centów od dolara. Mamy szczęście, jeżeli uda nam się zarobić siedemdziesiąt centoli dziennie.

Gapilem się na niego. Było nawet gorzej niż myślałem.

- Kantują was - powiedziałem obojętnie. - W New Jersey płacą czterdzieści od dolara i nie biorą forsy z góry.

- Może w New Jersey - zakpił. - Ale nie na wyspie.

- Znam takie miejsce także na wyspie - powiedziałem prędko ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy. - I szukają tam sprzedawców.

Zainteresował się. Patrzył teraz na mnie zapomniawszy o grze.

- Gdzie? - zapytał.

- Myślisz, że twoi kumple byliby zainteresowani? - wykręciłem się od odpowiedzi.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A kto nie jest zainteresowany forszą?! - Odwrócił się do gromady chłopaków. - Hej, chłopaki! - zawołał. - Ten facet mówi, że zna miejsce, gdzie dają czterdzieści od dolara i nie biorą forsy z góry.

To był koniec gry. Skupili się wokół mnie, mówili wszyscy naraz.

Podniosłem rękę, żeby ich uciszyć.

- Jeżeli przyjdziecie jutro do baru Bena Dorfmana, będę miał dla was dwadzieścia cztery skrzynki. - Policzyłem ich szybko. - I przyprowadźcie kolegów - dodałem. Chciałem wyprowadzić wszystkie skrzynki. W ten sposób zjawi się ich przynajmniej tylu, że zdołamy puścić w obieg cały towar.

Pomyliłem się tylko co do jednej rzeczy. Następnego ranka przyszło prawie pięćdziesięciu chłopaków, a pod koniec tygodnia handlowało już dla nas stu pięćdziesięciu.

Stojący na półce stary budzik wskazywał jedenastą, kiedy Ben podniósł oczy znad stołu. Światło pojedynczej żarówki rzucało na jego twarz cienie zmęczenia. Przesunął w stronę siostry kupkę drobnych leżącą jeszcze na stole.

- Masz, Sarah - powiedział znużonym głosem. - Przelicz to, co zostało. Ja jestem skonany.

Zaczęła w milczeniu przebierać palcami w srebrnych monetach, potem odwróciła się do mnie:

- Co za tydzień! - znać było po niej wyczerpanie. - Nigdy jeszcze nie byłam tak zmęczona w niedzielny wieczór. Te dzieciaki dają nam popalić!

Uśmiechnąłem się.

- Mówiłem wam, kruszynki! Wychodzi mi, że od czwartku mamy jakieś osiemset papierów brutto. Cały tydzień powinien przynieść tysiąc dwieście. Co oznacza cztery setki na czysto.

Ben skinął głową z bladym uśmiechem.

- Miałeś rację, chłopcze - przyznał. - Muszę ci oddać sprawiedliwość.

Sarah skończyła owijanie bilonu w papier. Wstała. - Nigdy w życiu nie widziałam takiej ilości drobnych - powiedziała.

Ben spojrział na nią znacząco. Skinęła głową i Ben zwrócił się do mnie.

- Danny, Sarah i ja chcemy, żebyś wiedział, że doceniamy to, co zrobiłeś. Mamy ci wiele do zawdzięczenia i chcemy, żebyś od tej pory dostawał dwadzieścia pięć od tego, co om dla nas zarobią.

Gapiałem się na niego zaskoczony. Coś ścisnęło mnie za gardło. Nigdy nie liczyłem na tyle szczęścia. Patrzyłem na nich bezradnie. Nie byłem w stanie wydobyć głosu.

- Coś nie tak, Danny? Za mało? - spytał pospiesznie Ben. W końcu udało mi się potrząsnąć głową i przywołać uśmiech na twarz.

- Ja... ja nigdy nie spodziewałem się czegoś takiego, Ben. Nie wiem po prostu, jak ci dziękować.

- Dziękuj nie mnie, tylko Sarah. Sądziła, że po sprawiedliwości, powinieneś coś z tego dostać, bo gdyby nie ty, me mielibyśmy w ogóle nic.

Sarah uśmiechała się do mnie łagodnie z mroku rozciągającego się tuż za stołem.

- To ci się należy - powiedziała.

Nasze oczy się spotkały. Nie odezwałem się. Są rzeczy, których po prostu nie da się powiedzieć, uczucia, których nie można wyrazić słowami. Zawdzięczałem jej wiele. Gdyby me ona, już by mnie prawdopodobnie nie było.

Głos Bena wyrwał mnie z zamyślenia.

- Szkoda, że nie mamy ciepłej wody. Przydałaby mi się kąpiel. A potem prawdziwe łóżko zamiast tej cholernej starej pryczy. .

Sarah popatrzyła na niego. - Dlaczego nie pójdziecie ze mną do hotelu? Stać nas teraz na to. Moglibyście dostać pokój z łazienką i porządnie się wyspać.

- To najlepszy pomysł, jaki usłyszałem dzisiaj wieczoru - zawołał z entuzjazmem. - Co ty na to, chłopcze?

Potrząsnąłem głową. Hotel „The Half Moon” był za duży.

Ciągnęły tam tłumy z całego miasta. Lepiej dla mnie było zostać tutaj.

- Nie, Ben - powiedziałem szybko - idźcie sami. - Lepiej, żeby ktoś tu został i miał oko na wszystko.

Popatrzył na mnie niepewnie, potem przeniósł wzrok na Sarah. - Co o tym sądzisz? - zapytał.

Rzuciła mi spojrzenie, potrząsnąłem nieznacznie głową. Załapała natychmiast.

- Myślę, że Danny ma rację - powiedziała wolno. - Chodź ze mną, Ben, a Danny popilnuje interesu.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, wróciłem na pryczę i wyciągnąłem się na posłaniu. Zapaliłem papierosa, sięgnąłem do kontaktu i zgasilem lampę. Palący się papieros był teraz jedynym źródłem światła.

Byłem wykończony. Poczulem to dopiero w tej chwili, poddając się fali znużenia napływającej od obolałych nóg. Żałowałem, że nie mogę pójść z nimi. Gorąca kąpiel kojarzyła mi się z domem. Ale to byłoby ryzyko. Skoro w hotelu mieszkała Sarah, równie dobrze mógł mieszkać jeszcze ktoś, kto mnie znał. Tutaj przynajmniej byłem bezpieczny. Zgasilem papierosa na podłodze pod pryczą i leżałem z rękami pod głową, wpatrując się w ciemność. Słyszałem, jak ktoś chodzi po promenadzie nad barem. Ludzie zawsze tam spacerowali. Towarzyszył temu rodzaj stłumionego, tępego dźwięku, który rozbrzmiewał monotonnie i po chwili zdawał się zlewać z biciem twego serca.

Jakie to wszystko dziwne! Nawet teraz trudno mi było w to uwierzyć. Już prawie od dwóch miesięcy nie byłem w domu. Zastanawiałem się czy oni kiedykolwiek o mnie myślą. Mama chyba tak, ale nie miałem pewności co do reszty. Tato był zbyt uparty, żeby przyznać się do czegoś takiego nawet przed sobą.

Wtuliłem głowę w ramiona i zamknąłem oczy. Stłumiony odgłos kroków na pomoście przenikał ciało i łagodził napięcie. Przysnąłem.

Rozległo się stukanie do drzwi. Usiadłem sztywno w ciem-

nościach i przekręciłem kontakt. Zegarek wskazywał prawie pierwszą w nocy.

Stukanie rozległo się ponownie, wstałem więc i ruszyłem ku drzwiom przecierając oczy. Nie miałem zamiaru spać. Chciałem tylko chwilę odpocząć, a potem pójść coś przekąsić.

- Kto tam? - zawołałem.

- Sarah - dobiegła odpowiedź. Otworzyłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz.

- Co tutaj robisz? - zapytałem zaskoczony. Jej twarz jaśniała w blasku światła promenady.

- Nie mogłam zasnąć - odparła - więc wyszłam na spacer i dotarłam aż tutaj. Byłam ciekawa, czy już śpisz.

Odsunąłem się od drzwi.

- Ucinałem sobie właśnie drzemkę, a potem miałem zamiar pójść coś zjeść.

Weszła do bungalowu i zamknąłem za nią drzwi.

- Ben się wykąpał? - spytałem. Skinęła głową.

- I poszedł prosto do łóżka. Jest bardzo szczęśliwy - nie pamiętam go tak szczęśliwego od dnia wypadku.

- Cieszę się - powiedziałem, siadając z powrotem na pryczy.

Usiadła na małym krześle naprzeciwko mnie.

- Masz fajkę? - spytała.

Wygrzebałem paczkę z kieszeni i rzuciłem jej. Złapała i wyjęła papierosa.

- Zapalki? - zapytała.

Wstałem i podałem jej ogień, potem wróciłem na pryczę. Obserwowałem ją palącą w milczeniu.

- Ile masz lat, Danny? - odezwała się w końcu.

- Osiemnaście - odpowiedziałem, dodając sobie trochę.

Znowu zamilkła, oczy miała smutne i zadumane. Papieros wypalił jej się w rękę i zgmiotła go w talerzu na stoliku.

- Muszę jutro wracać - powiedziała wolno. Skinąłem głową.

- Wiem. Zacisnęła wargi.

- Nie chcę jechać, ale on wraca.

Patrzyłem na nią w milczeniu. Wstała gwałtownie, niemal przestraszyła mnie gwałtownością tego ruchu.

- Nienawidzę go, nienawidzę! -- powiedziała z pasją. - Wolałabym go nigdy nie spotkać.

Spróbowałem obrócić to w żart. -- Ja też. Na jej twarzy pojawił się ból i strach.

- Co ty o nim wiesz?! - zapytała chrapliwym głosem. - Co ty możesz o nim wiedzieć?! Nigdy nie zrobił ci tego co mnie. Nie mógłby. Jesteś mężczyzną, nie kobietą. Wszystko, co może ci zrobić, to zadać ci ból albo cię zabić. Nie może zrobić ci tego co mnie!

Jej cichy płacz wypełnił pokój. Podeszedłem do niej wolno, objąłem i przytuliłem jej głowę do piersi. To wywołało nowy paroksyzm łez.

- Żebyś wiedział, co on mi robi, Danny! - płakała, a moja koszula niemal tłumila jej głos. - Co on mi każe robić! Nikt o tym nie wie, nikt by nie uwierzył. Jest w nim perwersyjne szaleństwo, którego ty nie możesz dostrzec. Tak się boję wracać, tak bardzo się go boję, boję się tego, co mi zrobi!

Obejmowałem mocno jej drżące ramiona.

- Więc nie wracaj, Sarah - powiedziałem cicho. - Ben świetnie sobie teraz radzi. Nie musisz wracać.

Podniosła na mnie wielkie, umęczone oczy. - Muszę, Danny - wyszeptała. - Muszę. Jeżeli nie wrócę, on tu po mnie przyjedzie. Nie mogę do tego dopuścić, żeby się Ben dowiedział.

Nie znalazłem na to odpowiedzi. Znowu płakała. Przesunąłem dłonią po jej miękkich włosach i przycisnąłem do nich usta.

- Pewnego dnia, Sarah - powiedziałem cicho - nie będziesz musiała wracać.

Odwróciła szybko głowę i pocałowała mnie namiętnie. Powieki miała zaciśnięte, ostatnia łza drżała niebezpiecznie na koniuszkach rzęs. Wstrzymałem na chwilę oddech. Wiele nas dzieliło. A z drugiej strony, zawdzięczałem jej tyle, że nie miałem nawet szans, żeby to spłacić. Małym palcem strząsnąłem ostatnią łzę z jej rzęs.

Rozchyliła lekko usta i poczułem, jak mieszają się nasze oddechy. W nozdrzach miałem słodki zapach jej perfum.

Nie

otwierając oczu odwróciła nieznacznie głowę i z ust wyrwał jej się okrzyk. - Danny!
Przywarłem mocniej ustami do jej warg, czując jak ogarnia mnie gorączka. Zdawała zbliżać się ciężkimi, pulsującymi falami i rozchodzić po ciele w powolnych kręgach, jak woda, kiedy się ciśnie w nią kamień. Piersi Sarah były twarde, mięśnie na biodrach napięte i drżące.

- Danny! - Jej głos przepełniony był szczęściem. - Danny, nie mogę ustać na nogach!

Przesunęliśmy się wolno w stronę łóżka. Kiedy opadła z niej sukienka ukląknęłam przyciskając usta do jej miękkiego, ciepłego ciała. Potem leżeliśmy na pryczy i nie istniało już nic poza bliskością naszych ciał i podnieceniem, które nimi zawiądnęło.

Była zręczna i zawodowo perfekcyjna. Ale mimo tego całego doświadczenia, było w niej coś, co sprawiło, że zrozumiałem wiele spraw. I za to ją kochałem.

Tej nocy dzieliłem łóżko z Sarah. Nie z Ronnie.

5

Chwyliłem za kłódkę umocowaną na pojemniku z lodami i pociągnąłem. Trzymała mocno. Zadowolony, wróciłem do baru. Ben spuszczał właśnie żaluzje. Podszedłem, żeby mu pomóc.

- Jezu, co za dzień! - zaklął i krople potu spływały mu po policzkach. - A noc nie będzie wcale lepsza.

Uśmiechnąłem się do niego. - Chyba nie. Tłum na promenadzie dreptał wolno w bezskutecznym poszukiwaniu chłodniejszego powietrza.

- Przychodzenie tutaj nic tym ludziom nie da - odezwał się Ben. - Jak jest gorąco, to jest gorąco wszędzie.

Pokiwałem głową. Od wody nie szedł nawet najłżejszy powiew.

Ben strzelił głośno palcami.

- Przypomniało mi się coś, Danny - powiedział szybko.

- Mike cię szukał. Myślę, że chce, abyś mu dzisiaj pomógł. Mike miał na promenadzie budę z „Kołem Fortuny”.

Stała

prawie nad naszymi głowami.

- Pete znowu się upił? - spytałem. Pete był bratem Mike'a. Prowadził z nim budę w tych rzadkich chwilach, kiedy był trzeźwy.

- Nie wiem - odparł Ben. - Nie mówił. Prosił tylko, żebyś wpadł, jak skończysz tutaj.

- Okay - powiedziałem. - Pójdę się dowiedzieć, czego chce.

Zostawiłem Bena, żeby skończył zamykanie i wszedłem po rampie na deptak. Przepychałem się przez tłum w stronę budy Mike'a.

Był sam. Obserwował tłum z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Na mój widok uśmiechnął się.

- Jesteś wykończony, czy możesz mi pomóc? - zawołał, zanim jeszcze zdołałem do niego dotrzeć. - Pete się nie pokazał.

Zawahałem się. Byłem zmęczony, ale upał i tak nie pozwoliłby mi zasnąć. Ben postąpił bardzo mądrze; kiedy się tylko przekonał, że interes dobrze idzie, wyprowadził się do hotelu, gdzie było nieco chłodniej. Miałem więc bungalow dla siebie.

- W porządku, Mike - powiedziałem dając nura pod ladę i wychodząc po drugiej stronie.

- Co dzisiaj, gadka czy śpiewka?

Przyłożył sobie do twarzy wilgotną chustkę do nosa. - Gadka, jeżeli nie masz nic przeciwko temu - odpowiedział.

- Bombardowałem ich już dzisiaj i jednym i drugim, i nie wytrzymam tego dłużej.

Skinałem głowę, zawiązując w pasie saszetkę na bilon. Spod lady wyjąłem długą, drewnianą linę i zwróciłem się w stronę tłumy. Mike skinał głową i zacząłem na wysoką nutę, wydając z siebie ostry, metaliczny krzyk, który miał przebić się przez gwar spacerowiczów.

Gadka dostarczała mi wspaniałej podniety. Znałem ją na pamięć, słyszałem tysiące razy, ale było w niej zawsze coś nowego. Podobało mi się, że mogę naciągać ludzi na wy-

rzucanie dziesięciocentówek bez żadnego specjalnego powodu. Pod wieloma względami przypominało to życie.

Stawiasz na coś forszę, mimo iż cholernie dobrze wiesz, że to się nie opłaci.

- Ludzie, spróbujcie koła fortuny! Jedyne dziesięć centów, a każdy obrót koła to wygrana. Tu nie można przegrać, tu można tylko wygrać. Proszę bliżej, proszę stawiać. Spróbujcie szczęścia!

Wypatrzyłem młodego faceta drepczącego po promenadzie z dziewczyną u boku. Zawahał się na chwilę przed budą. Wycelowałem w niego linijką.

- Hej tam, młody człowieku! - wrzasnąłem tak, że słyhać mnie było w promieniu dwóch przecznic. - Mam na myśli ciebie, z tą śliczną dziewczyną! Masz szansę za darmo! Szef powiedział mi właśnie, że każdy facet z ładną dziewczyną dostaje dla niej darmowy rzut. Jedna dziesięciocentówka obstawia dwa numery. Dwa za cenę jednego! Młodzieniec spojrział na dziewczynę, po czym uśmiechając się z zażenowaniem podszedł do lady i położył dziesięć centów na jednym z czerwonych numerów. Zgarnąłem szybko forszę i rzuciłem mu dwa niebieskie żetony.

- Oto mamy bystrego młodzieńca! - obwieściłem ludziom, którzy zaczęli już gromadzić się przed budą.

- Potrafi dostrzec interes, kiedy ma go jak na dłoni. Podobnie jak ładną dziewczynę. Wszyscy możecie wykazać tyle samo inteligencji. Przyprawdźcie swoje dziewczyny do „Koła Fortuny”, a otrzymacie dwie szansy za cenę jednej.

Kilka dziesięciocentówek zadzwoniło o kontuar. Działo.

Obejrzałem się przez ramię na Mike'a. Pokiwał głową z aprobatą, sięgnął za siebie i puścił koło w ruch. Widziałem jak łapie nogą dźwignię pod ladą. Wiedziałem kto wygra.

- Uwaga! Oto rusza! - krzychałem. - Fortuna kołem się toczy i nikt nie zgadnie, na kogo wypadnie! Gdy kręci się fortuny koło, wygrywają wszyscy wkoło!

Wyciągnąłem linijkę, żeby nią klepnąć dziewczynę, kiedy koło przestanie się obracać.

Gdzieś około północy zerwał się wiatr i tłum zaczął się przeredzać. Mike podszedł do mnie z drugiego końca lady.

- Zwijamy się, chłopcze - uśmiechnął się. - Nic z nich już dzisiaj nie wydusisz.

Ściągnąłem saszetkę na bilon i podałem Mikowi. Nie licząc przesypał drobniki do woreczka. Przekręcił wyłącznik i światła pogasły w całym pomieszczeniu. Kiedy zamknęliśmy cały ten kram, twarz Mike'a w przyćmionym świetle deptaka była szara ze zmęczenia.

- Co za zaszary dzień! - wykrzyknął.

- Mam na dole kawę - powiedziałem. - Wpadnij. Łagodny uśmiech ukazał się na jego twarzy. - Okay, Danny. Może bym się i napił, zanim pójdę do domu.

Postawiłem kawę na piecyku, żeby się podgrzała, a Mike ze znużeniem osunął się na krzesło.

- Już trzeci raz w ciągu ostatnich dwóch tygodni musiałem cię prosić o pomoc - stwierdził.

Uśmiechnąłem się bez słowa. Mike był w porządku. Pomaganie mu nie stanowiło problemu, wiadomo było, że nie zawiedzie, gdybym go potrzebował.

Podniósł nieznacznie głos.

- Pewnego dnia wyrzucę na zbity pysk tego mojego cholernego braciszka. Za każdym cholernym razem, kiedy znajdzie się w pobliżu butelki, zamienia się w gąbkę.

Postawiłem dwie filiżanki na stole i nalałem kawy. Była czarna i parująca. Dodałem trochę mleka.

- Proszę - powiedziałem. - Wypij to. Poczujesz się lepiej. Spojrzał na mnie bystro znad filiżanki.

- Przestałem żartować, Danny. Tym razem mówię serio. Wiem, że już się zaklinałem, ale teraz to ostateczna decyzja.

- Podniósł filiżankę do ust i łyknął kawy. - Jak tylko znajdę faceta, któremu będę mógł zaufać, Pete wyleci.

W milczeniu piłem kawę. Słyszałem tę śpiewkę już wiele razy, a Mike zawsze przyjmował brata z powrotem.

Zaciągnąłem się papierosem, dym był ostry i szczypał w nosie.

Niespodziewanie Mike walnął otwartą dłońią w stół. - Dureń ze mnie! - wyjaśnił. Patrzył na mnie z zabawną miną.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Szukam faceta - powiedział szybko - a mam go cały

czas przed nosem. - Pochylił się nad stołem. - Co byś powiedział, chłopcze, żeby wejść ze mną w spółkę?

Spojrzałem na niego zdumiony. Nigdy o tym nie myślałem. Ale nie mogłem przyjąć jego propozycji.

- Chciałbym, Mike - powiedziałem prędko - ale nie mogę teraz zostawić Bena.

- Do końca sezonu są jeszcze dwa tygodnie, Danny - rzekł. - Poradzę sobie. Miałem na myśli zimę, kiedy pojedę z kołem na Południe. Masz jakieś plany na zimę?

Potrząsnąłem głową. Nie miałem żadnych planów. W ogóle nie myślałem o zimie. Ale lato minęło tak szybko, że po prostu nie miałem czasu się nad niczym zastanowić.

- Więc jedź ze mną, chłopcze - ponowił ofertę. - Zamkniemy tutejszy interes tydzień po Święcie Pracy, złapiemy parę tygodni odpoczynku i zdążymy na drugiego października na Wystawę Petersena w Memphis.

- Brzmi to zachęcająco - powiedziałem z wahaniem. Nagle ogarnęła mnie tęsknota za domem. Do tego momentu było tak, jak podczas wielu innych wakacji. Wydawało mi się, że wrócę do domu, kiedy się skończą. Teraz zrozumiałem, że jest inaczej. Nie wrócę do domu. Mike uśmiechnął się domyślnie.

- Spodoba ci się tam, chłopcze - powiedział. - Na Południu jest więcej cipek niż królików na wiosnę.

Uśmiechnąłem się, nadal niezdecydowany. Omówię to z Sarah, zanim coś postanowię. Może ona ma inne plany.

- Mogę dać ci odpowiedź za parę dni, Mike? - zapytałem. - Muszę najpierw się zorientować co do paru spraw.

Kiedy zjawiała się następnego wieczoru, czekałem aż zostaniemy sami, żeby jej o tym powiedzieć. Wysłuchiwała mnie w milczeniu. Gdy skończyłem, zapaliła papierosa.

- Więc nie wrócisz do domu? - zapytała. Spojrzałem na nią zdziwiony.

- A sądziłaś, że tak? Potrząsnęła głową.

- Właściwie nie - odpowiedziała wolno. - Ale jednak nie byłam całkiem przekonana.

- Zakładając, że mógłbym wrócić i że ojciec nie wyrzuciłby mnie z domu, to ile czasu potrzeba, żeby się Fields o tym dowiedział? A jak już się dowie, to ile mi czasu zostanie?

Skinęła głową.

- Chyba jednak nie możesz wrócić. Nasze oczy spotkały się.

- A co z twoją dziewczyną? - spytała. - Nie powiadomisz jej o tym, co robisz? Musi być pólżywa z niepokoju o ciebie.

Zabawne, że o tym pamiętała. Coś dziwnego podeszło mi do gardła.

- Nic na to nie poradzę - powiedziałem twardo. - Nie mogę ryzykować, że coś przedostanie się na zewnątrz.

Patrzyła na mnie nieobecny wzrokiem.

- Wobec tego myślę, że możesz jechać - rzekła. Podeszedłem do niej.

- Wyglądasz na wściekłą - powiedziałem. - Coś jest nie tak?

Nie podniosła oczu.

- Nie - odparła potrząsając głową. - Jedź z Mike'em. Poradzisz sobie. Nie potrzebujesz nikogo.

Położyłem dłonie na jej ramionach, zsunąłem na piersi, potem objąłem ją w talii.

- Potrzebuję ciebie, Sarah - powiedziałem. Wywinęła się szybko z mojego uścisku.

- Nikogo nie potrzebujesz, Danny - rzuciła. - Nawet mnie. Potem wypadła za drzwi nie oglądając się za siebie.

Patrzyłem za nią zastanawiając się, co w nią wstąpiło i dopiero następnego dnia dowiedziałem się od Bena, co to było.

Rzuca pracę u Maxie Fieldsa, powiedział, i wybierają się razem na Zachód otworzyć niewielki interes.

6

Umówiłem się z Mike'em, że spotkamy się drugiego października w Memphis. Przypieczętowaliśmy to uściskiem dłoni Wyglądał na bardzo zadowolonego. - Wszystko mam już zaplanowane - powiedział z uśmie-

^{Ch}Sarah też miała wszystko zaplanowane. Powiedziała Benowi żeby czekał na nią spakowany w czwartek po Święcie Pracy Miała wpaść po niego samochodem i natychmiast jechać dalej. Nie miałem okazji zapytać, czy powiedziała o tym Maxiemu, ale po sposobie, w jaki o tym mówiła, wiedziałem, że nie.

Z takiego czy innego powodu w czasie swoich paru wizyt na wyspie trzymała się ode mnie z daleka. Nie wyglądało na to żeby chciała ze mną rozmawiać, więc się nie narzucałem. Nie widziałem powodu, dla którego miałbym się z nią kłócić.

Ben przeniósł rzeczy z hotelu do bungalowu i czekał na Sarah kompletnie spakowany i gotowy do drogi. Był pod-ekscytowany jak dzieciak, którego przez pomyłkę zamknięto w sklepie ze słodyczami. Nie mógł wprost doczekać się trzeciej, kiedy to miała po niego przyjechać.

- Chciałbym, żebyś z nami jechał, Danny - zawołał z frontowego pokoju, gdzie siedział wśród bagaży. - Z początku Sarah myślała, że pojedziesz. Byliśmy zawiedzeni, kiedy powiedziałaś, że umówiłeś się z Mike'em.

Nagle cała sprawa stała się dla mnie jasna. Byłem rekordowym idiotą. Przez cały czas chciała zaproponować, żebym jechał z nimi, ale kiedy powiedziałem jej o Mike'u, zmieniła zamiar. Prawdopodobnie sądziła, że to jest to, na co mam ochotę.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rozległo się stukanie do drzwi. Pospiesznie wciągnąłem spodnie. Słyszałem głos Bena idącego do wejścia.

- Widocznie przyjechała wcześniej.

Usłyszałem skrzypnięcie otwieranych drzwi, potem przeniknął mnie chłód.

- Jest Ronnie? - To był Spit.

W pierwszym odruchu chciałem wiać, ale ponieważ było tu tylko jedno wyjście, więc zamarłem pod ścianą, z uchem przy drzwiach.

W głosie Bena brzmiała konsternacja.

- Ronnie? Jaka Ronnie?

- Nie rób nas w konia, bracie - odezwał się inny gruby głos. - Wiesz o kogo chodzi. O dziewczynę Fieldsa.

W głosie Bena pojawiła się ulga.

- Macie chyba na myśli moją siostrę, Sarah, sekretarkę pana Fieldsa. Wejdźcie, ale będziecie musieli na nią poczekać. Jeszcze jej nie ma.

Usłyszałem ciężkie kroki i przycisnąłem oko do szpary w drzwiach. Spit i Poborca stali na środku pokoju. Poborca się śmiał.

- Sekretarka pana Fieldsa! - rechotał. - Więc to się teraz tak nazywa?

Na twarzy Bena odbiło się zdziwienie.

- Pan Fields życzy sobie czegoś? - zapytał. - Jestem pewien, że Sarah nie miałaby nic przeciwko temu, żeby zostać jeszcze parę dni, jeśli jest mu potrzebna.

Poborca popatrzył na niego. - A bo co? - zapytał. - Czy ona odchodzi?

Ben skinął głową. - Pan Fields panu nie powiedział? Poborca zaczął się znowu śmiać.

- Ale się Maxie zmartwi! A jaki będzie zdziwiony, kiedy się dowie, że go ukochana opuściła.

Na twarzy Bena pojawiło się napięcie.

- Co pan powiedział? - zapytał czujnie.

- Słyszałeś! - W słowach Poborcy było celowe okrucieństwo. - Żadna dziwka nie wykiwa Maxie Fieldsa bez względu na to, za ile się sprzedaje.

Głos Bena przypominał krzyk rannego zwierzęcia.

- To moja siostra! - zawył rzucając się całym ciałem na Poborcę.

Zniknął mi z pola widzenia, usłyszałem ostry trzask, potem głuchy łomot, kiedy Ben runął na podłogę. Zaczął krzyczeć.

- Sarah! Sarah! Nie wchodź tutaj!

Dobiegł mnie odgłos paru mocnych uderzeń i mamrotane

pod nosem przekleństwa, ale Ben nie przestawał krzyczeć. Przesunąłem oczy wzdłuż szpary do miejsca, skąd mogłem ich znowu widzieć.

Poborca klęczał jednym kolaniem na piersi Bena i bił go po twarzy.

- Zamknij się, ty skurwysynu! - kłął.

Ben nie przestawał się wic i wrzeszczeć. Poborca złapał go za ramię i wykręcił je z wściekłością.

- Zamknij się, ty jednoręki śmieciu! - zagroził - albo wyrwę ci drugą rękę.

Ben zbladł, osunął się bezwładnie na podłogę i leżał spokojnie, patrząc na Poborcę przerażonymi oczami.

Czułem, jak zbiera mi się na wymioty. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego przerażenia w ludzkich oczach.

- Zabierz go lepiej do pokoju na zaplecze - usłyszałem Spita. - Jak go dziwka zobaczy, może narobić wrzasku.

Poborca skinął głową i dźwignął się na nogi, trzymając ciągle Bena za ramię. - Wstawaj! - warknął.

Ben niezdarnie próbował podnieść się z podłogi, ale nie dał rady. Poborca szarpnął go za ramię i Ben wrzasnął z bólu.

- Nie mogę wstać! Mam tylko jedną nogę!

Poborca się zaśmiał. Puścił ramię Bena, chwycił go pod pachy jak dziecko i postawił.

- Rany! - powiedział bez współczucia. - Wyglądasz jak nieboskie stworzenie. - Szturchnął go w plecy i Ben pokiwał w stronę zaplecza.

Rozejrzałem się w panice. Przy wejściu stał metalowy pręt, którego używałem do podpierania okienka w upalne noce. Podniosłem go i wążąc w dłoni ukryłem się za drzwiami.

Otworzyły się drzwi i przekuśtykał przez nie Ben, Poborca wszedł za nim. Kopniakiem zatrzaskał za sobą drzwi i nie oglądając się ruszył za Benem.

Stałem za nim cicho i zamachnąłem się prętem. Rozległo się tępe uderzenie, krew trysnęła mu z ucha tam, gdzie go trafiłem. Zwalił się na ziemię nie wydając głosu. Nie miał się nigdy dowiedzieć, czym dostał.

- Zastanawiałem się, gdzie jesteś - wyszeptał Ben chrapliwie.

Oderwałem oczy od Poborcy i napotkałem jego wzrok.

- Byłem tutaj - szepnąłem - ale musiałem czekać na odpowiednią chwilę. - W ustach czułem niesmak.

Ben przyjął moje wyjaśnienie za dobrą monetę. Był zaabsorbowany czymś o wiele ważniejszym.

- Słyszałeś, co oni mówili o Sarah? - zapytał szeptem. Skinąłem głową.

- Czy to prawda?

Spojrzałem na niego. Na jego twarzy malowało się cierpienie nie mające nic wspólnego z bólem fizycznym; pochodziło z serca. Sarah była jego małą siostrzyczką. Przepchnął ją przez szkołę po śmierci rodziców, a potem ona opiekowała się nim, kiedy był chory. Nagle zrozumiałem, że uwierzy we wszystko, co mu powiem. Musiał, z wielu powodów, ale przede wszystkim dlatego, że chciał. Może pewnego dnia dowie się, co ona zrobiła. Ale nie ode mnie. Potrząsnąłem głową.

- Nie! - powiedziałem z przekonaniem. - Maxie Fields jest gangsterem prowadzącym mnóstwo legalnych interesów. Sarah została jego sekretarką, a kiedy się zorientowała, kim on jest i chciała się wycofać, wiedziała już za dużo, żeby pozwolił jej odejść.

Ból zniknął częściowo z jego twarzy, ale niezupełnie.

- Biedne dziecko - szepnął. - Co ona musiała przejść. I wszystko przeze mnie. Jak się spotkaliście?

- Nadziałem się na tego faceta i zranił mnie. Uratowała mi życie.

Po raz pierwszy zapytał mnie, co się wtedy stało. Do tej pory wierzył jej na słowo, że wypadłem z samochodu, kiedy wiozła mnie do pracy.

- To równa babka - powiedziałem.

Patrzył mi prosto w oczy, a ja pozwoliłem mu szukać w nich prawdy. Stopniowo się odprężył, a z oczu zniknął mu wyraz bólu. - Co z tym facetem w pokoju? - zapytał.

- Zajmiemy się nim - odparłem. Pochyliłem się nad Poborcą. Rozchylając mu marynarkę i wyjmując pistolet z pochwy słyszałem jego ciężki oddech. Wyprostowałem się, ważąc ostrożnie broń w dłoni. Nie chciałem, żeby przydarzył się tu jakiś wypadek.

Ben wlepił oczy w pistolet.

- To wyjaśnia wiele spraw - powiedział z namysłem. - To dlatego musiała zniknąć w takim pośpiechu. To dlatego nie mogła czekać, tylko chciała mnie zabrać po drodze. Dlatego musiała się zawsze spieszyć prosto do pracy. Nie chciała, żebym wiedział.

- Mhm - potwierdziłem. - Właśnie tak.

Dotarł do nas odgłos zatrzymującego się przed domem samochodu. Popatrzyliśmy na siebie. Ruchem ręki kazałem Benowi wracać na pryczę, a sam ulokowałem się za drzwiami. Obaj znieruchomieliśmy.

Usłyszałem, jak otwierają się drzwi. A potem bardzo spokojny głos Spita.

- Cześć słoneczko! Maxie przysłał nas po ciebie, gdy tylko zobaczył, że zniknęły twoje rzeczy.

Prawie słyszałem jak Sarah wciąga gwałtownie powietrze. A potem krzyknęła:

- Ben! Co zrobiliście z Benem? Głos Spita był łagodny i pełen troski.

- Nic mu nie jest, Ronnie. Poborca trzyma go na zapleczu, żeby nie narobił sobie kłopotów.

Usłyszałem jej szybkie kroki i drzwi się otworzyły. Wpadła do pokoju.

- Ben! Ben! - krzyczała. - Nic ci się nie stało?

Ben wstał. Uśmiechnął się do niej. Spit wszedł za nią do pokoju. Zaszedłem go od tyłu i przyłożyłem mu lufę do kręgosłupa.

- Stój spokojnie, Spit - powiedziałem wolno. - Jestem bardzo zdenerwowany. Nigdy przedtem nie posługiwałem się takim przedmiotem.

I to tyle, jeżeli chodzi o Spita. On także wydorósł tego lata. Nabrał rozumu. Nie odwrócił głowy. Jeżeli chodzi o ścisłość, w ogóle się nie poruszył. W jego głosie była ostrożność, a zarazem ciekawość.

- Danny?

Szturchnąłem go pistoletem.

- Pod ścianę, Spit - powiedziałem. - Nosem do ściany. Przeszedł ostrożnie przez Poborcę.

- Przypomniały ci się stare numery, co, Danny? - spytał. - Najpierw forsa Maxiego, a potem jego panienska.

Odwróciłem pistolet w dłoni i uderzyłem go w twarz Zachwiał się lekko, pchnąłem go ręką. Wylądował z łomotem przy ścianie. Ponownie wpakowałem mu lufę w plecy i wyciągnąłem jego nóż z pochwy.

- Maxiemu się to nie spodoba, Danny - powiedział z pogroźką w głosie. - Już raz uszło ci to na sucho. Nie spodoba mu się, że znowu krzywdzisz jego chłopców.

Roześmiałem się.

- Jego chłopcom spodoba się to jeszcze mniej, kiedy będą martwi - powiedziałem zimno. - A może Maxie posiada bezpośrednie połączenie z piekłem?

Przymknął się i stał pod ścianą. Odwróciłem się nieznacznie spoglądając za siebie.

Ben obejmował Sarah ramieniem. Płakała spazmatycznie z głową na jego piersi.

- Nie płacz, kochanie - mówił. - Nigdy więcej nie będziesz musiała pracować dla tego człowieka.

Zamilkła nagle i spojrzała na mnie pytająco.

- Czy on wie, Danny? - spytała cicho, z przerażeniem

- Czy oni....

- Powiedziałem mu, czyją byłaś sekretarką, Sarah - przerwałem jej szybko. - Powiedziałem mu, że nie chciałem pozwolić ci odejść, ponieważ wiedziałaś za dużo o jego interesach.

- Wszystko już o nim wiem, Sarah - odezwał się Ben.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś? Razem znaleźlibyśmy jakieś wyjście.

Patrzyła na mnie z wdzięcznością. Uśmiechnąłem się do niej. Odwróciła się z powrotem do brata. - Bałam się go, Ben. Nie śmiałam ci powiedzieć.

- No więc, nie musisz się już tym martwić. Po prostu oddamy tych facetów w ręce policji i ruszamy w drogę

- powiedział uspokajająco.

W jej głosie znów pojawił się strach.

- Nie możemy tego zrobić, Ben.

- Tylko was to opóźni i nigdy stąd nie wyjedziecie - zawtórowałem jej. - Lepiej ruszajcie, a ja pójdę na policję, jak was już nie będzie.

- Sądzisz, że tak będzie lepiej? - Ben jeszcze się wahał.

- Jasne - odparłem prędko. - Pospieszcie się. Pakujcie i/.eczy do samochodu.

Spod ściany dał się słyszeć zduszony głos Spita.

- Nie mogę dłużej tak stać, Danny. Mógłbym się odwrócić? - Pewnie - odparłem, sięgając po kawałek drutu leżący na półce. - Za chwilę.

Związałem mu ręce drutem na plecach. Zacisnąłem mocno i odwróciłem go twarzą do siebie. Błysnął ku mnie oczyma.

- Siadaj, Spit. Rozgość się - powiedziałem, waląc go prosto w szczękę i popychając w stronę pryczy.

Usiadł pryskając śliną, ale nie powiedział ani słowa. Obejrzałem się przez ramię. Zniknął już prawie cały bagaż Bena. Została tylko jedna niewielka torba. Ben podniósł ją i spojrzał na mnie z wahaniem.

- Jesteś pewien, Danny, że sobie poradzisz? Wyszczrzyłem wszystkie zęby w uśmiechu.

- Poradzę sobie, Ben. A teraz już was tu nie ma! Podszedł i pogłaskał mnie po ramieniu.

- Na razie, chłopcze - powiedział. - Na razie. Odwrócił się i ruszył do drzwi, mijając wchodzącą Sarah. Podeszła do mnie patrząc mi w oczy. Miała dziwny, napięty wyraz twarzy.

- Jesteś pewien, że nie chcesz z nami jechać? - zapytała przez zaciśnięte zęby.

Zdobyłem się na uśmiech.

- Teraz nie mogę - odpowiedziałem. - Jestem trochę zajęty.

Próbowała skwitować żart uśmiechem, ale nie bardzo jej to wyszło. Zrobiła krok do drzwi i zawróciła.

- Danny! - zawołała biegnąc w moje ramiona.

- Lepiej już idź, Sarah - powiedziałem ze smutkiem. - W ten sposób zostawisz to wszystko za sobą. Nic nie będzie przypominało ci o przeszłości i zapomnisz.

Skinęła głową i podniosła na mnie oczy. Zobaczyłem w nich łzy. Pocałowała mnie szybko w policzek i ruszyła z powrotem do drzwi.

- Do widzenia, Danny. Szczęścia! - powiedziała i zniknęła, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

Odwróciłem się do Spita. Obserwował mnie.

- Sprawdziliśmy wszystkie możliwe miejsca z wyjątkiem tego. - odezwał się. - A powinniśmy byli o tym pomyśleć. Tamtej nocy Ronnie także gdzieś zniknęła. Teraz sobie przypominam. Wyglądał jakoś inaczej. Nie zauważyłem tego przedtem, dopiero teraz. Zrobił coś z ustami. Nie miał już zajęcej wargi i mówiąc nie opryskiwał wszystkiego śliną. Zauważył, że to dostrzegłem. Oczy mu rozbłysły.

- Zapomniałem ci podziękować, Danny, ale nie dałeś mi szansy. Po laniu, jakie oberwałem od ciebie tamtej nocy, lekarz musiał mi zrobić operację plastyczną i przy okazji zreperował wszystko co trzeba. Wyszczzerzyłem do niego zęby w uśmiechu.

- Drobiazg, Spit - podniosłem groźnie pięść. - Kiedy tylko sobie życzysz. Jestem nadal do usług. Skurczył się na pryczy.

- Co masz zamiar teraz zrobić? - W jego głosie był strach. Wziąłem następny kawałek drutu. - Wyciągnij się na brzuchu - powiedziałem. - Zobaczysz. Położył się z ociąganiem. Błyskawicznie związałem mu drutem nogi w kostkach, uniosłem stopy i przeciągnąłem drut przez pętle na rękach a potem starannie splątałem oba druty. Wyprostowałem się i popatrzyłem na niego z góry. Powinien grzecznie poleżeć przez jakiś czas. Leżał spokojnie, a ja pochyliłem się nad Poborcą. Krew przestała tryskać mu z ucha i oddychał lżej. Uniosłem mu powiekę zaglądając do oka. Było mętne i szkliste. On też poleży.

Zebrałem trochę swoich rzeczy i wsadziłem je do kupionej niedawno torby, cały czas czując na sobie wzrok Spita.

- Nie ujdzie ci to płazem, Danny - powiedział.

Podszedłem do łóżka i spojrzałem na niego z góry. W zamyśleniu uniosłem pistolet obserwując, jak w jego oczach potęguje się strach. - Skąd wiesz? - spytałem.

Nie odpowiedział. Tylko wpatrywał się w pistolet wielkimi, przerażonymi oczami. Po chwili uśmiechnąłem się i wsunąłem broń do kieszeni.

W jego oczach pojawiła się ulga.

- Wydaje mi się, że spotkaliśmy się już kiedyś w podobnych okolicznościach - powiedziałem. - W maju, prawda?

Skinął głową. Był zbyt przerażony, by mówić.

- Darzysz mnie taką samą miłością we wrześniu jak w maju? - spytałem ze śmiechem.

Nie odpowiedział.

Pochyliłem się i otwartą dłonią uderzyłem go w twarz.

- Jeżeli jesteś tak bystry za jakiego się uważasz, Spit

- powiedziałem podnosząc torbę i idąc do wyjścia - będziesz pamiętał, żeby się więcej na mnie nie natknąć.

Otworzyłem drzwi.

- Nie zawsze możesz mieć tyle szczęścia. Nie zreperują ci dziury w głowie, jak zreperowali ci w twarzy.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi, przeszedłem przez bar i opuściłem bungalow. Założyłem kłódkę na drzwi i mocno zacisnąłem. Wszedłszy po rampie na deptak wstąpiłem do sklepu z artykułami dekoracyjnymi, gdzie zostawiłem klucz dla agenta wynajmującego lokale.

Wzięła go ode mnie mała siwowłosa kobieta, która prowadziła sklep do spółki z mężem.

- Już wyjeżdżasz, Danny? - zapytała uśmiechając się zza okularów w drucianej oprawce. - Wszystko w porządku?

- Oczywiście, pani Bernstein - powiedziałem z uśmiechem.

- Teraz już wszystko w porządku.

Prom, na którego pokładzie znajdował się autobus linii Północ-Południe, wychodził właśnie z doku, kiedy obejrzałem się na światła Nowego Jorku.

Iskrzyły się jak oszalałe. Zaczął padać deszcz.

Nie przeszkadzał mi. Odpowiadał mojemu nastrojowi. Coś za sobą zostawiałem. Nie wiedziałem co, ale cokolwiek to było, deszcz zmyje uczucie straty i nie pozostanie nic. Pewnego dnia wrócę. Może wtedy będzie inaczej.

Usadowiłem się w fotelu i otworzyłem poranną gazetę. Ale wiadomość umieszczoną w kolumnie z życia Broadwayu

zobaczyłem dopiero wtedy, gdy autobus toczył się już przez równiny New Jersey. I nawet wówczas, patrząc na zimny czarny druk, nie mogłem w to uwierzyć.

Sam Gottkin, czołowy organizator walk bokserskich, król poszukiwaczy talentów i były zawodnik wagi półciężkiej, walczący pod pseudonimem Sammy Gordon, ożenił się wczoraj z Miriam (Mimi) Fisher, siostrą Danny'ego Fishera, mistrza „Złotych Rękawic”. Po miodowym miesiącu na Bermudach młoda para zamieszka w nowym drapaczu chmur na Central Park South, w apartamencie, który Sam Gottkin kazał specjalnie przebudować dla młodej żony.

Odruchowo sięgnąłem do dzwonka, żeby zatrzymać autobus. Trzymałem na nim dłoń, potem ją cofnąłem. Powrót nie miał sensu. Niczego nie mogłem zmienić.

Opadłem wolno na siedzenie i ponownie przeczytałem notatkę. Ogarnęło mnie poczucie osamotnienia. Mimi i Sam. Byłem ciekaw, jak do tego doszło. Jak się poznali. I co stało się z facetem z jej biura, za którym tak szalała.

Zamknąłem oczy ze znużeniem. Nie miało to już teraz znaczenia. Nie dla mnie. A jeżeli chodzi o nich, zniknąłem bez śladu, jakbym w ogóle nie istniał.

Deszcz uderzał o szyby autobusu, jego bębnienie działało otepiające. Drzemałem niespokojnie. Obrazy Sama i Mimi błyskały mi przed oczami. Ale nigdy nie pojawiły się razem. Kiedy tylko obraz skupiał się na jednym z nich, drugie znikało. Zasnąłem, zanim udało mi się zatrzymać ich razem choćby na tak długo, aby życzyć im szczęścia.

Nie było mnie tam, kiedy...

Siedziała przed toaletką płacząc bez opamiętania. Wielkie łzy spływały jej po twarzy pozostawiając na policzkach długie smugi czarnego tuszu. Przy ustach trzymała bezużyteczną chusteczkę.

Tato odwrócił się od niej podenerwowany.

- Czego ona płacze? - zapytał mamę. - To jej wesele. O co tu płakać?

Mama spojrzała na niego z oburzeniem. Wzięła go pod rękę i wypchnęła do małej kaplicy ślubnej.

- Idź do gości - powiedziała stanowczo. - Jak przyjdzie czas, to się uspokoi.

Zatrzasnęła mu drzwi tuż przed nosem i zamknęła je na zasuwkę. Ze spokojem i zrozumieniem czekała, aż minie atak płaczu. Nie musiała długo czekać. W końcu Mimi przestała szlochać i siedziała na krześle skulona i drobna.

Wpatrywała się w chustkę do nosa, którą nerwowo zwijała i rozwijała w dłoni.

- Nie kochasz go - powiedziała cicho mama.

Mimi poderwała głowę. Ich oczy spotkały się na chwilę i Mimi spuściła wrok.

- Kocham - powiedziała cichym, zmęczonym głosem.

- Nie musisz za niego wychodzić, jeżeli go nie kochasz

- odezwała się mama, jakby nie słyszała tego, co powiedziała Mimi.

Mimi była już spokojna. Patrzyła teraz na mamę bez mrugnięcia okiem. Głos miała beznamiętny.

- Już mi przeszło, mamó. Zachowuję się jak dziecko. Twarz mamy była poważna.

- Myślisz może, że stałaś się dorosła, ponieważ wychodzisz za męża. Nie zapominaj, że ciągle jeszcze muszę podpisać zgodę na twój ślub.

Mimi odwróciła się i spojrzała w lustro toaletki. Wstała szybko z krzesła i podeszła do umywalki w kącie pokoju.

Mama zatrzymała ją wyciągnięciem ręki.

- Będziesz musiała spędzić z nim resztę życia - powiedziała miękko. - Przez całe życie będziesz musiała żyć z tym, co czujesz. Przez całe...

- Mamó! - Nutą hysterii w głosie Mimi kazała mamie zamilknąć. - Nie mów w ten sposób. Teraz już za późno!

- Nie jest za późno, Miriam - obstawała przy swoim mama.

- Możesz jeszcze zmienić zdanie.

Mimi potrząsnęła głową. Jej rysy zastygły w wyrazie determinacji.

- Za późno, mamó - powiedziała zdecydowanie. - Było

za późno już wtedy, kiedy po raz pierwszy poszłam się z nim zobaczyć. Co mam teraz zrobić? Zwrócić mu wszystkie pieniądze, które wydał na poszukiwanie Danny'ego? Oddać mu pięć tysięcy dolarów, które pożyczył tacie na sklep? Oddać wszystkie ciuchy, które mi kupił, i pierścionek, i powiedzieć: bardzo mi przykro, ale to była pomyłka? Ból w oczach mamy pogłębił się.

- Lepsze to - powiedziała cicho - niż żebyś miała być nieszczęśliwa. Nie pozwól, żebyśmy zrobili to, co zrobiliśmy Danny'emu.

Oczy zaszyły jej łzami. Mimi chwyciła ją w ramiona.

- Nie obwiniaj siebie za to, co się stało - powiedziała szybko. - To wszystko wina ojca.

- Nie, mogłam go powstrzymać - upierała się mama. - Dlatego z tobą rozmawiam. Nie popełnię tego samego błędu po raz wtóry.

Twarz Mimi była zdeterminowana.

- To nie jest błąd, mamó - powiedziała z takim przekonaniem, jakby zjadła wszystkie rozumy. - Sam mnie kocha. Nawet jeżeli nie kocham go tak jak on mnie, to przyjdzie to z czasem. Jest dobry, czuły i wielkoduszny. Wszystko będzie dobrze.

Mama spojrzała jej badawczo w twarz. Mimi pochyliła się impulsywnie i przesunęła wargami po jej brwiach.

- Nie martw się, mamó - powiedziała miękko. - Wiem co robię. Chcę tego.

Usiadła na łóżku ogarnięta strachem, który paraliżował jej ciało. Słyszała męża w łazience. Mył hałaśliwie zęby. Odgłos płynącej wody urwał się nagle. Usłyszała trzask kontaktu i położyła się szybko w ciemnościach łóżka, zwinięta w mały, pokurczony kłębek.

Słyszała go, jak idzie przez pokój, a potem poczuła, jak materac ugina się pod ciężarem jego ciała. Leżała cichutko zeszywniała i nagle zziębnięta, niemal szczękając zębami.

Przez chwilę trwała cisza, potem dotknął delikatnie jej ramienia. Zacisnęła mocno zęby. Usłyszała jego szept: - Mimi.

Zmusiła się do odpowiedzi. - Tak, Sam.

- Mimi, odwróć się - szepnął błagalnie w ciemnościach.

- Proszę, Sam, nie dzisiaj. To boli - powiedziała cichym, opanowanym głosem.

- Nie będziemy dzisiaj próbować. Chciałem tylko potrzymać twoją głowę na piersi. Nie chcę, żebyś się mnie bała.

Kocham cię, malutka - rzekł czule i z wyrozumiałością.

Oczy zwilgotniały jej nagle od łez. Odwróciła się szybko i położyła mu głowę na piersi. Potem odezwała się bardzo cicho.

- Naprawdę, Sam? Naprawdę możesz mnie kochać po tym, co ci zrobiłam?

Na włosach poczuła jego oddech.

- Oczywiście, kochanie! Nic mi nie zrobiłaś. Wszystkie porządne dziewczęta czują to samo za pierwszym razem.

Odprężyła się powoli w jego ramionach. Uniosła głowę i pocałowała go lekko w usta, bardziej jak córka niż żona.

- Dziękuję, Sam - szepnęła z wdzięcznością. Przez chwilę leżała cicho, potem odezwała się z trudem wymawiając słowa.

- Spróbuję znowu, jeżeli tego chcesz, Sam.

- Zrobiłabyś to, kochanie? - Wydawał się zadowolony i szczęśliwy.

- Tak, Sam - odparła cichutko.

Zacisnęła powieki czując jego dłonie na włosach. Dotknął lekko ustami jej policzka, potem zaczął całować ją w szyję. George zwykł tak robić. Z gniewem odsunęła od siebie to porównanie. Dlaczego teraz musiała o tym myśleć? To nie było w porządku wobec Sama. Nie był odpowiedzialny za to, co się stało. To była jej wina. Chciała tego od samego początku, od chwili, kiedy poszły z Nellie, żeby się z nim zobaczyć.

Ze skruchą uniosła rękę i pogłaskała go po policzku. Miał gładką twarz. Ogolił się tuż przed pójściem do łóżka.

Przycisnął wargi do jej ust. Były ciepłe i delikatne. Oddała mu pocałunek.

Zesztywniała na chwilę ze strachu, czując jego dłoń, chłodną i lekką pod swoją koszulą. Dotyk tej dłoni był łagodny i kojący, powoli odprężyła się, pozwalając swojemu ciału na bezwład i bierność.

Tuż przy sobie słyszała walenie jego serca.

Zacząła odczuwać ciepło i mrowienie pod skórą. Przedtem też to czuła... O czym ona myśli?!... Bardzo dobrze, że to czuje, cieszyła się, że może to teraz odczuwać.

Dotknął wargami jej piersi. Ogarnęło ją przyjemne uczucie i całując go w czoło przytrzymała jego głowę. Zamknęła oczy i pomyślała o George'u. Tak byłoby z nim. Z nim byłoby łatwiej. Nie bała się go tak, jak...

- Wszystko dobrze, kochanie? - spytał niespokojnym szeptem.

Pokiwała gwałtownie głową, nie ufając głosowi.

Sam leżał przy niej cicho, chłodząc dłonią jej rozpalony policzek. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała ukryta duma.

- Widzisz, kochanie, nie było się czego bać, prawda? Ukryła twarz na jego piersi.

- Nie - wyszeptwała. Ale w głębi serca wiedziała, że kłamie. Zawsze już będzie musiała kłamać. Zawsze będzie się bała. To nie jego twarz pojawiła się przed nią we wstrząsającej chwili orgazmu.

- O Boże! - modliła się w duchu. - Czy będę musiała w ten sposób przejść przez życie? Bojąc się przez cały czas?

Odpowiedział jej wewnętrzny głos. Był głęboki, pełen powagi i przemawiał słowami z ceremonii ślubnej. Powtarzaj za mną, moje dziecko.

Ja, Miriam, biorę ciebie, Samuelu, za prawnie poślubionego małżonka w bogactwie i biedzie, w chorobie i zdrowiu i będę cię kochać, szanować i otaczać uczuciem, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Spał, oddychając głęboko, zaspokojony. Patrzyła na jego twarz widniejącą w mroku. Był teraz szczęśliwy. I tak było dobrze.

Wróciła na swoją poduszkę i zamknęła oczy. Poszła do niego, żeby pomógł jej mnie odnaleźć, a teraz miała z nim spędzić resztę dni i nocy. Ale on nigdy nie dowie się o klęsce.

Tylko Mimi miała o tym wiedzieć, że go oszukała i będzie go oszukiwała we wszystkich najbardziej szalonych chwilach ich wspólnego życia.

8

Stałem pośrodku pustej drogi ociekając deszczem. Postawiłem kołnierz prochowca tak, że schował się pod rondo miękkiego kapelusza i zaciągnąłem się papierosem. Popatrzyłem w niebo. Nie zanosilo się na to, by ten deszcz miał ustać. Przeniosłem wzrok na pola. Mokry brezent burych namiotów trzepotał smutno na zacinającym deszczem wietrze.

Dwa lata. To bardzo dużo czasu. Zostawiłem spory kawałek życia w tych płóciennych ścianach. Dni tak gorące, aż żar przepalał ciało, i zdawało ci się, że siedzisz w kotle w jakiejś oszalałej części piekła. I noce tak zimne, że szpik w kościach zdawał się ścinać niczym lód na jeziorze.

Dwa lata takiego życia. Przewalających się po polach gamoniowatych tłumów z ustami pełnymi cukrowej waty, hot dogów i lodów. Tłumów z czujnymi oczami, patrzących na ciebie jak na włóczęgę, pragnących kupić to, co masz do sprzedania i urażonych, że to sprzedajesz.

Dwa lata poza domem, bez żadnej wiadomości. Nellie. Mama i ojciec. Mimi. Sam. Te imiona ciągle sprawiają ból. Za każdym razem kietjy myślę, że już przywykłem, powraca to samo uczucie osamotnienia. Jest zagrzebane głęboko, ale zawsze istnieje.

A teraz byłem prawie w domu. Prawie, choć niezupełnie. Filadelfia. Mogłem wsiąść w pociąg na stacji Market Street, by wkrótce wsiąść na Penn. Kiedy o tym myślałem, wydawało się to łatwe. Od domu dzieliła mnie godzina i dziesięć minut jazdy.

Ale moje plany zawsze wydawały się łatwe. I nigdy takie nie były, gdy już przystępowałem do ich realizacji.

Wydarzenia tamtych dni wracają do mnie falą wspomnień I znow czuję się zagniewany. Urażony, że zmuszono mnie do ucieczki. I boję się tego, co mogłoby się stać, gdybym wrócił.

A jednak chcę wrócić do domu. Zawsze chciałem tam wrócić. Istnieje więź, łącząca mnie z tymi, którzy tam zostali nawet jeżeli oni na mnie nie czekają. Więź, której nie potrafię określić słowami, ale wywołuje we mnie wzruszenie. Dzisiaj dzieli mnie od tych spraw tylko godzina i dziesięć minut drogi. Pojutrze, kiedy namioty ruszą w swój coroczny szlak na Południe, dom będzie odległy o sześć godzin a za miesiąc o wielodniową podróż, której mogę nie odbyć już nigdy w życiu.

Spoglądam znowu w niebo. Ciężkie, deszczowe chmury wiszą nisko, wiatr owiewa mi twarz ich wilgocią, papieros rozmięka w ustach. Deszcz pozostanie na noc nad polami.

Pozwoliłem, żeby papieros wysunął mi się z ust i spadł z sykiem do kałuży u moich stóp. Niemal usłyszałem gniewne skwierczenie małego ognika, daremnie odpierającego ataki wody. Myślę, że jestem podobny do takiego ognia. Walczę o życie z nasilającym się szybko deszczem."

Nie mogę oddychać, czuję ciężar w płucach. Muszę jechać do domu. Muszę, muszę! Muszę znów zobaczyć Nelhe. I mamę, i Mimi. I ojca także, bez względu na to, czy on chce mnie zobaczyć. Chociaż wiem, że nie mogę tam zostać, ale chcę tam pojechać, nawet gdybym już jutro musiał tu wracać. Może upłynąć dużo czasu zanim znów będę tak blisko domu. Jestem zmęczony samotnością.

Kiedy wszedłem do namiotu, grano tam już w karty. Gracze obrzucili mnie przelotnymi spojrzeniami, gdy wytrzępywałem wodę z kapelusza uderzając nim o spodnie, potem znów gapili się w karty.

Obchodząc stół widziałem, jak słabe światło lampy naftowej rzuca na ich twarze migotliwe błyski. Stałem za Mike'em i zajrzałem mu w karty, uśmiechając się do siebie. Nigdy się nie dorobi mając trzykartowy sekwens w kolorze i próbując jeszcze kupić.

- Będzie padało przez całą noc - powiedziałem.

- Aha - odparł z roztargnieniem. Skupiał się na grze.

- Ile? - rozległ się nad stołem głos faceta rozdającego karty.

- Dwie - odpowiedział Mike niskim głosem.

Karty śmignęły po stole w jego stronę. Chwycił je szybko i spojrział. Skrzywił usta z niesmakiem.

- Wypadam - powiedział, rzucając karty na stół i odwracając się, żeby na mnie spojrzeć.

- Zagrasz partyjkę, Danny? - zapytał dobrotliwie rozdający.

- Nie, dziękuję - potrząsnąłem głową. - Dostaliście ode mnie już dość forsy.

Popatrzyłem na Mike'a.

- Co powiesz na jedną noc wolnego? - zapytałem. Mike pokazał zęby w uśmiechu.

- Dla mnie też nagraj dziewczynkę, to obaj weźmiemy sobie wolne.

- Nie dzisiaj, Mike. Chcę wpaść do Nowego Jorku. I tak nie ma nic do roboty dzisiejszej nocy.

- Udajesz niezdołytego, Danny? - kpił ze mnie facet, który trzymał bank. - Lepiej uważaj na te filipińskie kurewki.

Każda z nich ma brata w gotowości bojowej.

Oczy Mike'a spoważniały.

- Po co chcesz tam jechać?

Nigdy mu za wiele nie powiedziałem, ale był inteligentnym facetem. Musiał się domyślać, że tam, nad morzem coś poszło nie tak. Nigdy jednak nie zadawał żadnych pytań i teraz też nie miał otrzymać żadnej odpowiedzi.

- Na wakacje - powiedziałem cicho, patrząc mu w oczy. Spojrział na stół. Karty nadlatywały w jego stronę. Podnosił je odwracając każdą ostrożnie w palcach. Szóstka, dziewiątka, siódemka, ósemka, as. Same trefle. Zacisnął na nich palce. Widziałem, że już o mnie zapomniał.

- No i co, Mike? - szturchnąłem go. Nie podniósł oczu znad stołu.

- Okay - powiedział z roztargnieniem. - Ale wróć przed jedenastą rano. W gazecie jest, że ma się przejaśnić.

Wynosimy się stąd.

Deszcz uderzał ciągle o szyby pociągu, kiedy pojawił się zmęczony konduktor. Klepnął mnie po ramieniu.

- Bilet, proszę. Wręczyłem mu go bez słowa.
- Paskudny wieczór - powiedział kiwając głową. Prze-dziurkował i zwrócił mi bilet.
- Aha - mruknąłem patrząc, jak odchodzi. Ale nie podzielałem jego zdania; jechałem do domu. Spojrzałem na zegarek. Nowy Jork był odległy o pięćdziesiąt pięć minut.

9

Kiedy wyszedłem ze stacji metra, mżył drobny deszcz, ale tłum na Delancey Street był taki sam jak zwykle. Deszcz ludziom nie przeszkadzał, i tak nie mieli co ze sobą zrobić. A spacer po Delancey Street zawsze należał do przyjemności, można było pooglądać wystawy i pomyśleć, na co warto by wydać pieniądze, gdyby się je miało. Czekaając na przejściu na zmianę świateł, zapaliłem papierosa. Wystawy sklepów nic się nie zmieniły; nigdy się nie zmienia. W pasmanterii była ciągle popożarowa przecena; w oknie sklepu Ratnera leżały te same ciastka i pieczywo, które widziałem ostatnim razem, a przed budką z hot dogami na rogu Essex stała taka sama kolejka. Zapaliło się zielone światło i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Nic się nie zmieniło. Ci sami żebracy sprzedawali ołówki, te same kurwy lustrowały tłum zmęczonym, pozbawionym złudzeń wzrokiem. Tylko ja się zmieniłem. Zrozumiałem to, kiedy zaczepiła mnie któraś z dziwek. Szepnęła mi coś do ucha, a ja obejrzałem się za nią z uśmiechem. Dwa lata temu byłoby inaczej. Byłem wtedy dzieckiem. Szedłem dalej ulicą w stronę „5 & 10”. Byłem pewien, że Nellie tam jest. Nie wiedziałem skąd, ale byłem pewien. Zegar w oknie „Paramount” wskazywał za pięć dziewiątą. Za pięć minut zamkną sklep i ona wyjdzie. Nagle zacząłem denerwować się tym spotkaniem. Byłem ciekaw, czy Nellie

też się zmieniała. Może zapomniała o mnie, może miała innego faceta. Dla dziewczyny dwa lata czekania to długo, zwłaszcza bez żadnej wiadomości. A ja nigdy nie napisałem.

Byłem już przy drzwiach „5 & 10”. Stałem i zajrzałem do środka. Wewnątrz było niewielu klientów, ale coś powstrzymało mnie przed wejściem. Może ona nie zechce mnie widzieć. Stałem tam przez chwilę wahając się, potem poszedłem z powrotem na róg.

Stałem pod latarnią - tą samą, pod którą zawsze na nią czekałem. Oparłem się plecami o słup i zapaliłem papierosa, obojętny na padający deszcz. Może jeżeli przymknę oczy i skupię się wyłącznie na nocnych odgłosach ulicy, będzie tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżał.

Światła w oknie „5 & 10” zgasły nagle. Oderwałem się od latarni. Rzuciłem niedopałek do ścieku i wlepiłem oczy w drzwi. Teraz zostało już tylko parę minut. Parę minut. Czułem niewyraźne pulsowanie w skroniach; zaschło mi w ustach. Z ciemnego wnętrza wyszła rozszczebiotana grupa dziewcząt. Patrzyłem na nie zachłannie, kiedy mnie mijały, nie przestając rozmawiać. Nie było jej wśród nich.

Znowu spojrzałem na drzwi. Wychodziła następna grupka. Bębniłem nerwowo palcami po udzie. W tej grupce też jej nie było. Spojrzałem szybko na zegarek. Prawie pięć po dziewiątej. Powinna zaraz wyjść.

Wytarłem twarz chustką. Pociłem się mimo chłodu. Wepchnąłem chustkę do kieszeni i dalej obserwowałem drzwi. Dziewczęta wciąż wychodziły. Obrzucałem każdą twarz szybkim spojrzeniem i przeskakiwałem do następnej. Nadal jej nie było. Wychodziły teraz trochę wolniej, po dwie, albo pojedynczo. Stawały na ulicy, rzucały szybkie spojrzenia w niebo i ruszały spieszenie do domu.

Znowu spojrzałem na zegarek. Prawie dwadzieścia po dziewiątej. Poczulem ogarniające mnie rozczarowanie. Odwróciłem się, żeby odejść. Głupio było przypuszczać, że ona ciągle tu pracuje. I chyba równie było głupio wierzyć, że te dwa lata nie miały znaczenia. A jednak nie mogłem odejść. Wróciłem pod latarnię i czekałem, aż sklep opustoszeje do końca.

Gasły kolejne światła. Jeszcze parę minut i wyjdzie

kierownik, by zamknąć sklep. Wyjąłem z kieszeni papierosa i potarłem zapałkę, ale wiatr zdmuchnął płomień. Potarłem następną, tym razem chroniąc ją w dłoni i odwracając się tyłem do wiatru. I wtedy znów usłyszałem głosy wychodzących dziewcząt, a wśród nich ten jeden, na który czekałem. Zamarłem wstrzymując oddech. To był jej głos. Wiedziałem.

- Dobranoc, Molly.

Patrzyłem na nią. Stała bokiem do mnie, zwrócona w stronę odchodzącej dziewczyny. Patrzyłem na nią, a papieros ledwo trzymał mi się w ustach.

W przyćmionym świetle latarni wyglądała, jakby się wcale nie zmieniła. Miała te same co dawniej słodkie usta, delikatną białą skórę, zaokrąglone policzki i ogromne brązowe oczy. A jej włosy... Nikt nie miał takich włosów, tak czarnych, że stawały się niemal granatowe w blasku padającego na nie światła. Postąpiłem krok w jej stronę i zamarłem. Bałem się poruszyć, bałem się odezwać. Stałem patrząc na nią bezradnie.

Tamta dziewczyna odeszła i Nellie zaczęła otwierać parasolkę. Jaskrawoczerwoną parasolkę w kratkę. Podnosząc ją nad głowę podniosła także oczy i zobaczyła mnie. Na jej twarzy odmalował się wyraz bezgranicznego niedowierzania. Zrobiła niepewny, pełen wahania krok w moją stronę i wrosła w ziemię.

- Danny? - zapytała szeptem.

Wpatrywałem się w jej oczy. Czulem, że poruszam wargami formułując słowa, ale z ust nie wydobył mi się żaden dźwięk. Papieros wysunął się z ust i spadał ku ziemi rozsiewając iskierki po moim ubraniu.

- Danny! Danny! - rozkrzyczała się, przebiegając parę dzielących nas metrów. Parasolka leżała otwarta i zapomniana w drzwiach za jej plecami.

Była w moich ramionach, całowała mnie, płakała i powtarzała moje imię. Usta miała gorące, zimne, potem znowu gorące. Czulem jej łyzy na policzku, i drżące pod krótkim płaszczykiem ciało.

Widziałem ją jak przez mgłę, ale nie miało to nic wspólnego z padającym deszczem. Przymknąłem na chwilę powieki. Wymówiłem jej imię.

- Nellie.

Dotknęła palcami mojego policzka, a ja pochyliłem głowę i pocałowałem ją. Nasze usta przywarły do siebie i czas, który nas rozdzielał, przestał istnieć. Jakby nic się nigdy nie stało. Liczyło się tylko jedno - byliśmy znowu razem. Badala wzrokiem moją twarz.

- Danny, Danny - szeptała przerywanym głosem. - Dlaczego to zrobiłeś? Ani słowa, ani słowa przez ten cały czas! Patrzyłem na nią tępo. Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Dopiero teraz zrozumiałem, jak straszny popełniłem błąd. Kiedy mogłem już mówić, odezwałem się drżącym głosem.

- Nic nie mogłem na to poradzić, kochanie, musiałem. Płakała. Sprawiało mi to ból.

- Próbowaliśmy cię odszukać, Danny, tak bardzo się staraliśmy. Jakbyś się zapadł pod ziemię. Omal nie umarłam. Tuliłem ją mocno do siebie. Przesunąłem ustami po jej włosach. Były takie, jak zapamiętałem. Miękkie, o słodka-wym zapachu i jedwabistym dotyku. Spłynął na mnie dawno zapomniany spokój.

Ukryła twarz na mojej piersi, płaszcz tłumił jej głos.

- Nie zniósłabym tego ponownie, Danny.

I wtedy wszystko stało się nagle bardzo proste. Wiedziałem, jak będzie, jak powinno być.

- Nie będziesz musiała, maleńka. Odtąd będziemy już razem. Zawsze.

Kiedy na mnie spojrzała, jej twarz była blada, dziecinna i ufna. - Mówisz prawdę, Danny? Po raz pierwszy tego dnia mogłem się uśmiechnąć.

- Słowo, Nellie - odparłem. - Myślisz, że przyjechałem ot tak sobie, w odwiedziny?

Widziałem wszystko z niezwykłą jasnością. Wszystko, czego pragnąłem. Stojąc tam na polach w ulewnym deszczu, nie zdawałem sobie sprawy, że odejdę od Mike'a, ale teraz już to wiedziałem. Zobaczę się z Mike'em i wszystko mu wyjaśnię. Zrozumie. Wróciłem do domu na dobre.

- Od tej chwili, Nellie - powiedziałem tklawie - cokolwiek będę robił, to już zawsze razem z tobą.

Na drzwiach wisiał ten sam stary napis:

CHOW MEIN 30 CENTÓW CHOP SUEY

Ten sam stary Chińczyk zaprowadził nas do stolika i wręczył wymęczone, upstrzone przez muchy menu. Jej oczy były jasne i błyszczące.

- Pamiętałeś! Uśmiechnąłem się do niej. Wyciągnęła do mnie rękę przez stół.

- Przyszliśmy tutaj pierwszego dnia, pamiętasz? Tego dnia, kiedy cię spotkałam.

Ująłem jej rękę i odwróciłem wnętrzem do góry. Badałem je z udanym skupieniem.

- W twoim życiu pojawi się wkrótce wysoki brunet - powiedziałem grubym głosem, udając wróża-pochlebcę.

Roześmiała się i ścisnęła mnie za rękę.

- Pomyłka w kolorze włosów. - Oczy jej nagle spowaźniały. - Danny!

Patrząc na nią czułem, jak zamiera we mnie ochota do śmiechu. Chwytała mnie wprost za serce.

- Tak, Nellie.

- Mam nadzieję, że nie śnię - powiedziała prędko. - Mam nadzieję, że nie jestem na górze, w swoim łóżku i nie śnię, bo inaczej obudzę się rano z czerwonymi oczyma, a siostra powie mi, że znów płakałam przez sen.

Ująłem jej dłoń i szybko pocałowałem.

- To powinno cię przekonać, że nie śniesz. Oczy miała łagodne, pełne łez.

- Jeżeli śnię, to już nigdy nie chcę się obudzić. Chcę tylko spać i śnić.

Mogłem się już uśmiechnąć.

- Nie śniesz.

Zacisnęła palce na mojej dłoni.

- Kocham cię, Danny. Myślę, że pokochałam cię w chwili, kiedy cię zobaczyłam. Siedzącego przy ladzie i jedzącego

lody czekoladowe. - Oczy miała znowu poważne i badawcze. - Nigdy nie umówiłam się z żadnym chłopakiem. Przez cały czas, kiedy cię nie było.

Było we mnie silne poczucie winy. Nie potrafiłem spojrzeć jej w oczy.

- Terefero - czułem się bardzo niewyraźnie. Odwróciła dłoń w moją rękę.

- Naprawdę, Danny - upierała się. - Mama chciała, żebyśmy się umawiali, ale nie mogłam. Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że wrócisz. Po prostu wiedziałam. Jeszcze zanim przyszła ta dziewczyna od Maxiego Fieldsa i mi powiedziała.

Popatrzyłem na nią zaskoczony. - Jaka dziewczyna?

- Panna Dorfman - rzekła szybko. - Nie pamiętasz jej? Ona i jej brat przyszli do sklepu parę dni po Święcie Pracy i powiedzieli, że z tobą rozmawiali, że wszystko w porządku i że przesyłasz mi pozdrowienia. Miło z ich strony, że to zrobili, tym bardziej że byli w Nowym Jorku tylko przejazdem. Mówiła, że miałeś jakieś kłopoty z Fieldsem, ale że wrócisz, jak tylko te sprawy się ułożą.

Nagle poczułem się lepiej. Sarah była na medal. Niektórzy ludzie mają klasę. Próbowwała mi pomóc. Może gdyby nie ona, nie byłoby tu teraz Nellie. Dzięki Sarah był ktoś, kto za mną tęsknił, kochał mnie i czekał. Nie byłem zupełnie sam.

Patrzyła na mnie z powagą.

- Danny, czy to prawda, co mówią, że wzięłeś pieniądze od Fieldsa za przegranie tamtej walki?

Nie odpowiedziałem na jej pytanie. Było coś ważniejszego.

- Mówią? - zapytałem. - Kto?

- Mimi szukała cię u mnie. Mniej więcej tydzień po twoim zniknięciu. Zabraliśmy ją z Zepem do Gottkina, a Gottkin dowiedział się o tym od Fieldsa. - Nadal wpatrywała się w moją twarz. - Czy to prawda?

Skinąłem wolno głową.

Ciągle jeszcze trzymała mnie za rękę. W jej głosie pobrzmiwał ból.

- Dlaczego to zrobiłeś, Danny? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Nie miałem wyboru - rzekłem cicho. - Potrzebowaliśmy forsy. Chciałem, żeby tato kupił sklep, a Fieldsowi i tak

podpadłem. A potem nie mogłem przegrać walki - nawet gdybym chciał.

- Ale ojciec nie wpuścił cię tamtej nocy. Wiem to od Mimi. Dlaczego nie przyszedłeś do mnie i nie powiedziałeś? Patrzyłem na nią z rozpaczą. Obojętne, co jej powiem i tak niczego nie naprawię. Wszystko zawałem.

- Musiałem uciekać, Fields mnie ścigał. Przymknęła oczy ze znużeniem.

- To wszystko jest takie straszne, wciąż nie mogę w to uwierzyć. Przeżyłam dwa lata nie wiedząc, co się z tobą stało, nie wiedząc komu wierzyć.

Skrecałem się widząc ból malujący się na jej twarzy.

- Może byłoby lepiej, gdybym nie wracał - powiedziałem z goryczą. - Zapomniałabyś o mnie i wszystko byłoby dobrze.

Znowu zajrzała mi w głąb duszy.

- Nigdy tak nie mów, Danny, nigdy więcej tak nie mów. Nie obchodzi mnie, co się stało i co zrobiłeś, dopóki jesteś ze mną.

Kiedy kelner przyjmował zamówienie, trzymałem ją mocno za rękę. Było tak, jak myślałem, że powinno być.

Odsunąłem od siebie talerz i podałem jej ogień, a potem sam zapaliłem. Usiadła wygodnie wypuszczając leniwie dym.

- Zeszczuplałeś - powiedziała. Uśmiechnąłem się.

- Nie - odrzekłem. - Ważę dziesięć funtów więcej niż przed dwoma laty.

Wzrok miała zamyślony.

- Może i tak - przyznała. - Ale wyglądasz szczuplej. Twarz miałaś okrągłą, bardziej chłopięcą.

- Może dlatego, że nie jestem już dzieckiem. Pochyliła się szybko.

- Tak, to jest to - stwierdziła z lekkim zdziwieniem w głosie. - Kiedy odszedłeś, byłeś chłopcem. Teraz jesteś dorosły.

- To chyba normalne? - spytałem. - Nikt nie pozostaje wiecznie taki sam. Ty też dorósł.

Wyciągnęła dłoń, dotykając lekko palcami mojej twarzy. Spoczęły na chwilę w kącikach ust, przesunęły się delikatnie po grzbiecie nosa i policzkach.

- Tak, zmieniłeś się - powiedziała w zadumie. - Usta zrobiły ci się bardziej stanowcze, a podbródek silniejszy. Co powiedzieli na twój widok rodzice?
Zrobiłem obojętną minę, starając się ukryć ból wywołany tym pytaniem.

- Nie widziałem się z nimi - odparłem.

- Nie widziałeś się z nimi? - W jej głosie było zdumienie.

- Dlaczego, Danny?

- Nie wiem, czy tego chcę - rzekłem bezbarwnie. - Nie sądzę, żeby chcieli mnie zobaczyć. Nie po tym wszystkim, co się stało. Nie po tym, jak zostałem wyrzucony za drzwi.

Chwyła mnie za rękę.

- Pod wieloma względami jesteś jeszcze dzieckiem, Danny

- rzekła łagodnie. - Wydaje mi się, że chcą cię zobaczyć.

- Tak myślisz? - spytałem z goryczą, a jednak gdzieś w głębi duszy cieszyłem się, że to powiedziała.

- Wiem, że Mimi by chciała - odezwała się z przekonaniem. - I twoja matka - uśmiechnęła się do mnie. - Wiesz, że kiedy cię szukaliśmy, Mimi poznała pana Gottkina i pobrali się? I że mają synka?

Jeszcze jedna niespodzianka!

- Wiem, że się pobrali - powiedziałem prędko. - Czytałem w gazecie, ale nie wiedziałem o dziecku. Kiedy się urodziło?

- W zeszłym roku - odparła. - A teraz Mimi spodziewa się następnego.

- Skąd o niej tak dużo wiesz? - zapytałem ciekawie.

- Dzwonimy do siebie co jakiś czas - powiedziała. - Na wypadek, gdyby któraś z nas dowiedziała się czegoś o tobie. Zastanowiłem się nad tym, co usłyszałem. Nie da się ukryć, że sprawiło mi to przyjemność; znaczyło, że Mimi też za mną tęskniła.

- Nie mogłem uwierzyć, kiedy przeczytałem, że wyszła za Sama - odezwałem się.

- Był dla niej bardzo dobry - powiedziała pośpiesznie.

- I zrobił bardzo dużo także dla twoich rodziców. Pomógł twojemu ojcu w interesach.

Odetchnąłem głęboko. To była jedna z rzeczy, która mnie niepokoiła. W ciągu ostatnich paru lat przekonałem się, że ojciec potrzebuje kogoś, kto by mu pomagał. Teraz

przynajmniej Sam dopilnuje, żeby wszystko grało. Byłem ciekaw, co Sam o mnie myśli i czy był bardzo wściekły za to, co zrobiłem. Doszedłem do wniosku, że tak, i nie mogłem nawet mieć mu tego za złe.

- Pójdiesz się z nimi zobaczyć? - zapytała. Potrząsnąłem głową.

- Nie.

- Ależ, Danny, powinienes! - zawołała. - W końcu to twoja rodzina.

Uśmiechnąłem się niewesoło.

- Mój ojciec twierdzi co innego.

- Co to za różnica? - zapytała. - Wiem, że mnie nie lubią i wiem, co o mnie myślą, ale poszłabym, gdybym była na twoim miejscu.

- Nie pójdę - powiedziałem obojętnie. - Wróciłem do ciebie, nie do nich.

11

Staliśmy objęci w bramie, a nasze usta lgnęły do siebie z dziką, palącą intensywnością. W tym momencie rozstania czułem w sobie głód, który nie dawał mi spokoju.

Rozpłakała się nagle. Ciche, rozzwierające łkanie wstrząsało jej ciałem.

Łagodnie odwróciłem ku sobie jej twarz.

- Co się stało, kochanie?

Gwałtownym ruchem zarzuciła mi ramiona na szyję przyciągając moją twarz do policzka.

- Och, Danny, tak się boję! Nie chcę, żebyś znowu odchodził. Nigdy nie wrócisz!

- Kochanie, kochanie - szeptałem, obejmując ją mocno i pragnąc, by zrozumiała. - Nigdzie nie odchodzę. To tylko dobranoc. Wrócę!

- Nie wrócisz, Danny! Wiem, że nie! - krzyknęła w udręce. Czułem jej łzy na policzku. Pocałowałem ją.

- Nie płacz, Nellie - błagałem. - Proszę.

W jej głosie było teraz jeszcze więcej szaleństwa i strachu niż przedtem.

- Nie odchodź, Danny, nie zostawiaj mnie znowu. Umrę, jeżeli to zrobisz!

- Nie zostawię cię, Nellie - obiecałem. Trzymałem ją w ramionach, dopóki nie przestała płakać.

Ukryła mi twarz na piersi i musiałem wyteńczyć słuch, żeby usłyszeć, co mówi.

- Gdybyśmy tylko mogli gdzieś pójść, żeby być razem, żebym mogła usiąść i patrzeć na ciebie, i mówić sobie: on wrócił, wrócił. - Uniosła głowę i spojrzała na mnie. Jej oczy w ciemnościach były głębokie i lśniące.

- Nie chcę wracać dzisiaj do domu, spać z siostrą, i obudzić się rano, żeby zrozumieć, że to był tylko sen. Chcę iść z tobą i trzymać cię za rękę, żeby mi ciebie nie odebrał świt.

- Wrócę rano - powiedziałem miękko. - Kocham cię.

- Nie, nie wrócisz - odparła rozpaczliwie. - Jeżeli tym razem pozwolę ci odejść, już nigdy nie wrócisz. Coś się stanie i nie wrócisz. - Jej oczy znów wypełniły się łzami. - To samo mówiłeś poprzednim razem, Danny. Pamiętasz, co powiedziałeś? Bez względu na to, co się stanie, pamiętaj, że cię kocham. A potem nie wróciłeś. A ja pamiętałam i pamiętałam - łzy spływały jej po policzkach. Trzymała mnie kurczowo w ramionach. Jej głos przesycony był bólem, o którym nic nie wiedziałem. - Nie przeżyję tego po raz drugi, nie mogę. Tym razem umrę. Nie mogę pozwolić ci odejść.

Próbowałem się uśmiechnąć, obrócić to w żart.

- Nie możemy stać w tej bramie przez całą noc, kochanie.

- Więc znajdź miejsce, gdzie moglibyśmy, Danny - powiedziała i rozbłysły jej oczy. - Znajdź miejsce, gdzie możemy zostać, gdzie mogłabym siedzieć, rozmawiać z tobą i trzymać cię za rękę, aż przyjdzie jutro i uwierzę, że to nie jest sen.

Nie spodobał mi się wyraz twarzy zmęczonego recepcjonis-

ty, kiedy weszliśmy do holu nędznego hoteliku. Gdy wpisałem do księgi meldunkowej; *Daniel Fisher z żoną* a on podniósł wzrok i z bladym uśmiechem powiedział:

- Dwa dolary, proszę, z góry - moja antypatia przybrała na sile.

Położyłem pieniądze na ladzie i poprosiłem o klucz. Na ramieniu czułem dłoń stojącej za mną Nellie. Recepcjonista wziął banknoty i trzymał je w ręku. Obrzucił wzrokiem podłogę w okolicy moich nóg.

- Bez bagażu? - zapytał

- Bez - powiedziałem szybko. - Nie mieliśmy zamiaru nocować w mieście.

W jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- Przykro mi, proszę pana - powiedział uprzejmie nieuprzejmym tonem - ale w takim razie pokój musi kosztować pięć dolarów. Takie przepisy, wie pan.

Opanowałem chęć, żeby mu przyłożyć. Nie za to, że naciągał mnie na trzy papiery, których właściciel hotelu nigdy nie zobaczy, ale za ten wyraz oczu. Musiał wyczytać groźbę z mojej twarzy, bo spuścił wzrok i wbił go w kontuar.

Rzuciwszy szybkie spojrzenie na Nellie, położyłem przy kasie jeszcze trzy dolary.

Wziął pieniądze.

- Dziękuję, sir - powiedział podsuwając mi klucz. - Pokój 402. Proszę skorzystać z samoobsługowej windy na końcu korytarza, czwarte piętro. Potem drugie drzwi od windy.

Zamknąłem za sobą i odwróciłem się, żeby spojrzeć na pokój. Oglądaliśmy go w zakłopotanym milczeniu. Był mały.

W rogu naprzeciwko szafy stała umywalka, obok przy ścianie mała toaletka z lustrem. Pod przeciwległą ścianą znajdowało się niewielkie podwójne łóżko. Sterczało przy nim jedno krzesło, a dwuosobowa, obita skórą kanapka stała naprzeciwko wąskiego okna.

Niepewnie obszedłem kanapkę i wyrząłem przez okno.

- Ciągle pada - powiedziałem.

- Tak - zgodziła się cicho, jakby się bała, że ktoś może ją usłyszeć przez cienką ścianę pokoju. Patrzyła na mnie niespokojnie.

Zdjąłem kapelusz i płaszcz.

- Będę spał na kanapce - powiedziałem, podchodząc do szafy. - Ty wyciągnij się na łóżku i spróbuj złapać trochę snu. Już niedługo będzie świt.

Powiesiłem płaszcz i marynarkę w szafie. Szybko uwolniłem się od krawata i przerzuciłem go przez wieszak. Kiedy się odwróciłem, stała ciągle w tym samym miejscu, patrząc na mnie. Była nadal w płaszczu.

Uśmiechnąłem się do niej. - Nie bój się!

- Nie boję się. Teraz już nie - odpowiedziała cicho. Przeszła przez pokój i stanęła przede mną.

- Nie boję się niczego, kiedy jesteś przy mnie. Pocałowałem ją lekko w czoło.

- Więc zdejmij płaszcz i połóż się. Musisz odpocząć.

W milczeniu powiesiła płaszcz, a ja usiadłem na kanapce i zdjąłem buty. Ułożyłem się przewieszając nogi przez poręcz i patrzyłem na Nellie. Była zabawnym dzieciakiem - bała się pozwolić mi odejść, i bała się też zostać ze mną w jednym pokoju.

- Wygodnie ci? - zapytała mijając mnie. Skinąłem głową. - Aha!

Usłyszałem za sobą jej kroki. Potem cichy trzask kontaktu i pokój pogrzył się w ciemnościach. Usłyszałem jak podchodzi do łóżka. Rozległ się cichy szelest zdejmowanej sukienki i odgłos stawianych na podłodze pantofli.

Próbowałem przebić wzrokiem ciemności, ale była tylko nikłym, białym cieniem osuwającym się miękko na łóżko. Rozległ się szelest prześcieradła protestującego przeciwko ciężarowi jej ciała, a potem słychać już było tylko szmer naszych oddechów.

Podłożyłem sobie ramiona pod głowę i próbowałem dopasować się do rozmiarów kanapki. Nogi przewieszane przez poręcz zaczynały drętwieć. Próbowałem je cicho przesunąć, ale spodnie otarły się o skórę z przenikliwym piskiem. Jej głos niemal mnie przestraszył.

- Danny.

- Tak - odparłem cicho.

- Nie śpisz?

- Nie.

- Nie możesz zasnąć?

Znowu zmieniłem pozycję.

- Na pewno mogę.

Przez chwilę panowała cisza; potem znów odezwała się w ciemnościach. Mówiła tak cicho, że ledwo ją słyszałem.

- Danny, zapomniałeś o czymś.

- O czym?

- Nie pocałowałeś mnie na dobranoc - szepnęła żałośnie. Znalazłem się na kolanach przy łóżku. Zaszleściła pościel, kiedy Nellie usiadła, żeby wyjść mi naprzeciw. Usta miała miękkie i gorące. Otoczyła ramionami moją szyję i słodkie ciepło jej ciała spłynęło ku mnie z ciemności. Objąłem ją mocno czując bicie jej serca tuż przy swoim. Odnalazłem mały, chłodny zatrzask stanika i zacisnąłem na nim palce. Stanik został mi w ręku i poczułem na sobie jej nagie piersi. Pochyliłem szybko głowę i przycisnąłem do nich usta. Trzymała mocno moją głowę w dłoniach, a przy uchu słyszałem jej łagodny głos.

- Trzymaj mnie, Danny, trzymaj mnie. Nie pozwól mi nigdy odejść.

Czułem dławienie w gardle.

- Nigdy nie pozwolę ci odejść, ukochana. W jej głosie było zdumienie.

- Uwielbiam, kiedy mnie dotykasz, Danny. Uwielbiam czuć cię blisko siebie. Twoja bliskość napełnia mnie słodkim bólem.

Uniosłem głowę, żeby na nią spojrzeć. We mnie także był jakiś osobliwy, nie słabnący ból, nieznanne mi dotąd pragnienie, silniejsze niż każdy pociąg fizyczny. Próbowałem się odezwać, by powiedzieć, że ją kocham, ale nie mogłem. Ściśnięta krtań dławiła mi głos.

Przesuwała palcami po mojej twarzy.

- Danny, twoje policzki! O Boże, Danny, ty płaczesz! Łzy zdawały się rozluźniać supeł, który tkwił mi w gardle.

- Tak, płaczę! - odpowiedziałem niemal buntowniczo. Słyszałem jak wciąga głęboko powietrze, potem mocniej objąwszy moją szyję, pociągnęła mnie na poduszkę. Muskiała mi wargami powieki. Mówiła bardzo cicho, a w jej głosie było ciepło i współczucie, jakich nigdy przedtem nie miała dla mnie żadna ludzka istota.

- Nie płacz, kochany, nie płacz - szeptała. - Nie mogę znieść, kiedy jesteś nieszczęśliwy.

Sączące się przez okno światło dnia sięgnęło moich oczu. Przekręciłem się na łóżku uciekając przed jego blaskiem i wyciągniętą ręką uderzyłem w coś miękkiego. Otworzyłem szybko oczy.

Leżała na boku z głową wspartą na dłoni i wzrokiem utkwionym we mnie. Uśmiechała się.

Wpatrywałem się w nią przez jedną nieprawdopodobną sekundę, potem odwzajemniłem uśmiech. Wróciło wspomnienie nocy i przeniknęło mnie uczucie niewiarygodnego ciepła.

- Już rano - powiedziałem.

Skinęła głową i włosy opadły jej kaskadą na dłoń otulając twarz niebieskawoczarną miękkością. Jej wzrok powędrował do okna i wrócił do mnie.

- Rano - potwierdziła z powagą.

- Rano jesteś jeszcze piękniejsza - powiedziałem. Zaczerwieniła się.

- Ty wyglądasz pięknie, kiedy śpisz - odparła cichym głosem. - Patrzyłam na ciebie. Całkiem jak mały chłopiec.

Usiadłem na łóżku z udanym gniewem, prześcieradło zsunęło się ze mnie odsłaniając nagi tors.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ci się nie podobam, kiedy nie śpię? - zapytałem surowo.

Roześmiała się. Powiodła palcami po moich żebrach.

- Jesteś chudy - powiedziała. - Sterczą ci wszystkie kości. Będę musiała cię podtuczyć.

Chwyciłem ją za ramiona, przysuwając twarz do jej twarzy.

- Możesz zacząć od zaraz - mruknąłem całując ją. - Mmmmmm. Jestem tak głodny, że mógłbym cię zjeść.

Ujęła w dłonie moją twarz.

- Danny - spytała niskim głosem, zaglądając mi z powagą w oczy. - Kochasz mnie?

Odwrociłem się szybko i chwyciłem ją zębami za rękę.

- Pewnie, że cię kocham - roześmiałem się.

- Danny! - zawołała ostro. - Powiedz to bez żartów. Tak jak w nocy.

Przestałem się śmiać.

- Kocham cię, Nellie - rzekłem spokojnie. Zamknęła oczy.

- Powiedz to jeszcze raz - wyszeptała. - Uwielbiam kiedy to mówisz.

Moje usta sięgnęły do jej szyi. Powędrowały wolno w dół na ramiona, odsuwając prześcieradło, które ją okrywało.

Leciutko przykryłem palcami jej piersi, potem przytuliłem do nich twarz

- Kocham cię, Nellie - szepnąłem opierając na nich głowę Odetchnęła wolno, z trudem, oczy miała nadal zamknięte

Czułem jak się przeży pod moimi rękami i tuli do mnie. Głos miała głęboki i przepełniony szczęściem.

- Chcę ciebie, Danny. Boże, zmiłuj się nade mną, nigdy nie przestanę cię pragnąć.

Mijaliśmy otwarte drzwi kościoła, kiedy zatrzymała się nagle i podniosła na mnie oczy.

- Danny, wejdź ze mną do środka.

Spojrzałem na kościół, potem na nią. Jej oczy patrzyły z milczącym błaganiem.

- Okay - zgodziłem się.

Wzięła mnie za rękę i poszedłem za nią do kościoła Odwróciła się do mnie w półmroku, głos jej drżał.

- Danny, nie jesteś na mnie zły? Uspokajająco ścisnąłem jej dłoń.

- O co? - spytałem.

Przez jej wargi przemknął pełen wdzięczności uśmiech, tutaj ^{CZUŁabym się dobrze>} gdybym nie przyszła najpierw

Patrzyłem, jak idzie wzdłuż nawy i klęka przed ołtarzem Złożyła dłonie i pochyliła głowę zamykając oczy. Klęczała

tak przez chwilę, potem podniosła się i wróciła do mnie Na twarzy miała promienny uśmiech.

Wyciągnąłem do niej rękę, a ona ją ujęła. Opuściliśmy kościół wolnym krokiem i zesliśmy po schodach na ulicę

Przez chwilę kroczyliśmy w milczeniu, potem spojrzała na mnie.

- Lepiej się teraz czuję - wyznała cicho.
- Cieszę się - powiedziałem.
- Ja... ja po prostu musiałam tam wejść, Danny - wyjaśniła. - Nie czułabym się dobrze, gdybym tego nie zrobiła. Gwizdnąłem na taksówkę.
- Bardzo dobrze - powiedziałem wolno. - Nie chciałbym panny młodej, która nie czuje się dobrze. Otworzyłem drzwi samochodu i pomogłem jej wsiąść, potem usadowiłem się przy niej. Kierowca odwrócił głowę, patrząc na mnie pytająco.
- Urząd Miejski - powiedziałem.

W małej poczekalni przed oszklonymi drzwiami z wyblakłym, czarnym napisem

URZĄD STANU CYWILNEGO

siedziało już kilka par. Byli równie zdenerwowani jak my.

Znowu spojrzałem na zegarek, już po raz któryś z kolei. Dziesiąta. O dziesiątej zaczynają urzędowanie.

Uśmiechnąłem się do Nellie. Nie było tutaj tak źle jak w miejscu, gdzie wydano nam zezwolenie na ślub. Pewnie dlatego, że tam musieliśmy odpowiadać na kopę pytań. Ale trochę nakłamaliśmy i wydano nam zezwolenie z mniejszymi kłopotami, niż można się było spodziewać.

Drzwi otworzyły się i wszyscy w poczekalni podskoczyli nerwowo. Wyszła siwa kobieta o wąskich wargach i rozejrzała się z poczuciem własnej ważności. Zerknęła na listę, którą trzymała w ręku i ponownie obrzuciła nas wzrokiem.

- Pan Fisher i panna Petite, proszę wejść! - obwieściła.

Podniosłem się z krzesła, wyciągając rękę do Nellie. Czulem na sobie wzrok innych par. Dłoń Nellie drżała.

Ścisnąłem ją by jej dodać otuchy.

Kobieta skinęła głową i weszliśmy za nią do sali ślubów. Zamknęła za nami drzwi i zaprowadziła nas przed podium.

- Ma pan zezwolenie, młody człowieku? - zapytała suchym, rzeczowym głosem.

- Tak, proszę pani - odpowiedziałem prędko, wręczając jej papier.

Pobieżnie rzuciła nań okiem. Przez drugie drzwi wszedł cicho mężczyzna i stanął na podium. Bez słowa wręczyła mu pozwolenie.

Spojrzał na nas z wysokości podium.

- Nie denerwujcie się - uśmiechnął się lekko z własnego dowcipu. - Za chwilę będzie po wszystkim.

Próbowaliśmy odpowiedzieć mu uśmiechem, ale nie sądzę, żeby nam się udało. Byliśmy za bardzo zdenerwowani.

- Przyprawdziliście świadków? - zapytał. Pokręciłem głową. Czułem, jak rumieniec zalewa mi twarz. Uśmiechnął się ponownie.

- No cóż, to bez znaczenia. - Zwrócił się do kobiety.

- Panno Schwartz, mogłaby pani poprosić pana Simpsona, żeby wpadł tu na chwilę?

- Tak, panie Kyle. - Siwowłosa kobieta wyszła z pokoju. Pan Kyle spojrział na zezwolenie, które trzymał w ręku.

- Pan jest Daniel Fisher? - zapytał.

- Tak, proszę pana.

- Wiek?

- Dwadzieścia trzy - odpowiedziałem prędko w nadziei, że nie przyjdzie mu do głowy wątpić w moje słowa. - Tak jak jest napisane.

Rzucił mi jedno podejrzliwe spojrzenie.

- Umiem czytać - stwierdził zwięźle. Zerknął na Nellie.

- Eleonora Petito?

Skinęła głową w milczeniu a on wrócił do lektury leżącego przed nim dokumentu. Na odgłos otwieranych drzwi podniósł wzrok. Panna Schwartz wróciła z niskim, podobnym do ptaka człowieczkiem w jednorzędowej marynarce. Pan Kyle spojrział na nas z uśmiechem.

- Możemy zaczynać - powiedział, przesuwając papier w naszą stronę. - Proszę tylko podpisać we wskazanym miejscu...

Nellie podpisała pierwsza, drobnymi, nerwowymi literami. Potem przyszła kolej na mnie, następnie na świadka i w końcu na pana Kyle'a. Osuszył bibułą dokument i spojrział na nas z powagą.

- Proszę połączyć dłonie - poinstruował nas.

Nellie wsunęła rękę w moją dłoń. Nie drżała już. Czulem kropelki potu gromadzące się na czole. Byłem zadowolony, że ceremonia trwa tak krótko. Mogłoby się wydawać, że dobiegła końca, zanim się w ogóle zaczęła. Zapamiętałem jedynie parę ostatnich słów. Nie sądzę, żeby całość trwała dłużej niż dwie minuty.

- Czy ty, Eleonoro Petito, bierzesz sobie tego mężczyznę, Daniela Fishera, za prawowitego małżonka?

Patrzyła mi prosto w oczy. - Tak - odpowiedziała poważnym, przyciszonym głosem. Zwrócił się do mnie.

- I czy ty, Danielu Fisher, bierzesz sobie tę kobietę za prawowitą małżonkę?

Spojrzałem na nią. Oczy miała łagodne i świetliste, w kącikach połyskiwały malutkie łzy.

- T... tak - zająknąłem się chrapliwie.

- W imieniu prawa udzielonego mi przez miasto Nowy Jork, ogłaszam was niniejszym mężem i żoną.

Jego głos zgrzytnął mi sucho w uszach.

- Może pan pocałować żonę, młody człowieku, a przy wyjściu proszę uiścić dwa dolary.

Pocałowaliśmy się niezręcznie, zrobiliśmy w tył zwrot i ruszyliśmy pospiesznie ku drzwom. Jeszcze bardziej oschle niż podczas ceremonii przywołał nas z powrotem. Odwróciliśmy się przestraszeni.

Uśmiechał się. W wyciągniętej ręce trzymał kartkę papieru.

- Nie sądzi pan, że powinien wziąć akt ślubu?

Idąc przez pokój i biorąc papier z jego wyciągniętej ręki, czulem na twarzy głęboki rumieniec.

- Dziękuję, sir - powiedziałem prędko. Pospieszyłem z powrotem do Nellie i wyszliśmy do poczekalni.

Pary, które tam siedziały, przyglądały się nam. Parę osób się uśmiechnęło. Odpowiedzieliśmy uśmiechem i prawie wybiegliśmy z budynku.

Staliśmy na stopniach Urzędu Miasta patrząc na siebie. Był to ten sam świat, który zostawiliśmy parę minut temu, a jednak zupełnie inny. Byliśmy małżeństwem. Nellie wsunęła mi rękę pod ramię.

- Przede wszystkim pójdziemy powiedzieć moim rodzicom - rzekła z dumą.

- Okay - zgodziłem się.

- A potem pójdziemy powiedzieć twojej rodzinie - dodała. Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.

- Po co? - zapytałem. - To nie ich interes. A poza tym, oni mają to gdzieś.

W jej oczach błysnął upór.

- Ale ja nie mam. I chcę, żeby wiedzieli.

- Przecież nic ich nie obchodzą. Nie muszę im nic mówić - zaprotestowałem.

Ścisnęła mnie za ramię uśmiechając się.

- Słuchaj, Danielu Fisher, nie zaczniemy chyba naszego małżeństwa od kłótni, jak sądzisz?

Uśmiechnąłem się do niej. Twarz miała zarumienioną, oczy błyszczące i szczęśliwe.

- N-nie - odpowiedziałem.

- Więc im powiemy - stwierdziła stanowczo, schodząc ze schodów.

- No dobrze, więc im powiemy - zgodziłem się, idąc obok niej. - Mogę nawet pójść do radia i ogłosić to całemu światu, jeżeli chcesz.

Roześmiała się i popatrzyła na mnie.

- A wiesz, że to wcale niezły pomysł?

13

Odźwierny zatrzymał nas wyciągnięciem ręki, a na twarzy miał wypisane pytanie. - Do apartamentu pana Gottkina, proszę - powiedziałem. Skinął uprzejmie głową.

- Państwo Gordon zajmują apartament C21. Na dwudziestym pierwszym piętrze.

Weszliśmy do windy i drzwi zamknęły się za nami z trzaskiem. Windziarz stał nieruchomo odwrócony do nas plecami. Spojrzałem na Nellie.

- Co to za historia z tym Gordonem? - zapytałem szeptem.

- Zmienił sobie urzędowo nazwisko w zeszłym roku - od-szepnęła.

Kiwnąłem głową. Logiczne. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że Gottkin to dobre nazwisko na Brooklyn, ale Gordon bardziej licuje z luksusowym apartamentem na Central Park South.

Spojrzałem na zegarek. Było parę minut po dziewiątej. Po wyjściu od rodziców Nellie poszliśmy na obiad, a potem do domu moich starych. Mieszkali teraz w ładnej dzielnicy, na Wzgórzach Waszyngtona, ale to było nic w porównaniu z tym miejscem tutaj. Odźwierny w ich domu powiedział nam, że w piątek wieczorem chodzą zazwyczaj na obiad do córki, więc wróciliśmy do centrum.

Jacy teraz są? Czuję, jak narasta we mnie niejasny niepokój. Rodzina Nellie nie była najgorsza.

Drzwi otworzył jej ojciec. Wyrzała ku nam jego ciemna, gniewna twarz. Wyrzucił z siebie potok słów, ale Nellie przerwała mu bezceremonialnie mówiąc coś szybko po włosku.

Urwał i spojrzał na mnie. Nie spuściłem wzroku. Twarz miał nadal czerwoną z gniewu i nie sposób było stwierdzić, co myśli. Potem odsunął się w milczeniu i wpuścił nas do mieszkania.

Matka Nellie spadła na nas lawiną głośnego krzyku. Zamknęła Nellie w ramionach i wybuchnęła płaczem. Patrzyłem na nie przestępując z nogi na nogę. Nellie też zaczęła płakać. Jej ojciec i ja staliśmy bezradnie, obrzucając się niepewnymi spojrzeniami. Nagle z sąsiedniego pokoju rozległ się wrzask.

- Danny! - Zep biegł do mnie z szerokim uśmiechem i wyciągniętymi ramionami. Potem do pokoju weszła młodsza siostra Nellie, która też zaczęła płakać. Po chwili trochę się uspokoiło, ojciec wyciągnął niechętnie butelkę wina i wszyscy przyłączyli się do toastu za nasze zdrowie.

Zanim butelka pokazała dno, byliśmy już w niezłych stosunkach. Nie podejrzewałem ich wprawdzie o niesłychaną radość z tego, co się stało, ale widać było, że starają się spojrzeć na sytuację z jak najlepszej strony. Mama Petito pomogła nawet Nellie zapakować trochę rzeczy, żebyśmy mogli wrócić do hotelu i chciała zatrzymać nas na kolacji. Wymówiliśmy się wizytą u moich rodziców, z którymi się jeszcze nie widzieliśmy.

Winda stanęła i drzwi się otworzyły. Windziarz wytknął głowę na korytarz i powiedział: czwarte drzwi po drugiej stronie holu. SAM GORDON - głosiła mała tabliczka nad dzwonkiem. Nacisnąłem przycisk i gdzieś wewnątrz mieszkania odezwały się dzwony.

- Ale fajne! - powiedziałem półgłosem, oglądając się na Nellie.

W przyćmionym świetle korytarza jej twarz wydawała się blada. Skinęła głową w milczeniu i staliśmy dalej czekając, aż ktoś nam otworzy. Wziąłem ją za rękę. Była wilgotna.

Drzwi otworzyły się i wyjrzała do nas drobna Murzynka w stroju pokojówki.

- Czy zastaliśmy panią Gott... ee, panią Gordon? - zapytałem.

Murzynka spojrzała na mnie obojętnie.

- Kogo mam zameldować? - spytała niskim, przyjemnym głosem.

- Jej brata - odpowiedziałem.

Otworzyła trochę szerzej oczy i odsunęła się od drzwi.

- Zechcą państwo chwilę poczekać? - zapytała.

Staliśmy w przedpokoju rozglądając się, podczas gdy pokojówka zniknęła w głębi mieszkania. Przedpokój był większy niż całe mieszkanie Nellie. Z sąsiedniego pokoju dochodził cichy szmer głosów. Nagle zapadła cisza i usłyszeliśmy głos pokojówki.

- Przyszli jacyś młodzi państwo do pani Gordon. Rozpoznałem głos Mimi.

- Powiedzieli kim są? - spytała zaintrygowana. Głos Murzynki był pozbawiony emocji.

- Tak, psze pani, on mówi, że jest pani bratem i.... - nie zdążyła dokończyć.

- To Danny! - Usłyszałem krzyk Mimi. - To Danny! - I była już w przedpokoju, patrząc na nas.

Staliśmy tak przez chwilę. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że się nie zmieniła, ale potem, kiedy podeszła bliżej, zobaczyłem, że jednak tak. Jej oczy były ciemniejsze niż kiedykolwiek i lekko podkrążone, jakby nie sypiała dobrze. Nie wiedziałem, czy to dlatego, że była znowu w ciąży i miała wielki brzuch, ale w kącikach jej ust pojawiły się ściągnięte, drobne zmarszczki, których nie zauważyłem nigdy przedtem.

Potem przyciągnęła mnie do siebie i zaczęła całować.

- Danny! - szeptała. - Tak się cieszę, że cię widzę. - W jej oczach kręciły się łzy.

Uśmiechnąłem się do niej. Ja też cieszyłem się, że ją widzę. To zabawne, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo mi jej brakowało. Kiedy byłem w domu, toczyliśmy ze sobą nieprzerwane boje, teraz to wszystko poszło w zapomnienie.

Podniecona chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w stronę pokoju.

- Są tutaj mama i tata - powiedziała.

Rzuciłem Nellie rozpaczliwe spojrzenie. Uśmiechnęła się do mnie nieznacznie i skinęła głową; szła za nami. Pozwoliłem Mimi zaprowadzić się do drugiego pokoju.

Stanęliśmy na paru stopniach prowadzących w dół do salonu. Rodzice siedzieli na kanapie tyłem do nas i oglądali się przez ramię. Mama przyciskała rękę do piersi, i miała przymknięte oczy. Na twarzy ojca osiadł wyraz tłumionego, ostrożnego zaskoczenia, długie cygaro zwisało mu z ust obrazując stan ducha, w jakim się znajdował. Sam stał naprzeciwko nich z drinkiem w ręce, oparty plecami o potężną imitację kominka. W oczach błyskało mu dziwne światło.

Mimi zaprowadziła mnie przed kanapę i puściła moją rękę.

Mama zatopiła wzrok w moich oczach, jakby chciała wyczytać z nich wszystko, co wydarzyło się od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

- Cześć, mamó - powiedziałem cicho.

Dotknęła płaszcza na mojej piersi i zsunęła palce po rękawie szukając dłoni. Oczy zaszły jej łzami. Przyciągnęła mnie do siebie, tuląc usta do moich rąk.

- Mój blondasek! - szeptała rwącym się głosem. - Moje dziecko!

Stałem patrząc na jej pochyloną głowę. Włosy miała już zupełnie siwe. To była właśnie ta chwila, której się bałem. Nie tego, jak oni mnie przyjmą, tylko uczuć, jakie wzbudzi we mnie to spotkanie.

Byłem zadziwiająco spokojny, daleki od wszystkiego, co mogłoby przynieść ból. Miałem wrażenie, że siedzę w kinie i oglądam perypetie faceta o nazwisku Danny Fisher, który odszedł przed dwoma laty, i nigdy naprawdę nie wrócił. Nie brałem w tym udziału.

To właśnie się stało. Czas i samotność wbiły między nas klin, którego nie mógł już usunąć żaden poryw miłości. Ogarnęło mnie uczucie niechętnego żalu. Jaką wspaniałą rzecz zaprzepaściliśmy, bliskość, jakiej już nigdy nie znamy. Pochyliłem się i pocałowałem ją w czubek głowy.

- Przykro mi, mamó - powiedziałem. Ale nikt nie wiedział czego naprawdę żałuję.

Wyprostowałem się i popatrzyłem na ojca. Usunął się w najdalszy kąt pokoju i stał tam patrząc na mnie. Miał samotny, przestraszony wyraz oczu. Wolno wysunąłem rękę z maminej dłoni i podszedłem do niego. W zapadłej ciszy słychać było tylko moje kroki i łkania mamy. Wyciągnąłem do niego rękę.

- Cześć, tato.

W jego oczach odbiło się wahanie, po chwili jednak uściśnął mi dłoń.

- Witaj, Danny! - głos miał drżący, ale pełen rezerwy.

- Jak się masz, tato? - spytałem.

- W porządku, Danny - odparł lakonicznie.

Zabrakło nam słów i do pokoju wkradło się ledwo wyczuwalne napięcie. Skinąłem Samowi głową. Odpowiedział tym samym, ale się nie odezwał. Wszyscy wpatrywali się we mnie w milczeniu.

Narastało we mnie rozczarowanie. Było niemal tak jak się spodziewałem. To, że wróciłem, nikogo naprawdę nie obeszło. Wbrew sobie usłyszałem nutę goryczy we własnym głosie.

- Nie było mnie dwa lata - powiedziałem, przenosząc

wzrok z jednej twarzy na drugą. - Czy nikt nie zapyta, co robiłem przez ten czas? Co u mnie?

Mama nadal łkała cicho, ale nikt się nie odezwał. Odwróciłem się wolno do ojca. Spojrzałem na niego zimno.

- A ty nie zapytasz? Czy może nie ma to już znaczenia? Nie odpowiedział.

To Mimi podeszła do mnie, Mimi, która ujęła mnie pod rękę i powiedziała miękko: - Ależ oczywiście, że ma znaczenie! Jesteśmy po prostu tak zaskoczeni, że nie wiemy co powiedzieć.

Nadal patrzyłem na ojca. Czuję, jak zstępuje na mnie lodowato zimny spokój. Miałem rację: coś odeszło od nas tamtej nocy, kiedy zamknął przede mną drzwi. Przeminięło, i wszystko to, co miały przynieść następne lata, nie mogło tego przywrócić.

Chciałem ich zobaczyć i zarazem nie chciałem. Teraz nie to wydawało się ważne - a jedynie, że stałem tam wśród nich jak obcy.

Mimi usiłowała odciągnąć mnie od ojca.

- Chodź - powiedziała. - Siadaj i opowiedz nam co porabiałeś. Wszyscy tęskniliśmy za tobą.

Patrzyłem ponad jej głowę w drugi koniec pokoju. Nellie stała przy wejściu, zapomniana przez wszystkich, przyglądając się szeroko otwartymi, pełnymi bólu oczami. I wiedziałem, że to mój ból sprawia jej cierpienie.

Uśmiechnąłem się do niej i spojrzałem na Mimi.

- Nie mogę zostać - powiedziałem łagodnie. Nie chciałem jej zranić; ona przynajmniej próbowała. - Muszę lecieć.

Mam sprawy do załatwienia.

- Nie możesz teraz odejść, Danny! - zaprotestowała. Łzy znowu napłynęły jej do oczu. - Dopiero co wróciłeś.

Moje spojrzenie powędrowało ku Nellie.

- Nie wróciłem - powiedziałem cicho. - Nie naprawdę. Ja tylko próbowałem.

- Ależ, Danny... - Mimi płakała mi na ramieniu. Wiedziałem co czuje, za czym płacze, ale było to bezcelowe. Tamto już nigdy nie wróci.

Otoczyłem ramieniem jej drżące plecy i poprowadziłem ją przez pokój.

- Przestań, Mimi - szepnąłem. - Tylko mi utrudniasz. Zostawiłem ją na kanapie i podszedłem do Nellie. Ująłem ją za rękę.

- Przyszedłem tu dzisiaj - powiedziałem niskim głosem - tylko z powodu mojej żony. Sądziła, iż powinniśmy wam powiedzieć, że dzisiaj rano wzięliśmy ślub.

Zobaczyłem uczucia malujące się na ich twarzach, ból na matczynej i nieprzejednanie na ojcowskiej. Skręcałem się wewnątrz.

- Ona jedna chciała, żebym wrócił - powiedziałem prędko. Czekałem przez chwilę na ich reakcję, ale trwali w milczeniu.

Rodzice Nellie nie chcieli tego małżeństwa podobnie jak moi, ale przynajmniej zachowywali się po ludzku. Moja rodzina nie miała nic do powiedzenia, nie było życzeń szczęścia. Nic.

Ból, który czułem, szybko minął, zostawiając po sobie zimne odrętwienie. Ucałowałem mamę w policzek.

Szłochała. Pocałowałem Mimi i stanąłem przed ojcem. Jego zawzięta twarz przypominała maskę. Minąłem go bez słowa, nie czyniąc żadnego gestu.

Wierciłem się niespokojnie na łóżku. Uświadomiłem sobie, że płakałem przez sen, ale teraz byłem już przytomny i oczy miałem suche. Starąłem się leżeć spokojnie, żeby jej nie przeszkadzać.

Rozbieraliśmy się w milczeniu w małym hotelowym pokoju.

- Wiedziałaś przez cały czas, dlaczego nie chcę się z nimi zobaczyć, prawda? - zapytałem w końcu, z krzywym uśmiechem.

Skinęła głową w milczeniu.

- A mimo to kazałaś mi do nich iść - powiedziałem cierpko.

Trzymała dłonie na moich ramionach, i patrzyła mi w oczy.

- Musiałaś tam iść, Danny! - rzekła poważnie. - Inaczej tkwiłoby to między nami przez całe nasze życie. Musiałaś dojść do tego sam.

Odwrociłem się od niej opuszczając ciężko ramiona.

- No więc doszedłem, nie ma co.

Poszła za mną i chwyciła mnie kurczowo za ramię.

- Teraz to już minęło i możesz zapomnieć.

- Zapomnieć! - roześmiałem się. Były sprawy, o których nie miała pojęcia. - Jak można zapomnieć? Zapomnieć o wszystkim co mieliśmy wspólne, o nadziejach, obawach, o tym, co dobre i złe. Łatwo ci powiedzieć: zapomnieć, ale jak mam to zrobić? Mam oddzielić ich krew od swojej, wylać do zlewu, żeby spłynęła do kanalizacji i wyniosła się z mojego życia? Jak mam zapomnieć o dobrym i złym? Czy ty możesz zapomnieć swoich rodziców? Czy zaznane dobro i zło znaczy więcej niż krew, która was wiąże?

- Nie, Danny, nie rozumiesz - powiedziała błagalnie. - Nie to masz zapomnieć. To właśnie masz zapamiętać. Chcę, żebyś zapomniał o bólu, który może cię zmienić w kogoś, kim nie jesteś. O bólu, przez który możesz się stać twardy, zgorzkniały i wściekły tak jak teraz.

Nie rozumiałem.

- Jak mogę o nim zapomnieć? - zapytałem bezradnie. - Przecież on jest częścią mnie.

- Nieprawda, Danny! - zawołała, przytulając się i całując mnie w usta. - To jest zupełnie coś innego. Sprawię, że zapomnisz o bólu. Sprawię, że będziesz pamiętał tylko o tym co dobre.

Otworzyłem szeroko oczy.

- Czy to w ogóle możliwe?

- Możliwe - wyszeptała, patrząc na mnie głębokimi, poważnymi oczyma. - Mam dla ciebie tyle miłości, że wystarczy ci tego uczucia na całe życie.

Wtedy zrozumiałem. Chwyciłem ją za rękę i z wdzięcznością przycisnąłem usta do wnętrza jej dłoni. Obiecała mi coś i wiedziałem, że dotrzyma obietnicy. Wiedziałem, że w czasach, które nadejdą, dobrych czy złych, znajdę w niej oparcie i siłę; że cokolwiek się zdarzy, nigdy już nie będę samotny.

Dzień przeprowadzki 15 września 1936

Drewniane stopnie skrzypiały przyjemnie pod naszymi stopami, kiedy wchodziliśmy na górę. Był to przyjazny dźwięk, jakby te stare schody witały już wiele świeżo poślubionych par, takich jak my. Podobał mi się.

Walizki, które niosłem, były lekkie, nie mieliśmy zbyt wiele ubrań. Później, kiedy dostałem pracę i trochę zarabiałem, mogliśmy kupić sobie parę rzeczy. Ale teraz cała forsa, którą wspólnie wyskrobaliśmy, poszła na urządzenie nowego mieszkania.

Stała przed drzwiami na czwartym piętrze i obejrzała się na mnie z uśmiechem. W dłoni trzymała klucz. Uśmiechałem się do niej.

- Otwórz, kochanie, to już nasze.

Włożyła klucz do zamka i przekręciła. Drzwi otworzyły się wolno, ale ona wciąż stała w progu z wyczekującą miną. Postawiłem walizki, pochyliłem się i zgarnąłem ją na ręce. Przechodząc przez próg, czułem jak obejmuje mnie za szyję. Już w mieszkaniu zajrzałem jej w twarz. Pocałowała mnie. Usta miała miękkie i drżące, wydawała się leciutka w moich ramionach.

- Niech Bóg błogosławi nasz szczęśliwy dom, Danny - szepnęła.

Stałem tam trzymając ją w ramionach i patrząc na mieszkanie. Nie było duże. Nie ma dużych mieszkań za dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie. Trzy pokoje i łazienka.

Wszystko na biało. Przy takim czynszu nie dostaje się kolorowych ścian. Ale było czyste. I miało gorącą i zimną wodę, i mnóstwo miejsca, żeby pożyć.

Dosyć miejsca, żeby wcisnąć meble za dziewięćset papierów: kanapę i parę krzeseł do salonu, wielkie podwójne łóżko i toaletkę z lustrem do sypialni, komplet kuchenny, trochę talerzy i garnków. Dziewięćset dolarów to mnóstwo forsy, ale mieszkanie było tego warte, nawet za cenę pozostania z prawie zerowym kontem. Przynajmniej nie musieliśmy się mar-

twić o jakiegoś komornika siedzącego nam na karku. Postawiłem ją na ziemi.

- Zanieś bagaże do sypialni - powiedziała.

- Tak jest, proszę pani - mruknąłem zgryźliwie, podnosząc walizki i idąc za nią. Rzuciłem je niedbale na łóżko. Utonęły w miękkich materacach.

- Danny, zabierz z łóżka te brudne walizki! - wykrzyknęła ostro. - To nie hotel, to nasze mieszkanie!

Roześmiałem się głośno patrząc na nią. Dać kobiecie kawałek własnego kąta, a pierwsze co zrobi, to obejmie dowodzenie. Ale miała rację. Postawiłem walizki na podłodze i usiadłem na łóżku.

- Chodź tutaj - zaproponowałem, podskakując na materacu.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Po co?

- Chcę ci coś pokazać.

Zrobiła krok w moją stronę i stanęła. Wyciągnąłem szybko rękę i przyciągnąłem ją do siebie. Upadła na mnie i przewróciłem się na wznak, czując na sobie jej ciężar.

- Danny, co ci się stało? - śmiała się. Pocałowałem ją. Odsunęła twarz, śmiejąc się ciągle.

- Danny! - zaprotestowała. Nacisnąłem materac.

- Posłuchaj! Nie skrzypi. Dokładnie tak, jak mówił sprzedawca.

- Danny, jesteś szalony! - Kiedy się śmiała, widać było, jak białe ma zęby. Pociągnąłem ją znowu na siebie.

- Szalony na twoim punkcie - przyznałem.

- Och, Danny - szepnęła. - Danny, kocham cię. Wtuliłem twarz w jej szyję. Skórę miała gładką jak jedwab sukienki w oknie wystawowym na Fifth Avenue.

- Kocham cię, malutka.

Patrzyła mi w oczy. Wyraz, który malował się na jej twarzy, zamieniał moje wnętrze w papkę. Zawsze to robiła - wystarczyło, żeby na mnie spojrzała.

- Danny, nie będziesz tego żałował - oznajmiła z powagą.

- Czego nie będę żałował?

- Że się ze mną ożeniłeś - powiedziała serio. - Będę dla ciebie dobrą żoną.

Chwyciłem jej twarz w dłonie.

- Odwrotnie, kochanie. To ty nie pożałujesz, że za mnie wyszłaś, przynajmniej mam nadzieję.

Na palcach czułem jej łzy.

- Och, Danny - powiedziała bardzo cicho. - Nigdy.

Dzwonek odezwał się w chwili, kiedy skończyliśmy rozwieszać zasłony.

- Ja otworzę - powiedziałem idąc do drzwi.

Stali w nich matka Nellie i ksiądz. Pani Petito trzymała w ręku małą torbę na zakupy. Uśmiechnęła się do mnie.

- Witaj, Danny!

- Witaj, mamó - rzekłem. - Proszę wejść. Zawahała się na chwilę, zakłopotana.

- Przyprowadziłam ze sobą ojca Brennana - powiedziała cicho.

- Proszę wejść, ojcie - rzekłem spokojnie.

Wyraz ulgi przemknął po twarzy mojej teściowej, kiedy ksiądz podał mi rękę. Uścisk jego dłoni był mocny i przyjacielski.

- Witaj, Danny! - rzekł z profesjonalną serdecznością.

- Cieszę się, że się spotykamy. Z sypialni dobiegł głos Nellie.

- Kto przyszedł, Danny?

- Twoja matka i ksiądz Brennan! - odkrzyknąłem.

Pojawiła się szybko w drzwiach, twarz miała lekko zarumienioną. Podbiegła do matki, pocałowała ją, potem odwróciła się do księdza z wyciągniętą ręką.

- Cieszę się, że ojciec mógł przyjść. Odsunął jej rękę przyjacielskim gestem.

- Daj spokój, moje dziecko! - powiedział z uśmiechem.

- Możesz chyba zgotować lepsze powitanie staremu przyjacielowi i wielbicielowi. - Położył jej obie dłonie na ramionach i cmoknął ją głośno w policzek.

Pani Petito spojrzała na mnie niepewnie i postawiła torbę na podłodze.

- Przyniosłam coś do domu - rzekła.

Nellie zaciekawiona otworzyła torbę i zajrzała do środka. Mówiła coś z przejęciem po włosku, a matka jej odpowiadała. Potem zwróciła się do mnie z wyjaśnieniem: - Mama przyniosła coś do jedzenia, żebyśmy nigdy nie zaznali głodu.

Spojrzałem na panią Petito. Bywają różni ludzie, ale ich podstawowe troski są zawsze takie same. Pamiętam, że kiedy przeprowadziliśmy się do Brooklynu, mama przyniosła do domu sól i bochenek chleba dokładnie z tego samego powodu.

- Dziękujemy, mamó - powiedziałem z wdzięcznością. Poklepała mnie dłonią po policzku.

- Nie ma za co, mój synu - odparła. - Pragnęłabym, żebyśmy mogli zrobić dla was coś więcej.

- Może kawy? - zaproponowała Nellie. - Danny zbiegnie na dół, kupi ciasto i urządzimy sobie małe przyjęcie.

Pani Petito potrząsnęła głową.

- Muszę wracać do domu i zająć się kolacją. Ojciec Brennan przyszedł tylko życzyć ci szczęścia.

Nellie zwróciła się do księdza z uśmiechem.

- Dziękuję, ojczu. Tak się cieszę, że mógł ojciec przyjść. Bałam się, że...

- Och, nie Nellie - przerwał jej. - Nic podobnego. Rzecz jasna czuję się zawiedziony, że to nie ja udzielałem ci ślubu, ale w końcu nic takiego się nie stało.

Zawahala się.

- A ja myślałam, że nie możemy wziąć ślubu kościelnego z powodu Danny'ego.

Ksiądz zwrócił się do mnie z uprzejmym uśmiechem.

- Czy ty, synu, miałbyś coś przeciwko temu, żeby wziąć ślub w kościele? - zapytał.

Nellie odpowiedziała, zanim zdążyłem otworzyć usta.

- To pytanie nie jest fair, ojczu - powiedziała prędko. - Nie rozmawialiśmy jeszcze na ten temat.

Spojrzał na nią. Uśmiech już zniknął mu z twarzy.

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę, moje dziecko, że choć twoje małżeństwo jest tolerowane przez kościół, nie jest przezeń usankcjonowane.

Twarz Nellie była blada.

- Wiem o tym, ojczu - odpowiedziała cichym głosem.

- Czy pomyślałaś kiedyś o dzieciach? - ciągnął dalej. - O tym, jakie korzyści duchowe mogłyby otrzymać, a których będą pozbawione?

Tym razem ja odpowiedziałem.

- Jeżeli dobrze rozumiem, ojciec, kościół nie dyskryminuje dzieci za wiarę ich rodziców.

Spojrzał na mnie.

- Czy to oznacza, że byłbyś skłonny pozwolić, aby twoje dzieci otrzymały katolickie wychowanie?

- Myślę - odparłem po prostu - że moje dzieci będą mogły wierzyć w to, co same wybiorą. Ich wiara albo jej brak będzie sprawą ich własnego wyboru, a do czasu kiedy będą wystarczająco dorosłe, aby decydować za siebie, jestem oczywiście gotów pozwolić im, by chodziły do kościoła ich matki.

Nellie podeszła i wzięła mnie za rękę.

- Myślę, że trochę za wcześnie na omawianie tych spraw. W końcu jesteśmy małżeństwem od bardzo niedawna.

Ksiądz popatrzył na nas.

- Jako katoliczka, Nellie, jesteś w pełni świadoma swoich obowiązków. Dlatego też zawsze lepiej jest zdecydować o takich sprawach wcześniej, żeby uniknąć późniejszych tragedii.

Nellie była bardzo blada. Mówiła ledwie poruszając wargami.

- Doceniam twoją troskę, i to, że nas odwiedziłeś, ojciec. Zapewniam, że zrobimy wszystko, co będzie dobre dla nas obojga, i proszę nas znów odwiedzić, kiedy ojciec będzie w sąsiedztwie.

Mógłbym ją za to ucałować. Możliwie najgrzeczniej powiedziała mu, żeby poszedł do diabła. On też o tym wiedział, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Duchowny - westchnął - wciąż musi podejmować trudne decyzje. W końcu jest on tylko człowiekiem i tak jak inni ludzie, może się jedynie modlić, by Bóg patronował mu w jego działaniach. Będę się modlił, moje dziecko, aby moja wizyta odniosła pożądaną skuteczną.

- Będziemy wdzięczni za modlitwę, ojciec - odpowiedziała uprzejmie moja żona, nie wypuszczając mojej dłoni.

Odprowadziłem niespiesznie księdza do drzwi, a on wyciągnął do mnie rękę.

- Cieszę się, że cię poznałem, synu - powiedział, ale bez entuzjazmu. Ze sposobu, w jaki tym razem uścisnął mi rękę, wywnioskowałem, że uważa mnie za diabelskie nasienie.

Drzwi zamknęły się za nim i Nellie przemówiła do swojej matki po włosku, szybko i gniewnie. Matka uniosła dłonie w geście protestu, odpowiadając coś jękliwie. Łzy napłynęły jej do oczu. Kłótnia stawała się coraz gorętsza i bardziej zajadła, a ja stałem jak głupi, nie rozumiejąc ani słowa. A potem wszystko skończyło się tak nagle, jak się zaczęło, matka wzięła córkę w objęcia i ucałowała.

Nellie zwróciła się do mnie przepraszająco.

- Mamie jest przykro, że go tu sprowadziła. Chciała dobrze i ma nadzieję, że nie czujesz się urażony.

Przyglądałem się przez chwilę teściowej; potem się uśmiechnąłem.

- Nic nie szkodzi, mamó Petite - powiedziałem spokojnie.

- Wiem, że chciałaś jak najlepiej.

Wtedy pani Petite objęła mnie i ucałowała w policzek.

- Dobry z ciebie chłopiec, Danny - powiedziała jękając się. - Proszę cię tylko o to, żebyś dobrze opiekował się moją Nellie.

- Będę, mamó - obiecałem patrząc na Nellie. - O to możesz być spokojna.

Po jej wyjściu skończyliśmy porządkowanie mieszkania. Było ciągle wczesne popołudnie. Usiadłem w salonie i włączyłem radio. Łagodna muzyka wypełniła pokój. Była jakby stworzona na powitanie nowego dnia; *Serenada wschodzącego słońca* Frankie Carle'a. Po chwili weszła Nellie.

- Co zjadłbyś na obiad? - zapytała poważnie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że umiesz także gotować?

- spytałem filuternie.

Na jej twarzy ukazał się wyraz dezaprobaty.

- Nie wygłupiaj się, Danny - powiedziała prędko. - Co byś zjadł?

- Po co chcesz gotować? - spytałem. - Pójdziemy coś zjeść na mieście, żeby to uczcić.

- O, nie! - potrząsnęła głową. - To dla nas za drogo. Już czas, żebyśmy zaczęli uważać na to, ile wydajemy, dopóki

nie znajdziesz pracy. Potem możemy jadać na mieście, jeżeli będziesz miał ochotę.

Spojrzałem na nią z nowym szacunkiem. Przez cały dzień narastało we mnie przekonanie, że jest o wiele bardziej dorosła niż przypuszczałem. Wstałem i wyłączyłem radio.

- Ugotuj, co chcesz i zrób mi niespodziankę - powiedziałem. - A ja skoczę do agencji zobaczyć, czy nie ma jakiejś roboty.

Kiedy wyszedłem z holu, jaskrawe światło oślepiło mnie na chwilę i przystanąłem przed bramą mrużąc oczy. Potem ruszyłem na stację metra. Nagle cień padł na chodnik zagradzając mi drogę. Nie podnosząc oczu próbowałem go wyminąć. Czyjaś ręka opadła mi na ramię i usłyszałem znajomy głos.

- Teraz, kiedy już wróciłeś i ustatkowałeś się, Danny, szef sądzi, że jesteś mu winien wizytę.

Nie musiałem podnosić oczu, żeby wiedzieć z kim mam do czynienia. Spodziewałem się tego spotkania od chwili powrotu. Wiedziałem, że nigdy nie zapomną.

Spit stał przede mną z lekkim uśmiechem na ustach i bez cienia uśmiechu w oczach. I wyglądał bardzo elegancko w ciemnym, szytym na miarę garniturze i świeżo upranej koszuli. Przez chwilę prawie nie mogłem uwierzyć, że to on, miał na sobie tyle rzeczy.

- Spieszę się - powiedziałem, jeszcze raz próbując go wyminąć.

Zacisnął rękę na moim ramieniu. Druga dłoń powędrowała do kieszeni marynarki. Zobaczyłem niewyraźny kształt ukrytego tam pistoletu.

- Chyba nie aż tak bardzo, prawda Danny? - zapytał. Potrząsnąłem głową.

- Nie, nie aż tak bardzo — zgodziłem się.

Zrobił gest w stronę jezdni. Stał tam samochód z włączonym silnikiem.

- Wsiadaj! - powiedział ostro.

Otworzyłem drzwi i wsunąłem się na tylne siedzenie. Był tam Poborca.

- Cześć, Danny! - powiedział cicho i uderzył mnie w żołądek. Ból rozdarł mi wnętrzności, zgiąłem się wpół i pole-

ciałem na podłogę. Usłyszałem za sobą odgłos zamykanych pospiesznie drzwi i samochód ruszył. Głos Spita zdawał się płynąć nade mną w powietrzu.

- Daj sobie spokój z takimi zagrywkami. Szef będzie wściekły.

- Byłem winien to skurwielowi - zabrzmiał ponuro głos Poborcy.

Spit złapał mnie za kołnierz i wciągnął na siedzenie obok siebie.

- Nie mów o tym szefowi albo następnym razem oberwiesz dużo gorzej.

Skinąłem głową i przełknąłem gorzką ciecz podchodzącą mi do gardła. Upłynęło parę minut, zanim poczułem się na tyle dobrze, żeby zrozumieć, co powiedział.

Następnym razem?! - to oznaczało, że z jakiegoś nieznanego mi powodu, miano darować mi życie. Zastanawiałem się, co takiego mogło się wydarzyć. Wiedziałem, że Maxie Fields nie należy do ludzi, którzy potrafią przebaczać.

Samochód skręcił na chodnik przed sklepem. Spit wysiadł pierwszy, Poborca za mną. Poszliśmy wąskim korytarzem obok sklepu i po schodach do apartamentu Fieldsa. Spit zastukał do drzwi.

- Kto tam? - przedarł się przez nie głos Fieldsa.

- To ja, szefie, mam ze sobą Danny'ego Fishera.

- Wprowadź go - wrzasnął Fields.

Spit otworzył drzwi, wepchnął mnie do środka i wszedł za mną. Nadal bolał mnie żołądek, ale czułem się już lepiej.

Na tyle dobrze, że mogłem się wyprostować.

Maxie Fields stał za biurkiem jak olbrzymi Gargantua.

Błysnął ku mnie oczyma.

- Więc nie mogłeś wytrzymać z dala ode mnie? - zapytał ponurym głosem, wychodząc zza biurka i idąc w moją stronę.

Nie odpowiedziałem - patrzyłem, jak się zbliża. Nie bałem się go tym razem. Spit mimowolnie udzielił mi informacji. Zobaczyłem otwartą dłoń Maxiego leżącą w stronę mojej twarzy i instynktownie zrobiłem unik.

Poderwał mnie klujący ból w nerkach. Stojący za mną Spit dziabnął mnie ręką noża. Tym razem zaliczyłem prawy

sierp w policzek. Chwiałem się niepewnie na nogach, ale nie powiedziałem ani słowa. Gadanie nie na wiele by się zdało, mogło tylko pogorszyć sprawę.

Maxie wyszczerzył do mnie zęby w złośliwym uśmiechu.

- Nie tylko ty nie mogłeś beze mnie wytrzymać - odwrócił się w stronę sąsiedniego pokoju i ryknął:

- Ronnie, przynieś mi drinka! Twój stary znajomy przyszedł nas odwiedzić.

Spojrzałem na drzwi. Dzwoniło mi w uszach. W progu stała Sarah ze szklanką w ręku i patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma. Wpatrywaliśmy się w siebie przez sekundę, potem spuściła wzrok i podeszła wolno do Fieldsa. W milczeniu podała mu szklankę.

Uśmiechał się do niej złośliwie.

- Nie przywitasz się ze starym przyjacielem? Spojrzała na mnie, oczy miała tępe i puste.

- Cześć, Danny.

- Cześć, Sarah - odpowiedziałem.

Fields patrzył na mnie, trzymając ciągle szklankę w dłoni.

- Jak za dawnych czasów, co, chłopcze? - Pociągnął ze szklanki prawie ją opróżniając. - Nic się nie zmieniło, prawda?

Obserwowałem twarz Sarah. Była nieruchoma i obojętna, bez cienia wyrazu.

- Nic się nie zmieniło - odparłem cicho.

- Ronnie nie mogła wytrzymać z dala od swego kochasia. Wróciła tu z własnej woli, czyż nie tak? - spytał Fields.

Zdawało mi się, że dostrzegam ogień, który rozbłysł na moment w jej oczach, ale zniknął zbyt szybko, abym mógł mieć pewność.

- Tak, Maxie - powiedziała tępo jak automat. Fields przyciągnął ją do siebie.

- Ronnie nie może żyć bez swojego kochasia, nieprawdaż? Tym razem zobaczyłem, jak drżą jej usta.

- Nie mogę, Maxie. Odepchnął ją ze złością.

- Idź już! - ryknął.

Poszła ku drzwiom, nie spojrzawszy nawet w moją stronę. Zatrzymała się na chwilę w progu, potem ruszyła prosto przed siebie nie oglądając się. Fields zwrócił się do mnie.

- Nikt się nie wymknie Maxiemu Fieldsowi - powiedział chełpliwie.

Popatrzyłem na niego. Nie musiał mi tego mówić, przekonał mnie o tym już wcześniej. Zastanawiałem się, w jaki sposób sprowadził ją z powrotem. Zastanawiałem się, co zrobił z Benem.

Wrócił za biurko i usiadł ciężko, wpatrując się we mnie oczami, które tonęły w fałdach tłuszczu.

- Pamiętaj o tym, Danny. Nikt nigdy nie wymknie się Maxiemu Fieldsowi.

- Zapamiętam - odezwałem się.

Patrzył na mnie ciężko dysząc. Po chwili podniósł szklankę i dokończył drinka.

- Okay - powiedział odstawiając ją na biurko. - Możesz już iść.

Nie wierzyłem własnym uszom. Stałem jak skamieniały, bojąc się mocniej odetchnąć. Maxie szykował coś ekstra.

Ciekawe, co to może być. Przecież nie pozwoli mi tak po prostu wyjść - nie Maxie Fields.

- Słyszałeś, co powiedziałem! - ryknął z nagłym gniewem. - Wynoś się i nie wchodź mi w drogę. Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia. Mogę być w gorszym humorze!

Nie poruszyłem się. Bałem się odwrócić. Zadzwoił stojący na biurku telefon i Fields podniósł słuchawkę.

- Co tam? - warknął. Ze słuchawki dobiegło trzeszczenie czyjegoś głosu i nastąpiła subtelna zmiana w wyrazie twarzy Fieldsa.

- Halo, Sam - powiedział kordialnie.

Głos w słuchawce zaskrzeczał ponownie i Fields zakrył ją dłonią.

- Spit, wyrzuć go, jeżeli nie chce sam wyjść - powiedział prawie serdecznie.

Nie potrzebowałem dodatkowej zachęty. Wydostałem się stamtąd błyskawicznie. Ale dopiero znalazłszy się na znajomych, brudnych ulicach, zacząłem rozumieć, co się stało. Nadal nie wiedziałem, dlaczego pozwolił mi odejść, chyba że... mógł być tylko jeden powód. Sarah zawarła z nim umowę. Dlatego omijała mnie wzrokiem i nie chciała rozmawiać. To musiało być to. Tylko takie rozwiązanie przychodziło mi do głowy.

Spojrzałem na zegarek. Było dopiero wpół do trzeciej; nadal miałem dość czasu, żeby wpaść do miasta i sprawdzić agencje. Nie było sensu wracać wcześniej; Nellie chciałyby wiedzieć, dlaczego nie poszedłem, a nie miałem zamiaru mówić jej o tym, co się stało. Zmartwiłyby się tylko.

Obleciałem mniej więcej cztery agencje, ale nic dla mnie nie mieli. Mówili, żebym przyszedł rano. Parę minut po czwartej zrezygnowałem i ruszyłem z powrotem do domu. Jutro będę musiał wystartować dużo wcześniej, żeby coś podłapać.

Zrobiła *kurczaka cacciatore*, spaghetti i otworzyliśmy butelkę Chianti, którą przyniosła jej matka. Obiad był wyborny, ale bolał mnie żołądek i zmuszałem się do jedzenia. Mimo to wpakowałem w siebie tyle, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

- Pomóc ci w zmywaniu? - zapytałem. Potrząsnęła głową.

- Idź do salonu i włącz radio - powiedziała. - To potrwa tylko parę minut.

Poszedłem do pokoju, zagłębiłem się w fotelu i włączyłem odbiornik. W pokoju zabrzmiał głos Kingfisha.

Słuchałem z dużą przyjemnością o wysiłkach Andy'ego, który próbował skombinować przyjacielowi jakąś robotę.

To było powszechne zmartwienie: dostać pracę. Moje także. Dobrze byłoby ją znaleźć. Moglibyśmy zaoszczędzić parę dolców. Może, kiedy sytuacja się poprawi i zacznę trochę zarabiać, udałoby się nam kupić niewielki dom. W Brooklynie, może w mojej starej dzielnicy. Podobało mi się tam. Ulice były czyste, a powietrze świeże. Nie tak jak tutaj, na East Fourth i First Avenue. Choć i tak było tu lepiej niż gdzie indziej w tej dzielnicy. Dom był czysty, czteropiętrowy, nie tak zrujnowany jak inne i przeznaczony dla dwunastu rodzin. Nie był zły, jak na początek.

Nellie weszła do pokoju i spojrzałem na nią.

- Już?

Skinęła głową.

- Mówiłam ci, że to nie potrwa długo - powiedziała z dumą.

Przyciągnąłem ją do siebie. Oparła mi głowę na ramieniu i podniosła ku mnie oczy. Siedzieliśmy w milczeniu. Czułem się spokojny i szczęśliwy.

- Danny, o czym myślisz? Uśmiechnąłem się do niej.

- O tym jaki miałem fart - odparłem. - Mam to, co zawsze chciałem mieć.

- Wszystko, Danny?

- Coś koło tego - mruknąłem patrząc jej w oczy. - Czego jeszcze można chcieć? Mam moją dziewczynę i własny dom. Teraz potrzebuję już tylko pracy i nasze życie będzie usłane różami.

Oczy jej spowaźniały.

- A jak to wygląda? Znalazłeś coś? Potrząsnąłem głową.

- Na razie jeszcze nic nie wiadomo, kochanie - odparłem lekko. - Ale w końcu wyszedłem z domu po południu i byłem tylko w paru miejscach. Będę wiedział więcej, kiedy pójdę rano.

Na jej twarzy ukazał się wyraz zatroskania.

- Gazety piszą, że jest większe bezrobocie niż kie-dykowiek.

- Gazety - zakpiłem - napiszą wszystko, co można opatrzyć wielkim nagłówkiem.

- Ale spójrz na tych wszystkich ludzi, którzy są na zasiłku. To musi coś znaczyć.

- Oczywiście, że tak - popatrzyłem na nią z pewnością siebie. - Ci ludzie po prostu nie chcą pracować. Możesz dostać robotę, jeżeli tego naprawdę chcesz. Ja chcę. I znajdę pracę.

- Ależ, Danny - odezwała się - nie wszyscy z nich to obiboki.

- Posłuchaj, Nellie - powiedziałem. - Tylko obiboki idą na zasiłek. Nie ja. Nigdy nie będziemy żyć z zasiłku.

Przez chwilę siedziała cicho, potem znowu zwróciła ku mnie twarz.

- A co będzie, jeżeli przez jakiś czas nie znajdziesz pracy? Uśmiechnąłem się do niej.

- Poradzimy sobie. Nie musimy się tym przejmować. Ty jeszcze pracujesz.

- Jeśli nie będę mogła, jeśli będę musiała przestać? - Zarumieniła się lekko i odwróciła wzrok. - A jeśli zajdę w ciążę?

- Nie musisz - powiedziałem bez ogródek. - Są sposoby, żeby temu zapobiec.

Rumieniec zniknął nagle z jej twarzy, stała się blada i pełna niepokoju.

- Katolicy tego nie robią. To grzech - wyjaśniła patrząc w podłogę.

- Co wobec tego robią? - zapytałem. - Nie możesz chodzić bez przerwy w ciąży.

- Są bezpieczne dni - nie patrzyła mi w oczy. Zaczynałem odczuwać lekkie zażenowanie. Musiałem się jeszcze wiele nauczyć.

- A co będzie, jeżeli zrobimy to innego dnia? - spytałem zaciekawiony.

Nadal unikała mojego wzroku.

- Nie zrobimy. Nie pozwalam ci na to.

- Brednie - powiedziałem stanowczo. - Będziemy robili tak jak wszyscy.

Usłyszałem, że pociąga nosem.

- Chryste! - krzyknąłem. - Dlaczego płaczesz? Nie powiedziałem nic takiego!

Zarzuciła mi ramiona na szyję i przycisnęła policzek do mojej twarzy. - Nie mogę tego robić, Danny! - płakała. - Nie mogę tego robić. I tak już tyle nagrzeszyłam. Nie mogę wciąż grzeszyć.

Przytuliłem ją mocno. Była sztywna z przerażenia, którego nie rozumiałem. Wizyta księdza, mimo że Nellie stawiała mu czoło, niewątpliwie schrzaniła parę spraw.

- No, dobrze, Nellie, dobrze - odezwałem się łagodząco. - Będziemy robili tak, jak chcesz.

Łzy obeschły i uśmiechnęła się promiennie.

- Och, Danny! - wykrzyknęła, obsypując moją twarz szybkimi pocałunkami. - Jesteś dla mnie taki dobry! Kocham cię!

- Ja też cię kocham, malutka - powiedziałem, uśmiechając się do niej. - Ale czy to bezpieczne?

Księga czwarta
Wszystkie dni mojego życia

1

Minęła dział z kosmetykami, przeszła wzdłuż lady do mojego stanowiska i wdrapała się na stołek. Wierciła się na nim przez chwilę starając się wyeksponować piersi nad kontuarem. Kątem oka obserwowałem Jacka, mojego szefa, który nie spuszczał z niej wzroku. Nie mogłem go za to winić. Miała czym oddychać.

Wytarłem twarz zimnym ręcznikiem i dopiero wtedy zająłem się dziewczyną. Była to jedna z tych gorących, parnych nocy, które trafiają się w Nowym Jorku we wrześniu, kiedy resztki lata toczą swą przegraną walkę.

Pochyliłem się nad ladą z uśmiechem.

- Słucham, panienko? - zapytałem sprawdzając czas na zegarze ściennym za jej plecami.

- Mała cola z cytryną, Danny. - Kiedy odwzajemniała mi uśmiech, jej wzrok był tak ociążały i namiętny, jakby brała mnie do łóżka.

- Służę, panienko - odparłem równie seksownym głosem. Nie odwracając się sięgnąłem po szklanke. Jej uśmiech nabrał ciepła i jeszcze większej głębi.

Wsadziłem szklanke pod kurek i pociągnąłem za rączkę dystrybutora. Siknął brązowy syrop, podsunąłem szklanke pod kurek z wodą sodową, cofając nadgarstkiem rączkę na miejsce. Potem wcisnąłem do szklanki pół ćwiartki cytryny i roz-bełtałem to wszystko łyżeczką.

Kiedy stawiałem przed nią colę, trzymała w ustach nie zapalonego papierosa. Chwyciłem zapalki, nim zdążyła sama

zapalić. Tańczące światełka migotały w jej oczach, gdy podawałem jej ogień.

- Dzięki, Danny - rzuciła mi płomienne spojrzenie.

- Nie ma za co - odparłem podając jej słomkę. Delikatnie wyjęła mi ją z ręki i powoli mieszała napój.

- To nonsens, że w metrze nie można się napić coli w takie noce jak ta - stwierdziła, zanim pociągnęła ze szklanki.

Uśmiechnąłem się do niej szeroko.

- Wcale by mi się to nie podobało - powiedziałem nadużywając południowego akcentu. Wszystkich sprzedawców wody sodowej uważało się za Południowców. - Wtedy w ogóle bym cię nie oglądał.

Obdarzyła mnie wdzięcznym spojrzeniem i wyeksponowała biust. Zanim odszedłem do Jacka, podniosłem oba kciuki w geście uznania dla jej klatki piersiowej, czekała na to.

To wszystko było częścią gry. Dzieciaki, które siadywały po drugiej stronie lady, wyraźnie tego oczekiwały. To było ich zadośćuczynienie za życie, jakie przypadło im w udziale. Romans przy stoisku z wodą sodową. Naprawdę tanio, za dziesięciocentową colę.

- Już po pierwszej, Jack - powiedziałem. - Posprzątać? Jack podniósł wzrok znad kasy i spojrzał na zegar. Skinął głową rzucając okiem na dziewczynę.

- Oj, Danny - powiedział szczerząc zęby. - One się chyba łapią na te twoje jasne włosy i niebieskie oczy.

Machnąłem skromnie ręką.

- Bzdura! - odparłem. - To ten mój wygląd rasowego, krzepkiego Amerykanina.

Potrząsnął głową.

- Nie wiem, w czym rzecz, ale z pięciu sztuk, które tutaj wchodzi, cztery mnie omijają i siadają przy tobie. I te wszystkie „Och, przestań!”, których się nasłuchasz. Człowieku, ja bym się chyba pochorował!

Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

- Nie bądź zazdrosny, Jack. Może i przyciągam panienki, ale tylko ty na tym zarabiasz.

- Naprawdę, Danny? - zapytał. - Nigdy się z nimi nie zadajesz? Ani trochę?

- Znasz mnie, Jack. Mąż i ojciec nie ma już czasu na skoki w bok, a że nie mam czasu, nie mam także pieniędzy. Sprawdziłem w lustrze panienkę przy ladzie. Uśmiechnęła się, a ja odpowiedziałem jej tym samym.

- A przede wszystkim trzymaj się z dala od tych kurczacz-ków. Wszystkie mają legitymacje związku zawodowego ptasząt i wystarczy, że podniesiesz palec, a narobią wrzasku.

Znowu pokazał zęby w uśmiechu.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo - powiedział przyjaźnie. - Ale możesz już sprzątać.

Wróciwszy na swoje miejsce, wypisałem kwitek dla dziewczyny. Położyłem go przed nią na ladzie w momencie, kiedy kończyła pić.

- Dziękuję, panienko.

Kiedy gramoliła się ze stołka, wsunąłem do kieszeni pięcio-eentówkę, którą mi zostawiła. Była pierwsza piętnaście, nie potrzebowałem zegarka, żeby mi o tym powiedział. Byłem wykończony. Czułem zmęczenie w nogach, a po nieprzerwanych siedmiu godzinach i piętnastu minutach stania, od szóstej po południu do pierwszej w nocy, bolały mnie plecy.

Ale, do pioruna, powiedziałem sobie zamykając dystrybutory, to była praca, a pracę niełatwo było znaleźć jesienią 1939 roku, nawet przy toczącej się w Europie wojnie. Dobrze o tym wiedziałem; szukałem jej dostatecznie długo. A dokładnie - prawie trzy lata. Rzecz jasna, miewałem różne posady, ale jakoś się mnie nie trzymały. Coś zawsze nawalało i lądowałem z powrotem na bruku. Nie było tak źle, dopóki Nellie pracowała. Jakoś dawaliśmy sobie radę. Ale kiedy pojawiła się Vickie, sytuacja trochę się zmieniła. Rzucaliśmy się głową naprzód w coś, co piętrzyli przed nami ekonomiści i czasy, w których żyliśmy.

Pamiętam dzień, kiedy Nellie przyszła z pracy i powiedziała, że będziemy mieli dziecko. Musiałem zrobić zabawną minę, bo wyciągnęła rękę i dotknęła mojego ramienia.

- Danny, nie wyglądasz na zadowolonego - stwierdziła, a ból już czał się w jej czarnych oczach.

- Jestem bardzo zadowolony - odparłem lakonicznie. Przysunęła się bliżej. - Więc o co chodzi?

- Zastanawiałem się, z czego będziemy robili forszę.

- Dostaniesz pracę - powiedziała. - Taka sytuacja nie może trwać wiecznie.

Odwrociłem się od niej i zapaliłem papierosa.

- Sam sobie to powtarzam - mruknąłem.

Odwrociła mnie twarzą ku sobie. Ból w jej twarzy sięgał już głębiej, obejmując nie tylko oczy.

- Nie cieszysz się, że będziemy mieli dziecko - stwierdziła oskarżycielsko.

- Czemu nie miałbym się cieszyć? - spytałem wypuszczając nosem dym. - Zaraz pójde potańczyć na ulicy. To bomba. Jak tak dalej pójdzie, właśnie tam wylądujemy. Na ulicy. Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy.

Spuściła oczy.

- To nie moja wina, Danny - szepnęła przepraszająco. - Ja... Po prostu się zdarzyło...

- Jasne, po prostu się zdarzyło. Istnieją tysiące sposobów na to, żeby takie rzeczy się nie zdarzały, ale moja żona w nie nie wierzy, moja żona musi wierzyć w jakieś bzdurne teorie. Musi...

- Danny!

Urwałem i spojrzałem na nią. Oczy miała pełne łez. W milczeniu zaciągnąłem się papierosem.

- Danny, czy ty nie chcesz dziecka? - zapytała żałośnie przez łzy.

Ból w jej głosie przeniknął mnie całego i zranił w serce. Przyciągnąłem ją do siebie szorstko.

- Przepraszam, Nellie - powiedziałem szybko. - Oczywiście, że chcę. Po prostu jestem zmartwiony. Dzieci kosztują, a forsa to coś, czego nie mamy.

Uśmiechnęła się przez łzy drżącymi wargami.

- Dzieci nie potrzebują tak wiele - szepnęła. - Potrzebują jedynie miłości.

Ale nie było to wcale takie proste. One też potrzebowały paru zielonych. Pamiętam dzień, w którym skończył się ostatni dolar z naszych oszczędności i pojechaliśmy do centrum, do biura opieki społecznej, żeby złożyć podanie o zasiłek. Wzrok jakim obrzucił nas urzędnik, najpierw mnie, potem Nellie z wielkim brzuchem, pytał wprost, jakim prawem płodzimy dzieci, skoro nie potrafimy zatroszczyć się

o siebie samych. Musieliśmy wypełnić tasiemcowy kwestionariusz a inspektorzy społeczni zaczęli składać nam wizyty o każdej porze dnia i nocy. I te nie kończące się inspekcje, dopóki nie zniknął ostatni skrawek naszego prywatnego życia, który moglibyśmy nazwać własnym.

Pamiętam chwilę, kiedy otrzymaliśmy pierwszy czek. Przyniosła go gruba kobieta ubrana w stare futro.

- Pieniądze są na jedzenie i inne wydatki pierwszej potrzeby - powiedziała, kiedy brałem od niej czek.

Skinąłem głową nie patrząc jej w oczy.

- Jeżeli dotrą do nas informacje - kontynuowała monotonnym, ostrzegawczym tonem - że wydajecie chociaż część tych pieniędzy na whisky, hazard albo jakikolwiek inny cel, niezgodny z ich przeznaczeniem, następne czeki zostaną natychmiast wstrzymane.

Czułem jak palą mnie policzki, ale nie podniosłem oczu. Miałem wrażenie, że już nigdy nie będę mógł spojrzeć nikomu w twarz.

To było, zanim urodziła się Vickie. Po raz pierwszy zobaczyłem ją w szpitalu miejskim, kiedy pielęgniarka pozwoliła mi zerknąć przez oszklone drzwi. Vickie, moja córka, moje dziecko! Malutka, różowa, z jasnymi włosami takimi jak moje. Myślałem, że pęknę z dumy. Wiedziałem już, że nie uczyniłem nic złego, nic, czego musiałbym się wstydzić. Samo stanie tam i patrzenie na nią było warte każdego upokorzenia, każdego bólu.

Potem pielęgniarka pozwoliła mi zobaczyć Nellie. Leżała na czwartym piętrze, w małej salce wraz z siedmioma innymi położnicami. Patrzyła, jak podchodzę do jej łóżka, oczy miała szeroko otwarte i nieruchome. Nic nie powiedziałem. Żadne słowa nie przychodziły mi na myśl. Pocałowałem ją w usta przyciskając dłonią jej ramię. Kiedy podniosła na mnie wzrok, zobaczyłem na jej szyi pulsującą niebieską żyłkę. Nellie wyglądała na bardzo zmęczoną.

- To dziewczynka - powiedziała. Skinąłem głową.

- Ale ma twoje włosy - dodała szybko.

- I twoje oczy, i twoją twarz - powiedziałem pospiesznie. - Widziałem ją. Jest piękna.

Wtedy Nellie się uśmiechnęła.

- Nie jesteś rozczarowany? - spytała cichutko. Potrząsnąłem gwałtownie głową.

- Jest dokładnie taka, jaką chciałem mieć - stwierdziłem stanowczo. - Wykapana mamusia.

Zjawiała się pielęgniarka. - Lepiej niech pan już idzie, panie Fisher - powiedziała.

Jeszcze raz pocałowałem Nellie i wyszedłem z sali. Pojechałem do domu i spędziłem niespokojną noc w pustym mieszkaniu. Wczesnym rankiem wyszedłem szukać pracy.

Jak zwykle nic nie było. W końcu oszalały ze strachu, że nie będę mógł utrzymać swojego dziecka, postanowiłem zobaczyć, czy Sam nie mógłby mi pomóc.

Pamiętam, jak prawie przez godzinę stałem na ulicy przed Empire State Building, gdzie Sam miał swoje biuro i zbierałem się na odwagę. Potem wszedłem do środka i pojechałem windą na górę.

Recepcjonistka nie pozwoliła mi wejść. Nie chciał mnie widzieć. Zjechałem na dół do budki telefonicznej i zadzwoniłem. Odezwał się opryskliwie. Już jego pierwsze słowa sprawiły, że ogarnął mnie chłód i rzuciłem słuchawkę na widełki z uczuciem mdłości, a to co powiedział wciąż dźwięczało mi w uszach:

- O co chodzi, chłopcze? Szukasz następnej jałmużny? Dopiero wtedy zrozumiałem, że zamknęły się za mną wszystkie drzwi. Nie było człowieka, do którego mógłbym się zwrócić. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

Nellie wróciła z dzieckiem do domu i minęło prawie całe lato, zanim coś znalazłem. Było to zaledwie parę tygodni temu i nie dawało nawet tyle, żeby wyżyć. Nocna praca, ale ja tak rozpaczliwie potrzebowałem zajęcia, że chwyciłem się jej jak tonący brzytwy. Sprzedawca w stoisku z zimnymi napojami, sześć dolców tygodniowo plus napiwki. Gdybym mógł utrzymać to w tajemnicy przed tymi od zasiłków, poradzilibyśmy sobie, a te parę dodatkowych dolców stanowiłoby wielkie ułatwienie. Siedemdziesiąt dwa dolary miesięcznie, które wydzielali, nie starczały na długo.

Wyłączyłem ostatni dystrybutor i spojrzałem na zegar. Wpół do trzeciej. Zdjąłem fartuch i wepchnąłem go pod ladę, gdzie będę mógł go znaleźć jutro wieczorem. Jeżeli pospieszę się do metra, wrócę do domu o trzeciej. W ten sposób złapię chociaż parę godzin snu przed wizytą inspektorki. Zazwyczaj przychodziła do nas o siódmej.

2

Siedząc przy stole i słuchając nosowego, monotonnego głosu panny Snyder z trudem powstrzymałem się, żeby nie zasnąć. Panna Snyder była inspektorem społecznym odpowiedzialnym za nasz przypadek. Należała do ludzi, którzy znają się na wszystkim. W tej chwili instruowała Nellie, jak robić bezmięсны sos do spaghetti.

- Myślę, że to wspaniałe, prawda Danny?

Głos Nellie sprawił, że natychmiast otworzyłem oczy.

- Co? - wyjąkałem. - A tak, oczywiście.

- Nawet pan nie słuchał, panie Fisher - skarciła mnie zimno panna Snyder.

- Ależ słuchałem, panno Snyder - powiedziałem prędko.

- Słyszałem każde pani słowo.

Spojrzała na mnie ostro przez szkła w cienkich metalowych oprawkach.

- Wygląda pan na bardzo zmęczonego, panie Fisher

- stwierdziła podejrzliwie. - Poszedł pan późno spać? Byłem już zupełnie rozbudzony.

- Nie, panno Snyder - pospieszyłem rozwiać jej podejrzenia. - Poszedłem wcześniej spać, ale nie mogłem zasnąć.

Byłem bardzo niespokojny.

Zwróciła się ponownie do Nellie. Było jasne, że nie zrobiłem na niej wrażenia.

- A jak ma się mała, pani Fisher? - zapytała gruchające

- Chciałaby ją pani zobaczyć, panno Snyder?

Nellie była już na nogach. Uśmiechnąłem się do siebie. Nellie wiedziała, jak sobie z nią poradzić. Panna Snyder była niezamężna i miała hopla na punkcie dzieci. Teraz mogłem

usnąć, choćby chrapać przy stole, a ona nawet by tego nie zauważyła.

Odczekałem, aż panna Snyder wyjdzie, po czym po omacku dobrnąłem do łóżka. Nie raczyłem nawet ściągnąć spodni.

Obudziłem się z uczuciem, że jestem w domu sam. Obróciłem głowę, żeby spojrzeć na stojący na nocnym stoliku zegarek.

Było południe. Błysnęła ku mnie, oparta o zegarek, biała kartka papieru. Od Nellie.

Poszłam zrealizować czek, zapłacić rachunki i coś kupić. Wzięłam Vickie, żebyś mógł trochę pospać. Kawa na piecyku. Wrócimy o trzeciej.

Wygramoliłem się z łóżka, przeciągając ramiona. Kości trzasnęły z wdzięcznością. Poszedłem do łazienki i rozsmarowując na twarzy krem do golenia, gapilem się na siebie w lustrze. Wyglądałem na zmęczonego i starszego niż byłem. Skóra pod oczyma była sucha i napięta, w kącikach ust pojawiły się drobne bruzdy. Wziąłem głęboki oddech i zacząłem mydlić twarz. Poczułem się lepiej, kiedy zniknęła pod puszystą bielą.

Klucz zgrzytnął w zamku w momencie, kiedy skończyłem golenie. Odłożyłem żyletkę i poszedłem do drzwi. Stała w nich Nellie, z Vickie na jednym ręku i torbą z zakupami na drugim. Wziąłem od niej dziecko i wróciłem do kuchni.

Nellie szła za mną.

- Zapłaciłam rzeźnikowi i w spożywczym - powiedziała kładąc torbę na stole - i po opłaceniu czynszu, gazu i elektryczności zostało mi sześć dolarów.

- Nieźle - powiedziałem.

Vickie wydawała się dziwnie cicha. Zazwyczaj, kiedy trzymałem ją na rękach, wierciła się gotowa do zabawy.

- Co jej się stało?

Nellie rzuciła na nią okiem.

- Nie wiem - odparła z niepokojem. - Jest taka od rana. W sklepie zaczęła płakać. Dlatego tak wcześnie wróciłam.

Uniosłem małą w górę na wyciągniętych ramionach.

- Co się stało z moją dziewczynką? - zanuciłem, podrzucając ją lekko i czekając, aż zacznie gruchać ze szczęścia, jak zawsze, kiedy trzymałem ją nad głową.

Zamiast tego rozplakała się. Jej głośny krzyk wypełnił kuchnię. Odwróciłem się ku Nellie. Nigdy nie wiedziałem co robić, kiedy mała zaczynała płakać, wydawało mi się wtedy, że mam dwie lewe ręce.

- Lepiej położę ją do łóżka - powiedziała praktycznie Nellie, zabierając ode mnie Vickie. - Może jak się prześpi, to jej przejdzie.

Poszła z małą do sypialni, a ja usiadłem przy stole i naląłem sobie kawy. Leniwie przeglądałem gazetę. Był w niej artykuł o tym, że zakład opieki społecznej sprawdza ludzi podejrzanych o wyłudzenie zasiłku. Pokazałem go Nellie, kiedy wróciła do kuchni.

Spojrzała na mnie niepewnie. - Sądzisz, że panna Snyder coś podejrzewa?

Wzruszyłem ramionami. - Nie widzę powodu. Zawsze, kiedy przychodzi, jestem w domu.

- Może któryś z sąsiadów coś zauważył i jej powiedział.

- Na pewno nie. Mają dość własnych kłopotów.

- A jednak zachowywała się dziwnie dzisiaj rano. Jakby coś wiedziała.

- Daj spokój - powiedziałem tonem, w którym było więcej pewności niż w istocie czułem. - Nic nie wie.

Vickie znowu zaczęła płakać. Nagle, gdzieś w trakcie tego płaczu pojawił się ciężki, głęboki kaszel. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, potem Nellie zerwała się i pobiegła do sypialni. Podążyłem za nią. Kiedy wszedłem do pokoju, trzymała już dziecko na rękach poklepując je delikatnie po plecach. Kaszel ustał. Nellie spojrzała na mnie szeroko otwartymi, przerażonymi oczyma.

- Jest taka rozpalona, Danny.

Dotknąłem lekko czołka Vickie. Było gorące i wilgotne. Chyba ma trochę temperatury.

- Kaszłała w nocy - powiedziała Nellie. - Może zaraziła się ode mnie przeziębieniem?

Nie pomyślałem o tym. Nellie kurowała się już od tygodnia.

- Trzeba wezwać lekarza - powiedziałem.

Dziecko znowu zaczęło płakać. Popatrzyliśmy na siebie bezradnie. Nellie spojrzała na małą, potem znowu na mnie.

- Chyba powinniśmy - zgodziła się. - Książeczka zdrowia jest na półce w kuchni.

- Zadzwoń do niego z budki w holu.

Lekarz odwrócił się od małej i skinął na Nellie.

- Niech mąż położy dziecko do kołyski, a ja tymczasem obejrzę panią - powiedział.

- Nic jej nie jest? - zapytała Nellie niepewnie.

Kładąc Vickie, kątem oka widziałem, jak lekarz kiwa głową.

- Ma infekcję, która wydaje się być usytuowana w gardle. Dam pani coś na to - w ręku trzymał szpatułkę do badania gardła. - Proszę otworzyć usta i powiedzieć: aa.

Nellie otworzyła usta i lekarz przytrzymał jej język drewnianą szpatułką. Zakrztusiła się i rozkaszała.

Szybko wyjął drewnienko i poczekał, aż atak przejdzie, potem sięgnął do torby po termometr.

- No i co? - spytała.

- Niech się pani nie martwi, pani Fisher - powiedział.

- Zmierzymy temperaturę.

Włożył jej w usta termometr, wyjął bloczek recept i zaczął pisać. Kiedy skończyłem przykrywać Vickie zapytał:

- Ma pan numer swojej sprawy?

- Jest w kuchni - powiedziałem szybko. - Zaraz przyniosę. Kiedy wróciłem do pokoju, oglądał termometr wyjęty z ust

Nellie. - Pani też ma podwyższoną temperaturę - stwierdził.

- Wiedziała pani o tym? Potrząsnęła głową.

- Proszę na parę dni położyć się do łóżka - powiedział.

- Ale panie doktorze - zaprotestowała. - Jeszcze nie wiem co z Vickie!

Spojrzał na nią zniecierpliwiony.

- Obie macie to samo. Zaczerwienione gardło i przeziębienie. Dam pani recepty, jedną dla pani, drugą dla małej.

Proszę stosować się do moich zaleceń, a obie będziecie zdrowe.

- Sądzi pan, że mogła zarazić się ode mnie? - spytała Nellie z niepokojem.

- Nie wiem, kto się od kogo zaraził, proszę tylko zażywać lekarstwa i dobrze się okryć. Wpadnę jutro, żeby rzucić na panią okiem - podał jej recepty i zwrócił się do mnie. - Ma pan ten numer?

W milczeniu podałem mu białą kartę wydaną przez zakład opieki społecznej. Uprawniała do wezwania pomocy lekarskiej na ich rachunek. Doktor nabazgrał coś szybko w notatniku. Było jasne, że wyczerpaliśmy już limit czasu, który mógł nam poświęcić za sumę dwóch dolarów, które płaciła mu opieka społeczna. Skończywszy pisać wręczył mi kartę i świstek papieru.

- Należy to dać inspektorowi przy jego najbliższej wizycie

- powiedział obcesowo i spakował torbę.

Spojrzałem na kartkę. Była to informacja o wezwaniu pomocy lekarskiej. - Dobrze, panie doktorze - powiedziałem. Był już przy drzwiach.

- I proszę robić to, co powiedziałem - dorzucił ostrzegawczo wychodząc. - Żona niech leży w łóżku i bierze lekarstwa według wskazań na opakowaniu. Przyjdę jutro.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem i Nellie spojrzała na mnie. Gapilem się na nią przez chwilę, czując w gardle narastający gniew. Ze złością zmiąłem w rękę kartkę.

- Skurwysyn - zakląłem z pasją. - Lata za forszą, ot co. Zbyt zajęty, żeby z tobą porozmawiać, ponieważ żyjesz z zasiłku. Założę się, że dla innych pacjentów jest miłszy!

Nellie zaczęła kaszleć.

- No cóż, nic nie możemy na to poradzić - wykrztusiła.

- I tak dobrze, że się pofatygował. Wielu z nich w ogóle nie przychodzi, kiedy dowiadują się, kto płaci.

Nadal byłem wściekły.

- Ale nie musi traktować nas jak gówno. Wróciła do łóżka i usiadła na nim ciężko.

- Powinieneś już wiedzieć, Danny, jacy są ludzie - powiedziała ze znużeniem.

Cierpliwość malująca się na jej twarzy sprawiła, że zawstydzilem się swojego wybuchu. Miała rację. Jeżeli dotąd nie poznałem zasad gry, nie poznam ich już nigdy. Podszedłem do niej szybko i wziąłem ją za rękę.

- Daj mi recepty - powiedziałem. - Wykupię je w aptece na dole. Chyba zostanę dzisiaj w domu.

Pokręciła głową.

- Nie, Danny. Tylko wykup lekarstwa. Potem możesz iść do pracy. Potrzebujemy pieniędzy.

- Ale lekarz kazał ci zostać w łóżku - zaprotestowałem.

- Zawsze to mówią, ale kto słyszał, aby się kłaść do łóżka z takim parszywym, małym zaziębieniem. Idź do pracy. Dam sobie radę do twojego powrotu.

3

Wbiegłem na schody i stanąłem przed drzwiami mieszkania. Wkładając klucz do zamka słyszałem jak Nellie kaszle.

Snop światła padający z sypialni poraził mi oczy. Zamknąłem szybko drzwi i pobiegłem tam.

- Nie śpisz, Nellie? - zawołałem. Stanąłem w drzwiach. Nellie podnosiła się właśnie znad kołyski.

- Danny! - zawołała. Pokonałem pokój jednym susem.

- Co się stało? Złapała mnie za kurtkę.

- Musisz coś zrobić! - powiedziała nie przestając kaszleć.

- Vickie jest cała rozpalona!

Pochyliłem się nad kołyską dotykając czoła małej. Było gorące. Spojrzałem na Nellie.

- Ma czterdzieści stopni - głos jej drżał.

Jej rozpalone gorączką oczy wyglądały jak ciemne sadzawki. Spróbowałem nadać głosowi spokojne brzmienie.

- Nie wpadaj w panikę - powiedziałem szybko. - Dzieciom często skacze temperatura. Sama wyglądasz na chorą.

- Nie martw się o mnie - odparła z nutą hysterii w głosie.

- Musimy coś zrobić z Vickie! Chwyciłem ją szorstko za ramiona.

- Nellie! - powiedziałem z naciskiem, żeby do niej dotarło.

- Uspokój się! Zbiegnę na dół do telefonu i zadzwonię po lekarza. Wrócę za minutę!

Płakała teraz i łzy spływały jej po policzkach.

- Tak, Danny, tak! - Odwróciła się i wygładziła kołderkę na Vickie. - Pospiesz się, Danny. Ona płonie!

Obracająca się tarcza telefonu wypełniała pogrążony w nocnej ciszy hol głośnym grzechotem. Usłyszałem brzdęk, a potem sygnał po drugiej stronie linii. Telefon dzwonił przez kilkanaście sekund, zanim ktoś podniósł słuchawkę.

Odezwał się zaspany męski głos.

- Tak?

- Czy to doktor Adams? - zapytałem.

- Przy telefonie - odpowiedział.

- Mówi Danny Fisher - powiedziałem szybko. - Był pan dzisiaj u mojego dziecka.

- Tak, panie Fisher. Pamiętam - głos był lekko poirytowany.

- Myślę, że powinien pan zaraz przyjść, doktorze. Gorączka skoczyła do czterdziestu stopni i dziecko jest strasznie rozpalone.

Głos dochodził wolno z drugiego końca linii. - Czy ona śpi?

- Tak, panie doktorze - odparłem. - Ale nie podoba mi się jej wygląd; jest cała czerwona i strasznie się poci. Moja żona też. Musi mieć dużo wyższą temperaturę.

Wahał się przez chwilę, zanim się znowu odezwał.

- Wzięły lekarstwa, które przepisałem?

- Tak, panie doktorze.

- Więc niech się pan przestanie denerwować, panie Fisher. Bezosobowy głos lekarza niósł profesjonalną pociechę i nie

przekonał mnie w najmniejszym stopniu. - To normalne, że przy tak silnym przeziębieniu gorączka w nocy wzrasta.

Proszę dać im obu coś ciepłego do picia i dobrze je okryć. Na pewno poczują się lepiej, a ja rano przyjdę.

- Ale, panie do... - zacząłem protestować.

- Proszę po prostu zrobić tak, jak panu mówię, panie Fisher

- w głosie lekarza zabrzmiała nuta nieodwracalnej decyzji podkreślona odłożeniem słuchawki.

Gapilem się na martwy telefon uświadamiając sobie, że tamten się rozłączył. Z pasją rzuciłem słuchawkę na widełki.

Kiedy wróciłem do mieszkania, Nellie spojrzała na mnie rozszerzonymi oczyma.

- Przyjdzie? - zapytała niespokojnie.

- Nie - powiedziałem starając się, żeby mój głos brzmiał niefrasobliwie. Nie chciałem, żeby martwiła się jeszcze bardziej. - Powiedział, że to nic takiego. Normalne objawy. Kazał dać wam czegoś ciepłego do picia i dobrze was przykryć.

- Myślisz, że to wystarczy? - Była zdenerwowana. Uśmiechnąłem się do niej z pewnością siebie, której nie czułem.

- Oczywiście. W końcu jest lekarzem, prawda? Wie co mówi - zaprowadziłem ją łagodnie do łóżka. - Połóż się teraz, a ja zrobię ci gorącej herbaty. Sama nie czujesz się najlepiej i wszystko wydaje ci się gorsze, niż jest w rzeczywistości.

Posłusznie położyła się do łóżka.

- Zrób najpierw butelkę dla Vickie.

- Oczywiście, Nellie, oczywiście. Przykryj się teraz i rozgrzej.

Ostrożnie zaniósłem herbatę do sypialni i usiadłem na brzegu łóżka.

- No dalej - powiedziałem łagodnie. - Wypij to. Dobrze ci zrobi.

Wzięła ode mnie filiżankę i podniosła ją wolno do ust. Widziałem niemal jak ciepło rozchodzi się po jej ciele.

- Dobrze - powiedziała. Uśmiechnąłem się do niej.

- Oczywiście, że dobre. Spójrz tylko kto ją zrobił. Danny z „Waldorf Astorii”!

Uśmiechnęła się do mnie blado, podnosząc znowu filiżankę do ust. - Zobacz, co z Vickie - poleciała mi.

Pochyliłem się nad kołyską. Dziecko spało spokojnie.

- Śpi jak aniołek - powiedziałem.

Wypiwszy herbatę Nellie oddała mi filiżankę i położyła głowę na poduszce, jej czarne włosy rozsypały się na białej poszewce.

- Kochanie - odezwałem się ze zdziwieniem. - Prawie zapomniałem, jaka jesteś piękna.

Uśmiechnęła się do mnie sennie. Widziałem, że jest bardzo zmęczona.

- Nocna praca zdaje się dobrze wpływać na twój wzrok - próbowała zażartować.

Zgasilem światło.

- Śpij, dziecinko - szepnąłem i pochyliwszy się nad nią pocałowałem ją w czoło. - Teraz już wszystko będzie dobrze.

Wróciłem do kuchni i umyłem filiżankę. Usiadłem przy kuchennym stole i zapalałem właśnie papierosa, kiedy wpadło mi w ucho kwilenie dziecka. Rzuciłem fajkę do zlewu i pośpieszyłem do sypialni.

Vickie kaszłała. Urywany kaszel rzeził głęboko w jej piersiach. Podniosłem ją szybko otuloną w kocyk i klepałem lekko po plecach, dopóki kaszel nie ustał.

Nellie spała krańcowo wyczerpana. Ucieszyłem się, że Vickie jej nie obudziła. Dotknąłem palcami twarzy dziecka.

Była nadal gorąca i czuło się, że ma wysoką temperaturę. Jej główka opadła mi na ramię. Spała. Ostrożnie położyłem ją z powrotem do kołyski i przykryłem kołderką.

- Tatusz za chwilę przyjdzie - szepnąłem. Wróciłem szybko do kuchni i puściłem wodę na tłącego się peta. Potem zgasilem światło i po ciemku poszedłem do sypialni. Przysunąłem sobie krzesło do kołyski, usiadłem i sięgnąłem ręką w poszukiwaniu paluszków Vickie.

Jej dłoń zacisnęła się kurczowo wokół mojego wskazującego palca. Siedziałem spokojnie, bojąc się choćby drgnąć, żeby nie zakłócić jej snu.

Za oknem jasno świecił księżyc, a sama noc wydawała się czymś nierealnym, jakby z innego świata. Poczulem jak Vickie się porusza i zajrzałem do kołyski. Spała na boczku. Widziałem w ciemnościach, jak leży zwinięta w kłębuszek wokół mojej ręki. Moja córka, myślałem z dumą. Trzeba było takiego zagrożenia, żeby mi się uświadomił, jak bardzo jest mi droga. Było w niej tyle różności, które przyjmowałem jako coś naturalnego; sposób, w jaki puszczała bąbelki po jedzeniu, wodziła za mną po pokoju niebieskimi ślepkami, śmieszne, malutkie zmarszczki na stopkach.

- Wynagrodzę ci to, że musisz tak żyć, Vickie, maleńka - obiecałem jej. Przestraszył mnie mój własny chrapliwy szept w ciemnościach. Zerknąłem nerwowo w stronę łóżka, jednak Nellie spała. Odwróciłem się z powrotem do kołyski, ale tym razem dopilnowałem, żeby moje poruszające się wargi nie wydały dźwięku.

- Wyzdrowiej, moja malutka - szepnąłem. - Wyzdrowiej i nabieraj sił dla swojego taty. Czeka na ciebie cały wielki świat i twój tatuś chce się nim z tobą podzielić. Jest słońce i księżyc, są gwiazdy, i wiele innych, cudownych rzeczy do oglądania, do słuchania, do wachania. Rośnij duża i silna, abyśmy mogli iść razem ulicą, trzymać się za rękę i czuć pulsowanie krwi w żyłach. Kupię ci mnóstwo rzeczy Vickie - lalki, zabawki, sukienki. Dostaniesz wszystko, czego zapragniesz. Będę harował po dwadzieścia cztery godziny na dobę, żebyś była szczęśliwa. Jesteś moją córeczką i kocham cię.

Poczułem, że znowu się porusza i spojrzałem na nią w ciemności. Byłem dotąd głupcem, że nie rozumiałem, jakim bogactwem mnie obdarzyła. Wbiłem wzrok w sufit nad jej kołyską.

- Proszę cię, Boże! - modliłem się po raz pierwszy od czasów dzieciństwa. - Proszę, pozwól jej wyzdrowieć.

Nellie zakaszłała przez sen i ten dźwięk przerwał panującą ciszę. Usłyszałem jak kręci się niespokojnie na łóżku.

Wstałem z krzesła i spojrzałem na nią. Zsunęły się z niej koce. Przykryłem ją i wróciłem na miejsce przy kołysce.

Noc wydawała się długa i cicha, i zaczynałem przysypiać z głową zwieszoną nad kołyską. Wiele razy zmuszałem się do otwarcia oczu, ale ociężałe ze zmęczenia powieki opierały się wszelkim wysiłkom.

Szarawe światło dnia kładło się na moich powiekach, kiedy usłyszałem daleki, cichy odgłos kaszlu. Otworzyłem oczy i spojrzałem na Vickie.

Zanosila się kaszlem. Podniosłem ją pospiesznie klepiąc po plecach. Nie mogła się uspokoić. Oczy miała mocno zacisnięte, a na czole widać było w świetle poranka drobne kropelki potu. Nagle wydało mi się, że sztywnieje mi w ramionach. Drobne ciało wyprężyło się, twarzyczka nabrała

okropnego sinoniebieskiego koloru. Rozpaczliwie rozwarłem jej usta wargami. Całą mocą płuc tłoczyłem w nią powietrze czując, jak potworny lęk ścina mi krew w żyłach. Próbowałem przelać w nią mój oddech, moje życie, jeszcze długo po tym, kiedy zrozumiałem, że już nigdy nie będę mógł nic dla niej zrobić. Stałem cicho, trzymając przy piersi jej nieruchome ciało, czując jak przenika w nie chłód poranka. To była moja córka. Czulem słoną falę łez napływającą do oczu.

- Danny! - zabrzmiał z łóżka przerażony głos Nellie.

Odwróciłem się, żeby na nią spojrzeć. Wpatrywałem się w nią przez długą, pełną znaczenia chwilę, w której tysiące rzeczy zostało powiedziane pozostając na zawsze w sferze milczenia. Wiedziała. Nie wiem skąd, ale wiedziała przez cały czas. Tego właśnie się bała. Wyciągnęła ramiona po Vickie.

Podszedłem wolno do łóżka i podałem jej nasze dziecko.

Drewniane stopnie skrzypiały nam pod stopami, kiedy powoli wchodziliśmy na górę. Był to znajomy dźwięk, który towarzyszył nam od dawna, ale teraz nie było w nim radości. Odkąd weszliśmy po tych schodach po raz pierwszy, minęły przeszło trzy lata.

Byliśmy wtedy szczęśliwi. Byliśmy młodzi i widzieliśmy życie w jasnych kolorach. Z podświadomości wypłynął obraz chwili, kiedy przenosiłem ją przez próg. Ale nawet mając ten obraz przed oczami widziałem, jak blednie, matowieje z każdą chwilą. To było dawno temu a teraz nie byliśmy już młodzi.

Idąc za nią po schodach, patrzyłem na jej sztywne, wyprostowane plecy. Była silna. Zawsze była silna. Nie było łez, ani żadnej głośniejszej manifestacji rozpacz. Tylko ból w jej ciemnych oczach, bolesny grymas ust mówił mi, co czuje. Stała na naszym piętrze i odwracając się ku drzwiom zachwiała się lekko. Wyciągnąłem szybko rękę bojąc się, by

nie upadła. Odnalazła moją dłoń i uchwyciła się jej kurczowo. Trzymając się za ręce podeszliśmy do drzwi naszego mieszkania i stanęliśmy w milczeniu. Wolną dłonią sięgnąłem do kieszeni po klucz. Nie było go. Musiałem puścić jej rękę, żeby przeszukać drugą kieszeń.

Nie chciałem otwierać tych drzwi i stałem przed nimi z kluczem w ręku. Nie patrzyła na mnie. Wzrok miała wbity w podłogę.

Wsadziłem klucz do zamka i drzwi same otworzyły się szeroko pod dotknięciem ręki. Obejrzałem się na nią zaskoczony.

- Musiałem ich nie zamknąć - powiedziałem.

Wzrok miała nadal utkwiony w podłodze. Mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszałem.

- To nie ma znaczenia - powiedziała. - Nie mamy nic więcej do stracenia.

Przeprowadziłem ją przez próg zamykając za sobą drzwi. Staliśmy niepewnie w małym korytarzyku, bojąc się na siebie spojrzeć, nawet się odezwać. Nie znajdowaliśmy słów. W końcu przerwałem milczenie.

- Daj mi płaszcz, kochanie - powiedziałem. - Powieszę go.

Zrzuciła płaszcz i pozwoliła mi go zabrać. Powiesiłem go w szafie obok swojego. Kiedy się odwróciłem, nadal tam stała, sztywna i nieruchoma. Ująłem ją pod rękę.

- Wejdz do pokoju i usiądź, zrobię ci kawy. Potrząsnęła głową. Głos miała głuchy i znużony.

- Nic nie chcę.

- Usiądź chociaż - nalegałem.

Pozwoliła zaprowadzić się do salonu i posadzić na kanapie. Usiadłem obok niej i zapaliłem papierosa. Patrzyła prosto przed siebie pustym, niewidzącym wzrokiem, chociaż wydawało się, że wygląda przez okno. W pokoju panowała cisza, gęsta, głęboka, nieznaną cisza. Złapałem się na tym, że wsłuchuję się w nią, próbując odnaleźć znajome dźwięki, których źródłem była moja córka, drobne odgłosy bez znaczenia, czasem tak irytujące.

Przymknąłem na chwilę oczy. Zaczynały piec po ciężkim dniu. Dniu, który należało wymazać z pamięci, ukryć, po-

grzebać gdzieś w najgłębszych zakamarkach świadomości i zapomnieć o tej pustce, którą miało się w sobie. Zapomnieć o uroczystej, cichej mszy, o malutkiej białej trumience połyskującej w, łagodnym żółtym blasku świec płonących na ołtarzu. Zapomnieć o metalicznym dźwięku łopat uderzających o ziemię, o gradzie piachu i kamieni spadającym na małą drewnianą skrzynkę. Zapomnieć, zapomnieć, zapomnieć.

Ale jak można zapomnieć?! Jak można zapomnieć o uprzejmości sąsiadów, o ich współczuciu i takcie? Pukaliśmy do ich drzwi i szlochaliśmy w ich kuchniach. Nie mieliśmy pieniędzy i gdyby nie oni, nasze dziecko leżałoby w grobie dla ubogich. Tu pięć dolarów, tam dwa, dziesięć, sześć. W sumie siedemdziesiąt. Na trumnę, mszę, grób, na miejsce spoczynku dla tej cząstki nas samych, której już nie ma. Siedemdziesiąt dolarów wydarte z nędzy ich własnego życia, aby złagodzić naszą gorycz.

Chciałoby się zapomnieć, ale takiego dnia nie da się wymazać z pamięci. Kiedyś jego wspomnienie wyblaknie, ale nigdy nie zostanie zapomniany.

To dziwne, ale nie chce się wymieniać jej imienia, nawet w myślach zamiast imienia mówi się „ona”.

Potrząsnąłem głową próbując odzyskać jasność myślenia. W uszach miałem otępiającą, bolesną watę. Powiedz jej imię - rozkazałem sobie z rozpaczą - powiedz!

Wziąłem głęboki oddech. Płuca mi pękały. „Vickie!” dźwięk eksplodował mi bezgłośnie w uszach. Ale brzmiał triumfalnie. „Vickie!” - jej imię płonęło mi przed oczyma. To było szczęśliwe imię, przepiękne imię do tego, by żyć. Teraz już nie. Ogarnęła mnie rozpacz. Teraz nie pozostało już nic. Tylko „ona”, wiedziałem o tym. Zaciągnąłem się papierosem po raz ostatni i zgasilem niedopałek.

- Może powinnaś się położyć? - zapytałem. Nellie odwróciła wolno głowę w moją stronę.

- Nie jestem zmęczona - odpowiedziała. Wziąłem ją za rękę. Była zimna jak lód.

- Dobrze by ci zrobiło - rzekłem łagodnie.

Rzuciła szybkie spojrzenie na drzwi sypialni, potem na mnie. W oczach miała samotność.

- Danny, ja nie mogę tam wejść. Jej kołyska, zabawki...

- głos jej się załamał.

Wiedziałem dokładnie co czuje. Kiedy się znowu odezwałem, głos mi drżał.

- To już minęło, kochanie - szepnąłem. - Musimy dalej żyć.

Ścisnęła mnie kurczowo za rękę. W jej oczach widać było histerię.

- Po co, Danny, po co? - zawołała.

Musiałem coś odpowiedzieć, chociaż nie miałem pojęcia co.

- Bo musimy - rzekłem słabo. - Bo ona by tego chciała. Wbiła mi paznokcie w dłoń.

- Ona była dzieckiem! Moim dzieckiem! - jej głos załamał się nagle i rozplakała się po raz pierwszy od chwili, kiedy to się stało. - Była moim dzieckiem i chciała tylko jednego

- żyć! A ja ją zawiodłam, skazałam ją! - Ukryła twarz w dłoniach i płakała gorzko.

Niezręcznie otoczyłem ramieniem jej plecy i przyciągnąłem ją do siebie.

- To nie była twoja wina, Nellie. To nie była niczyja wina. To było w ręku Boga - powiedziałem starając się nadać głosowi możliwie jak najbardziej pocieszające brzmienie.

Oczy miała czarne z rozpacz, błyszczały posepnie w bladej twarzy. Potrząsnęła wolno głową.

- Nie, Danny - powiedziała beznadziejnie. - To była moja wina, moja wina od samego początku. Zgrzeszyłam i pozwoliłam, żeby ona stała się częścią mojego grzechu. To ona zapłaciła za mój grzech, nie ja. Powinnam była wiedzieć, że nie mogę być mądrzejsza od Boga.

Kiedy podniosła na mnie oczy, płonął w nich fanatyczny ogień, jakiego nie widziałem nigdy przedtem. -

Zgrzeszyłam i żyłam w grzechu - mówiła dalej tępo. - Nigdy nie prosiłam Boga, by pobłogosławił nasz związek.

Byłam gotowa zadowolić się słowem człowieka. Jak mogłam oczekiwać, że On pobłogosławi moje dziecko? Ojciec Brennan powiedział mi to na samym początku.

- Ojciec Brennan niczego takiego nie powiedział! - zawołałem z rozpaczą. - Dzisiaj w kościele mówił, że Bóg ją

przygarnie. - Ująłem w dłonie i uniosłem ku sobie jej twarz. - Kochamy się. Nadal się kochamy. To wszystko, o co Bóg prosi.

Spojrzała na mnie smutnymi oczyma, dotykając lekko mojej dłoni.

- Biedny Danny - szepnęła miękko. - Ty po prostu nie możesz tego zrozumieć.

Patrzyłem na nią. Miała rację - nie rozumiałem. Prawdziwa miłość była sprawą między ludźmi i Bóg mógł ją tylko pobłogosławić.

- Kocham cię - powiedziałem.

Uśmiechając się łagodnie przez łzy, wstała z kanapy i spojrzała na mnie z politowaniem.

- Biedny Danny - powtórzyła tym samym łagodnym szeptem. - Myślisz, że twoja miłość wystarcza, a nie widzisz, że dla Boga to za mało.

Pocałowałem ją w rękę. - Zawsze nam to wystarczało. W jej oczach pojawił się nieobecny wyraz. Skinęła nieznacznie głową.

- I to było złe, Danny - powiedziała głosem, który zdawał się napływać z daleka. - Ja też myślałam, że to nam wystarczy, ale teraz już wiem, że nie. - Gładziła lekko moją rękę. - Musimy żyć także z Bogiem, nie tylko z sobą.

Poszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Usłyszałem skrzypnięcie łóżka, potem zapadła cisza. Zapaliłem następnego papierosa i odwróciłem się do okna. Zaczynał padać deszcz. Dzień, który należy zapomnieć... Czulem jak wkrada się we mnie cisza.

5

Wpadłem w dziwne otępienie, w dziwny stan pół jawy, pół snu. Zupełnie tak, jakby moje ciało zapadło w sen, a mózg nadal pracował. Straciłem wszelkie poczucie czasu. Pozostały tylko myśli. Nie dokończone, niejasne okruchy wspomnień

przelatywały mi przez głowę, podczas gdy ciało pozostało chłodne i obojętne na ból, który przynosiły. Pewnie dlatego nie usłyszałem dzwonka. To znaczy usłyszałem dźwięk, ale nie skojarzyłem go z niczym. Kiedy odezwał się ponownie, brzmiał już ostrzej i bardziej napastliwie. Zastanawiałem się tępo, kto mógł do nas przyjść. Zadzwonił znowu, tym razem dźwięk przeszył mnie na wskroś. Zerwałem się z fotela. Pamiętam, że idąc do drzwi spojrzałem na zegarek i zdziwiłem się, że była dopiero trzecia. Wydawało mi się, że od rana minął rok.

Otworzyłem drzwi. Stał w nich obcy mężczyzna.

- Czego pan chce? - zapytałem. To była piekielnie nieodpowiednia chwila na użeranie się z domokrażcą.

Nieznajomy wyjął z kieszeni portfel i otworzył mi go przed oczyma. Trzymał go tak, żebym mógł przeczytać przypięty to niego znaczek: Nowojorski Wydział Opieki Społecznej. Inspektor.

- Pan Fisher? - zapytał. Skinąłem głową.

- Jestem John Morgan z Wydziału Opieki Społecznej

- powiedział cicho. - Mógłbym z panem chwilę porozmawiać? Muszę zadać panu parę pytań.

Gapiałem się na niego. To nie był odpowiedni czas na udzielanie odpowiedzi.

- Nie można by tego odłożyć na kiedy indziej, panie Morgan? - zapytałem.

Pokręcił głową.

- Muszę zadać je teraz. - W jego głosie pojawił się nieprzyjemny ton. - Panna Snyder natknęła się na pewne informacje odnośnie pana, które muszą zostać potwierdzone. Dla własnego dobra lepiej będzie, jeśli odpowie pan na nie teraz.

Spojrzałem na niego podejrzliwie.

- Gdzie ona jest? - spytałem.

Teraz w jego głosie brzmiała już nuta zdecydowanej wrogości.

- To nie powinno pana obchodzić, panie Fisher - uciał.

- Ma pan tylko odpowiedzieć na parę pytań.

Facet zaczął mnie denerwować. Odznaka Wydziału

Opieki Społecznej nie czyniła z niego Boga. Rozparłem się zdecydowanie w drzwiach. Nie miałem zamiaru wpuszczać go do środka.

- W porządku - powiedziałem zimno. - Odpowiem na pańskie pytania.

Przez chwilę rozglądał się niepewnie; następnie, najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie wpuszczę go do mieszkania, bo wyjął mały notesik i otworzył go szybkim ruchem. Zajrzał do niego przelotnie i przeniósł wzrok na mnie.

- Dzisiaj rano pochował pan córkę?

Skinąłem głową w milczeniu. Te słowa, sposób w jaki je wypowiedział, chłodno i bezosobowo, sprawiały ból. To była profanacja.

Nabazgrał coś w notatniku. Wszyscy ci inspektorzy byli tacy sami. Wystarczyło dać im notatnik i natychmiast zaczęli w nim skrobać. Gdyby ktoś kiedyś zabrał im te małe książeczki, nie potrafiliby mówić.

- Opłata w zakładzie pogrzebowym łącznie z trumną wyniosła czterdzieści dolarów, opłaty cmentarne dwadzieścia dolarów, w sumie sześćdziesiąt dolarów za pogrzeb. Zgadza się?

- Nie - powiedziałem z goryczą. - Coś pan pominął. Spojrzał ostro. - Co?

- Daliśmy dziesięć papierów na specjalną mszę w kościele Wniebowstąpienia - poinformowałem go zimno. - Całość kosztowała siedemdziesiąt dolarów.

Jego ołówek poskrobał w notatniku. Znowu na mnie spojrzał.

- Skąd wziął pan pieniądze, panie Fisher?

- Nie twój cholerny interes! - rzuciłem. Na jego ustach pojawił się blady uśmiech.

- To jest nasz interes, panie Fisher - odparł paskudnym tonem. - Widzi pan, jest pan na zasiłku. Powinien być pan w nędzy. To znaczy, pomagamy panu, ponieważ nie ma pan pieniędzy. I nagle okazuje się, że ma pan siedemdziesiąt dolarów. Mamy prawo wiedzieć, skąd je pan wziął.

Wbiłem oczy w podłogę. I tu cię gnojki mają. Albo odpowiesz na ich pytania, albo odetną cię od forsy. Mimo to nie mogłem się zdobyć, żeby mu powiedzieć skąd wziąłem forszę. To była sprawa między nami i Vickie. Nikt nie miał

prawa pytać, skąd wzięliśmy pieniądze na pogrzeb naszego dziecka. Nie odpowiedziałem.

- A może zarabiał pan pracując nocami i nie informując nas o tym? - zasugerował gładko triumfalnym tonem. - Chyba nic pan przed nami nie ukrywa, panie Fisher?

Podniosłem wzrok znad podłogi i spojrzałem mu w twarz. Jakim cudem to wyniuchali?

- Skąd te informacje? - spytałem prędko.

Znowu się uśmiechał. Wyglądał, jakby był bardzo z siebie zadowolony.

- Mamy swoje metody wykrywania prawdy - powiedział tajemniczo. - Oszukiwanie nas nie popłaca. Wie pan, panie Fisher, mogą pana zamknąć za coś, takiego. Jest to oszustwo dokonane na szkodę miasta Nowy Jork.

Moje nerwy były na wykończeniu. Miałem dosyć nieszczęść jak na jeden dzień.

- Odkąd to idzie się do pudła za to, że chce się pracować? - wybuchnąłem z wściekłością. - A tak w ogóle, to w co, do cholery, chce mnie pan zrobić?

- W nic, panie Fisher, w nic - odparł gładko. - Usiłuję tylko dojść prawdy, nic więcej.

- Prawda jest taka, że troje ludzi nie może wyżyć z siedemdziesięciu dwóch dolców miesięcznie i przydziału suszonej fasoli i ziemniaków! - Podniosłem głos, rozbrzmiewał echem w wąskim korytarzu. - Albo się próbuje złapać dodatkowego dolca, albo zdycha się z głodu!

- Więc przyznaje pan, że pracował nocami, utrzymując jednocześnie, że jest całkowicie bezrobotny? - zapytał spokojnie.

- Nic nie przyznaję - wrzasnąłem.

- A jednak miał pan siedemdziesiąt dolarów na pochowanie dziecka - stwierdził triumfalnie.

- Tak, pochowałem dziecko! - W gardle czułem dławiący mnie supeł. - Tylko tyle mogłem dla niej zrobić. Myśli pan, że gdybym miał forszę, czekałbym na przyjście tego waszego konowala? Gdybym w ogóle miał jakąś forszę, wezwałbym innego lekarza. Może by jeszcze żyła!

Lustrował mnie chłodnym wzrokiem. Nie wiedziałem, że człowiek może być tak zupełnie pozbawiony ludzkich uczuć.

- Więc pracował pan nocami? - zapytał znowu.

Nagle gdzieś w głębi mojego ciała eksplodowały nagromadzone tam ból, gorycz i rozpacz, chwyciłem faceta za krawat i przyciągnąłem do siebie. Miałem jego twarz tuż przy swojej.

- Tak, pracowałem nocami! - krzyknąłem. Zbladł i wił się w moim uścisku.

- Niech pan mnie puści, panie Fisher - wysapał. - Przemoc nic panu nie pomoże. Ma pan wystarczająco dużo kłopotów.

Nie wiedział nawet jak bliski jest prawdy. Odrobina przemocy więcej nie robiła mi już różnicy. Trzasnąłem go prosto w twarz i upadł, uderzając plecami o przeciwległą ścianę wąskiego korytarza. Idąc ku niemu widziałem smuzkę krwi płynącą z nosa.

W oczach miał przerażenie, czołgał się szybko po ścianie w stronę schodów. Stałem i patrzyłem, jak ucieka. U szczytu schodów odwrócił się i spojrzał na mnie. Jego głos balansował na granicy hysterii.

- Zapłacisz za to! - krzyknął. - Odbiorą ci zasiłek! Zdechniesz z głodu! Dopilnuję tego!

Ruszyłem ku niemu, żeby go postraszyć. Zbiegł szybko ze schodów. Przechyliłem się przez poręcz.

- Jeżeli tu wrócisz, ty nędzny skurwielu - wrzasnąłem

- zabiję cię! Trzymaj się ode mnie z daleka!

Zniknął mi z oczu i wróciłem do mieszkania. Zaczynałem odczuwać mdłości. Jakiś dziwny wstyd, jakbym splugawił ten dzień. Nie powinienem był tak się zachować. Każdego innego dnia, proszę bardzo, czemu nie, ale nie dzisiaj.

W drzwiach sypialni stała Nellie.

- Kto to był, Danny?

Spróbowałem nadać głosowi spokojne brzmienie.

- Jakiś goryl z opieki - powiedziałem. - Cwaniak. Spławiłem go.

- Czego chciał?

Miała dość jak na jeden dzień, nie należało jej denerwować.

- Nic specjalnego - powiedziałem wymijająco. - Chciał tylko zadać parę pytań, to wszystko. Wracaj do łóżka i odpoczywaj, malutka.

- Dowiedzieli się o nocnej pracy, prawda? - zapytała głucho z rezygnacją.

Gapilem się na nią. Słyszała.

- Dlaczego nie spróbujesz się trochę przespać, kochanie? - wymigałem się od odpowiedzi.

Nie spuszczała oczu z mojej twarzy.

- Nie Wykręcaj się' Danny. - To prawda, co powiedziałam, tak?

- A jeżeli nawet? - przyznałem. - Teraz to nie ma znaczenia. Poradzimy sobie z tym, co zarobię. Szef obiecał że da mi wkrótce cały etat.

Stała wlepiając we mnie wzrok. Widziałem łzy napływające jej znów do oczu. Przeszedłem szybko przez pokój i wziąłem ją za rękę.

- Nic nam się nie udaje, Danny - powiedziała tonem w którym nie było cienia nadziei. - Nawet w takim dniu jak ten.

Kłopoty, wciąż tylko kłopoty...

- Wszystko już minęło, kochanie - rzekłem trzymając ją za rękę. - Od dzisiaj wszystko się zmieni na lepsze.

Podniosła na mnie wzrok, oczy miała martwe.

- Nic się nigdy nie zmieni - powiedziała. - Jesteśmy pechowcami. Przyniosłam ci tylko pecha.

Odwrociłem jej twarz ku sobie.

- Nellie, przestań myśleć w ten sposób! - Pocałowałem ją w policzek. - Nie można iść przez życie myśląc, że nic się nie uda. Trzeba mieć nadzieję!

Patrzyła mi prosto w oczy.

- Nadzieję na co? - zapytała cicho. - Skąd wiesz, czy w ogóle masz jeszcze pracę? Przez cztery dni nawet tam nie zadzwoniłeś.

- Tym się nie martwię - odparłem, czując jak serce nurkuje mi do żołądka. To była prawda. Zupełnie zapomniałem zadzwonić do sklepu. - Jack zrozumie, kiedy mu wyjaśnię.

Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem. Poczułem że zaczynam podzielać jej wątpliwości. Ale, jak się okazało, rację mieliśmy oboje.

Kiedy wszedłem do sklepu, Jack przyjrzał mi się wzrokiem, w którym nie było radości, że znów mnie widzi. Za ladą, na moim miejscu krzątał się jakiś człowiek.

- Cześć, Jack - powiedziałem cicho.

- Cześć, Danny - odparł bez entuzjazmu.

Czekałem, żeby zapytał, gdzie byłem, ale milczał. Widziałem, że jest wściekły, więc odezwałem się pierwszy.

- Coś się stało - wyjaśniłem. - Nie mogłem przyjść. W jego oczach palił się gniew.

- I przez pięć dni nie mogłeś nawet zadzwonić, tak? - zapytał sarkastycznie.

Spojrzałem mu w oczy.

- Przykro mi, Jack - powiedziałem ze skruchą. - Wiem, że należało zadzwonić, ale byłem tak wytrącony z równowagi, że zupełnie o tym zapomniałem.

- Brednie! - wybuchnął. - Przez dwie noce haruję jak wół czekając na ciebie, a ty nie masz nawet czasu zadzwonić!

Spuściłem wzrok na ladę.

- Nic na to nie poradzę - powiedziałem. - Coś się stało i po prostu nie mogłem.

- Ani razu w ciągu pięciu dni? - zapytał z niedowierzaniem. - Prędzej nastąpi koniec świata, niż uwierzę w taką bzdurę.

Ciągle jeszcze nie patrzyłem na niego.

- Miałem kłopoty - powiedziałem cicho. - Moja cór... moja córka umarła.

Odezwał się dopiero po chwili.

- Nie żartujesz, Danny? Podniosłem na niego oczy.

- Z takich rzeczy się nie żartuje, Jack - odparłem. Spuścił wzrok.

- Przykro mi, Danny. Naprawdę mi przykro.

Spojrzałem na swoje miejsce za ladą. Nowy facet obserwował nas spod oka, symulując brak zainteresowania naszą rozmową, ale znałem wyraz, który czał się w jego oczach.

Zbyt często gościł w moich własnych, że bym go teraz nie rozpoznał. Facet bał się o swoją robotę. Spojrzałem na Jacka.

- Widzę, że masz już nowego człowieka. Skinął głową z zakłopotaniem. Milczał. Spróbowałem nadać głosowi niedbałe brzmienie, ale było

to trudne w sytuacji, kiedy od tego, co się usłyszy w odpowiedzi, zależy los następnego posiłku.

- Będziesz miał coś dla mnie?

Milczał przez chwilę, zanim odpowiedział. Zauważyłem, jak przenosi wzrok ze mnie na tamtego gościa za ladą. Facet zajął się natychmiast czyszczeniem grilla.

- Nie w tej chwili, Danny - powiedział Jack łagodnie.

- Przykro mi.

Odwrociłem głowę, żeby nie mógł widzieć łez, które czułem pod powiekami.

- W porządku, Jack - powiedziałem. - Rozumiem.

W jego głosie było głębokie współczucie, za które byłem mu wdzięczny.

- Może coś się wkrótce znajdzie - powiedział szybko.

- Dam ci znać. Minęła dłuższa chwila.

- Gdybyś tylko zadzwonił, Danny...

- Gdybym zrobił wiele innych rzeczy - przerwałem mu

- ale nie zrobiłem. Dzięki i tak! - Wyszedłem ze sklepu. Na ulicy spojrzałem na zegarek. Było po szóstej. Zastanawiałem się, jak powiedzieć o tym Nellie, szczególnie po dzisiejszym popołudniu. Cały ten dzień był koszmarem.

Postanowiłem wracać do domu piechotą. Spacer był długi, ale dziesięć centów to kupa forsy dla kogoś, kto nie ma pracy. Przejście z Dyckman Street do East Fourth zajęło mi prawie trzy godziny. Ale nie miałem nic przeciwko temu. O te trzy godziny odwlekało rozmowę z Nellie.

Była dziewiąta, kiedy dotarłem do domu. Wieczór zrobił się chłodny, ale kiedy wchodziłem po schodach, koszulę miałem mokrą od potu. Stałem przez chwilę przed drzwiami, zanim zdecydowałem się je otworzyć. Co miałem jej powiedzieć? Pozwoliłem, żeby drzwi otworzyły się na oścież. W salonie paliło się światło, ale w mieszkaniu panowała cisza.

- Nellie! - zawołałem podchodząc do szafy, żeby powiesić kurtkę. Usłyszałem czyjeś kroki, a potem niski głos.

- To on!

Odwróciłem się błyskawicznie. W drzwiach salonu stała Nellie z dwoma mężczyznami. Twarz Nellie była blada i ściągnięta. Zrobiłem szybki ruch w jej stronę, zanim jeszcze rozpoznałem stojącego obok niej faceta. Był to inspektor /, opieki społecznej, ten sam, którego pogoniłem po południu. Na nosie miał bandaż, a oko sine i zapuchnięte.

- To on - powtórzył.

Drugi mężczyzna zrobił krok w moją stronę. W dłoni trzymał odznakę policyjną.

- Daniel Fisher? Skinąłem głową.

- Pan Morgan wniósł przeciw panu oskarżenie o zniewagę i pobicie - powiedział cicho. - Muszę pana poprosić ze sobą.

Czułem jak napinają mi się mięśnie. Jeszcze tylko gliny mi brakowało, żeby ten dzień był w pełni udany!

Potem spojrzałem na Nellie i opadło ze mnie całe napięcie.

- Mogę porozmawiać chwilę z żoną? - zapytałem policjanta.

Przez chwilę przyglądał mi się badawczo, potem skinął głową.

- Jasne - powiedział łagodnie. - Poczekamy na pana w holu. - Wziął Morgana za ramię i wypchnął go na korytarz. - Tylko nie za długo, synu.

Skinąłem głową z wdzięcznością i drzwi się za nimi zamknęły.

Nellie nie powiedziała ani słowa, badała wzrokiem moją twarz. W końcu wzięła głęboki oddech.

- Nie masz pracy?

Nie odpowiedziałem. Patrzyła na mnie przez chwilę, potem rzuciła mi się w ramiona, łkając spazmatycznie.

- Danny, Danny! - wołała bezradnie. - Co my zrobimy? Głaskałem ją delikatnie po włosach. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Nie miałem pojęcia, co teraz zrobimy. Ściany zamykały się wokół nas. Podniosła na mnie oczy.

- Jak myślisz, co oni ci zrobią?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem - odparłem. Byłem tak zmęczony, że było mi już wszystko jedno. Gdyby nie ona, posłałbym to wszystko do diabła. - Spiszą mnie i wypuszczą do sprawy.

- A jeżeli cię zatrzymają? - zawołała. Próbowałem się uśmiechnąć.

- Nie zrobią tego - odpowiedziałem, choć nie byłem tak całkiem przekonany. - To nie jest wystarczająco poważna sprawa. Wrócę za parę godzin.

- Ale ten Morgam był straszny. Powiedział, że wsadzą cię do więzienia.

- Parszywa wesz - powiedziałem szybko. - Nie wie jeszcze o wielu rzeczach. Wypuszczą mnie, kiedy się dowiedzą jak to było. Nie martw się.

Ukryła mi twarz na ramieniu.

- Nic nam się nie udaje, Danny - rozpaczła. - Nie przyniosłam ci nic, z wyjątkiem pecha. Nie powinieneś być nigdy wracać.

Uniosłem jej twarz i pocałowałem.

- Gdybym nie wrócił, kochanie - szepnąłem - przegapiłbym jedyną rzecz na świecie, która ma dla mnie znaczenie. To nie twoja wina, to niczyja wina. Po prostu nie mieliśmy szczęścia.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Już idę - zawołałem. Spojrzałem na nią. - Połóż się - powiedziałem. - Wrócę za parę godzin.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Na pewno?

- Na pewno - odparłem wyjmując kurtkę z szafy. - Ani się obejrzysz, jak będę z powrotem.

Twarz Morgana promieniała triumfem, kiedy szliśmy ulicami. - Powiedziałem ci, że wrócę. Milczałem.

- Zamknij się, Morgana. Facet i bez twojego gadania ma dość kłopotów.

Zerknąłem spod oka na glinę. Nie lubił Morgana, i nie starał się tego ukryć. Był jednym z tych serdecznych Irlandczyków o ciepłych oczach. Zastanawiałem się, jak taki facet mógł w ogóle zostać gliną.

Minęliśmy prawie dwie przecznice, zanim się odezwałem.

- Co zazwyczaj robicie w takich przypadkach? - zapytałem policjanta.

Zwrócił ku mnie twarz, połyskiwała różowo w świetle ulicznych lamp.

- Spisujemy protokół.

- I odpowiada się z wolnej stopy, prawda? - zapytałem. W oczach policjanta malowało się współczucie.

- Jak się zapłaci kaucję, to czemu nie. Na mojej twarzy odbiło się zdziwienie.

- Kaucję? - wykrzyknąłem. - Ile? Nadal miał łagodny wyraz oczu.

- Na ogół pięćset dolarów.

- A jeśli nie ma się tyle forsy - pytałem nadal. - Co wtedy?

Morgan odpowiedział, zanim glina zdążył otworzyć usta.

- To aż do sprawy siedzi się w pudle - powiedział zjadliwie.

Zmyliłem krok i spojrzałem na policjanta. - Nie mogą tego zrobić! - krzyknąłem. - Moja żona jest chora. Wiele przeszła. Nie mogę zostawić jej samej dziś w nocy.

Ujął mnie pod rękę.

- Przykro mi, synu - powiedział łagodnie. - Ale nic ci na to nie poradzę. Ja mam cię tylko doprowadzić.

- Ale, Nellie... moja żona - ledwo mogłem mówić. - Nie mogę zostawić jej samej. Źle się czuje.

Głos policjanta był nadal łagodny.

- Nie denerwuj się, synu. Lepiej po prostu chodź z nami. Zacisnął mocniej dłoń na moim ramieniu. Ruszyłem dalej.

Wiedziałem z gazet, że na termin sprawy można czekać tygodniami. Oczyma wyobraźni zobaczyłem, jak siedzę w ciupie w oczekiwaniu na sprawę. Zaczynało się we mnie gotować. Spojrzałem na Morgana.

Szedł po drugiej stronie policjanta z zadowoloną, pewną siebie miną. Skurwiel. Gdyby nie on, wszystko mogłoby się jakoś ułożyć. Było już wystarczająco źle, ale on załatwił mnie ostatecznie.

Musiałem coś zrobić, tyle że nie wiedziałem, co. Jedno było pewne, nie mogłem dać się zamknąć i czekać, aż dojrzeją do

zrobienia rai sprawy. Nie mogłem zostawić Nellie samej na tak długo.

Wyszliśmy na jezdnię w momencie, kiedy zmieniały się światła. Staliśmy pośrodku, a samochody przelatowały koło nas ze świstem. Poczułem jak ręka policjanta opada z mojego ramienia i odruchowo skoczyłem naprzód. Usłyszałem za plecami przekleństwo, a potem czyjś krzyk połączony z wizgiem hamulców. Nie obejrzałem się, żeby zobaczyć, co się stało, gnałem przed siebie.

Rozległ się krzyk: Stać! Stać! Potem do tych nawoływań dołączył jeszcze inny piskliwy głos. Jasne, Morgan też wrzeszczał. Dobiegł mnie przenikliwy dźwięk policyjnego gwizdka. Ale byłem już daleko na rogu ulicy i błyskawicznie skręcając, obejrzałem się przez ramię.

Morgan leżał rozciągnięty w rynsztoku, a stojący nad nim policjant patrzył za mną wymachując ręką. Zobaczyłem błysk metalu w jego dłoni. Nadal krzyczał, żebym się zatrzymał, ale jego dłoń mówiła mi, żebym uciekał.

Wzięłem głęboki oddech i skręciłem w przecznice.

Wróciłem do domu bardzo okrężną drogą. Musiałem zobaczyć się z Nellie, żeby jej wszystko wyjaśnić. Musiałem powiedzieć, co zrobiłem. Musiałem powiedzieć jej, żeby się nie martwiła. Ale kiedy dotarłem do skrzyżowania, przed swoim domem zobaczyłem biały dach policyjnego wozu. Stałem na rogu jak wryty, gapiąc się na samochód i dopiero wtedy dotarło do mnie, co zrobiłem. Teraz ścigały mnie gliny. Nie miałem odwagi pokazać się w domu. Przeszedłem na drugą stronę jezdni i ruszyłem wolno wzdłuż ulicy. Czułem w sobie głęboką, głuchą rozpacz. Mdlilo mnie. Bez wątplenia spieprzyłem sprawę. Spojrzałem na zegarek. Parę minut po dziesiątej. Dureń ze mnie. Teraz nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić i oddać się w ich

reć. Gdybym dalej uciekał, nie byłoby temu końca. Nigdy nie mógłbym wrócić.

Zawróciłem w stronę domu. Równie dobrze mogę zrobić to zaraz. Wtedy sobie przypomniałem. Wszystko zaczęło się od tego, że potrzebowałem kaucji. Nadal jej nie miałem.

Zatrzymałem się ponownie i zacząłem się zastanawiać. Będę musiał zdobyć skądś pieniądze. Rodzice Nellie nie mieli takiej sumy, nawet gdyby chcieli ją wyłożyć. Jediną znaną mi osobą, która mogła mieć w łapie taką forszę, był Sam.

Przypomniałem sobie, jak wyglądała nasza ostatnia rozmowa. Miała miejsce w dzień po urodzeniu się Vickie.

Myślał wtedy, że przyszedłem po jałmużnę i przysiągłem sobie, że już nigdy go o nic nie poproszę. Ale teraz byłem w prawdziwych tarapatach. Nie miałem innego wyjścia. Mogłem iść albo do niego, albo do pudła. Dość narozrabiałem, żeby mnie mogli spokojnie zamknąć i wyrzucić przez okno klucz. Musiałem więc zwrócić się do Sama.

Wszedłem do cukierni na rogu i przejrzałem szybko książkę telefoniczną. Przez okno wystawowe widziałem wóz policyjny stojący po drugiej stronie ulicy. Gliniarz w samochodzie pociągał sobie dymka.

Odezwał się kobiecy głos. - Halo?

- Z panią albo z panem Gordonem - powiedziałem szybko, nie spuszczać wzroku z samochodu.

- Pani Gordon jest na wsi - usłyszałem. - A pan Gordon jeszcze w biurze.

- Mogę prosić o numer? - spytałem. - Muszę się z nim natychmiast skontaktować.

- Jasne - odpowiedziała. - Chwileczkę, zaraz go panu podam.

Zapisałem numer i odłożyłem słuchawkę przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu drobnych. Równie dobrze mógłbym szukać kopalni złota, rezultat byłby taki sam. Właśnie przed chwilą wydałem ostatnią dziesięciocentówkę.

Wyrzuciłem na ulicę, zerkając w stronę wozu policyjnego. Był pusty, policjant szedł w moją stronę. Błyskawicznie podjąłem decyzję, wyprysnąłem ze sklepu i zanim mógł mnie rozpoznać, byłem już za rogiem.

Biuro Sama mieściło się w centrum, w Empire State

Building. Ruszyłem szybkim krokiem. Mogłem się tam dostać w mniej więcej pół godziny. Liczyłem na to, że Sam nie wyjdzie do tego czasu.

Jego nazwisko figurowało w rejestrze pod Thirty-fourth Street; „Sam Gordon - Spółka akcyjna. Koncesje.”

Dwudzieste drugie piętro. Podeszedłem do białej tablicy i przeczytałem - „Windy nocne”. Stał przy nich strażnik z książką wpisów. Zatrzymał mnie.

- Dokąd pan idzie? - zapytał podejrzliwie.

- Dwudzieste drugie piętro - odparłem szybko. - Mam spotkanie z panem Gordonem.

Zajrzał do książki.

- W porządku - powiedział. - Pan Gordon jest na górze. Nie wychodził odkąd wrócił z obiadu. Proszę się wpisać - wyciągnął ołówek w moją stronę.

Wyjąłem mu go z ręki i nabazgrałem swoje nazwisko we wskazanym miejscu. Spojrzałem na początek strony. Mniej więcej cztery linijki nad swoim nazwiskiem zobaczyłem znajomy bazgroł Sama. Obok nazwiska widniała wzięta w kółko cyfra „dwa”.

Spojrzałem na nocnego stróża.

- Czy jest tam ktoś z panem Gordonem?

Na jego twarzy ukazał się ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Tylko sekretarka.

Skinąłem głową bez słowa. Jego uśmiech powiedział mi wszystko. Mógłbym się założyć, że sekretarka Sama jest niezłą sztuką. Sam nie zmienił się ani na jotę.

Wyszedszy z windy ruszyłem korytarzem w stronę biura Sama. Jego nazwisko wykaligrafowane złotymi, imponującymi literami zajmowało całą szerokość wielkich, oszklonych drzwi. Widać było przez nie recepcję. Paliło się tam pojedyncze światło. Drzwi nie były zamknięte.

W luksusowej poczekalni przylegającej do recepcji dostrzegłem następne drzwi. Pchnąłem je i znalazłem się w wielkim pomieszczeniu biurowym. Stało tam mniej więcej dwadzieścia biur. Na drugim końcu sali znajdowały się kolejne drzwi. Poszedłem ku nim.

I znowu złote litery nazwiska błysnęły subtelnie w półmroku. Położyłem delikatnie dłoń na kłamce i nacisnąłem.

Drzwi otworzyły się łagodnie. W pokoju było ciemno. Wyciągnąłem rękę i na ścianie po prawej stronie znalazłem kontakt. Przekręciłem go i pokój zalało światło. Stałem mrużąc oślepienie oczy, a ktoś zaklął półgłosem. Usłyszałem cichy, przestraszony okrzyk kobiety. Potem moje oczy przyzwyczyły się do światła. Sam podnosił się z kanapy, dziewczyna próbowała osłonić nagość dłońmi, ale nie starczało jej rąk.

Pogapiłem się na nią, a potem odwróciłem się do Sama z porozumiewawczym uśmiechem. Walczył ze spodniami czerwony, prawie purpurowy na twarzy. Cofnąłem się bez słowa zamykając za sobą drzwi. Usiadłem na fotelu dokładnie naprzeciwko jego gabinetu, zapaliłem papierosa i czekałem aż wyjdzie. Nie myliłem się. Sam nie zmienił się ani na jotę.

Czekałem prawie piętnaście minut, zanim drzwi otworzyły się ponownie. Spojrzałem wyczekująco.

Doznałem rozczarowania. Zamiast Sama wyszła dziewczyna. Patrząc na nią trudno było uwierzyć, że przed paroma minutami przyłapałem ją na figielkach.

Popatrzyła na mnie.

- Pan Gordon pana prosi - powiedziała oficjalnym tonem. Wstałem.

- Dziękuję - powiedziałem z kamienną twarzą i wszedłem do gabinetu. Zamykając drzwi usłyszałem, jak za moimi plecami zaczyna stukać maszyna do pisania.

Sam siedział za biurkiem.

- Sądysz, że lepiej im się będzie pracowało, jeśli je wpierw zrelaksujesz? - uśmiechnąłem się.

Zignorował moją próbkę dowcipu i przytknął zapalną do wciśniętego w zęby cygara. W oczach miał chłodne błyski.

W końcu odsunął zapalną i spojrzał na mnie.

- Czego chcesz? - warknął.

Poczułem jak mój szacunek do niego wzrasta. Ten facet naprawdę miał klasę. Był twardy. Ani słowa o tym, że go przyłapałem. Bawienie się z nim w ciuciubabkę nie wchodziło w rachubę. Podeszedłem do biurka i spojrzałem na niego.

- Potrzebuję pomocy - powiedziałem po prostu. - Mam kłopoty.

Jego oczy były czarne i twarde.

- Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? - zapytał.

- Nie mam nikogo innego - odparłem cicho.

Delikatnie odłożył cygaro na brzeg popielniczki i podniósł się zza biurka. Mówił cicho, ale jego głos zdawał się wypełniać pokój.

- Spadaj, gnojku - powiedział beznamiętnie. - Ode mnie nie dostaniesz żadnej jałmużny.

- Nie chcę jałmużny! - zawołałem z rozpaczą. - Mam kłopoty i potrzebuję pomocy! - Stałem tam uparcie, wlepiając w niego wzrok. Tym razem nie dam się wyrzucić.

Wyszedł zza biurka i szedł ku mnie z groźną miną.

- Wynoś się! - warknął.

- Na litość boską, Sam, wysłuchaj mnie - powiedziałem błagalnie. - Wszystko poszło nie tak, gliny depczą mi po piętach i...

Przerwał mi, jakby w ogóle nie zauważył, że coś mówiłem.

- Jesteś do niczego! - rzucił. Jego czerwona, wściekła twarz była tuż przy mojej. - Zawsze byłeś i zawsze będziesz!

Dosc dla ciebie zrobiłem! Wynoś się zanim cię wyrzucę!

- Podniósł pięść.

Ogarnął mnie chłód i uczucie, że coś we mnie kamienieje. Ten facet rozumiał tylko w jednym języku.

- Nie próbowałbym na twoim miejscu, Sam - powiedziałem zimno. - Nie masz warunków.

- Pokażę ci, kto nie ma warunków - ryknął rzucając się na mnie.

Odbiłem cios przedramieniem.

- Pamiętasz, czego mnie uczyłeś, Sam? - kpiłem. - Wal'

- nie machaj rękami jak wiatrak! - Odsunąłem się od niego nie próbując oddać uderzenia.

Poszedł za mną, machając rękami. Ale ciężko się ruszał i trzymanie go na dystans było dziecinnie proste. Głodówka, jaką stosowałem przez ostatnie lata, miała jednak jakąś zaletę; nie pozwoliła mi wyhodować brzuszyska. Sam natomiast dorobił się pokaźnego. Gonił za mną jeszcze przez jakiś czas. W zapadłej ciszy słychać było tylko jego sapanie. W końcu wyczerpany osunął się na krzesło, ciężko dysząc.

Stałem po drugiej stronie biurka, patrząc na niego z góry. Twarz miał czerwoną z wysiłku, po jego tłustych policzkach spływał pot.

- Teraz mnie wysłuchasz, Sam? - spytałem. Podniósł cygaro i zaczął je ssać. Nie patrzył na mnie.

- Odejdź - rzekł niskim, pełnym obrzydzenia głosem.

- Nigdzie nie pójdę - powiedziałem. - Pomożesz mi.

- Mam cię dość - mruknął, podnosząc na mnie znużony wzrok. - Zawsze mnie rolowałeś, nawet jak byłeś chłopcem. Tam na wsi, z Ceil, potem w Żółtych Rękawicach, kiedy wykręciłeś ten numer Fieldsowi. Myślisz, że długo będę to znosił?

Miał pamięć jak słoń. O niczym nie zapomniał.

- To nie będzie cię kosztowało ani centa - powiedziałem. - Wszystko czego potrzebuję, to drobnej pomocy w znalezieniu pracy, dopóki nie wyprowadzę spraw na prostą.

Potrząsnął głową. - Nie mam dla ciebie pracy. Nic nie umiesz.

- Umiem walczyć - powiedziałem.

- E, tam! - odparł. - Jesteś za stary, żeby zaczynać. Miałeś za długą przerwę. Jako zawodowiec nie zarobisz nawet dziesięciu centów.

Co do tego nie było dwóch zdań. Dwudziestotrzyletni facet był za stary do tego interesu, szczególnie po sześciu latach przerwy.

- A może tu by się coś znalazło? - zapytałem. - Masz tu spore biuro.

- Nie - odpowiedział beznamiętnie.

- Nawet jeżeli obiecuję, że nigdy nie powiem Mimi, co tu dziś widziałem? - zapytałem podstępnie.

Wygrałem. Wystarczyło spojrzeć na jego twarz.

- Nie byłaby zachwycona - dodałem szybko.

Siedział, żując w milczeniu cygaro. Patrzyłem na niego cierpliwie. To był język, w którym należało się do niego zwracać. Skończyłem z błaganiem, podlizywaniem się i proszeniem o cokolwiek. Był tylko jeden sposób przeżycia na tym świecie - należało wyciągać rękę po to, co się chciało mieć. Sam też stosował tę zasadę, a skoro była wystarczająco dobra dla niego, będzie dobra i dla mnie.

Kiedy na mnie spojrział, jego oczy były puste i nieprzeniknione.

- Ciągle ten sam zasmarkany gówniarz, który myśli, że świat jest mu wszystko winien, co Danny? - zapytał zimno. Potrząsnąłem głową.

- Nie ten sam - odparłem z goryczą. - Stoi przed tobą nowy Danny Fisher. Za wiele przeszedłem, żeby być taki sam. Zaliczyłem półtora roku na zasłku, półtora roku czołgania się na brzuchu, żeby mieć co jeść. Dzisiejszego popołudnia wywalilem agenta opieki społecznej, bo chciał wiedzieć, skąd wziąłem forszę na pogrzeb dziecka, a on nasłał na mnie gliny. Moja żona leży w domu chora i zastanawia się, gdzie się podziałem. Nie jestem już ten sam, nigdy nie będę ten...

- Co takiego, Danny? - Był wstrząśnięty.

- Słyszałeś - odparłem patrząc na niego zimno. - Nigdy już nie będę ten sam. A teraz, pomożesz mi, czy mam powiedzieć Mimi, co tu widziałem?

Wbił wzrok w biurko i gapił się weń przez chwilę. Potem odezwał się nie podnosząc oczu.

- W porządku, chłopcze - powiedział dziwnie łagodnie. - Masz mnie.

8

Recepcjonistka podniosła głowę i uśmiechnęła się, kiedy mnie zobaczyła w oszklonych drzwiach.

- Dzień dobry, Danny - powiedziała, przerzucając językiem gumę do żucia na drugą stronę. - Szef cię szuka.

- Dzięki, skarbie - odwzajemniłem jej uśmiech. Pchnąłem następne drzwi i znalazłem się w wielkiej sali.

Każdy był tu pogrążony w pracy. Dobięgl mnie cichy pomruk działającego na pełnych obrotach biura. Przeszedłem przez salę, kierując się w stronę okna, gdzie stało moje biurko. Usiadłem i niespiesznie zabrałem się do przeglądania papie-

rów ułożonych starannie w koszyku „korespondencja przychodząca”.

Nie minęło nawet parę minut, kiedy na biurko padł cień. Podniosłem wzrok.

- Danny... - zaczęła Kate. Przerwałem jej podniesieniem ręki.

- Wiem, skarbie - powiedziałem szybko. - Szef chce się ze mną widzieć.

Skinęła głową.

- No więc, jestem - poinformowałem ją.

- No to na co czekasz? - rzuciła zjadliwie. - Na pisemne zaproszenie? - Wykręciła się na pięcie i zirytowana wróciła do swojego biurka.

Lubiłem się z nią podroczyć, a ona odpłacała mi z nawiązką. Nie była pierwszą, poderwaną przez szefa sekretarką, i nie ostatnią. W niczym nie umniejszało to jej zalet, była w porządku.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie naszego pierwszego spotkania, prawie cztery lata temu. Wiele rzeczy zdarzyło się przez ten czas. Trwała wojna. Poszło mnóstwo chłopaków. Ale nie ja. Kiedy dopadła mnie komisja lekarska, okazało się, że mam defekt, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem - przebite bębny w uszach. Byłem out - kategoria 4 F, skrót utożsamiany powszechnie z „czterema swobodami obywatelskimi.”

Jeszcze raz przerzuciłem papiery i znalazłem to, czego szukałem. Kiedy podnosiłem się z krzesła, zadzwonił telefon. Dzwoniła Nellie z fabryki broni na Long Island, gdzie pracowała.

- Zapomniałam ci powiedzieć, żebyś odebrał pranie od Żółtka - powiedziała.

- Pamiętam, kochanie - odparłem. Wychodziła z domu o szóstej, kiedy jeszcze spałem. - Jak tam jest? - zapytałem.

- Gorąco, Danny - odparła. - Przeszło dziewięćdziesiąt stopni.

- Dlaczego nie rzucisz tej nory?! - zapytałem. - Nie potrzebujemy już forsy. Dość zarabiam.

Głos miała ciepły, ale stanowczy. Omawialiśmy tę sprawę już wiele razy.

- A co mam robić?! - zapytała. - Siedzieć w domu i wariować? Lepiej mi, kiedy jestem poza domem. Przynajmniej coś robię.

Wiedziałem, że nie zależy z nią dyskutować. Zmieniła się od śmierci Vickie. Nie wiem dokładnie, na czym ta zmiana polegała, ale była teraz dużo spokojniejsza. Jej oczy straciły część swojego blasku.

- Jemy dzisiaj w domu czy wychodzimy? - zapytałem.

- Wychodzimy - odparła. - Nie mamy już prawie kartek na mięso.

- Okay - powiedziałem. - Podjadę po ciebie do domu o szóstej.

Otwierając drzwi gabinetu Sama, uśmiechnąłem się szeroko do Kate. Pokazała mi język i pochyliła się nad maszyną do pisania, a jej palce pofrunęły nad klawiaturą. Wchodząc do pokoju uśmiechnąłem się do siebie. Kate lubiła mnie chyba mimo wszystko.

Sam spojrzał na mnie zza biurka.

- Zjawiłeś się w końcu - burknął.

Nie zwracałem na niego uwagi. Wiedziałem, że przez tych parę lat pracy w biurze nauczyłem się dość, żeby wyrobić sobie jakąś pozycję. To był delikatny interes, ale jakby stworzony dla mnie. Tak nieuchwytny, że tylko niewielu facetów było w stanie wycisnąć zeń forszę. Facetów takich jak Sam i ja. Sam też o tym wiedział.

- Gdyby nie klimatyzacja, w ogóle bym nie przyszedł

- powiedziałem opadając na fotel naprzeciwko biurka. - Nie wiesz nawet, jaki z ciebie szczęściarz.

Poczerwieniał na twarzy. Nie wyglądał z tym dobrze, za bardzo przybrał na wadze. Miał dwa podbródki. Wyglądał na potrójnego tatusia z południowego Central Parku, którym zresztą był.

- Mimi powiedziała, żebym was zaprosił dzisiaj na obiad

- odezwał się w końcu.

- W porządku - odparłem. - I o to ten cały alarm? Potrząsnął głową.

- Chcę, żebyś wycofał się z tego interesu z automatami

- powiedział. Wytrzeszczyłem na niego oczy.

- Dlaczego? - zapytałem. - Myślałem, że jesteś na to napalony.
- Zmieniłem zdanie - burknął. - Utrzymywanie tych maszyn to samobójstwo. Jak już się sypią, to się po prostu sypią. A przez tę wojnę nie można dostać ani części zamiennych, ani w ogóle niczego.
- Tylko dlatego, Sam? - zapytałem. - Czy może dlatego, że jak słyszę, Maxie Fields też się nimi interesuje? Znowu zrobił się czerwony. Zacząłem podejrzewać, że cierpi na nadciśnienie. Wkraczał w niebezpieczny wiek.
- Mam gdzieś Maxiego Fieldsa! - zawołał. - Po prostu nic z tego interesu nie kapuję. Daj mi ładną, czystą koncesję na hotel albo na nocny klub. Żetony, pamiątki, fotografie - coś, co mogą robić ludzie. Rozumiem ludzi, umiem nimi kierować. Ale nie mogę rozgryźć maszyn.
- Ale ja siedziałem nad tym przez tydzień - zaprotestowałem. - Cena piętnastu tysięcy oznacza, że praktycznie dokonujemy kradzieży.
- Więc niech je kradnie Fields - warknął. - Nie jestem zainteresowany. Nie pójdę na żaden interes, z którego nic nie kapuję. Piętnaście patoli to za duże ryzyko. Pochyliłem się w fotelu. Byłem pewien, że Sam przegapia niezły interes. Po raz pierwszy zupełnie się z nim nie zgadzałem.
- Będiesz tego żałował, Sam - powiedziałem z przekonaniem. - Przystudiowałem cały interes i te automaty to prawdziwa bomba. Po wojnie będzie się w nich sprzedawać wszystko, od kawy po prezerwatywy.
- No i dobrze - powiedział stanowczo. Widziałem, że podjął już decyzję. - W tej chwili nadają się tylko do coca coli i papierosów, nie wchodzę w to! - Pogrzebał w papierach na biurku. - Chcę, żebyś rzucił okiem na coś innego. Idą pod młotek koncesje w Trask w Atlantic City. Chcę, żebyś tam pojechał i rozejrzył się. Gapiłem się na niego przez moment.
- Znaczy, że ktoś inny ma kupić te automaty? - zapytałem.
- Słyszałeś! - powiedział z gniewem. - Jasne, że tak. A teraz zapomnij o tym i...
- Podoba mi się to, Sam - powiedziałem łagodnie, bo w głowie zaświtał mi pewien pomysł.

Spojrzał na mnie ostro, przenikliwie.

- Więc ci się podoba! - stwierdził zjadliwie. - Ale to moja forsa, a ja mówię, że interes jest do niczego. Bądź więc tak łaskaw i przestań mnie podpuszczać. Otóż...

- Chciałbym w to wejść, Sam - przerwałem mu. Zrobił głęboki wdech.

- A masz forszę? - zapytał złośliwie.

Nasze oczy spotkały się nad biurkiem. Wiedział równie dobrze jak ja, że nie mam.

- Wiesz, że nie mogę mieć takiej forsy z tych wielkich siedemdziesięciu pięciu dolców, które mi płacisz.

Wyszczrzył zęby w radosnym uśmiechu. Sądził, że wygrał. Znałem ten wyraz jego twarzy.

- A co z twoimi rachunkami za wyjazdy w teren? Oglądałeś je kiedyś? W końcu skubnąłeś z tego ładnych parę dolców, myślisz, że o tym nie wiem?

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Co do tego, masz rację, Sam - przyznałem. - Ale mimo wszystko, to tylko parę dolców. Nigdy nie dałeś mi zarobić tyle, żebym mógł mieć prawdziwy szmal.

- Więc skąd weźmiesz forszę? - wystrześlił. Zastanowiłem się.

- Mam około tysiąca pięciuset dolarów na koncie. Bank powinien dać mi drugie tyle w zastaw pod ruchomości. Resztę mogę dostać od ciebie.

Zerwał się na nogi.

- Ode mnie? - ryknął z wściekłością. - Czy ty masz mnie za durnia? Jaką mam szansę, że dostanę to z powrotem?

Patrzyłem na niego ze spokojem.

- Masz moje słowo.

- Utopiłem kiedyś pięć kawałków polegając na twoim słowie - zakpił. - Myślisz, że pójdę na to jeszcze raz?

Miałem chłód w oczach.

- Kupiłeś dzieciaka, Sam. To był nie mój, ale twój ukłon w stronę fortuny. Nie zobaczyłem z tego ani centa.

Zebrałem jedynie cięgi.

Miał wypieki.

- W każdym razie, ja w to nie wchodzę - powiedział bezbarwnym głosem, siadając znowu za biurkiem.

Podjąłem już decyzję.

- A ja owszem. I ty ze mną.

- Skąd ta pewność? - zapytał. Spojrzałem na niego złośliwie.

- Pamiętasz w jaki sposób dostałem u ciebie pracę? - zapytałem. - Wydawało mi się wtedy, że jestem kimś. Od tamtego czasu pokręciłem się trochę po świecie. Jesteś naprawdę pierwszorzędnym kutasem. Nie doceniałem cię w pełni, dopóki nie wpadłem na pewną jasnowłosą tancerkę, którą zakamuflowałeś w hotelu na drugim końcu miasta. Myślałem, że szlag go trafi. Jego twarz zrobiła się ciemno-purpurowa.

- Skąd o niej wiesz? - zapytał z wysiłkiem.

- Radzę sobie, Sam - uśmiechnąłem się. - Jestem już dużym chłopcem.

Chrząknął z zażenowaniem. Znalazł długopis i zaczął się nim bawić.

- Wiesz, jak to jest, chłopcze - powiedział niepewnie, nie patrząc na mnie. - Szaleję za twoją siostrą, ale ona ma tę cholerną obsesję, że zajdzie w ciążę, jak tylko się do niej zbliżę. A człowiek musi gdzieś sobie ulżyć.

- Nie potępiam cię, Sam - okazałem tolerancję. - Może nawet trochę ci zazdrozczę. Ale nie sądzę, żeby Mimi była ci za to wdzięczna. Wiesz, jaka jest cholernie ambitna.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, dopóki nie skończyłem, potem odprężył się w fotelu.

- Czy nie dość, chłopcze, że podaję ci rękę, kiedy jesteś w biedzie i nie masz dokąd pójść? Nie dość, że trzymam cię z dala od pudła, płacę kaucje, załatwiam wycofanie oskarżenia i na dodatek daję ci pracę? Ciągłe ci jeszcze mało?

Podniosłem się z fotela i pochyliłem nad biurkiem. Mówiłem śmiertelnie poważnie.

- Zawdzięczam ci więcej niż komukolwiek na świecie, Sam. Możesz mi wierzyć, że jestem ci bardzo wdzięczny za wszystko co zrobiłeś. To, że muszę cię przyciskać, nie podoba mi się tak samo jak tobie. Ale do tego, żeby żyć na tym świecie, potrzeba czegoś więcej niż tylko pracy. Człowiek musi mieć pieniądze, który mógłby nazwać własnym. Nigdy nie dorobisz się go na posadzie, Sam. Jest tylko jeden sposób,

żeby go zdobyć. Samemu wziąć się za robienie forsy. Ty to zrozumiałeś już pierwszego lata na wsi, i nieźle ci poszło. Teraz ja chcę spróbować. Jasne, że jestem zadowolony, ale teraz chcę swojej szansy z wielką forszą.

Patrzył mi w oczy przez długą chwilę, potem rozciągnął usta w uśmiechu. Wiedział, że przegrał. Ale to go nie powstrzymało przed podjęciem jeszcze jednej próby.

- Przypuśćmy, że Fields będzie ci się wcinał?

- Nie będzie - powiedziałem z przekonaniem. - Upewniłem się robiąc rozpoznanie dla ciebie. Za drobny interes dla niego.

Odchylił się w fotelu i wyjął książeczkę czekową.

- W porządku, Danny - powiedział cicho. - Ile potrzebujesz?

- Sześć kawałków - odparłem.

- Na jak długo?

- Rok po zakończeniu wojny - powiedziałem szybko. - Nie dopuszczam żadnego ryzyka.

- Jezu, ta wojna może trwać dziesięć lat! - wybuchnął. Uśmiechnąłem się.

- Jeżeli tak się stanie, zostaniesz bez forsy. Obliczyłem, że te maszyny pociągną jeszcze trzy lata. Potem powinienem być w stanie kupić nowe.

Kalkulował coś w myślach.

- Na normalny procent, Danny? - zapytał podstępnie. Normalny procent w tym biznesie był zwyczajną lichwą

- sześć za pięć.

- Pofolguj nieco, Sam - powiedziałem. - W końcu, jesteśmy rodziną.

- Dziesięć procent rocznie na nie datowany weksel - powiedział szybko.

Skinąłem głową.

- Może być, Sam - uśmiechnąłem się całą gębą. - Czy teraz życzysz sobie, żebym pojechał do Atlantic City?

- Do diabła, nie! - zaklął, zgrzytając piórem po książeczce czekowej. - Jesteś już na własnym garnuszku! To twój interes!

9

Wyszedłem z jego gabinetu i usiadłem przy biurku. Spojrzałem na trzymany w ręku czek. Ciągle nie mogłem uwierzyć, że to zrobiłem. Taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy, dopóki tam nie poszedłem. Rozłożyłem czek na stole i rozprostowałem ręką. Błysnęły ku mnie wypisane na nim słowa; sześć tysięcy dolarów. Doznałem najdziwniejszego w świecie pragnienia, żeby wziąć tę forszę i zwiać. Nigdy w życiu nie miałem tyle pieniędzy.

Ogarnęła mnie pokusa, żeby wrócić do Sama i oddać mu czek. Powiedzieć, że się rozmyśliłem i chcę dalej pracować u niego. Szaleństwem była już sama myśl o tym, że zabawa w przedsięwzięcie na taką skalę może ująć mi na sucho. Sam miał bystre oko. Jeżeli on nie dopatrzył się w tym forszy, to najprawdopodobniej jej nie było. Dość napatrzyłem się na jego interesy, by zdawać sobie sprawę, że zazwyczaj nie popełnia błędów. Przedsiębiorstwa takie jak interes Sama nie powstają z powietrza. Kim byłem, żeby twierdzić, że się myli?

Ogarnęło mnie nagle zmęczenie. Zamknąłem oczy. Co we mnie wstąpiło?! Skąd te wielkie plany?! Zarabiałem na życie. Byłem zadowolony. Parę lat temu oddałbym przednie zęby za taką robotę. A teraz już mi nie wystarczała. Zajrzałem w głąb siebie, szukając odpowiedzi. Gdzieś tam była, musiała być. Ukryta w jakimś zakamarku mózgu, tuż poza zasięgiem świadomości, jak doskonale znane słowo, które nagle ucieka z pamięci. Musiał istnieć jakiś powód. Nie chciało mi się wierzyć, że stało się to tylko dlatego, że Sam nie chciał w to wchodzić.

Przeleciałem jeszcze raz w myślach cały interes. Może było w nim coś, na co dałem się złapać. Wszystko zaczęło się parę tygodni temu, kiedy Sam kazał mi rozpracować interes z automatami. Do tego czasu zajmowałem się wyłącznie koncesjami, którymi handlowałem.

Pierwszego dnia, kiedy przyszedłem do pracy, wezwał mnie do swojego gabinetu. Wtedy zrozumiałem, że zbudował sobie

potężne przedsiębiorstwo. Począł aż zamknąć się za mną drzwi i dopiero wtedy się odezwał. Jego oczy były zimne i wyzywające. Mówił tonem, jakiego nigdy u niego nie słyszałem, ostrym i oficjalnym.

- Jeżeli myślisz, że załapałeś się na darmową przejażdżkę, Danny, to możesz od razu wysiadać.

Nie odpowiedziałem.

- Jeżeli myślisz, że dostałeś pracę, ponieważ mnie przycisnąłeś, zapomnij o tym - kontynuował tym samym tonem.

- Płacę ci trzydzieści papierów tygodniowo, i oczekuję pracy wartej trzydzieści papierów - patrzył na mnie przez chwilę, jakby oczekiwał odpowiedzi. Milczałem, więc ciągnął dalej.

- Nie będziesz miał żadnych względów z tego tytułu, że jesteś bratem Mimi, o tym też możesz zapomnieć. Będziesz wykonywał swoje obowiązki, albo wylatujesz. Nie ma ze mną innej drogi - nic innego się nie liczy. Gwiżdżę na to, że masz na mnie haka. Jeżeli nie będziesz wykonywał swojej roboty, pozbędę się ciebie zanim zdążysz się połapać, co jest grane

- utkwiał we mnie wzrok. - Zrozumiano?

Omam się nie roześmiałem słysząc to znajome słowo. Zawsze je uwielbiał.

- Kapuję! - odparłem. - Odpowiada mi to. Mam dość łaski i jałmużny.

Skinął poważnie głową.

- Dobrze - powiedział. - Zatem rozumiemy się. A teraz możesz iść i brać się do roboty.

Zajął się czymś na biurku, a ja poczułem, że właśnie zostałem odprawiony. Kiedy wyszedłem z jego gabinetu, sekretarka oblała się rumieńcem. Uśmiechnąłem się do niej i wróciłem do swojego biurka, które stało wtedy na froncie, razem z biurkami innych urzędników. Moja praca polegała na notowaniu stanu interesów ze sprawozdań poszczególnych koncesji, oraz na stałej kontroli ich inwentarza.

Po tej rozmowie widywałem Sama dość rzadko. Traktował mnie dokładnie tak samo jak innych pracowników, ani lepiej, ani gorzej. Po roku pierwszy, jeszcze pokojowy pobór capnął jednego z kontrolerów.

Zostałem awansowany na jego miejsce. Awans połączony był z pensją w wysokości 45 dolarów tygodniowo i samo-

chodem służbowym. Moim zadaniem było odwiedzanie koncesji i sprawdzanie na miejscu jak się mają sprawy, a przede wszystkim kontrolowanie, czy firma dostaje uczciwą działkę. W interesie tak nieuchwytnym i mglistym jak ten, pewnych strat nie można było uniknąć, ale staraliśmy się ograniczyć je do rozsądnego minimum.

Byłem całkiem niezły w tej robocie. Doszło do tego, że wystarczyło mi wejść i pokręcić się trochę, aby instynktownie wyczuć, jak sprawy stoją. Wiedziałem, jaki margines jest do przyjęcia i co robić, żeby firma wyszła na swoje. Sam nie potrzebował wiele czasu, by zrozumieć, że znam się na tym. Zaczął zlecać mi zadania polegające na wstępnej ocenie interesu. Wysyłał mnie na przykład do spółek, które miał na oku, abym zrobił dla niego rozeznanie. Spędzałem tam tyle czasu, ile było trzeba, potem wracałem do biura i przedstawiałem Samowi pełen szacunek kosztów. Mój margines błędu wynosił zazwyczaj nie więcej niż kilka dolców.

Dostałem parę podwyżek i Sam zaczął zlecać mi wyłącznie przeprowadzanie wstępnych ocen. Cieszyło mnie to z wielu powodów, głównie dlatego, że jak obaj wiedzieliśmy, wyrabiałem sobie pozycję. Byłem jedynym człowiekiem, poza nim samym, którego ocenę danej koncesji przyjmował na słowo. Przedtem wszystkie ewentualne nabytki szacował osobiście.

Nie myślałem nawet, żeby zabrać się za jakąś inną robotę aż do czasu, kiedy Sam wysłał mnie na zbadanie interesu z automatami. Było w tym coś, co mnie zafascynowało ledwo przestąpiłem próg biura Christensona. I nie była to forsa. Sam przeprowadził wiele poleconych przeze mnie transakcji, w których w grę wchodziły dużo większe pieniądze. Tutaj chodziło o sam pomysł. Niemal widziałem te automaty rozsiane po całym mieście, w najlepszych punktach - w restauracjach, na końcowych stacjach metra, i lotniskach, we wszystkich miejscach, gdzie ludzie zatrzymują się, zbierają, idą, żeby zabić czas. Potężne metalowe automaty stoją tam sięgając do wszystkich kieszeni, przemawiając do wszystkich apetytów i potrzeb. Pan spragniony? Może coli? Gumę do żucia, cukierka, papierosa?

Może moja fascynacja wynikała ze sposobu, w jaki mówił o tym Christenson. Widać było, że facet nie ma ochoty

sprzedawać. Ale co może zrobić gość, któremu lekarz mówi, że jest chory na serce i albo rzuci interes, albo wykorkuje⁷¹ Nigdy nie dowiedziałem się, jak wpadł na to Sam, ale kiedy tam pojechałem i zobaczyłem, że cały ten interes obsługuje pięcioosobowa załoga, a obroty wynoszą trzy patole tygodniowo, poczułem, że to do mnie przemawia. Przemówiło jeszcze silniej, kiedy się zorientowałem w całym tym interesie.

Christenson miał sto czterdzieści jeden działających automatów z papierosami i dziewięćdziesiąt dwa z colą. W sklepie stało czternaście, do których nie mogłem dostać części zamiennych, ale gdyby je uruchomić, przynosiłyby następnych trzysta dolców tygodniowo. A na dodatek, w czterech przypadkach na dziesięć, była zła lokalizacja, Christenson był zbyt chory, żeby wyszukiwać nowe punkty. Przeniesienie tych automatów mogło bez trudu podnieść obroty do czterech patyków tygodniowo.

Christenson obliczał swój zysk na dziesięć procent od obrotów, czyli jakieś trzysta dolców tygodniowo.

Wykalkulowałem sobie, że gdyby zrobić wszystko o czym myślałem można by podnieść czysty zysk do co najmniej piętnastu procent. A to oznaczało sześćset tygodniowo od czterech patyków obrotu. Oto dlaczego poleciłem Samowi ten interes.

Mógłby go uruchomić jednym palcem lewej ręki, a przy swoich znajomościach dorwałby się zapewne do większej liczby automatów. Wtedy po raz pierwszy przyszło mi na myśli, że chętnie zająłbym się tym osobiście. Pomyślałem, że gdyby Sam nie chciał się w to bawić, mógłbym to dla niego poprowadzić. Potem pojechałem do producentów dowiedzieć się o części zamienne. Oczywiście nie było nic, zakład był zbyt zajęty produkcją na potrzeby wojska, ale jeden z facetów rozłożył przede mną folder z powojennymi modelami.

Otworzyłem szeroko oczy. To był biznes, na którego przegapienie me mogliśmy sobie pozwolić. Było w tym folderze więcej automatów niż kieszonkowców na Coney Island w słoneczny dzień. Automaty serwujące hot dogi w serwetkach; automaty podające gorącą kawę w jednorazowych, papierowych kubeczkach; sandwiche, o jakich tylko można zamarzyć. Był tam nawet automat, który ubezpieczał na życie przed

wejściem na lotnisko. Wszystko było opracowane z wyjątkiem lokalizacji.

Okazja sama pchała się w ręce, jak dwudolarowa dziwka. Nie chodziło o to, że sprzęt Christensona był maszynką do robienia pieniędzy już w tej chwili. Byłby tak samo dobry, gdyby nie przynosił teraz ani centa. Chodziło o wejście, jakie miał na powojenny rynek, siłę przebicia, której szukał każdy interes. Sprzęt taki jak ten, mógł wśliznąć się po cichutku już teraz, kiedy wszyscy byli zajęci czym innym i zagarnąć wszystkie najlepsze punkty w kraju. Wtedy dopiero byłby to wspaniały biznes!

Ale Sam nie różnił się niczym od innych ludzi. Powodziło mu się dobrze, więc nie chciał się nadwierać. Po co wchodzić w spekulacje, skoro forsa i tak wali drzwiami i oknami?!

Spojrzałem na trzymany w ręku czek. Ciągle nie miałem odpowiedzi na tamto pytanie. Dlaczego chciałem to zrobić? Wiedziałem już, że nie była to kwestia samego biznesu, chodziło o coś jeszcze. Ale odpowiedź znalazłem dopiero wieczorem, kiedy wróciłem do domu i spotkałem się z Nellie.

Wszedłem cicho do mieszkania, zastanawiając się jak ona przyjmie nowinę. Miałem nadzieję, że się nie zmartwi, ale w takich sprawach była dziwna. Przywiązywała wielką wagę do zarabiania i oszczędzania pieniędzy, a posada była według niej jedyną prowadzącą do tego drogą.

Parę razy próbowałem namówić ją na zmianę mieszkania, ale zawsze odmawiała.

- Po co wydawać na czynsz? - pytała. - Tutaj jest nam wygodnie.

- Ależ, kochanie! - mówiłem. - Za większą forszę może nam być jeszcze wygodniej gdzie indziej.

- Nie - odpowiadała. - Równie dobrze możemy ją zbierać dopóki napływa. Nigdy nie wiadomo, kiedy przestanie. Wtedy będziemy potrzebowali każdego zaoszczędzonego centa.

Po jakimś czasie przestałem o tym mówić. Potrafiłem zrozumieć jej obawy: nie były bezpodstawne. Bieda była wszystkim, czego zaznaliśmy w życiu. Jakie mieliśmy podstawy by liczyć, że coś się zmieni na lepsze? Filozofia

depresji zapuściła w nas korzenie tak głęboko, że już nic nigdy nie miało ich wyrwać. Zamknąłem za sobą cicho drzwi.

- Nellie - zawołałem półgłosem. Czasami drzemała kiedy wracałem z pracy. Pracowała cały dzień na wielkich prasach tłoczących plastik na gorąco i była wypompowana.

Nie było odpowiedzi, więc ruszyłem na palcach w stronę sypialni. Zobaczyłem ją w salonie, zwiniętą w rogu kanapki całkowicie ubraną do wyjścia na obiad i twardo śpiącą! Podeszedłem do niej cicho.

Jedną ręką zwisała z kanapki tuż nad podłogą drugą przyciskała mocno do piersi. Coś w niej trzymała. Spojrzałem uważnie. Było to zdjęcie Vickie, zrobione na dachu któregoś dnia w czasie krótkiego lata jej życia.

Nellie trzymała małą, a ja pstryknąłem zdjęcie pożyczonym aparatem. Pamiętam jak niecierpliwie czekaliśmy, aż zdjęcia znajdą się z powrotem w drogerii, gdzie oddaliśmy je do wywołania, jak zbieraliśmy te parę centów na zrobienie odbitek. Nellie trzymała małą w wyciągniętych rękach Mała gaworzyła coś do niej, a Nellie śmiała się radośnie. Poczulem jak coś chwyta mnie za gardło, Nellie sama wyglądała jak dziecko na tym zdjęciu.

Spojrzałem na nią. Oczy miała zamknięte, oddychała równo i spokojnie. Na tle jej bladej twarzy ostro odznaczały się długie czarne rzęsy. Blade smugi rozmazanego makijażu biegły w dół twarzy. Płakała. Patrzyła na zdjęcie i płakała. Nagle znalazłem odpowiedź, której szukałem. Nagle znalazłem odpowiedź na wiele pytań.

Zrozumiałem, dlaczego nie mieliśmy drugiego dziecka dlaczego Nellie tak bardzo nie lubiła wydawać pieniędzy' dlaczego nie chciała się stąd wyprowadzić. Bała się Obwinięła się za śmierć Vickie i nie chciała dopuścić, żeby to się kiedyś powtórzyło - strach, nędza, ból.

I zrozumiałem, dlaczego chciałem mieć grubą forszę dlaczego musiałem zaryzykować. Mogliśmy albo żyć w cieniu strachu aż do śmierci, albo raz na zawsze wyrwać się na wolność. To wszystko. Musieliśmy uwolnić się od strachu żeby zacząć myśleć o jutrze, kórego się baliśmy, ponieważ było tak podobne do dnia wczorajszego.

Teraz będziemy mogli pomyśleć znowu o sobie. Jak inni ludzie będziemy znowu pragnęli, odczuwali i mieli nadzieję. To wszystko.

Bez względu na to, co się w życiu dzieje, nie da się, ot tak po prostu, umrzeć, nie można po prostu zrezygnować. Żyje się dalej. Na tym to właśnie polega: żyje się dalej. Życie nie jest czymś, co można włączyć lub wyłączyć jak wodę w kranie, dopóki w żyłach płynie krew i bije serce, rozum ma nadzieję. Żyje się dalej.

Ostrożnie wyjąłem fotografię z jej rozluźnionych palców, wsunąłem ją do kieszeni i usiadłem w fotelu, czekając aż się obudzi i będę mógł podzielić się z nią swoim odkryciem.

10

Siedziałem sztywno w salonie Mimi i patrzyłem na ojca. Wolałbym, żeby Mimi nie starała się naprawiać niczego na siłę. Jednym z celów jej życia było doprowadzenie do naszego pojednania, ale był to próżny trud.

Za wiele się między nami zdarzyło, za bardzo się od siebie oddaliliśmy. Teraz siedzieliśmy w jednym pokoju jak obcy i prowadziliśmy rozmowę o niczym, nie zwracając się nigdy bezpośrednio do siebie i nie zapominając ani na chwilę o swojej obecności. Nellie i mama poszły asystować przy układaniu dzieci do snu, a tato, Sam i ja siedzieliśmy w salonie, czekając na kolację. Odzywaliśmy się tylko wtedy, kiedy Sam zwracał się do któregoś z nas. Odpowiadaliśmy mu sztywno, monosylabami, jakby z obawy, że słowa mogą prowadzić do dalszej rozmowy.

W końcu Sam wyczerpał wszelkie tematy mogące interesować nas obu i również schronił się w pełne skrzepowania milczenie. Wziął gazetę i poszukał rubryki sportowej. Przez chwilę w pokoju słychać było tylko szelest papieru.

Patrzyłem przez okno na park. Zmierzchało i w oknach zaczynały pojawiać się światła, połyskiwały jak żółte topazy na fioletowym aksamicie.

- Danny, pamiętasz tego chłopaka, z którym walczyłeś w finałach turnieju o „Złote Rękawice” - Joeya Passo?

Odwrociłem ku niemu głowę. Pamiętałem bardzo dobrze.

- To było w półfinale, Sam - sprostowałem. - Omal mnie nie załatwił. Był dobry.

Sam skinął głową.

- Masz rację. W każdym razie pamiętam, że z nim walczyłeś. Piszą tu, że jesienią chce walczyć o mistrzostwo w wadze półciężkiej.

Poczułem na sobie wzrok ojca.

- Mam nadzieję, że mu się uda - powiedziałem. - Jest dobry, odważny i potrzebuje forsy.

- Tobie mogło się udać - odezwał się Sam, nie podnosząc wzroku znad gazety. - Byłeś dobry. Miałeś najlepsze warunki, jakie kiedykolwiek widziałem.

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- E, tam! To był dla mnie za brutalny kawałek chleba. Sam spojrzał znad gazety.

- Jedynej rzeczy, której ci brakowało, to instynktu zabijania. Jeszcze parę walk i załapałbyś, w czym rzecz.

Ojciec odezwał się, zanim zdążyłem otworzyć usta.

- Interes, w którym człowiek musi być zabójcą, nie jest interesem dla mojego syna.

Obydwaj, Sam i ja, popatrzyliśmy na niego ze zdumieniem. Nie przypominaliśmy sobie, by kiedykolwiek wziął udział w naszej rozmowie.

Był czerwony na twarzy.

- To jest brudny interes, kiedy mężczyzna musi być zabójcą, żeby odnieść sukces.

Wymieniliśmy z Samem porozumiewawcze spojrzenia i Sam zwrócił się do ojca.

- To jest tylko takie wyrażenie, tato - wyjaśnił. - Oznacza, że jeżeli masz przed sobą faceta w kłopotach, wiesz, że trzeba go szybko wykończyć.

- Znaczenie słowa pozostaje, nawet jeżeli się je inaczej zinterpretuje - stwierdził ojciec z uporem. - Jeżeli to tylko

słowa, to dlaczego czyta się ciągle o śmiertelnych wypadkach wśród bokserów?

- To są wypadki, tato - powiedział Sam. - Tak samo czytasz codziennie o ludziach ginących w wypadkach samochodowych. Przecież to nie znaczy, że wszyscy kierowcy są zabójcami.

Tato potrząsnął głową.

- To co innego.

Teraz Sam uparł się przy swoim.

- To nie jest co innego, tato. Boks to wysoce wyspecjalizowany sport. Bardzo mało ludzi ma do niego talent.

Koordinację ruchu i myśli plus wolę wygrania. Wszystkie te przymioty są na ogół darem od Boga i kiedy widzisz kogoś, kto posiada je wszystkie, masz przed sobą niezwykłego człowieka. Twój syn, Danny, był jednym z nich.

Odwrócił głowę i patrzył na mnie przez chwilę, zanim się znowu odezwał. Głęboko w jego oczach krył się szacunek.

- Danny był jednym z tych bokserów, tato, których spotyka się raz w życiu - mówił cicho, jakby do siebie. - Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, był chudym, wyrosniętym chłopakiem, który wdał się w szkolną bójkę. Przedtem był tylko jednym z uczniów, potem zaś stał się kimś wyjątkowym. Miał talent od Boga.

- Chyba od diabła - mruknął ojciec. Oczy Sama zabłyśły.

- Mylisz się, tato, tak jak mylisz się co do wielu spraw. Jak każdy człowiek od czasu do czasu. Gdybyś wiedział, jak mało jest na świecie ludzi, których nogi i ręce poruszają się w zgodnym rytmie i tak błyskawicznie jak myśl, zrozumiałbyś, o co mi chodzi.

Ojciec wstał.

- Nie chcę tego słuchać - oznajmił stanowczo. - Nie interesuje mnie to. Jeżeli chodzi o mnie, boks to interes dla morderców.

Sam wyglądał na zagniewanego.

- Skoro tak uważasz - rzucił nieprzyjemnie - to dlaczego pozwoliłeś Mimi wyjść za mnie? Byłem bokserem.

Tato spojrzał na niego.

- Wtedy już nie byłeś - odpowiedział.

- Ale byłbym, gdyby mi rzepka nie pękła - odparł Sam z podnieceniem.

Tato wzruszył ramionami.

- Mimi cię chciała. To nie moja sprawa mówić jej co ma robić. Mogła wyjść za kogo jej się podobało, w takich sprawach nie czas na interwencję.

Twarz Sama była czerwona. Zdążył się już porządnie wkurzyć.

- A kiedy był czas na twoją interwencję, tato? Wtedy, gdy ci to odpowiadało? Inaczej się zachowałeś, kiedy Danny...

- Daj spokój, Sam - przerwałem mu szybko. To była sprawa między ojcem a mną, nie było sensu, żeby on też wdawał się w tę awanturę.

Sam odwrócił się do mnie wojowniczo.

- Dlaczego mam dać spokój, Danny? - zapytał. - Ja też mam w tym swój udział. Straciłem na tym kupę szmalu. - Spojrzał na tatę, na jego twarzy malował się upór. - Dopóki dzieciak cię słuchał, wszystko było okay, źle zrobiło się dopiero wtedy, kiedy przestał. A mimo to nigdy nie odmówiłeś przyjęcia forsy, którą dostawał za walki. Te pięć stów, które zostawił ci tamtej nocy, kiedy go wyrzuciłeś, kosztowało mnie pięć patoli, a chłopaka nieomal życie. Nie wiedziałeś o tym, co?!

Ojciec był blady. Spojrzał na mnie jakby zawstydzony.

- Syn powinien słuchać ojcowskich rad - upierał się.

- Może i powinien! - powiedział Sam. - Ale nie ma obowiązku. Nigdy nie będę traktował w ten sposób moich dzieci, bez względu na to, jak postąpią, dobrze czy źle. Nie prosili się na świat. A skoro ja chciałem, żeby się na nim zjawili, muszę im pomagać, bez względu na to, czy się z nimi zgadzam, czy nie.

Tato machnął ręką.

- Nie chcę tego słuchać - powiedział. - Zobaczymy, jaki będziesz.

- Nigdy nie zobaczysz, jak wyrzucam z domu swojego syna - uciał Sam.

Tato patrzył na niego przez chwilę z twarzą bladą jak ściana. Potem pełnym godności krokiem opuścił pokój.

Spojrzałem na Sama. Nadal był czerwony na twarzy.

- Po co to zrobiłeś? - zapytałem. - Tracisz tylko czas.

Sam z goryczą machnął ręką.

- Znudziło mi się słuchanie staruszka. We wszystkim musi mieć rację! Zmęczyły mnie już te ciągłe uwagi na twój temat, czego to on się po tobie spodziewał i jak go rozczarowałeś.

- Więc po kiego się wnerwiasz? - spytałem. - To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Teraz już wie, że chciałem, byś został bokserem - odparł.

- I odgrywa się w ten sposób, że słuchałeś mnie, a nie jego. Pewnego dnia doprowadzę do tego, że zrozumie, jak bardzo się myli.

Popatrzyłem na Sama, potem odwróciłem się i zapaliłem papierosa.

- Nigdy tego nie dokonasz, Sam - rzuciłem przez ramię.

- Nigdy nie sprawisz, by zmienił zdanie na jakikolwiek temat. Możesz mi wierzyć. Ja to wiem najlepiej. W końcu jest moim ojcem.

11

Przechodząc przez małe, służące za warsztat pomieszczenie spojrzałem na zegarek. Mechanik naprawiał właśnie jeden z automatów do sprzedaży papierosów. Uśmiechnął się do mnie od ucha do ucha.

- Będzie gotowy za parę godzin, panie Fisher.

- Nie spiesz się - powiedziałem. - I tak nie ma sensu wysłać go tam z powrotem.

Na twarzy mężczyzny odbiło się zrozumienie.

- Nic nie przychodzi? Potrząsnąłem głową.

- Ani jednego papierosa w całej dostawie. Poszedłem dalej w milczeniu.

I było to łagodne ujęcie sprawy. Już prawie od sześciu miesięcy łatwiej było zdobyć forsz niż papierosy, kolejki ustawiały się wszędzie tam, gdzie tylko podejrzewano, że mogą je rzucić.

Gdybym nie wykazał inteligencji i nie przewidział, że właśnie szykuje się coś takiego, już dawno poszedłbym z torbami. Ale rozumowałem prawidłowo i z pomocą paru facetów, którzy nie czuli wstrętu do zarobienia paru dolców ekstra, udało mi się zmagazynować trochę fajek.

Wykalkulowałem sobie, że nie mogę stracić, bez względu na to, co się stanie. Zawsze mogłem pchnąć fajki przez automaty. Ale wystąpił deficyt i teraz należałem do tych nielicznych facetów w branży, którzy mieli pełne magazyny. Przyszła moja kolej na robienie forsy.

Wsunąłem głowę do małego pokoiku na zapleczu, który służył za biuro.

- Czy Sam Gordon już dzwonił? - spytałem siedzącą tam dziewczynę.

Potrząsnęła głową. - Nie, panie Fisher.

- Zawołaj mnie, jak zadzwoni - powiedziałem i wróciłem do magazynu. Sam zadzwoni, wiedziałem o tym. Musiał, czy chciał, czy nie. Byłem zadowolony z siebie. Jeżeli ten deficyt utrzyma się jeszcze trochę, zbiję na tym ładną forszę. I kiedy skończy się wojna, będę ustawiony. Powinienem zarobić na tej operacji tyle szmalu, by mieć wszystkie najlepsze punkty w mieście.

Wróciłem do warsztatu i obserwowałem mechanika. Podniosłem gazetę leżącą na maszynie za jego plecami.

- Jak tam na wojnie? - zapytałem zdawkowo przerzucając kartki.

- Ostro - odparł mechnik. - Te nazisty to twarde sztuki.

- Dostaniemy ich - powiedziałem, nie myśląc o tym. Za bardzo pochłaniała mnie inna kwestia, a mianowicie czy Sam zgodzi się na cenę, którą miałem mu zamiar zaproponować? Wzięłem głęboki oddech. Musiał, albo nie będzie miał co sprzedawać w swoich koncesjach.

Rzuciłem okiem na tytuły. Niemcy wycofywali się z Francji, a trzecia armia Pattona deptała im po piętach.

- Dostaniemy ich - powtórzyłem.

- Mam nadzieję, panie Fisher - odpowiedział mechanik tonem, jakiego używa podwładny zwracając się do swojego szefa.

Oparłem się wygodnie plecami o warsztat i dalej przerzuca-

łem kartki. Wpadł mi w oko niewielki nagłówek - „Lokalna komisja cen OPA jest zdania, że nie ma deficytu papierosów.” Czytając notatkę, uśmiechnąłem się całą gębą. Jak na to, że deficyt nie istniał, strasznie dużo ludzi paliło skręty.

Gazeta cytowała oświadczenie komisji, że całą winę za braki papierosów ponoszą pozbawieni skrupułów spekulanci. Gromadzili je oni mianowicie w swoich magazynach, by zaopatrywać czarny rynek zamiast pchnąć je normalnymi kanałami.

Omiał nie roześmiałem się w głos. Byłem ciekaw co zrobiliby ci faceci z komisji, gdyby mieli taką okazję zbiccia forsy jak ja. Pchnęliby normalnymi kanałami? Cholernie wątpię! Zrobiliby dokładnie to samo co ja; skupili towar, zmagazynowali go i sprzedali po jak najwyższej cenie. To była jedyna szansa w swoim rodzaju, więc nie miałem zamiaru być takim idiotą, żeby ujawnić towar i sprzedawać go po normalnych cenach, kiedy mogłem dostać za niego dwa razy tyle, albo jeszcze więcej.

- Już działa, panie Fisher! - zawołał do mnie mechanik.

- Okay, Gus! - powiedziałem. - Jeżeli nie masz nic innego do roboty, spadaj do domu.

- Dzięki, panie Fisher. - Facet uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością. Odwrócił się do automatu.

- Szkoda tylko, że nie mamy dość fajek, żeby go uruchomić - rzekł.

- Mhm - odwzajemniłem uśmiech. - Szkoda. Ale może niepotrzebnie się martwimy. Komisja cen twierdzi, że nie ma deficytu papierosów.

Facet pokiwał głową.

- Czytałem to - powiedział porywczo. - To ci parszywi spekulanci. Nie dają nam, porządnym ludziom, zarobić na życie.

Zgodziłem się z nim. Miał absolutną rację. Patrząc, jak zdejmuje kombinezon, zastanawiałem się, co by zrobił, gdyby się dowiedział o moich zmagazynowanych fajkach. Prawdopodobnie poleciałby z wrzaskiem po gliny. Był z gatunku uczciwych durni. Całe szczęście, że złożyłem fajki w prywatnym składzie, z dala od magazynu. Dzięki temu nikt nie wiedział, co mam. Usłyszałem wołanie dziewczyny.

- Pan Gordon na linii!

- Już idę - rzuciłem gazetę na warsztat i pogałem do biura. Podniosłem słuchawkę. Dziewczyna porządkowała ja kies papiery na biurku i nie zwracała na mnie uwagi.

- Cześć, Sam! - powiedziałem do słuchawki.

- Co dzisiaj na czarnym rynku papierosowym, Danny?

- zapytał.

Wyszczrzyłem zęby do słuchawki.

- Spokojnie, Sam, spokojnie! Wiesz jaki jestem wrażliwy. Ranisz moje uczucia.

- Nic nie jest w stanie zranić twoich uczuć - rzucił Sam ostro - z wyjątkiem straty dolca!

- I w ten sposób zwraca się do mnie mój jedyny szwagier

- drażniłem się z nim. - I to właśnie wtedy, kiedy próbuję wyświadczyć mu przysługę.

- Bzdura! Znam cię - odparł Sam przyjacielskim tonem.

- Ile ci dzisiaj za nie płacą?

- To zależy - odpowiedziałem wymijająco. - Ile ci potrzeba?

- Pięć tysięcy kartonów - odparł. Gwizdnąłem.

- Sporo dymu - zauważyłem. - Myślę, że możesz wybulić trzy i pół od sztuki.

- Trzy i pół dolara od kartonu? - głos Sama o mało nie rozsadził słuchawki.

- Czemu się wkurwiasz? - zapytałem lekko. - Twoje dziewczynki przebijają to o pół dolca albo i lepiej.

Wiedziałem co mówię. Nie na darmo pracowałem dla niego przez tyle lat. Te małe, półnagie bobaski spacerujące po nocnych klubach ze sterczącą pod biustem tacą papierosów i śmiesznymi, prawie gołymi tyłeczkami wiedziały, jak wydoić frajera.

- Trzy piętnaście - targował się Sam. - Daj mi żyć. Ostatecznie gdyby nie ja, nie siedziałbyś w tym interesie.

- Trzy i pół - upierałem się. - Cholernie wysoko cię cenię, Sam, i nadal jestem ci winien sześć patoli, ale trzydzieści pięć centów to jest trzydzieści pięć centów.

To była prawda. Nie spłaciłem jeszcze Sama; całą napływającą forszę pakowałem w organizowanie punktów na mieście.

- Danny! - zakwilił Sam.

- Gdzie ci je dostarczyć? - zapytałem ignorując błagalną nutę w jego głosie. Wiedziałem, że może sobie pozwolić na zapłacenie takiej ceny. Robił forszę, jak nigdy przedtem.

Zapadła chwila milczenia; potem w słuchawce zabrzmiał jego zmęczony głos.

- Tam gdzie zawsze.

- Płatne przy odbiorze? . .

- Mhm - odpowiedział bez entuzjazmu. - I mam nadzieję, że OPA cię dostanie, łajdaku. Do widzenia.

Odłożyłem słuchawkę z uśmiechem. To było szybkie dziesięć patoli. Kupiłem ten towar płacąc półtora dolca za karton. Sięgnąłem do szuflady biurka i wyjąłem mały notesik. Przestudiowałem go uważnie. Miałem tam spis lokalizacji, które chciałem dostać. Ta forsa była mi bardzo potrzebna. Dochodziłem już prawie do końca listy.

Wkrótce będę mógł złożyć zamówienie na nowe automaty.

Spojrzałem w kalendarz. Zbliżał się koniec maja. Jeszcze parę dni i skończę dwadzieścia siedem lat. Czas uciekał, starzałem się.

Ponownie zajrzałem do notatnika. Lepiej złożyć zamówienia już teraz i zapewnić sobie dobrą pozycję u producentów. Jeżeli nie dostanę tych automatów, cały interes nie będzie wart złamanego centa.

12

Wszedłem do mieszkania z uśmiechem. Nellie stała pochylona nad piecem i zaglądała do garnka. Nadal zgięta w pół odwróciła ku mnie twarz, a ja pocałowałem ją w policzek.

- Co mamy na kolację, mała? - zapytałem radośnie.

- Pieczeń - odpowiedziała. - Z duszoną białą cebulką. Zerknąłem jej przez ramię, wdychając zapachy dolatujące z garnka.

- O rany, nieźle pachnie! - uśmiechnąłem się szeroko. - Jak tego dokonałaś?

- Koniec miesiąca już tak blisko, że rzeźnik zgodził się odciąć to z kartek na czerwiec - wyjaśniła.
 - Nie wiem, jak ty to robisz - powiedziałem pełen podziwu. - Harować cały dzień w tej cuchnącej fabryce, a potem przyjść do domu i ugotować takie żarcie!
 - Co za komplementy! - zażartowała. - Chyba czegoś chcesz.
- Potrząsnąłem głową.
- Nie. Mówię serio. Nie potrzebujemy forsy, dlaczego nie rzucisz tej roboty?
 - Myślałam o tym - powiedziała półzartem - ale chłopcy liczą na nas. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.
 - A ja liczę na ciebie - powiedziałem szybko. - Jak sobie poradzę, kiedy się wykończysz?
 - Nie wygłupiaj się, Danny.
 - Nie wygłupiam się. Ale uwielbiam pieczeń z malutką duszoną cebulką.
- Pchnęła mnie w stronę łazienki.
- Idź, umyj się - powiedziała roześmiana - siadamy do stołu.
- Poszedłem do łazienki uśmiechając się. Dobrze było widzieć ją znów szczęśliwą.
- Pomóc ci w zmywaniu? - zapytałem, nie podnosząc wzroku znad gazety.
 - W samą porę pytasz - odparła sucho. - Właśnie skończyłam.
- Chrząknąłem, rozsiadłem się wygodnie w fotelu i otworzyłem gazetę na kolumnie sportowej. Jankesi wyglądali na stuprocentowego pewniaka już teraz, na samym początku sezonu.
- Nellie weszła do salonu i zagłębiła się w fotelu naprzeciwko mnie.
- Jak dzisiaj poszło? - zapytała zmęczonym głosem. Nie udało mi się ukryć satysfakcji.
 - Ustrzeliłem Sama na pięć tysięcy kartonów. Dziesięć kawałków na czysto!
- Na jej twarzy pojawił się niepokój.
- Danny - powiedziała cicho. - Boję się. Co będzie, jeśli cię złapią?

Wzruszyłem ramionami.

- Przestań się martwić. Nie złapią.

- Ależ, Danny - zaprotestowała. - Czytałam w gazecie, że...

- W gazetach jest pełno bredni - przerwałem jej. - A poza tym, co mogą mi zrobić? Prawo nie zabrania sprzedaży papierosów.

Niepokój nie zniknął z jej twarzy.

- Pieniądze nie są tego warte - powiedziała trzeźwo. - Nic nie jest tego warte. Już nie sypiam po nocach.

Opuściłem gazetę i spojrzałem na nią.

- Wolałabyś, żebym był jeszcze jednym durniem? Już to przerabialiśmy, pamiętasz? Lubisz sytuację, w której nie masz dość forsy na jedzenie? Ja nie. Miałem tego dość.

Popatrzyła mi prosto w oczy.

- Nie obchodzi mnie to - powiedziała cicho. - Chcę tylko, żebyś trzymał się z dala od kłopotów.

- O mnie się nie martw, Nellie - rzekłem z przekonaniem, sięgając znów po gazetę. - Nic mi się nie stanie. Kiedy to się skończy, kochanie, będziesz nosiła norki i diamenty.

- Mogę się bez nich obejść - mruknęła. Wciąż wydawała się niespokojna. - Chcę tylko, żebyś był ze mną. - Wzięła głęboki oddech, widziałem jak jej dłonie zaciskają się w małe twarde pięści. - Po prostu nie chciałabym tłumaczyć juniorowi, za co jego ojciec siedzi w więzieniu.

Gazeta wyśliznęła mi się z rąk i upadła na podłogę.

- Co powiedziałaś? - zapytałem z niedowierzaniem. Uśmiechała się do mnie spokojnie, z ukrytą w oczach dumą kobiety, która nosi pod sercem dziecko.

- Słyszałeś - stwierdziła rzeczowo. - Będziemy mieli dziecko.

W jednej chwili zerwałem się na nogi i stanąłem nad nią podekscytowany.

- Dla... dlaczego nic nie powiedziałaś? - wyjąkałem. Oczy błyszczały jej ze szczęścia.

- Chciałam się najpierw upewnić - odparła.

Ukląknęłam przy niej. - Byłaś u lekarza? - zapytałem biorąc ją za rękę.

Skinęła głową. - Dziś rano, w drodze do pracy.

Przyciągnąłem ją delikatnie do siebie i pocałowałem w policzek.

- I mimo to poszłaś? Mogłaś chociaż zadzwonić do mnie i powiedzieć.

- Nie bądź niemądry - roześmiała się. - Nie byłbyś w stanie pracować.

- A ja siedziałem tu jak głupiec pozwalając ci zapracowy-wać się na śmierć. Kiedy to nastąpi?

- Mniej więcej za siedem miesięcy - odparła. - Gdzieś pod koniec listopada.

Osunąłem się na kanapę obok niej. Czułem się wspaniale. Miałem rację co do wielu spraw. Byłem pewien, że będziemy mieli drugie dziecko, kiedy tylko Nellie odzyska poczucie bezpieczeństwa. Westchnąłem z zadowoleniem.

- Szczęśliwy? - zapytała.

Skinąłem głową przypominając sobie, jak to było za pierwszym razem. Teraz sprawy wyglądały inaczej. I tak było dużo lepiej.

- Teraz możemy się stąd wynieść - odezwałem.

- Po co? - zapytała. - Tu jest nieźle.

- To nie jest odpowiednie miejsce dla dziecka, jeżeli można sobie pozwolić na coś lepszego - powiedziałem z przekonaniem. - Znajdźmy miejsce, gdzie będzie trochę słońca i powietrza.

Oparła się plecami o kanapę.

- Takie miejsca są bardzo drogie, Danny - zaprotestowała słabo. - Wiesz jak trudno jest znaleźć coś takiego, i trzeba teraz dawać łapówki, jeżeli chce się kupić jakiegokolwiek mieszkanie.

- Kto mówi o mieszkaniu? - zapytałem. - Chcę kupić dom!

- Dom! - Teraz ona była zaskoczona. - To w ogóle odpada. Na dom trzeba dużo pieniędzy. Wolałabym zostać tutaj i nie szastać forszą.

- Do diabła z tym! - powiedziałem buntowniczo. - Dla kogo zbijam szmal, jeśli nie dla ciebie i dla dzieciaka!

13

Wsiadając do samochodu czułem jak palące sierpniowe słońce siada mi na karku i wyciska ze mnie ostatnią kroplę wilgoci. Nacisnąłem starter. Silnik prychnął i zgasł. Włączyłem ssanie i jeszcze raz nacisnąłem starter. Silnik zakaszlał i zaczął pracować na zwolnionych obrotach, potem zachłysnął się i zdechł.

Spojrzałem na tablicę rozdzielczą. Wskazówka amperomierza drgała na zerze. Nacisnąłem ponownie starter. Bez rezultatu; akumulator był do niczego. Zrezygnowany wyłączyłem zapłon i wysiadłem z wozu. Stałem gapiąc się na samochód jak na zdrajcę. Zakląłem cicho. Obiecałem Nellie, że wrócę dzisiaj wcześniej.

Spojrzałem na zegarek. Wpół do piątej. Stracę godzinę na doładowanie albo wymianę akumulatora i Nellie będzie wściekła jak wszyscy diabli. Zamknąłem samochód i ruszyłem w stronę metra. Najbliższa stacja znajdowała się w odległości sześciu przecznic i zanim tam dotarłem, byłem zlany potem. Wrzuciłem pięć centów do kołowrotka i wyszedłem na peron.

Na peronie zachciało mi się pić. Rozejrzałem się za stoiskiem z gazetami. Czasami można było tam kupić zimną colę. Dobrze by mi zrobiła taka puszczałka. Stoisko znajdowało się na drugim końcu peronu i dopiero w połowie drogi zorientowałem się, że jest zamknięte. Stałem oburzony. Nic mi się nie udawało tego popołudnia. Najpierw nawalił mi samochód, a teraz nie mogę się nawet napić. Pragnienie wróciło, bardziej dokuczliwe niż przedtem, spotęgowane doznany zawodem.

Wyrzebałem z kieszeni centa i wrzuciłem do automatu z gumą do żucia. Może guma pomoże mi przetrwać do chwili, kiedy będę mógł dostać coś do picia.

Pociąg wjechał z łoskotem na stację i wsiadłem do wagonu obserwując leniwie współpasażerów. Ich mokre od potu twarze połyskiwały niesamowicie w żółtym świetle. Znudziło mnie to szybko. Szkoda, że nie pomyślałem o kupnie gazety.

Wszystkie twarze w metrze są takie same: tępe, zmęczone i puste. Najprawdopodobniej wszyscy ci ludzie byli równie zgrzani i spragnieni jak ja, i było im równie niewygodnie.

Przeniosłem wzrok na napisy ciągnące się wzdłuż ściany wagonu, tuż nad głowami. Pierwsze, co wpadło mi w oko, to była reklama coca-coli.

To samo co zawsze, zdjęcie roześmianej, tryskającej zdrowiem dziewczyny. Wyglądała świeżo i rześko, a za jej plecami widniała ta sama co zawsze bryła lodu. Dziewczyna trzymała w ręku butelkę coca-coli, a niżej widniały te same co zawsze słowa: chwila orzeźwienia.

Ślina napłynęła mi do ust. Guma do żucia zrobiła się nagle sucha i bez smaku. Zobaczyć coś takiego, kiedy człowiek umiera z pragnienia, to duża przykrość. Człowiek czuł się zrobiony w cholernego konia.

Pociąg zatrzymał się na następnej stacji i wyrząłem przez okno. Facet wrzucał centa do automatu z gumą. Twarz miał czerwoną i błyszczącą od potu, usłyszałem brzęk monety, kiedy pociągał za rączkę.

Drzwi zaczęły się zamykać i znów zerknąłem w górę na reklamę coca-coli. Do diabła z gumą do żucia, pomyślałem niemrawo; mogliby zamiast tego postawić na peronach parę moich automatów z zimnymi napojami. Opłaciłoby im się. I wtedy do mnie dotarło. Przypomniałem sobie coś, co powiedziała kiedyś pewna dziewczyna; pracowałem jeszcze wtedy w stoisku z napojami chłodzącymi. Dziewczynę też sobie przypomniałem. Miała płuca jak się patrzy i pamiętam, jak wypychała je nad ladą celując we mnie. „Powinni w metrze mieć jakieś stoiska, gdzie można by dostać colę, kiedy człowiekowi chce się pić” - powiedziała wtedy.

Oszołomiony gapiłem się na reklamę. W kategorii życiowych nieudaczników zajmowałem niekwestionowaną, pierwszą lokatę. Przez cały czas miałem to przed samym nosem i nie widziałem. Najlepsza lokalizacja na świecie: nowojorskie metro. Wszystko, co należało zrobić, to ubić interes z władzami miasta. Reszta pójdzie jak po maśle. Mógłbym zapomnieć o pracy na resztę swojego życia. Ludzie w metrze wyglądali na zgrzanych i spragnionych. Oczami wyobraźni widziałem, jak wrzucają pięciocentówki do moich automatów z colą. I, do diabła, to nie były tylko zimne napoje, zimą mógłbym serwować im gorącą kawę.

Wpadłem w podniecenie. Nie mogłem pozwolić, żeby taki interes przeszedł mi koło nosa. To był ten przebój, na

który czekałem, lokalizacja - cud. Całe szczęście, że samochód się zepsuł. Potrzebowałem czegoś takiego, żeby się ocknąć. Kiedy chce się załapać prawdziwą forszę, trzeba zejść do ludzi. Forsa była tam, gdzie byli ludzie. Woolworth miał słuszość: należy łapać pięcio- i dziesięciocentówki. Jeżeli umiałeś to ro bić, byłeś ustawiony. A pięcio- i dziesięciocentówki w metrze składały się na forszę większą niż ta, która przepływała przez wszystkie domy towarowe na Fifth Avenue.

Niecierpliwie nacisnąłem dzwonek. Spojrzałem na Nellie stojącą w białym, przyćmionym świetle korytarza. Ponownie przycisnąłem i uśmiechnąłem się do niej. Podobała mi się. Lekko zaokrąglona sylwetka dodawała jej jeszcze atrakcyjności.

- Nadal nie wiem, dlaczego musisz koniecznie dziś zobaczyć się z Samem - powiedziała z irytacją. - Mogłeś zrobić to jutro.

Popatrzyłem na nią ze zrozumieniem. Było gorąco i kiepsko się czuła. Gorzej niż zwykle.

- Pewnie mógłbym - odparłem prędko - ale jeżeli ma się pomysł, trzeba zakładać, że ktoś inny też może go mieć. A to nie może czekać, musimy...

Drzwi otworzyły się i umilkłem.

W drzwiach stała Mimi. Na nasz widok przez jej twarz przemknął wyraz zaskoczenia.

- Danny! Nellie! Nie spodziewaliśmy się was! - uśmiechnęła się i cofnęła o krok, żeby nas przepuścić.

Byłem już w przedpokoju.

- Przyszedłem zobaczyć się z Samem w interesach - wyjaśniłem, szukając go wzrokiem w salonie. - Jest w domu?

W odpowiedzi usłyszałem jego ryk dochodzący z głębi mieszkania.

- Kto to, Mimi?

- Nellie i Danny! - odkrzyknęła. - Danny ma do ciebie interes. - Zwróciła się znowu do nas. - Wchodźcie - zaprosiła.
- Sam zaraz zejdzie.

Przeszliśmy za nią do salonu.

- Jak się czujesz? - zwróciła się do Nellie ze współczuciem.

- Wspaniale - odpowiedziała radośnie. - Gdyby mi lekarz nie powiedział, że jestem w ciąży, nigdy bym w to nie uwierzyła.

- Masz szczęście - rzekła Mimi. - Ja czuję się zawsze koszmarnie - zniżyła głos do poufnego szeptu, jakiego kobiety używają przy omawianiu swoich spraw.

- Gdzie on się podziewa? - przerwałem jej niecierpliwie. O ciąży Mimi słyszałem już tysiące razy.

- Bierze przysznic - wyjaśniła. - Nie znosi tych upałów, wiecie, jaki jest masywny.

Pokiwalem głową i ruszyłem w stronę schodów dwupoziomowego mieszkania.

- Wy, panienki, trajkoczcie sobie dalej - zawołałem przez ramię. - Mogę rozmawiać z Samem pod przysznicem.

Kiedy wlałem mu do łazienki, stał przed lustrem z ręcznikiem obwiazanym wokół bioder i cesał się.

- Czego chcesz? - zapytał z odcieniem rozdrażnienia.

- Co myślisz o zarobieniu miliona dolców? - zapytałem entuzjastycznie.

Rzucił mi spojrzenie w lustrze. To było podejrzliwe spojrzenie.

- Nie jestem zainteresowany - odpowiedział pospiesznie. - Za każdym razem, kiedy przychodzisz do mnie z jakimś pomysłem, sporo mnie to kosztuje.

- Przestań się zgrywać - powiedziałem. - Tym razem naprawdę coś mam. Słuchasz czy nie?

Odłożył grzebień i odwrócił się do mnie ze znużeniem.

- Dobra - zgodził się. - Mów. Tak czy inaczej będę zmuszony cię wysłuchać.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

- Próbowaleś kiedyś kupić colę w metrze? - zapytałem. Wyglądał na oszołomionego.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - zapytał. - Wiesz, że nie byłem w metrze od lat. To dobre dla plebsu.

Opuściłem klapę sedesu i usiadłem.

- Właśnie w tym rzecz - powiedziałem łagodnie. - Powinieneś od czasu do czasu zniżyć się do plebsu, żeby me zapomnieć, skąd się wzięłeś.

Wyglądał na poirytowanego.

- Jeszcze nic nie słyszałem o twoim złotodajnym pomysle

- warknął.

- Owszem, słyszałeś - powiedziałem. - Rzecz w tym, że zbyt dawno nie byłeś wśród plebsu, i nie załapałeś. Ja też mógłbym to przegapić, gdyby nie fakt, że zepsuł mi się samochód. . .

- No więc, od dawna nie byłem wśród plebsu - powiedział z odrazą. - Przestań wreszcie pleść bzdury i albo powiedz o co chodzi, albo wynoś się i pozwól mi się ubrać.

Zapaliłem papierosa i strzeliłem w niego smugą dymu.

- Pamiętasz, jak dawno, dawno temu - powiedziałem cicho

- kiedy byłeś jeszcze jednym z sześciu milionów plebejuszy w tym mieście, wracałeś z pracy do domu? Było ci gorąco, byłeś zmęczony, chciało ci się pić, i wszystko to uświadamiałeś sobie w metrze. Oddałbyś życie za puszkę czegoś zimnego, ale kiedy się rozglądałeś, nie było nic do picia i musiałeś czekać, aż dojedziesz na miejsce - przerwałem dla nabrania oddechu.

- Co usiłujesz zrobić? Zdobyć Nagrodę Akademii Filmowej za najlepszy monodram roku? - zapytał złośliwie, zanim mogłem kontynuować.

Czułem, że się czerwienię. Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem aż tak dramatyczny.

- Jeszcze nie rozumiesz? - zapytałem. Chyba kompletnie stępsiał.

Potrząsnął głową.

- Nie rozumiem - oznajmił beznamiętnie. - Jestem gatunkiem z Central Parku. Jestem głupi. Nie jestem jednym z tych inteligentnych plebejuszy.

- Kupiłbyś colę, gdyby na peronie stał jeden z moich automatów? - zapytałem szybko.

Wycierał już twarz ręcznikiem. Teraz opuścił ręce i wlepił we mnie oczy. Mignął w nich błysk zainteresowania.

- Powtórz to jeszcze raz, Danny - powiedział ostrożnie. - Powoli. Teraz cię słucham!

To był interes co się zowie. Nawet Sam musiał to przyznać. Zaangażował się bez reszty. Utworzyliśmy osobną firmę, która obsługiwała wyłącznie metro. Sam miał wyłożyć forszę i wszystko zorganizować, ja poprowadzić interes. Było mnóstwo spraw do załatwienia, więcej niż myślałem, że to w ogóle możliwe. Od kiedy wszedłem w ten biznes, byłem tak zaganiany, że musiałem sprowadzić Zepa, by się zajmował bieżącymi sprawami, podczas gdy ja poświęciłem się nowej firmie.

Automaty do coli w metrze. Kto by pomyślał, że taka prosta rzecz może kosztować tyle czasu i wysiłku? Należało spotkać się z tyloma urzędnikami, by uzyskać ich zgodę, że czasami byłem tym oszołomiony. I nie dość na tym, bo kiedy miałem już wszystkie papierki z administracji miejskiej, pozostali mi jeszcze politycy.

Do tego potrzebne były stosunki, więc od razu poszedłem z tym do Sama. Sam miał wiele dojść, a i tak natrafiliśmy na ciężki orzech do zgryzienia w osobie Mario Lombardiego, cichego, małego człowieczka, który zatrudniał agenta prasowego nie po to, żeby zapewnić sobie obecność na pierwszych stronach gazet, ale by prasa trzymała się od niego z daleka. Tak czy owak figurował na pierwszych stronach, bo takiego faceta jak Lombardi nie można było zepchnąć na dalszy plan. Miał za dużą władzę w swoich rękach. Okazało się, że w Nowym Jorku nie można zrobić nic naprawdę wielkiego, jeżeli Mario Lombardi nie wyrazi na to zgody. Mimo najlepszych intencji lokalnych władz. A Sam znał tylko jeden sposób dotarcia do Mario Lom-bariego. Przez Maxiego Fieldsa. Wolałbym, żeby istniała inna droga - obojętnie jaka, byleby omijała Fieldsa. Ale Sam zapewnił mnie, że innej nie ma. Więc pogadaliśmy najpierw z Maxiem, a teraz siedzieliśmy w biurze Mario Lombardiego w jego apartamentach na górnej Park Avenue i wyglądało na to, że lada chwila będziemy mieli współników.

Przechyliłem się w tył na oparcie fotela, a dym z mojego

papierosa sącył się w górę wąską smużką. Spojrzałem sceptycznie na siedzącego za biurkiem gospodarza.

- Więc dopuszczamy pana do interesu, panie Lombardi - powiedziałem niedbale. - Jaką mamy gwarancję, że nasza umowa będzie aktualna po wojnie? Ostatecznie polityka to niepewny interes. Można wypaść z gry.

Lombardi strzepnął delikatnie popiół z cygara, błyskając ku nam wielkim diamentowym pierścieniem, który nosił na małym palcu. Patrzył na mnie bez zmrużenia powiek.

- Mario Lombardi nie składa obietnic, których nie może dotrzymać, Danny - odpowiedział cicho. - Nie obchodzi mnie kto będzie rządził tym miastem po wojnie. To moje miasto i ja będę grał tu pierwsze skrzypce.

- To prawda, Danny - Fields łąsił się do Lombardiego, i to było wręcz, obrzydliwe. - Nie załatwisz nic w tym mieście, dopóki Mario nie powie okay.

Spojrzałem na niego zimno. Nadal go nie lubiłem. Było w nim coś, co głąaskało mnie pod włos.

Sam obojętnie skinął głową, miał nieprzeniknioną twarz.

Zgadzał się, więc zwróciłem się do Lombardiego. Drobny, śniady mężczyzna, elegancki w tradycyjnym, szarym garniturze, wydawał się bardziej zainteresowany swoimi paznokciami niż naszą rozmową. Westchnąłem cicho.

Zrobiliśmy wszystko, co się dało, reszta spoczywała w ręku Boga.

Odwiedziłem już wszystkich drugorzędnych polityków w tym mieście i wszyscy oni twierdzili to samo; tylko Lombardi jest dostatecznie potężny, żeby rozbijać taki interes. Więc wzięliśmy sobie wspólników.

- Okay, Mario - powiedziałem w końcu. Nie należało zwracać się do wspólnika po nazwisku. - Umowa stoi.

Dostajesz dziesięć procent z zysków.

Lombardi wstał i wyciągnął do mnie rękę.

- Nie pożałujesz tego, Danny - oznajmił. - Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował, przychodź.

Uścisnąłem mu dłoń.

- Czegokolwiek? - zapytałem z uśmiechem. Lombardi skinął głową pokazując zęby, przeraźliwie białe w smagłej twarzy.

- Tak właśnie powiedziałem.

- Więc znajdź mi mieszkanie - powiedziałem szybko.

- Moja żona zabija się szukając czegoś odpowiedniego, a jest w szóstym miesiącu.

Nellie nadal trzymała rękę na forsie, nie pozwalając mi kupić domu.

Uśmiech Lombardiego zmienił się w kwaśny grymas. Wzruszył wymownie ramionami i rozejrzał się po pokoju. W jego ciemnych oczach czaiła się iskierka zażenowanego poczucia humoru.

- Średnie komorne? Skinąłem głową.

- Między siedemdziesiąt pięć a sto dolców miesięcznie. Grymas na jego twarzy pogłębił się. Uniósł dłonie wyrazistym ruchem.

- Poproś mnie o coś tak prostego, a jestem w kropce

- przyznał. - Dziś rano wystarczyła mi rozmowa, żeby sobie kupić sędziego, potem załatwiłem umowę budowlaną, jadłem lunch z prezydentem miasta, a jeszcze wcześniej załatwiłem sobie milionową pożyczkę. Teraz przychodzisz i prosisz mnie o coś łatwego, a ja nawet nie wiem jak się do tego wziąć. Powiedz żonie, żeby przestała wypruwać sobie żyły, Danny. Idź i kup jej dom!

- Jedziesz w moją stronę, Danny? - zapytał Fields tubalnym głosem, kiedy wyszliśmy na ulicę.

Skinąłem głową i zwróciłem się do Sama.

- Zobaczymy się jutro.

- Jasne - odparł wsiadając do swojej żółtej limuzyny marki Cadillac. - Do rana.

Patrzyliśmy, jak odjeżdża, potem zaprowadziłem Fieldsa do swojego wozu. Milczałem. Kalkulowałem w myśli.

Dziesięć procent dla Lombardiego i pięć dla Fieldsa za kontakt. Przerwał mi.

- Ten Sam to bystry gość - powiedział, wciskając swoje masywne cielsko na przednie siedzenie.

Wlepiłem w niego zdumiony wzrok. Po raz pierwszy odkąd go znałem, Maxie Fields powiedział coś miłego o kimkolwiek.

- Mhm - odparłem, uruchamiając samochód i włączając się do ruchu.
- Dochrapał się cholernego interesu - kontynuował dobrotliwie. - I cały czas idzie do przodu.
Zastanawiałem się do czego zmierza. Ograniczyłem się do uszczypliwej uwagi.
- Pracuje - powiedziałem. - Cały czas pracuje.
- Właśnie, właśnie - zgodził się skwapliwie. Za skwapliwie. - Jeżeli dobrze rozumiem, ty też masz poważny udział w tym biznesie. Szliście ręka w rękę.
Zerknąłem na niego kątem oka. Twarz Fieldsa była spokojna, wyglądał przez okno samochodu.
- Mhm - odpowiedziałem.
- Gdyby coś mu się stało, musiałbyś chyba przejąć jego interes, żeby pomóc siostrze - ciągnął.
Przez moment byłem zbyt zaskoczony, żeby myśleć.
- No, tak - wykrztusiłem. - Chy... chyba musiał bym. Zatrzymaliśmy się na światłach i poczułem na twarzy jego wzrok. Obserwował mnie uważnie.
- Gdyby kiedykolwiek wpadło ci do głowy, żeby zrobić coś w tym rodzaju - zaproponował niedbale - moglibyśmy pogadać. Chyba mógłbym ci pomóc.
Poczułem mdlące uczucie w żołądku. Zacisnąłem dłonie na kierownicy aż zbieleły mi kostki. Udało mi się zachować równie niedbały ton.
- Jestem zadowolony z tego co mam, Maxie. Nieźle mi idzie.
- Cóż, czarny rynek na fajki nie będzie trwał wiecznie, chłopcze - jego głos był szorstki i szczery. - A wojna może trwać jeszcze długo. Zapamiętaj tylko, co ci powiedziałem, na wypadek, gdybyś zmienił zdanie.
Reszta drogi do centrum minęła w milczeniu. Nie mogłem doczekać się chwili, kiedy pozbędę się go z samochodu. Musiałem z nim współpracować i już sam ten fakt był wystarczająco okropny, ale nie mogłem znieść jego obecności ani o sekundę dłużej niż było to absolutnie konieczne.

Wchodząc do mieszkania usłyszałem szum elektrycznego wiatraka. Pochodził z sypialni, ruszyłem więc na palcach w tamtym kierunku. Przez otwarte drzwi zobaczyłem leżącą na łóżku Nellie.

Spała z głową opartą na ramieniu, łagodny powiew wiatraka poruszał prześcieradłem, którym była przykryta. Patrzyłem na nią przez chwilę, potem odwróciłem się i ruszyłem cicho do drzwi.

- Danny! - zawołała za mną.

Odwróciłem się. Patrzyła na mnie ciemnymi oczyma.

- Byłam taka zmęczona - powiedziała cichutko - że zasnęłam.

Usiadłem przy niej na łóżku.

- Nie chciałem cię budzić.

- Nie obudziłeś mnie - odparła. - I tak muszę zrobić kolację. Ale cały dzień zszedł mi na szukaniu mieszkania i nic nie znalazłam. A potem poczułam się tak słabo, że musiałam się zdrzemnąć.

Uśmiechnąłem się do niej wyrozumiale.

- Dlaczego nie zrezygnujesz i nie pozwolisz mi kupić domu. Nawet Mario Lombardi nie może nam załatwić mieszkania.

- To tyle pieniędzy, Danny! - zaprotestowała, siadając na łóżku.

Nachyliłem się do niej.

- Przestań martwić się o pieniądze, kochanie - powiedziałem łagodnie. - Lombardi zgodził się na interes z metrem.

Stać nas na to.

Patrzyła mi badawczo w oczy.

- Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz, Danny? Skinąłem głową.

- Całe życie chciałem mieć swój własny dom.

I dopiero mówiąc te słowa zrozumiałem, ile prawdy się w nich kryje. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak we własnym domu.

- Chcę tego - dodałem.

Zrobiła nagły, ostry wdech i zarzuciła mi ramiona na szyję.

- Dobrze, Danny - czułem jej oddech przy swoim uchu. - Jeżeli tego chcesz, kupimy dom.

15

Drzewa urosły, pomyślałem wjeżdżając w ulicę. Nellie spoglądała przez okno w milczeniu. Zerknąłem na nią, prowadząc wolno w górę ulicy, ale twarz miała nieprzeniknioną.

Wiele się tu zmieniło w ciągu prawie dwudziestu lat. Domy postarzały się i widać było na nich ślady opadów i wiatru. Niektóre wymagały odnowienia, i to pilnie. Jedno się nie zmieniło. Mimo indywidualnych różnic, wszystkie były do siebie podobne.

Zatrzymałem samochód przed naszym domem, wyłączyłem silnik i odwróciłem się do Nellie. Siedziała w milczeniu patrząc na dom. Mój wzrok powędrował w tym samym kierunku.

Zalała mnie fala ciepła, od dawna nie zaznane uczucie głębokiej satysfakcji. Teraz miał to być naprawdę mój dom.

- Agent powiedział, że będzie nas oczekiwał w środku - odezwałem się.

W oczach Nellie malowało się ponure zamyślenie.

- Danny - powiedziała z wahaniem. - Może powinniśmy poczekać jeszcze trochę. Może nie powinniśmy się z tym spieszyć. Możemy znaleźć coś innego.

- Co? - zapytałem sceptycznie. - Szukaliśmy przez półtora miesiąca i nie znaleźliśmy nic, co by się nam podobało.

Jest połowa września i jeżeli chcemy mieć dom na pierwszego października, musimy się zdecydować.

- Nie musimy się spieszyć - powiedziała - Możemy poczekać, aż urodzi się dziecko.

Potrząsnąłem głową.

- O, nie. Chcę mieć wszystko gotowe. - Otworzyłem drzwiczki. - Chodźmy.

Wolno wysiadła z samochodu i stanęła na chodniku. Wyciągnęła rękę i dotknęła mojego ramienia. W jej oczach malowała się głęboka troska. Zadrżała lekko.

Spojrzałem na nią z nagłym niepokojem. Nie miała powodu, żeby drżeć. Grzało słońce i był niemal upał.

- Co się stało? - zapytałem. - Źle się czujesz?

Potrząsnęła głową.

- Dobrze.

- Więc dlaczego drżysz? - dopytywałem się. - Zimno ci?

- Nie - powiedziała półszepem. - Ogarnęło mnie nagle straszne uczucie. Bałam się przez chwilę.

Uśmiechnąłem się.

- Czego miałabyś się bać? Odwróciła się i spojrzała na dom.

- Nagle zaczęłam się bać o ciebie, Danny. Czuję, że stanie ci się coś straszego.

Zaśmiałem się głośno.

- Co mi się może stać? - zapytałem. - Jesteśmy ustawieni. Nic nie ma prawa mi się stać.

Zacisnęła mocniej dłoń na moim ramieniu.

- Ten dom dużo dla ciebie znaczy, prawda, Danny? - zapytała nie odrywając od niego wzroku.

- Mhm - odparłem. - Miał być mój od samego początku, ale nigdy naprawdę nie był. Teraz będzie.

Odwróciła się do mnie z nagłym zrozumieniem.

- I przez całe życie próbowałaś się odegrać. Nie zrozumiałem.

- Co masz na myśli?

- Chciałaś tego przez cały czas. Bardziej niż czegokolwiek - wyjaśniła.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Może miała rację. Ale było to teraz zupełnie nieważne. Tak się złożyło, że mój stary dom był do nabycia akurat w momencie, kiedy szukaliśmy mieszkania. A w istniejącej sytuacji nowe domy okazały się nie do kupienia. Wszystko ułożyło się wręcz idealnie. Nie miałem nic przeciwko temu, że właśnie teraz znalazł się na rynku.

W milczeniu odwróciłem się w stronę domu.

Pociągnęła mnie za rękaw.

- Danny, może nie powinniśmy go kupować - powiedziała poważnie. - Może to było przeznaczenie, żebyś tutaj nie mieszkał. Mam wrażenie, jakbyśmy kusili los wracając tutaj.

Uśmiechnąłem się. Ciężarne kobiety zawsze miały przeczucia i zawsze wszystko widziały na czarno. Jakby chodzenie z brzuchem dawało zdolność widzenia przyszłości.

- Nie bądź niemądra, Nellie - powiedziałem. - To tylko dom.

Ruszyła w stronę drzwi wejściowych, ale skierowałem ją w alejkę i przeszliśmy między domami do ogrodu. Ogród też się zmienił. Kiedy tu mieszkaliśmy, wyglądał jak pustynia, teraz pełno w nim było klombów, krzewów i roślin. Spojrzałem w kąt przy płocie i przypomniałem sobie tę noc, kiedy wróciłem tu z Rexie, żeby ją pochować. Teraz rósł w tym miejscu wielki krzak róży. Zastanawiałem się, czy zakłócono jej spokój.

- Panie Fisher! - zawołał czyjś głos.

Odwróciłem się. Alejką szedł ku nam agent. Pomachałem mu ręką.

- Chciałby pan już obejrzeć dom, panie Fisher? - zapytał.

Skinąłem głową. Byłem gotów.

Drewniane schody skrzypiały przyjaźnie pod moimi stopami. To był powitalny dźwięk.

- Witamy Danny - wydawały się cicho szeptać. Jasne światło w oknie przybladło, kiedy chmura przesłoniła słońce i dom pociemniał. .

Stałem w progu swojego dawnego pokoju. Nellie i pośrednik zostali w innej części domu. Wszedłem cicho i zamknąłem za sobą drzwi.

Już to kiedyś zrobiłem, dawno temu. Rzuciłem się wtedy na podłogę i przycisnąłem policzek do chłodnego drewna. Byłem za stary, żeby teraz zachować się tak samo. Pewnego dnia zrobi to za mnie mój syn.

- Długo cię nie było, Danny - zdawał się szeptać pokój. Długo Spojrzałem na podłogę, ale nie znalazłem ciemnej plamy w miejscu, gdzie zwykła leżeć Rexie. Starło ją wielokrotne wiórkowanie i lakierowanie. Chropowatość ścian i sufitu zniknęła pod wieloma warstwami farby i wapna. Pokój wydawał się mniejszy, niż go zapamiętałem. Może dlatego, że pamiętałem go z czasów, kiedy byłem bardzo mały i odnosiłem wszystko do siebie. Podszedłem do okna i odruchowo spojrzałem na dom po drugiej stronie alejki.

Lata temu mieszkała w tamtym pokoju dziewczyna. Usiłowałem przypomnieć sobie, jak miała na imię, ale pamiętałem tylko jej podświetlone od tyłu ciało. Usłyszałem jak woła mnie jej mroczny głos i spojrzałem w okna. Były puste, zasłonięte żaluzjami. Odwróciłem się znowu w stronę pokoju. Zdawał się żyć własnym życiem.

- Tęskniłem za tobą, Danny - szeptał. - Wróciłeś do domu na dobre? Czuję się samotny bez ciebie.

Poczułem nagle zmęczenie i oparłem się o parapet. Ja też byłem samotny. Tęskniłem za tym domem bardziej, niż to sobie uświadamiałem. Wiedziałem już teraz co Nellie miała na myśli. Kryła się w tych ścianach jakaś obietnica, która

- wiedziałem - zostanie dotrzymana. Była wypisana wszędzie, gdzie tylko się obróciłem.

- Będę dbał o twego syna, Danny, tak jak dbałem o ciebie. Dopilnuję, żeby rósł wysoki i silny, szczęśliwy i zadowolony, mądry i wyrozumiały. Będę go kochał tak, jak kocham ciebie, Danny, jeżeli wróciłeś tu na dobre.

W holu rozległy się kroki i otworzono drzwi. Nellie z pośrednikiem weszli do pokoju. Obrzuciła spojrzeniem moją twarz i podeszła do mnie szybko. Jej głos rozbrzmiewał ciepło w pustym pokoju.

- Danny, dobrze się czujesz?

Powoli do niej wróciłem. Patrzyła na mnie z głęboką troską w oczach.

- Dobrze - powtórzyłem za nią. - Oczywiście.

- Ale jesteś blady - powiedziała.

W tym momencie zza chmur wychyliło się słońce.

- To sprawa oświetlenia - roześmiałem się czując, że wracam do normy.

Nie spuszczała ze mnie wzroku.

- Jesteś pewien, że nic ci nie jest, Danny? - zapytała niespokojnie. - Niepokoją cię może duchy?

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem. Nie wierzyłem w duchy.

- Nie - odpowiedziałem łagodnie. Pośrednik patrzył na mnie z ciekawością.

- Pańska żona powiedziała mi, że mieszkał pan kiedyś tutaj, panie Fisher.

Skinałem głową.

Uśmiechnął się szeroko.

- Cóż w takim razie nie muszę opowiadać panu o domu. O tym jak solidnie jest zbudowany. Nowe budynki nie są nawet w połowie takie dobre. Co pani powie, pani Fisher/

Patrzyła na niego przez chwilę, potem zwróciła się do mnie.

- Jak myślisz, Danny?

Wzięłam głęboki oddech i rozejrzałam się dookoła. Wiedziałem co powiem. Zawsze wiedziałem. A dom pełen był dźwięków, które mówiły mi, że on też zna moją odpowiedź.

- Myślę że go weźmiemy - powiedziałem. - Mozę pan zająć się zorganizowaniem malarzy na jutro, tak żebyśmy mogli wprowadzić się tu pierwszego.

Na widok Sama wchodzącego do mojego biura zerwałem się na równe nogi. Zjawił się u mnie po raz pierwszy.

- Sam! - zawołałem ze zdziwieniem w głosie. - Co to za okazja?

Spojrzał znacząco na dziewczynę siedzącą przy drugim biurku. Odesłałem ją i zwróciłem się do niego.

- O co chodzi?

Opadł na krzesło, które zwolniła dziewczyna.

- Zaczynam być zmęczony tym, że co tydzień muszę do ciebie dzwonić po nowe papierosy. Chcę mieć stałą dostawę.

Uśmiechnąłem się z ulgą. Przez chwilę myślałem, że przyszedł zgłosić zastrzeżenia co do złożonych przeze mnie zamówień na automaty. Wydawałem jego pieniądze jak własne.

- Chyba żartujesz, Sam - powiedziałem z dezaprobatą. - Nikt nie może ci tego zagwarantować. Towar jest trudny do zdobycia.

- Możesz go mieć - powiedział z przekonaniem.

- Chciałbym być tego taki pewien - odezwałem się prędko.

- Potrzebuję dwustu kartonów tygodniowo - powiedział i głos mu stwardniał. - Dopilnujesz, żebym je dostał.

- A jeżeli nie? - rzuciłem mu wyzwanie. Nie stanowiło to dla mnie żadnego problemu, ale chciałem sprawdzić, skąd Sam jest tak cholernie pewny swego.

Wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru i rzucił mi na biurko.

- Zerknij na to - powiedział.

Wziąłem kartkę i spojrzałem. Była to kopia moich rachunków z magazynu. Oznaczało to, że wie gdzie złożyłem cały towar, wszystko, aż do ostatniego kartonu. Zwróciłem się do niego oszołomiony.

- Skąd to masz? - zapytałem. Uśmiechnął się szeroko.

- Ma się sposoby - odparł wymijająco. - No i co, dostane te fajki?

- A jeśli założymy, że mimo wszystko, powiem nie?

- zapytałem.

- Komisja cen byłaby zachwycona mając te rachunki

- uśmiechnął się.

- Nie zrobiłbyś mi tego, Sam! Uśmiechnął się.

- Oczywiście, że nie, Danny - rzekł zdawkowo. - Tak jak ty nie powiedziałabyś Mimi o tych różnych sprawach.

Przywołałem na twarz wyraz rozczarowania i bólu.

- Nigdy nie przypuszczałem, że zrobisz coś takiego, Sam

- powiedziałem ponuro, walcząc z chęcią do parsknięcia śmiechem.

Twarz Sama nosiła wyraz rozkosznego triumfu.

- Nie lubisz, kiedy ktoś zwycięża cię twoją własną bronią, co, ty pieprzony szantażysto?!

To mnie dobiło. Nie byłem w stanie powstrzymać ataku śmiechu. Wypełnił pokój.

Gapił się na mnie ze zdumieniem.

- Co z tobą, Danny? - zapytał burkliwie. - Zbikowałeś? Spojrzałem na niego przez napływające do oczu łzy.

W końcu udało mi się złapać oddech.

- Pomyślałem tylko, szwagrze - wykrztusiłem - że to kapitalna metoda współpracy.

Do niego też dotarła humorystyczna strona naszej rozmowy i zaczął się śmiać.

Potem zabrałem go do magazynu i pokazałem co i jak. To otworzyło mu trochę oczy. Nie zdawał sobie sprawy, że przedsięwzięcie nabrało takich rozmiarów. Kiedy wróciliśmy do biura i pokazałem mu listę lokalizacji, które już załatwiłem, ujrzałem w jego oczach błysk podziwu.

- Masz tu prawie tyle, ile w interesie z metrem - stwierdził zaskoczony.

- Więcej - powiedziałem szybko. - Kiedy skończę, będzie dwa razy tyle.

Poczęstowałem go papierosem i podałem mu ogień.

- Na koszt firmy - powiedziałem.

Nadal rozmyślał nad tym, czego się przed chwilą dowiedział.

- Teraz wiem, dlaczego nigdy nie masz forsy - rzekł. Skinąłem głową.

- Pcham ją z powrotem w interes tak szybko, jak z niego wychodzi.

Spojrzał na mnie przez wydmuchaną nosem chmurę dymu.

- A co byś powiedział na wrzucenie wszystkiego do jednego worka, chłopcze? - zaproponował. - To by ci bardzo ułatwiło życie.

Udałem zachwyty.

- Twój interes też pójdzie do tego worka, Sam? - zapytałem z niewinną miną.

- Co to, to nie! - potrząsnął głową. - Myślałem tylko o tym, co tu masz. Dałbym ci godziwą cenę za połowę i dostarczał gotówki tak jak w interesie z metrem.

Przyszła moja kolej, żeby powiedzieć nie.

- Tamto to był wielki biznes, którego nie mogłem ugryźć sam - rzekłem. - Ten to co innego. Zbudowałem go cegielka po cegielce. I zatrzymam go.

Milczał przez chwilę. Znałem ten wyraz jego twarzy - rozważał możliwość jakiejś machlojki. Kiedy w końcu na mnie spojrzał, poznałem po jego minie, że zrezygnował.

- W porządku, Danny - odezwał się dobrotliwie. - Ale daj znać, gdybyś zmienił zdanie. A przy okazji - zapytał odwracając się ku drzwiom - jak tam dom?

- Dobrze. Wprowadzamy się w przyszłym tygodniu. Tak jak było ustalone.

Zawrócił od drzwi.

- Szkoda, że nie widziałeś miny swojego starego, kiedy Mimi mu powiedziała.

- Jak zareagował? - zapytałem. Nie mogłem ukryć zainteresowania.

- Najpierw nie chciał uwierzyć, ale kiedy Mimi przysięgła, że to prawda, zupełnie go zatkało. Twoja matka zaczęła płakać.

- Z jakiego powodu? - nie mogłem zrozumieć.

- Powtarzała w kółko, że zawsze tego chciałeś, a on ci nie wierzył. Ojciec nie mógł wykrztusić słowa i tylko żuł cygaro, a potem podszedł do okna i patrzył. Przez cały obiad był bardzo cichy, a pod koniec powiedział coś bardzo dziwnego.

- Sam przerwał dla nabrania oddechu i spojrzał na mnie. Nie odezwałem się.

- Powiedział: „Zatem Danny wraca do domu”. A twoja matka na to: „Chciał tego przez cały czas - a ty mu nie pozwalałeś”. Wtedy twój ojciec mruknął: „Jestem starym człowiekiem i nie ma to już dla mnie znaczenia. Swoje błędy zabiorę ze sobą do grobu. Ale jestem szczęśliwy, że Danny odnalazł drogę powrotu”. Potem wstali, ojciec powiedział, że jest zmęczony i poszli do domu.

Papieros wypalił się prawie do końca, rzuciłem go do popielniczki.

- Wiesz co, chłopcze? - powiedział Sam cicho. - Myślę, że staruszek byłby gotów rzucić ręcznik na ring, gdybyś do niego poszedł.

Wzięłem głęboki oddech i potrząsałem głową.

- To nie tylko o to chodzi, Sam - odparłem. - Najpierw musi wyrównać rachunki z Nellie. Za wiele powiedział i za wiele zrobił. Musi wszystko wyrównać.

- Zrobi to, jeżeli dasz mu szansę, Danny.

- Musi to zrobić sam.

- Wiesz jaki on jest, chłopcze - powiedział Sam łagodnie.

- Dumny, uparty i stary. Bóg jeden wie, ile czasu mu jeszcze zostało, zanim...

- Sam, jestem jego synem - przerwałem mu ze znużeniem.

- Nie musisz mi nic mówić. Znam go lepiej niż ty. I mam w sobie wiele jego cech. Jestem dumny i uparty. I w pewnym sensie stary, starszy niż on. Wiele przez niego przeszedłem i to uczyniło mnie starszym. Pochowałem dziecko, Sam. Umarło w moich ramionach, ponieważ nie mieliśmy nikogo, kto zechciałby nam pomóc. Myślisz, że można zapomnieć o czymś takim? Nie można - odpowiedziałem sam sobie.

- Nie można zapomnieć. I nie mogę zapomnieć, że wszystko zaczęło się od dnia, kiedy wyrzucił mnie z domu - potrząsnąłem głową. - Będzie musiał to zrobić zupełnie sam, tak jak ja to zrobiłem. Wtedy być może odnajdziemy wspólny język

i będzie nam ze sobą dobrze.

Opadłem na krzesło i zapaliłem następnego papierosa. Byłem bardzo zmęczony. Kiedy uspokoi się zamieszanie związane z przeprowadzką i interesami, i urodzi się dziecko, wyjedziemy na jakiś czas. Obojgu nam przydałby się odpoczynek. Nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek czuł się taki zmęczony. Spojrzałem na Sama i zmieniłem temat rozmowy. - Gdzie mam ci przysłać fajki, Sam? - zapytałem.

Patrzył na mnie przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Tam gdzie zawsze, Danny.

- Będą tam jutro rano - powiedziałem.

Nadał mi się przyglądał. Po chwili odezwał się: - W porządku, Danny. - I wyszedł.

Siedziałem przez chwilę w milczeniu pogrążony w myślach. Potem wstałem i podszedłem do drzwi niewielkiego biura.

- Zep! - krzyknąłem w stronę magazynu. Przybiegł biegiem z warsztatu. - Co jest, Danny?

Czas nie zatrzymał się dla żadnego z nas. Z warsztatu było tylko parę kroków, a Zep z trudem łapał oddech.

- Siadaj przy drugim telefonie i spróbuj znaleźć dla nas nowy magazyn - powiedziałem. - Musimy przenieść wszystko dziś wieczorem. Sam wyniuchał nasze zapasy.

Skinął głową w milczeniu, usiadł przy telefonie i zaczął wykრęcać numer. Spojrzałem na niego z sympatią. Był w porządku. Miał dość rozumu, żeby nie tracić czasu na zadawanie pytań; mogły poczekać.

Podniosłem słuchawkę drugiego telefonu i zadzwoniłem do Nellie. Nie miałem ochoty mówić jej, że znowu wrócę do domu późno, ale nie miałem wyboru. Wkraczała w nerwowy etap ciąży, wszystko zdawało się ją irytować. Ale trochę się uspokoiła, kiedy obiecałem jej, że od jutra będę wracał wcześniej i że nie będzie sama, aż do chwili narodzin dziecka.

Odstawiłem filiżankę i wstałem od stołu. Okrążywszy parę tekturowych pudeł podszedłem do Nellie i pocałowałem ją w policzek.

- Na razie, kochanie - powiedziałem. - Lecę do pracy.

- Wróc dzisiaj wcześniej - powiedziała podnosząc na mnie oczy. - Chcę skończyć pakowanie.

- Przestań się martwić - powiedziałem. - Zawsze jeszcze możemy zrobić coś rano, zanim przyjadą ci nowi. Nie zjawią się tu przed jedenastą.

- Nie lubię zostawiać roboty na ostatnią chwilę - odparła. - Zawsze o czymś zapominasz, a potem się denerwujesz. Chcę, żeby wszystko było gotowe.

Naprawdę nie mieliśmy tego dużo. Nie zabieraliśmy żadnych mebli. Kupiliśmy nowe, stały już w naszym domu. Ale takie są kobiety. Pamiętam, mama przy przeprowadzkach zachowywała się tak samo.

- Dobrze, Nellie - obiecałem idąc do drzwi. - Wrócę wcześniej.

Zawołała mnie z powrotem. Zatrzymałem się w progu, podbiegła do mnie niezdarnie, a ja wyciągnąłem do niej rękę.

Przytuliła się i drżąc oparła mi głowę na piersi. Zatrzasnąłem nogą drzwi i pogłaskałem ją po głowie.

- Maleńka, maleńka - szeptałem. - Co się stało? Prawie nie słyszałem jej głosu stłumionego marynarką.

- Danny, boję się. Przestraszyłam się nagle. Trzymałem ją blisko siebie. Czas jej też nie oszczędził. Pod

palcami zauważyłem parę siwych nitek, a im bliższy był termin porodu, tym bardziej robiła się nerwowa. Przy Vickie tak nie było; nie denerwowała się tak.

- Nie bój się, maleńka - szepnąłem. - Wszystko będzie dobrze.

Spojrzała mi w twarz.

- Nie rozumiesz, Danny - powiedziała cichutko. - Nie boję się o siebie, boję się o ciebie.

Uśmiechnąłem się do niej uspokajająco.

- Nie denerwuj się, kochanie. Nic mi się nie stanie. Nic mi nie będzie.

Znowu ukryła mi twarz na ramieniu.

- Nie przeprowadzajmy się jutro, Danny! Nie przeprowadzajmy się tam. Znajdźmy inny dom. Możemy poczekać.

- Nie pleć głupstw, kochanie - odezwałem się. - Jesteś po prostu zdenerwowana. Polubisz dom, kiedy w nim już zamieszkamy.

Płakała.

- Nie wracaj tam, Danny - błagała. - Proszę, nie wracaj. Nie można odwrócić przeszłości, nie można zmienić przeznaczenia. Boję się, nie wracaj tam!

Wziąłem ją pod brodę i uniosłem ku sobie jej twarz.

- Przestań płakać, Nellie - powiedziałem stanowczo. - To bez sensu. Doprowadzasz się do hysterii zupełnie bez powodu. Ten dom jest takim samym domem jak każdy inny - niczym więcej, niczym mniej. Nie nadawaj mu znaczenia, którego nie ma, spróbuj zachować rozsądek.

Powoli przestawała łkać.

- Może się mylę - przyznała spiętym, opanowanym głosem - ale mam takie okropne przeczucia.

- Pamiętam, jak mama mówiła, że jednym z objawów jej ciąży było to, że miała przeczucia.

Uśmiechnęła się powątpiewająco przez łzy. Wyjąłem chustkę i delikatnie otarłem jej oczy.

- Przepraszam, Danny - szepnęła. - Jestem tylko słabą kobietą.

Pocałowałem ją w usta.

- Nie ma za co przepraszać, kochanie - powiedziałem z uśmiechem. - Taką cię chcę.

Kiedy przyniesiono kolejny automat, wyszedłem z biura i ruszyłem do warsztatu. Zep z mechanikiem już go oglądali.

- Co tym razem? - zapytałem. Zep spojrzał na mnie.

- To co zwykle, Danny - odpowiedział. - Ktoś się wściekł, że nie ma papierosów i wyładował się na automacie. Spojrzałem na automat ze stoickim spokojem. Zaczynałem się do tego przyzwyczajać. Był to piętnasty egzemplarz zniszczony w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Było coś dziwnego w psychice człowieka, co kazało mu wyładowywać gniew na martwym przedmiocie. Obejrzałem go uważnie. Nieźle go trafiło. Odwróciłem się do Zepa.

- Wsadź go do magazynu - powiedziałem niedbale. - Nie ma sensu naprawiać. Strata czasu.

Skinął głową, a ja ruszyłem z powrotem do biura. W drzwiach stanęła sekretarka.

- Zamiejskowa z Buffalo, panie Fisher - powiedziała. Zmarszczyłem brwi zastanawiając się, kto może dzwonić do mnie z Buffalo. Nie znałem nikogo w tamtych stronach.

- Kto? - zapytałem.

- Nie chciał podać nazwiska - odparła z zaintrygowaną miną. - Upiera się, żeby z panem rozmawiać.

- W porządku - powiedziałem z rosnącą ciekawością. - Odbiorę. Zgłoś jeszcze jeden wypadek wandalizmu do agencji ubezpieczeniowej - poinstruowałem ją podnosząc słuchawkę. - Szczegóły dostaniesz od Zepa.

Skinęła głową i ruszyła do warsztatu. Poczekałem, aż zamkną się za nią drzwi i dopiero wtedy się odezwałem.

- Fisher przy telefonie.

- Danny, tu Steve Parrish - zaskrzeczał głos w słuchawce. Istniał uzasadniony powód, dla którego gość nie chciał podać swojego nazwiska. Zajmował się zbytem u jednego z wielkich rekinów papierosowych. Był pierwszym facetem, z którym nawiązałem kontakt wchodząc do interesu.

- Steve - odezwałem się przyjaźnie - po co tracisz forszę na rozmowy zamiejskowe? Masz za dużo pieniędzy?

- Mam tu interes gigant - wyszeptał konfidencjonalnie

i chciałem ci o nim powiedzieć, zanim wypuszczę go gdzieś dalej.

Usiadłem na krześle i ściszyłem głos do podobnego szeptu.

- Ile pudeł? - zapytałem.

- Cała ciężarówka - odpowiedział szybko. - Standard. Tysiąc pudeł. Jesteś zainteresowany?

Jasne, że byłem! Kto nie byłby zainteresowany kupnem tysiąca pudeł papierosów w sytuacji, kiedy nie było ich chyba w całym mieście?

- Po ile? - zapytałem ciekawie.

- Dwa dolary za karton, stówka za pudło - odpowiedział. Gwizdnąłem. To była kupa forsy; sto tysięcy.

- Gorące? - zapytałem.

Steve zaśmiał się dźwięcznie.

- Nie zadawaj pytań, Danny. W dzisiejszych czasach nie wyjmuje się takiego towaru z lodówki. Dowiedziałem się o nim tylko przez przypadek, bo ci faceci muszą się u rozładować, łapać forszę i spływać. Pierwsze co zrobiłem, to pomyślałem o tobie.

- Wszystko gotówką? - zapytałem.

- Wszystko gotówką - odpowiedział beznamiętnie. - Dlatego cena wynosi dwa dolary. Gdyby mieli czas, mogliby rozładować za trzy i pół.

- Skąd ja wezmę taki szmal? - zapytałem.

W jego głosie brzmiała ledwo wyczuwalna nutka wyzwania - Jeżeli to dla ciebie za duży biznes, Danny, to powiedz. Sam Gordon męczy mnie już od dłuższego czasu, żeby podesłać mu trochę towaru, ale nie chciałem tego robić. Nie chcę podcinać ci interesu, bo wiem, że on jest jednym z twoich klientów.

Wiedział, oczywiście, że tak. Kiedy się poznaliśmy, pracowałem jeszcze dla Sama. .

- Tego nie powiedziałem, Steve - odezwałem się szybko. - Zastanawiałem się tylko, skąd wziąć tyle forsy. Ile

- W ogóle nie masz, Danny - odparł. - Chłopcy chcą dostać forszę dzisiaj wieczorem. Może będzie lepiej, jak przekręcę do Sama, on ma sporo szmalu.

Zegarek wskazywał pierwszą trzydzieści. Bank był jeszcze

otwarty, ale na koncie miałem tylko dziewiętnaście tysięcy. Cała reszta była zamrożona w interesie.

- Poczekalbyś pół godziny, żebym mógł pokombinować?

- grałem na czas.

- Jeżeli nie masz forsy, Danny, zapomnij o tym - odparł.

- Po co się wysilać? Zadzwoń do Sama.

Strzeliłem palcami. Zaświtał mi pewien pomysł. I to on mi go podsunął, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Słuchaj - powiedziałem szybko. - Nie mówiłem, że nie mam forsy. Powiedziałem tylko, że potrzebuję pół godziny, żeby ją dostać. Wtedy do ciebie zadzwonię i umówimy miejsce spotkania. Mogę wskoczyć w samolot i będziesz miał ją dziś wieczorem.

Dotarły do mnie odgłosy narady toczonej szeptem po drugiej stronie linii; potem usłyszałem głos Steve'a. - Okay, Danny, chłopcy mówią, że czekają pół godziny na twój telefon.

- Dobra - powiedziałem szybko. - Daj swój numer i zaraz oddzwonię. - Zapisałem numer na kartce z notatnika i odłożyłem słuchawkę.

Gdyby ten interes wyszedł, miałbym z niego pięćdziesiąt kawałków na czysto, a taka forsa nie co dzień pcha się w ręce. Ponownie podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer. Po drugiej stronie linii odezwał się długi sygnał. Gdyby Steve nie pospieszył się tak z gadaniem o innym kliencie, nie wpadłbym na ten pomysł. Byłem mu winien dozągoną wdzięczność.

Coś brzęknęło, potem w słuchawce zaśpiewał głos recepcjonistki.

- Przedsiębiorstwo Sama Gordona.

- Tu Danny. Połącz mnie z szefem.

- Okay, Danny.

Usłyszałem następny brzdęk, następny długi sygnał i głos Sama.

- Halo.

- Sam, to ja Danny - powiedziałem.

- Cześć, Danny, co słyhać?

- Jeśli przydałoby ci się sześćset pudeł standardowych, to mam dla ciebie interes - powiedziałem szybko.

W głosie Sama pojawiła się nuta ciekawości.

- Przydać to by się przydało, ale co to za interes?

- Trzy papiery za karton, sto pięćdziesiąt dolców za pudło. Forsa z góry. Jutro dostawa - powiedziałem.

Wahał się przez chwilę.

- Brzmi nieźle - odezwał się, nadal ostrożnie. - Ale to kupa zielonych. A jeżeli nawali dostawa?

- Gwarantuję dostawę - powiedziałem z pewnością siebie.

- A jeśli coś nie wypali? - zapytał. - Byłbym do tyłu o dziewięćdziesiąt tysięcy.

Myślałem gorączkowo. Dziewięćdziesiąt tysięcy Sama pokrywało prawie całą sumę. Byłbym ostatnim frajerem, gdybym przegapił taki interes.

- Słuchaj - powiedziałem. - Wiesz jak sprawy wyglądają. Mam zmagazynowany towar wartości prawie sześćdziesięciu patyków. Interes, opcje lokalizacji i zamówienia na nowe automaty są warte następne czterdzieści.

Przyniosę ci rachunki z magazynu i prawo własności przedsiębiorstwa i możesz je zatrzymać, dopóki nie dostaniesz towaru. Wtedy mi je oddasz.

- A jeżeli nie dostarczysz towaru? - zapytał ostrożnie. Roześmiałem się krótko.

- Wtedy to wszystko jest twoje. Co ty na to? Wahał się przez chwilę.

- Fajki by się przydały i twój interes jest też dobry, ale nie dla mnie. Mam do tego dwie lewe ręce. Nie potrafiłbym go prowadzić.

- Więc dasz mi pracę - roześmiałem się znowu - i poprowadzę go dla ciebie.

Nadal się wahał.

- Jesteś pewien, że tego chcesz, chłopcze? - zapytał wolno.

Pięćdziesiąt patyków to była kupa forsy.

- Słyszałeś, Sam - powiedziałem z przekonaniem. - Jestem gotów zaryzykować, jeżeli ty też to zrobisz.

Odchrząknął.

- Wobec tego, dobra, Danny - powiedział cicho. - Przychodź, forsa będzie czekała.

Rozłączyłem się przyciskając palcem raz po raz widełki,

dopóki nie usłyszałem ciągłego sygnału. Wtedy wywołałem centralę i podałem numer w Buffalo, który podyktował mi Steve. Usłyszawszy głos Steve'a powiedziałem szybko:

- Mam forszę, Steve. Gdzie się spotkamy?

- Dobra, Danny - w głosie Steve'a brzmiała ulga. - Pokój 224, Hotel „Royal”. O której tu będziesz?

- Przylecę pierwszym możliwym samolotem - odparłem. - Powinienem być tam nie później niż o siódmej. Wszystko gotowe?

- Ciężarówka załadowana i gotowa do drogi - poinformował mnie. - Wyruszy w tej samej chwili, kiedy zjawisz się z forszą.

- W porządku - odparłem. - Do wieczora. Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na zegarek. Dochodziła druga. Jeżeli chciałem zdążyć do banku, musiałem się spieszyć.

Stałem w drzwiach biura i zawołałem Zepa.

- Zorganizuj miejsce w magazynie na czterysta pudeł - powiedziałem.

Otworzył szeroko oczy.

- Kupa towaru, Danny. Skąd go masz?

W paru słowach powiedziałem mu o interesie. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- Cholernie ryzykujesz, Danny - rzekł. - Zbyt wiele rzeczy może się nie udać. Może lepiej weź mnie ze sobą.

Potrząsnąłem głową.

- Ktoś musi tu zostać i mieć na wszystko oko. Dam sobie radę. Zostań tutaj. Zadzwoń do ciebie, jak tylko dotrę z towarem do miasta.

Dopiero na lotnisku, czekając na samolot przypomniałem sobie, że nie zadzwoniłem do Nellie. Pobiegnę do budki telefonicznej i wykręciłem numer mieszkania. Odebrała. Zaczęłem szybko, zanim miała szansę wtrącić słowo.

- Maleńka, coś mi wypadło i muszę polecieć do Buffalo w interesach. Nie czekaj na mnie z kolacją. Wróć rano.

- Ależ, Danny! - zawołała. - Jutro się przeprowadzamy!

- Nie martw się - powiedziałem. - Wrócę na czas. W jej głosie pojawił się strach.
- Nie jedź, Danny, proszę, nie jedź. Boję się.
- Nie ma się czego bać - powiedziałem. - Wrócę rano.
- Więc poczekaj - błagała. - Poczekaj, aż się przeprowadzimy.
- To nie może czekać, kochanie - powiedziałem pośpiesznie. - Jest w tym dla nas pięćdziesiąt kawałków i nie można pozwolić, żeby taki szmal czekał. Nie pozwolę, żeby przeszedł mi koło nosa!
Zaczęła szlochać w telefon.
- Wiedziałam, że coś ci wypadnie - szlochała. - Miałam przeczucie...
- Nellie - przerwałem jej - pięćdziesiąt patyków! Pięćdziesiąt tysięcy dolarów Wuja Sama! Z taką forszą możemy dużo zrobić.
- Nie obchodzi mnie to! - chlpała. - Czasami wolałabym nigdy nie słyszeć o pieniądzach! Odkąd zacząłeś robić interesy, nie jesteś już taki jak dawniej.
- Kiedy to się skończy, Nellie, dopilnuję, żeby wszystko było tak, jak będziesz chciała - obiecałem desperacko.
- Zawsze tak mówisz - łkała oskarżycielsko. - Ale już ci nie wierzę. Wcale tak nie myślisz. Nigdy się nie zmienisz! Kiedy tylko na horyzoncie pojawia się dolar, stajesz się zupełnie innym człowiekiem. Zapominasz o wszystkim!
- Nie bądź głupia! - powiedziałem rozgorączkowany. - Żyjemy w materialistycznym świecie. Bez dolca jesteś tylko gołodupcem, jak wszyscy inni! Może ty jesteś w stanie się tym zadowolić, ale nie ja!
Usłyszałem jak łapczywie chwyta powietrze. Nastąpił moment wstrząsającej, gniewnej ciszy, potem usłyszałem trzask
i w ręku została mi martwa słuchawka. Rozłączyła się. Klnąc pod nosem przetrząsałem kieszenie w poszukiwaniu jeszcze jednej pięciocentówki. W tym momencie w głośnikach rozległ się głos spikera.
- Lot numer 54 na pasie trzecim. Lot do Buffalo, numer 54 na pasie trzecim. Start za pięć minut.
Rzuciłem jeszcze jedno spojrzenie na telefon, potem na

zegar. Zdecydowałem się szybko i wyszedłem z budki. Nellie poczuje się lepiej, kiedy zobaczy mnie jutro z forszą. Pięćdziesiąt patyków potrafi wyleczyć całe mnóstwo zranionych uczuć.

18

Idąc w stronę recepcji, rozglądałem się po holu. Był skromnie urządzony, ale schludny i czysty, typowy hol hotelu, w którym mógłby zatrzymać się komiwojażer.

Portier wyszedł mi naprzeciw.

- Macie jedyne? - zapytałem.

- Tak, sir - odparł, podsuwając mi książkę rejestrów.

- Proszę się wpisać. Z łazienką czy bez, sir?

- Bez - powiedziałem szybko, gryzmołając swoje nazwisko w rejestrze.

- Tak, sir — powtórzył jeszcze raz.

Uderzył w dzwonek na kontuarze. - To będzie trzy dolary

- powiedział odwracając się, żeby zdjąć klucz z tablicy za sobą.

Kładłem pieniądze na ladzie, kiedy zjawił się boy.

- Zaprowadź pana Fishera do pokoju 419 - polecił mu recepcjonista, biorąc pieniądze i wręczając klucz.

- Chwileczkę - przerwałem. - Mogę zdeponować kopertę?

- Oczywiście, panie Fisher - odparł gładko. - Umieszczę ją dla pana w sejfie hotelowym. Proszę tylko napisać swoje nazwisko na pieczęci. - Podsunął mi brązową dużą kopertę.

Wyjąłem paczkę z forszą i wsadziłem ją do koperty, którą mi dał. Zalakowałem starannie i napisałem w poprzek swoje nazwisko, tak jak kazał. Patrząc jak wkłada ją do sejfu, zastanawiałem się, co by zrobił, gdyby wiedział, że jest w niej sto patyków. Przekręcił klucz w zamku.

- Będzie tu bezpieczna i cała, dopóki nie zażąda pan jej zwrotu - poinformował mnie.

Podziękowałem i spojrzałem na zegarek. Dochodziła siódma.

- Chyba nie pójdę jeszcze do pokoju - powiedziałem z wahaniem, jakby zaświtał mi właśnie jakiś pomysł. - Umówiłem się tu na siódmą ze znajomym. Czy Steve Parrish już jest?

Recepcjonista spojrział przez ramię na tablicę z kluczami.

- Jest w pokoju, sir - odparł. - Powiedzieć mu, że pan przyjechał?

- Proszę.

Wyszeptał parę słów do telefonu i czekał chwilę na odpowiedź, potem podniósł na mnie wzrok.

- Mówi, żeby pan szedł prosto do niego, pokój 224.

- Dzięki - powiedziałem idąc już w głąb holu, gdzie zauważyłem windę.

Pozłacane numerki na drzwiach połyskiwały w słabo oświetlonym korytarzu. Zastukałem. Usłyszałem, jak cichnie szmer prowadzonej w pokoju rozmowy. Drzwi otworzyły się wolno i wyrzał zza nich Parrish.

- Danny! - zawołał uśmiechając się na mój widok. Cofnął się nieco. - W samą porę. Wchodź.

Było z nim jeszcze trzech facetów. Gapili się na mnie ze swoich miejsc. Zwróciłem się do Steve'a. Twarz miał nieco bladą i ściągniętą, ale ręka, którą mi podał prawie nie drżała. Uścisnąłem ją.

- Cieszę się, że udało ci się dotrzeć, Danny - powiedział. Skinąłem głową w milczeniu. Steve zwrócił się do pozostałych mężczyzn.

- Panowie! - oznajmił. - To jest Danny Fisher. Następnie przedstawił mnie każdemu z osobna. Wstawali jeden po drugim i potrząsali krótko moją ręką. Nie podejmowali żadnych prób nawiązania rozmowy.

- Co powiesz na drinka, Danny? - Steve trzymał w ręku butelkę whisky.

- Nie, dzięki, Steve - odparłem prędko. - Nie piję podczas pracy.

Skinąłem głową, napełniając sobie szklanę.

- Dobra zasada, Danny - powiedział, przełknąwszy alkohol. - Całkowicie popieram.

Przyjrzałem mu się uważnie. Był już po paru kolejkach. Wyjąłem papierosa i zapaliłem.

- Możemy przystąpić do interesów? - zapytałem.

Popatrzy! na mnie.

- Tak sędzę - powiedział z wahaniem. - Przywiozłeś forszę? Skinąłem głową.

Jeden z mężczyzn wstał szybko.

- Rzućmy na nią okiem - powiedział.

- Rzucicie - uśmiechnąłem się - jak rzucę na towar.

- Masz ją przy sobie? - zapytał mężczyzna podejrzliwie.

- Czy wyglądam na takiego idiotę? - zdziwiłem się. - Ale możecie być spokojni. Jeżeli towar jest w porządku, dostaniecie swoją forszę. Gdzie on jest?

- W garażu, parę przecznic stąd - odparł mężczyzna. - Chcesz zobaczyć?

- A jak myślisz?

Mężczyzna zabrał z krzesła swój kapelusz.

- No, więc chodźmy - powiedział, ruszając ku drzwiom.

Ciężarówka była załadowana dokładnie tak, jak mówił Steve. Patrzyłem sceptycznie na porządnie ułożone pudła.

Miałem wrażenie, że coś jest nie tak, ale nie wiedziałem co. Może brało się to stąd, że wszystko szło tak gładko.

Odwróciłem się do mężczyzny, z którym rozmawiałem w hotelu.

- Bez obrazy - powiedziałem uprzejmie - ale to kupa forsy. Chciałbym sprawdzić towar.

- To oznacza wyładowanie i ponowne załadowanie każdego pudła - zaprotestował.

Patrzyłem mu prosto w oczy.

- Jak mówiłem, to kupa forsy i chcę sprawdzić. Spojrzał na pozostałych mężczyzn i wzruszył ramionami.

- Jeśli o mnie chodzi, to okay, ale nie wyjedziesz stąd przed drugą w nocy.

- Trudno - powiedziałem.

Spojrzałem na Steve'a ze znużeniem, potem popatrzyłem na pozostałych. Stali wokół mnie z twarzami czerwonymi z wysiłku i mokrymi od potu koszulami.

- Chyba w porządku - rzekłem. Nic z tego nie rozumiałem. Nie opuszczało mnie tamto wrażenie. Wzruszyłem ramionami; zaraziłem się chyba od Nellie.

- Mówiłem ci to od samego początku, Danny - powiedział szybko Steve. - Nie musieliśmy sprawdzać.

- Za sto patyków - mruknąłem flegmatycznie - musieliśmy. Odwróciłem się do pozostałych. - Kto jedzie? - zapytałem.

Wysunął się jeden z nich.

- Ja - powiedział.

- W porządku - odparłem. - Więc wskakuj do szoferki i zawieź mnie z powrotem do hotelu. Ruszymy stamtąd.

- Teraz? - zapytał wlepiając we mnie wzrok.

- Teraz - przytaknąłem.

- Ale mój pomocnik ma się zjawić dopiero rano - zaprotestował.

- Nie będziemy czekać - powiedziałem. - Będę cię zmieniał. Ten towar musi być w Nowym Jorku jutro rano.

- Słucham, panie Fisher? - zapytał recepcjonista.

- Zmieniłem plany - powiedziałem. - Wyjeżdżam. Gdyby mógł pan dać mi tę kopertę...

- W tej chwili, panie Fisher - odparł zmęczonym głosem. Otworzył sejf, rzucił depozyt na ladę i patrzył jak rozrywam hotelową kopertę i wyjmuję z niej paczkę z forszą.

- Wszystko w porządku, sir? - zapytał ziewając. Skinąłem głową i położyłem na ladzie dolara.

- Wszystko - powiedziałem odwracając się. Jego podziękowania biegły za mną na ulicę.

Ciężarówka czekała pod latarnią. Mężczyźni stali przy szoferce. Wdrapałem się do kabiny i podałem kopertę Steve-owi, a ten wręczył ją facetowi, który rozmawiał ze mną w hotelu. Pospiesznie rozerwał kopertę i zerknął do środka. Przeliczył banknoty, potem spojrzał na mnie i żartobliwie zasalutował. Odpowiedziałem mu takim samym gestem i zwróciłem się do kierowcy.

- W porządku, chłopie - powiedziałem. - W drogę.

Wyjeżdżając z Newburgh, ze znużeniem zerknąłem na zegarek. Było parę minut po dziesiątej. Wróciłem wzrokiem do szosy i docisnąłem pedał gazu. Ciężarówka powoli zaczęła nabierać prędkości. Droga przede mną była jasna i pusta. Wrzuciwszy najwyższy bieg, spojrzałem na swojego zmiennika. Spał w niewygodnej pozycji z głową opartą o drzwi. Byłem głodny. Nie jadłem nic od wczorajszego popołudnia, ale nie miałem odwagi się zatrzymać. Ładunek był za gorący. A poza tym, jadąc bez przerwy mogłem dotrzeć do Nowego Jorku w południe. Rozmyślenia przerwał mi głos tamtego.

- Zmienię cię, Danny - odezwał się. - A ty się trochę prześpij. Wyglądasz na wykończonego.

- Mogę jeszcze poprowadzić - powiedziałem. - To maleństwo przepięknie chodzi.

- Tak czy inaczej lepiej będzie jak się na chwilę wyłączysz - mruknął. - Oczywiście masz jak królik. Możesz tego nie czuć, ale jesteś zmęczony.

- Dobra - odparłem naciskając pedał. Potężne hamulce pneumatyczne włączyły się z sykiem. Wielka ciężarówka toczyła się, zwalniając powoli. Zaciągnąłem hamulec bezpieczeństwa i odsunąłem się od kierownicy.

Facet przecisnął się obok mnie i usiadł za kółkiem.

- Lepiej się trochę zdrzemnij - powiedział. - Nie spałeś od Buffalo.

- Zasnę, kiedy dojedziemy na miejsce - odparłem. - Poczuję się wtedy dużo lepiej.

Podłożyłem sobie ramiona pod głowę i oparłem się wygodnie. Samochód ruszył i kabinę wypełnił szum silnika.

Usiłowałem oderwać oczy od białej linii biegnącej przed nami monotonicznie środkiem drogi, ale zafascynowała mnie.

Było w niej coś szczególnego, kiedy tak rozwijała się przed nami w nieskończoność, aż po granice widoczności.

Cienka, biała linia biegnąca środkiem drogi. Trzymaj się jej prawej strony a będziesz bezpieczny. Przetnij ją, a jesteś martwy. Trzymaj się prawej strony - prawej strony - prawej strony - prawej... strony... Czulem jak moja głowa objęta się sennie o drzwi.

Potrząsnąłem nią rozpaczliwie usiłując nie zamykać oczu, ale było to bezcelowe. Byłem za bardzo zmęczony. Walcząc ze sobą zapadałem powoli w drzemkę.

Ocknąłem się owładnięty strachem. Ciężarówka stała z wygaszonym silnikiem. Mrużąc oczy odwróciłem się do siedzącego obok kierowcy.

- Co się stało? - zapytałem sennie. - Coś nawaliło? Przyglądał mi się złośliwie. Nie odpowiedział.

Po mojej drugiej stronie odezwał się głos i odwróciłem się błyskawicznie. Oczy mi się rozszerzyły. Byłem już zupełnie rozbudzony. Na stopniu szoferki stał mężczyzna. W ręku trzymał wycelowany we mnie pistolet.

- No, śpiący królewiczu - powiedział. - Przetrzyj oczęta. Pochyliłem się, sięgając po leżący na podłodze klucz. Facet zrobił szybki gest bronią.

- Trzymaj ręce tak, bym mógł je widzieć, Danny - powiedział łagodnie.

Wolno położyłem dłonie z powrotem na kolanach. Mózg pracował jak szalony. Spojrzałem ponownie na kierowcę. Siedział w zupełnym bezruchu, gapiąc się na drogę przed sobą. Wszystko zaczęło układać się w jedną całość.

- Ty też w tym jesteś? - zapytałem niepewnie.

Nie odpowiedział. Odezwał się za to facet z pistoletem.

- A jak myślisz? - zapytał z sarkastycznie.

- Mam forszę, jeżeli pozwolicie mi dowieźć ładunek do Nowego Jorku - powiedziałem z rozpaczą.

Facet uśmiechnął się szeroko, ukazując poźółkłe od nikotyny zęby. Strzyknął na szosę strumieniem soku tytoniowego.

- Mamy już twoją forszę - powiedział beznamiętnie. Otworzył drzwi i zeskoczył ze stopnia trzymając mnie ciągle na muszce.

- Wyłaż - powiedział. - Koniec przejażdżki.

- Dziesięć patyków - powiedziałem szybko. Zrobił ruch bronią.

- Powiedziałem: wyłaż!

Wyszedłem wolno. Niebo majaczyło mi nad głową ciemne i złowieszcze. Zbierało się na deszcz. Czulem jak narasta we mnie gniew. Zachowałem się jak frajer. Co za głupiec ze mnie! Powinienem mieć więcej rozumu.

Nogi miałem zdrtwiałe i słabe, ruszałem się niepewnie. Usłyszałem zbliżające się od tyłu kroki i odwróciłem głowę. Tuż za nami stał samochód. Prawdopodobnie siedzieli nam na ogonie przez całą drogę z Buffalo, czekając na taką właśnie okazję, żeby mnie dopaść. Ogarnęła mnie wściekłość, czułem smak gorącej żółci napływającej do ust. Co za dureń ze mnie, żeby wszystko zaryzykować! Powinien zająć się mną psychiatra!

- Wszystko w porządku? - zawołał, zbliżający się od tyłu mężczyzna.

Zobaczyłem jak facet z pistoletem odwraca ode mnie wzrok i rzuciłem się na niego desperacko. Instynktownie uskoczył w bok i pięść tylko musnęła mu szczękę, a ja poślizgnąłem się na poboczu. Rozpaczliwie próbowałem odzyskać równowagę.

W skroni eksplodował mi nagły ból i runąłem twarzą w błoto. Próbowałem unieść się na rękach, ale następny wybuch pozbawił mnie resztek sił. Leżałem twarzą w błocie, a fala ciemności toczyła się ciężko w moim kierunku. Odepchnąłem ją siłą woli, ale zbliżała się nieubłaganie. Czułem, jak się w nią staczam.

Gdzieś z bardzo daleka dobiegały niewyraźne głosy rozmawiających mężczyzn. Chciałem uchwycić sens rozmowy, ale niektóre słowa wydawały mi się niejasne. Jeden z mężczyzn mówił, że Gordonowi by się to nie spodobało. Inny roześmiał się zjadliwie.

Osuwałem się w nadchodzącą falę. I wtedy, w ułamku sekundy, zanim zalała mnie całkowicie, w głowie błysnęła mi myśl. Zmowa! Zmowa od samego początku. To dlatego Steve telefonując do mnie wciąż mówił o Samie. Żeby o nim pomyślał!

Potem myśli urwały się i zapomniałem o wszystkim. Wziąłem głęboki oddech i starałem się wydostać z ciemności. Ale było już za późno. Otaczały mnie ze wszystkich stron.

Dzień przeprowadzki 3 października 1944

Poklepywały mnie czyjeś ręce. Odsunąłem się od nich, próbując uciec. Bolała mnie głowa.

Dalej mnie poklepywały. Próbowałem zwinąć się w mały kłębek. Chciałem tylko, żeby zostawiły mnie w spokoju.

Przez bardzo, bardzo długi czas drżałem z zimna i akurat teraz, kiedy zrobiło mi się trochę cieplej, musiały się wziąć za to poklepywanie. Przewróciłem się na plecy, żeby się ich pozbyć.

Poczułem ostre, piekące uderzenie w policzek. Przeszył mnie ból i otworzyłem oczy. Klęczący przy mnie mężczyzna wpatrywał mi się w twarz.

- Nic się panu nie stało? - zapytał z niepokojem. Odwróciłem głowę, żeby zobaczyć kto z nim jest. Był sam.

Potem uświadomiłem sobie, że pada na mnie deszcz. Zaśmiałem się słabo. Nic mi się nie stało? Musiałem się śmiać.

To było cholernie śmieszne. Spróbowałem usiąść.

Ostry, rozdzierający ból przeszył mi głowę i jęknąłem. Facet podtrzymał mnie, obejmując ramieniem.

- Panie, co się stało? - zapytał przestraszonym głosem.

- Napadli mnie. Bandyci drogowi - odparłem. Nie mogłem powiedzieć mu prawdy. - Ukradli mi samochód

- dodałem.

Podnosząc mnie na nogi, uśmiechnął się z ulgą.

- Pańskie szczęście, że mam słaby pęcherz - powiedział.

- Usłyszałem pana jęki tam, w rowie.

Stałem chwiejąc się lekko. Nadal czułem się niepewnie, ale powoli wracały mi siły.

- Mógł pan dostać zapalenia płuc - powiedział.

- Aha - przytaknąłem. - Miałem szczęście. Spojrzałem na zegarek, był zgnieciony.

- Która godzina? - zapytałem.

- Pięć po pierwszej - odpowiedział.

Gapiałem się na niego ze zdumieniem. Byłem nieprzytomny przeszło dwie godziny. Zegarek stanął za piętnaście jedenasta.

- Muszę się dostać do domu - wymamrotałem. - Przeprowadzamy się dzisiaj i moja żona będzie półżywa ze strachu. Nie ma ode mnie żadnych wiadomości.

Mężczyzna przytrzymał mnie za ramię, co pozwoliło mi odzyskać równowagę.

- Jadę do Nowego Jorku, jeżeli to panu po drodze - powiedział. Stojąc tak na deszczu wyglądał jak anioł z moknącą aureolą.

- Tam właśnie chcę jechać - odparłem.

- Więc wskakuj pan do samochodu - rzekł. - Odstawię pana do Nowego Jorku na drugą trzydzieści.

Zaprowadził mnie do małego chevroleta i włączyłem się na przednie siedzenie. Zacząłem drzeć, kiedy tylko zamknęły się za mną drzwi.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na moje sine usta, pochylił się i włączył ogrzewanie.

- Oprzyj się pan i zdrzemnij - powiedział zatroskany. - To powinno pana trochę rozgrzać i podsuszyć. Jest pan przemoknięty do suchej nitki.

Oparłem się wygodnie i patrzyłem na kierowcę spod przymkniętych powiek. Nie był już młody, spod kapelusza wystawało parę siwych kosmyków.

- Dziękuję panu - powiedziałem.

- Nie ma sprawy, synu - odparł wolno. - Spodziewałbym się tego po każdej ludzkiej istocie.

Przymknąłem oczy ze znużeniem. Mylił się. Niektóre ludzkie istoty nie zdradzały nawet śladu cech, o które je podejrzewał. Cichy szelest wycieraczek działał kojąco. Myśli toczyły się coraz wolniej. Sam należał do innego gatunku ludzi. Gównu go obchodziło, kim był. Sam myślał tylko o sobie. Robiłem się za ważny. To mu się nie spodobało. Jakkolwiek było, dorwałem się do tego interesu tuż pod jego nosem. To, że przedtem go nie chciał, nie miało teraz żadnego znaczenia. Wiedział już co przegapił i postanowił odzyskać całość. I odzyskał. A ja nic na to nie mogłem poradzić.

Nic? Zacząłem się zastanawiać, czując jak wzbiera we mnie wściekłość. I tu Sam się pomylił. Za ciężko pracowałem, żeby poddać się bez walki. Może sobie znaleźć innego frajera.

Zapłaci mi za to. Wszedłem na durnia dając się wykantować, ale gra jeszcze nie skończona. Wkrótce się o tym przekona. Wściekłość jakoś mnie rozgrzała i zdrzemnąłem się.

Poczułem czyjąś rękę na ramieniu i ocknąłem się natychmiast. Rozejrzałem się. Wjeżdżaliśmy na autostradę West Side Highway. Mężczyzna spojrzał na mnie.

- Lepiej panu? - zapytał.

Przytaknąłem w milczeniu. Ból głowy minął.

- Gdzie mam pana podzucić? Podałem mu adres.

- Jeżeli to panu po drodze - dodałem.

- W porządku - odparł. - Przejeżdżam tamtędy.

Było piętnaście po trzeciej, kiedy zatrzymaliśmy się przed moim domem. Wsiadłem z samochodu i spojrzałem na kierowcę.

- Jeszcze raz, dzięki - powiedziałem. - Nigdy panu tego nie zapomnę.

- Nie ma sprawy, synu - odparł. - Tak jak mówiłem. Każda ludzka istota...

Włączył bieg i odjechał, zanim zdążyłem otworzyć usta. Gapiłem się za samochodem. Zapomniałem nawet zapytać, jak się nazywa. Zabawny świat. Ktoś, kogo znasz przez całe życie, próbuje cię zagryźć, a facet, którego nigdy przedtem nie widziałeś i nigdy więcej nie zobaczysz, zjawia się i ratuje ci życie.

Patrzyłem w ślad za samochodem, dopóki nie skręcił na skrzyżowaniu; potem odwróciłem się i wszedłem do domu. Dozorca zamiatał hol. Gapił się na mnie z otwartymi ustami. Musiałem przedstawiać nie byle jaki widok. Twarz miałem rozkwaszoną, a ubranie nosiło ślady pobytu w rowie.

- Ciężarówka już odjechała, panie Fisher - poinformował mnie. - Pańska żona czekała, jak długo było można. Bardzo się denerwowała, ale pański szwagier kazał jej jechać.

- Był tu mój szwagier? - zapytałem chrapliwie. Skinął głową.

- Przyjechał po telefonie pańskiej żony. Jej brat już tu był, ale ona wciąż martwiła się o pana - spojrzał na mnie z ciekawością. - Szwagier zostawił dla pana wiadomość, na wypadek gdyby się pan pojawił.

- Jaką? - zapytałem.

- Powiedział, żeby pan do niego przyszedł, będzie w biurze - uśmiechnął się lekko. - Pana szwagier to równy gość, nie ma co. On też się o pana martwił. Mojego nie obchodzi nawet czy żyję.

- Dzięki - powiedziałem lakonicznie i opuściłem dom. Sam się o mnie martwił, a jakże! Martwił się jak dziewięćdziesiąt tysięcy dolców. Nie, jak dwieście tysięcy dolców, teraz kiedy zgarnął cały szmal. Nic dziwnego, że się zjawił, kiedy Nellie do niego zadzwoniła.

Skręciłem za róg i złapałem taksówkę, by pojechać do jego biura.

Minąłem sekretarkę Sama nie czekając, aż mnie zaanonsuje. Wszedłem do gabinetu zamykając za sobą drzwi.

Odkładał właśnie słuchawkę, kiedy podniósł wzrok i mnie zobaczył. Trzymał tę słuchawkę zawieszoną w powietrzu, a jego oczy lustrowały mnie od stóp do głów.

- Gdzieś ty, u diabła, był?! - ryknął w końcu. - Miałem właśnie zamiar nasłać na ciebie gliny.

Było w jego głosie coś, co zjeżyło mi włosy na karku.

- O co chodzi, Sam? - zapytałem chrapliwie. - Nie spodziewałeś się mnie?

Wstał zza biurka i szedł w moją stronę. Czuję drżenie podłogi pod jego ciężkimi krokami.

- Jeśli dajesz facetowi dziewięćdziesiąt patyków, a on znika, to co wtedy myślisz? - zapytał szorstko. - Myślałem, że ulotniłeś się z forszą.

Gdyby nie fakt, że to ja zbierałem razy w tej rozgrywce, musiałbym podziwiać jego sposób działania. To był twardziel. Od czubka głowy aż po mały palec u nogi. I pogrywał też ostro, dodając zniewagę do lania. Był kimś, kim zawsze chciałem być, ale teraz zrozumiałem, że przede mną jeszcze długa droga. Nie spuszczałem z niego wzroku.

Już nigdy nie zrobi ze mnie durnia. Miałem tego dość.

- Wiesz, że tego bym nie zrobił, Sam - powiedziałem miękko. - Na tyle mnie znasz.

Patrzył na mnie przez chwilę, potem wrócił do biurka i usiadł. Jego ciemne oczy migotały.

- Skąd miałem wiedzieć? - zapytał. - Dziewięćdziesiąt patyków to kupa szmalu. Może miałeś dość żony i chciałeś zniknąć z miasta? Mogłeś mieć tuzin powodów, o których nie wiem.

Zmierzyłem go wzrokiem.

- Nie ufasz nikomu, co Sam? - zapytałem spokojnie. Spuścił oczy na biurko.

- Nie zarabia się na życie ufając byle komu - odpowiedział posepnie. Rzucił mi spojrzenie, oczy miał błyszczące i ostre.

- Gdzie są fajki? - zapytał. Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem - odpowiedziałem po prostu. To nie on powinien o to pytać. Mogłem się założyć, że zna odpowiedź.

Zerwał się na nogi z wściekłością.

- Co to znaczy, że nie wiesz?! - wrzasnął. - Co się stało? Podziwiałem faceta. Nie zaniedbał niczego. Wykorzystał wszystkie chwytty. Był najlepszy.

- Napadli mnie - powiedziałem cicho szukając na jego twarz choćby przebłysku wiedzy o tym, co się stało. Obrobili mnie na drodze i wrzucili do rowu. Mam cholerne szczęście, że żyję.

Odnalazł natychmiast właściwą kwestię w tej farsie, ale kiedy walił pięścią w blat biurka, zdawało mi się, że w tym wybuchu wściekłości słyszę fałszywą nutę.

- Powiniennem mieć więcej rozumu! Żeby dać ci dziewięćdziesiąt patyków! - wrzeszczał.

Uśmiechnąłem się do niego z goryczą.

- Czemu się wydzierasz, Sam? - zapytałem spokojnie.

- Nie straciłeś nic na tym interesie. To mnie wyczyścili. Masz teraz cały biznes.

- A na co komu to cholerstwo? - ryknął. - Potrzebne mi to jak dziura w moście. Mam dość kłopotów. Wolałbym dziewięćdziesiąt kawałków!

I tu po raz pierwszy popełnił błąd. Za bardzo się pieklił, jak na człowieka, który nie poniósł żadnej straty.

- Jesteś tego pewien, Sam? - zapytałem. Wlepił we mnie oczy, nagle czujne.

- Jasne, że jestem pewien - powiedział szybko. - Teraz mam na głowie cały cholerny kram i ciebie na dodatek. Muszę cię zatrudnić, żebyś to prowadził. Już sam nie wiem czym mam się bardziej martwić. Tym, na ile mnie nacinasz, czy tym, jak to cholerstwo idzie? Lepiej bym wyszedł na interesach z Maxie Fieldsem niż z takim gnojkiem jak ty.

Tamten przynajmniej ma organizację.

Przyglądałem mu się w milczeniu. Pomysł, który zrodził się w mojej głowie, nabierał szybko konkretnych kształtów.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dni ktoś podsuwał mi świetną myśl. Tym razem bezwiednie.

- To jest pomysł, Sam - powiedziałem łagodnie. - Najlepszy z tych, jakie mi dzisiaj sprzedano.

Otworzył usta i gapił się na mnie, kiedy opuszczałem jego gabinet. Mijając biurko sekretarki, a potem wychodząc z biura, słyszałem jak woła, żebym wrócił. Wsiadłem w czekającą na piętrze windę. Drzwi się zamknęły i ruszyłem w dół. Kiedy znalazłem się na ulicy, miałem już opracowany plan. Sam myślał, że znalazł sposób, by zjeść ciastko i zostawić je sobie na później. Ale się pomylił. Zadbam o to, by stanęło mu kością w gardle.

Na szybie widniał ten sam stary napis:

REALIZACJA CZEKÓW - BIURO FIELDSA

Ten sam brud oblepiał ulice. Nic się nie zmieniło. Nic nigdy się tutaj nie zmieni. Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Mężczyzna w kantorku podniósł na mnie wzrok.

- Słucham pana? - powiedział.

- Jest tu gdzieś Maxie Fields? - zapytałem.

W wyrazie jego twarzy zaszła subtelna zmiana.

- Kto chce się z nim zobaczyć?

- Danny Fisher - burknąłem opryskliwie. - Powiedz mu pan, że mam dla niego interes za sto patyków. Zobaczy się ze mną.

Podniósł słuchawkę telefonu i nacisnął brzęczyk. Coś poszeptał i znów na mnie spojrzał.

- Tamtymi drzwiami - powiedział wskazując zaplecze.

- Znam drogę - rzuciłem przez ramię idąc ku drzwiom. Zamknęły się za mną i znalazłem się w korytarzu. Spojrzałem w górę i zacząłem wolno wchodzić po schodach.

Stał w drzwiach, kiedy wszedłem na podest. Patrzył na mnie oczami błyszczącymi ponuro w okrągłej twarzy. Blokował sobą wejście.

- Co ci chodzi po głowie, Danny? - zapytał, kiedy podszedłem bliżej.

Patrzyłem mu w oczy.

- Nadal lubisz pieniądze, Maxie? Skinął wolno głową.

- Więc mam dla ciebie cały worek - powiedziałem szybko. - Ale wejdźmy do środka. Nie będę robił interesów na korytarzu.

Cofnął się i wszedłem do pokoju. Mieszkanie się nie zmieniło. Nadal było luksusowe. Usłyszałem za sobą odgłos zamykanych drzwi.

- Co byś powiedział na drinka, Maxie? - zapytałem. Zlustrował mnie wzrokiem; potem odwrócił głowę i wrzasnął w stronę sąsiedniego pokoju:

- Ronnie! Przynieś dwa drinki! - Nie czekając na odpowiedź wyminął mnie i usiadł ciężko za biurkiem. W pokoju słychać było tylko jego oddech. Po chwili podniósł na mnie wzrok.

- Co to za interes, Danny?

Usiadłem na krześle naprzeciwko niego. Za plecami usłyszałem kroki. Odwróciłem się.

Ronnie niosła dwie szklanki. Nie widziała mnie jeszcze przez chwilę, potem przez jej twarz przemknął wyraz zaskoczenia. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zamknęła je szybko. W milczeniu postawiła szklanki na biurku i zamierzała wyjść z pokoju. Zawołał ją z powrotem, oczy mu błyszczały.

- Pamiętasz naszego przyjaciela, Danny'ego, prawda? - zapytał szyderczo.

Patrzyła na niego przez chwilę, potem przeniosła wzrok na mnie. Miała tępy, znękaną wyraz oczu. Coś błysnęło w nich na sekundę, ale zaraz zniknęło. Głos miała bezbarwny i martwy.

- Pamiętam - powiedziała. - Cześć, Danny. Zewnętrznie nie zmieniła się prawie wcale przez te lata. Wyglądała mniej więcej tak samo. Ale jakby zgasło w niej życie.

- Cześć, Ronnie - odparłem cicho. Odkąd odwiedziłem Fieldsa po raz ostatni, nic się nie zmieniło. Chyba tylko to, że wtedy nie ja chciałem się z nim zobaczyć.

Nie lubił niewykorzystanych sytuacji; musiał wypomnieć do końca, wycisnąć ze swego triumfu, ile się da.

- Danny wrócił, żeby ubić ze mną interes - powiedział tonem, w którym przebijało poczucie własnej władzy. - Nie można się obejść bez Maxiego Fieldsa, dziecinko. Zawsze to mówiłem.

- Tak, Maxie - rzekła beznamiętnie. Odwróciła się, żeby wyjść, ale znów ją zawołał.

- Siadaj, Ronnie - powiedział szorstko. - Siadaj i dotrzyмай nam towarzystwa.

Posłusznie osunęła się na krzesło obok niego. Siedziała sztywno jak maszyna, z twarzą kompletnie pozbawioną wyrazu.

Zwrócił się do mnie i uniósł szklanę.

- No, Danny - powiedział tubalnie.

Wziąłem swoją i pociągnąłem łyk. Alkohol smakował mi, rozgrzewał żołądek. Podniosłem szklanę do oczu i spojrzałem na niego przez szkło.

- Fajki wartości stu tysięcy - powiedziałem po prostu. Opuścił szklanę nie tknąwszy nawet jej zawartości i pochylił się ku mnie.

- Co z nimi? - zapytał.

- Są twoje - odparłem spokojnie odstawiając drinka. - Jeżeli wyświadczysz mi przysługę.

Odetchnął głęboko.

- Znam cię, Danny - wysapał chrapliwie. - Rozdajesz gruszki na wierzbie. A poza tym, skąd masz taki towar?

- Mam - powiedziałem. - Posłuchaj.

Słowo po słowie opowiedziałem mu całą historię - jak dorwałem się do fajek, i jak je straciłem. Kiedy skończyłem widać było, że się zainteresował.

- Jak chcesz je odzyskać? - zapytał.

- Przejmuję interes Sama - rzekłem spokojnie. Czujność zapaliła się w jego oczach jak żółte światło ostrzegawcze.

- Jak to zrobisz?

- To proste - odparłem. Czulem w sobie lodowaty chłód.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy wracając od Lombardiego? Pamiętasz, co wtedy powiedziałeś? Wolno skinął głową.

- Pamiętam. - Obserwował mnie bacznie. - Ale czy coś mu się przydarzy? Podniosłem szklanę wzruszając ramionami.

- To ty powinieneś wiedzieć.

- Nie, Danny! - w głosie Ronnie było coś przerażającego. Zaskoczony odwróciłem się, żeby na nią spojrzeć. Jej oczy nagle ożyły.

- Nie możesz tego zrobić! To był jedyny... Przerwał jej.

- Zamknij się, Ronnie! - ryknął z wściekłością. Odwróciła się do niego i na jej twarzy, odmalował się strach.

- Maxie, musisz mu powiedzieć...

Wyczułem jakiś ruch za plecami i tuż przy niej pojawił się Spit. Nie słyszałem nawet, kiedy wszedł do pokoju.

- Wprowadź ją stąd! - wrzasnął Maxie.

Spit sięgnął szybko po jej rękę, ale wywinęła mu się i wybiegła z pokoju, kryjąc twarz w dłoniach.

Maxie zwrócił się do mnie ciężko dysząc. Machnięciem ręki kazał Spitowi zająć miejsce opuszczone przez Ronnie. Wpatrywał się we mnie przez chwilę. Kiedy się w końcu odezwał, w jego głosie brzmiała chciwość.

- Skąd mam wiedzieć, że zapłacisz? - zapytał. - Nie wiesz nawet, czy on je na pewno ma.

- Jeśli pozwolisz, że skorzystam z telefonu, to się dowiemy

- odparłem.

Skinął głową. Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer magazynu Sama. Całe szczęście, że kiedyś u niego pracowałem; znałem tam wszystkich. Wydawało mi się, że rozpoznaję głos, który odezwał się w słuchawce.

- Joe? - zapytałem.

- Mhm - odparł. - Kto mówi?

- Danny Fisher - odparłem pospiesznie. - Sprawdzam, czy dotarł już do was mój towar. Ogromna ciężarówka z północy.

- A jakże, Danny - odpowiedział. - Właśnie ją rozładujemy.

- W porządku, Joe. Dzięki. - Odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się do Maxiego. Słyszał rozmowę.

- Zadowolony? - zapytałem.

Oczy mu błyszcząły. Widać w nich było ogromne dolary.

- Dostanę cały ładunek? - zapytał.

- Już ci mówiłem - odparłem. - Cały ładunek.

- Całkiem nieźle - wysapał, dźwigając się z wysiłkiem na nogi. Zajmę się tym osobiście, ze Spitem i Poborcą. Do jutra rana sprawa zostanie załatwiona.

- Szefie, trzymaj się od tego faceta z daleka, to zdrajca. - W głosie Spita brzmiała wściekłość. Zerwał się na nogi, wlepiając oczy w Maxiego.

- Co ci jest, Spit? - zapytałem zimno. - Strach cię obleciał?

Odwrócił się do mnie z warknięciem.

- Nie wierzę ci. Za dobrze cię znam!

- Siadaj i bądź cicho, Spit! - rozkazał Maxie. - Ja reżyseruję to przedstawienie!

Spit wycofał się na swoje miejsce, rzucając mi gniewne spojrzenia. Głos Maxiego był nadal twardy, tylko że teraz zwracał się do mnie.

- Umowa stoi, Danny. Ale tym razem nawet sobie nie wyobrażaj, że złamiesz słowo, tak jak ostatnio. Jeśli wystawisz mnie teraz do wiatru, to możesz od razu zamawiać trumnę.

Podnosząc się z miejsca mimowolnie zadrzałem. Odwróciłem się w drzwiach. Spit patrzył za mną oczami pełnymi nienawiści. Wzrok Fieldsa był zimny, twarz pozbawiona wyrazu. Oddychał ciężko.

- Wystaw rachunek, Maxie - powiedziałem cicho. - Zapłacę!

Zamknąłem za sobą drzwi i zszedłem na dół.

Było parę minut po szóstej, kiedy płaciłem taksówkarzowi. Samochód odjechał, a ja przystanąłem na chodniku i spojrzałem na dom. Czułem się zmęczony, stary i pusty w środku. Ale dobrze było tu wracać.

Nagle zrozumiałem, że o żadnym innym miejscu nie myślałem jak o domu. Miejsca, w których mieszkałem, nic dla mnie nie znaczyły. Żadne z nich nie było moje, żadne nie należało do mnie tak, jak należał ten dom. I wtedy, stojąc tam przypomniałem sobie, co zrobiłem i odeszła mnie cała satysfakcja z powrotu. Jakby nie miało to już znaczenia. Za dużo w życiu przeszedłem. Miałem za sobą długą drogę. Nie byłem już tym samym człowiekiem, który opuścił ten dom wiele lat temu. Straciłem swoją dziecięcą radość życia. Życie było nieubłagane. Musiałeś walczyć bez chwili wytchnienia albo stawałeś się nikim. Nie było spokoju, nie było przyjaciół, nie było prawdziwego szczęścia. Świat był walką o przetrwanie. Musiałeś zabijać albo byłeś zabijany.

Moje kroki zadudniły na betonowej werandzie. Dużo czasu potrzebowałem, żeby zmądrzeć. Nie wolno poddawać się uczuciom, jeżeli człowiek chce iść naprzód. Należy zasklepić, zamknąć serce przed ludźmi. Nikt nie powinien zbliżyć się do ciebie na tyle, by móc cię dotknąć; byłeś sam w dniu swoich narodzin i będziesz sam w dniu swojej śmierci.

Wyciągnąłem rękę, ale drzwi otworzyły się same, zanim zdążyłem dotknąć klamki.

- Witaj, Danny - odezwał się cicho czyjś głos.

Nie czułem zdziwienia. Słyszałem ten głos już przedtem. Przemówił do mnie w dniu, w którym przyszliśmy kupić dom.

- Witaj, tato.

Wziął mnie za rękę i weszliśmy razem do środka, tak jak przed wieloma laty. Milczeliśmy, słowa nie były nam potrzebne. Potem stanęliśmy w bawialni i spojrzeliśmy na siebie. Miał łzy w oczach. Po raz pierwszy widziałem, jak płacze. Mówił prawie szeptem, ale w jego głosie była ogromna duma i zrozumiałem, że to ja jestem jej źródłem.

- Wszyscy wróciliśmy do domu, Danny - powiedział z pokorą. - Jeżeli będziesz mógł wybaczyć staremu człowiekowi

jego błędy, nigdy nie będziemy musieli zostawiać tego, co tu odnaleźliśmy.

Uśmiechnąłem się. Powoli przychodziło zrozumienie. Głos domu był jego głosem. Ten dom wcale nie należał do mnie, zawsze był jego. Kiedy mówiłem temu domowi jak bardzo go kocham, mówiłem do ojca i to on mi odpowiadał. Ten dom nigdy nie będzie mój, dopóki on mi go nie da, bez względu na to, ile zapłacę.

Rozejrzałem się po pokoju. Przedtem czegoś tu brakowało, teraz, kiedy on tu był, dom nabrał znowu ciepła i życia. Cieszyłem się, że przyszedł. I nie musiałem nic mówić; wiedział doskonale, co czuję.

- To był najpiękniejszy prezent urodzinowy, jaki kiedykolwiek dostałem, tato - powiedziałem.

Teraz dopiero zdał sobie sprawę z mojego wyglądu.

- Mój Boże! - wykrzyknął. - Danny, co się stało? Jego słowa przywróciły mi poczucie rzeczywistości.

- Miałem wypadek, tato - odpowiedziałem chrapliwie. - Gdzie Nellie?

Wpatrywał się we mnie.

- Mama namówiła ją, żeby poszła się położyć. Dostała prawie ataku hysterii ze strachu o ciebie.

Usłyszałem szmer dochodzący od strony schodów. Na podeście stała Nellie, z twarzą białą jak kreda i wzrokiem utkwionym we mnie. W ostrym świetle nagich żarówek musiałem przedstawiać straszny widok. Rozchyliła usta do krzyku.

- Danny!

Jej głos rozbrzmiewał jeszcze wśród ścian, kiedy biegłem już do niej. Zrobiła pół kroku, nagle jakby uciekły jej źrenice i zemdląła.

- Nellie! - krzyknąłem rzucając się przed siebie, żeby ją podtrzymać.

Ale spadła, stoczyła się niezgrabnie z połowy schodów, zanim miałem szansę ją złapać. Leżała pod ścianą zwinięta w mały bezkształtny kłębek, a ja klęczałem przy niej, w panice odwracając ku sobie jej twarz.

- Nellie!

Biała jak mleko twarz była niemal przezroczysta; powieki

zaciśnięte z bólu. Słyszałem, jak szepcze bezkrwistymi wargami.

- Danny, Danny, tak się o ciebie martwiłam. Odwróciłem się do ojca.

- W narożnym domu, po drugiej stronie ulicy jest lekarz. Sprowadź go. Szybko!

Pochylając się nad nią, usłyszałem trzaśnięcie drzwi. Oparłem sobie jej głowę na ramieniu. Oczy miała zamknięte i leżała zupełnie nieruchomo. Zdawało się, że nie oddycha.

Mama zeszła ze schodów, w jej oczach malowało się głębokie współczucie. Bez słowa ścisnęła mnie za ramię.

Spojrzałem znowu na Nellie. Dlaczego zrozumienie przyszło tak późno? Teraz wszystko było jasne. Nellie miała rację. Tuliłem jej głowę do piersi. To się nie stanie, to się nie może stać. Była całym moim światem. Zacisnąłem powieki i modliłem się, łzy spływały mi po twarzy.

- Proszę, Boże... Proszę Cię...

Przemierzałem małą szpitalną poczekalnię w tę i z powrotem. Miałem wrażenie, że chodzę tak nie od dwóch godzin, ale od wielu dni. Wsadziłem w usta następnego papierosa i próbowałem przypalić. Złamałem trzy zapałki, zanim w końcu Zep podał mi ogień.

Spojrzałem na niego z wdzięcznością. Nie wiem, co byśmy bez niego zrobili tego dnia. Spędził go z Nellie, uspokajając ją, pomagając jej, a teraz był tutaj ze mną.

- Dzięki, Zep - wymamrotałem. - Wykończony osunąłem się na krzesło między nim a ojcem.

- Strasznie długo nie ma tego lekarza - powiedziałem. Zep spojrzał na mnie ze zrozumieniem. Wiedział co czuję.

- Nie martw się, Danny - rzekł poklepując mnie niezręcznie po ramieniu. - Wyjdzie z tego. Lekarz mówi, że ona ma szansę, a ja znam swoją siostrę. Będzie walczyć. Wyjdzie z tego.

O to właśnie chodziło. Miała szansę. Lekarz tak powiedział. Miała szansę. Musiałem to sobie powtarzać w kółko, żeby nie wpaść w szaleństwo - nieopanowane, furiackie szaleń-

stwo. Musiałem to sobie powtarzać przez całą drogę do szpitala, jadąc z nią w wyjącej karetce i trzymając jej zimną, bezwładną dłoń.

Miała obrażenia wewnętrzne. Dziecko się przesunęło, powiedział lekarz. Uciskało ją w środku, była poraniona i krwawiła. A wszystko to działo się w środku, tak że trudno się było zorientować. Chyba tylko patrząc na jej białą twarz, jakby pozbawioną kropli krwi.

Szybko i sprawnie ułożyli ją na małym, białym wózku i powieźli pospiesznie na salę operacyjną. Oczy miała nadal zamknięte, nie mogła mnie widzieć. Z jej bladych ust wyrwał się cichy jęk bólu. Potem zniknęła za białymi drzwiami i musiałem czekać.

To było przeszło dwie godziny temu i nadal czekałem. Nadal czekaliśmy. Spojrzałem na jej matkę, siedziała przy oknie wykręcając nerwowo chusteczkę. Oczy miała zapuchnięte od płaczu i milczała słuchając mojej matki, która próbowała ją pocieszyć. Nic nie mówiła, ale wiedziałem, że wini mnie za to, co się stało. W pewnym sensie miała rację. A jednak, gdyby nie Sam, to by się nigdy nie stało.

Na korytarzu przed poczekalnią rozległy się kroki. Mimi szła ku mnie z twarzą pełną niepokoju.

- Danny, co się stało?

Nie odpowiedziałem; patrzyłem na idącego za nią Sama. Miał dziwnie zakłopotaną minę.

- Co tu robisz? - zapytałem.

- Twój ojciec zadzwonił, że Nellie miała wypadek. Mimi była zbyt zdenerwowana, żeby prowadzić, więc ją tu przywiozłem - wyjaśnił.

Wolno podniosłem się z miejsca. Czuję, jak nogi drżą pod mną z wściekłości. Nagle w ustach zabrakło mi śliny.

- Teraz jesteś zadowolony? - zapytałem chrapliwie. - Tego chciałeś?

W jego oczach malowało się zawstydzenie.

- Nie, nie chciałem tego, Danny - odpowiedział cicho. Patrzyłem na niego przez chwilę, potem tłumiona dotąd wściekłość zerwała wszelkie tamy i postąpiłem naprzód, a pięść sama poleciała mi do przodu. Trafiłem go prosto w szczękę i zwałił się na podłogę. Łoskot rozbrzmiewał

jeszcze w małym pomieszczeniu, kiedy znów na niego ruszyłem.

Czyjeś dłonie wczepiły mi się w ramiona. Usłyszałem krzyk Mimi. Szarpałem się rozpaczliwie próbując uwolnić ręce. Powinienem sam go zabić. Płakałem. Równie dobrze mógł przyznać się do wszystkiego. Wtedy usłyszałem głos lekarza: - Panie Fisher!

Natychmiast zapomniałem o Samie, odwróciłem się i złapałem lekarza za klapy fartucha.

- Co z nią, doktorze? - zapytałem. - Co z nią?

Kiedy na mnie spojrzał, jego pobrużdżona ze zmęczenia twarz odprężyła się nieco.

- Odpoczywa, panie Fisher - odpowiedział cicho. - Bardzo cierpi, ale wyjdzie z tego.

Oklapałem, wszystkie uczucia odpłynęły pozostawiając pustkę. Osunąłem się bezwładnie na krzesło i ukryłem twarz w dłoniach. Chociaż raz moje modlitwy zostały wysłuchane.

Poczułem na ramieniu dłoń lekarza i podniosłem na niego wzrok.

- Mogę ją zobaczyć, doktorze?

- Jeszcze nie - potrząsnął głową, twarz miał poważną.

- Panie Fisher, istnieje pewna szansa uratowania życia pańskiego syna, jeżeli tylko dostaniemy odpowiednią grupę krwi.

Zerwałem się na nogi. Nie rozumiałem, co mówi.

- Co to znaczy, doktorze? Patrzył mi w oczy.

- Pański syn nie doznał poważnych obrażeń, może dlatego, że jako wcześniak jest mały, stracił jednak trochę krwi.

Gdybyśmy dostatecznie szybko mogli zrobić transfuzję, miałby szansę.

Pociągnąłem go za ramię.

- Więc chodźmy - powiedziałem niecierpliwie. - Mam mnóstwo krwi.

Znowu potrząsnął głową.

- Obawiam się, że pańska krew nie będzie odpowiednia

- wyjaśnił. - Mamy tu do czynienia z konfliktem serologicznym. Grupę, której potrzebujemy, ma jeden dawca na tysiąc. Zgłosiłem już zapotrzebowanie. Ale wszystko zależy od tego, kiedy uda nam się go tu sprowadzić.

Ogarnęło mnie znowu uczucie zapadania się w pustkę. Pech. Osunąłem się na krzesło. Lekarz ciągnął dalej.

- Jedyną szansą dla pańskiego syna byłoby i tak cesarskie cięcie i pełna transfuzja.

To nie była żadna pociecha. Mój syn żył i miał szansę. Tylko to się liczyło. Rozpacz przenikała mnie na wskroś jak ból.

- Może moja krew się nada, doktorze? - Głos Zepa zabrzmiał jak najśłodsza muzyka. Spojrzałem na niego z wdzięcznością, potem przenieśliśmy wzrok na lekarza.

- Może - powiedział ze znużeniem. - Niech pan idzie ze mną, zobaczymy. - Rozejrzał się po pokoju. - Jeżeli ktoś z państwa chciałby zrobić próbę, proszę za mną.

Opuściliśmy wszyscy poczekalnię i poszliśmy za nim. Kiedy wychodziliśmy na korytarz, Mimi pomagała Samowi wstać.

Po paru krokach znaleźliśmy się w małym laboratorium, siedząca tam pielęgniarka czytała gazetę. Kiedy weszliśmy, szybko wstała.

- Proszę natychmiast sprawdzić grupę krwi tych państwa, siostrze - powiedział lekarz.

- Dobrze, panie doktorze - odparła odwracając się w stronę stojącego za nią stolika.

Patrzyłem, jak przygotowuje szkiełka i kładzie je przy mikroskopie. Kiedy leżały już tam wszystkie, zręcznie wsunęła jedno z nich pod mikroskop.

- Ja to zrobię, siostrze - powiedział lekarz.

Odsunęła się i lekarz pochylił się nad mikroskopem. Potrząsnął głową a wtedy ona wsunęła następną szkiełko. Z zapartym tchem patrzyłem, jak bada kolejne próbki. Wyprostował się kiwając głową.

- Nic, doktorze? - zapytałem beznadziejnie.

Rozejrzał się po pokoju. Moi rodzice, Zep i jego matka patrzyli na niego w napięciu.

- Przykro mi, panie Fisher - rzekł bez ogródek. - Nikt z państwa się nie nadaje. Musimy po prostu poczekać na dawkę.

- Ale może być za późno - powiedziałem słabo. - Mój syn-może, może... - Po raz pierwszy użyłem słów: mój syn. Ale nie dokończyłem zdania.

Współczująco położył mi dłoń na ramieniu.

- Możemy tylko mieć nadzieję, że dawca dotrze tu we właściwym czasie - powiedział pocieszająco. - Może tu być w każdej chwili.

W tym momencie otworzyły się drzwi, i odwróciłem się z nadzieją. Zamarło mi serce. Ale to był tylko Sam.

Przepychał się niezgrabnie przez pokój. Na brodzie miał wielkiego, ciemniejszego już siniaka. Mimi szła za nim.

Spojrzał na mnie zakłopotany, potem zwrócił się do lekarza.

- Doktorze - powiedział swoim szorstkim, tubalnym głosem - w banku krwi mówiono, że mam rzadką grupę. Może to ta, której pan szuka.

- Zaraz się dowiemy - odparł tamten. Skinął na pielęgniarkę. Patrzyłem przez chwilę na Sama, potem minąwszy go wyszedłem na korytarz. Drzwi laboratorium zatrzasnęły się za mną z impetem. Nie było sensu tam siedzieć; on nie przyniesie mi nic dobrego. Ściągał na mnie same kłopoty. Zawsze, od chwili naszego pierwszego spotkania.

- Danny! Danny! - zabrzmiał za mną podekscytowany głos Zepa. Biegł do mnie korytarzem, a jego smagłą twarz ożywiało podniecenie.

- Lekarz mówi, że Sam ma odpowiednią grupę! Gapiłem się na niego, nie wierząc własnym uszom.

Pół godziny później do poczekalni, w której siedzieliśmy wszedł lekarz. Na jego twarzy gościł uśmiech. Podeszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

- Zdaje mi się, że będzie pan jednak rozdawał cygara, panie Fisher - powiedział. - Gratulacje!

Prawie go nie widziałem przez mgłę zasłaniającą mi oczy.

- Dziękuję, doktorze! - powiedziałem żarliwie. - Dziękuję. Uśmiechnął się ponownie.

- Nie mnie proszę dziękować - rzekł szybko. - Niech pan podziękuje Bogu i swojemu szwagrowi, że był pod ręką! To i tak cud, że siedmiomiesięczny wcześniak tyle przetrwał.

Moja teściowa rozplakała się ze szczęścia. Zep ją ścisnął. Mama, tato i Mimi tłoczyli się wokół mnie. Mimi obejmowała

mnie za szyję z ustami przy moim policzku. Twarz miała mokrą od moich łez. Nic więcej się nie liczyło - tylko szczęście tej chwili. Zwróciłem się do lekarza.

- Mogę teraz zobaczyć żonę, doktorze? Skinął głową.

- Ale tylko na parę minut - ostrzegł. - Jest jeszcze bardzo słaba.

Pielęgniarka siedząca przy łóżku wstała natychmiast, kiedy wszedłem do pokoju, potem usłyszałem odgłos zamykanych cicho drzwi. Spojrzałem w stronę łóżka. Spod białych prześcieradeł widoczna była jedynie twarz Nellie i jej granatowoczarne włosy rozsypane na poduszce. Oczy miała zamknięte. Wydawało się, że śpi.

Podszedłem do łóżka i usiadłem przy niej bojąc się oddychać, żeby jej nie obudzić.

Jakoś wyczuła, że jestem przy niej i otworzyła oczy. Miały odcień ciemnego brązu i patrzyły łagodnie.

- Danny - szepnęła prawie nie poruszając wargami. Spróbowała się uśmiechnąć.

Położyłem rękę na prześcieradle w miejscu, gdzie dostrzegłem zarys dłoni.

- Nie próbuj mówić, maleńka - wyszeptałem. - Wszystko w porządku.

- Dziecko też? - głos miała słaby i pełen powątpiewania. Skinąłem głową.

- Czuje się świetnie - powiedziałem. - Wszystko jest w najlepszym porządku. Nie martw się teraz. Odpoczywaj tylko i wracaj do zdrowia.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Omal wszystkiego nie zepsułam, prawda? - zapytała. Przysunąłem twarz do jej policzka.

- Nie ty - powiedziałem. - To ja. Miałaś rację. Nie powinienem był jechać.

Chciała potrząsnąć głową, ale okazało się to dla niej za dużym wysiłkiem. Przymknęła oczy ze znużeniem.

- Nie - wyszeptała. - To moja wina. Powinnam była wiedzieć, że wróciłbyś, gdybyś mógł. Ale przypomniałam sobie, co czułam, gdy odszedłeś i nie mogłam znieść myśli,

że miałabym żyć bez ciebie. Miałam takie uczucie, Danny

- łzy spływały jej po policzkach - że stanie ci się coś straszego, coś nam się stanie i zostanę sama.

- Zapomnij o tym, nigdy już nie będziemy sami - powiedziałem poważnie. - Bez względu na to, co się teraz stanie, będziemy zawsze mieli przy sobie małego.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

- Widziałeś go już, Danny? - zapytała, jakby z onieśmieleniem. - Jaki on jest?

Udało mi się rzucić na niego okiem, kiedy szedłem z lekarzem na piętro. Zatrzymał się przed pokojem noworodków i pozwolił mi zerknąć do inkubatora.

Oczy Nellie spoczywały wyczekująco na mojej twarzy. Widziałem, jak bledziutki rumieniec powraca na jej policzki.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Maleńki i śliczny - powiedziałem miękko. - Jak jego mama.

Zbliżając się do poczekalni, słyszałem dochodzący stamtąd podniecony gwar. Ledwo wszedłem, ojciec chwycił mnie radośnie za rękę.

- **Mazel tow**, Danny! - zawołał z radosnym uśmiechem. Wszyscy mówili jednocześnie tłocząc się wokół mnie.

Teściowa chwyciła mnie za drugą rękę i wycisnęła mi na policzku potężny, mokry pocałunek. Uśmiechnąłem się do niej. Ojciec wyciągnął skądś butelkę whisky. Staliśmy teraz w małym kółku, a rozlewany do papierowych kubków alkohol bulgotał cicho. Ojciec wzniosł toast.

- Za twojego syna! - powiedział patrząc na mnie z dumą.

- Żeby był zawsze szczęśliwy! I za twoją żonę, żeby zawsze był dla niej źródłem radości. I za ciebie, obyś zawsze był z niego dumny - jak ja jestem dumny z ciebie!

Miałem łzy w oczach, lecz nie był to rezultat wypitej whisky. Czekałem bardzo długo, by usłyszeć te słowa z jego ust. Może nie zasługiwałem na nie, ale w niczym nie zmieniało to faktu, że chciałem je usłyszeć.

Tato uniósł ponownie kubek. Zwrócił się do Sama.

- I za mojego drugiego syna - powiedział cicho - który

pozwoił staremu człowiekowi zrozumieć, jak bardzo się myli, a teraz do zaciągniętego przeze mnie długu dodaje własną krew!

Byłem oszołomiony.

- O czym ty mówisz, tato? - zapytałem. Spojrzał na mnie.

- To Sam wciąż się ze mną kłócił, aż uświadomił mi w końcu, co zrobiłem. To on mnie przekonał, że byłem głupcem i sprawił, że do ciebie przyszedłem.

Patrzyłem na Sama. Twarz mu płonęła. Głos taty zdawał się dochodzić z bardzo daleka.

- A teraz własną krwią uratował twego syna. Obaj wiele mu zawdzięczamy. Ja, że pozwoił mi ciebie odzyskać, ty, że ocalił życie twego syna - zaśmiał się cicho. - Zawdzięczamy mu wiele - powtórzył. - Kiedyś musielibyśmy mu odpłacić tym samym. Miałby prawo do naszej krwi, nawet do ofiary z naszego życia, gdyby jej zażądał.

Przysunąłem się do Sama, czując przyływ wdzięczności. Tato mówił dalej:

- Teraz, Danny, kiedy masz syna, poznasz ciężar swoich czynów. Nawet te drobne, które jak ci się zdaje, nikogo nie krzywdzą, będą raniły twego syna, a więc i ciebie. Obyś nigdy nie zaznał tego bólu co ja, kiedy zrozumiałem, że mój syn musi płacić za moje błędy.

Tato miał rację. Być może, ja nigdy nie zapłacę za swoje czyny, ale zapłaci za nie mój syn. Nadal patrzyłem na Sama. Uśmiechał się do mnie. Wtedy sobie przypomniałem.

Gdzieś tam czekał na niego Fields. A ja ubiłem interes. Myśli przelatywały mi przez głowę jak szalone. Musiał być jakiś sposób, żeby to odwołać.

Rzuciłem szybkie spojrzenie na ścienny zegar. Było po dziesiątej. Musiałem dopaść Maxiego i odtrąbić odwrót. Musiałem.

- Muszę zadzwonić! - krzyknąłem i wybiegłem jak wariat z poczekalni.

Budka telefoniczna stała na korytarzu. Dałem nura do środka i wykręciłem pośpiesznie numer Fieldsa. Odczekałem kilkanaście sygnałów, zanim ktoś odebrał. Kobieta.

- Jest tam Maxie Fields? - zapytałem ochryple.
 - Nie ma - odpowiedział mi zmęczony głos. - Kto mówi?
 - Danny Fisher - powiedziałem szybko. - Nie wie pani gdzie on jest? Muszę go znaleźć!
 - Danny! Tak, musisz go znaleźć! Tu Ronnie - wykrzyknęła. - Nie możesz pozwolić, żeby on to zrobił. Sam jest jedynym przyjacielem, jakiego miałaś w życiu. To on zmusił Maxiego, żeby zostawił cię w spokoju, kiedy wróciłeś, Sam przysiągł, że go zabije, jeżeli kiedykolwiek tknie cię palcem!
- Przymknąłem oczy.
- A ja myślałem, że to ty - odezwałem się.
 - Nie - odrzekła. - Mnie nigdy by nie posłuchał. Wróciłam, ponieważ Ben zachorował i potrzebowałam pieniędzy. Co i tak nie na wiele się zdało. Umarł.
 - Tak mi przykro, Sarah.
- Nie wiem, czy mnie usłyszała, słowa płynęły z jej ust nieprzerwanym strumieniem. Mówiła znowu o Samie - o Samie i o mnie.
- Nie możesz dopuścić, żeby on coś Samowi zrobił, Danny. Nie możesz! To Sam powstrzymał go przed zagarnięciem twojego interesu. To dzięki niemu Lombardi powiedział Maxiemu, że ma się odwalić, bo to Sam przejmuje interes i Maxie nie mógł nic zrobić. Szalał ze złości. Nie wiesz, jaki to zły człowiek. Musisz go powstrzymać, Danny!
 - Chcę to zrobić, Sarah - powiedziałem gorączkowo. - Posłuchaj mnie. Nie wiesz, gdzie mógłbym go znaleźć?
 - Wspominał, że jedzie do Brooklynu - odparła. - Powiedział, że prawdopodobnie Sam zjawi się dzisiaj w twoim nowym domu.
- Osunąłem się bezwładnie na ścianę budki. Oznaczało to, że Maxie zaczął się na Sama w pobliżu domu i kiedy wrócimy ze szpitala, będzie tam na niego czekał. Gapiłem się tępo w telefon. Mogłem zrobić teraz tylko jedno. Mianowicie dotrzeć do domu, zanim dotrze Sam.
- W porządku, Sarah - powiedziałem, odkładając słuchawkę na widełki. Wyszedłem z budki i wróciłem do poczekalni.
- Podszedłem do Sama.
- Mogę pożyczyć twój samochód na parę minut, Sam?

- zapytałem starając się, aby mój głos brzmiał możliwie zdawkowo. - Obiecałem Nellie, że przywiozę jej z domu parę rzeczy, a mój wóz jest ciągle na lotnisku.

- Zawiozę cię, chłopcze - zaofiarował się.

- Ależ nie — zaprotestowałem pośpiesznie. — Nie czujesz się jeszcze najlepiej po tej transfuzji. Odpocznij trochę. Wróć za dwadzieścia minut.

Wyjął z kieszni kluczyki i podał mi je z uśmiechem.

- Okay, mistrzu.

Spojrzałem mu szybko w twarz. Nie nazywał mnie tak od lat. Zobaczyłem jak ciepło jego uśmiechu sięga oczu.

- Wszystko w porządku, mistrzu? - zapytał. Tylko my dwaj wiedzieliśmy co oznaczają te słowa. Było w nich całe morze treści.

Ująłem jego rękę.

- Wszystko w porządku, mistrzu - odparłem. Wzmocnił uścisk dłoni a ja popatrzyłem na nasze splecione ręce.

Zabawne, jakie były do siebie podobne - miały taki sam kształt, takie same palce. Potem spojrzałem mu w oczy, z których promieniowało ku mnie ciepło i pomyślałem, że jest mi bardzo bliski. Był kimś, kim zawsze chciałem być.

We wszystkim co robiłem, starałem się do niego upodobnić. Uśmiechałem się coraz szerzej w miarę jak przychodziło to zrozumienie.

- Wszystko w porządku, mistrzu - powtórzyłem. - Dzięki, Sam. Dzięki za wszystko.

Wyjąłem mu kluczyki z dłoni i ruszyłem w stronę drzwi. Zatrzymał mnie ojciec.

- Jedź ostrożnie, Danny - przestrzegł mnie. - Żeby teraz tobie się coś nie stało.

- Nic mi się nie stanie, tato - odrzekłem. - A jeżeli nawet, nie będę żałował. Miałem w życiu prawie wszystko co można mieć. Nie będę się uskarżał.

Tato skinął głową.

- To dobrze, że tak czujesz, Danny - powiedział poważnie.

- Ale mimo wszystko bądź ostrożny. Jesteś ciągle podekscytowany z powodu syna.

Potężny silnik pod maską kanarkowej limuzyny pomrukiwał cicho, kiedy skierowałem cadillaca w stronę domu. Cieszyłem się, że mam samochód Sama. Ułatwi mi to znalezienie Fieldsa, który będzie wypatrywał wozu. Nie przejmowałem się nim. Znajdę sposób, żeby to załatwić.

Popędziłem Boulevard Linden do Kings Highway i skręciłem na Clarendon. Potem zjechałem w prawo i ruszyłem do domu. Rzuciłem okiem w lusterko. Samochód jadący za mną mrugał światłami. Roześmiałem się do siebie i nacisnąłem pedał gazu. Ja też się spieszyłem.

Wielki samochód zareagował błyskawicznie na zmianę prędkości i pędziliśmy razem przez noc. Spojrzałem ponownie w lusterko. Najeżdżał na mnie. I wtedy rozjaśniło mi się w głowie: Maxie musiał śledzić Sama w drodze do szpitala.

Zdjąłem nogę z gazu i zwoolniłem do pięćdziesięciu. Tamten zrównał się ze mną błyskawicznie. Zerknąłem w bok. Miałem rację. Z jadącego obok wozu wpatrywały się we mnie oczy Spita. Pokazałem mu zęby w uśmiechu i pomachałem ręką.

Wtedy w dłoni Spita zobaczyłem pistolet maszynowy. Podnosił go wolno.

- Spit! - wrzasnąłem do niego. - To ja! Danny! Sprawa jest nieaktualna.

Lufa wciąż szła w górę. Ryknąłem do niego jeszcze raz.

- Spit, ty zwiariowany skurwielu! To ja, Danny! Widziałem, jak się waha. Odwrócił głowę w stronę tylnego siedzenia i zobaczyłem ruch jego warg. Rzuciłem szybkie spojrzenie w tamtą stronę, ale nie zobaczyłem nic z wyjątkiem błysku cygara. Potem Spit odwrócił się z powrotem do mnie i podniósł broń. Przypomniałem sobie słowa Maxiego - „Tym razem nawet sobie nie wyobrażaj, że złamiesz słowo...” Facetem na tylnym siedzeniu był Maxie. Mogłem zrobić tylko jedną rzecz. Nacisnąłem pedał gazu w chwili, kiedy pistolet zaczął pluć ogniem. Nagły ból odrzucił mnie od kierownicy. Mocowałem się z nią rozpaczliwie, próbując utrzymać ją w rękach.

Przestałem widzieć na krótką chwilę, potem obraz się przejaśnił. Samochód pędził przez noc jak szalony. Spojrzałem w bok na Spita. Szczyrzył do mnie zęby. Ogarnął mnie straszliwy gniew. Nienawiść do niego i do tego wszystkiego

czym byłem napłynęła mi do ust, ciepła, paląca i lepka jak krew. Znów we mnie celował.

Spojrzałem ponad jego głowę na róg ulicy. Stał tam mój dom. Widziałem palące się w oknie światło; widocznie zapomniałem o nim wybiegając do szpitala. Gdybym mógł się tam dostać, byłbym bezpieczny. Zawsze będę tam bezpieczny. Wiedziałem o tym.

Z całej siły skręciłem kierownicą w stronę swojej ulicy. Na drodze stanął mi samochód Maxiego, ale i tak skręciłem. Zobaczyłem wykrzywioną strachem twarz Spita. Lufa błysnęła ogniem, nic jednak nie poczułem. Będzie musiał zjechać mi z drogi, albo go staranuję. Czulem, jak blokują się koła, ale nic mnie to nie obchodziło. Wracalem do domu.

Zobaczyłem błysk światła i poczułem, że samochód wlatuje w górę. Wciągnąłem powietrze szykując się na zderzenie, ale zderzenie nigdy nie nastąpiło.

Bo miałem znów osiem lat i zamiast w pędzącym ku katastrofie samochodzie siedziałem w szoferce wozu meblowego i wprowadzałem się do nowej dzielnicy. Słyszałem chrzęst żwiru pod kołami. Był jasny dzień, i nic z tego nie rozumiałem.

Coś było nie tak. Czas wypadł z toru. Borykałem się z oszalałymi myślami. To nie mogła być prawda. Takie rzeczy się nie zdarzają. Sięgnąłem do początków pamięci.

Potem obraz zniknął i poczułem, że kierownica rozrywa mi się w rękach. W jednej chwili patrzyłem osłupiały na trzymane w dłoniach resztki kółka, w następnej szybowałem oszalałym pędem w majaczącą, pożądlivą ciemność. Gdzieś z jej milczącej, bezdźwięcznej głębi napływał wołający mnie po imieniu głos. Wołanie odbijało się głuchym, metalicznym echem w moim mózgu, sylaby toczyły się ku mnie jak morskie fale.

- Dan-ny Fi-sheer. Dan-ny Fi-sheer!

Głos nawoływał mnie uparcie. Wiedziałem, że nie mogę słuchać tej syreniej pieśni. Nie wolno mi jej słuchać. Nie wolno mi nawet dopuścić jej do swojej świadomości. Wal-

czyłem z nią desperacko. Odepchnąłem ją z całej siły i zamknąłem mózg na jej echo. Przeszył mnie gwałtowny ból i moje ciało wyprężyło się w rozdzierającej agonii.

Ból stawał się coraz silniejszy, a jednak to, co czułem, nie było niczym fizycznym. Był to niejasny, nieuchwytny ból, który przepływał przez ciało jak powietrze, którym kiedyś oddychałem.

Powietrze, którym oddychałem... Kiedyś oddychałem. Dlaczego pomyślałem o tym w ten sposób? Ból przeniknął znowu do ciała, wypełnił świadomość i zapomniałem o pytaniu, które sobie zadałem. W oddali słyszałem swoje wycie. Ten krzyk agonii dzwonił mi w uszach. Wolno osunąłem się w ciemność.

Dan-ny Fi-sheer, Dan-ny Fi-sheer! - Znowu słyszałem ten dziwnie kojący głos. Był miękki, łagodny, niósł z sobą obietnicę odpoczynku i spokoju, i ulgi w agonii, a jednak walczyłem z nim z taką mocą, z jaką nigdy przedtem z niczym nie walczyłem. Głos w moim mózgu przycichł ponownie i ból powrócił.

Jak słodki jest ból, kiedy w ciele nie pozostało już nic poza nim! Lgniesz do bólu, który wiąże cię z ziemią.

Oddychasz nim jak najwonnejszym powietrzem, spijasz go każdym spragnionym włóknem swego ciała. Tęsknisz za bólem, który pozwala ci żyć.

Przetaczał się przeze mnie słodki i rozdzierająco ostry.

Ból, który kochałem i tuliłem do siebie. Słyszałem swój odległy krzyk protestu, ale byłem szczęśliwy czując go w sobie.

Niecierpliwie wyciągnąłem do niego ramiona, ale nie mogłem go utrzymać, znów mi się wymknął i zanurzałem się w cichą, kojącą ciemność.

Głos odezwał się teraz tuż koło mnie. Czułem go w swoim mózgu, tak jak przedtem czułem ból w ciele.

- Dlaczego ze mną walczysz, Danny? - zapytał karcąco. - Jestem tu tylko po to, żeby dać ci wytchnienie.

- Nie chcę wytchnienia! - krzychałem. - Chcę żyć!

- Ale życie oznacza cierpienie, Danny - głos był głęboki, ciepły i kojący. - Chyba już o tym wiesz?

- Więc odejść i pozwól mi cierpieć! - wrzasnąłem. - Chcę żyć. Jest tyle rzeczy, które mam do zrobienia!

- A co takiego? - zapytał cicho. - Pamiętasz, co mówiłeś przed chwilą? Słowa, które wypowiedziałeś do swego ojca: „Nie będę żałował. Miałem w życiu prawie wszystko, co można mieć. Nie będę się uskarżał”.

- Człowiek mówi wiele rzeczy, o których wcale nie myśli

- zawołałem z rozpaczą. - Muszę żyć. Nellie powiedziała, że nie mogłaby istnieć beze mnie. Mój syn mnie potrzebuje.

Głos był równie mądry i wyrozumiały jak czas. Rozbrzmiewał głuchym echem w moim mózgu.

- Chyba w to nie wierzysz, Danny? - zapytał cicho.

- Wiesz przecież dobrze, że człowiek nie umiera z żalu za innym człowiekiem.

- Więc chcę żyć dla samego siebie - szlochałem. - Chcę czuć jędrną, miękką ziemię pod stopami, smakować słodycz ciała swojej żony, radować się patrząc, jak rośnie mój syn.

- Ale jeżeli pozostaniesz przy życiu, Danny - nieubłaganie zadźwięczał głos - nie będziesz mógł robić nic z tych rzeczy, o których mówisz. Twoja cielesna powłoka została zmiażdżona w sposób nieodwracalny. Nie będziesz widział, nie będziesz czuł i stracisz smak. Będziesz tylko nieustannym ciężarem i męczarnią dla tych, których kochasz.

- Ale ja chcę żyć! - krzychałem, walcząc z głosem całą swoją istotą. Czułem jak ból powoli powraca w moje ciało. Powitałem go jak kobieta dawno niewidzianego kochanka. Ogarnąłem go ramionami i pozwoliłem wnikać w siebie. Czułem słodką, upragnioną mękę przepływającą przez ciało jak krew. I nagle nastąpił moment nieskalanej, czystej jasności

I mogłem znów widzieć.

Patrzyłem na swoje ciało, rozdarte, skręcone i bezkształtne. Wyciągnęły się ku mnie dłonie, ale na mój widok zamarły z przerażenia. To było moje ciało i tak ludzie będą patrzyli na nie już zawsze.

Czułem, jak łzy żalu mieszają się z agonią mego ciała.

Czy nie pozostało ze mnie nic, co mogłoby uradować czyjeś serce? Przyjrzałem się sobie bliżej. Twarz miałem nietkniętą. Była spokojna i nieruchoma. Na ustach pozostał nawet ślad uśmiechu. Przyjrzałem się uważniej.

Powieki miałem zamknięte, ale widziałem przez nie. Patrzyły na mnie puste oczodoły. Odwróciłem się od siebie

z przerażeniem. Łzy płynęły mi w mózgu zmywając bez śladu dziwny, nowy ból.

Ból wymykał się znowu w miarę jak bladła jasność i powracały ciemności. Głos pojawił się jeszcze raz u bram mojego mózgu.

- A czy teraz, Danny - powiedział ze współczuciem

- pozwolisz mi sobie pomóc?

Otrząsnąłem płynące w mózgu łzy. Całe moje życie było targiem. Teraz nadszedł czas na ostatnią umowę.

- Tak - wyszeptałem - pozwolę ci sobie pomóc - jeżeli tylko złożysz mnie do kupy, żeby moi najbliżsi nie odwrócili się ode mnie z przerażeniem.

- Mogę to zrobić - odparł cicho.

- Więc pomóż mi, proszę - błagałem - a będę zadowolony. Poczulem nagle wokół siebie atmosferę tkliwej miłości.

- Odpoczywaj zatem, Danny - powiedział miękko głos.

- Pogrąż się w cichej, spokojnej ciemności i nie odczuwaj strachu. To będzie tak, jakbyś zapadał w sen.

Ufnie wyciągnąłem dłonie w mrok. To była przyjazna, kochająca ciemność i odnalazłem w niej największą miłość i ciepło, jakich kiedykolwiek zaznałem. To było jak zapadanie w sen.

Ciemność otoczyła mnie wirującymi łagodnie obłokami. Wspomnienie bólu stało się mgliste i już bardzo odległe, a wkrótce nawet i ono zniknęło. Teraz wiedziałem już, dlaczego nigdy przedtem nie zaznałem spokoju.

Byłem zadowolony.

Kamień dla Danny Fishera

Kładziesz pospiesznie kamień na pomniku i stoisz tam ponuro z szeroko otwartymi, niebieskimi oczyma. Czujesz w sobie drobną jeszcze, ale narastającą wątpliwość. Twój ojciec...

Nie mam kształtu, nie mam konkretnego wizerunku w twojej pamięci. Jestem tylko słowem, zdjęciem na kominku, dźwiękiem na ustach innych ludzi. Nigdy mnie bowiem nie widziałeś, a ja widziałem cię tylko raz.

Więc jak mam do ciebie dotrzeć, mój synu, jak mam sprawić, byś mnie usłyszał, skoro nawet mój głos jest dla ciebie nieznanym dźwiękiem? Płaczę, mój synu, płaczę, bo dałem ci życie, którego nie będę z tobą dzielił. Ani nie zaznam przez ciebie radości i smutków, jakich zaznał przeze mnie mój ojciec.

Bo mimo że dałem ci życie, ty dałeś mi coś więcej. W tej krótkiej chwili, którą wspólnie przeżyliśmy, nauczyłem się wielu rzeczy. Nauczyłem się znów kochać swego ojca, rozumieć jego uczucia, jego radości i jego błędy. Bo przez krótką chwilę byłeś dla mnie tym wszystkim, czym dla niego byłem ja.

Nigdy nie trzymałem cię w ramionach, nie przytuliłem cię do serca, a jednak czuję to wszystko. Kiedy cierpisz, odczuwam twój ból, kiedy jesteś smutny, dzielę twoje łzy, a kiedy się śmiejesz, czuję w sobie radość. Wszystko czym jesteś, było kiedyś częścią mnie - twoja krew, twoje kości i twoje ciało.

Jesteś żyjącą częścią marzenia, którym byłem. Jesteś

dowodem na to, że kiedyś się poruszałem, że chodziłem po ziemi. Jesteś moją spuścizną dla świata, najcenniejszą jaką mogłem go obdarować. Wszystkie wartości w porównaniu z tobą są niczym.

Będziesz żył w cudownych czasach. Odległe zakątki świata staną się dostępne w parosekundowej podróży, najgłębsze oceany, najwyższe góry, a może nawet gwiazdy znajdą się w zasięgu twojej ręki. A jednak wszystkie te cuda będą niczym w porównaniu z cudem jakim jesteś ty.

Bo ty jesteś cudowną kontynuacją mojego ciała. Jesteś ogniwem, które wiąże mnie z jutrem, ogniwem łańcucha rozciągającego się od początków czasu do nieskończoności.

A jednak jest w tym wszystkim coś dziwnego. Bo ty który powstałeś z szalonych porywów mej krwi, z mej siły, i który łączysz mnie z jutrem, nic o mnie nie wiesz.

Dzieliliśmy ze sobą tylko jeden moment, moment po tym jak przywrócono cię do życia, tak więc nie znasz mnie.

- Jaki ty jesteś, mój ojczu? - pytasz w ciszy swojego serduszka. Zamknij oczy, synu, a ja spróbuję ci odpowiedzieć. Oderwij na chwilę oczy od jasnego, zielonego świata wokół siebie i postaraj się mnie usłyszeć.

Teraz stoisz nieruchomo. Oczy masz zamknięte, twarz bladą i słuchasz. Mój głos jest dla ciebie obcy, a jednak w głębi duszy wiesz, kim jestem.

Rysy mojej twarzy nigdy nie staną się wyraźne w twojej pamięci, a jednak będziesz pamiętał. I pewnego dnia, za jakiś czas, będziesz o mnie mówił. I w twoim głosie będzie żal że się nie znaliśmy, ale także i zadowolenie.

Zadowolenie płynące ze świadomości, że wszystko czym jesteś, wywodzi się ze mnie. To, co przekażesz swojemu synowi, będzie wywodziło się ze mnie, podobnie jak to, co mój ojciec przekazał mnie, a jemu jego ojciec. Słuchaj mnie, synu, i poznaj swojego ojca. Mimo że pamięć o człowieku jest przemijająca, a jego życie tylko przelotną chwilą, ma on w sobie nieśmiertelność równie trwałą jak gwiazdy.

Bo ja jestem tobą, a ty jesteś mną i człowiek zrodzony z Adama będzie żył zawsze na tej ziemi. Tak jak ja kiedyś żyłem.

Niegdyś oddychałem powietrzem, którym ty oddychasz, czułem pod stopami miękką sprężystość ziemi. Niegdyś twoje namiętności burzyły mi krew w żyłach a twoje smutki wyciskały mi łzy z oczu.

Niegdyś byłem człowiekiem, jak ty.

Ja też miałem konto u Macy'ego, książeczkę bankową w Dime Savings, gdzieś z zakamarkach piwnic leżą papiery z moim podpisem naskrobany wyblakłym już ze starości atramentem, zaś w rządowym segregatorze z dziwnym cyfrowym oznakowaniem na grzbiecie: 052-09-8424 zagrzebany jest w masie danych statystycznych numer mojego ubezpieczenia.

Niegdyś te rzeczy należały do mnie, mój synu. I dlatego, i z wielu jeszcze innych powodów, moje imię nie zostanie zapomniane. Bo już choćby w samych tych aktach istnieje dowód mojej nieśmiertelności.

Nie byłem wielkim człowiekiem, którego historia została spisana po to, żeby uczyły się o nim dzieci w szkole. Nie będą były dla mnie dzwony, ani nie opuści się flag na masztach.

Byłem zwyczajnym człowiekiem, mój synu, jednym z wielu, którzy mają zwyczajne nadzieje, zwyczajne marzenia, i zwyczajne obawy.

Ja także marzyłem o dobrobycie i bogactwie, zdrowiu i sile. Ja także bałem się biedy i głodu, wojny i słabości.

Byłem sąsiadem z najbliższego domu. Człowiekiem stojącym w metrze w drodze do pracy; który zapalał sobie papierosa; który wyprowadzał na spacer psa.

Byłem dygoczącym ze strachu żołnierzem; facetem, który obrzucał błotem sędziego na meczu piłkarskim; obywatelem w zaciszu kabiny wyborczej, oddającym radośnie głos na bezwartościowego kandydata.

Byłem człowiekiem, który żył tysiące razy i tysiące razy umierał w ciągu sześciu tysięcy lat historii rodzaju ludzkiego. Byłem człowiekiem, który żeglował z Noem na arce, byłem tłumem, który przeszedł morze, prowadzony przez Mojżesza, łotrem, który wisiał na krzyżu obok Chrystusa.

Byłem zwyczajnym człowiekiem, o którym nie pisze się pieśni, nie opowiada baśni, nie pamięta legend.

Ale jestem człowiekiem, który będzie żył zawsze, przez tysiące lat, które nadejdą. Jestem człowiekiem, który skorzysta z paru, a zapłaci za wiele błędów popełnionych przez wielkich.

Ale wielcy są tylko moimi sługami, bo takich jak ja są legiony. Wielcy leżą samotni w swoich mogiłach pod wspinałymi nagrobkami, samotni, gdyż to nie oni pozostają w ludzkiej pamięci, ale ich czyny.

Ja nie jestem samotny; ci, którzy oplakują swoich bliskich, oplakują także mnie. I zawsze żal wyrażany po czyjejs stracie jest także żalem po mnie.

Otwierasz oczy ze zdumieniem i spoglądasz na sześć kamieni leżących na moim grobie. Teraz już wiesz, mój synu. To był twój ojciec.

Obejmują cię ramiona matki, ale ty wciąż patrzysz na kamienie. Wskazujesz palcem napis wyryty na pomniku.

Twoja matka odczytuje ci go po cichu.

Słuchaj uważnie tych słów, mój synu. Czyż nie są prawdziwe?

Pozostać w sercach swych bliskich, znaczy nigdy nie umrzeć.

Spis treści

Przedmowa	9
Kamień dla Danny Fishera	9
Dzień przeprowadzki. 1 czerwca 1925	14
Księga pierwsza. Wszystkie dni mojego życia	31
Dzień przeprowadzki. 1 grudnia 1932	112
Wszystkie dni mojego życia. Księga druga	125
Dzień przeprowadzki. 17 maja 1934	229
Wszystkie dni mojego życia. Księga trzecia	243
Dzień przeprowadzki. 15 września 1936	314
Wszystkie dni mojego życia. Księga czwarta	327
Dzień przeprowadzki. 3 października 1944	425
Kamień dla Danny Fishera	453